



**LINDA HOLEMAN**

**Ptaszyna**

Tytuł oryginału THE LINNET BIRD



*Holly Kennedy, która uwierzyła w tę opowieść*

RS

## Prolog

*Kalkuta 1839*

Palenie opium to prawdziwa sztuka.

Spoglądam na tacę i jej zawartość: fajeczkę pokrytą cienką warstewką srebra, małą lampkę spirytusową, długą, tępą igłę, pojemniczek *chandu* i rządki ciemnobrązowych kuleczek o rozmiarach groszku. Mam spierzchnięte wargi. Zamykam oczy i wyobrażam sobie, że trzymam kulkę opium na końcu igły nad płomieniem lampki, aż masa w kolorze biota zmięknie i nabierze złocistej barwy. Potem będę musiała umieścić ją na brzegu główki fajki, za pomocą igły porozciągać na długie pasemka i zaczekać, aż się dokładnie ugotują. Następnie z powrotem zwinę całość w kulkę i szybko, ponieważ masa musi mieć odpowiednią konsystencję, wepchnę ją do fajki. Oczywiście, będę musiała trzymać główkę blisko lampki, żeby oblizywał ją płomień. Oczami duszy widzę, jak zaciskam wargi na dobrze znanym, nefrytowym ustniku, a potem raz za razem wciągam dym głęboko w płuca, wydając przy tym odgłos, który przypomina spokojne, nieprzerwane bicie serca.

Otwieram oczy i oblizuję wargi. Jest wczesny ranek. Dopiero za kilka godzin indyjskie słońce dotrze do zenitu; zostało jeszcze sporo czasu, nim miedziane promienie spalą i wysuszą wszystko, nim służący będą musieli zwilżyć wodą *tattie* i zamknąć okiennice. Ponownie spoglądam na tacę.

Jeszcze nie teraz. Jeszcze za wcześnie, żeby zapalić fajkę. Najpierw chcę Wam coś opowiedzieć.

Przez otwarte okna dobiegają z ogrodu głosy dzieci. Podchodzę zobaczyć. David bawi się z synem *dhobięgo*. Obaj z pozoru bezsensownie galopują na długich kijach. Dosiadają swoich rumaków z beztroską i łatwością możliwą jedynie u sześciolatków. Malti siedzi na najwyższym stopniu werandy. Macha leniwie packą z końskiego włosia, a na jej pociągłej, smagłej twarzy maluje się radość typowej *ayah*, która obserwuje swojego pupila.

Chłopcy biegają wokół trawnika, na którym płoży się *doob*. Gałęzie bugenwilli i hibiskusa okryte są jasnoczerwonym kwieciem.

Nigdy nie bawiłam się tak beztrosko jak mój syn. Gdy byłam niewiele starsza od niego, pracowałam po dziesięć godzin dziennie przez sześć dni w tygodniu w introligatorni w Harvey Close w Liverpoolu. Nie czułam trawy pod bosymi stopami, nie słyszałam śpiewu ptaków i niezwykle rzadko czułam na twarzy ciepłe promienie słońca. Mój syn nigdy nie pozna pracy, którą niegdyś wykonywałam, ani nie będzie musiał zarabiać na życie tak, jak ja nieco później, gdy wciąż jeszcze byłam dzieckiem, chociaż już nie takim małym. Pewien fragment mojego życia na zawsze zostanie dla niego tajemnicą -ale nie dla Was.

David zatrzymuje się, unosi głowę, jakby coś usłyszał albo był czymś zaskoczony. Potem pochyla się i sięga pod niski żywoplot ołownicy.

Podbiega do Malti z wyraźnym smutkiem na twarzy i wyciąga złożone dłonie, na których trzyma pisklę. Nawet stąd widzę zielone piórka i wyraźną czerwień nad dziobem. Ptaszek ledwo się rusza, jedno skrzydełko luźno zwisa mu u boku. To mały, zwyczajny brodac. Wczoraj słyszałam, jak jego rodzina obstukiwała pień mangowca. David krzyczy, wyraźnie poruszony. Ma opaloną skórę, a jego długie, smukłe palce próbują delikatnie trzymać bezradnego ptaszka i jednocześnie nie wyrządzić mu krzywdy.

Przypominam sobie własne dłonie, kiedy byłam mała. Miałam poplamioną atramentem skórę, pokrytą resztkami taniego kleju i popekaną od zimnego wiatru znad szarej Mersey. Potem, kilka lat później, splamiłam ręce czymś, czego za nic w świecie nie mogłam zmyć. Lady Makbet i jej zbrukane ręce.

W końcu, nim dorosłam, wyruszyłam w podróż. Moje dłonie wciąż jeszcze nosiły ślady blizn po zacięciach od papieru, a skóra była wysuszona po pracy przy książkach. Chociaż już wtedy miałam czyste, bardzo czyste ręce, nadal - przynajmniej podświadomie - wyczuwałam na nich woń zbyt wielu mężczyzn i krwi. Zastanawiacie się zapewne, jakim cudem udało mi się stamtąd wyrwać i dotrzeć aż tutaj?

Obok tacy z opium leżą gęsie pióro i papier, które rankiem przyniosła mi Malti.

Obiecałam sobie jednak, że nim zacznę pisać, wcześniej chwilę się zdrzemnę. Zrobię to po raz ostatni. Myślałam o tym wcześniej, szeptałam do siebie, mówiłam, modliłam się, ale tym razem w ciemności przed nastaniem poranka, siedząc obok łóżka Davida, słuchając jego płytkiego, spokojnego oddechu i głośniejszego posapywania Malti z pryczy w rogu pokoju, poprzysięgłam to sobie na głowę mojego dziecka. Wkradłam się po cichutku, przyklęłam obok niego i złożyłam uroczystą obietnicę, czując pod palcami jego gęste włosy.

Obiecałam sobie, że dzisiaj po raz ostatni pozwolę sobie na sen pod wpływem białego smoka. Obawiam się, że bez jego pomocy powróci stary, dobrze znany koszmar, przed którym od tak dawna próbuję uciec.

Zamykam szczelnie okiennice, zaciemniam pokój i zapalam lampkę. Słyszę szelest - to obudzona ćma zaczyna krążyć wokół nikłego płomyka. Wzniesiony przez nią hałas bardzo mi przeszkadza. Od zbyt dawna palę opium; moje zmysły są napięte do granic możliwości, wibrują przy najlżejszym bodźcu: uderzeniu skrzydełek ćmy, kapnięciu kropli deszczu na dłoń, zbyt zawiłym wzorze na *sari*.

Mak nie jest już w stanie dłużej dawać mi szczęścia, pozwala jedynie dalej wędrować przez życie. Dzisiaj po raz ostatni uapokoi moją rękę i mój umysł, żebym mogła napisać to, co konieczne. Żeby mój syn poznał kiedyś prawdę, chociaż dlatego pominię pewne sprawy. Wam opiszę wszystko - będzie to trochę prawdy, trochę wspomnień, trochę koszmarnych snów - jednym słowem, całe moje życie, które zaczęło się dawno, dawno temu, daleko, daleko stąd.

## Rozdział 1

### *Liverpool 1823*

Zimą, gdy skończyłam jedenaście lat, tata zmusił mnie do prostytucji. Był niezadowolony, że tak mało zarabiam w introligatori, a jego złość podsycił fakt, że sam został wylany z warsztatu powroźniczego za zbyt mocne skręcenie sznura i zmarnowanie konopi.

W deszczowy listopadowy wieczór przyszedł do domu z panem Jacobsem. Myślę, że spotkał go w jednym z szynków, bo gdzież indziej mógł się natknąć na kogoś takiego? Słyszałam, jak tata wciąż powtarza nazwisko swojego towarzysza: pan Jacobs to, pan Jacobs tamto. Albo jeden z nich, albo obaj potknęli się w ciemności i przewrócili kilka mebli. Pamiętam też, że bardzo głośno rozmawiali i wyrwali mnie ze snu. Jak co noc spałam owinięta kocami za skrzynią z węglem. Miejsce to znajdowało się bliżej ognia, było cieplejsze niż reszta pomieszczenia, a ja dodatkowo cieszyłam się, że mam odrobinę prywatności we wspólnym, wynajętym pokoju na drugim piętrze rozpadającego się budynku przy Back Phoebe Anne Street, w pobliżu Vauxhall Road.

- Ona gdzieś tu jest - usłyszałam słowa taty. - Ukrywa się jak mała myszka.

Potem, nim zrozumiałam, co się dzieje, wyciągnął mnie z legowiska na środek niskiego pokoju, oświetlonego płomykiem jednej świecy.

- O ile dobrze pamiętam, mówiłeś, że twoja córka ma jedenaście lat.

Pan Jacobs miał zachrypnięty głos i wyrzucał z siebie słowa z dużą dozą zniecierpliwienia.

- Dobrze panu powiedziałem, panie Jacobs. Przed świętym Michałem skończyła jedenaście lat.

- Jest bardzo mała. W niczym jeszcze nie przypomina kobiety.

- Ale ma wszystko, co potrzeba, sir. Szybko pan to zauważy. Po prostu jest drobniutka, ot co, ale całkiem ładna. Sam się pan przekona - zapewnił tata, odgarniając szorstkimi palcami moje długie włosy i przy-

ciągając mnie do świecy, która stała na środku stołu. - Gdzie pan po raz ostatni widział takie włosy? Złote i błyszczące jak najśłodsza, najdojrzała gruszka. Poza tym, jak już panu mówiłem, jest dziewicą. Będzie pan pierwszy, panie Jacobs. Naprawdę szczęściarz z pana.

Odsunęłam się od niego. Z przerażenia otwierałam i zamykałam usta.

- O czym ty mówisz, tato?

Pan Jacobs wydał mięsistą dolną wargę.

- Skąd mam wiedzieć, czy wraz z nią nie oszukałeś wcześniej przynajmniej setki mężczyzn?

- Przekona się pan, że mówię prawdę, panie Jacobs. Na pewno się pan przekona. Jest ciasna jak pięść umrzyka, zobaczy pan.

Wyrwałam rękę z uchwytu taty.

- Nie możesz mnie do tego zmusić - oświadczyłam, cofając się w stronę drzwi. - Nigdy...

Drogę zagroził mi pan Jacobs. Miał jedynie pierścień siwiejących włosów, a czubek jego głowy błyszczał w migotliwym świetle świecy. Na skaleczonym nosie dostrzegłam odrobinę zaschniętej krwi.

- Ależ z ciebie aktoreczka - zadrwił. - Daruj sobie te sztuczki. Ani ty, ani twój ojciec nic nie dostaniecie, jeśli nie będziesz taka, jak mi obiecano.

Tata jednym susem znalazł się obok mnie, ponownie chwycił mnie za ramię i wciągnął w zacieniony róg pokoju.

- Daj spokój, głupia - nakłaniał mnie. - Wcześniej czy później i tak to musi się zdarzyć. Lepiej, jeśli zdarzy się tutaj, w twoim domu, niż gdzieś w ciemnej bramie, w strugach deszczu. Wiele dziewcząt w ten sposób pomaga rodzinom przetrwać najtrudniejszy okres. Dlaczego ty też nie mogłabyś do czegoś się przydać?

Oczywiście, wiedziałam, że sporo starszych koleżanek z introligatorni - a także z cukrowni, fabryki szkła i porcelany - od czasu do czasu, gdy w domu brakuje pieniędzy, pracuje przez kilka godzin dziennie w ciemnych zaułkach w pobliżu doków, żeby zdobyć parę dodatkowych szylingów. Zawsze jednak uważałam, że jestem inna. Wmawiałam sobie, że nie jestem taka jak one. Że w moich żyłach płynie lepsza krew.



- Daj spokój. On dobrze zapłaci.

Tata zbliżył wargi do mojego ucha. Czułam jego kwaśny oddech.

- Wiesz, że jest nam ciężko, zwłaszcza teraz, kiedy wyrzucili mnie z roboty. Zawsze się o ciebie troszczyłem, teraz pora, żebyś ty wniosła coś więcej niż kilka pensów, które możesz zarobić. To nic strasznego. Sam kurwiłem się na okrętach, gdy byłem niewiele starszy od ciebie, i w niczym mi to nie zaszkodziło.

Ponownie zrobiłam krok do tyłu i zacisnęłam ręce na piersiach.

- Nie, tato. Mama nigdy by nie...

Tata chwycił mnie za ramię i szorstko mną potrząsnął.

- Nie będziemy rozmawiać o twojej mamie.

Słyszając, że pan Jacobs niecierpliwie prychnął, tata zawołał przez ramię:

- Proszę usiąść, sir, na ławie, a ja przemówię córce do rozumu.

Oczywiście, nawet nie próbował dłużej ze mną rozmawiać. Gdy krzyknęłam: „Nie możesz mnie do tego zmusić!” i próbowałam uciec w stronę drzwi — tak mnie walnął w szczękę, że pofrunęłam w stronę ściany. Pamiętam tylko, że uderzyłam policzkiem o zimną, wilgotną podłogę, a potem ogarnęła mnie nieprzenikniona ciemność. Kiedy odzyskałam przytomność, poczułam na twarzy gorący, szybki oddech. Moja nocna koszula owinięta była wokół talii. Ciężkie cielsko pana Jacobsa przygniatało mnie do ławy. Przy każdym jego ruchu moje plecy boleśnie ocierały się o nierówne deski, a czubek głowy uderzał o ścianę. Ból między udami nasilał się przy każdym głośnym burknięciu, dostrzegłam również, że w tym samym rytmie pulsuje błękitna żyła na czole mężczyzny. Była gruba i wyglądała jak wielka dżdżownica. Na górnej wardze pana Jacobsa pojawiły się kropelki potu, chociaż ogień zgasł i w pokoju było zimno jak w grobie.

Gorszy od bólu i przerażenia z powodu tego, co się ze mną działo, był fakt, że tata, na którego spojrzałam, mając nadzieję, iż przyjdzie mi z pomocą, przyglądał się wszystkiemu ze swojego taboretu z wyrazem twarzy, jakiego nigdy wcześniej nie widziałam. Jedną ręką robił coś pod stołem.



Zacisnęłam powieki i leżałam nieruchomo pod panem Jacobsem. Wiedziałam, że powinnam walczyć, ale byłam dziwnie bierna. Moje ciało płonęło od wewnątrz, mimo to umysł uciekł gdzieś daleko od pulsującej żyły pana Jacobsa i przyglądającego się wszystkiemu taty. Nagle usłyszałam słaby, ale wyraźny głos mamy. Recytowała swój ulubiony wiersz, od którego wzięło się moje imię, *Makolągwa w złotej klatce*.

Makolągwa\*<sup>1</sup> w złotej klatce, Makolągwa na gałęzi, Kto może powiedzieć w zimie, Której dopisało szczęście? Lecz gdy drzewo puści liście, Gniazdko widać na gałęzi, Teraz chyba nikt nie wątpi, Której dopisało szczęście.

Trzykrotnie wyrecytowała całość od początku do końca, a gdy zaczęła czwarty raz, pan Jacobs zadrżał, jęknął i opadł na mnie bezwładnie, aż się przestraszyłam, że mnie udusi. Chciałam znów usłyszeć głos matki, ponieważ w trakcie recytacji moje ciało nie odbierało żadnych bodźców, ale panowała cisza, a ja z przerażającą jasnością zdałam sobie sprawę, co się właśnie stało. Zorientowałam się, że mam nieprawdopodobnie szeroko rozsunięte nogi, czułam wilgoć i ból, którego nigdy wcześniej nie znałam ani sobie nie wyobrażałam, przytłaczał mnie trudny do zniesienia ciężar pana Jacobsa. Słyszałam nawet niespokojny płacz niemowlęcia zza ściany i nierówny oddech mego gnębiciela. W nozdrza wwierał mi się odór jego ciała. Tak mocno zaciskałam powieki, że widziałam pod nimi gwiazdy. Wydawało mi się, że czas zatrzymał się w miejscu.

W końcu pan Jacobs poruszył się i zszedł ze mnie. Nawet nie drgnęłam; nadal nie otwierałam oczu, nie interesował mnie szelest zapinanego z powrotem ubrania, wymiana kilku słów, a potem skrzypienie otwieranych i zamykanych drzwi.

Po kilku minutach zacisnęłam kolana, drżącymi palcami obciągnęłam nocną koszulę i nadal nie otwierając oczu, osunęłam się na podłogę, po czym doczołgałam do swojego maleńkiego gniazdka za skrzynią z wę-

---

<sup>1</sup> Makolągwa - ang. Linnet Bird (*przyp. tłum.*).

głem. Słyszałam tylko mamrotanie taty, który liczył brzęczące monety, a potem skwierczenie gaszonej świecy. Położyłam się na boku, opatuliłam kocem, podciągnęłam kolana do piersi i wcisnęłam koszulę w zakrwawione, lepkie miejsce między nogami. Zaczęłam płakać za mamą, która nie żyła już od roku, i za tym, co na zawsze zostało stracone.

Jeszcze tej samej nocy, kiedy przy zapalonej świeczce zmywałam z ud zaschniętą krew i spernę, poprzysięgłam sobie, że nigdy więcej nie będę płakać, niezależnie od tego, jaką krzywdę mogą mi wyrządzić mężczyźni. Wiedziałam, że to mi nic nie da. Absolutnie nic.



## Rozdział 2

Urodziłam się jako Linnet Gow, chociaż więcej osób znało mnie jako Linny Munt. Imię Linny nadała mi moja cicha, romantyczna mama, Frances Gow, zachwycona makolągwą, ptaszyną, która potrafi wyśpiewać dwadzieścia cztery różne dźwięki. Munt to nazwisko mężczyzny, który przygarnął ją cztery miesiące przed moim przyjściem na świat.

Ram Munt, człowiek, który sprzedał mnie, gdy miałam jedenaście lat, i potem zmuszał do prostytucji przez następne dwa lata, wcale nie był moim tatą; nawet nie był moim ojczymem, bo on i mama nigdy nie wzięli ślubu. Był jednak jedynym ojcem, jakiego miałam, chociaż wiem, że nigdy nie uważał mnie za swoją córkę. Byłam dla niego po prostu dzieckiem Frances, ciężarem, dodatkową gębą do wykarmienia.

Ram Munt bardzo lubił opowiadać dwie historie. Pierwsza dotyczyła okresu, który spędził na pokładach żaglowców. Jako kilkunastoletni chłopiec przybył samotnie do Liverpoolu z małej wioski na północy w poszukiwaniu lepszego życia. Został złapany przez bandę opryszków i siłą zaciągnięty na statek, na którym odbył ośmiomiesięczny rejs i poznał życie na morzu od najgorszej strony. Gdy statek wrócił do Liverpoolu i zarzucił w porcie kotwicę, Ram Munt próbował uciec, ale nim opuścił port, został złapany przez inną bandę i ponownie wypłynął w morze. Tym razem był już trochę starszy i silniejszy, dlatego nie dał się zastraszyć. Gdy jego drugi rejs dobiegł końca, miał już morze we krwi. Potem pracował na żaglowcach, póki nie dały mu się za bardzo we znaki obrażenia spowodowane przetaczanymi beczkami, ciężkimi, kołyszącymi się hakami i niespodziewanymi, niefortunnymi upadkami na śliskich deskach; póki nie pojawili się młodsi, silniejsi i sprawniejsi mężczyźni, których armator wolał zatrudniać zamiast niego. Potem Ram pracował w fabryce lin w pobliżu Williamson Square. Pomimo zgrubień na palcach wciąż doskonale radził sobie ze skręcaniem konopi i zwijaniem na szpule gotowych lin, potrafił również bez znużenia powtarzać ten proces przez cały dzień. Nadal posługiwał się wulgarnym marynarskim językiem, a jego plecy nosiły ślady wielu chłost; ręce pachniały mu smołą, w której zanurzał liny, żeby je wzmocnić.

Częściej niż o rejsach Ram Munt opowiadał, jak przygarnął moją matkę. Przeważnie robił to w niedzielne wieczory, po spędzeniu całego popołudnia w szynku albo jakiejś tawernie.

Wyciągał mamę i mnie z łóżka - wołała dzielić pryczę ze mną, chociaż Ram wciąż kilka razy w tygodniu wołał ją do siebie - sadzał nas przy stole i zmuszał do słuchania opowieści o swoim heroizmie, o tym, jak znalazł moją mamę w pewien deszczowy wiosenny wieczór. Dumnie wypinając pierś, mówił, że była przemoczona do suchej nitki i błąkała się po ulicach w strugach deszczu bez pensa przy duszy.

W trakcie opowieści Rama mama siedziała ze zwieszoną głową. Zawsze była bardzo zmęczona po czternastogodzinnej pracy przy introligatorskiej maszynie do szycia w Pinnock Room. Wokół niej zwykle leżały sto-

sy książek, które czekały do oprawy: *England* Goldsmitha, *Questions* Mangnalla, *Spelling* Carpentera i oczywiście ogromna sterta podręczników Pinnocka.

- Nigdy nie należałem do facetów, którzy przechodzą obojętnie obok kobiety w potrzebie - chwalił się Ram. - Przygarnąłem ją, no nie? Wziąłem ją do siebie, zapewniłem strawę i ciepły kąpiel. Owszem, początkowo zadzieriała nosa, ale dość szybko dała się przekonać, że mój dach i łóżko są o wiele lepsze od tego, co ją czeka na ulicy.

Czasami zmieniał szczegóły: w jednej wersji powstrzymał ją przed rzuceniem się w śmierdzące, zimne fale Mersey. Innym razem pokonał bandę dokerów, którzy próbowali ją zgwałcić w cieniu starego cementarskiego wraku, gdzie remontowano niegdyś żaglowce z czasów handlu niewolnikami.

- Po jakimś czasie zgodziłem się nawet, żeby zaczęła używać mojego nazwiska i nie musiała się wstydzić nieślubnego dziecka - ciągnął, patrząc mi w oczy. - Tu się urodziłaś — dodawał zazwyczaj w tym punkcie opowieści, spoglądając na mnie wilkiem, jakbym miała zamiar się z nim sprzeczać. - Nigdy o tym nie zapominaj. Niezależnie od tego, jakie wspomniała bajki opowiada ci twoja matka, urodziłaś się i dorastałaś przy Back Phoebe Anne Street. Od dziecka masz w nozdrzach zapach Mersey i na zawsze zostałaś naznaczona rybą. Nie można pomylić się co do pochodzenia kogoś, kto został naznaczony rybą. Każdy głupiec natychmiast zauważy, że jesteś córką marynarza.

Mówił o małym znamieniu, które miałam na wewnętrznej stronie przedramienia, tuż nad nadgarstkiem: było to maleńkie, owalne wyrzucenie w kolorze porto z dwoma zgrubieniami na jednym końcu. Rzeczywiście musiałam przyznać, że moje znamię przypominało rybę, ale nie wierzyłam, żeby miało coś wspólnego z krążącą w moich żyłach krwią.

Kiedy mężczyzna, którego nazywałam wówczas tatą, wygłaszał nużącą tyradę, siedziałam - podobnie jak matka - w całkowitym bezruchu, ale tylko dlatego, że trzymała na mojej ręce chłodną, wychudzoną dłoń i bezwiednie muskała znamię kciukiem, na którym zawsze miała plamy z

atramentu. Bardzo trudno było mi wysiedzieć w milczeniu i nie sądzić, żeby miało to coś wspólnego z moim wiekiem. Chociaż byłam mała, wiedziałam, że mama nie ma już siły, by bronić się przed nim czy kimkolwiek innym; nie mogłam tego zrozumieć, ona jednak zaakceptowała Rama Munta i jego obcesowy sposób bycia. Wstydziałam się za nią i odkąd sięgam pamięcią, szczerze go nienawidziłam.

Podczas słuchania bajki Rama ciężko dyszałam i walczyłam z wściekłością, tymczasem twarz matki nie wyrażała niczego. Czy zawsze była taka uległa? Od czasu do czasu próbowała nawet mnie skłonić, żebym mu współczuła, tłumacząc, że gdy był chłopcem, wyrządzono mu na statkach ogromną krzywdę.

„Codziennie go bito, a mężczyźni wykorzystywali go seksualnie, ilekroć przyszła im na to ochota - mawiała. - Przez to stał się twardy”.

- Spróbuj wyobrazić go sobie jako małego chłopca o imieniu Ramsey - powiedziała pewnego razu.

Niestety, nie mogłam. Nigdy nie przestawałam go nienawidzić za to, jak ją traktował.

Kiedy cotygodniowa tyrada dobiegała końca i Ram chwiejnym krokiem wędrował do łóżka, obejmowałam mamę.

- Nie przejmuj się nim - szeptałam. - Opowiedz mi jeszcze raz o Rodney Street.

Teraz przychodziła pora na pięć minut mamy i jej opowieść. Z bladym uśmiechem na ustach któryś już raz opowiadała mi swoją ulubioną baśń o tym, jak po przybyciu z Edynburga do Liverpoolu pracowała w charakterze pokojówki. Zdradzała mi szczegóły swojego romansu z eleganckim młodym mężczyzną, który spędził deszczowy grudzień we wspaniałym gregoriańskim domu przy Rodney Street. Matka zapewniała mnie, że był człowiekiem szlachetnie urodzonym: miał piękne rysy twarzy i delikatne ręce, trzymał prosto plecy, a jego maniery i sposób wysławiania się sprawiały, że płakała na samo wspomnienie o nim. Tłumaczyła, że chociaż zna jego nazwisko, nigdy mi go nie poda. Kiedy wizyta ukochanego mamy dobiegła końca i musiał wyjechać z Liverpoolu, obiecał, że wróci po nią przed Matką Boską Gromniczną, a najpóźniej pod koniec marca,

przed dniem Zwiastowania. W maju wybierał się do Ameryki i miał zamiar zabrać ze sobą moją mamę. Do Ameryki - powtarzała.

Z rozpromienioną twarzą mama na chwilę zagłębiała się w swoich myślach i wspomnieniach. Niestety, jej opowieść nie miała szczęśliwego zakończenia. Elegancki młody mężczyzna nigdy nie wrócił na Rodney Street, a po jakimś czasie wszyscy zauważyli, że Frances Gow wpakowała się w niezłe tarapaty. Została bezceremonialnie, w hańbie zwolniona - oczywiście, bez referencji, które mogłyby zapewnić jej następną pracę. Trzy tygodnie później, zdesperowana i pozbawiona środków do życia, błąkała się po ulicach Liverpoolu. Wtedy to Ram Munt zaproponował jej dach nad głową.

- Naprawdę nie miałam wyboru, Linny, żadnego wyboru -kończyła niezmiennie swoją opowieść. - Próbowałam znaleźć twojego ojca. Wielokrotnie wracałam pod dom przy Rodney Street, stałam ukryta w cieniu po przeciwnej stronie i czekałam, czy się przypadkiem nie pojawi. Przecież nie wiedział, gdzie mnie szukać. Kiedy już cię urodziłam, pewnego razu udało mi się pogadać z dziewczętami kuchennymi, ale zaklinały się, że nigdy więcej go nie widziały. Co jeszcze mogłam zrobić, Linny? Nigdy się nie dowiedział o twoim istnieniu. Gdyby wiedział, na pewno ożeniłby się ze mną. Wiem o tym - zapewniała mnie mama - bo naprawdę bardzo mnie kochał. Nie widziałam Innego wyjścia, więc zrobiłam to, co konieczne.

Spoglądała na tatę, który leżał rozwalony, twarzą do pościeli, i głośno chrapał.

Co kilka miesięcy przeglądała zawartość rzeźbionej drewnianej szkatułki, którą ukrywała w głębi kredensu. Było w niej okrągłe lustro ze spodem z pozłacanego brązu, tomik Words-wortha z *The Green Linnet* - wierszem o moim imieniu - i złoty wisior w kształcie serca. Na wisiorze był ptaszek z maleńkich perełek - mama twierdziła, że to makolągwa. W dziobie trzymała gałązkę z kilku maleńkich kamyczków, zdaniem mamy - szmaragdów, według Rama Munta - zwyczajnych szkiełek.

- Wszystko to dostałam od twojego ojca. Lustro, ponieważ, jak mówił, lubił patrzeć na moją twarz. Książkę, bo uwielbiał słuchać, jak



czytam^ Wisiolek miał symbolizować jego serce, które należało do mnie - wyjaśniła, pocierając palcami błyszczącą powierzchnię. - Pewnego dnia będą należeć do ciebie, Linny. Dzięki nim łatwiej zapamiętasz, że chociaż masz w nozdrzach zapach Mersey, w twoich żyłach płynie szlachetna krew.

Zawsze potakiwałam, a na mojej twarzy pojawiał się promienny uśmiech. Wielokrotnie wysłuchiwałam opowieści mamy, aż do dnia, kiedy umarła szybko i cicho, pokonana przez potworną gorączkę, która pochłonęła jej już i tak drobniutkie ciało. Miałam wtedy dziesięć lat. Od ukończenia szóstego roku życia pracowałam u jej boku w introligatorni. Zaczynałam od układania ogromnych stosów kartek z drukarni i zanoszenia ich na ogromne stoły, na których je składano. Kiedy falcownicy pozginali kartki za pomocą małych noży z kości słoniowej, składano książki w całość i zabierano je do szycia. Mama pracowała przy introligatorskiej maszynie i za pomocą tego zabawnego urządzenia łączyła kartki. Potrafiła zeszyć dwa albo trzy tysiące kartek dziennie. Tuż przed jej śmiercią przeniesiono mnie do falcowni, dostałam nawet własny nóż z kości. Gdyby wszystko szło zgodnie z planem, przed ukończeniem czternastego roku życia zaczęłabym zszywać książki.

W ciągu pierwszego roku po śmierci mamy co niedziela odwiedzałam jej skromny grób w niżej położonej części cmentarza przy tak zwanym kościele Żeglarzy. Zdobył sobie laką nazwę, bo u podnóża Chapel Street płynęła Mersey. W rzeczywistości był to kościół parafialny Najświętszej Marii Panny i Świętego Mikołaja. Zazwyczaj przez jakiś czas stałam nad grobem, ukryta wśród wilgotnych, zarośniętych pokrzywami nagrobków i krzyży biedaków, wodząc palcami po wyrzeźbionych płytko w zwyczajnym drewnianym krzyżu literach, które tworzyły jej imię i nazwisko: Frances Gow. Nigdy nie zapomniałam, że tata pożalował pieniędzy na dzwony podczas jej pogrzebu, dlatego została pochowana po cichutku, jak nędzarka. Przyszło kilka koleżanek z introligatorni i paru sąsiadów. Postali chwilę nad mogiłą i rozeszli się. Po uroczystości nie było dla nich nawet filiżanki herbaty.



Mama zasługiwała na coś więcej, dlatego co niedziela na nowo pod-  
sycalam swoją nienawiść do taty, przypominając sobie, że nawet po  
śmierci nie potraktował jej jak należy.

Podczas jednej z wizyt w ponure, deszczowe popołudnie z bliska  
przyglądał mi się wielki czarny ptak, grzebiąc wstrętnym dziobem w mi-  
zernej trawie. Ujrzałam pomarańczowe, nieruchome oko i zadrżałam.  
Kiedy ptak wzbił się w przestworza, a w powietrzu rozległ się łopot  
skrzydeł, postanowiłam, że spróbuję odnaleźć swojego prawdziwego oj-  
ca. Z pewnością było to dziecięce marzenie, ale często marzenia się speł-  
niają. Poszłam na północ miasta, dalej niż kiedykolwiek w życiu byłam,  
aż do Mount Pleasant, i dzięki pomocy ludzi znalazłam w końcu Rodney  
Street.

Leżała bardzo daleko od Back Phoebe Anne Street, ale potem często -  
jeśli tylko dopisała pogoda - spacerowałam w niedzielę tam i z powrotem  
po najelegantszej ulicy Liverpoolu, spoglądając na gregoriańskie rezy-  
dencje i podziwiając balkony z kutymi żelaznymi balustradami. Zauwa-  
żyłam, że moje rówieśnice wyglądają tu zupełnie inaczej. Na Vauxhall  
Road niczym nie różniłam się od pozostałych dziewcząt, zwłaszcza że tak  
jak one chodziłam w zbyt krótkiej, połatanej i poplamionej sukience,  
zdartych butach i wyświechtanym szalu. Dziewczynki na Rodney Street  
nosiły piękne sukienki i aksamitne pelerynki. Miały czyste i niecerowane  
pończochy; ich buty lśniły, a czasami miały nawet srebrne sprzączki. Wi-  
działam satynowe wstążki w ich włosach, podziwiałam czystą skórę i  
promienne oczy, które spoglądały prosto na mnie. Byłam nikim, biedną  
dziewczynką z dzielnicy portowej. Nikt ze mną nie rozmawiał, tylko raz  
pewna tęga matrona, która przechodziła obok mnie, gdy stałam i spoglą-  
dałam na jeden z eleganckich domów, fuknęła ostro:

- Idź stąd, dziewczynko. To porządna ulica. Nie potrzebujemy tu ta-  
kich jak ty.

Zignorowałam ją. Nie przejmowałam się, co mogą o mnie myśleć  
mieszkańcy Mount Pleasant. Bacznie przyglądałam się każdemu męż-  
czyźnie - nieważne, czy szedł ulicą, czy jechał na koniu, czy widziałam  
go przez okno błyszczącego, krytego powozu jednokonnego, czy faetonu

z dużymi kołami. Szukałam kogoś o jasnych włosach i oczach ze złocistymi plamkami, kogoś podobnego do mnie.

Wiedziałam, jak powinien wyglądać mój ojciec, bo jego dokładny wizerunek miałam przed oczami na podstawie opowieści mamy.

Gdy kolejne bezowocne niedzielne popołudnie dobiegało końca, wracałam do biedniejszej części miasta. Im mniejsze i ciaśniej zbite były domy, tym mocniej odczuwałam policzek, jaki wymierzało mi życie. To odczucie było tak samo wyraźne jak ból pięt obtartych do krwi przez zbyt małe botki z lombardu.

Wierzyłam, że moja matka była pokojówką: przecież umiała czytać i pisać! Miała łagodny głos i pięknie się wyrażała, w czym nawet nie przeszkadzał jej lekko wyczuwalny szkocki akcent. Poza tym wiedziała, jak należy się zachowywać: upierała się, żebym nawet przy najskromniejszych posiłkach siedziała prosto i trzymała na kolanach czystą serwetkę, uczyła mnie, jak trzymać nóż i widelec, jak odcinać małe kawałeczki, wszystko gryźć powoli i rozmawiać przy stole tylko o miłych rzeczach. Uczyła mnie czytania, a nawet przy każdej wypłacie kupowała mi za kilka pensów w biurze introligatorni wybrakowane egzemplarze podręczników Pinnocka. Za wadliwą książkę wartą sześć pensów płaciła pół pensa - wystarczyło na przykład, że kilka stron wszyto w niej do góry nogami albo miała zniszczoną okładkę. To była nasza tajemnica. Tata nigdy nie pozwoliłby wydać pieniędzy na coś tak głupiego jak książki. Trzymałam je ukryte pod pryczą i czytałam przed zaśnięciem, kiedy mama już spała, a taty jeszcze nie było w domu.

Uwielbiałam książeczki z serii *Friend to Youth*. Były tam pytania i odpowiedzi na różne tematy, od historii po handel, geografę i poezję. Oczywiście, nie mogłam być wybredna: pewnego razu przez dwa tygodnie studiowałam *Podręcznik mechaniki: proste wprowadzenie do znajomości maszyn*.

Mama nauczyła mnie również patrzeć ludziom prosto w twarz, kiedy się z nimi rozmawia, i zawsze mnie poprawiała. Tłumaczyła, że jeśli będę się wysławiać jak ludzie na ulicy i w fabrykach, nigdy nie uda mi się zmienić swego losu.

- Musisz się stąd wyrwać, Linny - mawiała. - Istnieje coś więcej niż nasza ulica i praca. Chcę, żebyś o tym wiedziała.

Tata śmiał się z niej; pytał, co ma na myśli, mówiąc o wyrwaniu się stąd. Na co dla mnie liczy? Czyżby wyobrażała sobie, że zostanę kiedyś pokojówką?

- Zostanie w introligatorni razem z tobą. To porządny zakład. Potem wyjdzie za mąż i wtedy już nie będę musiał jej karmić. Niech ktoś inny martwi się o zapewnienie jej pożywienia.

Mama nigdy jednak nie przestawała planować. Bez przerwy przypominała mi, że znalazła się tu tylko przez przypadek, a ja za wszelką cenę muszę się stąd wyrwać. Czasami odnosiłam wrażenie, że jest szczęśliwa tylko wtedy, gdy myśli o lepszym życiu dla mnie.

- Gdyby tylko Linny miała szansę, mogłaby zostać guwernantką. Ładnie czyta. Byłaby doskonałą guwernantką - powiedziała pewnego wieczoru przy kolacji. - Gdyby miała odpowiednie ubranie, mogłaby za pośrednictwem kościoła zostać odesłana do odpowiednich ludzi. Nikt nigdy nie musiałby wiedzieć, że dorastała w pobliżu Vauxhall Road. Ma piękny akcent. Można by powiedzieć, że pochodzi ze Szkocji. Nikt nigdy nie musiałby znać jej pochodzenia...

Głos jej się załamał. Miała czoło zroszone potem. Często podczas posiłków, które składały się z gotowanych ziemniaków okraszonych kawałeczkami bekonu, nagle przykładła rękę do czoła, a potem odsuwała ją i ze zdumieniem spoglądała na swoje palce.

- Gdyby tylko miała szansę - powtórzyła, a niezwykle rumieniec na jej policzkach wyraźnie pociemniał - mogłabym być z niej naprawdę dumna.

W oczach mamy pojawił się niebezpieczny błysk. Interpretując go jako przejaw śmiałości, zdobyłam się na odwagę i powiedziałam coś, czego nigdy wcześniej nie mówiłam w obecności Rama Munta.

- Wiem, co chciałabym robić - oznajmiłam.

Mama odwróciła się w moją stronę, a na jej ustach pojawił się wymuszony uśmiech. Z pewnością oczekiwała, że się z nią zgodzę, chociaż

obie wiedziałyśmy, że dziewczynka z biednej dzielnicy Liverpoolu nigdy nie zostanie guwernantką.

- Chciałabym ozdabiać książki w drukarni. Dziwny uśmiech zniknął.

- To znaczy?

- Chciałabym pracować przy wykańczaniu książek, tak jak pan Broughton w Extra Finishing Shop.

Twarz matki spochmurniała.

- Kiedy byłaś na trzecim piętrze?

- Nadzorca często wysyłał mnie z wiadomościami dla pana Broughtona. Tam są takie piękne rzeczy. - Rozmarzyłam się na to wspomnienie. - Widziałam, jak okładał książkę złotą blaszką, a potem wygniatał w niej litery rozgrzanymi narzędziami. Miał tyle różnych przyrządów: koła, ślimacznice, romby i wszystkie litery. Poza tym pan Broughton może wykonać każdy wzór, który przyjdzie mu do głowy, przyciskając rozgrzane kształty i litery. Och, tylko pomyśl! Tworzyć takie cudów...

Urwałam, widząc zawód na twarzy matki i słysząc prychnięcie Rama.

- Ależ to nie jest praca dla kobiety - oświadczyła mama. - Żadna kobieta nigdy nie będzie tego robić. Wiesz, że w wykańczalni uczniami mogą być tylko chłopcy. Tak, tylko mężczyźni są wystarczająco bystrzy, żeby pracować w Extra Finishing. Skąd ci to przyszło do głowy?

Nie mogłam się przyznać, że pan Broughton pozwolił mi kilkakrotnie na eksperymenty. Moczyłam welin, kolorowałam inicjały, nawet wygniatałam narzędziami różne wzorki w zniszczonym kawałku cielejącej skóry. Pan Broughton sprawiał wrażenie tak samo jak ja zadowolonego z naszej potajemnej zabawy - szybko podsuwał mi to czy tamto, co chwila oglądając się przez ramię.

Prychnięcie taty zamieniło się w śmiech. Śmiał się co najmniej minutę, a potem, kiedy wytarł oczy, powiedział, że bym zrobiła to, do czego najlepiej się nadaję, czyli nałożyła mu na miskę następną porcję ziemniaków, i nigdy więcej nie wracała do tak śmiesznych pomysłów, jak praca guwernantki czy wykańczanie książek.

Tego samego wieczoru gorączka, która dręczyła mamę przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny, jeszcze się podniosła.

W niespełna rok po jej śmierci tata przyprowadził do domu panajacobsa.

### Rozdział 3

Po wizycie panajacobsa Ram pilnował, żebym zawsze miała co robić. Nigdy więcej nie powiedziałam do niego „tato”; w ogóle rzadko się do niego odzywałam, a jeśli już to robiłam, zwracałam się do niego po imieniu. Ram nie mógł regularnie przyprowadzać klientów do naszego pokoju na drugim piętrze. Obawiał się, że jeśli właściciel odkryje, co dzieje się pod jego dachem, wyrzuci nas albo, co gorsza, zażąda części dochodu. Dlatego, gdy wracałam do domu po dziesięciogodzinnej pracy w introli-gatorni, Ram zmuszał mnie, żebym przebrła poplamioną sukienkę, w której chodziłam do pracy, i ubierała się w czystą, dziecięcą sukieneczkę oraz bezrękawnik, które kupił w lombardzie. Zaplatałam warkocz, wkładałam na głowę otrzymany również od niego słomkowy kapelusik z błękitnymi wstążeczkami, po czym prowadził mnie do klientów.

Nigdy nie wiedziałam, jak ich znajdował. Zawsze byli starzy - albo przynajmniej wyglądali na starych. Co więcej, lubili dzieci. Podobała im się drobniutka, subtelna dziewczynka, jaką wówczas byłam; zachwycali się mną, gdy pojawiałam się w drzwiach ich hotelu, mieszkania albo pensjonatu, trzymana za rękę przez niskiego, korpulentnego prostaka. Moi klienci bardzo się między sobą różnili. Większość ich przyjeżdżała do Liverpoolu w interesach z Londynu, Manchesteru, ze Szkocji, a nawet Irlandii. Zdarzało się, że bywali grubiańscy, częściej jednak miałam do czynienia z miłymi mężczyznami. Niektórzy długo, bardzo długo nie

mogli osiągnąć satysfakcji, inni kończyli niemal w chwili, kiedy unosila sukienkę i siadałam na skraju ich łóżka albo opierałam się o stół.

Od czasu do czasu zdarzało się, że jednego wieczoru odwiedzałam dwóch różnych mężczyzn i każdemu z nich poświęcałam godzinę. Gdy ich czas dobiegał końca, Ram niezmiennie czekał, żeby odebrać należne pieniądze. Miałam również stałych klientów, którzy płacili za cały wieczór. Należeli do nich pan Poniedziałek, pan Środa i pan Czwartek. Wszystkich trzech bardzo lubiłam, bo byli dla mnie mili, zwłaszcza że woleli widzieć uśmiech dziecka niż jego płacz. Wiedziałam, czego mogę od nich oczekiwać, a przy okazji dowiedziałam się sporo o sobie.

Pan Poniedziałek uparcie nazywał mnie Ofelią i kiedy dał już upust swojemu pożądaniu, niezmiennie płakał; obdarowywał mnie cukierkami i czule głaskał po włosach. Często opowiadał o Szekspirze, cytował fragmenty jego sztuk i sonetów. Pan Poniedziałek twierdził, że sam też - podobnie jak Szekspir - jest dramaturgiem, tylko nie udaje mu się zdobyć uznania. Kiedy zaczęło mu zależeć, żeby najbliżsi poważnie potraktowali jego pracę, żona po prostu go zostawiła, zabierając ze sobą ich córeczkę. W tym miejscu jego opowieści cichy płacz zamieniał się w głośny szloch. Pan Poniedziałek potrząsał głową i spoglądał na mnie z pomiętej pościeli, jakby martwiło go, że jestem tak blisko, chociaż jednocześnie ule umiał trzymać się ode mnie z daleka.

- Moje niewiniątko - mawiał, wykręcając ręce. - Jesteś taka czysta, a jednocześnie pragniesz poznać tajemnice życia. Chcesz zrozumieć wszystko, co się dzieje wokół ciebie, prawda?

Pan Środa lubił patrzeć, jak się kąpie, dlatego u niego zawsze czekała na mnie miedziana balia wypełnioną ciepłą wodą, którą stawiał przed kominkiem. Kiedy dokładnie się wyszorowałam i wymyłam włosy mydłem o słodkim zapachu lawendy (co tydzień przynosił nową kostkę, a użytą pozwalał mi zabrać do domu), wycierał mnie grubymi, miękkimi ręcznikami i zanosił do łóżka. Przyjemność sprawiało mu patrzenie na mnie i przypadkowe dotyknięcie mojej skóry. Nie wiem, czy nie był w stanie się kochać, czy wstydził się czegoś, co ukrywał pod starannie pozapinanym ubraniem, nie miałam jednak nic przeciwko temu, że mogę się



przespać. Przeważnie ulegałam pokusie: trudno było nie zasnąć po całym dniu pracy, po którym czekała na mnie ciepła kąpiel, miękkie łóżko i niewinne pieszczoty delikatnych rąk. Niechętnie opuszczałam pana Środę, gdy słyszałam pukanie Rama.

Moim ulubieńcem był pan Czwartek. Uwielbiał mnie karmić, a po krótkim pobycie w jego pokoju w pięknym hotelu w pobliżu Lord Street niezmiennie zabierał mnie na parter do restauracji, gdzie błyszczały kandelabry, srebrne tace i wypolerowane jak lustra talerze. Na ścianach wyłożonych srebrnobłękitną tapetą wisiały piękne obrazy. Były tam też wysokie okna, w których odbijał się czerwonawy blask z ogromnych kominków. Kelnerzy podawali wystawne dania i mnóstwo drinków.

Podczas posiłków w hotelu pan Czwartek odgrywał rolę mojego „wujka Horace'a". Czy ludzie, którzy siedzieli przy ogromnym stoliku we frontowej części lokalu, albo kelnerzy, którzy przynosili czyste obrusy i tace z jedzeniem, naprawdę wierzyli, że jestem jego bratanicą? A może przymykali oko na prawdę, z uprzejmym uśmiechem na ustach akceptując kłamstwo, służalczo przynosząc talerze i ochoczo przyjmując monety, które wciskał im do ręki wuj Horace?

Wuj Horace miał ogromne brzuszysko. Chociaż łatwo i szybko zaspokajał swoje potrzeby w pokoju, czasami odnosiłam wrażenie, że nigdy nie jest w stanie zaspokoić swego apetytu. Zamawiał ogromną ilość dań, w tym szczególne smakołyki specjalnie dla mnie: kapłony ze złocistą, chrupiącą skórką, płastugę w sosie ostrygowym, puree ziemniaczane ułożone w złocistobrazowe kupki. Fundował mi również słodkie porto. Nie przepadałam za alkoholem, ale podobał mi się ciemnorubinowy kolor, w którym odbijał się ogień. Wuj Horace zawsze prosił o stół przy kominku.

Gdy byłam w eleganckiej, wysokiej sali, w której pachniało pieczonym mięsem, karmelem, pomadą do włosów, wodą koloriską, bogactwem i pewnością siebie, obserwowałam innych gości i starałam się jak najwięcej nauczyć. Interesowało mnie, jak poruszają się i żyją przedstawiciele wyższych sfer. Bacznie przyglądałam się damom przy innych stolikach, ich strojom, dystyngowanym ruchom, gdy ostrożnie wycierały usta w ciężkie serwetki z adamaszku, wsłuchiwałam się w ich śmiech,



który brzmiał jak muzyka. Zapamiętywałam ich sposób wyrażania się i wymowę, która - jak już teraz wiedziałam - była o wiele ładniejsza od wymowy mojej matki. Bez trudu udawałam, że słucham wuja Horace'a, który opowiadał o swoich interesach, bogactwie i pięknym domu w Dublinie. Dowiadywałam się wszystkiego o jego dzieciństwie w rolniczej Irlandii, zdradził mi nawet, że w niedzielne popołudnia wykradał się z chłopcami stajennymi, żeby oglądać *hurling*, irlandzką grę, która przypomina hokeja na trawie. Wyjaśnił mi, że zaczął dużo jeść, by zapęłnić dojmującą pustkę, gdy rodzice czasami nawet na rok zostawiali go ze służbą w domu, a sami podróżowali po świecie. Często dostawałam od niego ciasteczka z rodzynkami - jego ulubiony smakołyk. Piekła je stara kucharka, która raczyła go nimi w dzieciństwie i wciąż mieszkała z wujem w jego domu w Dublinie. Zazwyczaj zawijał cias loczka w jedną ze swoich eleganckich lnianych chusteczek do nosa i nakłaniał mnie, żebym koniecznie zabrała je do domu.

- Jesteś naprawdę taka głodna, czy tylko udajesz? - spytał mnie pewnego razu, gdy szybko, ale elegancko wyssałam ostrygę z muszli. - Może jesz tak chętnie, bo widzisz, że sprawia mi to przyjemność?

Dotknęłam ust serwetką, potem położyłam dłonie na kolanach i starałam się bardzo ostrożnie dobrać słowa. Czy kiedykolwiek był naprawdę głodny? Czy wie, że zanim Ram mnie do niego przyprowadził, przez cały dzień pracowałam w introligatorni, a potem miałam tak potworne skurcze rąk, że czułam, jakby ktoś wetknął kamyki pod skórę na moich dłoniach? Czy zdaje sobie sprawę, że w środku dnia miałam jedynie piętnaście minut na odwiedzenie wygodki i pochłonięcie zabranej z domu kanapki z serem?

- Jestem naprawdę głodna, wujku - zapewniłam. - Zresztą czy można nie odczuwać głodu, kiedy ma się przed sobą takie jedzenie i siedzi się w tak miłym towarzystwie?

Baczenie mi się przyjrzał.

- Zdaje sobie sprawę, że jesteś niedożywiona, ale jest jeszcze inny rodzaj głodu, Linny: głód wiedzy, głód zrozumienia. Dostrzegam to na twojej twarzy.

Uniosłam alkohol do ust i zamoczyłam wargi w karmazynowym płynie, a potem odstawiłam kieliszek na śnieżnobiały obrus.

- To możliwe - odparłam. - A może to tęsknota za bratnią duszą?

Powtarzałam słowo w słowo kwestię, którą zaledwie kilka sekund wcześniej powiedział anemiczny młody człowiek za moimi plecami. Nie miałam pojęcia, co to znaczy, chociaż -oczywiście - wiedziałam, czym jest dusza, i nadal regularnie chodziłam na niedzielne msze do kościoła Najświętszej Marii Panny i Świętego Mikołaja.

Wybuchnął śmiechem. Miał włosy wilgotne od potu, pomada roztopiała się i spływała mu po szyi, a jego okrągła twarz poczerwieniała pod wpływem porto i brandy.

- Muszę przyznać, że jesteś sprytną flirciarką. No, popisz się swoim irlandzkim akcentem, bo dziś wieczorem tęsknię trochę za domem.

Bez trudu imitując irlandzki akcent, wyrecytowałam mu wiersz, a potem opowiedziałam jakąś głupią ploteczkę towarzyską, którą gdzieś podsłuchałam.

Przytaknął, uśmiechnął się od ucha do ucha i potrząsnął głową, jakby był szczerze zdumiony.

- Jesteś cudowna, wiesz? Tak, to był czysty Dublin. Zupełnie jakbyś od dziecka spędzała czas na popijaniu herbaty przy Grafton Street.

Potem wezwał kelnera i zamówił dla mnie gruszki ze śmietaną, a dla siebie pudding i brandy. Nie wracał już więcej do nużącej rozmowy.

Brakowało mi czasu na kontakty z moimi starymi przyjaciółkami: Minnie i Jane, z którymi pracowałam w introliigatorni. Minnie była o rok starsza ode mnie, Jane o rok młodsza. Dawniej często wychodziłyśmy razem, cztery godziny wcześniej niż nasze matki, i w drodze powrotnej do domu długo błąkałyśmy się po ulicach, rozmawiając o eleganckich kapeluszach i ozdobionych paciorkami torebkach, które kiedyś będziemy miały, albo co uważamy za najlepszy posiłek na świecie. Czasami jak prawdziwe przyjaciółki trzymałyśmy się za ręce.

Teraz nie miałam czasu na przyjaźń: musiałam biec z pracy prosto do domu, żeby przygotować skromny obiad, zjeść go i przebrać się, nim Ram gdzieś mnie zaprowadzi. Minnie i Jane przyjęły moje wyjaśnienia,

że muszę nakarmić ojczyrna, bo inaczej oberwę po twarzy, i nadal często się do mnie uśmiechały, ale bardzo brakowało mi ich towarzystwa.

Tęskniłam też za rozmowami w gronie sąsiadek. Zazwyczaj wieczorami, gdy była ładna pogoda, stałyśmy z mamą na podwórku razem z innymi kobietami i dziewczętami, które mieszkały przy Back Phoebe Anne Street. Trzymałam się przeważnie boku mamy, która podczas owych spotkań często coś cerowała albo szyła. Inne kobiety trzymały albo karmiły niemowlęta lub cerowały jak mama. Wszystkie razem pilnowałyśmy młodszych dzieci, które bawiły się skakanką, grały w klasy albo chłopka. Słuchałam sąsiedzkich plotek - kogo widziano z kim, czyją kłótnię słyszano przez ściany, czyje niemowlę chorowało i czyj dziadek umiera. Chociaż pozostałe kobiety nie były tak subtelne jak moja mama, przeważnie brakowało im zębów i przez cały czas trzymały w ustach tytoń do żucia, miło było opierać się o ściany i przed pójściem do łóżka spędzić pół godziny w sympatycznym gronie.

Teraz, idąc z Ramem, mijałam sąsiadki z opuszczoną głową, pewna, że wiedzą, dokąd się udaję. Często słyszałam szepty i pomruki, wiedziałam, że jestem stałym tematem plotek, chociaż nikt nigdy nie wystąpił z tłumem, żeby ze mną porozmawiać lub spytać, jak się miewam. Wiedziały, jak wygląda rzeczywistość.

Myślę, że Obrończynie Dobrych Obyczajów musiały usłyszeć o mnie od Mae Seat, która mieszkała w suterenie po przeciwnej stronie ulicy. Mae zawsze bardzo lubiła moją mamę, często przytulała ją i pocieszała, gdy ta miała opuchniętą wargę albo podbite oko. Sześć miesięcy przed śmiercią mamy Mae Seat pochowała trzeciego męża. Miała szóstkę dzieci i zaklinała się, że już nigdy nie da się dotknąć żadnemu mężczyźnie. Zawsze mówiła, że Bóg pobłogosławił ją samymi synami. Trzej starsi chłopcy przynosili do domu chleb i kawę, które stanowiły chyba podstawę wyżywienia całej rodziny.

Często kątem oka dostrzegałam, że Mae Seat bacznie mnie obserwuje, gdy spiesznie idę za Ramem. Trzymała na brzuchu grube, odsłonięte ręce - niezależnie od pogody nigdy nie nosiła szala - i spoglądała w moją stro-

nę. Pewnego razu usłyszałam, jak krzyknęła: „To okropne! To po prostu okropne!”

Nic więc dziwnego, że gdy pewnego ciepłego jesiennego wieczoru do naszych drzwi zapukała elegancko ubrana kobieta, założyłam, iż przysłała ją Mae Seat.

- Jesteś Linny Munt?

Przytaknęłam, czując przyspieszone bicie serca. Nikt nigdy wcześniej nie stanął w naszych drzwiach i nie pytał o mnie. Miałam jeszcze na sobie poplamioną sukienkę z introligatorni; właśnie skończyliśmy jeść i nie zdążyłam się przebrać do wieczornej pracy.

- Jestem panna Poll z koła Obrońców Dobrych Obyczajów. Mogę wejść i porozmawiać? - spytała.

Stała wyprostowana jak patyk w ciemnym, śmierdzącym korytarzu za naszymi drzwiami.

Nie uchyliłam szerzej drzwi, jedynie obejrzałam się przez ramię, czekając na odpowiedź Rama. Siedział na łóżku i wpatrywał się w ogień, jakby nie słyszał pukania ani niskiego głosu.

Kiedy nie zaprotestował, cofnęłam się i wpuściłam kobietę do środka. Ubrana była bardzo oficjalnie: na głowie miała granatowy kapelusik, a na nieco jaśniejszą niebieską batystową suknię zarzuciła popelinowy spencer. Pomimo prostego kroju krótkiego kaftanika i sukni wszystko uszyte zostało z materiałów najwyższej jakości. Zamiast torebki panna Poll miała dużą płócienną torbę ze sznurkiem.

- Jak się miewasz, Linny? - spytała.

Kiwnęłam głową i wykręciłam ręce. Nagle ogarnął mnie strach, chociaż głos nieznajomej brzmiał miło. Miała granatowe bawełniane rękawiczki. Nie wiem dlaczego, przyszło mi na myśl, że jest wystarczająco mądra, żeby przychodząc na Vauxhall Road, nie wkładać białych.

- Ile masz lat? Dziesięć?

- Właśnie skończyłam dwanaście - powiedziałam niemal szeptem.

Nie wiem, czego się bałam; może tego, że zabierze mnie na oddział dziecięcy do przytułku. Słyszałam o przytułku okropne rzeczy.

Sprawiała wrażenie zaskoczonych.

- Dwanaście? Hmm. Przyszłam przekazać ci pewne informacje. To jest twój ojciec, tak?

Spojrzała za mnie, na Rama, który nadal nie poruszył się ani nie odezwał.

Znów przytaknęłam.

- Witam pana, panie Munt! - zawołała.

Ram odpowiedział burknięciem, potem wstał z ławy.

- Skąd zna pani nasze nazwisko? Kto panią nasłał?

- Zapewniam pana, panie Munt, że nie mam zamiaru uprawiać żadnych problemów. Sprawdzam warunki, w jakich żyją dzieci w najbliższej okolicy.

Powoli wypuściłam powietrze z płuc. Wyglądało na to, że nie miała zamiaru mnie stąd zabierać.

- Warunki? Co to ma znaczyć? - spytał Ram.

Panna Poll oblizwała wargi. Zauważyłam kropelki potu na jej skroniach.

- Dowiaduję się, czy są zdrowe. Zachęcam je, żeby wzięły udział w Godzinie dla Dzieci w niedzielne popołudnia w naszym kościele. Mam coś, co może chciałabyś obejrzeć - powiedziała, sięgając do płóciennego worka i wyjmując złożone kartki. - Są tu ładne rysunki.

Gdy sięgałam po broszurkę, zauważyła mój posiniaczony nadgarstek: kilka dni wcześniej jeden z klientów dość szorstko się ze mną obszedł.

- Co sobie zrobiłaś, kochanie? - spytała, zerkając na Rama. Przykryłam nadgarstek drugą ręką.

- Nie... nie pamiętam.

Spojrzałam jej jednak prosto w oczy, chcąc, żeby zrozumiała, iż nie mogę, nie mam odwagi powiedzieć prawdy. Jeśli to zrobię, Ram mnie ukarze.

- Czy ktoś się nad tobą znęca? - spytała, chociaż teraz wyraźnie zwracała się do Rama, nie do mnie.

„Tak, tak!” - chciałam krzyknąć. „Niech pani tylko na mnie spojrzy. Łatwo się pani domyśli, do czego Ram zmusza mnie każdego wieczoru”.

- Obrywa tylko wtedy - oświadczył ponuro Ram - kiedy na to zasługuje, gdy, na przykład, nie zrobi szybko tego, co do niej należy. O ile wiem, to na ojcu spoczywa obowiązek odpowiedniego wychowania córki.

Panna Poll przytaknęła. Chociaż na jej policzkach pojawiły się rumieńce, głos naszego gościa nadal był zdecydowany i miły.

- Tak. Na ojcu spoczywa obowiązek wychowania dzieci, wyżywienia ich i ubierania. On również ma pilnować, żeby nie stała się im żadna krzywda. Czy mogę założyć, że wywiązuje się pan ze swoich obowiązków?

- Tak - odparł Ram. - Wywiązuje się, ale nie do pani należy sprawdzanie mnie. Zgodnie z prawem nikt nie może mówić rodzicom, jak mają traktować swoje dziecko. Nawet kościół.

Pochyliłam głowę nad broszurką i przestałam słuchać pogroźek Rama. Zerknęłam na tekst. Był to werset z Pisma Świętego, a dalej zaproszenie dla dzieci z parafii na popołudniowe zajęcia w niedzielę. „Pod koniec spotkania wszyscy obecni dostaną kromkę chleba z dżemem” - przeczytałam.

- Jak pan sądzi, panie Munt, czy nie powinno się zapobiegać przemocy wobec dzieci?

- Skończyła pani? Moja córka nie ma czasu na czcze pogaduszki. Oddaj to pani, Linny - rozkazał mi Ram.

Wyciągając broszurkę w stronę panny Poll, spytałam:

- Czy chleba i dżemu wystarcza dla wszystkich? Panna Poll zbliżyła się do mnie o krok.

- Widzę, kochanie, że umiesz czytać.

- O tak - zapewniłam, wręczając jej broszurkę. - Od dawna. A czy słyszy pani, jak mówię? Czy nie rozumie pani, że nie powinno mnie tu być? - pomyślałam. Może mnie pani zabrać ze sobą do domu? Rozumowałam jak małe dziecko, które nie zna życia.

- To dobrze. - W jej głosie brzmiało zaskoczenie. - Może w takim razie w niedzielne popołudnia zechciałabyś nam pomóc podczas zajęć z Biblii dla najmłodszych? To naprawdę bardzo proste. Czytamy im jakiś



werset, śpiewamy fragment hymnu i opowiadamy o bożych naukach na temat dobrej pracy i życia bez grzechu.

Bezwiednie wetknęła mi pasemko włosów za ucho, a ja poczułam, że przytulam się do jej ręki. Przez chwilę trzymała dłoń na mojej głowie, a ja zamknęłam oczy, przypominając sobie dotyk matki.

Tak, chciałam - pomyślałam. Bardzo bym chciała. Otworzyłam usta, żeby to powiedzieć, ale Ram mnie uprzedził.

- Moja córka nie ma czasu na bzdury - warknął. - Pozwalam jej chodzić do kościoła w niedzielne poranki i pomodlić się na grobie matki, ale potem musi wracać do domu.

- To tylko godzina, panie Munt. Jestem pewna, że Linny z przyjemnością...

- Jako ojciec lepiej wiem, jak Linny powinna spędzać niedziele - powiedział, wstając. - Tylko ja jeden mam prawo decydować, w jaki sposób moja córka spędza czas. Koniec, kropka. I proszę się nie spodziewać, że zobaczy ją pani w któreś popołudnie.

Na wyraźny sygnał, że wizyta - o ile tak to można nazwać - oficjalnie dobiegła końca, panna Poll ruszyła w stronę drzwi.

- No cóż, w takim razie życzę ci, Linny, miłego popołudnia. Mam nadzieję, że w najbliższą niedzielę przyjdiesz przynajmniej do kościoła.

Przytaknęłam, wbijając zęby w dolną wargę. Chciałam za nią pobiec, wsunąć powalaną atramentem rękę w dłoń w rękawiczce i mocno ją przytrzymać. Wiedziałam, że moje miejsce jest tutaj, ale bardzo chciałam opowiadać małym dzieciom historie z Biblii, spędzać niedzielne popołudnia wśród dam, które noszą rękawiczki i na koniec spotkania dają wszystkim chleb z dżemem. Chciałam... bardzo chciałam.

Milczałam, nie mogąc ruszyć się z miejsca.

- Panu również życzę miłego dnia, panie Munt - powiedziała panna Poll i uniosła wysoko głowę.

Otworzyła drzwi i wyszła. Kiedy schodziła po schodach, słyszałam szelest jej sukni na każdym stopniu. Marzyłam z całego serca, żeby móc pójść za nią.



Wiedziałam, że nigdy nie wezmę udziału w zajęciach z Biblii. Zdawałam sobie sprawę, że ani kościół, ani panna Poll, ani żadna inna dama z koła Obrończyn Dobrych Obyczajów nie jest w stanie mi pomóc. Nawet gdybym zdobyła się na odwagę i opowiedziała jej o swoim życiu, Ram miał rację. Nikt nie miał prawa mówić rodzicom, jak powinni traktować swoje dziecko, nikt nie mógł się wtrącać. Naprawdę nikt.

\*

Kiedy skończyłam trzynaście lat, zdałam sobie sprawę, że stwardniałam. Wiedziałam, że mama nie byłaby zadowolona - nie dlatego, że zostałam prostytutką, bo to nie była moja wina, ale z pewnością zganiłaby mnie za nieodpowiednie postępowanie i jeszcze gorsze myśli.

Podczas składania książek bez przerwy zastanawiałam się, jak zabić Rama Munta. Zazwyczaj wymyślałam różne sposoby, przeważnie połączone z torturami, w których niezmiennie używałam swojego kościanego noża. Planowałam również zamordowanie wszystkich mężczyzn, do których prowadziłam mnie ojczym. (Z wyjątkiem skłonnego do płaczu pana Poniedziaka i sympatycznego czwartkowego wuja Horace'a. W tym czasie pan Środa nie przyjeżdżał już w interesach do Liverpoolu; tęskniłam za cotygodniowymi kąpielami, zwłaszcza że musiałam wrócić do samodzielnego mycia się w letniej wodzie w naszej powyszczerbianej misce).

Pozostali klienci byli moim zdaniem tacy sami. Niezależnie od tego, w jakie piórka się stroili, wszystkich interesowało tylko jedno: żeby tłusta dżdżownica między ich nogami przeobraziła się w węża, potem trafiła w odpowiednią dziurę, w której miotała się i szarpała, póki nie umarła przy akompaniamencie ostatnich drgawek. Ilekroć wchodziłam do pokoju, w którym czekał kolejny mężczyzna, lustrowałam meble. Szukałam ciężkiej wazy, którą można by rozbić czaszkę, albo ostrego srebrnego noża na tacy z kolacją, żeby jednym zdecydowanym pociągnięciem przeciąć żyłę

szyjną. Oczywiście, były to tylko mrzonki, ale w rzeczywistości często musiałam się bronić przed klientami.

Kopałam i gryzłam tych, którzy na siłę próbowali zmusić mnie do przyjęcia takiej pozycji, do jakiej nie było stworzone moje ciało. Pewnego razu chwyciłam ciężki srebrny przycisk do papieru i zdzieliłam nim po głowie kalekiego dżentelmena, który w trakcie stosunku koniecznie chciał naciąć mój nadgarstek, żeby się napić mojej krwi. Najbardziej przerażająca była przygoda z mężczyzną, który miał na sobie pelerynę z kapturem i potwornie śmierdział końskim mazidłem. Kiedy pokazał mi narzędzia, jakie miał w skórzanej torbie, i zrozumiałam, czego ode mnie oczekuje, próbowałam uciec, chociaż mocno trzymał mnie za ramię. Gdy zacisnął palce jeszcze mocniej, postanowiłam, że za nic w świecie nie dam się upokorzyć. Chwyciłam pogrzebacz z kominka i dźgnęłam mężczyznę w brzuch. Musiałam użyć lewej ręki, to jednak wystarczyło: puścił mnie, a ja uciekłam.

Lanie, które potem spuścił mi Ram, było niczym w porównaniu z torturami, przed którymi zwiąłam.

Chociaż czasami zdarzał mi się przykry wieczór, większość mężczyzn była nieskomplikowana i pozbawiona wyobraźni; potrzebowali zwyczajnej ulgi w czymś, co uważali za tortury. Podobnie jak ich pożądanie również moje działanie było nieskomplikowane i bezmyślne.

Z nudów i zniechęcenia kradłam każdy drobiazg, który wpadł mi w ręce i którego zniknięcie trudno było wykryć: srebrny haczyk do zapinania guzików, niewielki mosiężny kompas, filiżankę, mały dzbanuszek albo miniaturową, ozdobną tacę z typowo chińskim wzorkiem w ulubionych w Liverpoolu krzykliwych kolorach: czerwonym, błękitnym, żółtym i zielonym. Łatwo było wsunąć coś takiego w fałdy szala, do buta, a nawet pod kapelusz, gdy klient ubierał się po zaspokojeniu swoich potrzeb. Następnego dnia w drodze powrotnej z introligatorni do domu sprzedawałam skradzione przedmioty na zatłoczonym bazarze przy Great Charlotte Street. Za uzyskane pieniądze kupowałam słodycze i ciastka, które zjadałam przed powrotem do domu, żeby Ram mnie nie nakrył. Z dwóch powodów nie mógł wiedzieć, że okradam klientów: po pierwsze, odbie-

rały mi pieniądze ze sprzedaży zwędzonych drobiazgów; po drugie i ważniejsze, gdyby o tym wiedział, straciłabym poczucie pewnej mocy. Okradając mężczyzn, którzy w jakiś sposób okradali mnie, czułam się silna w bardzo dorosły sposób: nie tylko oszukiwałam klientów, ale też Rama Munta. Same drobiazgi nie miały żadnego znaczenia - skarbem była moc.

Po kupieniu słodyczy udawałam się do Armbruster's Used Goods. Sklep z używanymi rzeczami przypominał cmentarzysko - były tu przedmioty, które należały niegdyś do żeglarzy, dziadków, matek, ojców i ich dzieci. W części marynistycznej znajdowały się drewniane i mosiężne kompasy, kwadranty, lornetki, a także miseczki z białej i błękitnej porcelany, z namalowanymi żaglowcami. Na innych zakurzonych półkach stały żelazne młynki do kawy, pozbawione koloru garnki, podstawki, wzorzyste kafelki ostrożnie wydłubane z kominków i wyszczerbiony puchar z wymalowanymi niezgrabnymi czarnymi literami napisem: *Z życzeniami powodzenia dla pruskiego bohatera, 1769*. Można też było znaleźć śmierdzące stęchlizną koce, poplamione flanele, czarne jedwabne chusteczki do nosa, kawałki drojetu i dywany z wytartymi środkami.

Nie brakowało również szkła: rządzków czarnych butelek po whisky albo lekarstwach, wielkich pucharków na grubych, krótkich nóżkach i kryształowych karafek w błękitnawym odcieniu. Było ich bez liku, każda sztuka oryginalniejsza od poprzedniej. Wyobrażałam sobie robotników w fabrykach szkła - chłopców o zażawionych oczach, zniszczonych przez opary chemikaliów. Na półkach stały wyroby, które niekiedy ich oślepiały, a potem były sprzedawania kilka pensów w wilgotnym sklepie, w którym unosił się zapach pleśni i rozpaczy.

Przechodziłam obok przedmiotów, które niegdyś służyły innym ludziom, kierując się prosto do działu z książkami. Na powyginanych półkach leżały ogromne ilości woluminów o zniekształconych przez wilgoć, pobrudzonych kartkach, zatłuszczonych i podartych okładkach, pociemniałych grzbietach. Kosztowały pensa lub dwa; czasami cały zbiór książek jednego autora można było dostać za pięć pensów. Kupowałam

książkę za książką, ukrywałam je w swoim łóżku, a po przeczytaniu albo sprzedawałam, albo wymieniałam na inne. W przeciwieństwie do słodyczy, które kupowałam dla przyjemności, książki traktowałam jak konieczność.

Przed śmiercią matki czytałam wieczorami podręczniki Pinnocka dla samej przyjemności uczenia się. Po spotkaniu z panem Jacobsem i zmianie stylu życia nawet gdy byłam potwornie wyczerpana, mój umysł nadal pracował na zbyt wysokich obrotach. Czasami w mojej głowie kotłowały się tak potworne myśli, że obawiałam się, iż mogą wypłynąć przez jej czubek i śmierdzącą falą zalać poduszkę. Czytanie działało jak łagodny balsam rozsmarowany delikatną dłonią w środku mojej czaszki; dzięki niemu odnajdywałam wewnętrzny spokój i mogłam zasnąć. Wcześniej musiałam długo nasłuchiwać, dopóki głośne chrapanie z przeciwnej strony pokoju nic upewniło mnie, że nie zostanę przyłapana. Potem czytałam przy nikłym świetle świeczki z knotem z sitowia, dopóki nie uspokoiły się moje myśli. Czytałam wszystko, co wpadło mi w ręce: od Defoe'a i Swifta po Ann Radcliffe i Elizabeth Hamilton, od powieści przygodowych po romanse i wspomnienia.

Dzięki kradzieżom - i dodatkowym drobiazgom, na które mogłam sobie pozwolić za zdobyte w ten sposób pieniądze - cudownym planom tortur i morderstw, wyobrażaniu sobie siebie jako młodej damy w luksusowych sypialniach i bogato zdobionych jadalniach moje życie stawało się znośne.

Codziennie myślałam o matce i życiu, jakie sobie dla mnie wymarzyła. Zastanawiałam się, co by o mnie pomyślała, gdyby mogła mnie teraz zobaczyć: prostytutkę, kłamczynię, złodziejkę. Co niedziela przysięgałam matce, trzymając rękę na krzyżu na jej grobie u Najświętszej Marii Panny i Świętego Mikołaja, że w przyszłości zostanę kimś innym. Że będę kimś więcej niż dzisiejszą Linny Munt. Że będę kimś więcej niż głupio uśmiechnięte, spowite w futra i pióra młode kobiety, które wysiadały przed teatrami z eleganckich powozów. Że zostanę taką Linny Gow, z jakiej mogłaby być dumna.

## Rozdział 4

Po raz ostatni pracowałam dla Rama Munta sześć miesięcy po ukończeniu trzynastego roku życia. W zimny, mokry lutowy wieczór mój ojczym wrócił, do domu z promiennym uśmiechem na ustach. Pod pachą trzymał przewiązane sznurkiem zawiniątko w brązowym papierze.

- To najlepiej płatna robota, dziewczyno, jaką dotychczas ci znalazłem - oznajmił.

RS

Rzucił pakiecik na puste krzesło i wskazał głową na kociołek nad ogniem. Nappełniłam mu miskę zupą z rzepy i marchewki. Wcześniej wrzuciłam do niej garść mysich odchodów, które znalazłam pod ławą. Każdego wieczoru po zjedzeniu swojej porcji z prawdziwą przyjemnością dodawałam do jedzenia Rama jakiś specjalny składnik. Czasami było to kilka kropelek z nocnika, nim wylałam jego zawartość do rynsztoka, który przebiegał przez środek podwórka, kiedy indziej odrobina odchodów gołębia, zdrapanych z naszego parapetu, to znów rozgniecione karaluchy.

Tego wieczoru byłam bardziej zmęczona niż zazwyczaj. Jedna z pracownic zemdląła i przez godzinę musiałam ją zastępować, czyli biegać po schodach w górę i w dół z całymi naręczami papieru. Mimo to oczekiwano, że do końca dnia wykonam swoją normę. Miałam ochotę położyć się na pryczy, poczytać przez dziesięć minut, a potem zamknąć oczy.

Nawet nie chciałam myśleć o wieczornej pracy. Wiedziałam jednak, że nic nie wskórałabym, mówiąc Ramowi o swoim zmęczeniu. Nie uderzyłby mnie w twarz - podbite oko czy opuchnięta warga odstręczałyby klientów. Dlatego karał mnie tak, żeby nie zostawiać śladów. Wbijał mi boleśnie kostki palców w krzyż albo trzymał płonąca zapalkę pod moją pachą wystarczająco długo, żeby powstał pęcherz; w ten sposób sprawiał mi wielki ból, nie tracąc jednocześnie klienta.

- Awansujemy, słowo daję, awansujemy - powiedział, nie zwracając uwagi na łyżkę, którą położyłam na stole, i biorąc do ręki miskę. - Będziesz pracować z najelegantszymi damami Liverpoolu.

Wilgotna opończa Rama parowała przy ogniu, unosił się z niej zapach mokrego psa. Stałam z dala od niego.

- Z damami?

W moim głosie słychać było lekką drwinę. Ram przez chwilę głośno siorbał, potem wyłowił palcami kawałek marchewki.

- Pójdiesz na przyjęcie wydane na cześć jakiegoś dżentelmena. Usłyszałem w szynku, że szukają dla niego największych skarbów Liverpoolu, i wcale nie chodzi im o marynarskie dziwki ani kurewki z Paradis Street. „Och! - powiedziałem. - Mam dokładnie to, czego szukacie. Dziewczynkę, czyściutką, z włosami jak jedwab”. „Musi mieć jasne



włosy -wyjaśnił facet. - Do pracy, o którą mi chodzi, nadają się tylko dziewczęta z najjaśniejszymi włosami". „No cóż, nie znajdziecie nikogo o jaśniejszych włosach" - oznajmiłem. „Poza tym zrobi wszystko, czego będziecie chcieli. Moja Linny to dobre dziecko" - zapewniłem młodego dżentelmena, od którego wyraźnie zależała decyzja. Powiedziałem mu, Linny, że zrobisz wszystko. Tego od ciebie oczekują. Nie spraw mi więc zawodu. Dzięki pieniądзом, które dzisiaj zarobisz, będziemy mogli wkrótce przeprowadzić się do jakiegoś lepszego mieszkania. - Rozejrzał się po nieskazitelnie czystym pokoju, polem potrząsnął kawałkiem marchewki. - Jeśli dobrze się spieszysz, zaproszą cię znowu. To może być początek naszego nowego życia. - Puścił perskie oko i wsadził marchewkę do ust. - Zaledwie początek - powtórzył, przeżuając.

Pomarańczowy kawałek wbił mu się między brązowawe zęby.

W paczuszce była używana zielona jedwabna sukienka z kremową falbanką. Została kupiona na bazarze przy Fox Street i pachniała potem. Przed włożeniem jej sprawdziłam wszystkie szwy, czy nie ma pcheł. Takie kreacje nosiło się w ubiegłym roku. Wiedziałam, że żadna z eleganczyńskich dam *i*, Lord Street nie włożyłaby już czegoś takiego, ale fałdy układały się miękko, a materiał pieścił moją skórę. Kiedy się ubrałam i stanęłam przed Ramem, kiwnął głową zadowolony. Nigdy wcześniej nie miałam na sobie sukienki z dużym dekoltem; kiedy spojrzałam w dół, zauważyłam, że rosną mi piersi. Musiałam się powstrzymać, żeby ich nie osłonić.

- Uczesz się. Tylko żadnych warkoczy. Dzisiaj musisz naprawdę ładnie wyglądać. Tak, dzisiejszy wieczór będzie wyjątkowy.

Zrobiłam, co mi kazano. Potem, przeglądając się w lusterku z pozłocanego brązu ze szkatułki mamy, wyjęłam wisiołek i zawiesiłam go na szyi. Ładnie błyszczał na de mojej skóry, a zielone kamienie podkreślały zieleń jedwabiu sukienki. Gdy jednak sięgnęłam po szary szal, mówiąc Ramowi, że jestem gotowa, ponownie bacznie mi się przyjrzał i potrząsnął głową.

- Zdejmij tę błyskotkę - warknął, przenosząc wzrok z wisiora na moją twarz i z powrotem. - Psuje wrażenie.

Zakryłam wisior dłońią. Wiedziałam, że przypomina Ramowi moją mamę. Czyżby miał wyrzuty sumienia, że zmusza mnie do takich rzeczy? - pomyślałam. Schowałam świecidełko z powrotem do drewnianej szkatułki, nagle odczuwając wyrzuty sumienia i zdając sobie sprawę, że nie powinnam go zakładać. Mając wisior na szyi podczas pracy, zhańbiłabym pamięć matki. Obiecałam sobie, że założę go tylko wtedy, gdy będę z siebie dumna, i zdecydowanym ruchem zamknęłam wieczko drewnianej szkatułki.

Ram wynajął dorożkę. Pokonywaliśmy nią labirynt uliczek, zaułków i podwórek, powoli pnąc się w górę i oddalając od portu. Kiedy zobaczyłam szkocki zbór Świętego Andrzeja, wiedziałam, że jesteśmy na Mount Pleasant. Potem znaleźliśmy się na wspaniałej ulicy, na której spędziłam tyle niedzielnych popołudni: Rodney Street. Zatrzymaliśmy się przed jedną z jasno oświetlonych gregoriańskich rezydencji, o drzwiach tak szerokich, że zmieściłaby się w nich nasza dorożka. Ram ujął mnie pod ramię, jakby był dumnym ojcem i prowadził pannę młodą przez środek kościoła. Dobrze znałam fasady wszystkich domów ze swoich niedzielnych wizyt, ale nigdy nie spodziewałam się, że wejść do któregoś z nich.

Drzwi otworzył kamerdyner - człowiek w średnim wieku w aksamitnych bryczesach. Na jego twarzy nie było widać zdziwienia. Bez cienia emocji cofnął się, a ja wyszarpnęłam ramię z uścisku Rama i z wahaniem przekroczyłam próg. Kamerdyner zamknął mojemu ojczymowi drzwi przed nosem, ale Ram otworzył je, nim służący zdążył przesunąć zasuwę.

- Obiecano mi, że otrzymam zapłatę z góry - powiedział. - Pieniądze za towar. Tak umawiałem się z młodym dżentelmenem.

Opuściłam głowę i bacznie przyglądałam się czubkom brązowych zdartych butów, które nie pasowały do zwiewnej zielonej sukienki. Kiedy uniosłam głowę, zauważyłam, że kamerdyner też na nie patrzy. Dał mi w ten sposób do zrozumienia, że nawet najelegantsza kreacja nie jest w stanie go oszukać.

- Proszę zaczekać - powiedział.

Nie ukrywał pogardy, chociaż jego twarz nadal nic nie wyrażała. Próbował ponownie zamknąć drzwi, ale Ram pchnął je mocniej i wszedł do foyer.

- Zaczekam tutaj - oznajmił.

Kamerdyner odwrócił się, wyprostował plecy i sztywno pomaszerował schodami na piętro. Staliśmy w milczeniu pod żyrandolem, w którym migotało przynajmniej trzydzieści świec. Obok nas przeszła służąca, niosąc flakon ze zwiędniętymi kwiatami - były wysokie, kolczaste i miały ciemnozielone liście. Wiedziałam, że to jakaś egzotyczna roślina przywieziona / z Londynu - nigdy wcześniej jej nie widziałam.

Służąca zerknęła na nas, ale nie okazała zainteresowania ani ciekawości. Gdzieś z głębi domu dobiegały równomierne rytmiczne dźwięki.

Po chwili kamerdyner pojawił się ponownie na schodach. Zbliżał się do nas z wystudowanym spokojem.

Ram nie mógł się doczekać na pieniądze. Podeszedł szybko do kamerdynera i spotkał się z nim u podstawy schodów. Mężczyzna wręczył mu coś; zza pleców Rama nie widziałam, co to takiego. Zauważyłam natomiast, że zerknął na wynagrodzenie, a potem z błyszczącymi oczami i promiennym uśmiechem na ustach przeszedł obok mnie i zniknął bez pożegnania.

Odwróciłam się do kamerdynera.

Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów - od rozpuszczonych włosów po wstrętne buty - a kiedy wyciągnął rękę po mój szal, dostrzegłam, że coś w nim drgnęło, coś złagodniało. To coś zakłopotало mnie bardziej niż jego władcza postawa. Ostrożnie wziął mój szal między kciuk i palec wskazujący, jakby odczuwał wstręt. Ponownie pojawiła się służąca. Biorąc od niego szal, skrzywiła się, pragnąc mi pokazać, że jest o wiele ważniejsza ode mnie.

Kamerdyner ruszył schodami na piętro, a ja za nim. Nigdy nie byłam w tak wspaniałym domu. Położyłam dłoń na wypolerowanej poręczy, z przyjemnością czując ją pod palcami.

Na górnym podejściu schodów znacznie wyraźniej było słyszeć przytłumiony rytmiczny dźwięk, na który zwróciłam uwagę przy drzwiach. Towarzyszył mu czyjś śpiew. Nagle wszystko ustało. Wtedy rozległ się śmiech, w którym słyszeć było histerię. Kamerdyner zatrzymał się przed podwójnymi drzwiami. Każde skrzydło zdobiła mosiężna klamka w kształcie splecionych węży. Wskazał głową na drzwi i odszedł.

Nie wiedząc, czego się mogę spodziewać, zapukałam. Po chwili zapukałam ponownie i położyłam dłoń na węzłach. Były ciepłe w dotyku, jakby reagowały na puls z drugiej strony drzwi. Nim zdążyłam nacisnąć klamkę, ktoś otworzył z drugiej strony. Owionęło mnie gorące powietrze, przesycone zapachem perfum i dymu. Cofnęłam się.

- Och, spójrz! - zawołał chłopiec, który otworzył drzwi. - Spójrz, Pompeyu. Przyszła dziewczynka. To na pewno ona.

Wyglądał na starszego ode mnie o kilka lat, chociaż nie byłam tego pewna.

Miał jaskrawo pomalowane usta i różowe plamy na policzkach, jego głowę zdobił diadem ze szklanych paciorków i strusich piór. Spowijały go fałdy miękkiego, przezroczystego materiału. Położył dłoń na moim ramieniu i wprowadził mnie do pokoju.

- Widzisz, Pompeyu?

Lampki gazowe, które wisiały nisko na ścianach, rzucały migodiwe cienie. Wszystkie kąty wypełniały ogromne meble; komody, szafy, sofy i fotele przypominały ciemne zwierzęta. Nagle z kąta wyłonił się ogromny mężczyzna. Kiedy moje oczy przyzwyczyły się do mroku, zauważyłam, że ma ciemną skórę, biały turban, a jego genitalia osłania jedynie niewielki skrawek materiału. Pod pachą trzymał bębenek, a idąc w moją stronę, uderzał w niego dłonią, wydając ponury dźwięk.

Spojrzałam na chłopca.

- Nie bój się, dziewczynko - uspokoił mnie.

Miał ogromne źrenice. Machnął ręką na ciemnoskórego mężczyznę, który natychmiast opuścił bębenek i osłonił nim przyrodzenie.

Chłopiec roześmiał się; wtedy rozpoznałam histeryczny ((miech, który słyszałam przed chwilą. Wcześniej wydawało mi ulę, że to głos kobiety.

Moje nozdrza wypełnił nieznanym, orzechowym zapachem, tak mocnym, że w połączeniu z ruchomymi cieniami z pokoju przyprawił mnie o zawrót głowy. Poczulałam przerażenie.

- Mam na imię Clancy - przedstawił się chłopiec. - Chodź ze mną. Czekaamy na ciebie.

Wztał mnie za rękę.

- Chyba nie...

Próbowałam się uwolnić, ale wiotki i szczupły Clancy tylko wzmocnił uchwyt, ściskając moje palce aż do bólu.

- Tylko nie próbuj myśleć. Myślenie jest takie nudne - powiedział. - Postaraj się czuć.

Pociągnął mnie za rękę. Idąc za nim, zauważyłam, że pod zwiewną suknią nic nie ma. Oprowadził mnie wokół pomieszczenia; kiedy szliśmy, obchodząc otomany i niskie stoły, zastanawiałam się, jak uciec. Mogłabym się odwrócić i zwać, gdyby nie żelazny uchwyt Clancy'ego na mojej ręce. I gdyby nie (o, że ciemnoskóry mężczyzna - który najwyraźniej miał na imię Pompey - znów zaczął swoje złowieszcze bębnienie i szedł tuż za mną.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Clancy.

Odciągnął na bok ciężką kotarę. Za nią znajdowały się proste drzwi z gładkiego drewna. Zdecydowanie nie pasowały do reszty pełnego przepychu pokoju. W zamku tkwił mosiężny klucz.

- Wejdz. Są otwarte. On już na ciebie czeka.

- Kto to? - spytałam, ponownie cofając się pod wpływem paniki.

Clancy nagle przyjrzał mi się z dziwnym napięciem, a miejsce głupawego uśmiešku, który od początku naszego spotkania miał na ustach, zajęła niepewność. Wyraz jego twarzy dziwnie przypominał minę kamerdynera.

Nagle zdałam sobie sprawę, że jest znacznie młodszy, niż początkowo myślałam - że, być może, oboje jesteśmy w tym samym wieku.

Nacisnął klamkę i wepchnął mnie w otwarte drzwi.

Za nimi dziwny zapach dymu był mocniejszy i łączył się z jakąś inną wonią. Jakby coś powolutku, bez pośpiechu gniło. Kiedy drzwi się za mną zamknęły, w pokoju zapadła całkowita ciemność.

- Jest tu ktoś?! - zawołałam.

Czułam, że dzieje się coś złego, bardzo złego. Myślałam tylko o ucieczce.

- Chodź, chodź - odparł jakiś delikatny, drżący, naznaczony chorobą głos.

- Nie ma tu światła, sir? - spytałam, jeszcze bardziej przestraszona. Głos męczyzny nie działał na mnie uspokajająco. - Nic nie widzę.

Wchodziłam wcześniej do wielu pokoi, słyszałam mnóstwo męskich głosów, ale przynajmniej widziałam, co mam przed sobą; chociaż spotykało mnie wiele przykrych niespodzianek, nigdy nie musiałam stawić czoła ciemności, nie wiedząc, z kim albo czym mam do czynienia.

Usłyszałam długi, wolny odgłos ssania i ujrzałam czerwonawe światełko fajki. Potem coś dmuchnęło. Po gwałtownym odgłosie, który przypominał uderzenie kamienia o kamień, w nikłym blasku zapalki ujrzałam postać, która kuciała przy kominku. Kiedy zapłonął ogień, mężczyzna odsunął się, zrobił kilka niepewnych kroków, wyraźnie powłócząc nogami, i z cichym westchnieniem opadł w głęboki fotel, którego oparcie ocieniło mu twarz.

- Stań w świetle - rozkazał. - Muszę sprawdzić, czy jesteś taka, jak chciałem. Trudno teraz dostać to, o co się prosi. Jestem zawiedziony wyborem, jaki oferuje Liverpool. Bardzo zawiedziony - powtórzył.

Podeszłam do kominka i stanęłam przed nim.

- Odwróć głowę. Chcę zobaczyć twoje włosy. Spojrzałam w prawo, potem w lewo, czując za plecami żar kominka.

- Dobrze, bardzo dobrze. - Mężczyzna podniósł nieco głos, Jakby był podniecony.

Zastanawiałam się, dlaczego nie podoba mi się jego spo-aób mówienia.



- Chodź tu. Wypijemy drinka, zgoda? Podeszłam do fotela.

- Dziękuję, sir. Co mam zrobić? - spytałam. Zmarszczyłam nos, bo w pobliżu fotela smród wyraźnie

przybrał na sile. Słyszałam w życiu różne żądania, nic mnie |nż nie dziwiło, mimo to - jeśli nie liczyć spotkania z klientem w opończy - nigdy wcześniej nie byłam tak przerażona.

- Jak masz na imię, kochanie?

- Linny.

- Możesz mi je przeliterować?

- Pisz się tak, jak słycać. L-i-n-n-y.

- Czy to twoje prawdziwe imię?

- Nie. W rzeczywistości jestem Linnet, czyli makolągwa.

- Rozumiem. Czy śpiewasz tak samo słodko jak ona, dziecinko? - Nie czekał na odpowiedź. - Chyba bardziej podoba mi się Linny. Linny z Liverpoolu. Zapamiętam to. Teraz chcę dotknąć twoich włosów - ciągnął dalej.

Uklękałam przed nim. Gdy moja głowa znalazła się nieco niżej, w świetle kominka zobaczyłam swojego klienta. Trudno powiedzieć ile miał lat, bo jego twarz była zniszczona, a powieki przesłaniały wybałuszone, błyszczące, oczy, które miały nieprzytomny wyraz, jakby ich właściciel przed chwilą się obudził. Nos mężczyzny pokrywały żyłki, a wargi były za wilgotne i zbyt czerwone. Zaskakująco różowy język w niekontrolowany sposób to wyskakiwał z ust, to się w nich chował.

- Nalać ci drinka? - Zacisnął palce na brązowej buteleczce stojącej na stoliku obok fotela. - Byłaś kiedyś we Francji, moja droga?

Potrząsnęłam przecząco głową, starając się nie patrzeć na język; jego gorączkowy taniec przeszkadzał w wypowiedaniu słów. Wsunęłam palce pod włosy i podsunęłam je w stronę mężczyzny.

- Nie mam wszy, może pan sprawdzić, sir...

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, obuta w ciemnoniebieskie kapcie stopa mężczyzny wyskoczyła w powietrze i zaczęła kręcić kółka. Pięta uderzyła mnie w twarz, upadłam na bok. Trzymając się za policzek, patrzy-

łam zaszokowana. Starszy pan osunął się z fotela i gwałtownie machał nogami w powietrzu, jakby pedałowal po Seel Street. Zaciskał palce na oparciu fotela i wydawał krótkie, urywane krzyki.

Drzwi się otworzyły, a do pokoju wszedł ciemnoskóry mężczyzna, pochylając głowę, żeby nie dotknąć turbanem nad-proża. Spojrzał na mnie z góry, potem podszedł do fotela. Kiedy przechodził obok mnie, widziałam, jak kołysze się maleńki woreczek na genitalia. Zauważyłam, że bosa stopy Pom-peya są przynajmniej trzy razy dłuższe od moich.

- Nie... nie wiem, co mu się stało - wyjaśniłam. - Nic mu nie zrobiłam.

Pompey podniósł mężczyznę, który już nieco wolniej machał nogami, i przycisnął go do nagiej piersi z taką łatwością, jakby miał do czynienia z dzieckiem.

- Pompeyu! Pompeyu! - krzyczał mężczyzna. - Pomóż mi! Pomóż mi! Daj mi chloral. Pospiesz się. Lada chwila ból połamie mi zebra!

Pompey posadził mężczyznę na fotelu, potem wziął do ręki brązową buteleczkę. Nalał płyn do małej szklaneczki, przytknął ją do ust mężczyzny, palcem wskazującym o długim paznokciu wsunął ruchliwy język i wlał płyn prosto do gardła swojego pana.

- Zaraz ból minie, panie. Już prawie minął - mruknął.

Jego głos był głęboki, mówił z wyraźnym, dziwnym akcentem. Usta starszego pana otwierały się i zamykały jak dziób pisklęcia.

Obserwując dziwną scenę, przyciskałam palce do guza, który powoli tworzył się na moim policzku. Na myśl o stosunku z tym okropnym mężczyzną jedzenie podchodziło mi do gardła.

Ruchy mężczyzny spowolniały. Jego kręgosłup rozluźnił się, jeszcze tylko lekko drżały mu nogi.

Kiedy podniosłam się z podłogi i uklękłam, Pompey napełnił pół szklanki płynem z buteleczki i podszedł do mnie.

- Widzę, że jeszcze nie piłaś, panienko. Proszę. Weź to. Najwyższy czas.

Jego głos był cichy, niewiele głośniejszy od szeptu.

Potrząsnęłam głową, przyglądając się jego twarzy. Zauważyłam na niej dwie wypukłe blizny ciemniejsze niż reszta skóry. Biegły przez oba policzki. Nie miał rzęs.

- Atak już dziś wieczorem się nie powtórzy - zapewnił mnie. - Nie będzie go bolało. Nie masz się czego bać.

Chciałam wierzyć uspokajającemu głosowi, ale nie mogłam. Zerknęłam w bok, na mężczyznę, który siedział nieruchomo w fotelu.

- Co mam... Co on ode mnie chce? — wyszeptałam, odwracając głowę, by przyjrzeć się twarzy Pompeya.

Przeniósł wzrok na mój puchnący policzek i wyciągnął przed siebie szklaneczkę.

- Po prostu bądź cicho. Nie denerwuj go. Wypij to, proszę.

- Co to jest? - spytałam, patrząc na bezbarwny płyn. - Nie piję alkoholu.

- Tak będzie lepiej. Wypij, panienko - poradził. Odepchnęłam szklaneczkę, mówiąc:

- Dziękuję, mówiłam, że nie...

Pompey jednym miękkim ruchem ujął mnie za brodę i zmusił do otwarcia ust w taki sam sposób, w jaki zrobił to w przypadku swojego pana. Płyn jak żywy ogień spłynął mi do żołądka. Zakrztusiłam się i zaczęłam kaszleć. Pompey mnie puścił. Przełknęłam ślinę, oblizałam wargi, ale poczułam tylko delikatną słodycz.

- Tak będzie lepiej - powtórzył Pompey, stawiając szklaneczkę na stole i ruszając w stronę drzwi.

- Co mu dolega?

Pompey otworzył drzwi i stanął na progu.

- Niektórzy nazywają tę chorobę francuskim powitaniem - powiedział.

Wychyliłam się w jego stronę, żeby lepiej słyszeć, co mówi. - Częściej jednak używa się określenia „syfilis”. Zdecydowanie zamknął drzwi i usłyszałam, że przekręcił mosiężny klucz.

## Rozdział 5

Usiadłam na dywanie przed kominkiem, który rzucał piękny bursztynowy blask. Wiedziałam, że marynarze często bywają chorzy. Próbowałam sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek słyszałam coś o francuskim powitaniu albo zetknęłam się z drugim słowem, które bardziej przypominało syk węża. Nagle poczułam, że ogarnia mnie senność. Powieki stały się tak ciężkie, że musiałam walczyć, by mi nie opadły. W końcu położyłam się na boku, plecami do kominka i oparłam głowę wygodnie na zgiętym ramieniu. Pulsowanie w policzku ustało; nie czułam bólu, jedynie cudowną senność. Wydawało mi się, że mężczyzna też śpi, bo ciężko i głośno oddychał. Jego język również odpoczywał, na dolnej wardze dostrzegłam ślady zaschniętej śliny. W pokoju za drzwiami Clancy znów śpiewał do wtóru bębenka Pompeya, ale dochodzące dźwięki zamieniły się w monotony pomruk, coś, czego nie rozpoznawałam, chociaż dziwnie mi się podobało.

Zamknęłam oczy, ukołysana równomiernym oddechem mężczyzny i uspokajającym trzaskaniem płomieni. Potem nawiedziły mnie ponure, niespokojne sny. Wkrótce ciemność zniknęła; pojawiło się słońce i świeciło tak mocno, że aż bolały mnie zamknięte oczy. We śnie przez cały czas miałam zamknięte oczy, mimo to doskonale wszystko widziałam. Byłam w Salthouse Dock i szłam w stronę wody. Nad moją głową fruwały mewy, krzycząc i uderzając głośno skrzydłami. Wzbijały się i nurkowały, wzbijały się i nurkowały, w końcu zaczęły fruwać tak nisko, że czułam na powiekach i policzkach ciepły podmuch ich skrzydeł. Jeden z ptaków zniżył lot nad moją głową i dziobnął mnie ostrym, długim dziobem w ucho. Przestraszyłam się, zaczęłam uciekać. Biegłam, ale mewa ścigała mnie wzdłuż mola. Krzyczała coraz głośniejsze i próbowała uderzyć mnie groźnym dziobem. Gdy nie mogłam już dłużej biec, spojrzałam w dół na mętłą wodę. Dziób zbliżył się. Nie miałam wyboru. Skoczyłam. Spadając do wody, zauważyłam li iż pod powierzchnią białą i nierucho-

mą twarz matki. Włosy niczym wodorosty unosiły się wokół jej głowy. Sapnęłam i otworzyłam oczy.

Starszy pan klęczał nade mną z ogromnymi nożycami w ręku. Były srebrne i miały złote uchwyty. Na ostrzach dostrzegłam pasemka swoich włosów. Oczy mężczyzny dziwnie błyszcząły, oddychał chrapliwie. Z jego krtani wydobywał się pełen podniecenia, wibrujący dźwięk, język poruszał się jeszcze szybciej niż poprzednio.

- Ach! - krzyknął z wyraźnym zadowoleniem, bacznie przyglądając się mojej twarzy, gdy zamrugałam, próbując zrozumieć, co się dzieje.

Chciałam wstać, ale przygniótł mnie do ziemi.

- Nie ruszaj się, dziewczynko, tylko się nie ruszaj. Jeszcze nie skończyłem - powiedział, młócąc obślinionym językiem. - Myślałem, że nie żyjesz, ale znacznie milej się to robi z kimś tak ciepłym i uległym jak ty.

Roześmiał się radośnie, jakby był mile zaskoczony.

Był przerażający, więc uderzyłam go, odepchnęłam i poderwałam się na równe nogi. Teraz pokój był jasno oświetlony; na stołach i ścianach płonęły lampki gazowe. Gdy dotknęłam głowy, poczułam krótkie, miękkie kępy - resztki po obciętych włosach.

- Co pan zrobił?! - krzyknęłam, chociaż mój głos był przytłumiony, jakbym mówiła przez poduszkę. - Dlaczego obciął mi pan włosy?

Wypowiedzenie dwóch zdań zajęło mi całe wieki.

Patrzyłam na długie kosmyki na jaskrawym dywanie. Nie podnosząc się z kolan, mężczyzna przetarł ręką twarz, łącznie z gumowatą powierzchnią języka! Ponownie się roześmiał, wskazując coś, co znajdowało się za moimi plecami. W jego śmiechu rozpoznałam krzyk mewy.

Odwróciłam się. Każdy ruch wykonywałam dziwnie powoli, chociaż instynkt podpowiadał mi, żebym się pospieszyła, żebym uciekała. Ujrzałam wysoki otwarty kufer. Po jednej stronie miał półki, na których stały spore słoiki.

- Idź i popatrz, serduszko. Idź i popatrz - powiedział mężczyzna.

Podeszłam do słoików, jakby ciągnęły mnie niewidoczne, ale mocne nici, chociaż nie rozumiałam, dlaczego postępuję zgodnie z jego szalonymi instrukcjami. Wciąż miałam przed oczami twarz matki tuż pod po-

wierzchnią wody; ten obraz był teraz realniejszy niż wszystko, co działo się w pokoju.

Spoglądałam na rzędy słoików, ale niczego nie rozumiałam. W słojach pływały jakieś cienie. Każde ze szklanych naczyń było opatrzone etykietką z dziwnymi, rozdygotanymi literami. „Emma z Newcasde” - odczytałam jedną z nich. „Loulou z Calais”. „Mollie z Manchesteru”. I dalej: „Yvette z Tuluzy”. „Bette z Glasgow”.

- Byłaś kiedyś we Francji, moja mała Linny? - spytał mężczyzna po raz drugi tego wieczoru.

Gdy się odwróciłam, z trudem dźwigał się na nogi. Podszedł bliżej, mocno kulejąc; jedno ramię przez cały czas trzymał wysunięte do przodu. Zamrugałam niespokojnie, widząc, że chowa ręce za plecami.

- Francja to piękne i przerażające miejsce. Spędziłem tam zbyt dużo czasu. Zbyt dużo czasu ze zbyt dużą liczbą pięknych dziewcząt. Dziwek, moja droga. Wszystkie były ślicznymi dziwkami, tak jak ty - powiedział.  
- Nie można dopuścić, żebyście rozprzestrzeniały swoje wstrętne choroby. Na pewno słyszałaś o pasterzu Fracastoro. Znasz ten wiersz, moja droga? *Syphilis sive morbus Gallicus*.

Stał na odległość ramienia.

- „Pasterz pewnego razu, nie wierząc odwiecznej sławie -zacytował - zdobył zbyt wiele wzgórków i syfa się nabawił”.

Patrzyłam w jego oczy jak zahipnotyzowana. Nie miały żadnego koloru, przypominały czarne kręgi.

- Dlatego za wszelką cenę trzeba was powstrzymać. Ciebie i wszystkie pozostałe, bo agonia, na jaką zostałem przez was skazany, nie ma kresu. Nie pomagają sole rtęci, bromek ani chloral. Przynoszą jedynie przejściową ulgę. Dlatego, jak widzisz, trzymam w kufrze kolekcję panienek, którym uniemożliwiłem rozprzestrzenianie zgnilizny. Spójrz, ile kolorów. Od jakiegoś czasu szukałem nowego okazu do swojego zbioru. Zależało mi na pięknym kolorze - usłyszałam. - Znalazłem. Linny z Liverpoolu.

Spojrzałam na słoiki i wbiłam wzrok w najbliższy z nich. Nagle sapnęłam. Gdy zdałam sobie sprawę, na co patrzę, próbowałam się odsunąć, ale miałam wrażenie, że dołączyłam do mamy, tylko moje włosy nie



mogły pływać tak jak jej. Zaczęłam machać rękami, jakbym próbowała płynąć w gęstym powietrzu, byle dalej od słoików, w których unosiły się włosy we wszystkich możliwych kolorach.

Lśniaco czarne, ciemnobrązowe, kasztanowe, marchewkowe, brązowe. Wszystkie pływały.

Mężczyzna położył dłoń na moim ramieniu. Z trudem wykonałam pół obrotu. Wtem coś nade mną błysnęło. Myślałam, że to mewa, tymczasem w moją stronę opadły srebrno-złote nożyczki. Instynktownie osłoniłam się ramieniem; zrobiłam to jednak zbyt wolno, żeby je zatrzymać, jedynie udało mi się je odbić. Zamiast trafić tam, gdzie zmierzały, czyli w szyję, ześlizgnęły się nieco niżej i zagłębiły w mojej lewej piersi, przecinając przy okazji zieloną sukienkę, jakby była z masła. Zobaczyłam, że z rany leje się krew, chociaż nic mnie nie bolało. Nie byłam nawet zaszokowana.

Wciąż byłam zanurzona w głębokiej wodzie. Nie słyszałam żadnego dźwięku oprócz głośniego dudnienia krwi w uszach. Kiedy nożyczki znów zawisły nad moją głową, niezdarnie uderzyłam starszego mężczyznę, wytrącając mu niebezpieczne narzędzie z ręki.

Pochyliłam się i podniosłam je. Spojrzałam w obłąkane oczy. Potem sama uniosłam rękę i powoli, z wdziękiem, jakbym tańczyła, opuściłam ją. Starszy mężczyzna upadł na ziemię z nożyczkami w jednym oku.

Gdy zobaczyłam go leżącego u mych stóp, poczułam, że uginają się pode mną kolana. Czułam, że się przewracam, że wpadam w fale Mersey, gdzie czekała na mnie matka.

Jakiś czas później usłyszałam głośną rozmowę. Rozpoznałam historyczny śmiech Clancy'ego, chłopca w zwiewnej sukience.

- Nie wiem, sam nie wiem. Skąd mogliśmy przypuszczać, że nie zabije jej na samym początku, tak jak zazwyczaj? Och Pompeyu, potwornie kręci mi się w głowie. Proszę, daj mi rękę.

- Chryste! Co za okropieństwo! Dlaczego, do diabła, nie dal jej od razu tyle chloroformu, żeby ją zabić? Ale teraz ta dziwka już nie żyje, prawda? - spytał głos, który należał do pewnego siebie mężczyzny, niewątpliwie starszego od chłopca.

- Chyba tak, paniczu - odparł Pompey. Przypomniałam sobie napój, który siłą wlał mi do gardła.

On, nie starszy mężczyzna.

- No cóż, nigdy się nie dowiemy, jak do tego doszło, prawda? - powiedział panicz z pewną dozą złości. - Nie powinniśmy mu pozwalać na jego wstrętne wybryki. Nie powinniśmy szukać następnej panienki spod latarni. Teraz spójrz, co się stało. Powinienem kierować się intuicją.

Nadal niemal nic do mnie nie docierało, chociaż zaczęłam odczuwać tępy ból w górnej części ciała. Rozpoznałam również zapach świeżej krwi. Ktoś nawet podniósł moją głowę i poruszył nią. Potem ciągnięto mnie za nadgarstki, a ja czułam na rękach chłodne powietrze, gdyż podwinęły mi się rękawy.

- Spójrz, jakie ma śmieszne znamię - pisnął Clancy. - W kształcie ryby.

Potem upuszczono mnie bezwładnie na podłogę.

- Kto ją przyprowadził? Jakiś sutener? Czy dzisiaj wieczorem ktoś jej szukał?

Pytania zadawał ten sam co wcześniej wykształcony, przywykły do rozkazywania mężczyzna. Ktoś, komu nikt nie mógł się sprzeciwić. Jakie to dziwne - pomyślałam - że słyszę i rozumiem, ale nie jestem w stanie ruszyć nawet powieką.

- Z pewnością została opłacona na całą noc, paniczu. Nikt nie będzie jej szukał do rana - powiedział Pompey.

- Co teraz zrobimy? - spytał Clancy. - Co zrobimy? Krew. Tyle tu krwi.

Głos mu się załamał. Wybuchnął płaczem.

- Zamknij się, Clancy. Wrzuć ją do Mersey, Pompeyu - rozkazał mężczyzna. - Od razu.

- A co z pańskim ojcem, paniczu?

Zapadła cisza. Słyszać było tylko przytłumiony szloch Clancy'ego.

- Obmyj go najlepiej, jak umiesz - brzmiało polecenie. - Jeszcze przed świtem wyruszamy do Londynu. Jeśli jutro rano ktoś przyjdzie po dziew-

czynkę, nie będzie śladu ani po niej, ani po nas. Tak czy inaczej - o jedną dziwkę mniej. Nikt nie odczuje straty, oprócz porywczego sutenera.

Przez chwilę panowała cisza.

- Po przyjeździe do Londynu powiemy - kontynuował po dłuższym namyśle młody głos - że ojciec zmarł podczas wizyty w Liverpoolu, i zorganizujemy mu odpowiedni pogrzeb. Nikt nie musi wiedzieć, co się naprawdę stało. Prawdę znamy tylko my trzej. Żaden z nas nie puści pary z ust, prawda, (Clancy?

- O mój Boże! To oczywiste. Ale... ale to, co dziś widziałem, na pewno będzie mnie dręczyło w snach. - Głos Clancy'ego stał się piskliwy, wyraźnie brakowało mu tchu. - Nie mogę patrzeć, nie, nie mogę już dłużej na to patrzeć.

- Opanuj się, Clancy. - W głosie panicza słychać było zniecierpliwienie.

- Okropne nożyczki, twarz pana i... o mój Boże... ojej, niedobrze mi.

Poczułam drzenie podłogi i usłyszałam tupot nóg. Zapadła cisza, dłuższa niż za pierwszym razem.

Potem pewny siebie głos znów przejął dowodzenie.

- Mogę liczyć, Pompeyu, że zrobisz, co do ciebie należy? - spytał spokojnie. - Nie chcę, żeby cokolwiek zostało, zwłaszcza te przeklęte włosy i cholerny kufer. Ani ktokolwiek, kto mógłby pisać choćby słówkiem, co wydarzyło się dziś w nocy. Ktokolwiek. Rozumiesz mnie, Pompeyu?

- Tak, paniczu.

Rozmowa dobiegła końca; podłoga ponownie zadrżała pod czyimiś stopami, a potem cicho stuknęły drzwi.

Poruszyłam lewą ręką. Poczułam niespodziewany, potworny ból, jakby nożyczki wbijały mi się w skórę, ścięgno i mięśnie. Pomocy, błagam, niech ktoś mi pomoże - próbowałam wyszeptać, ale moje wargi ani drgnęły, poza tym nie było nikogo, kto mógłby mi pomóc. Mama odeszła, a mężczyznę o imieniu Ram interesowały tylko pieniądze, które mógł dostać za moją pracę. W powietrzu uniósł się przykry zapach palonych włosów.

- Pompeyu? - szepnęłam.

W końcu udało mi się wydobyć głos. Wyczułam jakiś smród, ale nie usłyszałam odpowiedzi. Potem zanurzyłam się w słodkich objęciach rzeki.

- Ki diabeł?

Jakimś cudem ponownie odzyskałam przytomność. Czyżbym usłyszała przytłumiony krzyk, który dochodził z daleka albo zza ściany? A może to tylko jakieś wibracje?

Niczego nie widziałam, ale nie umiałam powiedzieć, czy oczy mam otwarte, czy zamknięte. Nie miałam sił, żeby się ruszyć. Potem zdałam sobie sprawę, że delikatnie się kołyszę, jakbym leżała w kołysce.

Znów usłyszałam jakiś głos, ale tym razem dobiegał z bliska.

- Słyszałeś cosik, Gib?

Ktoś beknął, jakby został brutalnie obudzony. Potem jęknął.

- Niczecom nie słyszał. Napijmy się, Willy.

Było mi zimno. Mokro. Wiedziałam, że leżę na boku. Rozległ się jakiś dobrze znany mi dźwięk. Z całych sił starałam się go rozpoznać. Wiosła, delikatne uderzenia wiosła o wodę.

- Sąśmy tu całą nockę? Idzie ranek, Willy?

- Nie. Dzwony niedawno bili na trzecią.

Słowa dobiegały z bliska, wyraźnie słyszałam odgłosy wiosłowania. Byłam coraz bardziej przemoczona; woda wlewała mi się do ucha.

- Słyszałem powóz, Gib, a potem gdzieś tutaj cosik wpadło do wody. Cosik wielgachnego.

W odpowiedzi rozległo się beknienie.

- Moja kobita obedrze mnie ze skóry. Płyniemy do brzegu, Willy. Pora do domu. Kiejby mi się udało wejść cichcem, może nie...

Coś uderzyło mnie w czubek głowy.

- Chryste, dobrześ gadał, stary pierniku. Ki diabeł? Co to je, Willy?

Woda zalała mi twarz. Powoli wypełniała mi usta, przesączała się między wargami. Próbowałam ją przełknąć albo wypluć, ale mi się nie udało. Nic nie działało tak, jak powinno, ani moje usta, ani gardło.

- To cosic tonie, Gib. Piernikiem, pomóż mi. Jakasik skrzynia. Wyciągmy ją. Ruchaj się.

- Je okrutnie ciężka. Tam je sznur. Wyciągniem ją na brzeg.

Drobne fale zawirowały wokół mojej twarzy, potem poczułam, że jestem podnoszona. Miałam w ustach pełno wody. Coś wpychało mi się na plecy.

Jakieś pudło. Czyżby trumna? Umarłam? - zastanawiałam się. Lada chwila woda mnie udusi. To mnie pocieszyło, oznaczało bowiem, że jeszcze żyję. Nie wiedziałam jednak, gdzie jestem i co robię w rzece z czymś, co naciska mi mocno na plecy. Usłyszałam, że dno łódki trze o kamienie. Potem skrzynia została wyciągnięta na brzeg. Czułam pod sobą drżenie, ale wciąż nie mogłam się ruszyć, nie byłam w stanie wydać żadnego dźwięku.

- To kufer. Wielgachny kufer podróżny. Trza go otworzyć, Willy. Może najdziem w nim cosik cennego.

- Kiej próbuję.

- Majakowyś zamek?

- Nie, jeno tęgie zasuw. To dobry znak. Może do środka nie wpłynęło wiewa wody. No, będzie. Jezusie litościwy!

Poczułam lodowate powietrze, potem zapadła cisza. Zdałam sobie sprawę, że mam zamknięte oczy, bo niczego nie widziałam.

- Dwie dziewczuszki - powiedział łagodniejszy głos. Teraz wiedziałam już, że należał do Willy'ego.

- Przeca widzę. Spójrz ino, jak se leżą. Kiej łyżeczki. Po kiego czorta te słoiki? Puste. Nawet bez przykrywków.

- Nie wiem. Jezu, Gib. Co tera pocznem?

- Cheba nie żyją.

- Pewnikiem tak. Nie ruchają się.

Usłyszałam szelest ubrania, po czym łagodniejszy głos rozległ się tuż nad moją twarzą.

- Ale to nie topielice. Mają zalaną jeno połowę twarzy. Wyczułam wjego oddechu piwo.

- Dobrze gadasz. Cheba mają telo lat co twoja najmłodsza, Willy.

Ktoś szarpnął mnie za ramię.

- Ktosić dźgnął ją prosto w serce.

- Drugą też?

Następny szelest, trochę ruchu. Tym razem ciężar za moimi plecami ustąpił.

- Nie. Tej poderznął gardło. Może mają cosik, co by się dało opylić.

- Coś ty? Po kiego czorta ktosik by je zabijał, a potem wciepnął do wody, nie biorąc wpierw tego, co można opylić.

- Hej, Willy, może by je sprzedać konowałam ze szpitala? Drugi głos odpowiedział ostro:

- Nikto nie powinien grzebać w czyimś truchle!

- Nie drzyj się tak, Willy. Przeca nie zwinęliśmy ich z cmentarza. Same do nas przypląnęły.

- Nie, nie zrobię tego. Nie sprzedam dziewczuszek rzeźni-kom, co to mają krew na łapach. Jak można kroić trupy, coby czegosik się nauczyć? Na dodatek nie ma w co ich zawinać ani jak dowieźć. Nie, nie zrobię tego, Gib - powtórzył Willy.

Usłyszałam cichy szelest, być może drapanie palców po zarośniętej twarzy.

- Pewnikiem dobrze gadasz. Kiejby nas kto przyłapał z dwoma trupami... - Gib westchnął.

Usłyszałam, jak łódka trze o kamienie i wsuwa się na płytki brzeg.

- Ale może da się opylić ichnie kiecki, Willy. W głosie zabrzmiała nadzieja.

- Som zabrudzone krwią, a ta zielona je z przodu rozcięta.

- Ale krew je świeża. Łacno da się uprać. A moja kobita talkiem nie-źle macha igłą i nitką. Potem opchniemy je na largu. Za tą w kwiatki może dostaniemy szylinga alibo dwa. A kufer... też pewnikiem jest trocha wart. Do roboty, Willy. Weź zieloną, ja zajmę się kwiecistą. Wyciepnij słoiki.

Poczułam za sobą gwałtowny ruch, usłyszałam odgłos roz-bijanego szkła.

- Ojce kiedyś mnie ochrzčili, Gib, i mam dziatki. Po mojemu to grzech. Nie mogę rozwdziać tych dziewczuszek do rosołu i wciepnać ich do rzeki. Nie pasuje mi to.



- Zapomnij o córkach, Willy. Dam głowę, że za te szma-ly... - Rozległ się cichy gwizd. - O kuchnia, to nie dziewczuszka. Patrzaj tylko!

Cisza.

- Dobrze gadasz. Jezusiczku! Po kiego czorta udawał dziewczuskę?

Znow poczułam szarpnięcie.

- Diabli wiedzą? Kogo to obchodzi? Ale ta druga to dziewczuszka, chociaż ma obcięte włosy.

- Jaka maluśka!

- Zamknij się, Willy. Oboje som umarłe i szmaty im na nic, ani temu chłopczkowi, ani dziewczusce. A szmata to szmata.

Nie jestem martwa - chciałam powiedzieć. - Nie widzicie, że żyję?

W dalszym ciągu coś tam za mną robili.

- Nie wgapij się, kiejbyś obaczył ducha - powiedział bardziej szorstki głos.

Gdy zza moich pleców wyciągnięto ciało, poczułam chłodne powietrze. Teraz już wiedziałam, że to Clancy.

- Patrzaj, ktosik poderzwał mu szyję od ucha do ucha. Ma teraz wielgachny czerwony uśmiech.

Rozległo się ciche plaśnięcie, potem stukot; zwłoki Clancy'ego opadły z powrotem za moje plecy.

- Gotowe. Potrzep dobrze tą kiecką i spier z niej krew. Ktoś chwycił mnie za rękę. Dwa słoiki, które widocznie uwięzły między fałdami mojej sukienki, zabrzączały jeden o drugi.

- Czemu stoisz kiej kołek, Willy. Rób, co ci gadam. Jak jesteś za miętki, ja to zrobię. Jeno wtedy obie kiecki będą moje.

Ktoś mnie podciągnął, a po chwili opuścił.

- Ona nie je taka zimna jak ten chłoptaś - powiedział mężczyzna o imieniu Gib. - Willy? Ona cheba nie umarła.

Ktoś kopnął mnie czubkiem buta w brzuch. Nagłe uderzenie spowodowało, że wyrzuciłam z ust śmierdzącą wodę z Mersey.

- Cholera. Żywię - powiedział Gib. - Ale pewnikiem lada chwila umrze. Po nic jej już kiecka.

Ściągnął mi ją z ramion.

- Ostawją, Gib - zaprotestował Willy.
- Czego chcesz?
- Słyszałeś, co powiedziałem. Ostawją.
- Niby czemu, Willy?

Poczułam, że ktoś wsuwa mi ręce pod pachy, a potem wyciąga mnie z kufra. Słoiki, które wciąż tkwiły w fałdach mojej sukienki, rozbiły się na mokrych kamieniach.

- Zimna woda chyba zatrzymała krew - powiedział łagodniejszy głos.
- Rzeka, zamiast ją wykończyć, uratowała jej życie. Ciekawzem, kto tak załatwił te dzieciaki.

Zakrztusiłam się i gwałtownie wyrzuciłam z siebie resztki wody wymieszane ze śliną.

- Pompey - szepnęłam.

Widocznie Pompey zgodnie z rozkazem wrzucił mnie do Mersey - pomyślałam. Myślał, że nie żyję, więc nie podcinał mi gardła jak Clancy'emu.

- Woła tatę - powiedział Willy. - Przyzywa tatusia. Szorstkimi rękami zostałam wyciągnięta na kamienie.

Wtedy poczułam potworny ból w piersi i znów ogarnęła mnie błogosławiona ciemność.

## Rozdział 6

Ktoś mocno mną potrząsnął.

- Obudź się, dziewczyno. Wstawaj.

Potrząśnięcie spowodowało taki ból, że aż krzyknęłam. Gdy otworzyłam oczy, ujrzałam wymizerowaną twarz kobiety w średnim wieku.

Bolało mnie całe ciało. Nie mogłam się ruszyć, do łóżka przykuwało mnie pulsowanie w skroniach i potworny ból w piersiach.

- Wstawaj. Już za długo tu leżysz.

- Pić - szepnęłam, próbując oblizać wargi. - Pić. Proszę dać mi coś do picia.

Kobieta zachowywała się tak, jakby w ogóle mnie nie słyszała. Dzięki szarej sukni przypominała długi kawałek szarego materiału - wszystko miała szare: włosy, skórę, ubranie.

- Był u ciebie cyrulik i jakoś cię pozszywał. - Musiała podnieść głos, żeby przekrzyczeć jęki, przekleństwa i modlitwy. - Ubieraj się. Ludzie czekają na twoje łóżko. Jak się ubierzesz, wyjdź tamtymi drzwiami - powiedziała, pokazując koniec długiej sali.

Rzuciła na podłogę moje buty, a na skraj łóżka zieloną sukienkę, sztywną od krwi i śmierdzącą wilgocią. Do zakrwawionego dekoltu ktoś przypiął brązowy, zjedzony przez mole szal.

- Nic więcej na sobie nie miałaś, chociaż trzeba przyznać, że rzadko widzimy tu takie porządne buty. Ruszaj się.

- Cyrulik? - szepnęłam. - Gdzie ja jestem?

- Co powiedziałaś? - spytała kobieta, nachylając się nade mną.

- Gdzie jestem? - spytałam ponownie, czując, że ogarnia mnie przerażenie.

- W szpitalu przy przytułku Brownlow Hill. Uniosłam głowę, czując przy tym następną falę bólu.

- Nikt nigdy nie wychodzi ze szpitala żywy. Czy to znaczy, że umrę? Kobieta potrząsnęła głową.

- Co za idiotka! Ludzie tacy jak ty wierzą, że umrą w szpitalu, tylko dlatego, że trafiają do niego dopiero wtedy, gdy są o krok od śmierci i nie możemy im już pomóc. Miałaś szczęście. Jakaś życzliwa dusza opatrzyła ci ranę szalem. Inaczej wykrwawiłabyś się na śmierć. Pospiesz się. Jeśli nie masz gdzie się podziać, idź do przytułku. Gdy wrócisz do sił, dadzą ci tam jakąś pracę.

Odwróciła się i odeszła.

Leżałam bez ruchu, próbując zapanować nad bólem, powstrzymać zawroty głowy i wszystko sobie przypomnieć.

Nagle wrócił horror, który ostatnio przeżyłam.

- Nie - jęknęłam, ponownie zamykając oczy. - Nie.

Przypomniałam sobie pokój, w którym unosił się słodki, mdlący zapach. Leżałam na dywanie w domu przy Rodney Street, czułam woń palonych włosów. Włosy, nożyczki. I mężczyzna... mężczyzna, którego zabiłam, którego zamordowałam. Czy mnie złapią, wsadzą do więzienia, a potem powieszą i wrzucą moje ciało wraz z innymi mordercami do dziury z wapnem palonym?

Co się działo potem? Ożyło następne wspomnienie. Było ciemno, mokro. Czy naprawdę mi się śniło, że moja matka pływała tuż pod powierzchnią Mersey? Pamiętałam, że było mi zimno i myślałam: Czy to ty, mamusiu? Czułam, że ktoś napiera mi na plecy, ale to nie była mama, tylko Clancy. Gdzieś w pobliżu rozbrzmiewały głosy mężczyzn. Jeden z nich miał na imię Gib, drugi Willy. To Willy uratował mi życie, to on przyniósł mnie do szpitala.

Jęcząc, usiadłam na materacu brudnym od krwi, wymiocin, moczu i kału. Wzięłam głęboki wdech i próbowałam opanować mdłości wywołane bólem. Niezgrabnie zdjęłam przez głowę zniszczoną koszulę, którą ktoś mi włożył. Pod wpływem wysiłku mocno zaciskałam usta i nie zwracałam uwagi na staruszkę, która leżała na łóżku o trzydzieści centymetrów ode mnie i przyglądała mi się zamglonymi oczami. Pierś owiniętą miałam grubą, zakrwawioną flanelą. Nie mogłam włożyć sukienki, ale nie było nikogo, kto by mi pomógł. Kobieta, która ze mną rozmawiała, była z przytułku; jej twarz nie wyrażała ani cienia współczucia.

Koniec końców jakoś udało mi się włożyć sukienkę. Staruszka wyciągnęła rękę o pogrubiąłych, żółtych paznokciach, dotknęła zielonego materiału, uśmiechnęła się bezzębnie i wymamrotała coś niezrozumiałego. Rzuciłam na jej łóżko brązowy szal; porwała go, powąchała i zaczęła poklepywać, jakby trzymała w rękach małe zwierzątko. Wsunęłam stopy w mokre buty, a potem, bez zawiązywania sznurowadeł, potykając się, przeszłam przez długą salę pełną jęczących, wzbudzających litość mężczyzn i kobiet, jakbym nadal była pogrążona w koszmarnym śnie. Mijałam różne części budynku, mimo woli odczytując nazwy oddziałów: „Wariaci” z zamkniętymi na kłódki, zniszczonymi drzwiami, które nie

dumiły rozpaczliwych krzyków i dziwnych głosów; „Poparzenia i wysypki” z cichymi jękami i przytłumionym płaczem; „Osipa” z niesamowitą ciszą; ale gorsza od krzyków i dojmującej ciszy była kakofonia smutnych dźwięków, jakie dochodziły z oddziału, na którego drzwiach widniała kartka z napisem: „Dzieci”.

Wyszłam na ulicę. Był szary, mglisty poranek. Okrążyłam szerokim łukiem przytułek, który znajdował się na lewo od szpitala, i ruszyłam ścieżką w stronę głównej drogi. Szłam i szłam, zdając sobie sprawę, że jeśli upadnę, zabiorą mnie do przytułku. Stawiałam nogę przed nogą, nie zważając na to, że mgła ustąpiła i jej miejsce zajęło mizerne słońce o bladych promieniach. Kiedy zbliżałam się do Vauxhall Road i słuz liverpolskiego kanału Leeds, zauważyłam w Lock Fields spory dum gapiów. Ludzie obserwowali dwóch młodych mężczyzn, którzy prawdopodobnie bili się po całonocnej kłótni w jednym z domów publicznych, których tutaj nie brakowało.

Z trudem posuwałam się do przodu w ciężkich butach i podartej sukience, chwilami zwijałam się wzdłuż, pragnąc pokonać ból. Ludzie ustępowali mi z drogi. Czułam się jak starucha, która czekała na śmierć na sąsiednim łóżku szpitalnym i wyraźnie kochała zielen.

Gdy upadłam w drzwiach, Ram otworzył usta. - Co... - zaczął.

Podniosłam się, jakimś cudem pokonałam ostatni odcinek i opadłam na swoją pryczę. Z powodu bólu mogłam leżeć tylko na plecach. Pociągnęłam za koc, ale nie udało mi się nim przykryć. Leżałam z otwartymi oczami. Ram podszedł i spojrzał na mnie z góry.

- Co ci się stało? - spytał.

Uważnie przyjrzał się podartej sukience, brudnej flaneli, która spowiadała moją pierś, i krótkim włosom. Dostrzegłam na jego twarzy tak dobrze znaną złość.

- Kiedy poszedłem wczoraj na Rodney Street i nikt nie otworzył mi drzwi, myślałem, że ode mnie uciekłaś. Boże, jak ty wyglądasz! Nie chciałaś zrobić tego, o co prosił cię klient? Ukarł cię?

Zamknęłam oczy.

- Ja też powinienem cię ukarać. Ta sukienka sporo mnie kosztowała - ciągnął. - Będziesz musiała usunąć krew i pozszywać ją najlepiej, jak umiesz.

Co prawda podniósł głos, ale usłyszałam w nim pewne wahanie, coś, czego nigdy wcześniej nie zauważyłam, jakby tylko udawał złość, a w dodatku przychodziło mu to z wielkim trudem.

- Nie przyjmą cię z powrotem do introligatorni, jeśli opuścisz więcej niż kilka dni, a ja na razie nie mam dla ciebie żadnych klientów. Gdybyś tak okropnie nie wyglądała... A tak swoją drogą, co się stało z twoimi włosami?... Chętnie dzieliłbym cię przez łeb za to, że sprawiasz mi tyle kłopotu. Bezużyteczna suka -jęknął.

Chwilę później obniżył głos, a ja poczułam, że okrył mnie kocem.

- Chyba lepiej będzie, jeśli trochę poleżysz - powiedział. Potem wsunął twardą dłoń pod moją głowę, uniósł ją, a ja poczułam brzeg kubka na wargach. Kiedy otworzyłam usta, do gardła spłynęła mi chłodna woda.

Piłam i piłam, nie wydając żadnego dźwięku. Gdybym należała do osób, które lubią płakać, na pewno bym się rozplakała.

\*

Koniec końców szwy na piersi powoli zaczęły się goić, a ja przestałam majaczyć. Wiem, że przez jakiś czas - może tydzień, może dwa - miotałam się na łóżku: z tego okresu pamiętam tylko ból, pragnienie, światło i Rama, który łyżeczką wlewał mi do ust wodnisty kleik i od czasu do czasu sadzał na nocniku. Wszystko zlało się w jedną czarną plamę. Sama nie wiem, jak długo to trwało. Pewnego ranka usiadłam na skraju .swojej pryczy i rozejrzałam się wokół. Byłam sama i o ile dobrze pamiętam, nieźle kręciło mi się w głowie, chociaż mój umysł pracował ze znacznie większą precyzją niż kiedykolwiek wcześniej. Wkrótce miałam skończyć czternaście lat; wiedziałam, że jestem wystarczająco dorosła, aby podjąć samodzielną decyzję. Miałam dwa wyjścia: mogłam zostać albo odejść.



Gdybym została, wróciłabym do wyczerpującej, nudnej pracy w intro-  
ligatorni - o ile jeszcze by mnie chcieli - albo w innej fabryce za nędzne  
wynagrodzenie, które odbierałby za mnie Ram Munt. Poza tym nadal by  
mnie sprzedawał, a ja za swój trud nie dostałabym ani pensa.

Gdybym odeszła, nie wiedziałabym, co mnie czeka, ale przynajmniej  
miałabym na to jakiś wpływ.

Wybór był prosty i oczywisty.

Podeszłam do drewnianej szkatułki i wyjęłam z niej lusterko. Przej-  
rzałam się w nim i zobaczyłam, że to, co czułam, rzucając się w mokrej  
pościeli, było prawdą. Moja twarz była chudsza niż normalnie, za to oczy  
bardzo się zmieniły: stały się wyraźniejsze, ciemniejsze i większe. Błysz-  
czało w nich coś, czego nie umiałam nazwać. Jasne włosy sterczały mi  
wokół głowy, ale dzięki temu, że nie miałam loków i lepiej było widać  
kości policzkowe, przestałam wyglądać jak dziecko i przeistoczyłam się  
w kobietę.

Rozwinęłam muślin, który zajął miejsce brudnej flaneli. Na piersi  
miałam ciemną bliznę. Dotknęłam jej. Skóra była nabrzmiąta i tworzyła  
nierówny szew. Stwardniała, tak samo jak coś w moim wnętrzu. Stałam  
się zbuntowana i niepokorna.

Wyczyściłam zieloną sukienkę i zszyłam rozcięcie. Przez chwilę prze-  
szukiwałam cały pokój i po kolei znajdowałam monety, które Ram po-  
ukrywał w różnych zakamarkach - były to ciężko zarobione przeze mnie  
pieniądze. Żałowałam tylko że ojczym wyraźnie większość ich przepił.  
Odzyskałam jedynie żalosalną część tego, co należało mi się za lata pra-  
cy.

Zjadłam piątkę chleba, która leżała na stole. Przy przelękaniu przyci-  
skałam rękę do ust, żeby zatrzymać w żołądku pierwszy posiłek, jaki ja-  
dłam po długiej przerwie. Potem wypiłam trochę wody i wyszłam. Opu-  
ściłam obskurny pokój przy Back Phoebe Anne Street, zostawiłam za so-  
bą nędzne podwórko ze strużką ludzkich odchodów w płytkim rynsztoku  
i pożegnałam ulicę zarobaczonych chałup.

Miałam na sobie elegancką zieloną sukienkę, czysty szal i słomkowy  
kapelusz. Pod pachą ścisnęłam drewnianą szkatułkę z lusterkiem, książ-

ka, wisiorkiem i kościanym nożem. Znalezione pieniądze zawinęłam w chusteczkę do nosa i wszyłam w bieliznę.

Kilka godzin później stanęłam na Paradise Street, przy której było pełno noclegowni i pensjonatów dla marynarzy.

- To mój rewir - powiedziała wysoka, koścista kobieta, zerkając na złocistą grzywkę, która sterczała spod mojego kapelusza.

- Każdy ma prawo stać na ulicy, no nie? - spytałam, dostosowując się do jej sposobu mówienia.

- Od jak dawna pracujesz?

- Prawie od trzech lat - odparłam.

- Na pewno nie tutaj. Znam wszystkie dziewczęta z bliższej i dalszej okolicy. Coś mi jednak mówi, że znasz się na rzeczy. - Bacznie przyjrzała się mojej twarzy. - Jesteś młoda. Młodsza niż większość nas. Z tego, co widzę, nasz zawód nie zdążył jeszcze wycisnąć na tobie piętna.

Nie odpowiedziałam.

- Ile masz lat?

- Czternaście.

Prawie - dodałam w myślach.

- Jeśli chcesz tu pracować, musisz to robić dla mnie. Co ty na to?

- Zależy - odparłam z odwagą, o którą się nawet nie podgrzewałam. Podobała mi się. - Ile bierzesz?

- Połowę dochodu z każdego wieczoru. Stawiam jednak pewne wymagania. Nie pozwalam swoim dziewczętom pić podczas pracy. Mam też swoje sposoby, żeby sprawdzić, czy ktoś mnie kantuje. Jeśli cię na tym przyłapię, wylecisz stąd tak szybko, że nawet nie zdążysz związać tasemek swojego kapelusza, a ja dopilnuję, żebyś nigdy więcej nie znalazła klienta w tym rewirze. Jasne?

Przytaknęłam.

- Jesteś zdrowa? Moje dziewczęta nie mogą mieć trypra ani kiły. Muszę dbać o reputację. Tylko zdrowe panienki mogą mówić o sobie, że są dziewczętami Blue. Tak samo było, gdy przed przyjazdem do Liverpoolu

prowadziłam interes w Seven Dials w Londynie. Wszystkie moje dziewczęta muszą być zdrowe.

- Jestem zdrowa - zapewniłam ją, a potem z pełną rozwagą zsunęłam szalik.

Z zadowoleniem zauważyłam obrzydzenie na twarzy Blue.

- O kurde! To jeszcze całkiem świeża rana. Możesz pracować w takim stanie?

- Nie przeszkadza mi to. Zdjęła z szyi brudny, żółty szalik.

- Na razie spróbuj to zakrywać - zaproponowała. - Lepiej nie zrażać zbyt wcześnie klientów.

Wzięłam od niej szalik i osłoniłam ranę.

- Jak masz na imię?

- Linnet - odparłam. - Linnet Gow. - Wyprostowałam plecy. - Mówią na mnie „Linny”.

Kobieta pokręciła głową.

- Chcesz zmienić imię? Czy ktoś z twojej przeszłości... - Wskazała brodą na moją pierś. - ...może cię szukać? Jak sądzisz? - Zatupała, czekając na odpowiedź.

- Zostanę przy „Linny” - odparłam. - Linny Gow. A jeśli ktoś będzie mnie szukał... - Przed oczami stanęła mi nieogolona twarz Rama Munta. - ...poradzę sobie.

- Super. Mam kwatery, z których będziesz mogła korzystać. Możesz dla mnie pracować tak długo, jak długo będziesz się sprawdzać. Gdybyś miała problem z jakimś klientem, którąś z dziewcząt albo glinami, przyjdź do mnie. Przekonasz się, że jeśli ktoś przestrzega reguł, jestem sprawiedliwa.

Kiedy przytaknęłam, pokazała w uśmiechu wyszczerbione, chociaż zdrowe i mocne zęby.

- Widzę, że jesteś odważna - powiedziała. - Mężczyźni, którzy lubią się zabawiać na ulicach, cenią sobie odwagę. Uległym i niepewnym mówię: „Wracajcie do domu do swoich nabożnych żonek”.

Roześmiała się z własnego żartu, a ja otworzyłam usta i wydałam dźwięk, który można było uznać za wyraz rozbawienia.

Moje włosy odrosły, a ja w końcu bez bólu i rwania w piersiach mogłam podnieść brodę i wyprostować plecy. Zgodnie z umową w zamian za miejsce w zatłoczonym pokoju do spania i osobnym, podzielonym na trzy części pomieszczeniu z cienkimi materacami, gdzie mogłam przyprowadzać klientów, wręczałam Blue ponad połowę conocnego zarobku.

- Skąd jesteś? - spytała pewnego wieczoru Lambie, gdy siedziałyśmy przy brudnym stoliku w Goat's Head.

- Z Back Phoebe Anne Street, niedaleko Vauxhall Road -odparłam.

- Vauxhall Road? To dlaczego tak cudacznie mówisz? Ludzie z Vauxhall Road nie mówią tak jak ty. Ja jestem ze Scot-tie Road i nikt nigdy mnie nie uczył takich eleganckich słów.

Uśmiechnęłam się szczerze, od serca.

- Szlachetna krew - zdradziłam. - Wszystko zawdzięczam szlachetnej krwi, moje kochane.

Uniosłam szklankę ze słodzoną wodą, po czym wraz z Lambie i Sweet Girl wypiliśmy toast za szlachetną krew, za to, że w ciągu godziny możemy zarobić więcej niż przez cały dzień w hucie szkła, fabryce porcelany, fabryce świec, cukrowni czy introligatorni, i za wolność, która wynika z faktu, że człowiek nawet się nie zastanawia, co myślą inni.

- Nie brakuje ci klientów, no nie? Jak ty to robisz? - Lambie zerknęła na Sweet Girl. - Jak to się dzieje, że przyciąga większość klientów? I to z tym?

Lambie wskazała palcem. Spojrzałam w dół. Moja prawa pierś unosiła się lekko nad szarą koronką w dekolcie sukienki, Skóra była gładka i w świetle lampy gazowej miała perłowy odcień. Po lewej stronie od pierwszego żebra aż po sam sutek biegła szeroka, poszarpana, karmazynowa blizna. Często, gdy nikt nie patrzył, próbowałam ją rozmasować. Czasami wciąż mnie bolała, jakby nożyczki, które zagłębiły się w miękkim ciele, zostawiły jakąś truciznę, przez co rana jątrzyła się I piekła, chociaż cyrulik wyciął zakażone fragmenty i niezgrabnie pozszywał postrzępione

brzegi. Brodawka została; ale w lewej piersi brakowało mięśni i tłuszczu, jakie wypełniały prawą pierś.

Sweet Girl wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, ale nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby część ich przysyłała do mnie. Czasami właściwie nie mam nic do roboty, a moich klientów stać na niewiele więcej niż sikanie.

- Chyba wszystko dlatego, że udaje damę, która tylko na chwilę zniżyła się do poziomu ulicy i pozwala im skorzystać ze swojej wypudrowanej i wypucowanej cipki. Prawda?

Wybuchnęły głośnym śmiechem, a ja zmarszczyłam czoło. Zdawałam sobie sprawę, że jestem inna, ponieważ w moich żyłach płynie lepsza krew, ale w rękawie miałam jeszcze jednego asa: wiedziałam, że nie będę tego robić wiecznie, że czeka mnie lepsze życie. Ludzie jeszcze zapamiętają nazwisko Linny Gow.

## Rozdział 7

Rzeczywiście nie brakowało mi klientów. Większość ich zabierałam do jednej z maleńkich komórek na trzecim piętrze domu przy Jack Street, wąskiej przecznicy Paradise Street. Był tam materac przykryty kilkoma warstwami tanich prześcieradeł. Po każdym kliencie zdejmowało się górne, zabrudzone prześcieradło. Niektórzy nie chcieli czekać: zależało im tylko na szybkim numerku w bramie albo ciemnym zaułku.

Ram Munt odnalazł mnie niedługo po wyprowadzeniu się przeze mnie z Back Phoebe Anne Street. Nie ukrywałam się, dlatego nawet stosunkowo tępy Ram bez trudu mógł wpaść na to, gdzie jestem.

Stałam pod latarnią, gdy z daleka zobaczyłam, że nadchodzi. Dobrze znałam jego rozkołysany, marynarski chód i wyłupiaste oczy. Zauważyłam, że jest nieźle podchmielony. Widać to było nawet w ciemności między latarniami. Śmiało przyglądał się po kolei twarzom wszystkich dziewcząt, które mijał. Podeszłam bliżej do światła i sięgnęłam pod kapełusz.

Ram mnie rozpoznał i przyspieszył kroku. Podeszłam do niego z rozłożonymi rękoma, żeby go objąć. Kiedy przy mnie stanął, przyłożyłam lewą rękę do jego ramienia, a potem wysunęłam ostrze noża, celując w puls na szyi.

- Cześć, Ram - dmuchnęłam mu w twarz. - Byłam ciekawa, jak szybko cię zobaczę.

Nacisnęłam nóż: czubek przebił skórę, po szyi popłynęła czerwona kropelka krwi. Ram pisnął jak niemowlę.

- Linny, moja córeczko! Tak witasz swojego papcia? - spytał, niespokojnie rozglądając się na boki.

Spojrzałam na popękane żyłki na policzkach i czerwony od picia nochal, pokryty dużymi bulwami. Oczywiście, był silniejszy ode mnie. Pomimo zamroczenia alkoholowego z pewnością zdołałby wytrącić mi nóż z ręki i powalić mnie na ziemię, nim zdążyłabym użyć swojej broni. Oboje o tym wiedzieliśmy, ale stojąc w kręgu światła, czułam, że mam przewagę. Od tylu lat wciąż na nowo wyobrażałam sobie, że przystawiam Ramowi nóż do gardła, dlatego teraz z pewnością wyraz mojej twarzy mówił mu, iż nie jestem już małą Linny Munt.

- Wynoś się stąd, Ram. Teraz tu jest mój dom. Przestałam być twoją własnością.

Podobało mi się brzmienie mojego głosu, gdy to mówiłam.

- Daj spokój, Linny. Zastanów się. Uśmiechnęłam się blado.

- Zastanowiłam się, Ram. Naprawdę.

- Masz jakieś problemy, Linny?

Za moimi plecami stanęła Blue. Ram zmarszczył czoło. Uśmiechnęłam się od ucha do ucha, nie odrywając wzroku od Rama.

- Nie, Blue, nie mam żadnych problemów. To po prostu ktoś, komu wydawało się, że mnie zna, ale jest w błędzie. Wcale mnie nie zna.

Opuściłam nóż, chociaż nadal go nie chowałam. Świado lśniło na ostrzu.



Ram miał zamiar jeszcze coś powiedzieć, ale po chwili wyraźnie się rozmyślił. Spojrzał na mnie wilkiem, jeszcze raz zerknął na nóż; potem przeniósł wzrok na Blue.

- Okradnie cię do ostatniego pensa - warknął. - I zostawi z pustymi rękami. To przebiegła suka. Będziesz żałować, że ją przygarnęłaś.

- Pozwól, że sama to ocenię, dobry człowieku - powiedziała Blue.

Ram Munt odwrócił się i odszedł. Patrząc, jak się oddala, wiedziałam, że już nie wróci. Niemal żałowałam, że mając szansę, nie wbiłam noża głębiej w pulsującą żyłę. Zdałam sobie sprawę, jak łatwo jest ponownie zabić. Pierwsze morderstwo przypomina stratę dziewictwa: jest trudne, bolesne i powoduje wyrzuty sumienia, ale gdy się to już ma za sobą, sprawa jest przesądzona. Nic nie może zapobiec następnemu pieprzeniu się - albo pozbawieniu kogoś życia.

Nadeszło lato, a ja nadal miałam wielu klientów. Miło było stać w ciepłą noc na świeżym powietrzu, czując lekki wietrzyk na twarzy i ramionach, mając suche nogi. Lubiłam towarzystwo innych dziewcząt: stałyśmy obok siebie i patrzyłyśmy, jak zwalniają powozy. Czasami przy rozmowach i plotkach zajadałyśmy orzeszki ziemne. Wracałam wtedy wspomnieniami do przyjaźni z Minnie i Jane albo do wystawiania po kolacji na podwórku z moją mamą. Zdałam sobie sprawę, jak samotna byłam przez ostatnie lata i jak krótko trzymał mnie Ram. Cieszyła mnie niezależność; chociaż rzadko odmawiałam klientom, wiedziałam, że zawsze mogę to zrobić, jeśli któryś z nich będzie zbyt odpychający lub podejrzany. Lubiłam wolność i świadomość, że mogę zatrzymać połowę swoich zarobków. Przypomniałam sobie marzenia, jakie dzieliłam z Minnie i Jane, gdy wracałyśmy z introligatorni do domu, dlatego zaczęłam sobie kupować w lombardzie naszyjniki ze sztucznych kamieni, torebki ozdobione paciorkami i kapelusiki z piórkami. Czasami nawet dwukrotnie tego samego wieczoru wpadałam do taniej jadłodajni na gorące danie i zaczęłam zbierać małe, używane, jakże kochane książki w skórzanej oprawie.

Robiąc zakupy, czułam się niemal całkiem dorosła, a czasami, kiedy wsuwałam na rękę jaskrawą błyskotkę, żeby mocją popodziwiać, byłam

bliska szczęścia. Tymczasem jak daleko zaszły Minnie i Jane? Pewnie nadal pracują w introligatorni i oddają zarobione pieniądze ojcom albo, być może, teraz już mężom. Porzuciły dziecięce marzenia o eleganckich drobiazgach z wystaw sklepowych, a ich wynagrodzenie jest w stanie zapewnić jedynie chleb na stół i dach nad głową.

Byłam uczciwa wobec Blue, której zawdzięczałam ochronę. Wiedziałam, że mnie lubi. Pewnego razu, kiedy wręczałam jej połowę tego, co zarobiłam, mrugnęła do mnie okiem.

- Dobrze sobie radzisz, dziewczyno - powiedziała. - Myślę, że póki będziesz zdrowa, nie musisz się martwić o przyszłość. Panienska taka jak ty może zarobić na wiele lat.

Przytaknęłam, ale nie miałam zamiaru pracować na ulicy w nieskończoność. Chociaż cieszyłam się swobodą, o jakiej Minnie i Jane nawet nie mogły marzyć, nie podobała mi się cena, jaką musiałam za to płacić. Wiedziałam, że kiedyś opuszczę Paradise Street, opuszczę Londyn, opuszczę Anglię. Zaczęłam myśleć o Ameryce, o której kiedyś marzyła moja mama.

Jej nigdy nie udało się wyrwać z nędzy, ja miałam taki zamiar.

W pewien wietrzny marcowy wieczór dowiedziałam się o staku do Ameryki. Byłam na Goree Piazza, tam gdzie niegdyś mieściły się biura firm zajmujących się handlem niewolnikami. Obecnie miało tu swoje siedziby kilku armatorów, a w pozostałych budynkach mieściły się domy publiczne. Tego wieczoru interesy szły kiepsko, właściwie nie warto było stać w strugach zacinającego deszczu. Nie czułam się zbyt dobrze w pobliżu wody, wolałam trzymać się Paradise Street. Udzie lampy gazowe zapewniały pewną dozę bezpieczeństwa, niemniej od czasu do czasu ryzykowałam.

Dopisało mi szczęście i szybko znalazłam dwóch klientów, jednego po drugim, dzięki czemu mogłam zakończyć pracę

i wrócić na Jack Street. Zatrzymałam się przed biurem jakiegoś armatora, żeby odkleić od buta kartkę papieru. Gdy się wyprostowałam i zerknęłam w ciemną szybę, ujrzałam świeże ogłoszenie napisane dużymi czarnymi literami.

## *Linia Królewska*

### *Trasa z Liverpoolu do Nowego Jorku*

#### *Fitzhugh i Caleb Grimshaw*

Poniżej, mniejszymi literami, podano szczegóły: „*Bowditch* wypłynie w morze 5 kwietnia. Na statku są miejsca dla stu pięćdziesięciu, nawet dwustu pasażerów trzeciej klasy, a także kilka kajut pierwszej i drugiej klasy. Żaglowiec nie zabiera soli; przewoźnik gwarantuje suchą i bezpieczną podróż”.

Wyprawa kabiną pierwszej klasy kosztowała dwadzieścia pięć funtów. O rany, dwadzieścia pięć funtów! Nie mogłam sobie wyobrazić, żeby można było zaoszczędzić taką sumę. Za trzecią klasę żądano pięciu funtów i dziesięciu szylingów.

Nawet pięć funtów stanowiło sumę, której nigdy na oczy nie widziałam. Wzruszyłam ramionami i poszłam dalej.

W miarę upływu czasu coraz częściej myślałam jednak o ogłoszeniu. Wyobrażałam sobie, co mogłaby dla mnie oznaczać wyprawa do Ameryki. Potem, gdy zbliżałam się do szesnastych urodzin, w pewien ponury wieczór, kiedy warga pulsowała mi po ciosie klienta, który nie chciał zapłacić za moje usługi, przypomniałam sobie o ogłoszeniu. Przed oczami stanął mi żaglowiec z wysokimi masztami i żaglami wypełnionymi morską bryzą.

Pomyślałam o nowym życiu - innym życiu - gdzie nikt mnie nie zna i gdzie mogłabym zacząć wszystko od nowa. Być może tylko w taki sposób udałoby mi się uniknąć losu, jaki stawał się udziałem innych dziewcząt, z którymi pracowałam: Lambie została tak pobita, że straciła wzrok i trafiła do przytułku, a w ubiegłym miesiącu Skinny Mo umarła na krwawy kaszel po zbyt wielu latach spędzonych na zimnych, mokrych ulicach.

Zaczęłam odkładać zarobki, zastawiać swoje tanie świecidełka i zbędne kapelusze, nie pozwalałam sobie na kupno nowych książek, chociaż uwielbiałam dotykać palcami ich miękkich okładek, wodzić opuszkami

palców po doczonych literach. Jadłam mniej i rzadziej odwiedzałam z koleżankami pobliskie knajpy. Czekałam.

Wiedziałam, że gdy nadejdzie odpowiednia chwila, otrzymam znak. Nie miałam pojęcia, co to będzie, liczyłam tylko, że go nie przeoczę.

Kilka miesięcy po podjęciu decyzji, że popłynę do Ameryki, spotkałam Chinese Sally.

- Spójrzcie tylko, kto do nas wraca - powiedziała Blue, gdy w pewien letni wieczór w naszą stronę skierowała kroki młoda, wysoka, smukła kobieta.

Niosła dużą i ciężką brokatową torbę. Ubrana była w elegancką koronkową suknię, zbyt porządną jak na ulicę, i buty na tak wysokich obcasach, że dolny obrąbek nie zmiatał pyłu ulicy. Czarne włosy, które wystawały spod stylowego kapelusika, miały granatowy połysk. Mogła się poszczycić piękną, jasną i czystą skórą, a jej oczy w kształcie migdałów odbijały światło, dlatego trudno było powiedzieć, czy są zielone, czy brązowe.

- Twój stary znów trafił do pudła? - spytała Blue.

- Tylko na jakiś czas. Tym razem skradł drobiazg i dostał trzy miesiące - wyjaśniła. - Wystawił go ktoś, kogo uważał za kumpla. Przez niego Louis został przyłapany na gorącym uczynku.

Z cichym westchnieniem postawiła torbę na ulicy. Rozpro-Mowała palce. Miała rękawiczki robione na drutach.

- Nikomu nie można dziś ufać.

- Linny - powiedziała Blue - to jedna z moich dawnych dziewcząt, Sal. Możesz przygarnąć ją na kilka miesięcy?

- Wolę, by nazywano mnie Chinese Sally - powiedziała. Wyglądała inaczej niż reszta dziewcząt z Paradise Street.

Nie chodziło tylko o jej twarz, po prostu prezentowała zupełnie inny styl. Koronkowa sukienka była nowa, wyprasowana, uszyta na miarę, a nie kupiona w lombardzie czy na targowisku. Poza tym Chinese Sally mówiła miękkim głosem i używała wyszukanych słów.

- Oczywiście - powiedziałam. - Teraz dzielę pokój tylko z Helen.

Czy zauważyła, że mówię tak samo jak ona? Chinese Sally uśmiechnęła się z lekką drwiną.

- To wielka dama - powiedziała mi Blue. - Prawdziwa elegantka. Póki jej facet nie da się złapać, nasza Sally ma wszystko, co najlepsze. Na szczęście, gdy zdarzają jej się trudne chwile, zawsze może liczyć na dawne przyjaciółki. Już drugi raz wracasz, prawda?

Dziewczyna przytaknęła, bacznie przyglądając się budynkowi za moją głową.

- Nie przypuszczałam, że jeszcze będę musiała. W przyszłym miesiącu mieliśmy zamiar wyjechać do Londynu.

- Co robi twój facet? - spytałam.

- Jest kieszonkowcem - wyjaśniła Sally. - Najlepszym z najlepszych. Nie ma w Liverpoolu lepszego kieszonkowca niż mój Louis. - Podniosła swoją torbę i ziewnęła, osłaniając usta rękawiczką. - Jestem skonana - wyznała. - Wczesnym rankiem dowiedziałam się od jednego z ludzi Louisa, że go aresztowano. Przez cały dzień bałam się wyjść na wypadek, gdyby szukano i mnie. Uznałam, że najlepiej zrobię, jeśli wrócę na Paradise Street i przeczekaam tu, póki on nie wyjdzie z paki. - Ponownie ziewnęła. - Prześpię się, a od jutra zacznę normalnie pracować. Blue przytaknęła.

- Linny, zaprowadź ją do pokoju. - Klepnęła Sally po plecach. - Dobrze, że wróciłaś, Sal.

Zauważyłam, że Chinese Sally zeszywniała i zacisnęła wargi, ale nie odezwała się ani słowem.

- Tędy - powiedziałam. - Mamy pokój przy Jack Street. Szła obok mnie.

- Na ulicy nazywam się Chinese Sally, ale w prawdziwym życiu jestem panną Sing — wyjaśniła.

Potem już się nie odzywała. Gdy ją zostawiłam, siedziała na wymiętym łóżku z torbą u stóp i z obrzydzeniem rozglądała się po maleńkim pokoiku.

No proszę, to nie było jej prawdziwe życie. Podobnie jak moje. Przez całą resztę wieczoru myślałam o jej słowach.

- „W prawdziwym życiu” - szeptałam z nutką wyższości, dokładnie tak samo jak Sally. - „W prawdziwym życiu”.

Przez kilka miesięcy dość dobrze poznałam Chinese Sally. Łatwo poznać człowieka, jeśli sypia się obok niego, jeśli się słyszy, jak krzyczy wyrwany z koszmarnych snów, jeśli na podstawie roztaczanych zapachów można ocenić jego klientów. Wiedziałam, że oczy Sally są brązowe, kiedy dopisuje jej dobry humor, a kiedy jest zła, połyskują zielenią. Miała osiemnaście lat, była więc o dwa lata starsza ode mnie, a jej życie u boku Louisa wydawało się ekscytujące.

- Jestem jego wizytówką - powiedziała mi pewnego wieczoru, gdy siedziałam na łóżku i pudrowałam twarz przed pracą. - No wiesz, ładnie się ubieram i zabawiam dżentelmenów. Louis kupuje mi eleganckie stroje i opłaca piękny apartament. Dżentelmeni, którzy do mnie przychodzą, wywodzą się z wyższych sfer, nie z modochu, jakim musimy się zadowolić na Paradise Street.

Uśmiechnęła się z utęsknieniem i zamilkła.

- Nie chodzi tylko o klientów - podjęła opowieść po długiej chwili. - Życie... no cóż, życie tutaj, Linny, bardzo różni się od tamtego.

Zlustrowała swoje drogie sukienki, porozwieszane na wieszakach na ścianach, potem bacznie przyjrzała się mojej twarzy, podeszła i ujęła mnie za brodę.

- Też byłabyś dobrą wizytówką - powiedziała. Położyłam na kolanach lusterko i pudełeczko z pudrem.

- Tak?

- Oczywiście. Wciąż masz młodzieńczą świeżość, na której zależy dżentelmenom: wszystkie zęby, niebrzydką twarz, gęste włosy. Poza tym nieźle się wyrażasz i masz jakie takie pojęcie o dobrych manierach.

Chociaż mnie chwaliła, poczułam się urażona.

- Mam jakie takie pojęcie o dobrych manierach? Dobrze wiesz, że moje zachowanie całkowicie różni się od zachowania pozostałych dziewcząt. Moja mama mnie tego nauczyła -powiedziałam z odrobiną pogardy



w głosie. Wstałam. - Nauczyła mnie dobrych manier i odpowiedniego wysławiania się.

Chinese Sally uśmiechnęła się, chociaż jej dolna warga pozostała nieruchoma. Brakowało jej dwóch dolnych zębów i za nic w świecie nie chciała, żeby ktoś dostrzegł ciemną dziurę.

- Może ci się wydawać, moja panno, że wiesz i umiesz wszystko - oznajmiła - ale gdybyś miała wraz ze mną spędzić trochę czasu wśród właściwych ludzi, musiałabyś się nauczyć nieco więcej na temat „dobrych manier” od tych, którzy nie muszą się kalać jakkolwiek pracą. Jesteś zaledwie o jeden szczebelek wyżej niż pozostałe dziewczęta, a ja ci gwarantuję, że jeśli spędzisz na ulicy kilka następnych lat, spadniesz z tego szczebelka i pewnego ranka zdasz sobie sprawę, że jesteś zwykłą, ordynarną prostytutką. Wtedy będzie już za późno na cokolwiek.

Patrzyłam na nią zdumiona. Czyżby miała rację? Czy gdybym nadal robiła to, co robię, żyła od nocy do nocy, od klienta do klienta, moje marzenie o porzuceniu Paradise Street i Liverpoolu nigdy by się nie ziściło? Czy skończyłabym życie w samotności, trapiąca przez którąś z chorób?

Chinese Sally musiała zauważyć moje zakłopotanie. Poglądziła mnie po policzku.

- Kiedy Louis wyjdzie, może zabiorę cię ze sobą. Chciałabyś?

Wzruszyłam ramionami i cofnęłam się o krok. Jej dotyk był delikatny: co wieczór wcierała w dłonie krem lawendowy, a potem wkładała rękawiczki.

- Sama nie wiem.

Uniosłam głowę i zmrużyłam oczy.

- To zależy, czego by ode mnie oczekiwano. Tutaj nie jest źle - powiedziała, chociaż obie dobrze wiedziałyśmy, że ble-fuję.

- No cóż, dam ci trochę czasu na zastanowienie, potem zapytam cię ponownie. Nie myśl, że próbuję przypierać cię do muru. Zupełnie przyzwyczaj się prezentujesz. Louis mógłby na tobie całkiem nieźle zarobić, a im wcześniej zbierzemy odpowiednią sumę pieniędzy, tym szybciej będziemy mogli wyjechać do Londynu. Mówiłam ci, Linny, że po przeprowadzce do Londynu Louis ma zamiar się ze mną ożenić? Oczywiście,

gdy nadejdzie odpowiednia pora. Wtedy przestanę pracować, a Louis będzie mnie utrzymywał w pięknym domu pełnym służby. Będę nawet miała własną pokojówkę.

Przyszło mi na myśl, że gdybym pracowała dla Louisa, mogłabym szybciej odłożyć pieniądze i wyjechać do Ameryki wcześniej, niż planowałam. Był to kuszący pomysł.

Trzy tygodnie później, gdy obudziłam się w chłodne listopadowe popołudnie, zobaczyłam, że Chinese Sally pakuje swoją torbę.

- Wyszedł - oznajmiła, patrząc, jak siadam na pryczy. - Louis wyszedł. Godzinę temu przysłał mi wiadomość przez jednego ze swoich ludzi.

Przerwała składanie halki, a jej ręce zawisły w powietrzu.

- No więc? Idziesz ze mną? Zawiadomiłam go, że przyprowadzę ze sobą nową dziewczynę. Nie możesz jednak wyglądać jak strach na wróble. Jeśli masz zamiar do mnie dołączyć, musisz coś ze sobą zrobić.

Odrzuciłam kołdrę i przeczesalam palcami włosy.

- Naprawdę uważasz, że sobie poradzę? - spytałam.

- Przede wszystkim będziesz musiała zwracać się do mnie *per* „panno Sing” - powiedziała, nie odpowiadając wprost na moje pytanie. - Możesz mówić „Chinese Sally” tylko wtedy, gdy będziemy we dwie, ale w teatrze, na eleganckich przyjęciach i innych spotkaniach towarzyskich będę „panną Sing”.

Przejrzała swoją do połowy spakowaną torbę, wyjęła z niej sukienkę z beżowego tiulu i rzuciła mi ją na łóżko.

- Włóż ją. Będzie na ciebie za duża, ale to tylko na dzisiaj. Nie możesz pokazać się Louisowi w żadnej ze swoich sukni, bo wyglądałabyś jak wymięty paw. Louis bardzo sobie ceni elegancję. Możesz to zatrzymać. Louis kupi nam obu więcej NI rojów.

Wzięłam sukienkę i musnęłam ją palcami.

- Czemu to dla mnie robisz? Spojrzała na mnie zaskoczona.

- Dla ciebie? Wcale nie robię tego dla ciebie. Myślisz, że mam takie dobre serce? - Zachichotała. - Mówiłam ci już. Zasilisz nasze szeregi i w

ten sposób pomożesz Louisowi. Louis lubi, gdy przyprowadzam nowe dziewczęta. Polega na moim zdaniu i szczerze mnie wynagradza, jeśli dobrze pracują, a przeważnie tak właśnie jest. Jeśli nie... - Nadal na mnie patrzyła, chociaż teraz w jej spojrzeniu pojawiła się wrogość. - No cóż, nikomu nie wyszłoby to na dobre, prawda?

Wyczułam w jej słowach ostrzeżenie. Czułam pod palcami delikatny, chłodny tiul. Wyobraziłam sobie, że mam szafę pełną takich kreacji.

- Potrzebuję trochę czasu na porządną kąpiel - powiedziałam, dodając: „panno Sing”, za co zostałam wynagrodzona kiwnięciem głową i niewyraźnym uśmiechem, który już tak dobrze znałam.

Blue nie była zbyt szczęśliwa, że traci dwie dziewczyny jednocześnie, ale nie protestowała. Każdego ranka, gdy każda z nas wręczała jej połowę swoich zarobków, powtarzała:

- Teraz nic nie jesteście mi winne i ja nic nie jestem wam winna.

Nie brakowało dziewcząt chętnych do tej roboty i nawet jeśli straciła jedną lub dwie, przeważnie w ciągu jednego wieczoru znajdowały się inne na ich miejsce.

- Jestem pewna, że wrócisz - powiedziała mi, marszcząc czoło. - Tak samo jak ona - ciągnęła, wskazując głową na Chinese Sally.

Chinese Sally stała biernie i nie odrywała wzroku od bruku, jakby nie słyszała albo nie chciała słyszeć, co mówi Blue.

- Nie licz na lekkie życie wśród szlachetnie urodzonych. Uwierz mi, to nigdy nie trwa długo. Sądzę, że szybko wrócisz tu, gdzie możesz ufać koleżankom i znasz swoje miejsce. Prawdę mówiąc, elegancka suknia niczego nie zmienia.

Mocniej przycisnęłam do piersi cięższą niż zazwyczaj drewnianą szkatułkę. Były w niej teraz pieniądze, które ukrywałam pod deską w pokoju na Jack Street, a także kościany nóż, lusterko, wisiorek i Wordsworth. Zapakowałam do niej również trzy ulubione książki, z którymi nie mogłam się rozstać.

Miałam na sobie kreację, którą dała mi Chinese Sally, ciepłą pelerynę i pożyczony od niej elegancki kapelusik. Swoje stare suknie zostawiłam

Helen. I tak samo jak Chinese Sally nie zwracałam uwagi na słowa Blue. Opuszczałam Paradise Street, tutejszy smród i kłopoty.

Po dotarciu na róg Chester i Roper Street zatrzymałyśmy się. Chinese Sally co chwila poprawiała włosy, odwiązywała i zawiązywała kapelusz, wygładzała sukienkę.

- Kiedy spotkasz Louisa, Linny, wyciągnij rękę - poinstruowała mnie.  
- Louis powie, że miło mu cię poznać, na co musisz koniecznie odrzec: „Cała przyjemność po mojej stronie, sir”. Może zechce pocałować twoją rękawiczkę. Pozwól mu, a potem podziękuj. - Zerknęła na mnie. - Jeżeli od razu nie wywrzesz na nim dobrego wrażenia, będę miała przykrości. Jak nie będziesz wiedziała, co zrobić albo powiedzieć, nic nie rób ani nie mów. Patrz na mnie.

Mówiła coraz szybciej. Nagle poczułam, że jestem zdenerwowana; przestraszyłam się, nie wiedząc, czego Louis może ode mnie oczekiwać. Od dawna nie znałam tego uczucia. I uwiadomiłam sobie, że dałam się uśpić spokojnemu rytmowi Paradise Street.

Po chwili obok nas zatrzymała się elegancka kariolka zaprzęzona w dwa jabłkowite konie. Wysiadł z niej jakiś mężczyzna i stanął obok otwartych drzwi. Na podstawie słów Chinese Sally sądziłam, że Louis będzie młodszy i przystojniejszy. Zaskoczył mnie jego niski wzrost i pospolity wygląd. Miał przynajmniej trzydzieści lat, głębokie zmarszczki wokół ust, szarą skórę, dość długie ciemne włosy i żółtobrązowe oczy z podwiniętymi rzęsami. Trochę przypominał Włocha. Był naprawdę niepozorny. Gdybym spotkała go na ulicy, prawdopodobnie nawet nie zwróciłabym na niego uwagi. Myślę, że to ważne dla kieszonkowca, który pracuje w tłumie. Na pewno zależy mu, żeby w żaden sposób się nie wyróżniać.

Pochylił się nad dłonią Chinese Sally, a ona zachichotała. Nigdy wcześniej tak się nie śmiała. Potem Louis odwrócił się w moją stronę i zmierzył mnie od stóp do głów.

- Przedstawiam ci Linny Gow - powiedziała Chinese Sally. - Pisałam ci o niej. Co sądzisz? Nada się?

Wyprostowałam plecy.

Louis nadal bacznie mi się przyglądał; po trzydziestu sekundach powoli kiwnął głową, a wówczas, przypomniawszy sobie instrukcje Chinese Sally, wyciągnęłam rękę. Louis uśmiechnął się, spojrzął na moją dłoń, ujął ją i uniósł do ust, chociaż nie dotknął wargami rękawiczki.

- Miło mi cię poznać, moja droga - powiedział, wciąż pochylony nad moją rękawiczką.

Ani na chwilę nie przestawał mi się przyglądać spod długich rzęs.

- Cała przyjemność po mojej stronie, sir - powiedziałam, uśmiechając się najładniej, jak umiałam.

Niechętnie puścił moją dłoń.

- Czy panna Sing powiedziała ci, czego będę od ciebie oczekiwał?

Oblizalam wargi.

- Nie do końca, ale robię to od dziecka i...

Podszedł bliżej a ja dostrzegłam na jego nosie pierwsze żyłki.

- Wszystkie twoje zarobki należą do mnie. Masz przyjmować klientów, których ci przyprowadzę, i nie wolno ci żadnego z nich odprawić z kwitkiem. Czasami może się zdarzyć, że będziesz musiała razem z inną dziewczyną zabawić większą liczbę osób jednocześnie. Rozumiesz?

- Większą liczbę? To znaczy więcej niż jednego klienta?

- Co to ma znaczyć, Sal? Wygląda jak przestraszony królik - powiedział, odwracając się do Chinese Sally.

- Poradzi sobie. Wszystko jej pokażę - obiecała, jakby nie było mnie przy ich rozmowie.

Przestraszony królik? Zsunęłam z ramion wełnianą pelerynę, którą pożyczyła mi Chinese Sally; nagle zrobiło mi się za ciepło.

- Czy ja dobrze usłyszałam? Nie zobaczę ani części zarobionych pieniędzy?

- Będziesz miała własny pokój i porządne stroje, takie jak Sal. Pieniądze nie będą ci do niczego potrzebne. Wszystkie posiłki dostaniesz pod nos. Nie będziesz nigdzie wychodzić, chyba że tego wymagać będzie praca.

Przełknęłam ślinę. Nagle Louis zaczął przypominać mi Rama, który miał nade mną całkowitą władzę. Co ja robię? Tracę z trudem zdobytą

wolność. Wyobraziłam sobie, że jestem więźniem w zamkniętym pokoju, w którym drzwi otwierają się tylko po to, żeby wpuścić mężczyznę, a potem się zamykają. Jeśli klient będzie miał perwersyjne wymagania albo sprawi mi ból, nikt mnie nie obroni, nawet nie będę miała szans na ucieczkę. Cofnęłam się o krok.

- Rezygnuję - oznajmiłam.

Louis zerknął na Chinese Sally, potem oboje spojrzeli na mnie.

- Co to ma znaczyć? - spytał ze złością.

Zdjęłam pelerynę oraz kapelusik i wręczyłam je Sal.

- Jeśli chcesz, możesz przyjść po swoją suknię - powiedziałam jej. - Nie będę własnością żadnego mężczyzny.

- Oszalałaś? - spytała. - Nie rozumiesz? Na Paradise Street nikt się o ciebie nie troszczy. Nikogo nie obchodzi, czy żyjesz, czy umarłaś. Jesteś jeszcze jedną dziwką, która nie ma po co żyć.

Głos Chinese Sally stwardniał, był pełen złości. Chwyciła mnie za barki i mocno, boleśnie mną potrząsnęła. Drewniana szkatułka upadła na ulicę, usłyszałam brzęk tłukącego się szkła.

- Przez ciebie wyszłam na idiotkę, Linny.

Schyliłam się po szkatułkę, przycisnęłam ją do piersi i jeszcze bardziej odsunęłam się od Sally. Nie miałam na sobie ciepłej peleryny, dlatego listopadowy wiatr przenikał mnie do szpiku kości.

- Przynajmniej pracuję dla siebie i sama o wszystkim decyduję. Sama wybieram klientów. Jem, co chcę i kiedy chcę. Blue dba o moje bezpieczeństwo. Robię, co mi się podoba. Tobie może się podobać życie u jego boku - wskazałam głową na Louisa – ale ja czułabym się jak ptak w klatce.

- Świetnie - powiedziała, biorąc Louisa pod ramię. - Zostań na ulicy. Zostań tu i gnij. Ani się obejrzysz, a będziesz starą, wyeksploatowaną dziwką, której nikt nie chce nawet za pół kwarty ale.

Louis całkowicie mnie zignorował, pomógł jedynie Chinese Sally wsiąść do powozu. Drzwi zamknęły się z trzaskiem, konie ruszyły z kopyta. Stałam na chodniku, myśląc o tym, z czego zrezygnowałam i do



czego muszę wrócić. Czy podjęłam słuszną decyzję? Chinese Sally miała rację, mówiąc, że nikogo nie obchodzi, czy żyję, czy nie. .

Ręce i nogi miałam zdętwiałe z zimna, piecy bolały mnie od stania tak długo w jednej pozycji. W końcu usłyszałam wesołe pogwizdywanie mężczyzny, który chodził z drabiną i zapalał lampy gazowe. Wszystkie już się świeciły. Ulica jaśniała łagodnym, zwodniczym blaskiem. Wiedziałam, co muszę zrobić.

Wracając na Paradise Street, myślałam o rozbitym lusterku w szkatułce. Wyobraziłam sobie, że gdy wyłonię się zza rogu, Blue porozumiewawczo puści do mnie perskie oko.

Życie płynęło dalej. Zima przeszła w wiosnę, wiosna w lato w jesień. Ukończyłam szesnaście lat, potem siedemnaście. Klienci przychodzili i odchodzili. Byłam coraz starszą i coraz bardziej marzyłam o porzuceniu ulicy.

## Rozdział 8

Ręce mężczyzny zalatywały rybami. Próbował udawać dżentelmena w eleganckim czarnym surducie i cylindrze, ale z jego grubych palców unosił się przykry zapach, dzięki czemu wiedziałam, że mam do czynienia z handlarzem ryb, który po prostu wypożyczył strój na jeden wieczór. Doszłam do wniosku, że oboje udajemy, po czym starałam się podeprzeć ledwo trzymającego się na nogach klienta, który mocno mnie obejmował i wciągał w ciemny zaułek.

Był koniec października, a ja wykonywałam już swoje obowiązki ze sporą wprawą i znużeniem. Pracowałam u Blue po' nad trzy lata, w sierpniu obchodziłam siedemnaste urodziny. Nie cieszyło mnie już jak dawniej towarzystwo innych dziewcząt, przestałam również znajdować radość w czytaniu. Odnosiłam wrażenie, że brakuje mi czasu, prywatności,

energii i pasji, którą kiedyś odczuwałam, trzymając w ręce książki, czytając je i dokładnie sprawdzając, jak zostały pozszywane i ozdobione.

Przestałam też dbać o swój wygląd: nie interesowało to żadnego z moich klientów. Od kilku miesięcy coraz częściej myślałam o matce. Czasami czekając nocą, aż klient dokończy, zamykałam oczy i wyobrażałam sobie życie, jakiego dla mnie pragnęła, z dala od brudu i smrodu Back Phoebe Anne Street. Widziałam siebie przy takim stole, przy jakim siadywałam z mężczyzną, którego nazywałam wujem Ho race'em, w blasku szkielek i delikatnej, niemal przejrzystej porcelany, sięgałam po widelec do ryb, nóż do masła, łyżeczkę, wiedziałam nawet, kiedy nalać porto, wino albo sherry.

A tymczasem bolały mnie plecy, mocno dociśnięte do szorstkiej ceglanej ściany budynku w przecznicy Paradise Street. Wiedziałam, że wkrótce na moim kręgosłupie pojawią się sińce, które będą przywodzić na myśl atramentowe pocałunki. Grube palce lewej ręki sprzedawcy ryb grzebały w moim wnętrzu, jego prawa ręka szamotała się z moją spódnicą. Dobrze, że to dzisiaj już ostatni klient - pomyślałam obojętnie. Z pewnością następny miałby mi za złe rybi zapach pozostawiony przez poprzednika.

Nagle wszystko poszło nie tak, jak powinno. Sprzedawca ryb zrezygnował. Wysunął palce, łokciem boleśnie dźgnął mnie w biodro i ze złością zaczął zapinać spodnie.

- Sześć pensów, sir - powiedziałam, poprawiając spódnicę i rozmawiając obolałe biodro. - Pół szylinga.

Wyciągnęłam rękę.

- Nawet na to nie licz. Niczego nie dostałem, za nic nie zapłacę - oznajmił, odchodząc.

Obeszłam kałużę wymiocin, które połyskiwały w świede latarni, i złapałam go za rękaw.

- Chwileczkę, sir - zaprotestowałam słodkim głosem. - Nie moja wina, że nie jest pan dziś w formie. Poza tym, sądząc po poufałościach, na jakie sobie pan pozwalał, na pewno znalazł pan odrobinę przyjemności.

Zatrzymał się i spojrzał na moją dłoń na jego grubym wełnianym rękawie.

- Dam ci dwa pensy. Koniec, kropka.

Sięgnął do kieszeni kamizelki w prążki i wyjął monety. Gdy mi je dawał, jego wzrok padł na mój dekolt.

- Chyba jednak jesteś w błędzie. To twoja wina, że nie byłem w formie. Masz okropną, wręcz paskudną bliznę. Czemu jej nie zasłonisz?

Zacisnęłam pieniądze w garści.

- A dlaczego miałabym ją zasłaniać? Bo zostawił mi ją ktoś bardzo podobny do pana?

Sprzedawca ryb mruknął coś niezrozumiałego i odwrócił się. Ponownie rozpiął spodnie i zaczął się załatwiać pod ścianą budynku. W chłodnym powietrzu uniosła się para. Patrzyłam na utworzoną przez niego kałużę, na strumyczki płynące między kamieniami.

Wsunęłam pieniądze w schowek w pasku, a potem ostrożnie pokonałam wyboisty zaułek i wyszłam na prawie pustą ulicę.

- Hej, Linny!

Zerknęłam w głąb ciemnej ulicy, próbując wypatrzeć coś w mroku, potem pomachałam do biegnącej w moją stronę, dziewczyny.

- Jak ci się dziś powiodło, Linny? - spytała Annabelle.

Z apetytem wcinała suchą bułkę ze śledziem. Miała zapadnięte policzki.

- Nie było tak źle, problemy miałam tylko z ostatnim klientem. Żołnierz nie chciał mu stanąć, więc nie zapłacił tyle, ile żądałam - wyjaśniłam.

Annabelle przytaknęła.

- Niech diabli wezmą tych zgniłków i ich zwiotczące interesy! Powinnaś tak jak ja nosić przy sobie „mocny argument”. Gdy ostrze noża błysnie przy ich klejnotach, szybko nadrabiają zaległości.

Przytaknęłam, przypomniawszy sobie kościany nóż, którym groziłam Ramowi Muntowi i którego później użyłam jeszcze kilka razy, gdy prawdę się bałam. Niestety, zgubiłam go w lipcu. Upadł na ziemię, gdy gwałtowny wiatr porwał mój słomkowy kapelusz. Pobiełam za nim,

chcąc go uratować spod końskich kopyt, ale kapelusz, jak to kapelusz, tańczył i kręcił się na wietrze, co chwila porywany przez nowy podmuch. Nim go złapałam, otrzepałam z kurzu i z powrotem włożyłam na głowę, nóż zniknął. Kilkakrotnie wracałam w to samo miejsce, ale mojej broni nie było, prawdopodobnie porwał ją jakiś uliczny urwis o oku sroki. Podczas obecnej rozmowy zdałam sobie sprawę, że Annabelle ma rację. Coraz częściej musiałam walczyć - czy to o pieniądze, czy też we własnej obronie. Klienci byli coraz bardziej grubiańscy i coraz gorzej płacili.

- Idziesz na drinka? - spytała Annabelle.

- Nie.

Ziewnęłam i zamrugałam powiekami. Dzwony na wieży Świętego Piotra wybiły piątą.

- Idę się przespać.

Annabelle poszła w górę ulicy, a ja wróciłam do obskurnego pokoju przy Jack Street. Teraz dzieliłam go z Annabelle, I Iden i Dorie.

Powiedziałam Annabelle prawdę; rzeczywiście byłam zmęczona, ale dodatkowym powodem, dla którego nie poszłam do Goat's Head, był fakt, że nie chciałam wydawać ani pensa z zarobionych przez siebie pieniędzy. Udało mi się już odłożyć na bilet do Ameryki. W ciągu ostatnich dwóch lat cena na plakatach wzrosła z pięciu do siedmiu funtów. Często rosła albo spadała o kilka szylingów w zależności od pory roku i statku, ale siedem funtów, które zebrałam, było już wystarczającą sumą. Miałam zamiar popracować jeszcze miesiąc i dodatkowo trochę zaoszczędzić, żeby mieć jakiś niewielki fundusz, gdy się już znajdę w Nowym Jorku.

Nigdy więcej nie dam się zmusić do pracy na ulicy.

Gdy po cichutku weszłam do nędznego pokoju przy Jack Street, zobaczyłam na wąskiej pryczy dwie przygarbione, nieruchome postacie. Ucieszyłam się, że Annabelle nie przyszła do domu. Na wspólnej pryczy mieściły się tylko trzy osoby; gdybym wróciła z Annabelle, musiałybyśmy ciągnąć losy, której z nas przypadnie w udziale łóżko, a której podłoga. W pokoju było chłodno i nawet gdybym wyciągnęła słomkową matę i przykryła się szalem oraz dodatkową suknią, byłoby mi zimno na deskach bez osłony przed zimnymi podmuchami. W pokoju miałyśmy nie-

wielki piecyk, ale nie rozpalałyśmy w nim, bo wtedy cały pokój zasnuwał czarny dym. Niebielone od lat ściany były zielonkawe z powodu wilgoci. Gnijące od deszczu dźwigary trzeszczały, a okno dukło się nawet przy najłżejszym podmuchu wiatru. Szyba była brudna od kurzu i sadzy, a pokój tonął w wiecznym półmroku.

Zdjęłam buty i porozpinałam haftki gorsetu. Potem drżąc z zimna, odłożyłam suknię na bok, owinęłam się szalem i przycupnęłam na skaju zniszczonej pryczy. Musiałam szturchnąć biodrem Dorie; wtedy przesunęła się bliżej Helen, przyciskając ją do ściany. Odwróciłam się na bok, twarzą do ściany, i przygotowałam do snu. Wcześniej jednak z zamkniętymi oczami sprawdziłam uspokajające zgrubienie w pasie; był to mój wisiorek i monety, wszystko wetknięte w pasek i starannie umocowane. Identyczne schowki miałam w paskach wszystkich innych sukni. Nikt nie wiedział o moich oszczędnościach, nawet dziewczęta, z którymi dzieliłam pokój. Zmieniając co tydzień suknię, skrupulatnie przenosiłam swoje skarby razem z wisiorkiem. W tym celu czekałam, aż koleżanki wyjdą, albo jeśli to było niemożliwe, stawałam twarzą do kąta, zdejmowałam jedną suknię i drugą wkładałam przez głowę. Moje współlokatorki były przekonane, że wstydzę się blizny na piersi, a ja nie wyprowadzałam ich z błędu.

Drewniana szkatułka, pieniądze i książki, które w niej były, zniknęły ponad rok temu. Wisiorek ocalał tylko dzięki Helen, która bez pytania włożyła go na tę noc. Byłam na nią wściekła, gdy zobaczyłam na ulicy, że ma na szyi moją pamiątkę po mamie. Zażądałam, żeby mi ją oddała. Później, gdy wróciłam na Jack Street, pokój był przewrócony do góry nogami, moja szkatułka przepadła, a ja dziękowałam Helen, że właśnie na tę noc postanowiła sobie pożyczyć mój wisiorek.

Potem już zawsze nosiłam pieniądze przy sobie.

Zasypiając, niezmiennie odmawiałam modlitwę, licząc na to, że uchroni mnie przed koszmarnym snem, w którym prześladowały mnie przytłaczający zapach krwi i włosów, zimna woda i zagłębiające się w moim ciele ostrze nożyczek. Koszmar przeważnie powracał co trzecią albo czwartą noc. Siadałam wtedy zlaną potem, z szeroko otwartymi usta-

mi, starając się złapać powietrze. Mój jakże rzeczywisty koszmar — świadomość, że zabiłam człowieka, nawet jeśli zrobiłam to w obronie własnej - przypominał skradające się niebezpieczne zwierzę o ostrych kłach i żółtych oczach. Zwierzę to zawsze mi towarzyszyło: albo podążało za mną krok w krok, albo zatrzymywało się w pewnej odległości i bacznie mnie obserwowało. W jasnym świetle latarni albo w łagodnym blasku świec siedziało cicho, odsuwane na bok przez ciepło i jasność. Wracało niezmiennie w ciemnościach. Podczas chłodnych jesieni znacznie rosło. Czasami zdarzały się takie chwile, kiedy czułam groźną bestię tak blisko siebie, że odwracałam się w ciemności na ulicy, przekonana, iż słyszałam ciężki oddech. Dlatego wiedziałam, że tej nocy koszmar wróci.

Nawiedzał mnie przez trzy kolejne noce, podczas których udawało mi się przespać zaledwie kilka niespokojnych godzin. Byłam potwornie zmęczona i obolała, nie chciałam jednak wracać do przykrego snu. Czułam, jak opadają mi powieki i wygładzają się zmarszczki między moimi brwiami. Tuż przed zaśnięciem uniosłam rękę i jak zwykle położyłam dłoń na pokierszowanej piersi: nie wiem dlaczego, gdy ją osłaniałam, czułam się bezpieczniej. Ostatnio druga ręka niezmiennie pilnowała pasa. Teraz przesunęłam ją nieco niżej, na podbrzusze, pragnąc chronić noszone w łonie dziecko.

Wiedziałam, że to będzie dziewczynka i że dam jej na imię Krances. Nie miałam pojęcia, kiedy i jakim cudem została poczęta; zawsze bardzo starannie się zabezpieczałam: używałam kawałka gąbki, który każdego ranka dokładnie prałam, następnie nasączałam ałunem i siarczanem cynku, a potem wkładałam przed pierwszym klientem. Po ostatnim, niezależnie od tego, jak byłam zmęczona, wyjmowałam gąbkę i za pomocą strzykawki owiniętej w szmatkę stosowałam tę samą mieszankę, zwaną miksturą czarownicy. Blue nauczyła mnie wszystkiego, co trzeba, a ja z pełnym przekonaniem stosowałam gąbkę i strzykawkę od pierwszego krwawienia, którego dostałam zaledwie trzy miesiące po opuszczeniu Back Phoebe Anne Street. Mimo to wszystkie dziewczęta wcześniej czy później wpadały. Coś takiego zdarzyło mi się już wcześniej, pod koniec



pierwszego roku u Blue, ale gdy zdałam sobie z tego sprawę, właściwie było już po wszystkim. Przebieg wydarzeń znałam z relacji Helen, która wróciła na Jack Street po pelerynę. Chociaż powinnam pracować, leżałam na łóżku zwinięta wpół z bólu, z bladą twarzą zlaną zimnym potem. Zadała mi kilka pytań, a potem przyniosła kwartę ale. Usiadła obok mnie i wmusiła we mnie piwo, zapewniając, że wkrótce będzie po wszystkim, a ja będę zadowolona, że nie muszę płacić za usunięcie ciąży.

Kiedy krwawienie i bóle ustały, poczułam tylko ulgę. Nic; więcej.

Tym razem było inaczej. Po pierwsze, dość szybko się zorientowałam, że noszę pod sercem dziecko. Po drugie, wiedziałam, że to znak, na który czekałam.

Podróż do Nowego Jorku zajmie sześć tygodni, w razie brzydkiej pogody nieco dłużej. Jeśli wypłynę pod koniec miesiąca, dotrę do celu, nim dziecko przyjdzie na świat. Moja córeczka urodzi się we wspaniałym Nowym Świecie i będzie Amerykanką. Znajdę odpowiednią pracę, bo w Ameryce o nią nietrudno, zwłaszcza w mieście zwanym Nowym Jorkiem. Nikt mnie nie będzie znał, a ja wychowam córeczkę tak, żeby nigdy się nie dowiedziała, co robiłam w tym życiu, w Liverpoolu.

Od kilku miesięcy, gdy czekałam, aż klient osiągnie tak upragnioną rozkosz, mamrocząc przy tym znane na pamięć zdania i jęcząc z udawanej przyjemności, żeby szybciej skończył, układałam w myślach historie, które miałam zamiar opowiedzieć Frances; o tym, jakim eleganckim dżentelmenem był jej ojciec, co się z nim stało i jakim cudem znalazłam się w Stanach Zjednoczonych.

Pewnego dnia wczesnym rankiem, gdy wracałam na Jack Street w strugach ulewnego deszczu i w świede błyskawic, które od czasu do czasu przecinały granatowe niebo nad Mersey, sapnęłam, poczuwszy coś, co kiedyś również musiała poczuć moja matka.

Po raz pierwszy zaczęłam się zastanawiać, czy na pewno; w moich żyłach płynie szlachetna krew. Palcami poszukałam znamienia ukrytego pod mokrym mankietem i musnęłam wypukłą rybę.

- Kiedy masz zamiar ją usunąć?

Otrzeptałam ręce nad miednicą i wytarłam twarz czystą ściereczką, a potem spojrzałam na Dorie. Helen poszła kupić sobie coś ciepłego do jedzenia, a Annabelle nie wróciła jeszcze z pracy. Dorie leżała wyciągnięta na łóżku, ciesząc się, że ma całą pryczę dla siebie aż do wieczornego wyjścia na ulicę.

Położyłam ręce na brzuchu, żałując, że nie związałam mocniej gorsetu.

- Widać?

- Ja widzę, chociaż większość dziewcząt może niczego nie zauważyć. Jesteś bardzo drobna. Który to miesiąc?

- Nie wiem.

Z sobie tylko znanych powodów nie chciałam mówić Dorie, że to już prawie szósty miesiąc.

- Ale czuję ruchy - dodałam, przypominając sobie delikatne drżenie, które tak podnosiło mnie na duchu.

Dorie jęknęła.

- Nie sądziłam, że jesteś aż taka głupia. Gdy człowiek zaczyna czuć ruchy, znacznie trudniej usunąć ciążę. To znaczy, że jesteś przynajmniej w czwartym miesiącu. Czemu nie zajęłaś się tym wcześniej? Z drugiej strony jeszcze nie jest za późno. Będzie bardziej bolało, ale wszystko da się załatwić - pod warunkiem, że szybko znajdziesz odpowiednią osobę i jej zapłacisz.

Wsadziła palec do ust i przez chwilę grzebała w zębie trzonowym. Potem wykrzywiła twarz, a jej ciężkie powieki niemal zakryły niewielkie oczy.

- Boli cię ząb? Usiadła i przytaknęła.

- Dziś po południu idę z tego powodu do cyrulika. Może poszłabyś ze mną? Mogę cię umówić, jeśli masz pieniądze. Cyrulik zna kogoś odpowiedniego, sama korzystałam z jego usług.

Związałam ciemnoniebieską wstążkę we włosach, potrząsnęłam głową i wzięłam szal.

- Co robisz z zarobionymi pieniędzmi, Linny? Nie kupujesz sobie żadnych strojów, nawet sukni z lombardu. Rzadko chodzisz z nami do

tawerny albo do taniej jadłodajni i prawie nic nie jesz. Żadnych ciast, żadnych owoców. Jedynie zupę ze straganu, ziemniaki i najgorsze ochłapy

- Oszczędzam.

- Mam nadzieję, że nie na gorsze czasy - powiedziała Dorie i się roześmiała.

Potem wykrzywiła twarz i uderzyła się w policzek.

- Au. Wydasz je w ciągu jednego dnia, jeśli na to oszczędzasz.

Pogrzebała językiem w zębie.

- Pójdiesz ze mną?

Ponownie potrząsnęłam głową, potem wyszłam i zostawiłam ją z bolącym zębem.

Wiedziałam, że niektóre z dziewcząt musiały urodzić dziecko, bo nie udało im się pozbyć ciąży. Większość zostawiała niemowlęta na schodach przytułku albo kościoła. Tylko jedna ze znanych mi dziewcząt, Elsie, próbowała zatrzymać przy sobie niemowlę i nadal pracować. Kiedy wychodziła na noc, zostawiała maleństwo pod opieką bezzębną wiedźmy. Miała ślicznego chłopczyka, który przez pierwsze cztery miesiące wspaniale rósł. Potem pewnej nocy bardzo płakał, a starucha, próbując uciszyć ząbkującego bobasa, żeby inni ludzie nie wyrzucili jej z pokoju, podała mu zbyt dużą dawkę syropu uspokajającego Mother Bailey's. Dziecko zapadło w głęboki, śmiertelny sen, z którego już się nie obudziło. Elsie uciekła z Paradise Street, a do nas dotarły słuchy, że mieszka w zatłoczonej suterenie w pobliżu Lime Kiln Lane.

Oczywiście, nikt nie był tego całkowicie pewny.

## Rozdział 9

Odczuwałam większe znużenie niż kiedykolwiek w życiu. Niezależnie od tego, ile spałam, kiedy budziłam się późnym popołudniem, by przygotować się na noc, byłam zawsze zmęczona. Wiedziałam, że powodem jest dziecko, które czerpie z mojego organizmu wszystko, co jest mu potrzebne do życia. Bolały mnie nogi. Gdy rozwiązywałam o świcie buty, widziałam, że mam opuchnięte kostki, a tam, gdzie skórzane brzegi wrzynają się w ciało, pojawiły się ciemnoczerwone pręgi.

Tak było do piątego listopada, dnia, w którym wieczorem w całej Anglii pali się kukłę Guy Fawkesa. Miałam zamiar uczcić to święto, kupując sobie coś ciepłego do jedzenia, a potem spędzić całą noc na Jack Street, słuchając odgłosów sztucznych ogni. Myślałam, że może nawet sprawię sobie prezent w postaci książki za pensa i spróbuję poczytać.

Gdy jednak oczyściłam z sadzy kawałek szyby i spojrzałam w dół, na zatoczony zaułek, zaczęłam marzyć, żeby jak najszybciej stąd odpłynąć i bawić się z dzieckiem na zalanej słońcem łące. Mimo to wiedziałam, że nic nie ochroni mnie przed wyjściem. Nadal co noc musiałam oddawać Blue minimalną stawkę, nawet jeśli nie miałam żadnych klientów. Nie chciałam sięgać do swoich oszczędności - byłam tak bliska celu, że słyszałam łopot żagli.

Ostatnio miewałam coraz mniej klientów. Przede wszystkim martwiłam się, że mała Frances może ucierpieć, jeśli któryś z panów będzie zbyt obcesowy. Poza tym byłam ociężała i mniej sprawna, a suknie uwierały mnie, nawet gdy popuściłam wszystkie szwy. Trudno mi było zdobyć się na entuzjazm, potrzebny do wywołania odpowiedniej reakcji u mężczyzn, dlatego wielu z nich, być może podświadomie dostrzegając niechęć na mojej twarzy i w mojej postawie, tylko na mnie zerkało i szło do innych dziewcząt.

Kiedy wiązałam buty, zdałam sobie sprawę, że powinnam rzucić to wszystko: wilgotny pokój przy Jack Street, labirynt ciemnych uliczek i zaułków, pijanych klientów. Co gorsza, ulice stawały się coraz bardziej niebezpieczne. W ciągu ostatnich trzech tygodni zamordowane zostały trzy prostytutki; ktoś je udusił i zostawił w pobliżu doków. Znałam jedną z nich. Była nijaką, młodziutką istotą, która kilka miesięcy wcześniej

straciła dwa przednie zęby w bijatyce z inną ku-rewką. Krążyły plotki, że latem zniknęło bez śladu więcej dziewcząt, ale ponieważ nigdy nie znaleziono ich ciał, trudno było je uznać za martwe.

Tego wieczoru wybrałam miejsce na rogu Paradise Street i Cable Street, gdzie często dopisywało mi szczęście. Na wieżach pobliskich kościołów: Świętego Jerzego, Świętego Piotra i Świętego Tomasza, biło dziesięć dzwonów, tworząc niesamowitą kakofonię, ale interes szedł słabo: miałam tylko trzech klientów. Często ruch zaczynał się dopiero po jedenastej, kiedy dżentelmeni wychodzili z teatrów, oper i sal tanecznych. Niestety, piątego listopada wielu panów z poczerwieniałymi od chłodu i rumu twarzami pędziło prosto do domów, żeby przez resztę wieczoru oglądać z dziećmi sztuczne ognie. Tego dnia niebo zasnuły ołowiane chmury, a w powietrzu czuć było zapach śniegu. Zrobiła się gęsta mgła. Na pobliskim rogu zauważyłam nikły pomarańczowy blask. Była to beczka ze smołą zapalona przez pijaków, którzy nie mieli gdzie się podziać. Uliczne latarnie przypominały nieco jaśniejsze kule.

Gdy przebrzmiało echo ostatniego dzwonu, usłyszałam za plecami stukot końskich kopyt. Odwróciłam się. Oślepiły mnie latarnie, które kołysały się po obu stronach eleganckiego, krytego powozu zaprzęzonego w dwa konie. Widziałam go wcześniej, chociaż nigdy nie udało mi się dojrzeć jego pasażera. Zaczął się pojawiać mniej więcej tydzień temu, a jedna z dziewcząt - Little Eve - była nawet w środku.

Kilka dni temu uprzedziła mnie, że lepiej do niego nie wsiadać.

- Uwierz mi, gorzko żałowałam. Facet, który nim jeździ, to wredny typek - wyjaśniła. - Lubi wsadzać swój interes głęboko do gardła albo z odwrotnej strony. Co gorsza, to damski bokser. Słyszałam, że pobił nie tylko mnie. Spójrz, co mi zrobił.

Little Eve zdjęła kapelusik i pokazała mi czerwone, opuchnięte ucho z wielkim strupem w miejscu, gdzie małżowina łączyła się ze szczęką.

- Niewiele brakowało, a urwałby mi głowę. Płaci dobrze, ale lepiej go unikać. To zboczeniec. Co więcej, nie wiadomo, Linny, czy to nie on zabił trzy dziewczęta.

- Masz zbyt bujną wyobraźnię, Litde Eve. Morderca nie wracałby bez przerwy w to samo miejsce, nie sądzisz? Bałby się, że zostanie złapany. No i wciąż tu jesteś, prawda?

Nie odpowiedziała na mój uśmiech, jedynie ukryła pod kapelusikiem poranione ucho.

Powóz zatrzymał się obok mnie, a zza rozsuniętych zasłon spoglądał na mnie całkiem zwyczajny mężczyzna w średnim wieku. Miał kilka podbródków, worki pod oczami i zmarszczki wokół ust, ale żadnych odrażających cech. Chociaż wiedziałam, że wygląd jeszcze o niczym nie świadczy, zazwyczaj zawierzałam swojej intuicji i rzadko się myliłam. Przypomniałam sobie jednak opowieść Litde Eve i nie ruszyłam się z miejsca.

- Dobry wieczór, panienko - powiedział mężczyzna. - Nie Jest pani za zimno na tym chłodzie?

Szkot. Szkoci często są głośni podczas stosunku, stękają i jęczą, ale ich akcent zawsze przypominał mi mamę, dlatego miałam do nich słabość.

- Może trochę - odparłam.

Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów, na dłużej zatrzymał się na mojej bliźnie. Przyglądał jej się przez chwilę, jakby pieścił wzrokiem zniszczoną skórę.

- Może w takim razie przejechałaby się pani ze mną? Wskoczyła na chwilę i rozgrzała się w ponurą noc?

Wyjął srebrną piersiówkę. Wciąż do niego nie podchodziłam, on tymczasem upił spory łyk prosto z butelki, a potem ją zakręcił.

- Dobrze zapłacę - powiedział. - Dam suwerena.

- Suwerena? - powtórzyłam.

Była to kwota trzy razy większa, niż miałam nadzieję zaoszczędzić w ciągu następnego miesiąca.

- Czy dobrze usłyszałam, sir? Mówił pan o suwerenie?

- Tak - zapewnił mężczyzna, tym razem z uśmiechem na ustach.



Miał bardzo żółte kły. Konie niespokojnie przestępowały z nogi na nogę, machały ogonami, przeganiając obłoczki mgły, a jeden z nich niecierpliwie rzucał głową, niezadowolony, że musi czekać.

- Przykro mi, sir, ale zanim wsiądę, chciałabym go zobaczyć.

Spodziewałam się, że dżentelmen odjedzie. Panowie w eleganckich powozach nie lubią, kiedy się ich sprawdza, zwłaszcza jeśli robi to dziewczyna z Paradise Street.

Mimo to wyraz twarzy mężczyzny nie uległ zmianie. Chwilę później pokazał mi złotą monetę. Błysnęła w świetle latarni powozu.

- Oto on - powiedział.

Nie podobał mi się jego uśmiech, miałam jednak szansę na zarobienie całego funta. Gdyby mi się to udało, po tej nocy mogłabym przestać pracować i wcześniej poszukać statku. Dzięki temu również małe Frances i ja nie musiałybyśmy cierpieć nędzy, nim uda mi się znaleźć pracę. Chrzanić Li trie Eve i jej ostrzeżenie!

- W porządku, sir - powiedziałam i podeszłam do powozu. Mężczyzna otworzył drzwi, a ja wsiadłam i zajęłam miejsce

naprzeciwko niego. Poprawiłam fałdy sukni na kolanach i skrzyżowałam nogi w grubych butach.

- Obawiam się, że w tym roku zima zacznie się wcześniej niż zwykle - zagaiłam, siląc się na jak najlepszy akcent.

Mężczyzna wyciągnął piersiówkę i włożył monetę do kieszeni barchanowego surduta.

- Później - burknął. - Teraz powiedz mi, jak masz na imię.

Naciągnął na kolana wełniany koc w kratę.

- Linny - odparłam. -I nie piję alkoholu. Roześmiał się donośnie.

- Widzę, że trafiłem na rzadką ptaszynę.

Przytknął piersiówkę do ust i tym razem pił, póki nie opróżnił butelki. Potem potrząsnął nią i rzucił na podłogę.

Wylądowała u moich stóp. Spojrzałam na nią. Była srebrna, z inicjałami, ale w powozie panował zbyt duży mrok, żeby udało mi się odczytać litery.

Jechaliśmy przez jakiś czas. Nie wiedziałam, dokąd zmierzamy, ponieważ zasłony były zaciągnięte, podejrzewałam jednak, że krążymy po ulicach i kiedy skończy, zostawi mnie tam, skąd mnie zabrał. Nawet w ciemności wewnątrz powozu widziałam błysk jego oczu. Przez cały czas bacznie mi się przyglądał. Próbowałam prowadzić rozmowę, ale nie był nią zainteresowany. W końcu machnął ręką, żebym usiadła obok niego. Zrobiłam, co kazał, wtedy od razu dotknął mojej blizny. Wodził po niej palcem, a potem opuścił głowę. Poczułam, że liże i gryzie moją bliznę. Zgrzytnęłam zębami: byłam przyzwyczajona do wszelkich upokorzeń, ale to, co robił, wzbudzało we mnie głęboką odrazę — może dlatego, że nikt wcześniej nie ośmielił się dotknąć tego miejsca. Uważałam, że jest to jedyna część mojego ciała, która jakimś cudem nie została zbezczeszczona i nigdy nie stała się źródłem rozkoszy żadnego mężczyzny.

Kiedy poczułam, że nie zniosę tego ani sekundy dłużej, odsunęłam się. Dzięki Bogu, uniósł głowę, a potem odrzucił na bok koc. Jedną ręką pchnął mnie na kolana, drugą zaczął rozpinąć guziki.

Wciąż jeszcze czułam obrzydzenie na myśl o jego ślinie na mojej piersi. Dodatkowo wzdrygnęłam się, gdy ze spodni wyskoczył sztywny członek, a do moich nozdrzy dotarł obrzydliwy smród. Mężczyzna chwycił obiema rękami moją głowę i przyciągnął ją do swojego krocza.

Broniłam się, chciałam spytać, czy nie wolałby czegoś innego, zasugerować inne sposoby zadowolenia, ale nim zdołałam powiedzieć choćby słowo, tak mocno uderzył mnie w twarz, że zadźwięczało mi w uszach.

Zdawałam sobie sprawę, że jeśli chcę jakoś wyjść z opresji, muszę zrobić, co mi każe, i to szybko, ale po pierwszym ciosie zaskoczył mnie drugi, mocniejszy. Mężczyzna próbował stanąć w rozkołysanym powozie, jego wełniane spodnie zsunęły się do kostek. Stał nade mną z uniesioną ręką. Próbowałam wstać.

Niestety, rozpoczął już grę, którą aż za dobrze znają wszystkie dziewczęta z ulicy: nie mógł osiągnąć satysfakcji bez zadawania bólu.

- Sir - wydukałam - proszę mi pozwolić...

Uderzył mnie ponownie. Upadając na bok, wyrzuciłam ręce przed siebie. Przypadkowo złapałam za klamkę. Drzwi się otworzyły, a ja upadłam twarzą na bruk.

Nie mogłam złapać powietrza. Leżałam na zatłoczonej ulicy i ciężko dyszałam. Tuż obok mojej głowy stukały buty, końskie kopyta i koła. Bałam się, że zostanę rozdeptana.

Chwilę później ktoś chwycił mnie pod pachy i odciągnął w bezpieczne miejsce pod ścianę budynku. Jak się okazało, na ratunek przyszła mi jakaś kobieta z małym chłopcem.

- Nic się pani nie stało? - spytała.

Pokręciłam przecząco głową, wciąż zgięta wpół. Z trudem starałam się złapać oddech.

- Zauważyliśmy - powiedział chłopiec - że wypadła pani z powozu.

Uniosłam głowę i spojrzałam na ruchliwą ulicę. Powóz zniknął. Położyłam rękę na piersi: czułam łomotanie serca.

- Nic się pani nie stało? - spytała ponownie kobieta, a ja podziękowałam jej za pomoc.

Była w średnim wieku, miała mocno pomarszczoną twarz, a ponieważ brakowało jej dolnych zębów, stercząca broda nadawała twarzy mojej wybawicielki wścibski wyraz. Spod wyblakłego ciemnobordowego kapelusika sterczały siwe włosy o żółtawym połysku, co mogło świadczyć, że była niegdyś blondynką, chociaż miała gęste, czarne brwi.

Rozejrzałam się. Nie znałam tej okolicy.

- Gdzie ja jestem? - spytałam.

- Przy Richmond Row, panienko - powiedziała.

Serce zamarło mi w piersiach. To znaczy, że powóz wcale nie krążył po ulicach. Odjechał daleko od centrum Liver-poolu.

Kobieta otrzepała mój rękaw.

- Nie ma pani torebki, moja droga? Ani szala? Zakląłam z powodu własnej głupoty. Nie dość, że nie udało

mi się zarobić suwerena — o ile rzeczywiście Szkot miał zamiar tyle mi zapłacić - to jeszcze straciłam szal, a moja sukienka nosiła czarne ślady butów. Dotknęłam ręką pasa: pieniądze wciąż były na swoim miejscu.

Kobieta bacznie mi się przyglądała.

- Nie. Chyba przepadły.

Nie wiedziałam, jak jej wydumaczyć, co mi się przytrafiło. Jej ciemne oczy były życzliwe, niemal wilgotne, jakby martwiła się o mnie, chociaż byłam dla niej obcą osobą.

- Taka ładna młoda istota - powiedziała, jakby czytała w moich myślach - i tak okrutnie została potraktowana. - Jej oczy zasnuły się łzami. - Straciłam córkę. Wiem, jak ciężkie może być życie dla młodej kobiety.

Wszyscy troje byliśmy potrącani i przesuwani przez tłum przechodniów.

- Nikt nie powinien napastować eleganckich dam - powiedziała, podnosząc głos, żeby przekrzyczeć okrzyki i wybuchy petard. - Radzę pani gdzieś usiąść i zjeść zupę piwną, żeby uspokoić nerwy. - Zerknęła na chłopca. - Gdybyśmy mieli chociaż jednego zbędnego pensa, postawilibyśmy pani drinka.

Chłopiec oblizwał wargi.

- Chce mi się pić, mamusiu - powiedział.

Mógł mieć pięć, może sześć lat, dlatego zaskoczyło mnie, że mówi do kobiety „mamusiu”. Była o wiele za stara jak na jego matkę.

- Wiem, synku, ale nie jest lekko. Wiesz, że nie mam ani pensa przy duszy.

Zdawałam sobie sprawę, że mnie oszukują, bo dziecko odezwało się jak na sygnał, ale byłam wdzięczna, że udzielili mi pomocy, gdy większość przechodniów omijała mnie i udawała, że niczego nie widzi.

- Pozwólcie, że kupię pani i chłopcu coś do picia - powiedziałam. - Odwdzięczę się za życzliwość.

Kobieta położyła dłoń na głowie chłopca. Miał długie, ciemne włosy sztywne od brudu, rzadkie, ciemne rzęsy, ogromne, jasnoniebieskie oczy, drobną twarzyczkę i regularne rysy. Gdyby nie był brudny, można byłoby nawet uznać, że jest ładny.

- Mniejsza o mnie, ale mój synek już od wielu godzin jest na nogach. Bardzo się zmęczył. Chcieliśmy popatrzeć na sztuczne ognie nad par-

kciem. Myślę, że szklanka kleiku jęczmiennego dobrze mu zrobi, ale przecież straciła pani torebkę. Jeśli nie ma pani pieniędzy... - Urwała.

- Coś tam schowałam - wyjaśniłam. Przytaknęła.

- Jeśli panią na to stać, kilka kroków stąd jest dość sympatyczny szynk.

Kusiło mnie, żeby usiąść na chwilę i wypić coś ciepłego. Co prawda już całkiem normalnie oddychałam, ale czułam ostry ból w krzyżu. Położyłam na nim dłoń i po kilku sekundach poczułam się lepiej.

Kobieta objęła mnie i poprowadziła do szynku, którego nazwa - „Green Firkin” - wypisana była zawiłymi literami na grubym szkłe. Kiedy otworzyliśmy drzwi, usłyszeliśmy pijackie śpiewy, poczuliśmy zapach dżinu, dymu papierosowego i potu. Klienci byli upchani jak ryby w puszcze, musieliśmy się przeciskać między nimi za pomocą łokci. Od stolika w odległym kącie wstała jakaś kobieta i dwaj starsi mężczyźni, a my zajęliśmy ich miejsce. Zauważyłam, że kobieta, która mnie uratowała, kiwnęła głową jednemu z mężczyzn, a on jej się odklonił, jakby się znali.

- Byłam tu kiedyś raz lub dwa - wyjaśniła. - To miły lokal. Gdy usadowiliśmy się na krzesłach, wsunęłam ręce pod

stół i wysupłałam z paska kilka monet. Kobieta nie zwracała uwagi na to, co robię: oblizywała palce i przecierała twarz chłopca, podejmując żalną próbę wymycia go.

- Chętnie napiję się dżinu - powiedziała - a dla niego poproszę o kleik jęczmienny.

Przepchnęłam się do baru, zamówiłam dżin, a dla chłopca i dla siebie kleik.

Udało mi się jakoś donieść wszystko do stolika, chociaż gdy tylko ustawiłam naczynia, ból wrócił. Wychyliłam się do przodu i rozmasowałam pięścią krzyż.

- Coś pani dolega, moja droga? - spytała kobieta. Wychyliła dżin zgrabnym, dobrze znanym gestem, po

czym oblizywała wargi i postawiła pusty kieliszek na stoliku.

- Widocznie wypadając z powozu, podukłam sobie plecy -odparłam. Usiadłam i upiłam spory łyk kleiku. - Gdy wrócę do domu, od razu się położę i nic mi nie będzie.

Spojrzałam na pusty kieliszek kobiety; szklanka dziecka wciąż była pełna. Moja wybawczyni wyraźnie czekała na następnego drinka. Musiałam jakoś się wyrwać z hałaśliwego, zadymionego lokalu. Co gorsza, byłam daleko od Jack Street.

Co za beznadziejny wieczór - pomyślałam, gdy chłopiec upił odrobinę kleiku. Nie tylko straciłam szal i kilka godzin pracy, ale właśnie stawiałam dzin nieznannej kobiecie i jeszcze czekało mnie wynajęcie dorożki, jeśli chciałam wrócić do domu.

Odwróciłam się do kobiety, chcąc jej powiedzieć, że wychodzę. W tym momencie chłopiec trącił swoją szklankę i nim zdążyłam uskoczyć, wylał na moją suknię chłodny, lepki płyn. Kobieta zerwała z ramion szal i zaczęła wycierać nim moją spódnicę, krzycząc na chłopca, że jest nieostrożny. Malec wykrzywił buzię i zaczął głośno, piskliwie zawodzić.

- Proszę już dać spokój - powiedziałam, kiedy gorączkowo strzepywała moją spódnicę. - Nic się nie stało. Wszystko w porządku - zapewniłam chłopca, który wciskał w oczy brudne pięści i jeszcze głośniejszym głosem zawodził.

- Zobaczysz, jak za to oberwiesz, dostaniesz po uszach jak nigdy wcześniej! - wrzeszczała na niego kobieta, wstając i zawijając mokry szal w zawiniątko.

- Nie, mamusiu, nie! - krzyknął chłopiec, po czym poderwał się ze stołka i ruszył biegiem w stronę drzwi.

- Proszę, to nic ta... - powtarzałam kobiecie, ale ona tylko mocno zaciśnęła wargi.

- Zaraz go złapię i przyprowadzę z powrotem - oznajmiła, pędząc za nim. - Proszę na mnie poczekać - rzuciła przez ramię.

Nie miałam zamiaru spędzić reszty wieczoru na stawianiu jej dzinu; liczyłam, że chłopiec szybko biegnie i zdoła chociaż kawałek uciec przed matką - o ile to jego matka - a ja dzięki temu zdążę wsiąść do dorożki, nim oboje wrócą.



Ból w krzyżu przybrał na sile, aż musiałam wesprzeć się o stół, żeby nie upaść. Gdy atak minął, chciałam strzepnąć ze spódnicy resztki rozlanego kleiku jęczmiennego. Wtedy zauważyłam, że pasek jest wynicowany. Opadłam na kolana i zaczęłam przeszukiwać brudną podłogę, wołając:

- Nie! Nie, nie, nie!

Moje piski bardzo przypominały wcześniejsze krzyki chłopca. Tyle że jego były świetnie wyćwiczone.

Z trudem precisnęłam się przez zatłoczoną salę do drzwi.

Spojrzałam w górę i w dół ulicy, ale nie zauważyłam złodziejskiej pary w tłumie mężczyzn, kobiet, dziecięcych koników i wózków, których wszędzie było pełno. Wbiegłam z powrotem do środka i powiedziałam właścicielowi, co się stało.

- Czy zna pan tę kobietę i chłopca? - spytałam. - Czy są stałymi bywalcami?

Nie był zainteresowany moją opowieścią.

- Nie mogę pani pomóc - powiedział.

- Ale... ale ona ukradła wszystko, co miałam - załkałam, chociaż mężczyzna przesunął się na drugi koniec baru i rozmawiał z siedzącą tam kobietą.

Ból w krzyżu bardzo się nasilił; był trudny do zniesienia. Ku własnemu zaskoczeniu poczułam, że uginają się pode mną kolana. Podtrzymał mnie młody mężczyzna, który siedział przy barze z kuflem ale.

- Jest pani chora, panienko? - spytał, chwytając mnie za ramię.

Gdy ból osłabł, poczułam na ręce drżenie jego palców. Spojrzałam na nie i na pokryty zgrubieniami nadgarstek, który wyłaniał się ze zbyt krótkiego rękawa. Młody mężczyzna cały się trząsał.

- Nie, nie jestem chora, po prostu zostałam okradziona. Czy nikt nie może mi pomóc?! - krzyknęłam, patrząc na pociągłą, jasną twarz.

Miał jasnoniebieskie tęczęwki z nieco ciemniejszymi obwódkami. Jego oczy były małe, ale życzliwe.

- Ludzie, którzy panią okradli, są już daleko stąd. Dzięki świątecznym tłumom mieli bardzo ułatwione zadanie.

Uwolniłam rękę i wstałam. Nawet nie chciałam myśleć o tym, co się stało. Przez cały czas, pracując na ulicy, pilnie strzegłam swoich oszczędności, a teraz dałam się złapać na najstarszy numer świata. Czyżby przy upadku na bruk wstrząsu doznał nie tylko mój kręgosłup, ale i mózg?

- Jeśli boi się pani iść sama, mogę odprowadzić panią do domu, panienko - zaproponował młody człowiek.

Uniosłam głowę. Boję się iść sama? Czy on nie widzi, kim jestem? A może widzi, tylko myśli, że udając współczucie, zdoła dostać ode mnie coś za darmo? Nikt nie dostaje ode mnie niczego za darmo. Zbyt dużo już tego wieczoru straciłam. Niemal wszystko. Położyłam dłonie na wypukłym brzuchu.

- Poradzę sobie - zapewniłam go. - Proszę mi tylko powiedzieć, jak mogę stąd dotrzeć do centrum Liverpoolu.

Teraz ból w krzyżu nie ustawał ani na chwilę.

- Skoro została pani okradziona, z pewnością nie ma pani pieniędzy na dorożkę. To daleka droga.

Sprawiał wrażenie szczerze zmartwionego. Tak samo szczerze zmartwionego jak kobieta, która okradła mnie z przyszłości. Zacisnęłam mocno usta, żeby nie jęknąć, chociaż miałam na to ogromną ochotę.

- Mam na imię Shaker - przedstawił się - i mogę panią zapewnić, że nie wygląda pani na osobę, która byłaby w stanie pokonać taką odległość na piechotę. Jest pani bardzo blada. Boli panią kręgosłup, panienko?

Znów masowałam pięścią krzyż, by uśmierzyć ból, który teraz ogarniał mnie falami, przybierał na sile i słabł.

- Upadłam. To minie - zapewniłam go, głęboko oddychając przy następnej fali bólu.

- Mogę postawić pani coś ciepłego do picia? Czy to pomoże? - spytał.

Chciałam go zapewnić, że nie, ale w chwili, kiedy otworzyłam usta, poczułam tak silny ból, że aż krzyknęłam. Nie zdając sobie z tego sprawy, zacisnęłam palce na klapie surduta mężczyzny.

Objął mnie ręką w pasie i przytulił do siebie, póki ból nie minął.

- Myślę, panienko, że to nie pani plecy, tylko coś całkiem innego - powiedział, nie patrząc mi w oczy.

Poczułam, jak jego palce przesuwają się w stronę mojego brzucha. Delikatnie nacisnęły go przez gorset, jakby nieznajomy coś sprawdzał.

- Muszę wrócić do domu - szepnęłam. - Jeśli uda mi się... Przy następnej fali bólu zwinęłam się wpół. Z moich ust wyrwał się zwierzęcy jęk.

Nieznajomy wziął mnie na ręce, a ja nie miałam nawet siły, żeby zaprotestować. Z trudem torował sobie drogę w dumie. Przytuliłam się do jego piersi i zamknęłam oczy. Nie chciałam myśleć o tym, co się działo. Wiedziałam jednak, że to Frances pod wpływem wstrząsu próbuje wcześniej przyjść na świat. Za wcześnie, o wiele za wcześnie. Jeśli rzeczywiście teraz się urodzi, nie będzie miała żadnych szans na przeżycie.

## Rozdział 10

Gdy przywoływał dorożkę i pomagał mi wsiąść, wspierałam się na jego ramieniu.

- Gdzie mam wysłać dorożkarza? - spytał, opierając się o otwarte drzwi. - Gdzie pani mieszka?

Pomyślałam o zimnym, dusznym, maleńkim pokoiku. Dziewczęta będą pracować jeszcze przez jakieś cztery, pięć godzin. Musiałabym urodzić dziecko samotnie, na pryczy przy Jack Street. Czułam, że usta mi drżą, podobnie jak ręce mężczyzny o imieniu Shaker. Nie, nie i nie - pomyślałam. Kręciłam głową, próbując zaprotestować.

Shaker źle mnie zrozumiał.

- W porządku. Proszę. - Wyjął z kieszeni kamizelki kilka monet. - To wystarczy na dorożkę.

Nie byłam w stanie wydusić z siebie ani słowa, nie odrywałam wzroku od wyblakłych bordowych zasłon na oknie.

Shaker czekał. Dorożka zadrżała, szarpnięta przez zniecierpliwione konie, dorożkarz rzucił szorstkie pytanie. Shaker usiadł obok mnie i dopiero wtedy wydał dyspozycję.

Żadne z nas nie odezwało się ani słowem. Całą uwagę skoncentrowałam na kołyszącej się zasłonie, próbując pokonać kolejne fale bólu. Teraz jego centrum nie mieściło się już w plecach, lecz w dole brzucha, a skurcze obejmowały nawet uda. Po dziesięciu minutach dorożka się zatrzymała. Shaker pomógł mi wysiąść.

- Gdzie jesteśmy? - spytałam.

Rozejrzałam się po słabo oświetlonej ulicy, przy której stały rzędy ładnych, dwukondygnacyjnych domków z tarasami i ceglanymi fasadami. Wysokie, proporcjonalne drzwi i okna miały spory urok. Zauważyłam, że schody i parapety były porządnie wyczyszczone i pobielone. Położyłam dłoń na podbrzuszu, próbując zmniejszyć ucisk.

- W Evertonie, na północy miasta. Tu właśnie mieszkam... na Whitefield Lane.

Shaker otworzył drzwi i wprowadził mnie do środka. Wszędzie panowała ciemność, tylko z kominka w pokoju po lewej stronie dobiegała odrobina czerwonego blasku. Shaker lekko popchnął mnie lewą dłonią, więc poszłam wąskimi schodami w stronę podestu. Pod pierwszymi drzwiami widać było wąską smużkę światła. Shaker się zawahał. W tym momencie w drzwiach pojawiła się wymizerowana siwowłosa kobieta ze zniszczoną Biblią w jednej ręce i świecą w drugiej.

- Co to ma znaczyć? - spytała szorstko, wysuwając świecę w moją stronę. - Kto to?

Zauważyłam, że bacznie przygląda się mojej sukni i fryzurze. Wiedziała, że przynieśliśmy ze sobą zapachy szynku: alkoholu, tytoniu i potu.

- Młoda kobieta w potrzebie, matko - powiedział Shaker.

Nie miałam już siły dłużej stać. Przywarłam do rękawa Shakera, a on otoczył mnie ramieniem, żebym nie upadła. Oparłam czoło o jego pierś.

- W potrzebie? - powtórzyła kobieta. - Z tego, co widzę, jest pijana. Jak śmiałeś przyprowadzić do domu pijaną prostytutkę?

Odwrociłam się, by na nią spojrzeć. Podeszła tak blisko, że poczułam na twarzy ślinę, która prysnęła z jej ust.

- Sprawiasz mi ogromny zawód swoim zachowaniem, chłopcze... a co gorsza, sprawiasz zawód swojemu Panu.

- Niczego nie rozumiesz, matko...

- Może to prawda, ale nie zniosę obecności pod moim dachem jakiejś panienki spod latarni.

Głowa starszej pani zakołysała się na cienkiej, pokrytej zmarszczkami szyi, kiedy pochyliła się, żeby mi syknąć prosto w twarz:

- Cudzołożnica. Shaker ją zignorował.

- To nasz dach, matko, nie twój.

- Podaj mi chociaż jeden powód, dla którego miałabym na to pozwolić, Shakerze.

- Ot, choćby ze względu na chrześcijańskie miłosierdzie. Wyraz twarzy kobiety się zmienił. Zrobiła krok do przodu. Pod wpływem bólu ugięły się pode mną kolana. Jęknęłam, czując ogromny nacisk. Trzymałam się mocno surduta Shakera, żeby nie upaść. Czułam na plecach drżenie jego rąk.

- Ona lada chwila zacznie rodzić, matko. Potrzebuje pomocy.

- Nie wygląda na to, żeby była w ciąży. Chociaż to możliwe, ponieważ jest chuda, koścista i wymizerowana przez ciągłe cudzołożenie.

Kobieta ponownie się do mnie zbliżyła i najpierw spojrzała na mój brzuch, potem na moje palce pozbawione jakichkolwiek pierścionków, w końcu na moją twarz.

- Dlaczego ją tu przyprowadziłeś? Nic cię z nią nie wiąże, prawda?

Jej kaprawe oczka tym razem przyglądały mi się podejrzliwie i z wyraźnym strachem.

- Czy w jakiś sposób jesteś odpowiedzialny za jej stan, synu? Powiedz mi, że nie masz wobec tej kobiety żadnych zobowiązań. Proszę.

Ostatnie słowo zostało wypowiedziane szeptem.

- Proszę... - Zawtórowałam, gdy ucisk niczym żelazne szczypce rozrywał moje kości. - Proszę mi pomóc.

Shaker niemal wniósł mnie do ciemnego pokoju. Jego matka weszła za nami. Na ścianach tańczyły monstrualne cienie rzucane przez jej świecę.

- Dlaczego nie poszła do domu, tam gdzie jej miejsce?

- Została okradziona z wszystkich pieniędzy. Dziś wieczorem wszędzie są takie dumy... - Shaker urwał. - Poza tym potrzebuje pomocy - powiedział. - Wyjdź, matko. Wracaj do swojego pokoju. - Mówił cichym, ale zdecydowanym tonem. - Proszę. To nie twoja sprawa.

Kobieta nie odezwała się ani słowem; wyszła, zabierając świecę i zamykając za sobą drzwi.

Nie panowałam już nad swoim ciałem. W ciemności słyszałam, że mój głos przypomina dziwny, świergotliwy pisk. Shaker położył mnie delikatnie na miękkiej powierzchni. Rozległ się cichy trzask, a potem błysnął nikły płomyk, kiedy przytknął zapalnik do knota lampy. W jej świetle zobaczyłam, że leżę na wąskim materacu. Odnosiłam wrażenie, że ból za każdym razem jest coraz silniejszy, a okresy między skurczami stają się coraz krótsze. Daleki wybuch oznaczał, że rozpoczął się pokaz sztucznych ogni. Czułam, że coś rozdziera mnie na dwoje.

- Jest za wcześnie. O wiele za wcześnie - szepnęłam, podciągając kolana i rozsuwając nogi, gdy Shaker rozpałał ogień w niewielkim kominie.

- Wiem - powiedział sam do siebie. - Poza tym sprawa posunęła się o wiele za daleko, żeby powstrzymać poród.

- Nie wiem, co robić - wyznałam, ciężko dysząc. Co gorsza, zaczynam się bać — pomyślałam.

Ręce Shakera bardzo się trzęsły, kiedy mył je w misce. Woda prysnęła mu na surduta, więc go zdjął. Okno trzeszczało pod naporem wiatru.

- Ale ja wiem - zapewnił mnie, podchodząc.

- Proszę mi ją pokazać.

- To tylko panią zdenerwuje, panienko.

- Powiedziałam, że chcę ją zobaczyć.



Wszystko poszło szybko i sprawnie. Nie protestowałam, gdy Shaker wydawał mi polecenia, podciągał do góry moją sukienkę, rozwiązywał gorset i zdejmował reformy. Potem położył swoje ogromne, kościste ręce na moim brzuchu i cicho mówił, co mam robić. Gdy nadeszły najgorsze bóle, dał mi czysty kawałek bawełny do zagryzienia. Kiedy było po wszystkim, wyjął spode mnie brudne prześcieradło i rozłożył świeże, przyniósł dodatkową podkładkę, ciepłą wodę i miękką flanelę do mycia. Zostawił mnie samą, a wtedy zdjęłam suknię i gorset, po czym powoli umyłam się od stóp do głów. Moje ruchy były wolne i niezgrabne. Kiedy skończyłam, położyłam się z powrotem na łóżku.

Jeszcze nie nadszedł ranek, chociaż miałam wrażenie, że światło lampy było odrobinę słabsze, a ciemność straciła swą czernią. Wiatr gwizdał w oknie.

- To moja córeczka. Mam prawo ją zobaczyć.

Próbowałam mówić zdecydowanym głosem, mimo to drżałam, chociaż byłam owinięta kocem. Shaker uchylił okno, a do pokoju wpadło zimne, świeże powietrze, które jakimś cudem pachniało zielenią. Pokazy sztucznych ogni skończyły się dawno temu, a z ulicy nie dochodziły żadne odgłosy. Nawykłam do ustawicznego stukotu i krzyków na Jack Street, nie mogłam się przyzwyczaić do niesamowitej ciszy, jaka panowała w ciemnym pokoju.

Shaker przez następną chwilę bacznie mi się przyglądał, potem podszedł do umywalki, w której stała porcelanowa miednica.

- Proszę zaczekać.

Kiedy zamknęłam oczy, usłyszałam cichy plusk i delikatny szelest.

- Co pan robi? - spytałam, próbując wygodnie usiąść i owinać ramiona kocem.

Bez słowa podszedł do łóżka, kucnął obok mnie i opuścił miednicę. Spojrzałam na maleńką istotkę, owiniętą w czystą lnianą chusteczkę do nosa. Miniaturowy całun.

Dotknęłam jej palcem wskazującym.

Leżała na boku. Shaker wymył ją: miała czystą skórę, jasnoblękitną jak pierś gołębia, a jej ciało pokryte było delikatnym meshkiem. Była

idealnie zbudowana, ale maleńka, miała przezroczyście powieki i paznokcie.

Dotknęłam jej chłodnego, aksamitnego czółka, ramion i pleców. Palce mi drżały... a może nie, może to dziecko drżało w misce w trzęsących się rękach Shakera?

Chciało mi się płakać - miałam wrażenie, że w gardle utkwiała mi niewyobrażalnie ogromna, trudna do przełknięcia klucha. Ślina napłynęła mi do ust, pociekło mi z nosa, ale moje oczy pozostały suche.

- Przykro mi. Wiedziałem, że to będzie dla pani trudne... Kiedy w końcu udało mi się przełknąć kluchę, odzyskałam głos, chociaż bardziej przypominał on skrzypienie.

- Ma na imię Frances.

Odsunęłam rękę od dziecka i położyłam ją na kolanach, po czym zaciśnęłam obie dłonie.

- Cieszę się, że nie żyje. Co dobrego może na tym świecie spotkać dziewczynkę?

Shaker delikatnie odstawił miednicę i spojrzał z góry na maleństwo.

- Nie wyrzuci jej pan na śmietnik, prawda? Chciałabym ją pochować.

Shaker nadal patrzył na martwe dziecko.

- Jeśli pan chce, żebym sobie poszła, zaraz to zrobię. Zabiorę ją i pójdę - powiedziałam.

Byłam zła z powodu przygarbionych pleców Shakera, jego trzęsących się rąk i smutku. Jakim prawem ten człowiek oplakiwał moją Frances? Nic o mnie nie wie ani ja o nim.

Gdy próbowałam opuścić nogi na podłogę, krzyknęłam pod wpływem ostrego bólu. Koc upadł na ziemię.

- Pozwolę pani zrobić z nią, co pani zechce - zapewnił Shaker, odwracając się do mnie.

Stał nieruchomo, jedynie w dalszym ciągu trzęsły mu się ręce, chociaż wsunął je pod pachy.

- Jak się pani nazywa?

- Linny Gow - odparłam.

Byłam naga, jeśli nie liczyć koszuli. Wsparłam się obiema rękami o łóżko, przygotowując się do wstania.

- Muszę już iść - powiedziałam.

- Dlaczego? - spytał Shaker.

Nie umiałam odpowiedzieć. Przeniosłam wzrok na miednicę.

- Myślę, że byłoby lepiej, gdyby poleżała pani przez kilka godzin, póki nie ustanie najgorsze krwawienie, i nabrała nieco sił przed powrotem do domu.

Podszedł bliżej.

Kiedy nie odpowiedziałam, kontynuował:

- Absolutnie ule może pani wrócić prosto do pracy. Musi pani odczekać przynajmniej kilka dni, aż pani wyzdrowieje.

Oczywiście, wiedział, kim jestem. Matka wcale nie musiała mówić mu, czym się zajmuję. Wiedział o tym od pierwszej chwili, kiedy stanęłam obok niego w szynku. Tymczasem traktował mnie z takim szacunkiem, że uznałam go za głupca.

Kiedy wspomniał o pracy, poczułam ogromne znużenie. Nie byłam w stanie wyjść na taki chłód i iść na piechotę na Jack Street.

- Odpocznę godzinę, nie dłużej - obiecałam, kładąc się. -Tylko godzinę.

Shaker otulił mnie grubym wełnianym kocem. Nagle zamrugał powiekami, ujrawszy moją bliznę. Usłyszałam ciche westchnienie. Potem zamknął okno, dołożył do kominka, zgasił lampkę i wyszedł.

Leżałam w ciepłe, ale nie mogłam zasnąć w pierwszych bladych promieniach poranka. Oderwałam wzrok od miski i spojrzałam w okno. Naga, mokra gałąź od czasu do czasu stuknęła o szybę, poruszana coraz słabszym wiatrem. Niebo miało perłowy kolor. Myślałam o Shakerze. Zastanawiałam się, skąd wiedział, co robić. Przypomniałam sobie smutek na jego twarzy, kiedy przyniósł mi miednicę, i później, gdy spoglądał z góry na moją martwą córeczkę.

Obudziłam się, gdy przez okno wpadały jasne promienie słońca. Nigdy wcześniej nie widziałam takiego czystego okna. Odrzuciłam koc i

usiadłam. Byłam sztywna i obolała, jakby ktoś pobił mnie znacznie poważniej niż Szkot z powozu. Czułam się tak, jakbym została obdarta ze skóry od środka i na zewnątrz, jakby ból powodowało nawet wypowiedzenie prostego słowa. Powoli wstałam i ubrałam się, chociaż z trudem utrzymywałam się na nogach.

Kiedy rozpuściłam splecione włosy i próbowałam poradzić sobie ze zmierzwionymi włosami, spojrzałam na umywalkę. W miejscu miednicy stała niewielka skrzyneczka zbita z cienkich desek. Widocznie Shaker wchodził, gdy spałam. Najpierw pomyślałam, że to szkatułka na biżuterię albo pamiątki. Podeszłam i musnęłam ją palcami. Potem nagle wszystko zrozumiałam. Lekko uchyliłam wieko. Zobaczyłam śnieżnobiałą lnianą chusteczkę do nosa i wyczułam pod nią drobniutkie ciało. Zamknęłam wieko.

W pokoju stało duże, proste biurko i krzesło. Na biurku leżały stosy książek, jedna z nich była otwarta. Na ścianie nad biurkiem wisiał rysunek człowieka bez skdry - same mięśnie, ścięgna i żyły. Były też osobne obrazki z samymi kośćmi; jeden z nich przedstawiał rozciętą na pół czaszkę z dziwną płataniną w ziejącym otworze. Potem na ziemi obok biurka zobaczyłam... słoiki.

Na moment wróciłam do jasno oświetlonego pokoju i makabrycznej kolekcji.

Podeszłam bliżej, nie chcąc nawet myśleć, co mogę zobaczyć, ale w słoikach nie było włosów. Pływało w nich coś, co przypominało ochłapy od rzeźnika. Potem zdałam sobie sprawę, że są to zakonserwowane części ludzkiego ciała. Niektórych nie rozpoznawałam, chociaż dostrzegłam nerki, serce i wątrobę. Spoglądając na ostatni słoik, głośno sapnęłam. Zatkaną ręką usta, by sdumić wydobywający się z nich dźwięk, ale zrobiłam to za późno.

W otwartych drzwiach pojawił się Shaker. Gwałtownie cofnęłam się od biurka.

- Przepraszam, najmocniej przepraszam, nie przypuszczałem...

Jąkając się, tak szybko chwycił słoik, że płód ludzki poruszył się niespokojnie w aldehydzie mrówkowym.

- Badam ludzkie ciało - wydukał Shaker, jakby odczuwał z tego powodu wyrzuty sumienia. - Chcia... chciałem zostać lekarzem. Oczywiście, w moim przypadku to niemożliwe... Lekarzem lub choćby tylko cyrulikiem, takim kimś, kto kiedyś się panią zajął. - Spojrzał na moją bliźnię. - Przy... przy moich rękach to, niestety, niemożliwe - ciągnął, jakby uznał, że musi uściślić swoją wypowiedź - ale pasja pozostała. - Mówiąc to, ukrył słoik za plecami. - Ugotowałem trochę bulionu - powiedział. - Powinna pani wziąć nieco emetyku, żeby się wzmocnić, ale musi to pani przepisać lekarz. Emetyk można dostać tylko w aptece. Bardzo źle się pani czuje? - Gadał, co mu ślina na język przyniosła. Usiadłam na krześle przy biurku.

- Trochę zakreśliło mi się w głowie, bo zbyt szybko wstałam - skłamałam. - Już sobie idę. - Spojrzałam na elegancką skrzyneczkę na stole. - Mam ją panu oddać? - spytałam.

- O nie, proszę. Chciała ją pani... pochować, więc pomyślałem...

Bacznie przyjrzałam się skrzyneczce, ignorując Shakera, który szybko wyszedł z pokoju. Po chwili pojawił się ponownie, z szalem.

- Proszę.

Wręczył mi szal - oczywiście, jego matki.

- Proszę wypić chociaż filiżankę bulionu, który przygotowałem. Czekam po drugiej stronie korytarza, w pokoju mojej matki. Właśnie wróciła z kościoła. Jej pokój jest cieplejszy. Na parterze jeszcze nie napalono w kominku. Wkrótce przyjdzie Nan i wszystkim się zajmie. Proszę przejść ze mną do sąsiedniego pokoju. Proszę - powtórzył.

Myśl o wywarze mięsny sprawiła, że ślina napłynęła mi do ust.

- Zgoda. Dziękuję, panie...?

Na szyi Shakera pojawiły się czerwone plamy.

- Już wczoraj wieczorem mówiłem pani, że lubię, gdy ludzie nazywają mnie Shakerem. Zaczęło się jeszcze w szkole od niezbyt stosownego żartu, ale jakoś do mnie przylgnęło.

Uśmiechnął się, odsłaniając krzywe zęby, ale był to szczerzy uśmiech, który rozjaśnił bladą twarz. Przyszło mi na myśl, że od bardzo, bardzo dawna nie widziałam takiego uśmiechu na twarzy mężczyzny.

- W rzeczywistości nazywam się Smallpiece, ale wolę być Shakerem. Oczywiście, jeśli nie ma pani nic przeciwko pominięciu pewnych formalności.

- Dziękuję, Shakerze - powiedziałam. - Za dzisiejszą noc. Za pomoc.

Przyjrzałam się bacznie jego drżącym dłoniom. Czy one kiedykolwiek przerywają swój ciągły taniec? Czy trzęsły się, gdy pomagały maleńkiej, sonej dziewczyneczce wydostać się z mojego ciała?

- Musi mnie pan uważać za straszną fujarę - powiedziałam, podnosząc wzrok. - Tak głupio dałam się okraść. Powinnam doskonale znać wszystkie uliczne triki. - Wzruszyłam ramionami. - Dobrze wiem, że już nigdy nie odzyskam moich pieniędzy.

Shaker wsunął rękę do kieszeni.

- Zostaną wydane na tani dżin i nie wiadomo na co jeszcze. Dziś rano wróciłem do Green Firkahl a właściciel pomimo niedzieli wpuścił mnie do środka. Spytałem go tak samo jak pani wczoraj wieczorem, czy zna tę kobietę i dziecko. Oczywiście, powiedział, że nie, chociaż prawdopodobnie sam też nieźle skorzysta i zażąda udziału w zysku za zgodę na okradanie jego klientów. Rozejrzałem się jednak po szynku i w rogu coś znalazłem. Oczywiście, ten drobiazg wcale nie musiał należeć do pani.

Wyjął rękę z kieszeni. Trzymał w niej mój wisiołek. Na jego widok poczułam potworny żal po skradzionych marzeniach i załkałam. Sięgnęłam po wisiołek, wyrwałam go Shakerowi z palców i przytuliłam do policzka.

- Dałam córeczce na imię Frances - powiedziałam, chociaż już mu to mówiłam. - Po mojej mamie.

Dopiero wtedy z oczu popłynęły mi łzy. Po tylu latach. Z głośnym szlochem kołysałam się na krześle do przodu i do tyłu, do przodu i do tyłu. Nagle poczułam na ramieniu dłoń Shakera. Bardzo mocno się trzęsła, mimo to dodawała mi otuchy.

Kiedy w końcu zdołałam się opanować, Shaker zdjął dłoń z moich pleców i odsunął się ode mnie o krok. Z ogromnym zainteresowaniem przyglądał się rysunkowi człowieka bez skóry, potem otwartej książce, słoikom, widokowi za oknem. Patrzył wszędzie, byle nie na mnie, jakby



widok łez był dla niego bardziej żenujący niż wszystko, co zobaczył w nocy, gdy leżałam na jego łóżku, a on klęczał między moimi zgiętymi kolanami.

## Rozdział 11

W pokoju po przeciwnej stronie korytarza rzeczywiście, zgodnie z obietnicą Shakera - było ciepło, bo paliło się w koi minku. Przy filiżance parującego bulionu opowiedziałam mojemu wybawcy, że miałam zamiar wyjechać do Ameryka Zdradziłam, w jaki sposób przed laty Ram Munt zmusił mnie<sup>1</sup> do prostytucji i że od lat oszczędzałam każdego pensa, żeby w jedyny znany mi sposób zerwać z dotychczasowym życiem. Wyznałam, że miałam zamiar wychować córeczkę w Ameryce i prowadzić godne szacunku życie.

Nie wiem, dlaczego mu to wszystko powiedziałam. Chyba po prostu zależało mi, żeby wyjaśnić mu, kim jestem, i być może podziękować w jedyny możliwy dla mnie sposób - inny niż ofiarowanie ciała - czyli zdobyć się wobec niego na całkowitą szczerość. Mówiąc i bacznie obserwując jego twarz, zdałam sobie sprawę, jak bardzo zależy mi na jego opinii. Nigdy wcześniej nie czułam czegoś takiego.

Przez cały czas była z nami matka Shakera. Siedziała w bujanym fotelu zwrócona twarzą do okna i robiła koronki. Nie przywitała się ze mną, gdy wprowadził mnie do pokoju, jedną rękę delikatnie trzymając na moim ramieniu. Przytrzymał dla mnie krzesło i zaczął, aż usiadłam przy małym stoliku obok kominka. Zachowywał się tak, jakby matki w pokoju w ogóle nie było, więc po jakimś czasie ja również zaczęłam ignorować jej obecność.

Przyglądałam się oknom zasnutym mgiełką z powodu ciepła, świeżo wypranym i wyprasowanym zasłonkom. Na szerokim gzymsie nad kominkiem stał okrągły zegar i kolekcja porcelanowych piesków. Na podłodze leżał gruby dywan z frędzlami; dzięki niemu czułam pod stopami

ciepło. W drewnianym kredensie obok parawanu z końskiego włosia stała kolekcja szklanych bibelotów, muszli, japońskich tac i kolorowych pudełek po biszkoptach. Widać było, że mieszkają tu ludzie przyzwoici i zamożni.

Nad kredensem wisiał błękitno-biało-zielony obraz, który przedstawiał jakąś dziwną świątynię. Chociaż zauważyłam, że jest dość kiepsko wykonany, dzięki swojej kolorystyce sprawiał miłe wrażenie.

- Co przedstawia ten obraz? - spytałam, gdy skończyłam swoją opowieść.

Shaker przeniósł wzrok z mojej twarzy na obraz i z powrotem na mnie, jakby zdziwiło go albo zaskoczyło moje pytanie. Podał dziwną nazwę, coś co brzmiało jak „Tadžmagra”, i zmienił temat.

- To znaczy, że znów musi pani zacząć oszczędzanie od początku? - spytał.

Odsunął nietkniętą filiżankę stygnącego bulionu, potem przesuwał ją tam i z powrotem po wypolerowanym blacie, za każdym razem zmieniając jej położenie o dwa, może trzy centymetry. Nie umiał pozostać w bezruchu. Pomyślałam, że nie pije bulionu, ponieważ boi się go rozlać.

Westchnęłam.

- Na razie nawet nie chcę o tym myśleć, ale oczywiście, wrócę do oszczędzania. Czy mam inne wyjście? Straciłam wszystko, oprócz wisiorka matki. Czy mam jakieś inne wyjście? - powtórzyłam, muskając palcami brzeg filiżanki.

Nagle odezwała się matka Shakera. Oboje podskoczyliśmy, słysząc jej głos. - Czy masz jakieś inne wyjście? - Opuściła koronkę na kolana i wbiła we mnie wzrok. - Wiesz, jakich cudów potrafi dokonać nasz Pan?

Mówiła za głośno: może była przygłucha albo zła.

- Gdy mama żyła, chodziłam z nią do kościoła. Potem, po jej śmierci, też starałam się co niedziela uczestniczyć w nabożeństwie.

Próbowałam zdobyć się na szacunek ze względu na Shakera, ale w głębi duszy nienawidziłam jego matki, jej podejrzliwych oczu i nabożnej miny.

- A co pomyślałaby twoja mama, niech spoczywa w pokoju, o twoim obecnym grzesznym życiu?

- Przestań, matko - powiedział Shaker, zerkając na mnie ukradkiem.

Znów się zarumienił, ale starsza pani zignorowała jego upomnienie.

- Myślisz, że by cię pochwaliła? Myślisz, że Bóg w swej chwale popiera twój niegodziwy sposób życia?

Wypiłam ostatni łyk bulionu, potem ostrożnie postawiłam filiżankę na stole.

- Ja tylko pracuję; robię to, co mogę, proszę pani - powiedziałam zdecydowanie.

Krzaczaste, siwe brwi kobiety uniosły się.

- I sądząc po sposobie, w jaki o tym mówisz, jesteś z siebie dumna. Żyjesz w półświatku prostytucji oraz przestępstwa i za nic masz jakiegokolwiek pojęcie przyzwoitości i czystości. Próbujesz udawać damę, ale bez skutku. Doskonale wiem, kim jesteś. Znałam inne kobiety takie jak ty. Dlatego nie...

- Przestań, matko - przerwał jej Shaker. - To nikomu nie wyjdzie na dobre. Przecież wiesz, co może się stać, jeśli za bardzo się zdenerwujesz...

- Skoro tak dużo wie pani o moim życiu, z pewnością zdaje sobie pani sprawę, że duma nie ma z tym nic wspólnego - przerwałam, patrząc na starszą panią.

Nie obchodziło mnie, co pomyśli Shaker. Nie pozwolę, żeby pomiatała mną jakaś wysuszona wiedźma.

- Gdy miałam sześć lat, zaczęłam pracować w introliigator-ni u boku matki. Za tydzień mojej pracy mama dostawała tyle pensów, że mogła kupić dodatkowy kawałek bekonu, bochenek chleba i paczuszkę nie najlepszej herbaty. Z pewnością zna pani dobrze tę smutną historię, pani Smallpiece - rozejrzałam się po przytulnym pokoju - ale bez wątplenia nic pani na ten temat nie wie. Mieszka pani w ładnym domu i dzień po dniu ma pani zapewnione ciepło i spokój. Gdybym nadal pracowała w introliigatorni, obecnie zarabiałabym tyle, żeby wynająć kąt w jakimś pokoju w pensjonacie. Połowę zarobków oddawałabym jędzy, która oszukiwałaby

wszystkich mieszkańców swojego domu, i żyłabym na kawałku bekonu, niesmacznego chleba i kiepskiej herbaty. Może pewnego dnia wyszłabym za mąż i przeniosła się do innego kąta innego pokoju. Miałabym dzieci i nadal pracowałabym w fabryce, a moje życie nie zmieniłoby się ani o jotę, póki nie zabiłoby mnie rodzenie albo nieustanna ciężka praca.

Mówiłam zachrypniętym, ledwo słyszalnym głosem. Mój wyszukany sposób wysławiania się rodem z salonów zastąpiony został typowym językiem Back Phoebe Anne Street. Słyszałam lekki szkocki akcent matki, wróciły nawet gardłowe dźwięki, które próbowałam wypolerować w oświetlonej kandelabrami restauracji hotelu w pobliżu Lord Street. Ku swojej rozpaczy nie mogłam powstrzymać tego głosu.

- Wybrałam więc jedyny sposób, jaki dawał mi nadzieję na przyszłość. Powinnam wiedzieć, że to była tylko mrzonka. Powinnam posłuchać kogoś, kto kiedyś mi powtarzał, że zawsze będę czuła w nozdrzach zapach Mersey i nigdy nie uda mi się zejść wyżej - skończyłam niemal piskliwie.

Wstałam, próbując zignorować skurcze i przyływ świeżej krwi.

- Przepraszam, Shakerze - powiedziałam, tym razem ignorując starszą panią. - Nie powinnam przemawiać szorstko do twojej matki. Pora, żebym sobie już poszła i wróciła tam, gdzie moje miejsce.

Pani Smallpiece również wstała i ruszyła w moją stronę, jedno ramię trzymając nieco wyżej od drugiego. Opadał jej również jeden z kącików ust. Zobaczyłam blask w jej wyblakłych, głęboko osadzonych oczach.

- Mogę zaproponować ci zbawienie. Ktoś tak młody jak ty może nie jest jeszcze całkiem stracony. Zepsuty do szpiku kości.

- Zbawienie? - spytałam. - Jakie zbawienie?

Z moich ust wyrwał się szyderczy śmiech. Spojrzałam na Shakera, ale on przez cały czas uparcie wpatrywał się w swoją filiżankę.

- Gdybyś wpuściła Jezusa do swojego serca, oddała Mu duszę, może byłaby szansa, abyś wyrzekła się zła. - Pani Smallpiece próbowała unieść ramię, potem wysunęła brodę do przodu. - Ja sama też kiedyś zgrzeszyłam pożądliwymi myślami i pozwoliłam ciału na lubieżność, jednak Pan mnie oświecił i wyrwałam się ze szponów szatana. Tak, wyrwałam się z

jego szponów, chociaż zdążył już wbić je głęboko w moje ciało. - Głową wskazała na Shakera. - Moją karą za grzech jest on, właśnie on. Od urodzenia niemal kaleka. Syn o bezużytecznym ciele. Nie jest nawet w stanie zapewnić mi synowej, która by się mną zajęła, nie może obdarzyć mnie wnukami. -Z dziwnym błyskiem w oczach spojrzała na Shakera. - Jest kompletnie bezużyteczny - powtórzyła.

Jej głos uniósł się pod sufit i odbił echem od dźwigarów.

Nie miałam odwagi spojrzeć na Shakera. Nie odrywałam wzroku od staruchy.

Na jej dolnej wardze pojawiła się ślina. Zaczęła gwałtownie mrugać powiekami, jakby płomień, który dostrzegłam w jej oczach, zaczął palić ją od wewnątrz.

- Przyjęłam swoją karę, zatrzymałam go przy sobie, chociaż inne kobiety zostawiłyby go na pewną śmierć. Dzięki temu zostałam uratowana. Pan w swoim miłosierdziu wszystko wie i wszystko widzi. Alleluja, Panie mój. Alleluja, o Panie, o Panie, zbaw nas.

Mówiła coraz szybciej i głośniejsze, potem słowa zaczęły się zlewać, aż wreszcie zamieniły się w beładny bełkot. Dreszcz przebiegł mi po kręgosłupie. Po chwili matka Shakera skierowała oczy ku niebu, ugięły się pod nią kolana. Upadła na podłogę, a jej ciałem zaczęły wstrząsać drgawki. Piętami wybijała o podłogę nierówny rytm.

Gdy w pokoju rozszedł się kwaśny zapach moczu, tak mocno zagryzłam dolną wargę, że aż popłynęła strużka krwi.

Shaker klęknął obok matki, wsunął jej rękę pod głowę i obrócił ją na bok, po czym na siłę wsunął jej między zaciśnięte dziąsła gładki kawałek drewna. Po jakimś czasie drgawki osłabły, a potem ustały. Shaker opuścił głowę matki na podłogę, wyjął drewnienko, potem wyłowił z kieszeni chusteczkę i otarł starej kobiecie twarz. Z ogromną wprawą podniósł ją, jakby była pustą skorupą, i położył na wąskim łóżku przy ścianie. Potem wsunął pod mokrą spódnicę spory kawałek flaneli.

Otworzył okno, żeby wypuścić z pokoju zapach moczu i potu.

- Przepraszam - powiedział, nie patrząc mi w oczy. - Od dawna nie miała ataku. Napady zdarzają jej się tylko wtedy, gdy jest zbyt wzburzo-

na. Zaczęły się po udarze mózgu, kilka lat temu. Często proszę ją, żeby się tak nie ekscytowała -dodał.

Widząc na jego twarzy dziwną, cichą desperację, zaczęłam mu serdecznie współczuć.

- Kiedy się obudzi, będzie spokojna. Jakimś cudem owe rzadkie katalizmy pozwalają jej na jakiś czas wrócić do normalności - ciągnął.

Shaker powiedział te słowa tak, jakby próbował sam siebie przekonać, że wszystko jest w normie, że w jego życiu z ograniczoną, despotyczną kobietą nie ma nic dziwnego, że wręcz w jakiś sposób jest jej wdzięczny, iż go nie opuściła, chociaż każdy ślepiec od razu mógł dostrzec, że w rzeczywistości to on troszczy się o nią.

Spojrzałam na jego matkę. Na owłosionej brodzie starszej pani lśniła strużka śliny. Sięgnęłam po krzesło za moimi plecami i ciężko opadłam na siedzenie.

Shaker usiadł naprzeciwko mnie. Jego matka leżała wyprostowana kilka metrów od nas.

- Mówiłem już, że może pani odpocząć u nas tak długo, jak pani chce. Potem pomogę pani wrócić do domu. - Patrzył na mnie. - Ile... Czy mogę spytać? Ile ma pani lat?

- Siedemnaście.

Zauważyłam na jego twarzy zaskoczenie, które jednak zdołał opanować.

- Siedemnaście?

- Zawsze wyglądałam na młodszą... - zaczęłam i urwałam, nagle zdając sobie sprawę, że źle zrozumiałam jego reakcję. -Jak pan myślał, ile mam lat?

Chociaż znaliśmy się bardzo krótko, wiedziałam już, że Shaker z dużym trudem ukrywa swoje myśli.

- Założyłem, że między nami nie ma zbyt dużej różnicy wieku... że ma pani, powiedzmy, dwadzieścia trzy lata.

Na ścianie obok okna dostrzegłam lustro w pozłacanych ramach. Podeszłam do niego i przyjrzałam się sobie w jasnym świetle dnia. Przez całe lata widywałam swoje odbicie tylko w migodiwym blasku świec i



łagodnym różowawym świetle lamp gazowych - zawsze z grubą warstwą pudru i różu na twarzy. Teraz zauważyłam, że naprawdę stałam się córą nocy.

Moja skóra od dawna nie widziała słońca, dlatego miała kolor i fakturę zerwanego dwa dni temu grzyba. Twarz szpeciła jasnoczerwona, łukowata blizna po mocnym uderzeniu dłonią z pierścieniami. Zawsze byłam dumna ze swoich złocistych włosów, zauważyłam jednak, że stały się suche i wyblakłe jak słoma. Całości dopełniały fioletowawe powieki i sińskie worki pod oczami... Złociste plamki, które kiedyś rozjaśniały brązowe tęczęwki, zniknęły. Z moich włosów i oczu zniknęło złoto.

Zobaczyłam za sobą twarz Shakera. Bacznie mi się przyglądał. Sprawiał wrażenie tak samo znużonego i przegranego jak ja.

Cofnęłam się.

- Co się ze mną stało? - szepnęłam.

Nie było to pytanie skierowane do Shakera, raczej do siebie. Nie znałam kobiety, którą ujrzałam w lustrze. Miała puste oczy i przypominała mi ruinę, którą nazywałam niegdyś mamą. Gdzie się podziała Linny, mała Linny Gow, dziecko o jasnych oczach i włosach złocistych jak najdojrzałsze gruszki?

- Przeżyła pani szok - szepnął Shaker. - Przypuszczam, że gdy znów poczuje się pani lepiej...

- Nie - powiedziałam, ponownie siadając. - Nie. To nie to.

Siedzieliśmy w milczeniu, słuchając cichego tykania zegara. Niebo pociemniało, a podmuch wiatru z otwartego okna unosił pasemka włosów wokół mojej twarzy.

- Nie wiem, co myśleć - dokończyłam cicho.

Pani Smallpiece cicho mruknęła, potem zaczęła kręcić głową z boku na bok. Shaker pomógł matce wstać i usadowił ją na jej krześle. Broda starej kobiety opadła na piersi, mimo to Shaker wyjął z szuflady Biblię i włożył ją w lekko zaciśnięte dłonie matki.

- Wierzy pani w znaki, panno Gow? - spytał.

Był wysoki. Musiałam zadrzeć brodę, żeby na niego spojrzeć.

- Jakie znaki?

Pomyślałam o dziecku. Moim znakiem była Frances. Tylko jak miałam go zinterpretować, skoro znaczył nie to, co przypuszczałam? Czy rzeczywiście był to jakiś znak?

Chociaż w pokoju panowała cisza, dźwięki, które dochodziły z ulicy, przybrały na sile: niespokojne szczekanie psa, odległe muczenie krów, bliższe uderzenia kościelnych dzwonów. Lekka bryza zamieniła się w wiatr, zasłony wydeły się jak żagle.

- Wierzę w znaki - odparłam.

Shaker z trzaskiem zamknął okno. Potem oparł się plecami o parapet i spojrzał na mnie.

- Ja też, panno Gow - powiedział.

- Linny. Proszę, mów mi „Linny”. Najego szyi znów pojawiły się różowe plamy.

- Wierzę, że jesteś moim znakiem, Linny Gow.

Postąpiłam bardzo dziwnie, chociaż w tamtym momencie wcale tak nie uważałam: po prostu bez żadnych dyskusji, żadnych planów zostałam w domu przy Whitefield Lane. Po naszej rozmowie Shaker zniknął na jakiś czas. Nie wiedziałam, która może być godzina. Czułam się dziwnie, siedząc przy wypolerowanym stole, jakby mój umysł oddzielił się od ciała i z pewnym zażenowaniem fruwał gdzieś w powietrzu. Po ataku fanatyzmu religijnego i drgawkach pani Smallpiece sprawiała wrażenie wyczerpanej i niemal tak samo otumanionej jak ja, jakby coś z niej uleciało i została tylko pusta skorupa. W końcu podeszła do parawanu w kącie, schowała się za nim, a po jakimś czasie wyłoniła w świeżej sukni. Potem wróciła na swój fotel na biegunach i bez końca przerzucała kartki Biblii, chociaż nie czytała. Obie siedziałyśmy w pokoju, czekając, jak mi się zdawało, chociaż nie bardzo wiedziałam, na co.

Po jakimś czasie na schodach usłyszałam kroki. Szły dwie osoby: jedna stapała ciężko, druga szła lekko, jakby się skradała. Po chwili do pokoju weszła tęga kobieta z wiadrem na popiół. Na mój widok zatrzymała się, a wtedy wpadła na nią mała dziewczynka z bielmem na oku. Pani

Smallpiece zrugła kobietę za spóźnienie. Służąca postawiła na podłodze puste wiadro.

- Skąd mogłam wiedzieć, że ma pani towarzystwo? - spytała. - Czy to znaczy, że na kolacji będzie dodatkowa osoba? Może nie wystarczyć wołowiny! Czy Merrie ma nakryć stół na trzy osoby?

Gdy nie uzyskała odpowiedzi, odwróciła się na pięcie i ciężkim krokiem wyszła z pokoju, kołysząc obfitymi biodrami. Dziewczynka pobiegła za nią. Po chwili usłyszałam stukanie i pukanie na schodach, jakby kobieta odkurzała je i polerowała z większym hałasem niż to konieczne.

Gdy Shaker wrócił, trzymał pod pachą zwinięty w rulon materac, świeżą pościel, nową poduszkę i koce. Wszystko to ułożył pod ścianą, naprzeciwko łóżka matki. Pani Smallpiece patrzyła, ale nie odzywała się ani słowem.

Potem przyniósł małą skrzyneczkę i zabrał sprzed kominka łopatkę do węgla. Wstałam, owinęłam się ciasno szalem i razem zeszliśmy po schodach.

- Dzień dobry, Nan - powiedział, gdy mijaliśmy tęgą kobietę, która na kolanach wybierała popiół z kominka w salonie. - Witaj, Merrie.

Kobieta spojrzała na mnie, ale nie odezwała się ani słowem. Dziewczynka trzymała w jednej ręce figurynkę, w drugiej szmatkę do kurzu. Podobnie jak matka przerwała swoje zajęcie i spojrzała na nas ciemnoniebieskim okiem.

Przeszliśmy z Shakerem wiele ulic. Wyłoniło się słońce, było cieplej niż przez kilka ostatnich dni. Zatrzymaliśmy się przy błotnistej drożynie, która prowadziła do małego kościółka ukrytego wśród ciemnych cisów.

- Jest tu cmentarz, ale przypuszczalnie będziemy musieli uzyskać zgodę. Oczywiście, obowiązują zasady dyktowane przez kościół.

Przytaknęłam.

- Jakie zasady dotyczą nieochrzczonego dziecka z nieprawego łoża? - spytałam, a po chwili sama sobie odpowiedziałam. - Płytki grób w niepoświęconej ziemi, wśród bezimiennych biedaków. Nie. Nie chcę, żeby Frances leżała w takim miejscu.

- Mam inny pomysł - wyznał. - Po prostu nie wiedziałem, na czym ci zależy.

Odwrócił się na pięcie. Trzymałam się go jak cień, gdy szliśmy przez Everton. Słyszałam o Evertonie. Za domami i sklepami rozciągał się wiejski krajobraz. Nigdy wcześniej nie byłam na wsi.

Po dziesięciu minutach wyszliśmy na spokojną drogę. Shaker zatrzymał się, rozchylił żywopłot i przeszedł na drugą stronę... Znajdowaliśmy się w małym zagajniku. Ziemia była wilgotna od opadłych liści, a gdy szliśmy, gałązki trzaskały pod naszymi stopami. Nie było słychać żadnych dźwięków oprócz kropli kapiących z pociemniałych konarów. Poczulałam obcy mi zapach trawy po deszczu. Wciągnęłam powietrze głęboko w płuca: dotychczas znałam tylko woń smarów z doków, gnijącego jedzenia, ludzkich i zwierzęcych odchodów na ulicy, a także mężczyzn: cierpki zapach niemytych ciał jednej klasy albo wody kolońskiej i pomady innej. Przed nami pojawił się ostrokrzew. Czerwone owoce kołysały się na mocnym wietrze, a wysoka trawa była miękka i dopiero zaczynała tracić soczystozielony kolor.

- Przyszło mi na myśl, że moglibyśmy pochować ją tutaj - powiedział Shaker.

- Tak - przyznałam. - To dobre miejsce. Odpowiednie dla niej.

Za pomocą łopaty do węgla Shaker pomógł mi pochować Frances pod ostrokrzewem, a potem się cofnął. Znalazłam mały, różowawy kamień i umieściłam go na kopczyku świeżo rozkopanej ziemi. Klęczałam przez chwilę - znów nie potrafiłam określić, jak długo to trwało. Zdawałam sobie sprawę, że Shaker jest gdzieś za moimi plecami. W końcu wsunął dłoń pod mój łokieć, by pomóc mi wstać, i powiedział:

- Lubię tu przychodzić, zwłaszcza gdy chcę się nad czymś zastanowić. Wygląda na to, że nikt inny się tu nie pojawia. Nikt nie będzie jej przeszkadzał.

Wracaliśmy razem w milczeniu. Szliśmy powoli, ponieważ wciąż byłam sałaba. Kiedy weszliśmy do jadalni, Nan i Merrie wychodziły, a na stole stała ogromna waza z pachnącym gulaszem. We troje zjedliśmy kolację przy wąskim, ale wygodnym stole. Tapetę zdobiły spore, wyblakłe

bukiety róż herbacianych, przedzielone poziomymi pasami boazerii. Siedzieliśmy przy stole, który pachniał woskiem do polerowania, i jedliśmy z delikatnych talerzy. Chociaż zmywany od dziesięcioleci wzór dawno temu przestał być czytelny, a na brzegach zauważyłam kilka szczerb, porcelana nie straciła swojego charakterystycznego uroku. Siedzieliśmy przy posiłku bez słów, każde zatopione we własnych myślach, jakbyśmy robili to przez całe życie.

## Rozdział 12

Noc spędziłam na pryczy w pokoju pani Smallpiece, pogrążona w głębokim, pozbawionym koszmarów śnie; od wielu miesięcy, a nawet lat, może od czasów, kiedy jako dziecko dzieliłam łóżko z matką, nie spałam tak spokojnie. Kiedy obudziłam się następnego ranka, z przyzwyczajenia położyłam dłoń na pasku, a potem na brzuchu. Otworzyłam szeroko oczy, gdy przypomniałam sobie, że i jeden, i drugi jest pusty, gdy odtworzyłam w pamięci wszystko, co się stało.

- Gdzie jest Shaker? - spytałam, zobaczywszy panią Smallpiece z jakąś robótką ręczną przy kominku.

Mój głos mnie przestraszył: był niemal nieśmiały.

- W pracy, w dobrej, uczciwej pracy. Pracuje jak wszyscy porządni ludzie, którzy żyją w bojaźni przed Bogiem.

Wstałam i wygładziłam prześcieradło, potem złożyłam koce i poklepałam poduszkę.

- Nocnik jest za parawanem - powiedziała cierpko. - Lepiej zrób coś z włosami. Zwracasz na siebie uwagę. Na umywalce jest grzebyk.

- Gdzie Shaker pracuje? - spytałam.

- W Lyceum - odparła krótko.

- W Lyceum przy Bold Street?

Dobrze znałam imponujący budynek, który stał na rogu Bold i Ranelagh Street, otoczony niewielkim trawiastym placem. Mieścił się tam męski klub. Często przechodziłam obok, podziwiając kolumny i szerokie marmurowe schody, które prowadziły do okazałego, znajdującego się wewnątrz wejścia.

Przytaknęła.

- Pospiesz się. Potem wynieś nocnik i wylej jego zawartość do wódkówki na tyłach. Jak wrócisz, pomożesz mi przy włosach. Zwolniłam Nan; jest kompletnie bezużyteczna, tak samo jak jej leniwa córka. Obie chcą tylko, żeby dobrze im płacić, i to za nic. Skoro już tu będziesz, możesz przejąć ich obowiązki,

Otworzyłam usta, żeby zaprotestować, ale nie dała mi dojść do słowa. Odłożyła robótkę i wyciągnęła rękę. Miała opuchnięte i powykęcane stawy; szcicie musiało sprawiać jej ból.

- To następna kara za moje grzechy - wyjaśniła. - Ciebie też dotknie coś takiego za twoją nieszczemność, o ile już cię nie dotknęło. A jeśli chodzi o dziecko, lepiej, że urodziło się martwe. Byłoby półgłówkiem, skoro miało setki ojców.

Wzięłam głęboki wdech, żeby nie syknąć - po nieszczemnych słowach pani Smallpiece wszystkie oznaki nieśmiałości zniknęły. Weszłam za parawan zadowolona, że mogę ukryć się przed jej wzrokiem choćby tylko na krótko, żeby ulżyć pęcherzowi. Nie miałam zamiaru tu zostawać. Nigdy nie będę służącą żalosnej staruchy o zimnych oczach.

Shaker wrócił do domu na wieczorny posiłek; wyglądał inaczej, niż gdy zobaczyłam go po raz pierwszy w Green Fir-kin. Nie chodziło tylko o to, że się ogolił i starannie uczesał długie włosy. To było coś głębszego.

Kiedy wszedł, przywitaliśmy się, nagle odczuwając dziwne skrepowanie.

- Ona chyba nigdy w życiu nie przygotowała przyzwoitego posiłku - poskarżyła się pani Smallpiece. - Musiałam mówić jej po kolei, co ma robić. Na szczęście ma silne ręce, więc może nosić różne rzeczy.

Shaker odchrząknął.



- Nan nie przyszła dzisiaj, żeby ci pomóc, matko? A co z małą Merrie? Kto poda kolację?

Pani Smallpiece nie odezwała się.

- Twoja matka powiedziała, że pracujesz w Lyceum, w klubie dla dżentelmenów - wydukałam. - Ja podam jedzenie.

Usiadł na swoim krześle, a ja przyniosłam z kredensu talerze z barani-  
ną i gotowanymi ziemniakami, po czym ustawiłam jeden przed Shake-  
rem, drugi przed jego matką i trzeci na moim miejscu. Świadoma swojej  
niezręczności, podałam sosjerkę z sosem mięsnym. Czyżby krępowało  
mnie, że go obsługuję? A może fakt, że nie jestem już „młodą kobietą w  
potrzebie”? Albo nie mogłam pogodzić się z myślą, że przestałam wyglą-  
dać jak wulgarna prostytutka, która przyczepiła się do niego w szynku,  
czy nawet załamana istota, która wyrzuciła z siebie żalną opowieść o  
straconych marzeniach, potem zaś klęczała przy maleńkim grobie ozna-  
czonym różowym kamieniem?

Uczesałam włosy i upięłam je z tyłu głowy, porządnie wymyłam  
twarz i pruderyjnie spięłam na piersiach szal pani Smallpiece. Czy bar-  
dziej go przerażałam jako zwyczajna młoda kobieta?

Wziął do ręki widelec.

- Proszę, panno Gow. Linny. Usiądź. Pracuję w bibliotece. W klubie  
na piętrze jest biblioteka dla członków.

Gdy pochylił głowę nad talerzem, starałam się nie patrzeć, jak próbuje  
donieść pełny widelec do ust, nie upuszczając z niego połowy jedzenia.  
Minęły długie minuty, podczas których słychać było tylko podzwanianie  
srebra o porcelanę, odgłosy przegryzania i przełykania.

Nagle Shaker uniósł głowę.

- Umiesz czytać?

- Umie - odparła za mnie pani Smallpiece. - Trochę mi dziś czytała.  
Wiesz, że prawie nie widzę liter. Przy okazji wybrałam z Pisma Świętego  
fragmenty, które moim zdaniem powinna poznać. Uznałam, że po niemo-  
ralnym życiu jak najbardziej powinna przemyśleć słowa: „...zważono cię

na wadze i okazałeś się zbyt lekki", tak samo jak: „Dlaczego uprawiacie zło, zbieracie nieprawość i spożywacie owoce kłamstwa...”<sup>2</sup>

- Przypuszczałem, że umiesz czytać - przerwał jej Shaker. - Potrafisz również pisać?

- Nie, to znaczy od bardzo dawna nie pisałam, ale w dzieciństwie umiałam. Mama mnie nauczyła.

- Rozumiem - powiedział.

W tym momencie zorientowałam się, co się zmieniło w jego twarzy. Nie było już na niej pustki i melancholii.

Następnego ranka pani Smallpiece przez chwilę grzebała w swojej szafie, a potem bezceremonialnie rzuciła na moją pryczę jedną ze swoich starych sukienek. Była tania, źle uszyta i miała obniżony stan. Wiedziałam, że moja jaskrawa kreacja z ulicy nie pasuje do Evertonu. Włożyłam brązową, zgrzebną suknię i zerknęłam z rozgoryczeniem na pocerowany szal i niemodny kapelusz, które wydzieliła mi pani Smallpiece. Suknia na mnie nie pasowała, była za luźna. Czułam się w niej źle i nieciekawie.

Postępując zgodnie z instrukcjami pani Smallpiece, przygotowałam śniadanie, wypolerowałam źle dobrane srebra, a potem obrałam warzywa przyniesione przez straganiarza. Upiekłam biszkopty i ciasto. W którymś momencie przyniesiono wizytówkę o pozłaczanych brzegach. Pani Smallpiece przeczytała ją, wymamrotała: „Jak miło”, po czym położyła na srebrnej tacy, która stała na małym mahoniowym stoliku w pobliżu drzwi wejściowych. Znów kazała mi czytać Biblię, ale po pięciu minutach głowa opadła jej na piersi. Pani Smallpiece zasnęła. Owinęłam się ciasno jej szalem i poszłam na małą polankę z ostrokrzewem, gdzie posiedziałam chwilę, wodząc palcem po różowym kamieniu. Powoli odzyskiwałam siły, ale wciąż przepełniał mnie głęboki smutek. Gdybym chciała wrócić na Paradise Street, musiałabym to zrobić jutro - byłby to trzeci dzień mojej

---

<sup>2</sup> \* D 5, 27 i Oz 10, 13. Tłumaczenia obu cytatów pochodzą z Biblii Tysiąclecia, Poznań-Warszawa 1971.

nieobecności - inaczej Blue odda komuś innemu moje miejsce, zarówno w pokoju, jak i na ulicy.

Tego wieczoru Shaker wrócił do domu uśmiechnięty od ucha do ucha. Załatwił mi dobrą pracę w bibliotece. Mogę zacząć w przyszłym tygodniu.

Z wielkim hukiem postawiłam na stole talerz z biszkoptami.

- Co zrobiłeś?

Słyszając mój ton, Shaker przestał się uśmiechać.

- Powiedziałem, że udało mi się zdobyć dla ciebie...

- A spytałeś mnie, czy chcę pracować w bibliotece? Jeszcze nie zdecydowałam, co chcę ze sobą zrobić. Jesteś bardzo miły, ale na razie zostałam w twoim domu, żeby - tak jak sugerowałeś - odzyskać siły. Nie podjęłam żadnej decyzji.

- Naprawdę? - spytał.

Zacząłam się bawić nożem do chleba.

- Poza tym, kto by mnie zatrudnił bez wcześniejszej rozmowy? Kto przyjmuje do pracy zupełnie obcą osobę?

- Powiedziałem swojemu pracodawcy, panu Ebbingtonowi, że przyjechała do mnie kuzynka z Morecambe, córka brata mojego ojca, Linny Smallpiece. Zamieszkała u mnie i rozpaczliwie szuka pracy.

Usłyszałam w jego głosie chłód, który uznałam za wyraz oburzenia. Zawstydziłam się, chociaż starannie to ukryłam.

- Kiedy spytał o referencje, wyjaśniłem, że ich nie masz, bo przez całe życie zajmowałaś się ojcem inwalidą. Powiedziałem mu jednak, że mogę za ciebie ręczyć i wziąć na siebie pełną odpowiedzialność. Nie znośzę kłamstwa, Linny - zaznaczył - ale dzisiaj się nim posłużyłem.

Nie odrywałam wzroku od biszkoptów.

- Pan Ebbington mi zaufał. Pracuję u niego od siedmiu lat, a to stanowisko załatwił mi jeszcze ojciec jakiś czas przed śmiercią. On i pan Ebbington byli dobrymi przyjaciółmi. W mojej opowieści tylko jedno było prawdą: ojciec rzeczywiście miał brata w Morecambe, chociaż stryj zmarł bezdźwięcznie cztery lata temu.

Podniósł głos, a całe jego ciało drżało.

- Co mam tam robić? - spytałam po długiej chwili, patrząc Shakerowi w oczy.

- Obecnie nie ma żadnego wolnego stanowiska, ale pan Ebbington zdradził mi, że i tak miał zamiar poszukać kogoś, kto ma ładne pismo i mógłby nadrobić zaległości w katalogu. Jestem odpowiedzialny za zamawianie, kupowanie i uzupełnianie księgozbioru, nie mogę jednak pisać z powodu... - prychnął, spoglądając z góry na swoją rękę - ...z powodu tego. Jest wprawdzie stareńki pan Worth, który wypisuje książki dla członków klubu, nikt jednak nie zajmuje się katalogiem. Twoim zadaniem będzie właśnie uzupełnianie katalogu na bieżąco. Oczywiście, o ile taka praca ci nie uwłacza.

Uniosłam głowę i wyprostowałam plecy. Ostatnie zdanie i ton, jakim zostało wypowiedziane, mocno mnie zaboląły.

- Ile dostanę?

- Florena za tydzień. Oczywiście, płatne raz w miesiącu.

Dwa szylingi tygodniowo. Niewiele więcej niż za pracę w fabryce. Znacznie więcej mogłam zarobić w ciągu kilku niezbyt pracowitych nocy na ulicy. Zimny listopadowy deszcz siekł o szybę, chociaż słabo było go słyszeć zza ciężkich, zasuniętych kotar. Kropla kapnęła na palenisko i zaskwierczała. W jadalni było ciepło, unosił się w niej zapach dobrego jedzenia; chociaż meble, całe wyposażenie oraz kwieciste dywany były zniszczone i najwyraźniej służyły od wielu lat, jakimś cudem bardzo dawały mi otuchy.

Wyobraziłam sobie, iż w taką pogodę stoję na ulicy, mając nadzieję, że klienci po wyjściu z teatrów rewiowych nie pójdą z powodu deszczu prosto do swoich ciepłych łóżek i zimnych żon, że nie zrezygnują z szybkiego numerku za cenę niższą niż powrót dorożką do domu. Pomyślałam o wstrętnym zapachu Szkota w powozie, o szorstkich, natarczywych palcach sprzedawcy ryb. Poczulałam mdłości na wspomnienie szalonej twarzy syfilityka z Rodney Street, przed oczami stanął mi mój nóż przy szyi Rama Munta w świecie lampy gazowej na Paradise Street.

Przypomniałam sobie maleńką Frances i jej drobniutkie, skulone paluszki. Nie chciałam nigdy więcej nosić pod sercem dziecka obcego mężczyzny.

Przed oczami stanęły mi wysokie maszty żaglowców w King's Dock. Nagle zdałam sobie sprawę, że moja noga nigdy nie postanie na pokładzie takiego okrętu.

Wiedziałam również, że oszukiwałam samą siebie, możliwe również, że dawno temu w taki sam sposób oszukiwała mnie moja matka, zapewniając, że jestem kimś innym i że powinnam oczekiwać od życia czegoś więcej. Miałam świadomość, że się poddaję, ale byłam zbyt znużona, by dalej walczyć.

- Wezmę tę pracę.

Deszcz tłukł o szyby przy akompaniamencie zawodzącego wiatru.

- Dziękuję, Shakerze.

Byłam ciekawa, kiedy zgłosi się do mnie po zapłatę.

Po kolacji Shaker poprosił, żebym przyszła do jego pokoju. Mówiąc to, unikał mojego wzroku. Kiwnęłam głową z pozbawioną wyrazu twarzą. To znaczy, że zapłata będzie natychmiastowa. Jego matka zachowywała się tak, jakby nie słyszała prośby. Zastanawiałam się, jak po wszystkim Shaker spojrzy starszej pani prosto w oczy i dlaczego nie odczekał, aż matka pójdzie spać. Byłam zaskoczona jego śmiałością i niepewna, jak zareaguje na niego moje wracające do zdrowia ciało.

Nie mogłam jednak go odtrącić, niezależnie od tego, jak często chciałby mnie mieć. Za dużo mu zawdzięczałam.

Kiedy weszłam za nim do jego pokoju, podszedł do biurka, a ja prosto do łóżka - tego samego, na którym zaledwie kilka dni wcześniej krwawiłam. Położyłam się na plecach, odwróciłam twarz do ściany i uniosłam brązową suknię. Ponieważ w pokoju zapanowało milczenie, spojrzałam na Shakera, żeby sprawdzić, dlaczego jeszcze nie zaczął rozpinąć spodni.

- Nie - powiedział stłumionym, roztrzęsionym głosem. Miał zarumienioną twarz i wciąż stał przy biurku. - Nie - powtórzył. - Chcia... chcia-

łem, żebyś mi coś napisała. Jak wiesz, nie jestem w stanie utrzymać pióra.

Poczułam na policzkach nieznany żar i nagle zdałam sobie sprawę, że po raz pierwszy zarumieniłam się tak jak Shaker. Nie wiedziałam, że potrafię. Obciągnęłam suknię i podeszłam do stołu, na którym leżała ogromna księga.

- To dzieło Bernarda Albinusa - wyjaśnił.

Jego policzki wciąż były czerwone, ale mówił normalnym głosem, jakby nie widział przed chwilą mojej nagości.

- To najlepszy atlas anatomiczny ostatniego stulecia. Oprócz szkieletu ludzkiego przedstawia również mięśnie oraz cały układ nerwowy i krwionośny. Wielokrotnie wypożyczałem tę książkę z biblioteki. Gdybym miał notatki na najbardziej interesujący mnie temat, czyli wszystko, co dotyczy układu nerwowego, nie musiałbym uczyć się na pamięć całych akapitów. Zastanawiałem się... czy mogłabyś przepisać mi fragmenty, które ci pokażę.

Wysunął dla mnie krzesło.

- Czy twoja matka nie będzie myślała... Co powie na to, że jestem w twoim pokoju?

- Nie przejmuj się nią. Ona właściwie robi tylko dużo hałasu.

Głośno odchrząknął. Wiedziałałam już, że to jego zwyczaj, a robi to, gdy jest zdenerwowany.

- Nie zawsze była taka jak teraz. Pamiętam, jak za życia ojca śmiała się i promieniała radością.

Jego twarz złagodniała, oczy wpatrzyły się w dal.

Próbowałam wyobrazić sobie roześmianą panią Small-piece, Shakera jako chłopca i jego ojca - całą trójkę przy stole, od którego właśnie wstaaliśmy.

- Mój ojciec był lekarzem - zaczął Shaker, chociaż go o nic nie pytałam - ale nie ograniczał się tylko do przepisywania tabletek. Pomagał również biednym, chociaż nie zniżał się do tego żaden z jego kolegów. Zamiast robić to, czego od niego oczekiwano, czyli mierzyć puls i radzić sobie z histerią lub melancholią możliwych tego świata, zajmował się cia-



łem i wszelkimi jego słabościami. Nastawiał kości, przyrządzał lekarstwa na choroby skóry, wykonywał zabiegi w szpitalu. Czasami zabierał mnie ze sobą na wizyty, a ja słuchałem i obserwowałem. Wtedy odkryłem w sobie zamiłowanie do tego zawodu. Mój ojciec był bardzo życzliwym człowiekiem, wiedział, że nie mogę pójść w jego ślady, ale nigdy o tym nie mówił. Pomagał wielu biedakom z Liverpoolu, często nie biorąc żadnych pieniędzy i poprzestając jedynie na wyrazach wdzięczności. Dlatego matka musiała prowadzić skromniejsze życie, niż mogłaby, gdyby ojciec leczył bogaczy. Tak więc nie powodziło się nam najlepiej, mimo to ojciec cieszył się tak ogromnym poważaniem, że mama wciąż należy do dobrego towarzystwa.

- Wspomniała coś o przyjaciółkach - powiedziałam. - Obawiam się, że moja obecność może przeszkadzać jej w przyjmowaniu wizyt.

Shaker uśmiechnął się do mnie.

- Cieszę się, że matka nadal może czerpać radość z drobnych przyjemności, jakie zawdzięcza statusowi wdowy po doktorze Smallpisie, że jest akceptowana w tym środowisku i że otrzymuje zaproszenia.

Urwał. W tym momencie zdałam sobie sprawę, że Shaker jest bardzo podobny do ojca, którego właśnie mi opisał.

- Ojciec zmarł siedem lat temu. Jakiś czas po jego śmierci mama przeszła bardzo poważny udar mózgu, a potem zaczęła szukać Boga.

Zmarszczył czoło i przez chwilę przyglądał się ilustracji na swoim biurku, jakby zapomniał o mojej obecności.

- Dużo czytałem o takich przypadkach. Wygląda na to, że istnieje jakiś związek między tymi dwiema sprawami: napadami i fanatyzmem religijnym.

Wydałam nieokreślony dźwięk, coś w rodzaju potwierdzenia. Shaker otrząsnął się i spojrzał na mnie.

- Próbowałem jej pomóc. Sprawdziłem wszystkie przepisywane kuraacje: ograniczałem przyjmowanie płynów, podawałem emetyk i środki przeczyszczające. Nawet puszczałem jej krew, żeby wyrównać krążenie. Nic nie pomagało. Mimo że ataki występują rzadko, matka czasami zachowuje się tak, że z trudem ją poznaję. - Westchnął. - Nie przejmuj się,

że jest wobec ciebie taka wymagająca. Nan i Merrie wróca. Nan pracuje u nas od zawsze, a jej córka od jakiegoś czasu zajmuje się włosami i ubraniem mojej mamy. Matka zwalnia je regularnie za takie lub inne uchybienia. Gdy Nan i Merrie nie przychodzą przez dwa lub trzy dni, mama zaczyna za nimi tęsknić, więc znów się pojawiają. Nan jest do tego przyzwyczajona; ona i mama doskonale się rozumieją.

Wzięłam do ręki pióro i zanurzyłam je w atramencie.

- Co miałeś na myśli, Shakerze, mówiąc, że byłam dla ciebie znakiem? - spytałam, nim napisałam pierwsze słowo.

Shaker podszedł do okna.

- Tego wieczoru w Green Firkin postanowiłem, że... -Urwał. - ... Postanowiłem, że wypiję tyle, ile zdołam, chociaż rzadko sięgam po trunki. Alkohol miał mi dodać odwagi. Wtedy poszedłbym tam... gdzie jest pochowana Frances, żeby matka nie musiała się wszystkim zajmować, i wypiłbym cykutę, którą sam sporządziłem.

- Cykutę? Czy to aby nie trucizna? Zauważyłam, że zadrżały mu wargi.

- Tak. Czuję, że moje życie nie ma sensu. Może samobójstwo jest tchórzostwem, ale chciałem położyć kres mojej żalösnej egzystencji. Nie miałem przed sobą żadnego celu. Gdy stałem przy barze w szynku, miały mną trzy uczucia.

Czekałam.

- Przede wszystkim rozczulałem się nad sobą. Żałowałem, że z powodu kalectwa nigdy nie będę człowiekiem, jakim chciałbym być. Nigdy nie zostanę lekarzem, a nawet zwykłym cyrulikiem. Chciałem w życiu robić tylko jedno: nieść pomoc ludziom. Co prawda moja praca w bibliotece jest całkiem przyjemna. Tylko... nie mam do niej serca. Do rozpaczki doprowadzał mnie również fakt, że nigdy nie będę miał czegoś tak zwyczajnego jak rodzina... bo jakaż młoda kobieta mogłaby zainteresować się kimś takim jak ja?

Byłam zaskoczona. Pod pozorną nijakością Shakera zaczynałam dostrzegać cichą siłę; pomimo drżenia poruszał się z dużą godnością. Z pewnością zbyt surowo się oceniał.

- Drugim uczuciem były wyrzuty sumienia - ciągnął - że zostawiam matkę samą, górę jednak brało uzalanie się nad sobą. Zapłaciłem za napisanie listu, który miał jej wszystko wyjaśnić, były w nim również instrukcje dotyczące jej przyszłości. Wiedziałem, że nie będzie pozbawiona środków do życia, bo ojciec zostawił wystarczająco dużo pieniędzy, żeby miała z czego żyć do śmierci. Poza tym dawno temu rozmawiałem z Nan, że gdybym nie mógł zajmować się matką, najlepiej by było, żeby wprowadziła się tutaj wraz z Merrie i troszczyła o moją matkę, na co ta dobra kobieta się zgodziła. Jest wdową i chociaż matka uważa ją za kogoś znacznie niższego od siebie, łączyje mocna przyjaźń. Musnął palcami brzeg zasłony.

- A trzecie uczucie? - spytałam, gdy długo milczał.

- Trzecim uczuciem była nikła nadzieja, że otrzymam znak, jak mam urzeczywistnić swój plan. Od ponad dwóch tygodni, od kiedy postanowiłem odebrać sobie życie, bez przerwy na coś czekałem. Gdyby wydarzyło się coś, co mógłbym zinterpretować jako znak, błagałbym Boga o wybaczenie, że się nad sobą uzalam, i zdecydowałbym się żyć dalej. Ty, Linny, byłaś właśnie takim znakiem.

- Dlaczego?

- Bo zorientowałem się, że mogę ci pomóc.

Kropla atramentu kapnęła na biały papier, a ja patrzyłam, jak robi się z niej kleks.

- Uznałeś, że ponieważ jestem prostytutką, możesz zmienić mnie w godną szacunku kobietę i w ten sposób usprawiedliwić swoje życie?

Znów nastąpiła cisza, potem Shaker powiedział cicho, z trudem ukrywając złość.

- Nie. Najpierw uznałem, że poród dałoby się powstrzymać za pomocą naparu ze złocienia maruny z odrobiną rozmarynu. Gdy zdałem sobie sprawę, że jest za późno, mogłem już tylko dopilnować, żebyś nie urodziła dziecka sama w ciemnym zaułku, a potem nie wykrwawiła się na śmierć. Mogłem ci pomóc, chociaż nie jestem lekarzem, nie jestem nawet cyrulikiem, a jedynie zwykłym mężczyzną, który był w stanie zaopieko-

wać się obcą osobą. Dlatego byłaś moim znakiem. Pozwoliłaś mi wyrwać się z bagna mojego egoizmu.

Zagryzłam wewnątrz policzka: było to moje nowe przyzwyczajenie, z powodu którego utworzyła się w tym miejscu mała, twarda kulka. Koncentrowałam na niej uwagę, gdy nie chciałam być opryskliwa wobec pani Smallpiece albo gdy brakowało mi słów... tak jak teraz.

Shaker podszedł do biurka i wskazał mi akapit, który chciał mieć przepisany, po czym przysunął bliżej lampkę. Zaczęłam kopiować tekst, starając się robić to najładniej, jak umiałam. Nigdy więcej nie rozmawialiśmy o tym, co właśnie mi powiedział.

## Rozdział 13

Następnego dnia, zgodnie z przewidywaniami Shakera, Nan i Merrie wróciły do swoich zajęć. Przypuszczalnie pani Smallpiece powitała je po powrocie tak miło nie tylko dlatego, że teraz jej życie znów miało się toczyć dobrze znanym torem. Doszłam do wniosku, że matka Shakera chciała również odzyskać swobodę, dzięki której mogłaby wrócić do tak ulubionych przez siebie spotkań towarzyskich: lunchów, podwieczorków i uroczystości kościelnych. Być może obawiała się, że ucieknę ze srebrem i wrócę do swojego dawnego życia; tak czy inaczej, wyraźnie nie chciała zostawiać mnie samej w domu.

Podczas pierwszego spędzanego razem tygodnia tolerowała mnie wtedy, gdy czytałam jej Biblię. Miała w tym czasie jeden gorszy dzień, kiedy skarżyła się na bóle stawów: może dlatego tak uparcie próbowała mnie namówić do żałowania za moje niegodziwości i pożądlive myśli. Kiedy konsekwentnie odmawiałam, walnęła mnie Biblią po rękach i przepowiedziała samotną śmierć po długich i ciężkich cierpieniach. Dawała mi wyraźnie do zrozumienia, że udało jej się wyrwać z grzechu tylko dzięki metodyzmowi, i uważała, że nie ma lepszego sposobu.

Z łatwością zaakceptowałam jej zmienne nastroje i gdy pewnego ranka po przebudzeniu dostała ataku, pomogłam jej tak samo jak Shaker.

Uznała, że muszę poprawić swoje maniery, dlatego zaczęła wpajać mi zasady, które jej zdaniem powinna znać każda młoda dama.

- Skoro Shaker pozwolił ci tu zostać i wyraźnie przyjął! jego propozycję zamieszkania pod jego dachem, nie możesz przynosić mi więcej wstydu, niż już przyniosłaś. Wiem, że dla ciebie nie ma nadziei - ciężko westchnęła na myśl o dodatkowej niedogodności - ale muszę spróbować. Spójrz tylko, jak ty siedzisz.

Zerknęłam na siebie. Miałam na sobie przerobioną suknię pani Smallpiece, łokciem opierałam się o róg sofy i podtrzymywałam dłonią policzek. Nogi miałam wyciągnięte przed siebie, stopy wygodnie skrzyżowane w kostkach.

- Usiądź prosto, spleć dłonie na podołku, postaw stopy jedna obok drugiej. Leżąc w takiej pozycji, wyglądasz jak dziwka, którą jesteś.

Wyprostowałam plecy, zacisnęłam usta, splotłam palce i złączyłam nogi tak, że kostki zetknęły się ze sobą.

- Tak już lepiej. Wytrzymaj w takiej pozycji przez następną godzinę.

- Co takiego?

- Mówi się: „Słucham, pani Smallpiece”. Będziesz siedzieć w takiej pozycji, aż stanie się ona dla ciebie czymś całkiem naturalnym. Każda młoda dama powinna opanować tę sztukę natychmiast po wyrośnięciu z niemowlęctwa.

- Ta pozycja nigdy nie będzie naturalna.

- Może nie będzie naturalna dla osóbki, która urodziła się w suterenie i nigdy nie otrzymała odpowiedniego wychowania, ale tutaj, w Evertonie, każda dama wie, jak należy się zachowywać.

- Wcale nie urodziłam się w suterenie - zaproponowałam - a moja mama naprawdę dobrze mnie wychowała. Przy okazji nauczyłam się też paru rzeczy o zachowaniu.

Niezależnie jednak od tego, w co wierzyłam i co wiedziałam, pani Smallpiece, pomimo swoich dziwactw, znała tylko życie damy z klasy średniej.

Prychnęła, podeszła do półki z książkami i wyciągnęła dwa tomiki, które położyła na moich kolanach. Jeden nosił tytuł: *Apel do sumienia chrześcijanek w sprawie sukni*, drugi: *Prawdziwa młoda dama*.

- Gdy będziesz sama, poczytaj sobie, jak powinien wyglądać odpowiedni strój. Liczę, że każdego dnia przeczytasz także jeden rozdział z książki na temat etykiety. Zaczynaj od pierwszego. Co wieczór cię przepytam.

Baczenie mi się przyjrzała. Dotychczas nie zmieniałam pozycji, którą kazała mi przyjąć.

- Pewnie zdajesz sobie sprawę, że twoja obecność znacznie utrudnia mi prowadzenie normalnego życia - oznajmiła. - Nie mogę pozwolić, żeby którakolwiek z dam z mojego kręgu towarzyskiego zobaczyła cię, póki nie będę miała całkowitej pewności, iż nie przyniesiesz mi wstydu.

- Nie przyniosę pani wstydu, pani Smallpiece - zapewniłam, starając się, żeby w moim głosie nie słyhać było złości, którą odczuwałam. - Zapewniam panią.

Sądząc po wyrazie jej twarzy, zdecydowanie w to wątpiła.

- Poczekamy, zobaczymy, dobrze? - powiedziała i wyszła z pokoju.

Chociaż miała na sobie beznadziejną suknię z krepy, jakimś cudem udało jej się przyjąć postawę władczej wdowy po ogólnie szanowanym mężu.

Kiedy wyszła, wróciłam do poprzedniej pozycji i bezmyślnie przerzuciłam książki, które położyła mi na kolanach. Przez cały czas nasłuchiwałam jednak jej kroków, by w razie potrzeby wyprostować plecy.

Na prośbę Shakera pani Smallpiece niechętnie zabrała mnie do .swojej szwaczki i zamówiła dla mnie trzy suknie. Wszystkie były takie same: z okrągłym dekoltem, zapinanym na guziki, dopasowanym przodkiem bez fiszbinów i szeroką, zebraną w pasie spódnicą. Jediną ozdobą był obszyty koronką nankinowy kołnierz z lekkim połyskiem oraz skrawek białej koronki i jeden obciążany guzik przy każdym rękawie. Suknie zostały uszyte z mocnego materiału i w moim przekonaniu miały wytrzymać przynajmniej dziesięć lat. Jedna z nich była brązowa, druga szara, a



trzecia granatowa. Nie podobały mi się z powodu kroju i nijakich kolorów, mimo to podziękowałam pani Smallpiece z entuzjazmem, którego nie czułam.

Chociaż zarządziła, żeby Merrie upinała mi włosy zgodnie z niezwykle surową modą, przekonałam dziewczynkę do nieco bardziej twarzowej fryzury, odpowiedniejszej dla osób młodszych. Pani Smallpiece zerknęła na delikatne loki, ale nic nie powiedziała.

Gdy po raz pierwszy wyruszyłam z Shakerem do pracy w bibliotece, wsiedliśmy do dużego, otwartego omnibusu, który kilka razy dziennie kursował między Evertonem a Liverpoo-lem. Ponieważ ciągnęły go cztery konie, podróż nie trwała długo. W ścisłości panującym w pojeździe nie wiedziałam, czy jestem bardziej zdenerwowana, czy zażenowana. Gdy zbliżaliśmy się do centrum Liverpoolu, wiedziałam, że o tak wczesnej porze żadnej z dziewcząt, z którymi ostatnio pracowałam, nie będzie jeszcze na ulicy. Poza tym wmawiałam sobie, że nawet gdybyśmy mijali którąś z nich, z pewnością nie rozpoznałaby bezbarwnego ptaszka w dumie innych godnych szacunku mężczyzn i kobiet w drodze do pracy w biurach i sklepach.

Naprawdę doskonale obecnie pasowałam do swojego imienia. Chociaż makolągwa potrafi wyśpiewywać piękne i skomplikowane melodie, w rzeczywistości samiczka jest mała i bezbarwna, tak jak ja w tej chwili.

Czy którakolwiek z nich - Annabelle, Helen lub Dorie - za mną tęskniła? Może przez dzień lub dwa. Blue mogła być zła, że straciła jedną z najbardziej wydajnie pracujących dziewcząt. Przypuszczalnie, gdy nie wróciłam do pokoju przy Jack Street ani pod lampy gazowe Paradise Street, przyjęły najgorsze założenie: że skończyłam jak inne zamordowane prostytutki, które wrzucono tam, gdzie nikt nigdy ich nie znajdzie. Może ktoś widział, jak wsiadałam do powozu Szkota, i potem już wszelki śluch o mnie zaginął. „Zignorowała wyraźne ostrzeżenie, więc musiała za to zapłacić, prawda?” - powiedziały. Czy będą mnie oplakiwać? Jeśli tak, to krótko, może nawet któraś wzniesie za mnie toast w Goat's Head, ale

przecież zawsze było wiele dziewcząt, które tylko czekały, żeby wślizgnąć się na miejsce kogoś, kto zniknął.

Kiedy pani Smallpiece uznała, że nie sprawię jej wstydu przy innych ludziach, zabrała mnie do kościoła. Podobnie jak Shaker przedstawiła mnie jako bratanicę męża, chociaż gdy robiła to po raz pierwszy, stojąc przed kościołem w chłodną grudniową niedzielę, czułam, jak jej ręka drży na moim ramieniu. Nie wiem, czy była zła, że stawiam ją w trudnej sytuacji, czy po prostu zdawała sobie sprawę, że kłamie. Przypuszczałam jednak, że w przekonaniu kobiety takiej jak pani Smallpiece kłamstwo jest mniejszym grzechem niż konieczność przyznania się, iż przygarnęła prostytutkę.

Pastor - pan Lockie, człowiek o krzaczastych, siwych brwiach i sporym zezie - z niepokojącym zapalem ucisnął moją dłoń, gdy witał mnie wśród swoich owieczek. Kiedy pani Smallpiece mnie przedstawiła, z namaszczeniem przyjrzał się mojej twarzy. Może z powodu zezia. Wyczytałam jednak na jego obliczu coś, co przypominało wyraz twarzy pani Smallpiece, kiedy na mnie patrzyła: nadzieję, że uda się nawrócić mnie na metodyzm. Czyżby w jakiś sposób wyczuwał, że mam za sobą bujną przeszłość, i podobnie jak panią Smallpiece podniecała go myśl o uratowaniu zbłąkanej duszyczki?

Pierwszą wizytę towarzyską złożyłam wraz z matką Shakera w domu jej przyjaciółki, pani Applegate. Było chłodno; gdy szliśmy ulicami, widać było obłoczki pary unoszące się z naszych ust. Po dotarciu na miejsce wepchnięto nas do przegrzanego salonu, w którym głośno buzowało w kominku, a na krzesłach siedziało kilka starszych matron. Zostałam przedstawiona jako „biedna bratanica” pana Smallpiece'a. Kiedy gospodyni prowadziła nas do naszych krzeseł, pani Smallpiece niemal niedostrzegalnie kiwnęła głową, spoglądając na moje rękawiczki. Przypominała mi w ten sposób, że powinnam je zdjąć, bo wkrótce zostanie podana herbata. Potem, nie szczędząc czasu, ze szczegółami opowiadała, że prowadziłam skromne życie pod skrzydłami ojca w Morecambe i nie jestem przyzwyczajona do przebywania w towarzystwie.

- Dlatego, proszę, wybaczcie jej brak manier, z których wszystkie jesteśmy takie dumne - dodała ze sztywną szyją.

Wzięłam kawałek placka ze srebrnej tacy, którą podsunęła mi pod nos młoda pokojówka, i położyłam go na ozdobnym talerzyku, który trzymałam sztywno w drugiej ręce. Miałam za sucho w ustach, żeby cokolwiek zjeść. Niska kobieta z paskudną naroślą nad brwią potrząsnęła smutno głową, jakby rozumiała trudną sytuację przyjaciółki - wiedziała, że niełatwo poradzić sobie z młodą kobietą tak beznadziejnie tępą, jak wynikało z opowieści pani Smallpiece.

Chociaż płonęłam ze wstydu i złości, wiedziałam, że nic nie zyskam, udowadniając pani Smallpiece, iż jest w błędzie. Jeśli miałam na jakiś czas zostać w Evertonie, na co się już zdecydowałam, rezygnując z powrotu do beztroskiej wolności Paradise Street, musiałam walczyć ze swoimi odruchami, siedzieć cicho i nauczyć się głupio uśmiechać. Podczas spotkania próbowałam wyobrazić sobie szok i przerażenie, które pojawiłyby się na twarzach statecznych pań, gdyby mogły zobaczyć żywe obrazy, jakie przesuwają mi się przed oczami. Obrazy te przedstawiały mnie i moich klientów, na plecach albo kolanach. Pomimo wszelkich pozorów i cnót wiedziałam o życiu i ludzkiej naturze znacznie więcej, niż przypuszczały. Chociaż podczas spotkań towarzyskich zawzięcie milczałam, dudniło mi w głowie, a narośl w ustach powiększała się od ciągłego zagryzania. W lustrze w połączonych ramach w sypialni, którą dzieliłam z panią Smallpiece, zauważyłam, że między moimi brwiami pojawiły się nowe zmarszczki.

***Prawdziwa młoda dama*** była coraz bardziej zniszczona. Po kilku miesiącach znałam niemal całą książkę na pamięć. Nużyły mnie szczegółowe zalecenia: dobre maniery w salonie, podczas składania wizyt, w czasie spotkań ze znajomymi na ulicy, sposoby przedstawiania; mogło się wydawać, że reguły o oczekiwaniu nie mają końca. Czasami aż kręciło mi się w głowie: kiedy zdjąć kapelusz, a kiedy nie, tak samo było w przypadku rękawiczek. Jedno z zaleceń brzmiało: nigdy nie podnoś czegoś, co ci upadło, tylko zaczekaj, aż zrobi to za ciebie osoba niższego stanu i od-

da ci upuszczony przedmiot. Najgorsze były jednak restrykcje związane zjedzeniem.

- Nic tak dobitnie nie świadczy o dobrym wychowaniu jak maniery przy stole - powiedziała pani Smallpiece. - Młoda dama może się elegancko ubierać i z godnością poruszać na ulicy. Może też umieć prowadzić rozmowę, ale drobne uchybienia przy stole i tak ją zdradzą. Chociaż twoje maniery ujdą w dumie, brak im finezji.

Lekcje były bardzo nużące, lecz jednocześnie całkiem proste; pani Smallpiece cieszyła się, że szybko robię postępy. W miarę upływu czasu, kiedy się zorientowała, że staram się spełnić jej oczekiwania, coraz rzadziej znajdowała powody, żeby mnie zrugać. Od czasu do czasu dostrzegałam blady uśmiech na cienkich wargach, zwłaszcza wtedy, gdy przejmowałam jej obowiązki: nalewałam herbatę albo podawałam cukier czy ciasto gościom w niedzielne popołudnia czy też czytałam miłym głosem fragmenty *A Family Shakespeare* — jedynej książki, która interesowała ją oprócz Biblii. Były to dzieła Szekspira przerobione przez Thomasa Bowdlera, który usunął wszystkie „niestosowne” fragmenty, dzięki czemu czytelnik nie musiał się obawiać, że natknie się na coś, co może go urazić.

Gdy wieczorami siadywałyśmy przed kominkiem, pani Smallpiece z przyjemnością obserwowała, jak ozdabiam batystowe chusteczki do nosa drobnymi, delikatnymi ściegami. Często miałam materiał, niekiedy pojawiała się na nim nawet kropla krwi, gdy igła wbiła mi się w palec. Chociaż uważałam haftowanie za zajęcie beznadziejnie otumaniające, spokojny rytm wykonywania ściegów pozwalał mi się wyrwać myślami z Evertonu.

Pani Smallpiece była przekonana, że moja opuszczona głowa jest wyrazem posłuszeństwa. Myślała, że mnie nawraca. No cóż, nie ma człowieka bardziej świętoszkowatego niż ktoś, kto wierzy, że zamienił grzesznika w świętego.

\*

Shaker nie traktował mnie ani jak grzesznicy, ani jak świętej, może raczej jak mieszaninę obu.

Nigdy nie kazał mi przyjść do swojego łóżka, odnosił się wręcz do mnie z dziwną kurtuazją i szacunkiem. Ilekroć myślał, że nie widzę, bacznie mi się przyglądał. Ponieważ na jego twarzy pojawiała się zażenowanie i gwałtownie odwracał głowę, domyślałam się, że moja obecność go podnieca, mimo to zachowywał się jak dżentelmen. Doszłam do wniosku, że zaczyna żywić do mnie pewne uczucia, choć sama nie wiedziałam, jak obudzić w sobie miłość do mężczyzny. Znałam tylko jeden rodzaj mężczyzn, takich jak Ram Munt czy pan Jacobs. Odnosiłam wrażenie, że na świecie jest bardzo, bardzo wielu Ramów Muntów i panów Jacobsów. Zdawałam sobie sprawę, że Shaker jest inny, ale nie czułam do niego nic oprócz skrepowania i wdzięczności.

Od początku pokochałam natomiast pracę w bibliotece, wśród książek. Dzięki temu czułam pewną więź między chwilą obecną a dzieciństwem spędzonym w introligatorni u boku matki. Mając przed sobą czysty papier, czując zapach atramentu i wypełniając kartkę za kartką, często myślałam o mamie: to mnie uspokajało. Wiedziałam, że byłaby dumna z mojej pracy. Niemniej obecne życie, niezależnie od tego, jak na nie spojrzalam, było kłamstwem, pozą i oszustwem. Dlatego nie nosiłam wisior-ka.

Leżał ukryty za wysokim parawanem na biurku - obok pióra, atramentu, stosu książek i kart katalogowych - w świetle, które sączyło się przez małe okienko za moimi plecami. Jak poinformował mnie pan Ebbington, nie wolno mi było wchodzić do pomieszczeń, po których kręcili się członkowie klubu, ale mogłam, podobnie jak Shaker, pożyczać książki na czas zamknięcia biblioteki.

Co wieczór nie mogłam się doczekać, kiedy zapalone zostaną lampy na wypolerowanych stołach do czytania, a ich łagodne światło rozjaśni czytelnię z piękną kopułą i kolumnami. Były w niej też przyrządy naukowe i mapy w gablotce, a także piękne zegary i mahoniowe barometry. W przeszklonej gablotce leżały księgi ze złotymi i srebrnymi zapinkami, spowite w aksamit i jedwab. Tematyka książek w bibliotece, kupowanych

przez samych członków albo za ich pieniądze, była różnorodna i obejmowała historię, podróże, nauki ścisłe, politykę, prawoznawstwo oraz teologię. Największy był dział kulturalny. Zaliczano do niego encyklopedie, herbarze, mapy, poezję, dramat, filozofię i beletrystykę. Stawałam między półkami i długo trzymałam każdą książkę w rękach, oglądając cętkowane albo pozłacane brzegi, muskając palcami oprawkę. Cieszyła mnie wzorzysta bawełna i wydaczane wzory - na przykład kamee i oprawy z drogich cielecych skór pochodzących z Rosji czy Maroka.

Co tydzień Shaker i ja wybieraliśmy po trzy książki, które następnie zabieraliśmy do domu. On wiedział dokładnie, czego szuka, dlatego przeważnie brał traktaty medyczne, chociaż interesowała go również historia. Mnie decyzja zawsze zajmowała nieco więcej czasu. Shaker zazwyczaj cierpliwie czekał, aż przejdę wśród regałów. Początkowo polecał mi książki, wskazując na poezję, dramat, zbiory baśni, które czytał i które jego zdaniem mogły mnie zainteresować, ale w dzieciństwie dużo czasu spędziłam nad klasyką. Teraz bardziej interesowałam się książkami, dzięki którym mogłabym poznać świat i ludzi. Najbardziej intrygował mnie dział podróżniczy.

- Czy kiedykolwiek marzyłeś o podróży, Shakerze? - spytałam pewnego wieczoru, odkładając na stół wybraną książkę: *The Journal of a Tour to the Hebrides* Boswella. - Świat jest taki duży.

- Gdy byłem młodszy, często pociągała mnie przygoda - przyznał. - Kiedy ojciec żył, rozmawialiśmy o świecie, odległych lądach i ich mieszkańcach. Zachęcał mnie, żebym zobaczył coś poza Anglią, dlatego nim umarł, za jego namową spędziłem lato w Paryżu. Byłem trochę młodszy niż ty teraz i podróżowałem z dwoma innymi chłopcami.

Usiadłam naprzeciwko niego, oparłam łokcie o stół i wychyliłam się do przodu, zawijając stopy za nogi krzesła. Wiedziałam, że pani Smallpiece wygłosiłaby długą tyradę, gdyby zobaczyła mnie w takiej prostaczej pozie, ale byliśmy tylko we dwoje.

- Jak było? Czy tam naprawdę jest tak cudownie, jak mówią?  
Uśmiechnął się.



- To było dla mnie rzeczywiście coś nowego i ekscytującego. Czułem, że rozpira mnie energia. Razem ze współtowarzyszami podróży włóczyliśmy się całymi dniami, zwiedzając zabytki. Jeden z przyjaciół jest artystą; wykonał serię szkiców i dał mi kilka. Mogę ci pokazać, gdy będziemy w domu.

- Wróciłbyś tam?

Z twarzy Shakera zniknął uśmiech.

- Myślę, że mój okres przygód dobiegł końca. Skrzyżował ręce na piersi i wsunął drżące dłonie pod pachy; robił to nieświadomie, gdy mówił o sobie.

- A co z tobą, Linny? Wciąż marzysz o Ameryce?

Pokręciłam przecząco głową. Rejs do Nowego Świata wydawał mi się teraz bardzo odległy, o wiele odleglejszy, niż gdy byłam na ulicy.

- Obecnie nie potrafię sobie tego wyobrazić, chociaż nie bardzo wiem, dlaczego - wyznałam. - A jednak...

- Co takiego?

- Jest we mnie coś, co ożywa, gdy czytam takie książki. - Położyłam dłoń na wolumenie, który leżał na stole między nami. - Odczuwam przy nich dziwny niepokój, jakby czekało mnie coś, czego na razie jeszcze nie rozumiem.

Shaker spojrział na moje palce, które pieściły płócienną oprawę. Potem popatrzył mi prosto w oczy.

- W moim przekonaniu takie tęsknoty to cecha młodości, Linny, ale może kiedyś... jeśli...

- Może co? - podpytywałam, gdy zamilkł. Wstał.

- Nic. Czasami mówię coś bez zastanowienia.

- Nieprawda - zaprotestowałam. - Nigdy nie słyszałam, żebyś powiedział coś, czego wcześniej dobrze nie przemyślałeś.

Zebrał swoje książki.

- Lepiej pospieszmy się, bo ucieknie nam ostatni omnibus. Poszłam za nim, zastanawiając się, co chciał powiedzieć.

\*

Chociaż nie wolno mi było wchodzić do pomieszczeń klubowych ani do News Roomu na parterze Lyceum, bo były to miejsca przeznaczone tylko dla mężczyzn, przy każdej nadarzającej się okazji zaglądałam do wysokiego pomieszczenia z ogromnymi oknami, które wychodziły na Waterloo Place. Zazwyczaj robiłam to, idąc do sutereny, by przynieść świeży atrament czy papier, albo wychodząc do pokoiku nazywanego dyskretnie damską garderobą, czyli do toalety, żeby skorzystać z nowego urządzenia, które po pociągnięciu za sznurek spłukiwało się wodą. Co za luksus! Często przebywałam tam dłużej niż to konieczne, dla czystej przyjemności pociągając za sznurek i patrząc, jak woda spływa i znika w ciemnym otworze. Z uśmiechem na ustach porównywałam tę metodę z wylewaniem zawartości wyszczerbionego nocnika przez okno na podwórko przy Back Phoebe Anne Street.

W pomieszczeniach klubowych widziałam mężczyzn, którzy wypożyczali w głębokich skórzanych fotelach, palili cygara i popijali kawę lub herbatę. Niektórzy czytali najnowsze numery „Liverpool Mercury” albo którąś z innych gazet. Inni rozmawiali o statkach, które wpływały do portu lub go opuszczały. Jak zauważyłam, część członków klubu stanowili bogaci armatorzy. Niektórzy raz czy dwa byli moimi klientami, nie obawiałam się jednak, że mogą mnie poznać... lub choćby zauważyć.

Na parterze była również czytelnia z okazałymi podwójnymi drzwiami. Przed wejściem do niej stały duże tablice z ozdobnymi plakatami, które projektował i wykonywał pan Worth. W ten sposób informował o wykładach z historii sztuki, literatury lub nauk ścisłych dla członków klubu i zaproszonych przez nich gości.

Był to piękny, elegancki budynek.

Spędzałam teraz całe dni w bibliotece, a wieczory w domku w Evertonie pod baczną opieką pani Smallpiece. Wiedziałam, że dawna Linny Gow zaczyna zmieniać się w nową osobę, która porusza się po świecie z dziwną pewnością siebie. Często miewałam przecucie, że mimo wszystko mogę osiągnąć to, co wymarzyła dla mnie mama. Jednocześnie jednak czegoś mi brakowało. Tęskniłam za beztróskim śmiechem i towarzysstwem dziewcząt z Paradise Street. Byłam teraz mniej spontaniczna, bar-

dzo się pilnowałam. Musiałam zrezygnować ze szczerości, ale czasami, jeśli chce się pójść do przodu, trzeba coś poświęcić.

Moje życie stało się wygodne i przewidywalne. Poznałam dwóch przyjaciół Shakera, bezbarwnych, poważnych, ale uprzejmych młodych mężczyzn; jeden z nich w mojej obecności stawał się dziwnie małow-ny. Traktowali mnie jako kuzynkę Shakera. Co dwa tygodnie przychodzili na White-field Lane na kolację. Posiłek był zawsze uroczysty, w obecności pani Smallpiece, ale koniec końców znużona starsza pani udawała się do swojego pokoju. Zostawialiśmy uprzątnięcie stołu Nan i Merrie, po czym we czwórkę szliśmy do salonu, gdzie Shaker i jego goście wypijali kilka kieliszków, a wieczór tracił formalny charakter. Bardziej rozmowny z obu panów raczył mnie historyjkami z dzieciństwa Shakera. Cieszyła mnie jego figlarność.

Pilnowałam, żeby nie dać się za bardzo wciągnąć w ich historie i śmiech, zdając sobie sprawę, że muszę spełniać wymogi związane z moim wydumanym pochodzeniem. Shaker również nie pozwalał sobie nigdy na zbyt dużą spontaniczność, często natomiast wspominał mojego fikcyjnego ojca, a swojego stryja, dzięki czemu opowiadane historyjki nabierały dla mnie bardziej realnych kształtów. Chwilami naprawdę zaczynałam wierzyć, że urodziłam się jako panna Smallpiece.

Wmawiałam sobie, że oto mam szansę na lepsze życie, za które ktoś z okolic Vauxhall Road powinien być niezmiernie wdzięczny. Nie musiałam już co noc spędzać długich godzin na zimnie i w strugach deszczu. Nie musiałam każdego ranka przed wschodem słońca kucać nad wyszczerbioną miską, by wyjąć śliski kawałek gąbki. Nie musiałam się martwić, że od środka rozerwie mnie jakiś mężczyzna o przyrodzeniu godnym konia albo że ktoś będzie mnie bił i szczypał, bo tylko dzięki temu może zeszywnieć pewna część jego ciała. Moje suknie nie były już pokryte moczem ani wymiocinami klientów, którzy ledwo trzymali się na nogach po zbyt dużej dawce alkoholu, a moje wynagrodzenie było zawinięte w karteluszek, a nie rzucone na brudną ulicę, żebym musiała wybierać monety spomiędzy psich odchodów i ludzkiej flegmy. Nie głodowałam. Miałam do dyspozycji każdą książkę, której pragnęłam, nie brako-

wało mi również czasu na czytanie. Dysponowałam własnym, czystym łóżkiem.

Dlaczego w takim razie nie byłam zadowolona? Dlaczego często ogarniała mnie rozpacz, a moje myśli ulatywały poza mury Lyceum i domku przy Whitefield Lane? Moje marzenie o Ameryce umarło, nadal jednak wyobrażałam sobie, że czeka mnie nieznane życie, całkiem inne niż to, które wiodłam w spowitym mgłą Liverpoolu, wśród mew i z szarym, ruchomym świadem nad szeroką, pustą Mersey. Z niepokojem myślałam o przeszłości, wciąż prześladowały mnie koszmarne sny i wspomnienie tego, co zrobiłam.

Dlaczego nie mogłam przyjąć tego, co Shaker ofiarował mi w prezencie, i żyć radośnie jako panna Linny Smallpiece?

## Rozdział 14

Faith Vespry poznałam dzięki Celinie Brunswick. Celina miała ciemne włosy i właściwie nie wyróżniała się niczym nadzwyczajnym, chociaż przykuwała uwagę atrakcyjnymi, ciemnoniebieskimi oczami i gęstymi, ciemnymi rzęsami. Natknęliśmy się na nią pewnego wieczoru, mniej więcej dwa miesiące po tym, jak zamieszkałam przy Whitefield Lane, gdy razem z Shakerem wychodziliśmy z biblioteki. Wraz z ojcem przemierzała Bold Street.

- Witam, panno Brunswick i panie Brunswick - powiedział Shaker, zatrzymując się przed nimi i uchylając kapelusza.

- Dobry wieczór, panie Smallpiece - powiedziała młoda kobieta.

Kiedy spojrzała na mnie, na jej policzkach pojawiły się rumieńce.

- Witaj, Geoffreyu - odparł starszy pan. Geoffreyu? - pomyślałam.

- Jakoś ostatnio zniknął nam pan z oczu - powiedziała panna Brunswick, patrząc to na mnie, to na Shakera. - Nie widziałam pana na kilku uroczystościach.

- Wiem. Byłem... zajęty - wyjaśnił Shaker. - Może jednak zacznę od formalności. Panie Brunswick, panno Brunswick, z prawdziwą przyjem-

nością przedstawiam państwu pannę Linny Smallpiece, która przybyła niedawno z Morecambe.

- Pannę Smallpiece? - spytała Celina chłodno. Zmierzyła mnie od stóp do głów, oceniając niemodny

strój. Miała na sobie długą, ciemną pelisę w kolorze, który wspaniale podkreślał jej oczy, a dłonie ukrywała w futrzanej mufce. Jej głowę zdobił kapelusik obszyty idealnie dobranym futerkiem. Wiedziałam, że jej strój kosztował fortunę.

- Jest pańską krewną?

- Tak, kuzynką - wyjaśnił Shaker, a Celina rozluźniła nieco szczękę. - Przeżyła ostatnio ogromną stratę, śmierć ojca, dlatego przyjechała do Liverpoolu i zamieszkała z moją mamą i ze mną. Pracuje u mego boku w bibliotece.

- Pracuje? - spytała Celina.

Uraczyła mnie bladym uśmiechem, a zauważywszy pod moją pachą książki, przekrzywiła głowę i pytającym tonem przeczytała tytuły:

- *Letters on the Improvement of the Mind* Hester Chapone? *Search After Happiness* Hannah More?

Przeniosła wzrok na mnie. Dostrzegłam w jej oczach wyzwanie, którego nie rozumiałam.

- Ambitna lektura. Czy to oznacza, że jest pani wielbicieleką mądrych kobiet, panno Smallpiece?

Uśmiechnęłam się niepewnie.

- Moja kuzynka czytuje bardzo różne książki - wtrącił Shaker, przychodząc mi z pomocą. - Nie tylko rzeczy napisane przez mądre kobiety, prawda, Linny?

- Nie, z pewnością nie - odparłam, dostosowując starannie wymowę do Celiny, chociaż ze zdenerwowania zaschło mi w gardle. - Mimo to muszę przyznać, że podziwiam niektóre autorki za ich odwagę i lekceważenie powszechnej opinii na temat ograniczoności kobiecego umysłu. Och, to chyba nasz omnibus - dodałam, gdy powóz przejechał obok nas.

Chciałam uciec od kobiety, która udawała kogoś ważnego i wyraźnie była nastawiona do mnie bardzo krytycznie.

- Tak. Musimy się pospieszyć. Cieszę się, że państwa spotkałem. Do zobaczenia, panno Brunswick, do zobaczenia, panie Brunswick.

Shaker ponownie uchylił kapelusza.

Celina przez dobrą chwilę przyglądała mi się spod pół-przymkniętych powiek, potem rozeszliśmy się w przeciwne strony.

- Ona wie — szepnęłam do Shakera, gdy zajęliśmy miejsca w omnibusie i ruszyliśmy w stronę Evertonu.

- Co wie? - spytał, otwierając książkę.

- Wszystko o mnie. Od razu się zorientowała, że nie jestem osobą, za którą się podaję.

Shaker zamknął książkę.

- Bzdura. Odparłaś jej zaczepki w sposób godny podziwu. Byłaś może nieco za sztywna, ale Celina sprawiała wrażenie mniej przyjacielskiej niż zazwyczaj. Znam ją od ponad roku. Zostaliśmy sobie przedstawieni podczas jednego z wykładów, chyba z botaniki. Panna Brunswick bardzo interesuje się florą i fauną.

- Z pewnością bardzo interesuje się także mną - powiedziałam, po czym dodałam: - Geoffreyu.

Shaker uśmiechnął się z lekką drwiną.

- Tak, to moje prawdziwe imię, ale jak ci już mówiłem, wszyscy, którzy dobrze mnie znają, mówią na mnie „Shaker”.

- Geoffrey bardzo do ciebie pasuje. To takie dystyngowane imię - zapewniłam i otworzyłam książkę.

Miałam zamiar spędzić resztę drogi do domu na czytaniu, wcześniej jednak zauważyłam, że Shaker zarumienił się i dopiero po dobrej chwili wrócił do swojej lektury.

Tydzień później Shaker zaproponował, żebym została w piątek po pracy i wybrała się na wieczorny wykład.

- Nie mogę - odparłam.

- Dlaczego? Jako pracownica masz prawo wejść. Na pewno przyjdzie Celina Brunswick, więc będziesz znała przynajmniej jedną osobę.

Jeszcze jeden powód, żeby nie iść - pomyślałam.



- Po prostu... po prostu nigdy nie brałam udziału w takich wydarzeniach.

Przypomniał mi się piękny plakat zawieszony tego ranka przez pana Wortha. Ozdobne litery tworzyły napis: *Motyk w Indiach*, a poniżej znajdował się tekst: *Zapraszamy wszystkich członków i ich gości*.

- Wybierasz się? - spytałam. Pokręcił przecząco głową.

- Nie interesują mnie ani Indie, ani motyle, ale tobie ten wykład mógłby sprawić przyjemność.

Spojrzał na stary kapelusz matki, który wciąż wkładałam każdego dnia, wychodząc do pracy.

Wiedziałam, że z powodu niemodnego stroju po prostu nie mogę wybrać się na wykład. Moje ubranie od razu by zdradziło, że jestem tylko pracownicą, i chociaż uchodziło jako strój roboczy, przypomniało mi się wyniosłe spojrzenie Celiny Brunswick i jej zgrabna sylwetka w szytej na miarę pelisie.

- Zastanów się - powiedział.

Nazajutrz podczas przerwy na lunch Shaker wybiegł z klubu i wrócił ze sporą, zawiniętą w papier paczką. Wiózł ją na kolanach przez całą drogę do domu, rozcapierzając palce na wierzchu, jakby sam dotyk sprawiał mu przyjemność. Potem w salonie wręczył mi paczkę. Otworzyłam ją. W środku była suknia i peleryna z kapturem. Suknia została uszyta z ciężkiego, bursztynowego jedwabiu, miała bufiaste rękawy i zwężała się ku talii. Brzeg kołnierzyka i dół spódnicy zostały wykończone ozdobnym obrąbkiem. Wełniana peleryna miała ciem-nozłocisty kolor.

Pani Smallpiece wydała przytłumiony dźwięk. Siedziała na sofie i przyciskała ręce do brzucha.

- Cierpię dziś na niestrawność - powiedziała głośniejszym głosem, niż wymagała tego sytuacja. - Merrie przyniosła mi nasiona kminku, ale nie pomogły.

- Nie wiem, czy ci się podoba - powiedział Shaker, gdy odwróciliśmy się plecami do jego matki - ale może będzie odpowiedni na wykład...

Żałowałam, że odpowiedziałam dopiero po chwili wahania.

- Oczywiście, to piękny ubiór, Shakerze.

- Sprzedawczyni powiedziała mi, że na pewno przydadzą ci się... i inne rzeczy. Są między fałdami sukni.

Nie patrzył mi w oczy.

Spomiędzy materiału wyjęłam delikatne perfumy o zapachu bzu, znalazłam też komplet usztywnionych halek i niewielką turniurę do podtrzymania spódnicy.

- To wszystko jest zbyt piękne, Shakerze - powiedziałam. - Nie wiem, czy mogę przyjąć twój prezent.

- Po prostu przymierz, proszę.

To rzeczywiście była piękna suknia. Porównawszy ją w myślach z kreacjami Chinese Sally, zdałam sobie sprawę, że jej stroje były kiepsko uszyte i brakowało im dostojności, jakie dawał bursztynowy jedwab. Gdy weszłam do salonu, Shaker uśmiechnął się i zaklaskał.

- Wiedziałem, że ten kolor będzie pasował do twoich oczu - powiedział.

Pani Smallpiece zakryła usta, by sdumić beknięcie.

- Zupełnie przyzwoicie wygląda w swoich codziennych sukniach - powiedziała ze złością. - Nie da się uszyć jedwabnej torebki ze świńskiego ucha. Zresztą po co jej coś nowego? Rozpuszczasz ją. I tak za mało płaci za łóżko i jedzenie.

- O czym ty mówisz, mamó? Co to znaczy: „płaci”? Pani Smallpiece uniosła głowę, ale głos jej drżał.

- Zabrałam jej zarobki za poprzednie miesiące i na koniec tego miesiąca też je wezmę. Nie widzę w tym nic złego.

Shaker stanął przed matką.

- Oddasz jej wszystkie pieniądze - oznajmił. - Zapracowała na nie. A jeśli mam ochotę kupić jej coś ładnego, to moja sprawa.

Odwróciłam się i wbiłam wzrok w poręcz, jakbym szukała na niej kurzu, żeby pani Smallpiece nie dostrzegła na mojej twarzy nikłego uśmiechu satysfakcji.

Byłam tak zadowolona z nowej sukni i peleryny, że wybrałam się na wykład o motylach. Jednak na miejscu moja pewność siebie wyparowała i przeciskając się przez tłum, byłam potwornie zdenerwowana. Pot zebrał mi się pod gorsetem, gdy starałam się utrzymać wyprostowaną sylwetkę, kontrolować każdy wykonywany ruch, każdą wypowiedzianą półgłosem uprzejmość. Zobaczyłam Celinę. Siedziała z drugą, niższą i drobniejszą młodą kobietą, która miała lisiorude włosy i ciemnozielone oczy. Była naprawdę ładna, zarzucić jej można było tylko jedno - zbyt długi nos.

Po wykładzie, który wygłosił pan Prinsep, starszy, przerażająco rumiany dżentelmen, tłum zebrał się wokół stołu z herbatą i ciastami. Wtedy obok mnie pojawiła się Celina.

- Witam, panno Brunswick - powiedziałam, starając się zapamiętać, że tym razem mam na sobie bursztynową suknię.

- Och, panna Smallpiece. Nie poznałam pani - odparła, nie reagując na mój uśmiech. - To panna Smallpiece, a to moja dobra przyjaciółka, panna Faith Vespry.

Faith uśmiechnęła się do mnie promiennie, odsłaniając dziąsła. Miała drobne, równe ząbki.

- A więc to jest ta słynna kuzynka - zażartowała nieco piskliwym głosem z lekką zadyszka.

Zauważyłam, że Celina dźga ją łokciem w żebra, ale Faith wyraźnie zignorowała upomnienie przyjaciółki.

- Celina wspomniała mi, że u pana Smallpiece'a mieszka teraz jego kuzynka. Jak podoba się pani Liverpool? Skąd pani pochodzi? Z Bristolu?

- Z Morecambe, panno Vespry - odparłam zdecydowanie.

Byłam przygotowana na tego typu pytania. Shaker przekazał mi wszelkie możliwe informacje, poza tym przeczytałam na temat Morecambe wszystko, co mogłam znaleźć, włącznie z jego historią. Co więcej, stworzyłam własną przeszłość, łącznie z datami i miejscami. Cieszyłam się, że nie mam problemów z zapamiętywaniem.

- Proszę mówić mi „Faith”. Wiem, że zdaniem Celiny mówienie sobie po imieniu jest prostackie, ale czuję, że zostaniemy przyjaciółkami,

prawda? Och, kocham wybrzeże -ciągnęła, przerywając tylko na nabraniu oddechu. - I tę cudowną herbaciarnię... Jak ona się nazywa? Archery? Czy wciąż tam jest? Mama, tata i ja byliśmy w niej w ubiegłym roku.

Uśmiechnęła się jeszcze promienniej, jeszcze bardziej odsłaniając zęby.

Byłam zdumiona nie tylko jej otwartością, ale tym, jak bardzo musiałam się zmienić w ciągu kilku miesięcy. Faith traktowała mnie, jakbym była jej równa.

- Tak - uśmiechnęłam się, chcąc koniecznie sprostać jej oczekiwaniom. - Archery rzeczywiście jest najcudowniejsza. Ja też wiele, wiele razy pijałam tam herbatę, najchętniej w pal-miarni.

Kłamstwo przyszło mi z łatwością.

- Celino - ciągnęła Faith, nie odrywając ode mnie wzroku. -Panna Smallpiece wcale nie jest taka, jak mi opisałaś.

- Nigdy nie nauczysz się, Faith, zachowywać własnych spostrzeżeń dla siebie? - spytała Celina z rozgoryczeniem, a na jej policzkach pojawiły się delikatne rumieńce.

Wbiła wzrok w swoją filiżankę.

- Może dosypiesz sobie trochę cukru do herbaty - zaproponowała Faith. - Sądząc po twoim wyrazie twarzy, musi być bardzo gorzka.

Celina syknęła, a potem oddaliła się od nas.

- Proszę nie zwracać na nią uwagi - powiedziała Faith. -Nie umie niczego ukrywać.

- Co miałyby ukrywać? - spytałam. Faith przysunęła się bliżej.

- Chociaż jest pani kuzynką pana Smallpiece'a, Celinie nie podoba się, że w jego domu mieszka jakaś inna kobieta.

Zmarszczyłam czoło. Dopiero po chwili zrozumiałam.

- Ach, rozumiem. Shaker... podoba się Celinie. Teraz to Faith zmarszczyła czoło.

- Shaker? To chyba dość okrutne imię.

- Och, wyraźnie muszę ci coś wyjaśnić. Rzeczywiście może sprawiać wrażenie okrutnego żartu, ale mój kuzyn otrzymał to przezwisko jeszcze

w dzieciństwie i do dziś woli, żeby osoby, które dobrze go znają, zwracały się do niego w taki właśnie sposób. - Urwałam. - Ponieważ należę do rodziny, to chyba całkiem naturalne, że używam takiej właśnie formy.

Spojrzałam przez tłum na Celinę, która z wymuszonym uśmiechem rozmawiała z jakąś starszą panią.

- Czy pan Smallpiece wie ojej uczuciach?

- Ależ skąd! - powiedziała Faith. - Zresztą ona doskonale zdaje sobie sprawę, że nie może mieć nawet cienia nadziei.

- Dlaczego?

Faith przekrzywiła głowę.

- Na pewno doskonale rozumie pani sytuację. Ojciec Celiny nigdy nie zaaprobowałby Geoffreya Smallpiece'a.

Poirytowana, wydełam wargi.

- Z powodu jego ułomności?

- Biedny człowiek. Rzeczywiście ma poważne problemy, prawda? Ale nie to jest najgorsze. - Rozejrzała się wokół. - Oczywiście, to zbyt delikatny temat, żeby go poruszać, nie sądzisz?

- Tak - przyznałam, chociaż nie wiedziałam, o co jej chodzi.

Zaciągnęła mnie w róg pomieszczenia.

- Niegrzecznie jest mówić o sprawach finansowych. Proszę mnie nie zdradzić, dobrze?

Czekała na odpowiedź. Nie nadałam za jej tokiem rozumowania.

- Miałabym cię zdradzić? Możesz być spokojna.

- Myślę jednak, że nie spotkała pani nikogo tak szczerego jak ja.

Uśmiechnęłam się.

- Chodzi o to, że... - Obejrzała się przez ramię. Gdy zauważyła, że Celina wciąż rozmawia, ciągnęła: - Pan Brunswick ma nadzieję, że uda mu się znaleźć dla Celiny odpowiedniego męża i że jej małżeństwo będzie pod każdym względem korzystne dla całej rodziny. Gdyby poślubiła kogoś w rodzaju pana Smallpiece'a, ani ona, ani jej rodzice nie mogliby liczyć na jakikolwiek awans. Nie tylko pod względem finansowym, ale również towarzyskim.

Powachlowała się rękawiczkami, a ja zdjęłam swoje.

- Gdyby moja mama usłyszała, co mówię, przez tydzień nie wypuściłaby mnie za karę z pokoju.

Znów się uśmiechnęłam. Była naprawdę wspaniała, ale jej towarzystwo sprawiało mi przyjemność jeszcze z innych względów. Wciąż nie mogłam nacieszyć się faktem, że uważała mnie za równą sobie i w taki właśnie sposób ze mną rozmawia.

- Pewnie wie pani - ciągnęła - że pani kuzyn nie lubi brać udziału w najważniejszych wydarzeniach towarzyskich Liver-poolu. Otrzymuje zaproszenia na wiele uroczystości, ponieważ jego ojciec był bardzo szanowany i nazwisko Smallpiece nadal cieszy się dobrą reputacją. Jednak pan Smallpiece ani myśli korzystać z tego faktu. Z pewnością wie pani, co o nim sędzę.

Uniosła brwi.

- Chyba tak - przyznałam.

- Słyszałam, że jest taki jak jego ojciec i bardziej interesuje go działalność charytatywna. Znała pani dobrze swojego stryja? Wygląda na to, że prześladował go pech.

- Rzeczywiście - zgodziłam się, chociaż nie miałam pojęcia, o czym ona mówi.

Modliłam się, żeby zmieniła temat. Nim zdążyłam sama to zrobić, kontynuowała:

- Oczywiście, pani też przeżyła ostatnio ogromną tragedię. Moje kondolencje.

- Dziękuję - mruknęłam.

- Czym zajmował się pani ojciec, panno Smallpiece? - spytała.

Na chwilę zapadło milczenie.

- Proszę, jeśli mam mówić do ciebie Faith, może zechciałabyś zwracać się do mnie *per* Linny? - zaproponowałam, grając na zwłokę.

Nie mogłam uwierzyć, że nie wymyśliłam jakiegoś zajęcia dla mojego rzekomego ojca, dziwiło mnie również, że Shaker ani razu nie wspomniał, czym zajmował się jego stryj.

- Ojciec...



W pamięci dokonałam błyskawicznego przeglądu różnych sklepów i warsztatów, które mijaliśmy z Shakerem po drodze do biblioteki, przy Seel Street, którą szłam zaledwie dzień wcześniej, a także przy Rushworth's. Przypomniały mi się Draper i Seeger - fabryki fortepianów i organów.

- Zajmował się sprzedażą fortepianów.

- Och - westchnęła Faith, otwierając torebkę. - Coś sobie przypomniałam. Moja mama często organizuje wieczorki muzyczne. Byłybyśmy szczęśliwe, gdybyś przyszła na najbliższy. Odbędzie się w przyszły czwartek - ciągnęła, wręczając mi wizytówkę. - Pewnie rzadko spotykasz różnych ludzi, zwłaszcza że przez cały dzień jesteś zamknięta wśród książek, mieszkasz w Evertonie, a pan Smallpiece nawet nie próbuje wprowadzić cię do towarzystwa. Nie rozumiem, dlaczego razem z matką nie przeprowadzi się gdzieś bliżej ludzi.

Staralam się nie okazywać żadnych uczuć. Wzięłam wizytówkę.

- A zatem do zobaczenia w przyszły czwartek - powtórzyła. - Oczywiście, przyprowadź ze sobą kuzyna. Celina będzie zaskoczona, gdy zobaczy pana Smallpiece'a. Nie mogę się doczekać chwili, kiedy ujrzę jej twarz.

Mruknęłam coś niewyraźnie. Chociaż cieszyła mnie spontaniczna akceptacja Faith, chwilami nie nadażałam za jej tokiem rozumowania i musiałam się zastanawiać, co powiedzieć, żeby nie wyjść na idiotkę. Albo kłamczynię, którą w rzeczywistości byłam.

- Jak podobał ci się wykład pana Prinsepa? - spytała. Rozluźniłam mięśnie pleców. Pragnąc przygotować się na

dzisiejszy wieczór, wcześniej trochę czasu spędziłam nad książką o różnych rodzajach motyli. Dzięki temu znalazłam się na bezpiecznym terytorium.

- Niektóre z jego ilustracji były piękne. Nigdy nie interesowałam się motylami. - W końcu mogłam mówić prawdę. - Poza tym w jego opowieściach Indie wydają się takie egzotyczne i cudowne - powiedziałam. - Wcześniej niewiele o nich wiedziałam. Muszą być wspaniałe, tak przynajmniej wynika ze słów pana Prinsepa.

- Zaprezentował nam tylko uroki tego kraju. W końcu jest artystą i spogląda na świat mniej realistycznie niż przeciętny człowiek. Tymczasem w Indiach jest tyle samo szpetoty, ile piękna. - Zniżyła głos prawie do szeptu. - Modlą się tam do bożków, a w świątyniach podobno znajdują się fryzy, które przedstawiają... No cóż, nie mogę o tym mówić. Słyszałam, że niektóre panie mdleją, gdy przypadkiem ich wzrok padnie na niektóre rzeźby... Są w szoku. Przyjaciel mojego brata jest prawnikiem w Bombaju. W ubiegłym roku przyjechał do kraju, a ja słuchałam, jak na osobności rozmawiał z moim bratem. Oczywiście, matce i mnie opowiadał same czarujące historie, ale jestem zbyt mądra, żeby w to uwierzyć.

- Naprawdę? - spytałam, próbując ukryć uśmiech.

Faith była cudowna. Swoją otwartością przypominała moje przyjaciółki z Paradise Street. Poza tym nie próbowała mnie oceniać ani nie przyglądała mi się podejrzliwie. Dzięki niej poczułam się tak, jakbym należała do tego świata. Jako Linny Gow udająca Linny Smallpiece byłam jej tak wdzięczna, że najchętniej bym ją uściskała.

- Chciałabym tam pojechać - dodała beztrąsko. - Nie sądzisz, że byłaby to najwspanialsza przygoda?

- Nie wiem - wyznałam.

Bardzo chciałam móc dalej słuchać jej opowieści, ale obok nas pojawiła się Celina wraz ze starszą panią i przerwała naszą rozmowę. Wróciły do głupawych plotek, które mnie nie interesowały, a ja znów poczułam skrepowanie i żal, że nie mogę być z Faith sam na sam. Pożegnałam się z nimi tak szybko, jak mogłam, a porder pomógł mi wsiąść do zamówionej dorożki, która czekała, żeby zawieźć mnie na Whitefield Lane.

W czasie krótkiej podróży wciąż jeszcze kręciło mi się w głowie od udawania, że należę do wielkiego świata, od podniecenia i starań, by nadażyć za pytaniami i odpowiedziami Faith.

Tego wieczoru, kiedy zdmuchnęłam świeczkę przy swoim łóżku i wpatrzyłam się w ciemność, mój wzrok padł na prymitywny obraz nad dębowym kredensem. Nagle zdałam sobie sprawę, że wśród rysunków pana Prinsepa widziałam o wiele lepszą wersję tejże budowli. Uśmiech-

nęłam się do siebie z lekką drwiną. Tadż Mahal w Agrze. Tylu rzeczy wciąż nie znałam.

W następnym tygodniu Shaker i ja wybraliśmy się na wieczorek muzyczny do pani Vespry. Musiałam go do tego przekonać. Szarmancko zaprosił matkę, ale odmówiła. Przez cały czas na to liczyłam. Shaker wyglądał bardzo elegancko w dobrze skrojonym surducie, który wyraźnie trzymał na specjale ne okazje.

Wieczór był miły. Shaker i ja siedzieliśmy w głębi salonu państwa Vesprych, słuchając koncertu na fortepian i harfę. Potem podano nam małe talerzyki z ciasteczkami i kieliszeczki słodkiej sherry. Nigdy w życiu nie jadłam tak dobrych ciasteczek. Zauważyłam, że pomimo niewielkiego drżenia Shaker jadł i pił bez większych trudności; wyraźnie bywał bardziej zdenerwowany w moim towarzystwie niż teraz w większym gronie. Później strzepnęłam okruszyny z klap jego surduta i przodu koszuli z delikatnymi guziczkami z kości słoniowej, po czym zmieszaliśmy się z tłumem. Zobaczyłam, że Celina obserwuje go z zaróżowioną twarzą, co bardzo poprawiło jej wygląd. Odpowiednio manewrując Shakerem, powoli podprowadzałam go coraz bliżej niej, póki nie wpadłyśmy na siebie, chociaż przez cały czas zdawałam sobie sprawę, że ona również przesuwa się w naszą stronę. Początkowo sztywno rozmawialiśmy we trójkę, ale wkrótce Celina i Shaker wdali się w dyskusję na temat umiejętności pianisty. Zostawiłam ich i przez jakiś czas udawałam, że bacznie przyglądam się portretom rodzinnym, które wisiały wzdłuż ściany salonu, od czasu do czasu zerkając na nich przez ramię. Stojąc po przeciwnej stronie pomieszczenia, doszłam do wniosku, że Shaker jest niemal przystojny. Podziwiałam jego długie, gęste, lśniące włosy.

Gdy Faith mnie znalazła, przedstawiła mi mężczyznę - nazywał się Gerrard Beck - który prawdopodobnie był jej adoratorem, tak przynajmniej uznałam, widząc, jak Faith trzyma go pod ramię i uśmiecha się do niego, nie odsłaniając dziąseł. Przedstawiła mnie też kilku innym osobom, których nazwiska natychmiast zapomniałam.

Przez całą drogę powrotną do domu Shaker opowiadał z ożywieniem o muzyce, jedzeniu i towarzystwie. Nie wspomniał o Celinie Brunswick, ale cieszyłam się, wiedząc, że miło spędził czas.

Kilka dni później natknęłam się na Faith i pana Becka przed sklepem na Bold Street, ale oboje mieli wyraźne rumieńce i sprawiali wrażenie złych, jakby się kłócili, więc tylko ich pozdrowiłam i poszłam dalej.

Do domu przy Whitefield Lane przyszło następne zaproszenie - tym razem dla pani Smallpiece, Shakera i mnie - na uroczystą kolację u Vesprych. Ku mojemu zaskoczeniu pani Smallpiece się zgodziła. Odpisałam, najładniej jak umiałam, że przyjmujemy zaproszenie, informując, że pani Lucinda Smallpiece, pan Geoffrey Smallpiece i panna Linny Smallpiece z przyjemnością wezmą udział w uroczystej kolacji.

Było szesnaście osób, łącznie z Brunswickami. Faith posadziła mnie na prawo od siebie. Shaker zajmował krzesło naprzeciwko mnie, mając z lewej strony Celinę. Pani Smallpiece siedziała nieco dalej, obok bezbarwnej młodej kobiety, prawdopodobnie misjonarki, tak przynajmniej można było sądzić po jej sukni i nabożnej minie.

Zjedliśmy zupełę, comber barani i indyka w sosie selerowym. Była też potrawa z grasicy jagnięcej w białym sosie, ziemniaki i kapusta włoska, a na koniec wyszukany suflet. Obawiałam się, że Shaker nie poradzi sobie, musząc spożywać posiłek w tak szerokim gronie, gdy jednak na niego zerknęłam, podchodząc do stołu, puścił do mnie perskie oko. Czyżby próbował mnie zapewnić, że w każdej sytuacji czuje się jak ryba w wodzie? A może dawał mi do zrozumienia, że darzy mnie całkowitym zaufaniem, jeśli chodzi o przestrzeganie wszelkich zasad i etykiety?

Niemal przez całą kolację Faith i ja rozmawiałyśmy tylko ze sobą, chociaż jej matka dwukrotnie spojrzała na nią wilkiem, dając córce wyraźnie do zrozumienia, że powinna porozmawiać także z innymi.

Zauważyłam, że Celina i Shaker również pochłonięci byli rozmową. Shaker mało jadł, ale nikt tego nie zauważył. W pewnej chwili usłyszałam nawet, że głośno roześmiał się z czegoś, co powiedział pan Vespry.

Byłam zaszokowana: nigdy wcześniej nie słyszałam jego śmiechu. Ucieszyła mnie ta myśl.

Po tym spotkaniu Faith i ja spędzałyśmy ze sobą coraz więcej czasu. Odnosiłam wrażenie, że panna Vespry nie bardzo wie, czym wypełnić czas. Niekiedy przysyłała mi do biblioteki liścik, że przyjdzie - jej ojciec był członkiem klubu - podczas przerwy na lunch. Wtedy siedziałyśmy przy moim biurku, za parawanem, jadłyśmy cokolwiek: ona to, co wyłowiła ze swojej torby, a ja proste kanapki, które spakowała mi Nan. Kiedy indziej spacerowałyśmy przez pół godziny w górę i w dół Bold Street, oglądając wystawy.

Gdy byłyśmy same, coraz swobodniej się przy niej czułam -głównie dlatego, że przy mnie rezygnowała z typowo babskich pogaduszek, a mówiła o polityce, swoich poglądach na temat wigów, o historii, literaturze, prądach artystycznych; pytała o moje zdanie i koniecznie chciała wiedzieć, co myślę. Była wyraźnie bardziej czytana i znacznie mądrzejsza, niż udawała w obecności innych; z racji mojej pracy w bibliotece uważała, że jestem poważniejsza niż jej pozostałe przyjaciółki, których zainteresowania ograniczały się do mody i plotek. Gdy zdałam sobie sprawę, że Faith nie ma zamiaru dłużej wypytywać mnie o przeszłość - ani teraźniejszość - rozluźniłam się.

W końcu zrozumiałam, że pragnąc dostosować się do oczekiwań, Faith przez większość czasu starannie ukrywa swój prawdziwy charakter. Zdałam sobie sprawę, że i u mnie dostrzegła próbę zachowania pozorów, chociaż trudno było porównać motywy, którymi kierowała się każda z nas. Nie zmienia to jednak faktu, że ją podziwiałam i traktowałam jak przyjaciółkę.

Sześć miesięcy po naszym pierwszym spotkaniu - był początek czerwca i lalo jak z cebra - gdy oboje z Shakerem wychodziliśmy z pracy, natknęliśmy się na Faith, która czekała na mnie w drzwiach Lyceum. Wyraźnie stała tam już dobrą chwilę: miała mokry obrąbek sukni, a spod kapelusika wysuwały się poskręcane od wilgoci rude pasemka, na których błyszczały krople deszczu.

- Linny, chcę cię zaprosić na kolację. Wiem, że nie mamy przyzwoitki, poza tym jest nieco za wcześnie, ale mogłabyś się ze mną wybrać? Zamówiłam stół w herbaciarni przy Lord Street.

Mówiła z większą zadyszka niż normalnie, co przypisałam faktowi, że na nas czekała. Później dowiedziałam się, iż powód był zupełnie inny.

Spojrzałam na Shakera. Wyraźnie wyglądało na to, że zaproszenie jego nie dotyczy.

- Wiem, panie Smallpiece, że uzna pan wyprawę dwóch samotnych dam do lokalu za niestosowną, ale zapewniam pana, że rodzice pozwolili mi wyjść. Prawdę mówiąc, ojciec przed chwilą mnie tu podrzucił. Dopilnuję, żeby potem Linny bezpiecznie wróciła do domu - zapewniła Faith. - Wynajmę dorożkę. Nie spóźnimy się. Po prostu... po prostu chcę coś z nią przedyskutować.

- Jeśli Linny ma na to ochotę, a pani rodzice wyrazili zgodę, nie będę protestował - powiedział Shaker i uklonił się.

Gdy byliśmy z dala od Whitefield Lane, bez problemu wcielił się w rolę mojego opiekuna.

- Bardzo chciałabym, Faith - wyznałam szczerze.

Niezmiernie sobie ceniłam jej przywiązanie - była moją jedyną przyjaciółką. Ogrom uczuć Shakera coraz bardziej mnie przytłaczał; sprawiał wrażenie ciężkiego jarzma. Wiedziałam, jakie problemy sprawia mu moja bliskość - zarówno w pracy, jak i w domu.

Wieczorami martwiłam się, czując jego oddech na policzku, gdy pochylał się nade mną i pokazywał, co mam mu przepisać. Martwiłam się, gdy podawałam mu talerz z kolacją, a nasze palce stykały się przy tej okazji; martwiłam się, czując nacisk jego ud, gdy jechaliśmy do pracy i z powrotem w zadocznym omnibusie. Kiedyś, późnym wieczorem, mijając zamknięte drzwi jego pokoju, przypadkowo usłyszałam, jak sam siebie przeklina. Było mi go serdecznie żal, a do siebie miałam pretensje, że przysparzam mu tylu cierpień. Gdyby był innym mężczyzną, mogłabym w nocy pójść do jego pokoju i ofiarować mu ulgę. Dla mnie sam fizyczny akt nie miał żadnego znaczenia, czułam mniej więcej tyle co podczas kichnięcia. Chociaż, z drugiej strony, gdyby był innym mężczyzną,



wiele miesięcy temu sam by się po to zgłosił, nie pytając mnie o zdanie. Co gorsza, wiedziałam, że chodzi mu o coś więcej niż szybki numer. Od pierwszego tygodnia naszej znajomości było dla mnie jasne, że Shaker Smallpiece w niczym nie przypomina większości mężczyzn: nie prześpałby się z prostytutką ani niezamężną kobietą. Byłam przekonana, że póki mnie nie spotkał, z wystudiowanym wdziękiem znosił swój celibat. Ja to zniszczyłam.

Często wieczorami, zapadając w sen, zastanawiałam się, jak go nie zranić, gdy w końcu powie coś o swoim pożądaniu; nie zdoła dłużej z nim walczyć i w taki czy inny sposób do niego się przyzna.

## Rozdział 15

Po pożegnaniu się z Shakerem Faith i ja ze śmiechem popędziłyśmy przed siebie, starając się ukryć pod parasolem. Gdy mijaliśmy jakąś bramę, dostrzegłam w niej skuloną dziewczynkę. Miała głowę owiniętą cienkim, podartym szalem. Pod nim na piersi trzymała zawiniątko. Domyśliłam się, że ma w nim śpiące niemowlę. Zatrzymałam się, nie zważając na pędzącą do przodu Faith.

Obejrzała się.

- Co robisz, Linny? - spytała.

Wsunęłam dłoń do torebki, szczęśliwa, że mam kilka pensów. Wyciągnęłam je w stronę dziewczynki. Gdy wysunęła spod szala nagie ramię, obok mnie pojawiła się Faith.

- Nie dawaj jej niczego, Linny - zbeształa mnie. - Nie zachęcaj ich, żeby przychodzili tu żebrać.

W jej głosie słyszałam wyraźną pogardę, ale wychwyciłam też nutkę współczucia.

Rączka dziewczynki zamarła w połowie drogi po moje monety.

- Trzymasz tam dziecko? - spytałam. Wyglądała na osiem, może dziewięć lat. Przytaknęła.

- To mój braciszek - wyjaśniła.

- Nie masz się gdzie podziać? Kiwnęła głową.
- Mama ma klienta. Wyrzuciła nas, póki nie skończy. Faith pisnęła.
- Boże litościwy! Chodź, Linny!
- Masz jakieś drobne? - spytałam Faith, widząc, że dziewczynka trzęsie się z zimna, a małeństwo pod szalem w ogóle się nie rusza.

Faith otworzyła swoją torebkę i podała mi pieniądze.

- To wszystko - powiedziała obronnym tonem, jakbym ją o coś oskarżała.

Na jej twarzy ujrzałam współczucie i strach. Dałam drobne dziewczynce, która zacisnęła palce na monetach i cofnęła się w głąb bramy.

- A teraz pospiesz się, bo przemokniemy do suchej nitki! - zawołała Faith, ruszając przed siebie.

Poszłam za nią. Popychał nas wiatr od Mersey. Tworzył zmarszczki na powierzchni kałuż. Faith przeskakiwała je, jakby nic się nie stało, ja wlokłam się za nią z ciężkim sercem.

Gdy dotarliśmy do herbaciarni, miałyśmy zadyszkę. Faith strzepnęła kapelusik, z którego opadły krople deszczu. Ma-trony przy stoliku w pobliżu drzwi zmarszczyły czoła. Faith roześmiała się, widząc ich miny, zaskakując zarówno je, jak i mnie. Łamałyśmy dobre obyczaje, przychodząc bez przyzwo-itki, ale fakt, że przy okazji robiłyśmy z siebie widowisko, był sprzeczny z wszelkimi zasadami i nawet ja dobrze o tym wiedziałam.

Kiedy usiadłyśmy przy stoliku, próbowałam zapomnieć o malcach, których zobaczyłam w bramie. Staralam się również odsunąć od siebie ożywione przez nich wspomnienia.

- Powiedz mi, Faith, jak sądzisz, czy to małeństwo i dziewczynka mają szansę na przyszłość? - spytałam.

- Co sądzę? No cóż, zawsze będą wśród nas biedni i bogaci, tak samo jak zło i dobro. Znasz teorie wielebnego Thomasa Malthusa i jego obawy związane z przeludnieniem? Liczba mieszkańców Ziemi zwiększa się szybciej niż źródła utrzymania. Trzeba pogodzić się z istnieniem ludzi w rodzaju małej łachmaniarki i jej matki, która przyczynia się do powstawania społecznego zła. Mój ojciec nie dalej jak w ubiegłym roku czytał

***Prawo ludności*** Malthusa i cytował mi obszernie fragmenty. Bieda i nierówność są częścią bożego planu. Otuchy dodaje świadomość, że naprawdę nic nie da się zrobić.

- A co by było, gdyby ktoś postanowił zmienić porządek rzeczy?

- W pojedynkę? - spytała, ale potem pojawił się kelner, więc zajęliśmy się składaniem zamówień.

Faith oparła łokcie na stole i opuściła brodę na dłonie. Czasami potrafiła zachowywać się cudownie, jakby nigdy nie była damą, tymczasem ja starałam się w miejscach publicznych dostosować do wszelkich wymogów.

- Nie rozmawiajmy więcej o niemiłych aspektach życia - zaproponowała. - Mam ci, Linny, najcudowniejszą rzecz do powiedzenia. Chcę, żebyś mnie wysłuchała, nawet jeśli początkowo uznasz, że oszalałam. A tak przy okazji, wcale nie uzyskałam zgody rodziców na tę wyprawę i wystarczyło mi tupetu, żeby samotnie przyjść do biblioteki. Oboje myślą, że czytam w moim pokoju.

Uśmiechnęłam się na myśl o jej śmiałej wyprawie. Przypomniałam sobie pieczoną jagnięcinę i sos miętowy, które zamówiłam. Wiedziałam, że za kilka pensów, które dałyśmy dziewczynce, będzie mogła kupić co najwyżej gorącego ziemniaka lub dwa, o ile właściciel budki będzie w dobrym humorze.

- No więc tak. Postanowiłam wybrać się do Indii.

- Do Indii? Co...

Wyciągnęła rękę.

- Posłuchaj. Już całe wieki temu wyznałam ci, że o tym myślę. - Przez chwilę skubała koronkowy brzeg serwetki. - Moje życie jest puste, Linny. Chyba po prostu jestem... znudzona. Miewam złe nastroje...

Urwała, a jej oczy stały się puste, jakby dostrzegła coś we wnętrzu swojej czaszki.

- Wszyscy miewamy złe nastroje, Faith - zapewniłam ją, ale wyraźnie mnie nie słuchała.

Po chwili przestała błędzić gdzieś myślami, a na jej twarzy pojawił się uśmiech, chociaż tym razem bardziej przypominał grymas.

- Ojciec zgadza się na mój wyjazd, ale pod warunkiem, że będę miała damę do towarzystwa - ciągnęła, nie zdając sobie sprawy, że przez chwilę jej tu nie było. - Oczywiście, na statku będzie sporo przyzwoitych dam, które wracają do mężów po przywiezieniu dzieci do kraju i oddaniu ich do szkół albo po zwykłej wizycie, ale papcio nie chce słyszeć o tym, że bym wybierała się w tak długą podróż bez jakiegoś towarzystwa.

Mówiła bardzo szybko. Kiedy przerwała, by zaczerpnąć powietrza, wtrąciłam:

- Dlaczego tak bardzo interesują cię Indie?

Faith rozejrzała się po coraz gwarniejszym pomieszczeniu, potem przez chwilę milczała, czekając, aż kelner postawi naszą zupę z pora z kluseczkami pietruszkowymi. Gdy się oddalił, ściszyła głos.

- Linny, prawdę mówiąc, w Liverpoolu nie ma interesujących mężczyzn.

- A co z panem Beckiem? Sprawia wrażenie miłego. Wydawało mi się, że...

Machnięciem ręki skwitowała moje słowa.

- Och, właśnie podjął pracę w Londynie. Rozstaliśmy się kilka tygodni temu. Chyba zapomniałam ci o tym powiedzieć. - Odrobina rozpaczy w jej głosie kontrastowała z okazywaną nonszalancją. - Jak powiedziałam, w Liverpoolu jest coraz mniej ciekawych kawalerów.

Przypomniałam sobie wszystkich mężczyzn, których znałam. Prawdopodobnie miała rację, chociaż nasze opinie były oparte na całkiem innych wrażeniach.

- Prawdę mówiąc, to bardzo przykre. Jestem pewna, iż nie masz nic przeciwko temu, że tak otwarcie przyznaję się do swoich... problemów.

Na podstawie pewnych faktów wiedziałam, że Faith ma prawie dwadzieścia jeden lat. Najwyższy czas na zawarcie małżeństwa. Został jej najwyżej rok. Przynaknęłam.

- Oczywiście, ty masz jeszcze sporo czasu, nie sądzę jednak, żebyś miała szansę spotkać zbyt wielu kawalerów. - Zjadła małą łyżeczkę zupy. - Najpierw niańczyłaś ojca, a... teraz mieszkasz z ciotką i kuzynem. To mało ekscytujące, musisz przyznać.

Nie odpowiedziałam, ale Faith nawet tego nie zauważyła.

- Dlatego doszłam do wniosku, że muszę wyjechać do Indii i tam poszukać odpowiedniego mężczyzny. - Usiłowała uśmiechnąć się od ucha do ucha, ale zadrżała jej górna warga. - Jeśli ze mną pojedziesz, Linny, jest szansa, że ty też kogoś spotkasz.

Zamarłam z otwartymi ustami i łyżką w połowie drogi od talerza. Po chwili zamknęłam usta i opuściłam łyżkę.

- Czy dobrze cię zrozumiałam, Faith? Chcesz, żebym pojechała z tobą do Indii?

- Tak. Wyobraź sobie! „Rozkoszna panna Vespy i tajemnicza panna Smallpiece z Liverpoolu pojawiają się w Kalkucie wraz z łagodną bryzą okresu chłodów”. Czyż to nie brzmi jak fragment powieści?

Wyraźnie się podnieciła, podniosła głos. Położyłam palec na ustach, chcąc jej przypomnieć, że inni na nas patrzą.

- Do Indii, Faith? Nie potrafię sobie tego wyobrazić. Muszę się zastanowić...

- Och Linny - przerwała - nad czym się tu zastanawiać? Czyż nie lepsza jest przygoda od siedzenia w bibliotece za parawanem? Jestem niemal pewna, że znajdziesz tam kogoś odpowiedniego.

Uznałam, że najlepsza będzie prawda.

- Chociaż wyprawa do Indii rzeczywiście mogłaby być ekscytującą przygodą, na razie nie myślę o zamążpójściu - powiedziałam.

I nigdy nie będę - dodałam w myślach. Tym razem to Faith otworzyła szeroko usta z zaskoczenia. Zamknęła je głośno.

- O czym ty mówisz? Co innego ma w perspektywie kobieta taka jak my, jeśli nie dobre małżeństwo? - spytała zmieszana.

Nie umiałam jej odpowiedzieć.

- Pomyślałaś o Celinie? Jestem zdziwiona, że nie zaproponowałaś jej tej wyprawy.

- Celina nie jest zainteresowana. Przez chwilę rozmawialiśmy na ten temat, ale oddała już komuś serce, nawet jeśli jej uczucie jest nieodwzajemnione. - Zrobiła okrągłe oczy. - Przecież wiesz, o kim mówię. Celina wciąż ma nadzieję, dlatego nie chce opuszczać Anglii.

Nagle zdałam sobie sprawę, że Faith namawiała już na tę wyprawę wszystkie niezameżne przyjaciółki. Byłam jej ostatnią nadzieją.

- Czy twoja rodzina zgadza się na wyjazd?

- O tak. Przynajmniej ojciec. Mama jest mniej pewna, ale tata uważa, że to dobry pomysł. Kilku jego przyjaciół pracuje w Kompanii Wschodnioindyjskiej, dlatego rozumie te sprawy lepiej niż mama. Prawdę mówiąc, późną jesienią sam też wybiera się do Kalkuty, ale ja nie chcę czekać tak długo. - Po chwili wahania kontynuowała: - Gdybym na niego zaczekała, przybyłabym na miejsce w nieodpowiednim czasie. Najlepszą porą - sezonem spotkań towarzyskich - jest okres chłódów. Gdybym zaczekała na tatę, przyjechałabym pod koniec sezonu, a wtedy niewiele bym skorzystała. Bliscy przyjaciele taty i mamy, państwo Watertonowie, wystosowali już zaproszenie dla mnie i mojej damy do towarzystwa. Możemy zatrzymać się u nich tak długo, jak... będzie to konieczne.

Widząc, jak Faith bawi się grawerowaną rączką noża, uznałam, że jeszcze nie skończyła.

- Sądzę, iż mama wolałaby, żebym nie wychodziła za męża, chociaż, oczywiście, nigdy się do tego nie przyzna. Wiem jednak, jak bardzo na mnie liczy. Nie czuje się najlepiej, a mam tylko dwóch braci.

Wróciłam myślami do spotkań w domu Faith i przypomniałam sobie jej bladą, dziwnie opuchniętą matkę.

- Prawdopodobnie liczy, że będę się nią zajmować tak długo, jak długo będzie mnie potrzebować, czyli do jej ostatniego tchnienia. Wiem, że ma dobre intencje, naprawdę się o nią troszczy i wkładam w to całe serce, nie chcę jednak zostać starą panną i już do końca życia mieszkać w domu rodziców. Chcę mieć własny dom, Linny.

Nastąpiła cisza, a ja niemal usłyszałam niewypowiedziane słowa: „póki nie będzie za późno”.

- W Indiach jest o wiele więcej Anglików niż Angielek - kontynuowała. - Na jedną panią przypada trzech panów, poza tym organizowane są różne imprezy: uroczyste lunche, kolacje, bale i *soirees*. Na pewno uda się na nich kogoś spotkać. Być może Indie nie są najlepszym



miejszem do zamieszkania na stałe, ale w końcu zawsze można wrócić do kraju. Och, powiedz, że się zastanowisz, Linny!

Ujęła moją dłoń i ściszyła głos.

- Nie chcę cię urazić - powiedziała - dlatego proszę, spróbuj dobrze mnie zrozumieć. Doskonale znam twoją sytuację, więc obiecuję ci, że jeśli zgodzisz się ze mną pojechać, ojciec zapłaci za twój bilet, stosowną odzież i wszystko, czego będziesz potrzebować. Oczywiście, wcześniej omówi wszystkie szczegóły z twoim kuzynem, ponieważ to on jest twoim opiekunem i tylko on może wyrazić zgodę. Na miejscu będziemy gośćmi Watertonów, którzy z przyjemnością zajmą się dwiema młodymi kobietami z kraju, choćby tylko dlatego, że przywieziemy mnóstwo najświeższych wieści z Anglii, czego bardzo im brakuje. - Nabrała powietrza w płuca, a potem trajkotała dalej: - Dowiedziałam się już wszystkiego na ten temat. W zależności od pogody podróż zajmie nam cztery, pięć miesięcy. Opłynięcie Afryki to prawdziwa przygoda. A jakie zobaczymy widoki! Czasami statek zarzuca kotwicę w dziwnych miejscach, przeważnie gdy zboczy z kursu. Ostatnim portem przed Kalkutą jest Aden. Wiedziałas, że ludzie, którzy tam mieszkają, mają gęste rude albo żółte czupryny? Znów podniosła głos.

Goście, którzy siedzieli przy innych stolikach, przyglądali się nam ukradkiem. Zauważyłam, że kilka osób zaczęło coś mówić, osłaniając dłonią usta i nie odrywając wzroku od Faith.

- W ciepłych wodach Oceanu Indyjskiego żyją wieloryby i morświny, które skaczą obok statków, jakby urządziły przedstawienia dla pasażerów. Wyobraź sobie, Linny! - W tym momencie zakryła ręką usta. - Tak mi przykro - powiedziała zza dłoni. - Sądząc po twojej minie, uraziłam cię swoją propozycją dotyczącą finansów. Wiem, że jestem zbyt zuchwała. Ojciec twierdzi, że właśnie dlatego nie... - Urwała.

Faith błędnie zinterpretowała moją minę. Nagle po raz pierwszy w życiu zrozumiałam, czym jest pokusa. Jeśli Faith Vespry próbowała mnie na coś skusić, zdecydowanie jej się to udało. Rozbudziła we mnie marzenia, które kilka miesięcy temu starannie pogrzebałam wraz z maleńką Frances. Faith ożywiła je, dlatego drżałam i nie miałam sił się bronić. To,

co Faith dostrzegła na mojej twarzy, wcale nie było urazą, lecz pragnieniem.

Z opuszczeniem Liverpoolu wiązał się pewien przykry obowiązek. Być może była to najtrudniejsza rzecz, jaką musiałam zrobić w swoim dorosłym życiu. Mam na myśli powiedzenie Shakerowi o swoich planach. Kilka dni po ostatecznej rozmowie z Faith w słoneczne niedzielne popołudnie zaprosiłam Shakera na spacer. Poszliśmy razem szeroką, pokrytą grubą warstwą kurzu drogą poza granicami Evertonu. Niedaleko od drogi rósł ogromny, rozłożysty czarny bez. Zatrzymałam się w jego cieniu, po czym powiedziałam Shakerowi o propozycji Faith i o tym, że chcę z nią jechać. Wyjaśniłam, że pan Vespyr załatwi wszystko, co konieczne, żebym mogła wybrać się do Indii z jego córką - oczywiście pod warunkiem, że Shaker zechce udzielić zgody na mój wyjazd i pobyt w odległym kraju.

Shaker był zaskoczony.

- Wyjeżdżasz? - spytał. - Porzucasz Liverpool? Porzucasz Anglię?

Wydawało mi się, że słyszę również pytanie: „Porzucasz mnie?”, chociaż nie powiedział tych słów.

- Tak. Za trzy tygodnie z portu wypływa statek *Margery Ellen*. Opłynie Afrykę i zawiezie nas do Kalkuty.

- Czy wiesz, że taka podróż trwa kilka miesięcy? Poza tym jest niebezpieczna. Indie też są niebezpieczne. Co będziesz robić, gdy już się tam znajdziesz? Kiedy masz zamiar wrócić?

- Nie wiem, co będzie, gdy dotrę na miejsce. Mam tylko świadomość, że za nic w świecie nie mogę przepuścić takiej okazji. Kiedy o tym myślę, odżywa stare uczucie, marzenie o wyjeździe stąd, podróży pod żaglami, coś, o czym ci opowiadałam i co planowałam od pierwszego dnia pracy na ulicy.

Zapadło milczenie. Potem wyraz twarzy Shakera zdecydowanie się zmienił.

- Wyprawa z flotyllą połowową, tak? - spytał, zaciskając szczękę.

- Nie rozumiem.

Trudno mi było na niego patrzeć: na jego twarzy wyraźnie odbijała się każda myśl. Czulałam się tak, jakbym widziała go nagiego.

- Nikt o tym głośno nie mówi, ale wszyscy wiedzą, o co chodzi, Linny. Zrozpaczone kobiety udają się w długą podróż w nadziei, że znajdą kogoś, kto się z nimi ożeni.

- No cóż, w takim właśnie celu wybiera się tam Faith, chociaż niewiele na ten temat mówi. Ja jej tylko towarzyszę.

- Naprawdę, Linny? Nie będziesz się starała jak najlepiej wypaść, prezentując wszystko, czego nauczyłaś się, mieszkając pod moim dachem, żeby znaleźć męża?

W jego głosie słyhać było nieznane mi dotychczas okrucieństwo.

- Naprawdę myślisz, że zrobiłabym coś takiego? Odwrócił się, dlatego widziałam tylko jego profil.

- A co mam myśleć? Źle ci u nas? Potrzebujesz czegoś więcej?

Pomyliłam się. To nie było okrucieństwo, lecz ból.

- Nie. - Zawstydyłam się. - Dałeś mi więcej, niż mogłam liczyć. Dom, pracę, którą lubię, poczucie bezpieczeństwa. W zamian za to nigdy niczego ode mnie nie żądałeś. Mimo to, Shakerze, chcę wyjechać. Przepraszam. Dałeś mi wszystko, ajednak...

- Mogę dać ci więcej, Linny.

Odwrócił się twarzą do mnie i podniósł głos. Serce zamarło mi w piersiach, ponieważ wiedziałam, co za chwilę powie.

- Wyjdź za mnie za mąż - zaproponował. - Proszę. Przy tobie czuję się jak nigdy wcześniej. - Ujął moją dłoń w wilgotne palce. - Kocham cię, Linny. Na pewno o tym wiesz.

Spojrzałam z góry na nasze ręce.

- Nie sądzę, Shakerze, żebyś naprawdę mnie kochał. Myślę, że... może raczej podnieca cię myśl o tym, kim niegdyś byłam, w jakim stanie mnie widziałeś i co o mnie wiesz.

Starannie doбираłam słowa, próbując go przekonać, że gdyby brał mnie za każdym razem, kiedy mnie potrzebował, nie snułby marzeń o miłości. Jak to możliwe, żeby człowiek tak dobry jak on pokochał kogoś zbrukanego, kogoś z moją przeszłością?

- Twoje dawne zajęcie nie ma żadnego wpływu na moje uczucia do ciebie - zaprotestował. - Liczy się tylko, co czuję w twojej obecności. Dzięki tobie w ostatnich dziewięciu miesiącach przestałem nienawidzić siebie samego. Pokazałaś mi, że mogę czuć to, co każdy mężczyzna.

Potem - równie nagle, jak ujął moją dłoń - opuścił ją i cofnął się. Jego twarz była szara jak popiół.

- Nie zastanawiałem się natomiast, co ty możesz czuć do mnie. Teraz widzę: wzbudzam w tobie jedynie współczucie.

- Jak możesz mówić coś takiego? Na początku przez krótki okres prawdopodobnie rzeczywiście ci współczułam, ale to szybko minęło, gdy cię obserwowałam, gdy cię słuchałam... widziałam nie tylko twoją troskę w stosunku do mnie, ale i do twojej matki. Widziałam, jak się odnosisz do swoich przyjaciół, pracowników biblioteki, jak zachowujesz się podczas spotkań towarzyskich, a nawet w sklepie. Jestem pełna podziwu dla mężczyzny, jakim jesteś.

- Jak to możliwe, że w sposobie, w jaki się do mnie uśmiechałaś, w drobnych uprzejmościach, które mi świadczyłaś, nie dostrzegalem, iż czujesz do mnie jedynie wdzięczność połączoną z litością?

Cofnął się.

Nie wiedziałam, co powiedzieć.

- Tak się zatraciłem we własnych odczuciach, w swojej radości, Linny, że ani przez chwilę nie zastanawiałem się nad twoimi wrażeniami. Wybacz.

Odwrócił się i sztywnym krokiem poszedł w stronę gęstego zagajnika w bok od drogi. Patrzyłam na jego wyprostowane plecy.

Wrócił do domu długo po tym, jak ja i pani Smallpiece położyłyśmy się do łóżek. Nie mogłam zasnąć, martwiąc się, że Shaker błąka się gdzieś tam w ciemności, ale w końcu usłyszałam jego kroki na schodach. Szedł powoli i ciężko. Zatrzymał się na podeście. Wstrzymałam oddech, myśląc, że otworzy drzwi, nie wiedząc, co zrobi lub powie, ani jak ja sama zareaguję. Potem jednak usłyszałam, że po cichu wszedł do swojego pokoju. Następnie zapadła cisza

Nazajutrz Shaker nie pojechał ze mną do pracy. Matka zeszła na parter i kazała przekazać panu Ebbingtonowi, że Shaker ma gorączkę.

- Nigdy wcześniej nie opuścił ani jednego dnia pracy. Nigdy - powiedziała.

Dostrzegłam w jej oczach troskę. Wówczas zdałam sobie sprawę, że przez moment patrzyłam na kobietę, którą niegdyś była.

- Mam iść do niego i sprawdzić, czy czegoś nie potrzebuje? - spytałam, wstając od śniadania.

- Nie. Prosił, żeby mu nie przeszkadzać - powiedziała. Usiadłam i odsunęłam od siebie tost, który postawiła przede mną Nan, nie mogąc przekonać ani kęsa.

Przez cały dzień w pracy byłam niespokojna. Gdy po powrocie wysiadłam z omnibusu, Shaker czekał na mnie na ulicy. Na jego widok mocniej zabiło mi serce - z ulgi i niepokoju. Niebo było szare, zasnuwane niskimi chmurami. Wcześniej trochę padało, teraz z okapów sąsiednich budynków spływały ostatnie krople deszczu.

- Lepiej się już czujesz? - spytałam, chociaż dobrze wiedziałam, że jego rzekoma choroba wcale nie była dolegliwością fizyczną.

- Chodź ze mną na spacer - poprosił.

Wziął moją rękę i położył ją na swoim ramieniu ze zdecydowaniem, którego nigdy wcześniej wobec mnie nie okazywał. Twarz miał bladą, ale pewnym krokiem poprowadził mnie do pobliskiego sklepiku z kilkoma stolikami w kącie. Był to czysty lokal, podłoga błyszczała, wypolerowane mosiężne elementy również, ale nie było żadnych klientów. Zamówiliśmy herbatę i po kawałku ciasta z orzechami laskowymi.

- Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny wszystko dokładnie przemyślałem - powiedział, gdy tylko usiedliśmy przy stoliku. - Przepraszam za wczorajsze zachowanie. Wstydę się za siebie.

Musiałam zamknąć oczy, by nabrać pewności, że głos mi się nie załamie.

- Proszę, Shakerze, to nie ty powinieneś się wstydzić, lecz ja. Przepraszam. Po prostu... nic do ciebie nie czuję i chyba nigdy nie poczuję. Nie poczuję nic do żadnego mężczyzny.

Nie wiedziałam, jak opisać mu to, co działo się w moim wnętrzu, nie umiałam znaleźć odpowiednich słów.

- Ludzie rzadko żenią się z miłości, Linny. Żenią się dla towarzystwa, a także by zapewnić sobie stabilizację finansową i poczucie bezpieczeństwa. Z rozsądku. W małżeństwie miłość rzadko odgrywa poważną rolę.

Czekałam, na wypadek, gdyby miał mi coś więcej do powiedzenia, ale mocno zacisnął usta. Jedynym odgłosem w sklepie było stukanie drewnianej łyżki o miskę za zasłoniętymi drzwiami.

- Jadę do Indii, Shakerze - szepnęłam. - Prawdę mówiąc, darzę cię ogromnym uczuciem, ale nie takim, jakim żona darzy męża. Gdybym potrafiła kochać w normalny sposób jakiegokolwiek mężczyznę, z pewnością byłbyś to ty.

Jabłko Adama poruszyło się niespokojnie na jego szyi.

- W takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak wyrazić zgodę, prawda?

Siedzieliśmy bez słowa nad stygnącą herbatą.

- Chcę, żebyś mi coś obiecała. Jeśli sprawy w Indiach nie pójdą tak, jak byś chciała, i będziesz musiała wrócić do Anglii, wrócisz do mnie?

- Mówiłam ci już, Shakerze, że nie potrafię... Shaker nie pozwolił mi dokończyć.

- Nie żeby wyjść za mnie za mąż. Rozumiem cię, Linny. Jasno określiłaś, co czujesz, a ja nie ponowię już swojej propozycji. Gdybyś jednak kiedykolwiek potrzebowała domu albo przyjaciela, pomogę ci w każdy możliwy sposób.

Położyłam dłoń na jego policzku.

- Pewnego dnia znajdziesz kogoś o wiele lepszego ode mnie, kogoś, kto pokocha cię tak, jak ja nie umiem. Wtedy o mnie zapomnisz - zapewniłam go.

Między nami leżało nietknięte ciasto. Sączyliśmy herbatę, ale nie dokończyliśmy jej, tylko wstaliśmy i wyszliśmy na ulicę. Niebo przejaśniało, chmury się uniosły, a letnie powietrze było parne i pełne zapachów. W oddali bawiły się dzieci. Wsparłam się na ramieniu Shakera, a on położył



palce na mojej dłoni i ruszyliśmy powoli bez słowa w stronę domu przy Whitefield Lane.

W nocy poszłam do jego pokoju. Leżał z otwartymi oczami i twarzą zwróconą w stronę drzwi, jakby na mnie czekał. Przyszło mi na myśl, że może od dawna na mnie czekał, chociaż gdy za pierwszym razem ofiarowałam swoje ciało, pragnąc mu podziękować w jedyny sposób, jaki znałam, zachowywał się tak, jakby nie był w stanie się do tego zniżyć.

Przyklękłam obok jego łóżka i pogładziłam go po czole. Miałam na sobie tylko cienką koszulę. Tym razem się nie odwrócił. Zamiast tego usiadł i odciągnął kołdrę. Dotychczas myślałam, że już zawsze będę zachowywać się jak prostytutka i dawanie swojego ciała nie będzie stanowić dla mnie żadnego problemu. Ku własnemu zaskoczeniu poczułam zażenowanie: nagle zdałam sobie sprawę, że nie tylko ja z wdzięczności ofiarowuję mu siebie, lecz wręcz przeciwnie.

Zdjęłam koszulę przez głowę, pozwalając, by zobaczył mnie w blasku księżycy. Wziął głęboki wdech i zatrzymał powietrze w płucach. Kiedy położyłam się obok niego, wypuścił powietrze. Leżeliśmy twarzą do siebie, aż zaczęliśmy oddychać w tym samym rytmie. Jego koszula nocna pachniała mydłem karbolowym. Kiedy pocałowałam go w usta, poczułam delikatną woń pietruszki i czysty, świeży zapach. Wcześniej na wiele różnych sposobów klienci bezczęścili moje usta, ale nigdy dotąd nikogo nie całowałam. Miło było czuć jego wargi.

Powoli, delikatnie, mocno się trzęsąc, Shaker przytulił mnie do siebie, jego wargi odpowiedziały na mój pocałunek, a ja poczułam, że po jednym, krótkim dotyku jest wystarczająco podniecony.

Odwróciłam się na plecy, wciągnęłam go na siebie i swoją ręką - ponieważ jego zbyt mocno się trzęsła - wprowadziłam go w głąb siebie. Po tem leżałam spokojnie, obejmując nogami jego biodra. Po jakimś czasie jego ciało przestało się trząść w niekontrolowany sposób, a wtedy zaczęliśmy się razem poruszać, jakbyśmy się znali od wieków. Gdy dotknął policzkiem mojej twarzy, zorientowałam się, że płacze.

Potem leżał całkiem nieruchomo, zupełnie jakby wraz z fizyczną ulgą ustało jego drżenie. Z zaciśniętym, obolałym gardłem patrzyłam, jak śpi na mojej poranionej piersi, przyglądałam się jego wilgotnym rzęsom. Wiedziałam, że jest człowiekiem honoru, że można mu zaufać. Na pewno czułabym się przy nim bezpiecznie.

Zdawałam sobie jednak sprawę, że bezpieczeństwo wcale nie jest dla mnie najważniejszą rzeczą pod słońcem.

## Rozdział 16

Gdy wypływałyśmy z Liverpoolu, widziałam szary dym nad kominami fabryk i czułam pod stopami kołyszący się pokład. Dobiegały do mnie zapachy stali kotwic, łańcuchów, klamer i haków. Woń smoły przypominała mi Rama Munta i jego ręce.

Zacisnęłam palce na poręczy wilgotnej od mgły. Serce waliło mi w piersiach. Odpływałam, odpływałam jak w swoich marzeniach, opuszczałam miasto, w którym zaznałam tyle nieszczęść. W głowie dźwięczały mi słowa Chinese Sally: „w prawdziwym życiu”. Płynełam gdzieś, gdzie miało się zacząć moje prawdziwe życie.

Patrzyłam, jak maleją kominy Liverpoolu. Pomyślałam o Shakerze, przypomniałam sobie jego skapaną w świede sylwetkę, gdy stał na brzegu z ręką uniesioną w geście pożegnania.

Sierpień 1830

Najdroższy Shakerze!

Minął ponad miesiąc od chwili, kiedy wypłynęłyśmy z Liverpoolu żaglowcem o wysokich masztach. Dzisiaj są moje urodziny. Kończę osiemnaście lat, a chcąc jakoś uczcić tę okazję, postanowiłam do Ciebie napi-

sać. Wiem, że mój list zostanie nadany dopiero za kilka miesięcy, ale dzisiejszego wieczoru czuję się dziwnie samotna, a pisanie zawsze dodawało mi otuchy. Codziennie zapisuję wszystko na temat życia na statku w pamiętniku, który ofiarowałaś mi na pożegnanie, ale dziś pragnę skierować swoje słowa bezpośrednio do Ciebie. Jest to mój pierwszy w życiu list.

Czuję się na morzu tak, jakbym się na nim urodziła. Gdy napisałam te słowa, przypomniał mi się mój ojczym: często mówił, że jestem córką marynarza, ponieważ mam na ręce znamię w kształcie ryby. Oczywiście, nigdy mu nie wierzyłam; opowieść matki o moim szlachetnym ojcu jest o wiele bardziej pociągająca i zawsze będę w nią wierzyć. Jednak na pokładzie statku czuję się tak, jakby morze -z całą swoją potęgą i tajemniczością - przemawiało do mnie w języku, który doskonale rozumiem.

Na statku jest doczno i niezbyt czysto; zajmujemy maleńką kajutę, którą od reszty kobiet oddziela jedynie kawałek płótna. Brakuje tu światła i powietrza; drzwi wychodzą na zbiorowe pomieszczenie trzeciej klasy, czyli dla ubogich imigrantów. Faith i ja dzielimy naszą maleńką kłitkę z potężnie zbudowaną kobietą o szarej twarzy i w bliżej nieokreślonym wieku - panią Cavendish. Mieszka w Delhi od czternastu lat i już wielokrotnie pokonywała trasę między Anglią a Kalkutą. Ostatnio odwiedziła ojczyznę i teraz wraca do męża, generała armii indyjskiej. Z racji starszeństwa pani Cavendish zajmuje łóżko w pobliżu drzwi. Faith i ja zostaliśmy skazane na hamaki. Faith nie ucieszyła się zbytnio, że przez kilka miesięcy podczas snu będzie nią bujało, ale ja uwielbiam, gdy mój hamak kołysze się wraz z falami, a dzięki temu co wieczór, zapadając w sen, czuję, że rozluźniają się więzy, które łączą mnie z poprzednim życiem.

Uczę się grać w karty: w wista, pikietę i ekarta. Na razie nie przyłączam się do grających, jedynie ich obserwuję i staram się poznać wszystkie zasady. Od czasu do czasu organizowane są zabawy taneczne. Korzystam z tych okazji, dzięki czemu powoli nabieram pewności, że będę w stanie bez zażenowania pokazać się w towarzystwie. Czy kiedykolwiek tańczyłaś, Shakerze? Nie przypominam sobie, żebyś coś o tym wspominał. Na razie opanowałam do perfekcji menueta i kadryla, znam kroki kilku tańców ludowych i sposób, w jaki rozpoczyna się każdy oficjalny

bal. Wiem, jak płynąć od partnera do partnera - chociaż większość nas to kobiety! - a wszystkiego uczyć się wieczorami, kiedy morze jest spokojne i uda się namówić paru pasażerów, żeby przynieśli skrzypce, klarnety, altówki i zagraли.

Nie wiem, czy mi uwierzysz, Shakerze, ale większości kobiet wyjątkowo dużo czasu zajmuje strojenie się, pozowanie i krytykowanie innych. To działa na moją korzyść, bo dzięki temu szlifuję swoje umiejętności. Faith bez przerwy opowiada o czekającym nas wspaniałym życiu: wieczorkach tanecznych, spotkaniach i przyjęciach, w których będziemy brały udział. Chyba nawet ona nie zdaje sobie sprawy, że to wszystko stanowi dla mnie całkowitą nowość, chociaż już teraz widzę, że zarówno Faith, jak wiele innych pań lubi, gdy się na nie patrzy, i nie zawsze wyrażają się one życzliwie na temat otaczających je osób.

Posiłki jadamy w naszej kajucie albo mesie. Bardzo smakuje nam świeże mięso z krów i owiec zabranych na pokład, a także warzywa korzeniowe, które wciąż są twarde i smaczne, chociaż nie wiem, jak długo mogą przetrwać w takim stanie.

W pierwszych tygodniach przeprawy przez szare wody Atlantyku otulałam się czymś ciepłym i całymi godzinami przesiadywałam na ławce na pokładzie, czytając książki, które zabrałyśmy obie z Faith - głównie na temat obyczajów i klimatu Indii - albo starając się jak najlepiej poznać hindi. Kiedy indziej spacerowałam, omijając zwoje lin i stosy łańcuchów, wdychałam rześkie, słone powietrze i podziwiałam ciągnące się bez końca grzbiety stalowosinych fal.

Z przykrością donoszę, że Faith zmizerniała. Wciąż wzdycha i powtarza, że mam zbyt ogorzałą od wiatru twarz, że powinnam więcej czasu spędzać pod pokładem i odpoczywać tak jak ona. Problem w tym, że wystarczająco dużą część życia spędziłam w małych, śmierdzących pomieszczeniach.

Jestem pełna optymizmu, Shakerze. Mam nadzieję, że dobrze się czujesz, odwiedzasz przyjaciół i przyjmujesz zaproszenia. Powinieneś więcej czasu spędzać wśród ludzi.

Twoja

Wrzesień 1830

Drogi Shakerze!

Mam nadzieję, że przeczytasz te listy po kolei, bo ten piszę trzy tygodnie po pierwszym i spróbuję ukazać w nim nieco inny aspekt życia na pokładzie żaglowca. Chociaż morze nadal jest moim przyjacielem, zdążyło już ukazać inną twarz.

Sądząc po spokojnych falach i równomiernym wietrze, dzięki któremu przez pierwszy miesiąc ze sporą prędkością posuwaliśmy się do przodu, nabrałam przekonania, że reszta podróży będzie łatwa i spokojna. Tymczasem w szóstym tygodniu wyprawy zaczął się sztorm. Niebo pociemniało, wczesnym popołudniem zaczął wiać silny wiatr, zrobiło się bardzo zimno, a po południu fale bardziej przypominały już ogromne, postrzępione granie. Siedziałyśmy we wspólnym pomieszczeniu dla wszystkich pasażerów, kiedy kapitan poinstruował nas szorstko, żebyśmy się położyły i poprzywiązywały do łóżek, póki wiatr nie ucichnie. Przerazona Faith spojrzała na panią Cavendish, która próbowała ją pocieszyć. „Widziałam wiele sztormów, moja droga - zapewniła ją nasza opiekunka. - Gdy opłyniemy Przylądek Dobrej Nadziei, będą jeszcze gorsze. Zazwyczaj udaje się je jakoś przetrwać”.

„Zazwyczaj?” - powtórzyła Faith, a wokół jej oczu i ust pojawiły się delikatne żółtozielonkawe plamy. - To znaczy...? Czy statek zawsze...?” Nie była w stanie dokończyć. Patrzyłam na nią. Czyżby przed wypłynięciem w ogóle nie wzięła pod uwagę, że w drodze do Indii może umrzeć, Shakerze? Ze podczas silnego sztormu żaglowiec może się przewrócić? Nie słyszała o piratach, którzy na ciepłych wodach Oceanu Indyjskiego plądrują statki, odbierają pasażerom ich dobra, a czasami nawet zabijają ludzi, którzy wejdą im w drogę? Ja wzięłam pod uwagę wszystkie możliwości - nie tylko te - i nie bardzo się nimi przejęłam. Jak się okazuje, Faith... w pewnych sprawach jest bardzo mądra, w innych żałośnie naiwna.

Pani Cavendish mruczała jej coś do ucha i poklepywała ją po ramieniu. „Dam ci trochę imbiru. Dzięki temu przynajmniej na chwilę powi-

nien ci się uspokoić żołądek" -powiedziała, po czym obie ruszyły chwiejnym krokiem, wspierając się o siebie, żeby nie upaść na śliskiej podłodze. Zostałam jeszcze na chwilę, żeby spojrzeć przez okienko w kajucie, co się dzieje z oceanem.

Był to widok rodem z koszmarnego snu. Fale zamieniły się w strome urwiska. Wznosiły się przed nami z potwornym rykiem, a my wspinaliśmy się na szczyt, by potem opaść na dno po drugiej stronie grzbietu i już po chwili ujrzeć przed sobą następną i następną, i następną ścianę wody. Jakiś marynarz pokładowy krzyknął na mnie, widząc, że miotam się z boku na bok, usiłując trzymać się kurczowo mosiężnej poręczy, która biegła wokół ścian. W końcu jakoś udało mi się zejść po trapie i dotrzeć do naszej kajuty. Byłam przemoczona do suchej nitki.

Sztorm był naprawdę okropny, ale skoro o nim piszę, to znaczy, że jakoś go przeżyłam! I, jak widzisz, z prawdziwą przyjemnością opisuję Ci cały dramat. Nigdy nie przypuszczałam, że mam skłonności do dramatyzmu. Może wolność, jaką odczuwam, wyzwoliła we mnie cechy, o których nawet nie wiedziałam.

Pani Cavendish zagania mnie do łóżka, więc muszę posłusznie kończyć.

Twoja  
Linny

Nie chciałam zbyt szczegółowo opisywać Shakerowi, co się naprawdę działo podczas pierwszego sztormu. Było to raczej dość przykre przeżycie, poza tym uznałam, że nie jest to temat, który młoda dama powinna przelewać na papier.

Gdy chwiejnym krokiem dotarłam na dół, Faith leżała w hamaku, przewiązana w pasie sporą liczbą szarf i szali, które następnie zostały przymocowane do lin. Bez przerwy jęczała - był to niski, ale donośny skowyt. Kiedy opadłam na swój hamak, przechyliła głowę na bok i zwymiotowała. Z bijącym sercem przywiązałam się do hamaka, a potem słyszałam już tylko dochodzące ze wszystkich stron słabe, przytiumione



szlochy i pojękiwania. Moje początkowe podniecenie z powodu dzikości sztormu najpierw zastąpiła obawa, a potem panika.

Przez kilka następnych godzin żałowałam, że opuściłam Liverpool i zrezygnowałam z bezpiecznego i spokojnego życia u boku Shakera. Wdychałam smród smoły, wymiocin i innych ludzkich wydzielin, słuchałam huku fal i wycia wiatru, aż w końcu straciłam rachubę czasu. Nie wiedziałam, czy to noc, czy dzień. Miotano mną w ciemności, a przy każdym jęku drewna wyobrażałam sobie, że lodowata woda wdiera się do wnętrza statku, wypełnia mi nos i usta, zatapia mnie, gdy tymczasem leżę przywiązana do hamaka. Przez kilka dni, tak mi się przynajmniej wydawało, żyłam w swoim koszmarze sennym, w którym topiłam się w Mersey. Kiedy nie śniłam, dla odmiany z trudem łapałam oddech w dusznej kajucie albo trzęsłam się, czując, że moje ubranie jest mokre od potu. Mój żołądek i jelita wyrzucały swoją zawartość tam, gdzie leżałam -tak długo wymiotowałam, aż poczułam w ustach smak krwi.

Tęskniłam za Whitefield Lane, za Jack Street, nawet za Back Phoebe Anne Street. Z mocno zaciśniętymi powiekami czekałam już tylko na śmierć; prawdę mówiąc, chwilami wręcz się o nią modliłam. Tylko raz w życiu zdarzyło mi się, że byłam tak bliska rozstania się z tym światem.

W końcu zdałam sobie sprawę, że śpię i że podczas snu delikatnie się kołyszę. Otworzywszy oczy, zobaczyłam, że drzwi są otwarte i przyczepione haczykiem do ściany. Do ciemnego wnętrza kajuty wpadało nagle światło. Usłyszałam piskliwy głos Faith; wtedy zdałam sobie sprawę, że to on mnie obudził.

- Linny? Odpowiedz, Linny!

Odwróciłam się, by spojrzeć na jej hamak. Zobaczyłam, że łóżko pani Cavendish jest puste, nie ma na nim koców ani prześcieradła.

- Gdzie pani Cavendish?

Mój głos przypominał skrzek, gardło bolało mnie od wymiotowania.

- Wyszła na pokład wyprać swoją pościel. Nie mogę się ruszyć.

Z ogromnym trudem rozwiązałam szarfy i szale, którymi byłam przywiązana, potem usiadłam i skrzywiłam się. Po pokonaniu ostatnich węż-

złów wstałam, chociaż wcale nie było to takie proste. Czułam się tak, jakbym miała posiniaczony brzuch i żebra od skurczów pustego żołądka. Pomogłam Faith się rozwiązać i niepewnie się do niej uśmiechnęłam.

- Ale pięknie obie wyglądamy! Ktoś powinien wylać na nas kubek słonej wody.

- Nie żartuj, Linny, jestem za słaba nawet na to, żeby płakać. Chyba już nigdy nie wrócę do zdrowia.

- Wrócisz, wrócisz - zapewniłam ją.

- Widzę, dziewczęta, że już nie śpicie. - Od strony drzwi dobiegł do nas grzmiący głos pani Cavendish. - Przebierzcie się, a potem wynieście swoją pościel na pokład. Raz-dwa tu posprzątamy. Prawdę mówiąc, ten sztorm wcale nie był taki straszny. Widywałam gorsze. Pewnego razu statek uderzył o coś rufą, a woda wlała się pod pokład, prosto do mojej kajuty. Zmieniłam się w prawdziwą syrenę.

Roześmiała się serdecznie.

- Na pewno ten sztorm nie był ostatni podczas naszej podróży.

Faith wybuchnęła płaczem. Dopiero po dziesięciu minutach udało nam się ją uspokoić i skłonić do wstania.

W pobliżu zachodniego wybrzeża Afryki zaatakował nas następny sztorm, który znacznie zmienił kurs żaglowca. Pchnął nas daleko w stronę Brazylii, dlatego potem potrzebowaliśmy aż sześciu tygodni, żeby wrócić na szlak. Przez cały czas uczyłam się hindi, pisałam pamiętnik i następne, wciąż niewy-syłane listy do Shakera. Byłyśmy na morzu od trzech miesięcy. Jedzenie przestało nam już sprawiać przyjemność; jedynym mięsem, jakie jeszcze zostało, była twarda, żylasta i słona konserwowana wieprzowina. W mesie panował chaos; jedzenie bezceremonialnie rzucono na stoliki i każdy, kto był w stanie tego dnia coś zjeść, porywał, co się dało. Woda do picia nabrała koloru mocnej herbaty, a jej smak był tak samo wstrętny jak zapach i wygląd. Robiło się coraz goręcej, więc zamieniłyśmy wełniane suknie na cienki muślin, przynajmniej do czasu, póki nie zbliżyliśmy się do Przylądka Dobrej Nadziei, gdzie znów zrobiło się zimno. Kiedy dopływaliśmy do umownej granicy między Adantykiem

a Oceanem Indyjskim, w którymś momencie groziło nam, że mocne fale wyrzucą nas na brzeg.

Na krótko zatrzymaliśmy się na Przylądku dla uzupełnienia zapasów, a potem wypłynęliśmy na cieplejsze wody. Wkrótce jednak natknęliśmy się na częsty o tej porze roku huragan. Statek kołysał się i podskakiwał, meble wyrывało z podłóg. Po cichutku modliłam się, żebyśmy przetrzymali nawałnicę. Tym razem moje ciało mnie nie zdradziło. Gdy niemal po dobie naszych zmagania z żywiołami wstałam z łóżka, miałam suche oczy i byłam dziwnie spokojna, ale Faith nawet się nie uśmiechnęła.

Potem przez dwa tygodnie staliśmy unieruchomieni w palących promieniach słońca, żagle luźno zwisały na masztach, a z powodu upału jakakolwiek myśl o tańcach wydawała się czymś niedorzecznym. Słysząc tylko cichutkie pluskanie zmarszczek wody o boki statku i odpowiadające im skrzypienie drewna. Morze wyglądało jak srebrny talerz - twarde i nieruchome. Załoga stała się opryskliwa, mruzczała coś pod nosem, reperując płótna i postrzępione liny. Marynarze często rzucali poirytowane spojrzenia w stronę pasażerów, którzy przechodzili obok, bez końca krążąc po pokładzie w nadziei na choćby najlżejszy podmuch chłodniejszego wiatru.

W końcu pewnego ranka po przebudzeniu poczułam dziwny ruch, a gdy wyszłam na pokład, żagle zaczynały łapać wiatr. Morze było gładkie i uległe, gdy dziób statku pruł fale. Wtedy poczułam taki przyływ energii, że uśmiechnęłam się nawet do najbardziej małomównego z marynarzy pokładowych. Miał potężne ramiona i tatuaże, które przesuwają się przy każdym ruchu mięśni - jeszcze poprzedniego dnia bardzo przypominał mi Rama Munta, ale teraz ledwo to dostrzegałam.

Panował nieznośny upał, więc powynosiłyśmy pościel na pokład. Pannie spały z jednej jego strony, panowie z drugiej; dla przyzwoitości oddzielał nas żagiel. Podczas pierwszej nocy na pokładzie nie mogłam zasnąć. Wstałam, po czym prze-stępując Faith i inne kobiety, podeszłam do poręczy. Stojąc w ciemności, patrzyłam na morze i księżyc, który odbijał się na powierzchni wody i tworzył długą, wijącą się srebrną drogę. W

pewnym momencie woda zaczęła się mienić jasnym światłem, jakby tuż pod powierzchnią zapłonęły miliardy maleńkich świec. Zamarłam w bezruchu i obserwowałam dziwne zjawisko, aż zaczęły mnie boleć oczy. Czy to jakieś podwodne żyjątko? A może znak, że podążam niewłaściwą ścieżką?

W ciągu dnia Ocean Indyjski tętnił życiem: obok nas prze-fruwały latające ryby, które przypominały wąskie srebrne monety. Zgodnie z przewidywaniami Faith po obu burtach statku dokazywały wieloryby i morswiny. Słońce pieściło moją skórę, wnikało w głąb mojego ciała. Wydawało mi się, że rozgrzewało je aż do szpiku kości, dlatego zastanawiałam się, czy kiedykolwiek wcześniej naprawdę było mi ciepło. Pewnego dnia, stojąc na pokładzie z zamkniętymi oczami i twarzą zwróconą ku niebu, nagle zdałam sobie sprawę, że od wielu dni -może nawet tygodni - nie nawiedził mnie mój koszmarne sen. Zupełnie jakby słońce, zdecydowanie silniej tu operujące niż w Anglii, wypaliło z mojego mózgu przerażenie, zniszczyło je w taki sam sposób, w jaki szczury biegające pod pokładem wygryzały dziury w naszych ubraniach.

Nagle ponad poręcz wzbiła się fontanna ciepłego pyłu wodnego. Zwilżyła moją twarz i liznęła wargi, przynosząc stary jak świat dziki smak morza. Gdy go poczułam, odwróciłam się do młodej pary, która stała niedaleko mnie. Wzięli ślub tuż przed wypłynięciem naszego żaglowca z Liverpoolu i wybierali się najpierw do Kalkuty, a potem dalej, drogą lądową do Bombaju, gdzie mężczyzna miał pracować w służbach cywilnych Kompanii Wschodnioindyjskiej. Wielokrotnie wymienialiśmy uprzejme pozdrowienia; wydawało mi się więc, że w tym momencie wszyscy troje powinniśmy się uśmiechnąć, szczęśliwi z powodu niespodziewanego prysznic. Gdy jednak spojrzałam w ich stronę, zauważyłam, że są całkiem zajęci sobą i nawet nie zdają sobie sprawy z mojej obecności. Młody człowiek pochylił głowę i zlizywał słone kropelki z niewielkiego zagłębienia u podstawy szyi świeżo poślubionej żony, która odchyliła głowę do tyłu. Jej szyja wygięła się w piękny łuk. W tym momencie przeżyłam szok; było to głębokie, silne uczucie. Delikatny ruch dziewczyny i wyraz jej twarzy kazały mi całkowicie zapomnieć o odczuwanej

jeszcze przed chwilą radości. Łagodna, uległa mina mogła świadczyć tylko o jednym: o pożądaniu. Nigdy nie znałam ani nie czułam czegoś takiego, dlatego przepełnił mnie smutek i żal. Nagle morze w ogóle przestało mnie interesować. Wydawało się jedynie nużącą, ciągnącą się bez końca pomarszczoną powierzchnią.

Nadszedł listopad; byliśmy na morzu od prawie czterech miesięcy. Jaskółki, które zataczały kółka w pobliżu poręczy, były zwiastunem bliskości lądu. Pani Cavendish porównała pracowite, świergotliwe ptaszki do gołębia z gałązką oliwną. Miała rację, ponieważ następnego dnia ujrzaliśmy wioski rozrzucone wzdłuż wybrzeża. Na wodzie pojawiło się sporo maleńkich, rozkołysanych łódeczek Hindusów. Pani Cavendish mówiła, że to zaopatrzeniowcy. Musiała krzyżeć, żeby ich zagłuszyć, gdy zachwalali swój towar, mając nadzieję, iż uda im się sprzedać orzechy kokosowe, banany albo tamaryndy. Zawisłam na poręczy, obserwując, jak tubylcy rzucają przez burtę naszego statku liny z koszami. Ktoś z załogi zawołał do nich w języku, którego nie znałam, i powkładał monety do koszyków, które opuszczono, by chwilę później wciągnąć je z wszystkim, co zamówili marynarze. Bardzo chciałam skosztować owoców, ale pani Cavendish pokręciła odmownie głową, twierdząc, że nie powinniśmy zniżać się do kupowania czegokolwiek w taki sposób.

W miarę jak dopływaliliśmy do miejsca przeznaczenia, byłam coraz bardziej podekscytowana. Początkowo przypisywałam to pięknu wody i słońca, potem zdałam sobie sprawę, że chodzi o coś innego. Wyczułam zmianę w atmosferze, chociaż nie umiałam powiedzieć, czy było to coś w samym powietrzu, czy w temperaturze. Może zapachy przynoszone przez wiatr powodowały u mnie trudny do wyjaśnienia brak tchu. Moje nozdrza wypełniała obca woń innych ludzi i nieznannej roślinności. Miałam takie same zawroty głowy jak wtedy, gdy wirowałam w pierwszym kadrylu.

Zatrzymaliśmy się w pobliżu Sandheads, u ujścia Hugli, by poczekać na przyływ, który miał nam pomóc popłynąć w górę rzeki. Pani Cavendish ostrzegła, że ostatni etap naszej podróży jest niebezpieczny. Pokona-



nie pod prąd prawie stu-kilometrowego odcinka groźnych, kipiących brązowych wód Hugli, która przecina zielone tereny Bengalu, było katastrofale dla wielu żaglowców z powodu niebezpiecznych, piaszczystych brzegów i ruchomych ławic.

- Na piaszczystych brzegach i zdradzieckich lotnych piaskach straciły życie setki ludzi - ciągnęła, nie zwracając uwagi na wyraz twarzy Faith.

Faith nie zniosła zbyt dobrze podróży. Jak wszyscy pasażerowie straciła na wadze. Miała zapadnięte oczy, a zmarszczki wokół ust znacznie się pogłębiły. Próbowałam dotrzymać jej towarzystwa i podnosić ją na duchu, ale Faith zrobiła się ponura i niekomunikatywna. Mogło się wydawać, że osłabła, podczas gdy ja stałam się mocniejsza i łatwiej sobie ze wszystkim radziłam. Czułam się tak, jakbym jeszcze bardziej urosła, chociaż wiedziałam, że to niemożliwe.

- Spójrz, Faith, palmy i bananowce, takie jak w twojej książce - powiedziałam, próbując rozweselić ją wizją szmaragdowej gęstwiny zaledwie kilka godzin od Kalkuty.

Były tam falujące pola ryżowe. Wszystko miało żywe, jaskrawe kolory. W porównaniu w tym błędy angielskie akwarele. Spojrzałam obojętnie na psa na brzegu rzeki. Sterczały mu żebra, sierść pokrywały strupy. Rozrywał coś spowitego w kawałki przegniłego, błękitnego materiału. W tym samym momencie co Faith zdałam sobie sprawę, że jego łupem padła ludzka noga lub stopa. Faith wydała zduszony krzyk i zbiegła pod pokład. Gdy chciałam za nią pójść, pani Cavendish położyła mi rękę na ramieniu.

- Zostaw ją - poradziła. - Niektórzy nigdy nie przystosują się ani nie przywykną do indyjskiej rzeczywistości. Inni - dmuchnęła na swoje piersi niczym nadęty gołąb - radzą sobie najlepiej, jak mogą, i jakoś to wszystko znoszą. Czternaście lat i tylko spójrz. Przetrwałam wszystko: gorączki, upały, monsuny, porody - dwoje dzieci pochowałam w Indiach, troje żyje w Anglii - pogańskie obyczaje, ukąszenie węża. A ile widziałam! Nożowników na bazarze, egzekucje indyjskich złodziei, palenie wdów na stosie wraz ze zwłokami męża. Na szczęście w ubiegłym roku prawnie



zakazano *sati*. - Bacznie mi się przyjrzała. - Jak sądzisz, jesteś na to wszystko przygotowana?

Przytaknęłam.

- Lepiej od razu rozpocznij naukę, Linny. Od dzisiejszego ranka nie opuszczaj parasola: jesteś nieładnie opalona przez słońce i wiatr.

Statek zatrzymał się po południu tuż przed odpływem na płytkich wodach portu Chandpal Chat. Tego dnia na ostatniej stronie pamiętnika podróży zapisałam datę 18 listopada 1830 roku. Gdy spojrzałam w stronę doków, widziałam jedynie tłum ludzi. Na wodzie doczyły się wszelkiego rodzaju łódki: kutry rybackie, tratwy, arabskie statki jednomasztowe z trójkątnym żaglem, promy i *lorchi*. Było ich tak dużo, że ocierały się o siebie nawzajem. Pomyślałam o przybrzeżnych brygach, kutrach i szkunerach, które pływały w gęstej mgłę w porcie w Liverpoolu, i porównywałam je z łódeczkami, sterowanymi przez niemal nagich mężczyzn o brązowej skórze.

Zaskoczyły mnie przedmieścia Kalkuty. Opodal rzeki stały białe, eleganckie, klasycystyczne wille. Pani Cavendish wyjaśniła mi, że ich właścicielami są brytyjscy kupcy, którzy wzbogacili się na handlu za pośrednictwem Kompanii Wschodnio-indyjskiej.

Przyprowadziłam Faith z kajuty, gdzie siedziała żałośnie samotna w swoim hamaku, rozłożyłam parasol i obie zeszyłyśmy po drabince linowej do *masooli* - jednej z małych, kołyszących się łódek, które przewoziły pasażerów na brzeg. Nasza również kołysała się i przechylała na boki, a my kurczowo trzymałyśmy się burty. Brudna woda wlewała się nam do butów i moczyła dolne brzegi sukni.

Faith wiedziała, że wyjedzie po nas przyjaciel jej ojca, pan Waterton, który zgodził się być naszym gospodarzem tak długo, jak długo zostaniemy w Kalkucie. Siedząc między Faith i panią Cavendish, cieszyłam się ze swojego jasnoniebieskiego parasola z frędzelkami. Gdy pokonywałyśmy niewielką odległość, która dzieliła statek od brzegu, obserwowałam dum na nabrzeżu. Słysząc było śpiewy, krzyki i płacze.

- Czy widzi pani swojego męża, pani Cavendish?! - krzyknęłam naszej opiekunce do ucha.

Było to głupie pytanie. Jak można odróżnić kogoś w takim tłumie? Wszędzie poruszały się kolorowe plamy; musiałam na chwilę zamknąć oczy, żeby zrozumieć, na co patrzę. Miałam przed oczami kobiece sari w ostrych różowych, pomarańczowych i czerwonych kolorach; wozy wypełnione nieznanymi mi owocami i warzywami; ciemne twarze pod białymi turbanami. Gdy podpłynęłyśmy bliżej do nabrzeża, zaczęłam wdychać zapachy, których nie umiałam rozpoznać, chociaż z pewnością były wśród nich te, o których czytałam: jaśminu, drewna sandałowego, goździków i imbiru. Wyczułam jeszcze coś. Mdły odór moczu, brudu i zgnilizny, mocny zapach, który znałam z wilgotnych suterren najędzniejszych domów Liverpoolu.

Zostałyśmy wyniesione na brzeg, a żywe barwy, które widziałam z *masooli*, teraz nabrały realnych kształtów. Niestety, szczegóły wcale nie były tak piękne, jak mogło się wydawać z daleka. Stałyśmy w kurzu i upale wśród kodującego się dumu, miałyśmy przemoczone buty i próbowałyśmy żegnać się z pasażerami, których tak dobrze poznałyśmy podczas długiej podróży. Żeby to zrobić, musiałyśmy przekrzykiwać niewielki zespół, który grał na powitanie statku.

Po tylu miesiącach na rozkołysanym morzu trudno mi było zachować równowagę na stałym lądzie. Miałam wrażenie, że kolana wciąż się przede mną uginają, a głowa przechyla się to w jedną, to w drugą stronę. Nagle poczułam ucisk na kostce i spojrzałam w dół, myśląc, że to moje ciało mnie oszukuje, dostosowując się do lądu pod stopami. Jak się okazało, była to młoda kobieta, a właściwie prawie dziecko. Klęczała u moich stóp, trzymając na jednym ręku wychudzone niemowlę, a drugą ręką wyciągając wyszczerbioną miseczkę. Jej usta się poruszały, ale w panującym zgiełku nie mogłam zrozumieć, czy coś mówi, czy płacze, czy się modli. Nie miałam jeszcze rupii, żeby móc jej coś dać, więc uśmiechnęłam się niepewnie, pokazałam torebkę i pokręciłam głową. Wyraźnie nie rozumiała. W tej chwili, ku własnemu zaskoczeniu, zauważyłam, że główka dziecka pokryta jest muchami, a nie, jak wcześniej zakładałam, czarnymi

włoskami. Dziewczyna poprawiła dziecko i brudną ręką pociągnęła za moją spódnicę. Wtedy zdałam sobie sprawę, że na maleńkiej czaszce widać mnóstwo wrzodów. Przełknęłam ślinę i próbowałam się cofnąć, ale poczułam, że w pasie pęka mi materiał. To żebraczka tak mocno trzymała fałdy mojej sukni. Kwiecisty muślin pokrył się warstwą brudu. Wiedziałam, że cieniuchny materiał na moich plecach jest wilgotny od potu.

Gdy Faith spojrzała w dół i zobaczyła dziecko, ugięły się pod nią nogi. Objęłam ją ramieniem, żeby nie upadła, walcząc jednocześnie z parasolem i torebką. Poczułam, że ogarnia mnie panika. Nagle mój gorset okazał się zbyt ciasny, było mi za gorąco, nie mogłam oddychać. Co gorsza, było mi niedobrze od dziwnych zapachów.

W tym momencie ostry czubek parasola pani Cavendish dotknął ramienia dziewczyny. Nasza opiekunka dźgnęła żebraczkę. Hinduska puściła moją suknię i błyskawicznie zniknęła między nogawkami spodni i fałdami spódnic.

Próbowałam pociągnąć za sobą Faith. Jej skóra miała kolor pergaminu, rude włosy przypominały żywy ogień. Pani Cavendish poszła za nami z upuszczoną przez Faith torebką.

W porcie pełno było ludzi. Mężczyźni w postrzępionych skrawkach materiału, który okrywał jedynie genitalia - wiedziałam z książek, że są to *dhoti* - dźwigali na głowach tobołki; sprzedawcy słodczy roznosili swoje towary: od wody, poprzez gorącą herbatę, po owoce palmy betelowej; małe dzieci żebrały z błaganiem w oczach; wszędzie snuły się wyleniałe, żółte psy. Brązowoskórzy mężczyźni, kobiety i dzieci siedzieli, stali i chodzili, niektórzy jedli, inni spali. Tworzyli roztrajko-tany, ruchliwy, śmierdzący dum. Jeszcze bardziej zakręciło mi się w głowie; nigdy w życiu nie zemdlałam, byłam wręcz przekonana, że mdleją tylko kobiety słabe. Teraz jednak przy-daczał mnie nadmiar widoków, dźwięków i zapachów, a także żar, który powoli zaczynał obejmować całe moje ciało. Głęboko oddychałam i zaciskałam mocno zęby, żeby rozpedzić pojawiającą się przed moimi oczami mgłę.

Nagle przez ogólną kakofonię dźwięków przebiły się wysokie piski; były tak niespokojne, że zaczęłam szukać źródła owego hałasu. Gdy je zobaczyłam, całkiem oprzytomniałam.

Na wspaniałym kasztanku z czarną grzywą i ogonem siedział jakiś mężczyzna. Płynął wysoko nad ludzkimi głowami na twardym i brudnym nabrzeżu. Człowiek i zwierzę zostali porwani przez rozedrgany, falujący dum. Koń rżał niespokojnie, przewracał oczami i unosił kopyta. Mężczyzna wołał głośno władcym głosem, nie wiedziałam jednak, czy krzyczy na konia, czy na otaczających go ludzi. Pociągnął za uzdę, jakby chciał skierować wierzchowca w inną stronę, ale spocone zwierzę odrzucało na bok głowę i potrzasało gęstą grzywą. Gdyby stanęło dęba, jego ciężkie kopyta z pewnością opadłyby na czyjaś stopę, a może nawet dziecko. Mężczyzna miał długie czarne włosy, które dziwnie przypominały grzywę konia. W opalonej twarzy błyszczały białe zęby, a ja widziałam nawet hebanowe błyski w jego podłużnych oczach. Nagle wychylił się do przodu i opuścił głowę, jakby przemawiał kasztankowi do ucha. Zwierzę zastrzygło uszami. Natychmiast przestało gorączkowo rzucać głową i stanęło jak zahipnotyzowane. Koń i jeździec wyglądali tak, jakby zostali wyrzeźbieni z jednego wspaniałego kawałka krzemienia. W końcu dum się trochę przerzedził, dzięki czemu mogli przesunąć się do przodu. Jeździec prowadził rumaka ze wzrokiem utkwionym w jakiś odległy punkt, ani na chwilę nie zerkając w dół.

- Kto to? - spytałam panią Cavendish, która wciąż podtrzymywała wspartą na mnie Faith.

- O kim mówisz, moja droga?

Pani Cavendish osłoniła oczy i zlustrowała tłum. Pokazałam jej.

- O wysokim mężczyźnie na koniu.

Pomimo wyczerpania, podniecenia związanego z dopłynięciem do brzegu, zamieszania i dziwnego wrażenia, jakie wywoływał stały ład pod nogami, dziwnie uspokoił mnie widok samotnego mężczyzny na koniu, jeźdźca jakże odmiennego od otaczającego go tłumu.

Pani Cavendish podążyła wzrokiem za moim palcem.

- To Patan, nie Hindus. Patanowie mieszkają daleko za Peszawarem, na północno-zachodniej granicy z Afganistanem. Czasami przyjeżdżają do Indii sprzedać swoje konie. Są wspaniałymi jeźdźcami. Sami nazywają się Pasztunami. Rządzą większą częścią Afganistanu. Są dumni, podobno nawet szlachetni, ale Hindusi traktują ich ze sporą dozą nieufności. Ich kobiety są tak samo dzikie jak oni, potrafią okaleczać wrogów. Dziwne, że ten jeździec zapuścił się aż tak daleko na południe.

- Patan - powtórzyłam. - Patan z Afganistanu.

- Dzięki Bogu - powiedziała Faith słabym głosem. - Spójrz. Ten człowiek ma kartkę z moim imieniem. To pan Waterton.

Pani Cavendish i ja uścisnęłyśmy się, po czym ruszyłam za Faith, która torowała sobie drogę w stronę pana Watertona. Szła z tak spiętymi i sztywnymi ramionami, że lada chwila mogły dotknąć jej uszu. Pan Waterton przywitał nas bardzo oficjalnie. Był niskim mężczyzną o przerzedzonych włosach. Ponieważ drgała mu lewa powieka, można było odnieść wrażenie, że nieustannie puszcza perskie oko. Sprowadził palankin, którym miałyśmy się udać do domu. Była to lektyka z czterema dragami i poszarpanymi zasłonkami z czterech stron. Nieśli ją czterej ciemnoskórzy mężczyźni z małymi, brudnymi skrawkami materiału na genitaliach. Faith, wsiadając, była wyraźnie zdenerwowana, starała się nie patrzeć na mężczyzn, jedynie ukradkiem zerkała na nich spod półprzy-mkniętych powiek. Usiadłyśmy obok siebie na drewnianej ławce, tymczasem pan Waterton wydawał instrukcje dotyczące naszych bagaży, które kazał przewieźć drugim palankinami. Potem wsiadł, zaciągnął ze wszystkich stron zasłonki i zajął miejsce naprzeciwko.

- Och, czy nie moglibyśmy uchylić zasłonek, panie Waterton? Chciałabym zobaczyć Kalkutę.

Usłyszawszy moją prośbę, zmarszczył czoło. Sprawiał wrażenie zaszokowanego.

- Za nic w świecie, Linny - powiedziała Faith. - Czułabym się fatalnie, gdyby spoglądało na nas tyle oczu. Poza tym kto wie, jakie choroby wiszą w powietrzu? Po prostu chcę dotrzeć do domu państwa Watertonów. Zresztą chodzi mi nie tylko o to - dodała pruderyjnie, a potem za-

kryła dłonią usta i szepnęła: - Patrzyłybyśmy prosto na tych mężczyzn. Oni są prawie nadzy, Linny.

Westchnęłam i wyprostowałam się na drewnianej ławce. Zakołysałyśmy się, gdy mężczyźni chwycili drągi i ruszyli truchtem przed siebie. Wsłuchiwałam się w harmider, który panował na zewnątrz, pragnąc wynioskować, co się tam dzieje.

- Patan z Afganistanu - powiedziałam sama do siebie.
- Słucham? - spytała Faith.
- Nic - odparłam. - Po prostu coś sobie przypominałam.

## Rozdział 17

Kiedy wysiadłyśmy z palankinu, zobaczyłam, że przybyłyśmy do jednej z białych, klasycystycznych willi, które widziałam z żagłowca. Znajdowała się przy szerokiej ulicy, którą, jak się później dowiedziałam, nazywano Garden Reach. Wejście i portyk domu zostały zamienione w *porte cochere*, czyli bramę wjazdową, i to właśnie w niej stałyśmy, pod daszeniem, które chroniło przed słońcem.

Faith ścisnęła moje ramię.

- Czyż to nie najcudowniejszy dom, Linny?

Byłam zawiedziona. Nie wiem, czego się spodziewałam, ale z pewnością nie ogromnego i eleganckiego jednopiętrowego budynku, bardziej ekstrawaganckiego niż wszystkie domy, które widziałam w Liverpoolu. Odwróciwszy się, zobaczyłam, że pan Waterton odlicza monety rozłożone na dłoni. On i jeden z tragarzy głośno się kłócili. Mężczyzna w postrzępionym *dhoti* pokazywał pięć palców, pan Waterton kręcił głową i wyciągał trzy. Głos tragarza coraz bardziej przybierał na sile, w końcu przyłączyli się do niego koledzy, wzniesając potworny harmider. Ostatecznie pan Waterton rzucił kilka monet na ziemię i odwrócił się plecami do tragarzy, którzy wygrzebywali palcami pieniądze z czerwonego pyłu.



Zaledwie osiemnaście miesięcy temu sama często klęczałam na brudnych ulicach, zbierając swoją zapłatę.

- Za nic w świecie nie można im pozwolić, żeby postawili na swoim - oznajmił pan Waterton, sprawiając wrażenie zadowolonego z siebie.

Wytarł ręce w chusteczkę do nosa, którą wyjął z wewnętrznej kieszeni surduta. Po chwili zdjął hełm tropikalny zwany *topi*, podrapał się po lśniąącym czole i czaszce, a potem poprawił resztkę brązowych włosów.

- Będziecie się musiały, miłe panie, przyzwyczać do noszenia czegoś takiego - powiedział, wskazując na *topi*. - Musimy osłaniać mózgi: mogłyby się usmażyć albo skropić na tym piekielnym słońcu. Mamy zbyt cienką skórę, nieprzystosowaną do tutejszych warunków.

Pojawił się drugi palankin z naszymi bagażami, a nim wszystko zostało rozładowane, z willi wyłoniła się pani Waterton. Trzymała w ręku parasol i witała nas z życzliwym uśmiechem w - jak to nazwała - „angielskim domu z dala od Anglii”. Gdy weszliśmy do środka, oprowadziła nas po willi. Kręciło mi się w głowie: byłam w Indiach, ale wystrój wewnątrz zdecydowanie zadawał temu kłam. Czulałam się tak, jakbym weszła do wspaniale wyposażonego angielskiego domu. Wyjątek stanowili brązowoskórzy służący, którzy kręcili się po korytarzach, niektórzy czekali w zacienionych kątach każdego pokoju, gotowi na każde zawołanie, inni chodzili wzdłuż ścian ze spuszczonego wzrokiem. Zupełnie jakbyśmy znajdowali się w gigantycznym ośrodku, pełnym pomruków i ruchu. Sądząc po zaokrąglonych oczach Faith, doszłam do wniosku, że ją również to wszystko przydaczało.

- Moje biedactwa - powiedziała pani Waterton - musicie być bardzo wyczerpane. Jestem pewna, że brud i hałas w porcie bardzo dały się wam we znaki. Często o tym zapominam. Jestem tu tak długo. - Ponownie się uśmiechnęła, ale tym razem jej uśmiech wcale nie był miły. - Zbyt długo.

Wkrótce miałam się przekonać, że bardzo lubi w trakcie wypowiedzi powtarzać ostatnie słowa.

- Jestem pewna, że najadłyście się dzisiaj sporo strachu. Nie martwcie się. Nie będziecie więcej oglądać widoków, z jakimi miałyście do czynienia w porcie. Teraz jesteście już bezpieczne. Chodźcie, zaprowadzę

was do waszych pokoi. Będziecie mogli się umyć i odpocząć, a nim zostanie podana kolacja, poczujecie się o wiele lepiej. Gościmy teraz pod naszym dachem jeszcze jedną młodą damę, która bardzo niedawno wyszła za mąż, panią Liston. Została zaproszona na kolację gdzie indziej, dlatego poznacie ją dopiero jutro przy śniadaniu. Teraz chodźmy. Przyślę po was, gdy kolacja będzie gotowa.

Faith i ja przytaknęłyśmy.

Gdy pani Waterton zostawiła mnie w moim pokoju, który znajdował się tuż obok pokoju Faith, stanęłam plecami do zamkniętych drzwi i spojrzałam na dwuosobowe łóżko z baldachimem i moskitierą zrolowaną wzdłuż cienkiej drewnianej ramki, którą podtrzymywały nad łóżkiem cztery paliki. Materiał rozwieszony nad łóżkiem wyglądał jak sklepienie. Przypomniałam sobie łóżka, które znałam - małą prycę na Back Phoebe Anne Street, pojedynczy materac, który dzieliłam z dwiema innymi dziewczynami na Jack Street, włosienny materac w pokoju pani Smallpiece na Whitefield Lane. Nigdy nie widziałam tak szerokiego łóżka z grubym materacem - nawet w najelegantszych pokojach hotelowych, do których bywałam zabierana w Liverpoolu.

Był tu również sekretarzyk z palisandru, pełnowymiarowe lustro, mała toaletka z buteleczkami lotionów i perfum, umywalka z dzbankiem i miednicą, głęboka szafa, komoda i dwa wyściełane krzesła obite kwiecistym materiałem. W otwartym oknie wisiała spuszczone od sufitu mata z plecionej trawy. Całkowicie zasłaniała widok.

Pod sufitem wisiała rama z lekkiego drewna obita białą bawełną. Kołysała się do przodu i do tyłu, poruszając nieruchome powietrze. Od razu zdałam sobie sprawę, że ramę tę obsługuje chłopiec, który siedzi po turecku w kącie i porusza

wachlarzem za pomocą nitki przywiązanej do dużego palca nogi. W innym kącie kucała drobna kobieta w bieli. Spojrzałam na nich i otworzyłam usta, ale nie wiedziałam, co powiedzieć.

Kobieta wstała i bez słowa podeszła do mnie. Rozpięła rząd guzików na plecach mojej sukni, która wciąż była wilgotna od potu. Powiedziała coś do chłopca, który zdjął sznurek z palca, rozsunął zasłony w

oknie i wyszedł. Gdy Hinduska zdjęła ze mnie suknię, gorset i halki, zostałam tylko w koszulce. Wtedy wzięła z umywalki gąbkę, zanurzyła ją w chłodnej, pachnącej różami wodzie i zaczęła powoli, niemal ociężale, przemywać moją twarz, szyję, piersi i ręce. Nigdy w życiu nie byłam dotykana w taki sposób przez inną kobietę - ani mężczyznę, przynajmniej od czasów pana Środy. Włoski stanęły mi na rękach pod wpływem niespodziewanego dotyku, potem poczułam, że ogarnia mnie senność. Kobieta pchnęła mnie delikatnie w stronę łóżka, a ja posłusznie się położyłam. Przykryła mnie cienkim muślinowym prześcieradłem, opuściła moskitierę, wymówiła następne słowo, a wtedy chłopiec wrócił.

Leżałam we wspaniałym łożu, słuchając skrzypienia wachlarza, który - jak sobie przypomniałam - nazywano tutaj *pun-hah*, i cichego nucenia kobiety.

Żadna z książek, które przeczytałam na statku, nie przygotowała mnie na takie wspaniałości... ani nędzę, którą zobaczyłam w porcie. Bolała mnie głowa, zamknęłam więc oczy.

Kolacja była zbyt długa i męcząca. Idąc z Faith do jadalni -za służącym, który cicho zapukał do moich drzwi - skorzystałam z możliwości i uważniej przyjrzałam się domowi. Chociaż wyposażenie było typowo angielskie, kilka rzeczy wskazywało, że wcale nie jesteśmy w Anglii. Sufity nie były płaskie, lecz miały odsłonięte krokwie. W każdym pokoju był *punkah*, a podłogi wyłożono głównie zimnym kamieniem. Zauważyłam stolik, którego nóżki wykonane zostały z wygiętych rogów jakiegoś ogromnego zwierzęcia, a w kilku miejscach stały flakony z nieznanymi mi kwiatami. Na podłogach leżały skóry zwierząt, na ścianach wisiały trofea myśliwskie. Dostrzegłam też parasolki w stojaku, który wyglądał na nogę słonia i... rzeczywiście nią był.

Faith i ja weszliśmy do ponurej jadalni, w której stały ciężkie, ciemne meble. Na stole leżał gruby biały obrus, a na nim ktoś porozrzucił liście paproci i winorośli. Wszystkie potrawy zostały postawione na stole jednocześnie przez wysokiego, potężnie zbudowanego mężczyznę z farbowaną brodą i w wysokim turbanie.

Serce zamarło mi w piersiach, gdy zobaczyłam, jakie dania dla nas przygotowano: łopatka barania, jakiś elegancko pokrojony i pływający w kleistym sosie ptak, ogromna waza czegoś, co zostało uduczzone, a wyglądem - chociaż nie kolorem - przypominało ziemniaki, trzy miski warzyw, których nie potrafiłam rozpoznać, i grube kromki ciemnego chleba. Z powodu upału i zmiany otoczenia czułam ucisk w żołądku, a pomimo odpoczynku ból głowy wcale nie ustąpił. Gdy usłyszałam cichy szelest, dyskretnie zerknęłam pod sufit. Zauważyłam, że podwieszono pod nim białe płótno. Po cienkim materiale wyraźnie coś pełzało.

- Udało się wam odpocząć? - spytała pani Waterton.

- Po tylu miesiącach na rozkołysanym morzu - powiedziała Faith, trąc czoło - trudno mi było leżeć w całkowitym bezruchu. Teraz, na lądzie, czuję się tak samo kiepsko jak początkowo na morzu.

- Serdecznie pani współczuję. - Pani Waterton ze zrozumieniem poklepała Faith po ramieniu. - Być może minie trochę czasu, nim odzyska pani siły. - Spojrzała na mnie. - Pani wygląda na mniej zmęczoną, panno Smallpiece.

- Podróż nie dała mi się tak bardzo we znaki jak pannie Vespry - wyjaśniłam, nie wiedząc, czy powinnam być dumna, czy zawstydzona z powodu swojej odporności na niewygody.

- No cóż, przygotowałam na wasze powitanie *burra kha-nah*, czyli wspaniałą ucztę, moje panie. - Pani Waterton uśmiechnęła się. Potem spoważniała. - Muszę was jednak ostrzec, że ci biedni ignoranci nigdy nie nauczą się gotować jak należy. Lubią przyrządzać dziwne mieszaniny. Niezależnie od tego, jak długo i dokładnie objaśniam swojemu *bobajee* poszczególne przepisy, po prostu nie jest w stanie przyjąć tego do wiadomości, chociaż zgłosił się u nas z najlepszymi referencjami. To przekleństwo, z którym trzeba się pogodzić - zakończyła. - Prawdziwe przekleństwo. - Westchnęła.

Kiedy usiedliśmy, pani Waterton kiwnęła głową w stronę majestatycznego mężczyzny.

- *Khit* - powiedziała. - Zupa.

Mężczyzna, do którego zwróciła się *per khit* - jak się później dowiedziałam, był to skrót od nazwyjego zajęcia: *khitmut-gar* - wystąpił do przodu z ogromną srebrną wazą i rozlał rzadką zupę o smaku orzechowym. Gdy opróżniliśmy miski, zabrał je, po czym napelnił nasze talerze, nakładając po odrobinie każdego z dań. Pokroił panu Watertonowi baraninę i ptaka, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy nie pozwolą nam samodzielnie wykonać nawet tej prostej czynności. Na szczęście pani Waterton wzięła swój nóż i widelec i zaczęła ich używać, więc poszliśmy z Faith w jej ślady. Podczas jedzenia słyszałam w białym płótnie nad głową dziwne drapanie, być może przemykały tamtędy spore insekty albo drobne zwierzątka, chociaż pani Waterton ani jej mąż nie zwracali na nic uwagi. Zdałam sobie sprawę, że płótno rozwieszono po to, żeby poruszające się po krokwiach stworzonka nie spadły na stół. Nasi gospodarze nie zważali również na małe płatki wapna, które spadały na stół z ramy *punkah*. Widząc rozkołysany wachlarz, zastanawiałam się, czy chłopiec, który w ciemnym kącie pokoju pociąga za sznurek, to ten sam mały Hindus co w mojej sypialni.

Nie chcąc urazić Watertonów, zjadłam, ile mogłam, ale -prawdę mówiąc - niewiele zniknęło z mojego talerza. Mój żołądek źle znosił ciężkostrawne potrawy po skromnych, prostych posiłkach, które jadałyśmy od kilku miesięcy.

- Moje drogie! - krzyknęła pani Waterton, spoglądając to na mnie, to na Faith, której talerz wyglądał tak samo jak mój. - Musicie się dobrze odżywiać! Obie jesteście po podróży o wiele za szczupłe. Nie możecie być takie chude. Zgodzi się pan ze mną, panie Waterton?

Spojrzał znad swojego talerza. Na jego wargach błyszczał sos z baraniny. Pstryknął palcami, a wtedy podszedł do niego *khitmutgar*, otarł mu usta białą serwetką, nalał drugi kieliszek porto i cofnął się.

Pan Waterton upił łyk.

- No cóż, wkrótce odzyskają apetyt - odpowiedział żonie, chociaż spoglądał na Faith i na mnie. - Przypuszczam, że panna Smallpiece i panna Vespy z niecierpliwością czekają na początek sezonu i związane z nim spotkania towarzyskie.

- O tak, panie Waterton, nie możemy się tego doczekać -zapewniła Faith.

Jej głos był cichy i zachrypnięty. Wiedziałam, że jest bardzo wyczerpana.

- Oczywiście.

Pani Waterton albo nie zauważyła, albo nie chciała zauważyć, że w głosie Faith nie było ani odrobiny entuzjazmu.

- Damy wam dwa, może trzy dni na przyzwyczajenie się do nowych warunków, odzyskanie apetytu i nabranie sił. Mój Boże, czekają was przynajmniej cztery miesiące wspaniałych imprez i... - Pani Waterton urwała. Do sosu wpadł ogromny kawałek wapna. - No cóż, nie uprzedzajmy faktów. Jestem pewna, że tak urocze młode damy jak wy nie będą się nudzić.

Przy stole zapadła niezręczna cisza. Po chwili pani Waterton zawołała ostro:

- ***Koi-hai!***

Pojawił się następny chłopiec i zabrał nasze talerze.

- Deser - oznajmiła.

***Khitmutgar*** przyniósł z długiego stołu pod ścianą tacę z miseczkami.

- Na waszą cześć kazałam przygotować ***custel brun...*** przepraszam, ***custard*** z karmelem - powiedziała. - Na statku musiałyście bardzo tęsknić za puddingiem. Tego zawsze najbardziej mi brakuje, gdy płynę do kraju albo z niego wracam. Puddingu.

Faith i ja przełknęłyśmy tyle, ile się nam udało. Pan Waterton tylko machnął ręką, że nie chce deseru; widocznie nie był takim wielbicielem puddingu jak jego żona. Następnie służący nalał panu Watertonowi filiżankę herbaty, wsypał cukier i zamieszał. Byłam ciekawa, czy uniesie również filiżankę do ust swojego pracodawcy, okazało się jednak, że pan Water-ton potrafi zrobić to sam.

Wieczorem niemal natychmiast po przyłożeniu głowy do poduszki zapadłam w głęboki, pozbawiony koszmarów sen. Kiedy otworzyłam oczy, jasne promienie słońca wpadały przez zasłony. Przez chwilę byłam



zdezorientowana i przerażona, ale gdy tylko usiadłam, dosłownie znikąd wyłoniła się kobieta, która według pani Waterton była moją *ayah*. Hinduśka uniosła moskiderę i wręczyła mi coś, co do pewnego stopnia przypominało mleko, było słodkie i jednocześnie orzeźwiające. Potem pomogła mi włożyć suknię i uczesać włosy. Byłam wypoczęta i z niecierpliwością czekałam, co przyniesie dzień.

Gdy spotkałam Faith w jadalni, uznałam, że wygląda lepiej niż poprzedniego wieczoru, chociaż pod oczami wciąż miała spore cienie. Zostałyśmy powitane przez siedzące już przy stole towarzystwo. Skubnęłam słodką bułeczkę i banana. Zgodnie z obietnicą Faith i ja poznałyśmy panią Liston. Polubiłam ją, zwłaszcza że była mniej więcej w naszym wieku. Miała duże, zielone oczy i brązowe włosy, które układały się w loczki. Śmiała się z otwartymi ustami. Na nieszczęście jej twarz była oszpecona bliznami po przebytej dawno temu ospie. Urodziła się w Indiach, jako małe dziecko wyjechała do Anglii, a trzy lata temu wróciła i zamieszkała z rodzicami. W ciągu dwunastoletniego pobytu w ojczyźnie widziała matkę tylko trzy razy, a ojca wcale, co jej zdaniem było całkiem naturalne.

- Naturalne? - spytałam. - Przecież widziała pani matkę tylko trzy razy w ciągu dwunastu lat!

- Wyraźnie nie wie pani, jak wygląda życie Anglików w Indiach, panno Smallpiece - powiedziała pani Waterton. - Na przykład moje dzieci mieszkają obecnie z krewnymi w Cambridge i pobierają tam odpowiednie nauki. Dwa lata temu odwiozłam do kraju najmłodszą pociechę, która miała wówczas pięć lat. Staram się jeździć do Anglii co trzy lata, ale, oczywiście, niełatwo zdobyć się na taką długą i męczącą eskapadę.

W głębi duszy zadziwiała mnie odwaga kobiet, które zgadzały się na rozstanie z dziećmi. Jak się okazało, było to tylko jedno z poświęceń - chociaż prawdopodobnie największe - na jakie musiały się zdobyć Angielki w Indiach, chcąc wesprzeć mężów.

- Gdy zaczniecie bywać w towarzystwie, zauważycie, że w Indiach nie ma angielskich dzieci powyżej pewnego wieku. Tutejsze matki muszą się pogodzić z rozstaniem - powiedziała pani Liston. - Dzieci przebywają

z rodzicami do ukończenia piątego, najdalej szóstego roku życia, potem trzeba je wysłać do kraju, żeby zdobyły edukację. Każda matka staje przed koniecznością podjęcia decyzji, czy chce towarzyszyć dziecku, czy zostać z mężem. Większość wybiera to drugie. Ja przez wszystkie te lata mieszkałam z wujkiem i ciotką oraz trzema kuzynami. Obawiam się, że moi rodzice byli nieco zaszokowani, gdy zobaczyli, że wcale nie wyrosłam na taką osobę, jakiej się spodziewali.

Mówiąc ostatnie zdanie, wybuchnęła śmiechem.

Uśmiechnęłam się do niej i zerknęłam na panią Waterton, która miała raczej niewyraźną minę i nie odrywała wzroku od swojego „ciężkiego pojazdu”, jak to nazywała, czyli jajecznicy. Powoli zaczynałam poznawać domowy żargon.

- Pan Liston i ja pobraliśmy się zaledwie dwa miesiące temu. Pojechał przygotować dla nas dom w Lucknow, na północnym wschodzie. Ponieważ miesiąc temu ojciec przeszedł na emeryturę w Kompanii Wschodnioindyjskiej i wraz z matką popłynął do Anglii, państwo Watertonowie okazali się tak wspaniałomyślni, że pozwolili mi zamieszkać u siebie, póki pan Liston po mnie nie wróci.

- W jaki sposób poznała pani swojego męża? - spytała Faith.

Z zadowoleniem zauważyłam, że odzyskała nieco kolory i uczesała włosy w najbardziej czarujący sposób. Rdzawa suknia podkreślała kremową jasność jej skóry.

- Och, przez przyjaciół, krótko po przyjeździe, ale początkowo żadne z nas nie myślało o romansie.

Pani Waterton odchrząknęła, ale pani Liston zachowywała się tak, jakby nie usłyszała.

- Prawdę mówiąc, dość długo byliśmy przyjaciółmi. Często wybieraliśmy się na konne przejażdżki po okolicy, oczywiście z przyzwoitką - dodała, być może ze względu na panią Waterton. - Jeździliśmy kilometrami wśród pól gorzycy albo fasolki, wdychaliśmy wspaniałe zapachy. Mijaliśmy paradujące pawie, przejeżdżaliśmy przez wioski, gdzie psy czekały i skakały między nogami naszych koni. Wieśniacy byli uprzejmi i przyjacielscy, proponowali nam napoje orzeźwiające. Pan Li-

ston ma bardzo wszechstronne zainteresowania, dzięki niemu przeżyłam mnóstwo ciekawych i niespodziewanych przygód, od odwiedzin w wiejskich świątyniach po polowanie z oszczepem na dzikie świnie. Nigdy nie lubiłam zajęć typowych dla młodych dam - może dlatego, że wychowywałam się na wsi z kuzynami - i właściwie nie liczyłam na to, że kiedykolwiek wyjdę za mąż. Och, niech pani da spokój, pani Waterton - powiedziała, słysząc wymowne syknięcie gospodyni. - Proszę nie robić takiej ponurej miny. Wie pani, że to prawda. - Uśmiechnęła się do mnie. - Nie gram na żadnym instrumencie, mój śpiew sprawia, że ptaki zrywają się z drzew, a tańczę jak pijana gęś.

Musiałam się roześmiać razem z nią.

- Karty wciąż stanowią dla mnie nieprzeniknioną tajemnicę - ciągnęła - a wieczorki muzyczne, układanie kwiatów, zagłądanie, co mają do zaoferowania *box-wallahowie*, uważam za nużące. - Znów odwróciła się twarzą do pani Waterton. - Szanowna pani Waterton, chyba przyzna mi pani rację, że to jeszcze nie koniec świata, jeśli młoda dama nie jest w stanie opanować odpowiednich umiejętności.

- Oczywiście, moja droga - mruknęła pani Waterton, jednak wyraźnie było widać, że nie pochwała postępowania pani Liston ani jej szczerości.

- A co z wami, dziewczęta? Jesteście gotowe na wydarzenia najbliższego sezonu towarzyskiego? - spytała nas pani Liston i włożyła do ust widelec z kawałkiem pieczonego banana.

Z zapalem gryzła i połykała. Jej entuzjazm bardzo mi się podobał.

- Ja na pewno tak - zapewniła Faith, odcinając maleńki kawałeczek kiełbaski. - Uważam, że po kilku okropnych miesiącach na statku należy mi się trochę przyjemności. Z przykrością muszę wyznać, pani Liston, że należę do owych młodych dam, które lubią tańczyć, grać w karty i spełniać pozostałe wymagania, jakie stawia przed nimi życie towarzyskie.

W jej głosie nie było już znużenia, które słyszałam jeszcze poprzedniego wieczoru, natomiast zaskoczył mnie jej wyniosły ton. Zakładałam, że Faith polubi panią Liston. Prawdę mówiąc, młoda dama swoją bezpośredniością i pewnością siebie niezmiernie przypominała mi Faith z Liverpoolu. Byłam zaskoczona, jak bardzo moja przyjaciółka zmieniła się

podczas podróży. Może gdy należycie odpocznie, odzyska chęć życia i będzie się śmiać ze swoich przerażających wypowiedzi i śmiałości. Udałam, że nabieram łyżeczką dżem pomarańczowy i powoli nakładam go na kawałeczek bułeczki, w rzeczywistości jednak bacznie przyglądałam się Faith spod pół-przymkniętych powiek.

- Mam zamiar miło spędzić czas - powtórzyła Faith.
- Spędzi pani - zapewniła pani Waterton z uśmiechem. -Spędzi.

Już pierwszego dnia zauważyłam, że pani Waterton szorstko odnosi się do służących i bez przerwy ich łąja. Nie zwracała się do nich po imieniu, tylko używała nazw wykonywanych przez nich zajęć. Mimo to odnosiłam wrażenie, że jest do nich przywiązana, a oni traktują ją z ogromnym szacunkiem.

Powoli poznawałam hierarchię. Odpowiedzialność za cały dom ponosił *khansana*, czyli główny lokaj, który surowo nadzorował pozostałych służących. Potem był *khitmutgar* - postawny mężczyzna, który obsługiwał nas przy stole i miał kilku pomocników. Dalej szedł kucharz - *biwar-chi* - albo, jak nazywała go pani Waterton - *bobajee*. Miał wielu pomocników, których gospodyni nazywała chłopcami *bobajee*. Był też *chupras-si*, czyli posłaniec z czerwoną szarfą; przez cały dzień stał przy drzwiach, by wpuszczać gości oraz przyjmować bileciki i karty wizytowe. Do grona służących należał również *dhobi*, do którego należało pranie i prasowanie, z kolei *bheesti* przynosił wodę, *mali* zajmował się ogrodem, funkcję nocnego stróża pełnił *chowkidar*. Pani Waterton i dwie inne damy miały wspólnego krawca, czyli *durziogo*. Była też masa ludzi, którzy zajmowali się sprzątaniami, przy czym każdy wykonywał określoną czynność i nic więcej. Chłopiec, który zbierał talerze ze stołu i odnosił je do kuchni, nigdy ich nie mył. Następny polerował srebra. Inny mały Hindus zmiatał dom, inny werandę. Chłopiec, który ścierał kurze, nigdy nie miał w rękach naczyń, i tak dalej. Najmłodszy służący obsługiwał *punkah* albo stali za naszymi krzesłami i machali packami z końskiego włosia, by odpędzić muchy. Jedyne kobiety, jakie widziałam, były *ayah*: każda kobieta w domu miała swoją osobistą służącą do pomocy przy kąpieli, ubieraniu się, szczotkowaniu i układaniu włosów.

Była też cała lista sztywnych reguł, które mnie początkowo przydawały. Bez przerwy próbowałam o coś spytać każdego, kogo mijałam na korytarzu, werandzie lub w jadalni, jednak służący tylko spoglądali na mnie obojętnym wzrokiem. Początkowo zakładałam, że po prostu nie rozumieją prostych poleceń, których się nauczyłam, dopiero potem zdałam sobie sprawę, że pytałam nieodpowiednią osobę. Ponieważ większość służących - z wyjątkiem *khitmutgara* i *chuprassiego* - nosiła proste białe *dhoti*, koszule oraz turbany i chodziła na bosaka, trudno mi było ich rozróżnić. Jednak po kilku dniach zaczęłam rozpoznawać twarze, wzrost i sposób chodzenia.

Pod koniec trzeciego dnia pobytu w Kalkucie przyszło mi na myśl, że nie ma tu dla nas nic do roboty. Pan Waterton i najwyraźniej każdy Brytyjczyk, który nie służył w armii, był cywilnym pracownikiem Kompanii Wschodnioindyjskiej. Pan Waterton pełnił funkcję dyrektora Archiwów Rolnych; wychodził po śniadaniu, wpadał na lunch, po czym wracał do pracy aż do kolacji. Domostwo funkcjonowało samodzielnie - albo raczej było prowadzone przez *khansanę*. Z tego, co widziałam, do pani Waterton należała poranna rozmowa z *bo-bajee* i omówienie z nim posiłków. Potem czasami przechodziła po pokojach i sprawdzała, czy jest w nich wystarczająco czysto. Mogła też układać bukiety - *mali* przynosił jej naczeka ściętych kwiatów i zostawiał obok flakonów napęcznionych wodą. Od czasu do czasu rozmawiała z *durzim* o ewentualnych naprawach zniszczonej odzieży. Niekiedy przy tylnych drzwiach pojawiał się *box-wallah* i rozkładał swoje towary - od wstążeczek po patelnie, od odzieży po łyżeczki do herbaty. Pani Waterton wybierała niezbędny towar, wręczała rupie komuś ze służby, a ten z kolei przekazywał je *box-wallahowi*. Pisała bileciki, za pomocą których porozumiewała się z innymi Angielkami, albo odpowiadała na liściki czy wizytówki pozostawione przez sąsiadów. Wszystko to zajmowało jej czas między śniadaniem a lunchem.

Potem podawano obfity lunch, po którym była obowiązkowa drzemka, a następnie pojawiali się jacyś popołudniowi goście, wychodziliśmy na kolację poza domem, a jeśli nie, odwiedzaliśmy Klub Kalkucki lub braliśmy udział w jakimś spotkaniu towarzyskim.



- Pani Waterton - powiedziałam pewnego dnia, znalazłszy ją przy małym stoliku w salonie, gdzie przeglądała książkę kucharską. - Czy mogłabym się wybrać na spacer?

Był to nasz czwarty dzień w Kalkucie i zgodnie z przewidywaniem pani Waterton zdążyłam już odpocząć. Nadal dobrze spałam i teraz koniecznie chciałam zwiedzić Kalkutę. Faith czytała w swoim pokoju, ale zgodziła się pójść na spacer ze mną, jeśli będziemy miały jakąś przyzwoitkę.

- Oczywiście, moja droga. Niech się pani przejdzie ścieżką wśród kwiatów. To piękne miejsce na spacer.

Nie oderwała nawet wzroku od książki.

- Chciałabym wyjść na prawdziwy spacer, nie do ogrodu. Teraz uniosła głowę, ale zaznaczyła palcem stronę.

- Spacer? Gdzie chciałaby się pani wybrać?

- Nie... nie wiem. Zastanawiałyśmy się z Faith, czy mogłybyśmy... w towarzystwie pani Liston albo, oczywiście, pani... wybrać się gdzieś dalej.

- Droga? - Na jej twarzy pojawiła się konsternacja. - O nie, moja droga. To po prostu nie uchodzi. Damy nie spacerują po ulicach Kalkuty. Nie mieszkamy w Londynie ani Cheltenhamie. Tutaj nie chodzi się na spacer - powtórzyła.

- Och! - westchnęłam. - Przykro mi. Nie wiedziałam.

- No cóż, nie mogła pani tego wiedzieć, bo i skąd? Nic się nie stało. Wkrótce zaczniecie się orientować, jak wygląda tu życie.

- W takim razie czy możliwa byłaby przejażdżka?

Tym razem delikatnie, ale z pełnym rozmysłem zamknęła książkę.

- Przejażdżka? O tej porze dnia?

Zerknęłam na kołyszące się wahadło zegara na kominku. Czyżbym okazała się kompletną ignorantką? Powinnam wcześniej naradzić się z Faith.

- Och! Jest prawie druga. Nie wiedziałam...

- No cóż, może to nie jest aż tak bardzo niesłychane, ale musiałabym kazać *chuprasiemu* przywołać palankin. Gdzie chce pani jechać?



Wbiłam wzrok w dywan.

- Nie wiem, proszę pani, po prostu chciałabym zobaczyć miasto.

Usta pani Waterton utworzyły cienką linię.

- Nie ma tu właściwie nic ciekawego. Po kolacji możemy wybrać się na *maidan*, by zaczerpnąć chłodnego wieczornego powietrza. Jeśli jest pani zainteresowana, możemy wybrać się tam jeszcze dziś wieczorem, ale nie planowałam żadnej wyprawy. Mam wystarczająco dużo roboty przy układaniu posiłków, zwłaszcza teraz, gdy jest u nas w domu więcej gości niż zazwyczaj. Muszę też odpisać na kilka liścików.

Na podstawie tonu i wyraźnego uporu, który było słychać w jej głosie, a także wzmianki o dodatkowych gościach wywnioskowałam, że nie powinnam prosić o nic tak banalnego jak przejażdżka.

- Oczywiście, rozumiem, proszę pani. - Zaczęłam się wycofywać. - Pospaceruję po ogrodzie.

Ponownie otworzyła książkę.

- Tak będzie najlepiej, moja droga. Naprawdę najlepiej. Doszłam do wniosku, że będę musiała trochę zaczekać, nim

uda mi się poznać kraj, do którego przyjechałam. Pani Water-ton z wyraźnym zadowoleniem odcięła się od świata Hindusów i skoncentrowała na prowadzeniu angielskiego domu.

Piątego dnia zaczęłyśmy z Faith planować nasze spotkania towarzyskie. Przeczytałyśmy z panią Waterton kilka wizytówek, które przyniósł *chuprassi*. Były wśród nich zaproszenia na wieczorki taneczne, uroczyste kolacje i podwieczorki. Pani Waterton przejrzała naszą garderobę, bacznie zlustrowała przywiezione przez nas suknie i przez chwilę podziwiała najnowszą modę.

- Macie ładne kreacje, ale będziecie potrzebowały ich więcej. Nie wypada zbyt często pokazywać się w tej samej sukni. Będziemy musiały kupić trochę materiału, a potem kazać *durziem*, żeby uszył nowe suknie w podobnym stylu. Hindusi wspaniale potrafią naśladować. Trzeba jednak bardzo uważać, bo przy nadgorliwości mojego *durziego* może się

zdarzyć, że jeśli w starej kreacji jest łatka albo rozdarcie, zrobi je również w nowej. Co za człowiek!

Źle znosiłam nadmierną służalczość. Odwracałam głowę, gdy widziałam, jak przy każdym wejściu naszego gospodarza do domu wysoki *chuprassi* w eleganckim uniformie pada na kolana, by małą szczoteczką zetrzeć pył z butów pana Water-tona. Kiedy pewnego razu zauważyłam poparzoną rękę *dho-biego*, zdałam sobie sprawę, jak bardzo pęcherz - najprawdopodobniej spowodowany przez rozgrzane żelazko - musi go piec, mimo to uprzejmie powiedział pani Waterton *salaam*, a potem przyjął następną porcję lekko zabrudzonej pościeli, którą gospodyni rzuciła na jego wyciągnięte ręce. Pewnego razu niespodziewanie wpadłam do swojego pokoju i ujrzałam, że po twarzy mojej *ayah* płynęły łzy, kiedy poprawiała rzeczy na toalecie, ale gdy mnie zobaczyła, uśmiechnęła się promiennie, jakby ucieszyła się na mój widok. Próbowałam się dowiedzieć, czemu płacze, ale ona beztrąsko otarła policzki i nie przestawała się uśmiechać. Zauważyłam, że jeden z chłopców, którzy przeganiali muchy, stracił ostatnio dwa palce prawej nogi i że amputację przeprowadzono całkiem niedawno; dotykał delikatnie blizny, gdy tylko myślał, że nikt go nie obserwuje. Byłam ciekawa, czy jest synem któregoś ze służących albo czy w ogóle ma rodziców. Zastanawiałam się nad wieloma rzeczami, ale nie śmiałam o nic pytać ani Faith, ani nawet pani Liston: mogłyby się dziwić, dlaczego interesują mnie ludzie, których w ogóle nie powinno się zauważać.

Postanowiłam poprosić *durziego*, żeby wszystkie moje suknie ukrywały bliznę. Próbowałam przypomnieć sobie hindi, ale nie mogłam znaleźć odpowiednich słów. W końcu, będąc z nim w swojej sypialni sam na sam, jeśli nie liczyć *ayah*, pokazałam mu ranę, a potem przyłożyłam do niej materiał. *Durzi* z zupełnie obojętną miną powiedział cicho:

- Panienska *sahib* chcieć, żeby suknia to ukryć? Dobrze.
- Mówisz po angielsku?! - zawołałam zadowolona.

Widząc wyraz jego twarzy i gwałtowne kręcenie głową, zatkałam usta ręką. Ponownie pokręcił głową i przytknął palec do warg. Zrozumiałam go: nie powinnam nikomu wspominać, że zna nasz język.

Tego popołudnia pani Waterton zostawiła mnie sam na sam z panią Liston, która poprosiła, żebym mówiła jej po imieniu, czyli Meg. Byłyśmy same na werandzie. No cóż, do tego stopnia same, do jakiego jest to możliwe w Indiach. **Durzi** siedział w kącie ze skrzyżowanymi nogami i szył dla mnie nową suknię. Trzymał materiał między palcami nóg, a w jego turbanie tkwiły dziesiątki igieł z nićmi w różnych kolorach. W zależności od potrzeby wyciągał z turbanu odpowiednią nitkę. Inny służący stał w pobliżu, czekając na wypadek, gdybyśmy czegoś potrzebowały, a kilkuletni chłopcy odpędzali od nas muchy.

Weranda była najmiłym miejscem w całym domu. Osłaniały ją bambusowe treliaze pokryte pnączami o czerwono--żółtych kwiatach, tworząc chłodną, pełną zieleni altanę. Na podłodze leżały maty z trawy i stały skrzynki z różowymi pelargoniami, białymi i czerwonymi achimenesami, ozdobnymi begoniami i delikatnymi fiołkami. Zamiast twardych sof i foteli wypełnionych końskim włosiem, jakie stały w salonie, tutaj były wiklinowe i bambusowe krzesła dla dam oraz ciężkie z ciemnego teku z szerokimi siedzeniami i rzeźbionymi oparciami dla panów.

Gdy czasami chociaż przez kilka minut byłam na werandzie sama, rozsiadałam się wygodnie, wyciągając ręce nad głową i wdychając cudowny zapach zieleni. Pani Waterton ostrzegła mnie, że gdy tylko nastaną upały, wszystkie rośliny wyschną i zwiędną, niezależnie od tego, ile razy dziennie by sieje podlewało, i że powinnam się nimi cieszyć, póki mogę.

- Meg, dzisiaj **durzi** powiedział do mnie coś po angielsku, a potem sprawiał wrażenie przerażonego, że mogę go przed kimś zdradzić - szepnęłam, żeby nie usłyszał.

Skrzywiła się.

- Oczywiście. Jeśli któregoś służącego uzna się za zbyt głupiego, dostaje różgi i wylatuje z pracy; jeśli pokaże, że jest mądry... a o tym mógłby świadczyć fakt, że opanował język angielski... traktowany jest z dużą podejrzliwością i prawdopodobnie również zostanie zwolniony. Oczywiście, to niesprawiedliwe, ale Hindusi podejmują tę grę, żeby przetrwać. Co prawda podobnie jest w Anglii, ale tutaj linia między panem a służą-

cym jest znacznie wyraźniejsza. Może dlatego, że to ich kraj. Jesteśmy przybyszami z zewnątrz, mimo to...

Urwała, jakby zdała sobie sprawę, że za dużo powiedziała. Gwałtownie poderwała się z krzesła, więc chłopiec z packą na muchy musiał odskoczyć w bok, żeby zejść jej z drogi, i podeszła do jednej ze skrzynek, by oberwać zwiędły kwiat.

- Tak czy inaczej, nie mogę się doczekać, kiedy w końcu pojedę do *mofussilu* - na północ kraju, z dala od pompatyczności i przydaczającego formalizmu. Nie mogę tego tolerować. Na wsi nie jest tak sztywno. - Przyjrzała się bacznie mojej twarzy. - Czy mogę liczyć, że nie zdradzi pani moich buntowniczych myśli?

Chociaż zadała mi to pytanie poważnym tonem, wyraz jej twarzy zdradzał, że raczej widzi we mnie sojusznika niż wroga.

- Ależ oczywiście - zapewniłam. - Mam jednak nadzieję, że nie wyjedziesz zbyt prędko.

- Prawdopodobnie będę tu jeszcze przez jakieś dwa tygodnie.

Nadal bacznie mi się przyglądała; wtedy poczułam stary strach. Dawno temu przestałam się obawiać, że Faith może odkryć moje prawdziwe pochodzenie: chociaż wiedziałam, że się o mnie troszczy, nigdy nie zagłębiała zbyt głęboko w moją duszę. Często odnosiłam wrażenie, że jestem zwierciadłem dla jej uczuć i myśli; moje jej nie interesowały. Oczywiście, taki układ działał na moją korzyść, ale tutaj, przy tylu obcych ludziach, bez przerwy musiałam się strzec w obawie, że zdradzę się jakimś nieodpowiednim słowem albo nagannym zachowaniem.

Na twarzy Meg dostrzegłam przebiegłość, która mnie martwiła.

- Proszę mi opowiedzieć coś o sobie, panno Smallpiece - powiedziała. - Chciałabym wiedzieć, gdzie pani była i co pani widziała. Sprawia pani na mnie wrażenie osoby, która wie więcej, niż mówi, w przeciwieństwie do większości ludzi, mówiących dużo o sprawach, o których niewiele wiedzą.

Nie byłam w stanie wymyślić odpowiedniej odpowiedzi. Miałam wilgotne dłonie. Ukryłam je w fałdach sukni.

- Przepraszam. Uraziłam panią? - spytała Meg. - Ciocia, wuj, kuzynowie i mój mąż są przyzwyczajeni do mojej otwartości. Nie tylko lubią, gdy zdradzam swoje nieokiełznane myśli, ale wręcz mnie do tego zachęcają. Nic więc dziwnego, że czasami zapominam się w dobrym towarzystwie.

Dobre towarzystwo. O ironio, pani Liston przepraszała mnie, że mogła sprawiać wrażenie prostackiej. Być może cieszyłaby mnie ta sytuacja, gdybym nie czuła się tak niezręcznie.

- Nie, wcale nie czuję się urażona - zapewniłam. - Po prostu nie... nie lubię mówić o sobie.

- To oczywiste. Większość dobrze wychowanych młodych dam nie lubi tego robić. Proszę nie przejmować się mną i moją niestosowną poufałością. Naprawdę przepraszam.

Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Nie ma za co.

Odpowiedziałam na jej uśmiech i poczułam ogromną wdzięczność. Prosząc mnie o wybaczenie, sprawiła, że nawiązała się między nami jakaś bliska więź.

## Rozdział 18

W końcu zaczęłyśmy chodzić na spotkania towarzyskie. Brałyśmy udział w wielu kolacjach - mogło się wydawać, że każda gospodyni wydaje to samo przyjęcie. Zazwyczaj dokładnie o ósmej wypijałyśmy drinka w salonie, gdzie Faith, mnie i wszystkie inne panny ze statku - nigdy nie chciałam używać określenia „flotylla połowowa” - przedstawiano kawalerom. Uczestnicy ucinali sobie błahą pogawędkę, która niezmiennie bardzo mnie nużyła, ponieważ przez cały czas musiałam mieć się na baczności. Do rozpaczki doprowadzał mnie fakt, że co wieczór jestem zmuszona opowiadać tę samą wymyśloną historię, uśmiechać się, słysząc te same

puste frazesy, i udawać, że interesują mnie opowieści panów. Była to męcząca gra, z którą miałam do czynienia wiele razy i w wielu wariantach.

Kiedy odnosiłam wrażenie, że zacznę krzyczeć, jeśli będę musiała choćby chwilę dłużej wytrzymać w nudnym towarzystwie z kieliszkiem przyklejonym do rękawiczki, służący zaganiał nas do jadalni. Poszczególne panie wchodziły do pokoju w odpowiednim porządku, w zależności od tego, jaką pozycję zajmował ich mąż w służbie cywilnej. Hierarchia była bardzo istotna, tak samo jak w przypadku służby.

Podczas bardziej wystawnych przyjęć za wszystkimi krzesłami stali służący; na każdym miejscu leżały sztuce, stał kieliszek na szampana - ze srebrną przykrywką, żeby do środka nie wpadł jakiś insekt - i miseczka z wodą, po której pływał pachnący kwiat. Miejsca były rozplanowane z największą starannością: najstarszy dżentelmen siedział na prawo od gospodyni, a najstarsza dama na prawo od gospodarza. Water-tonowie wyraźnie zajmowali w kręgach towarzyskich wysoką pozycję, podczas gdy Meg - która niezbyt często się do nas przyłączała - plasowała się w hierarchii znacznie niżej. Najgorsze miejsca przy stole przypadły Faith i mnie: dotychczas żaden mężczyzna nie podnosił naszej pozycji w rankingu. Jadaliśmy takie samo angielskie jedzenie w różnych wariantach: zupę, po niej rybę, sztukę mięsa, rozgotowane warzywa, potem pudding i inne smakołyki. W pierwszym tygodniu wydawało mi się, że podobnie do miejsc zajmowanych przy stole i menu wszyscy wyglądają tak samo - dżentelmeni mieli na sobie białe koszule i fraki, kobiety pióra, długie rękawiczki i suknie w podobnym stylu, uszyte przez, jak zakładałam, tych samych *durzich*, którym wyraźnie brakowało nowych pomysłów.

Muszę przyznać, że czasami przypominałam sobie zado czoną, hałaśliwą garkuchnię, w której jadałam z innymi dziewczętami z Paradise Street. Tam bez zahamowań opowiadało się różne historie, śmiech był szczery, a przyjaźń uczciwa. Zdawałam sobie sprawę, że doświadczyłam wolności, jakiej nie zaznał żaden z bywalców salonów.

Po posiłku panom nalewano porto i madere, tymczasem damy zbierały się w salonie z sherry lub ratafią i czekały, aż przyłączą się do nich panowie. Ktoś grał na fortepianie, który jakimś cudem zawsze był rozstro-



jony. W końcu wstawiała najstarsza dama, dając tym samym sygnał do wyjścia. Najwyraźniej nikt nie śmiał opuścić towarzystwa przed nią.

Oprócz wypraw na kolacje zdarzały się też podwieczorki i nieco mniej sztywne spotkania, na których grano w karty albo tańczono w domach w bogatej części Garden Reach, Chowringhee i Alipur.

Męczyły mnie długie i nudne pogaduszki. Język, którego zaczęłam używać w Lyceum - kulturalny, z takim samym akcentem jak Shaker i Faith - nie wymagał już teraz ode mnie skupienia się na nim, natomiast dużo energii zużywałam na udawanie zainteresowania, skromności, a jednocześnie wesołości. W eleganckich salonach moim zdaniem wszystko było nienaturalne: zawsze musiałam grać, dlatego czułam się jak aktorka na scenie. Niestety, sztuka kończyła się dopiero wtedy, gdy kładłam się do łóżka w swoim pokoju u Watertonów, chociaż nawet i tam nie byłam sama. Zawsze towarzyszyli mi służący: *durzi*, osoba zamiatająca, poruszająca meble, chłopiec z packą na muchy, *ayah* i *punkah-wallah*.

Na początku pobytu w Indiach czekałam, kiedy będę mogła zobaczyć kraj. Nie wolno mi było nigdzie wychodzić bez pani Waterton i Faith, chociaż Meg bez ograniczeń mogła spędzać czas z innymi mężatkami. Składałyśmy wizyty właściwie tylko w domach bardzo podobnych do domu Watertonów. Jedynym wyjątkiem była wycieczka na *maidan* w centrum Kalkuty. Oczywiście, w drodze zasłony palankinu zawsze były zaciągnięte. Gdy nas tam niesiono, zerkałam przez szpary, dlatego widziałam brudne zaułki i przecznice, które odchodziły na wszystkie strony od głównej drogi, zobaczyłam też ponure dzielnice Kalkuty. Pani Waterton zganiła mnie za moją ciekawość i od tego czasu siedziałam tak samo jak Faith, z rękami na kolanach, póki nie dotarliśmy na *maidan*. Była to ogromna płaska, zielona esplanada z małymi drzewkami pomarańczowymi i eleganckimi, wysypanymi żwirem ścieżkami. Cały teren otaczały rzędy kwitnących drzew. Nie wolno tu było wchodzić żadnemu Hindusowi, z wyjątkiem *ayah* z dziećmi, a także pracowników, którzy zamiatali ścieżki oraz zbierali zwiedłe liście i kwiaty. Siedziałyśmy na świeżo pomalowanych ławkach i rozmawiałyśmy tak samo, jak damy z

towarzystwa rozmawiały w całej Anglii. Powtarzano Faith i mnie, że powinniśmy cieszyć się pogodą, bo nie potrwa ona dłużej niż do końca stycznia. Podczas krótkiego okresu chłódów nie było upałów i wysokiej wilgotności, które jak mi powiedziano, powodowały niemiłą wysypkę, a co gorsza, wszędzie pojawiały się hordy fruujących i pełzających insektów.

- Upały jak zwykle nadejdą za szybko - ostrzegła pani Waterton, wydymając usta. - O wiele za szybko. Wtedy poznacie prawdziwy smak Indii.

Gdybym tylko mogła!

15 grudnia 1830

Drogi Shakerze!

Traktuję Indie jak wspaniałą okazję do nauki. Czuję się jak *tabula rasa* i czekam, kiedy ta kraina zapisze na mnie wszystko, co jest do zapisanie. Nie wiem, co przyniesie przyszłość, czuję jednak gdzieś w głębi duszy, że Indie wywrą na mnie niezatarte piętno.

Jestem zdumiona podejściem i rolą Anglików, chociaż przebywam tu zbyt krótko, żeby mieć na ten temat jakieś wyrobione zdanie. Po miesięcznym pobycie mogę jednak powiedzieć, że Anglicy spoglądają na tubylców z góry i wcale mi się to nie podoba. Chociaż jestem traktowana z ogromnym szacunkiem przez każdą ciemnoskórą osobę, którą tu spotykam, Anglicy żywią ukrywaną wrogość w stosunku do Hindusów. To nie do wiary, Shakerze. Przecież to ich kraj. Kompania Wschodnioindyjska - po cichutku nazywana tu John Company - przypomina surowego pana, który zmusza rdzennych mieszkańców Indii do posuwania się w kierunku, w którym wcale nie chcą iść. Zwyczajni Anglicy i Angielki natychmiast po osiedleniu się przybierają pozę władców, zachowują się, jakby mieli do tego niepodważalne prawo, natomiast żadnych obowiązków.

Nie podoba mi się to.

Niektórzy nazywają Kalkutę miastem pałaców, ja powiedziałabym raczej, że jest to miasto kontrastów. Okolice domu państwa Watertonów, czyli Garden Reach, to świat niskich, klasycystycznych, białych domów,

które powstały tylko dzięki John Company. Mimo to obok eleganckich sklepów i pięknych budynków można zobaczyć rzędy krytych strzechą, glinianych chat, a na brzegu rzeki pali się zmarłych. Przez zapach jaśminu przebija się smród ścieków i gnijących ciał.

Shakerze, nie uwierzyłbyś, co można tu czasami zobaczyć. Na przykład odkryłam, że Watertonowie zatrudniają służącego, który stoi przez cały dzień na brzegu rzeki za ich domem. Odpycha ciała - na których czasami żerują już sępy - z powrotem do Hugli, żeby nie gromadziły się na brzegu. Człowiek ten sprawiał wrażenie przerażonego, gdy do niego podeszłam i zorientowałam się, na czym polega jego zajęcie. W powietrzu unosił się fetor rozkładających się ciał. Pokazał mi, żebym zasłoniła oczy i zmykała, jakby w jakiś sposób był odpowiedzialny za to, co zobaczyłam, i mógł zostać ukarany. Biedny człowiek.

Anglicy nie zapewniają Hindusom prawie żadnej pomocy medycznej. Pewnego dnia spytałam panią Waterton, dlaczego jest tu tak dużo ludzi chorych i okaleczonych. Wyśmiała mnie, sugerując, że jestem głupia. Poczulałam się znieważona, chociaż starannie ukryłam złość; było nie było, jestem jej gościem. Potem wyjaśniła mi, że „ci poganie” mają potwornie głośnie obrzędy, które traktują jak leczenie, zapewniła mnie jednak, że to wszystko jest bez sensu. Z pewnością ich metody mają w sobie coś więcej, niż sądzi pani Waterton, ale niczego nie próbowałam jej sugerować. Spytałam, czy jakikolwiek Hinduś był leczony przez lekarza . albo choćby tylko cyrulika zatrudnianego przez Kompanię Wschodnioindyjską. Na to tylko pokręciła głową i westchnęła: „Też mi pomysł!”

Muszę bardzo uważać.

Wraz ze mną i Faith przebywa tu ciekawa kobieta. Nazywa się Meg Liston. Dużo się od niej uczę.

Gdybyś chciał coś do mnie napisać, podaję Ci adres. Mam nadzieję, że jesteś zdrowy. Gorąco się o to modłę.

Linny

Dzięki Meg zaczęłam wierzyć, że czeka mnie w Indiach jakaś przyszłość. Meg miała wiele własnych opinii i pytań. Powiedziała mi, że pisze

książkę o świątyniach hinduistycznych i szkice na temat miejscowych obrzędów. Ma zamiar zebrać trochę materiałów podczas podróży do Lucknow. Otwarcie sprzeczała się z panem Watertonem.

- Łatwo wam robić, co sami chcecie, ponieważ nie macie w Indiach żadnych europejskich rywali, panie Waterton -oznajmiła pewnego wieczoru, krótko przed planowanym przyjazdem jej męża. - A po klęsce, choć może raczej powinnam powiedzieć, „miażdżącej klęsce” Marathów w wojnie z Anglikami mniej więcej dwadzieścia lat temu nie macie również żadnych hinduskich partnerów. Kompania rządzi prawie całymi Indiami, a tymczasem nawet nie próbujecie porozumieć się z ich mieszkańcami.

Lewe oko pana Watertona mrugało jak szalone.

- Staramy się, jak możemy, przekazać tutejszym poganom wszystko, co dał nam Wszechmogący. Bez nas panowałyby tu totalna anarchia. Dobry Hindus to posłuszny Hindus, który całkowicie od nas zależy. Musimy mieć w Bogu nadzieję, że dzięki naszym wartościom w końcu w Indiach zapanuje należyty ład i porządek.

- Dzięki naszym wartościom? Ha! - krzyknęła Meg. Ukryłam uśmiech za serwetką.

- I co dzięki nim udało się wam dotychczas osiągnąć?

- Meg? Może napijesz się kompotu? - spytała pani Waterton, zerkając na męża z przyklejonym do twarzy bladym uśmiechem. - Kucharz tak bardzo się starał, żeby zrobić wszystko jak należy. Pracuję z nim od...

- Co udało się nam osiągnąć? - powtórzył pan Waterton. -Pani Liston, niech się pani rozejrzy wokół siebie. Nie wierzy pani w hierarchię towarzyską? Nie wierzy pani, że Brytyjczycy i Brytyjki stoją na samym szczycie, a dzięki temu mogą rządzić i przynosić oświecenie?

- A dlaczego stoimy na szczycie? - spytałam.

Wszystkie głowy zwróciły się w moją stronę; poczułam trwogę.

- Masz rację, Linny - powiedziała Meg. - Widzicie? Ona też się zgadza. Jesteśmy nowym pokoleniem. Linny, ja... i Faith - dodała po chwili

wahania - jesteśmy pewnymi siebie kobietami, gotowymi podjąć wyzwanie i być częścią większej całości.

Faith wydała dźwięk, który mógł oznaczać zgodę albo protest. Chciałam nią potrząsnąć. Dlaczego się nie odzywa? Dawniej miała tyle do powiedzenia, moim zdaniem czasami aż za dużo. Niestety, chwilami odnosiłam wrażenie, że jakaś jej część została w Liverpoolu. Może uznała, że dawna Faith nie nadawała się na kandydatkę na żonę, dlatego teraz postanowiła dopasować się do powszechnych wymagań, mając nadzieję, że taka postawa przyniesie lepszy skutek. Miałam zamiar ją o to spytać.

- Och, moi drodzy - wtrąciła pani Waterton, przestając się uśmiechać.  
- Chyba musimy przenieść się z kawą na werandę. Tam jest więcej świeżego powietrza. Proszę, wyjdźmy na zewnątrz.

Wstała. Byłyśmy zmuszone zrobić to samo i pójść za nią. Pan Waterton powiedział, że chce zapalić w pokoju bilardowym, a rozmowa - tym razem kierowana przez panią Waterton - powróciła do pogody i sposobu, w jaki reagują na nią kwiaty.

- Po kilku naprawdę ciepłych dniach zwiędną wszystkie floksy i nasturcje - wyjaśniała gospodyni.

Zauważyłam, że piersi Meg zbyt szybko się unoszą i opadają. Siedziała sztywno na skraju krzesła, nie włączając się do rozmowy i wręcz ignorując próby prowadzenia przez panią Waterton konwersacji. W końcu wstała, przeprosiła i poszła do ogrodu. *Mali* poszedł za nią z lekkim krzeselkiem na wypadek, gdyby chciała usiąść. Niecierpliwie machnęła mu ręką. Odstawił krzesło i kucnął obok niego. Ani na moment nie spuszczał Meg z oka, jakby miał nadzieję, że Angielka mimo wszystko zmieni zdanie i będzie potrzebowała jego usług.

Gdy Meg znalazła się poza zasięgiem głosu, pani Waterton pokręciła głową.

- Doprawdy, nie wiem, jak poradzi sobie z nią jej mąż. Pani Liston zbyt jawnie okazuje swoją wiedzę. To zła cecha. Naprawdę zła.

Zerknęłam na Faith, która bezmyślnie skubała luźne włókienko rattanu w oparciu fotela. W sukni z jasnoróżowego batystu i w dobranych ko-

lorystycznie różowych satynowych pantofelkach wyglądała ślicznie i zwiewnie.

Kilka dni później przyjechał mąż Meg. Był przystojnym młodym mężczyzną. Jego lewe oko przesłaniała czarna przepaska, która dodawała mu ogromnego uroku. Nim on i Meg wyjechali, dużo opowiadali o czekających ich przygodach. Żegnając się z nią, wiedziałam, że będzie mi jej brakowało. Zazdrościłam jej: muszą być w Indiach również i inne Angielki, które nie postępują tak jak wszystkie, ale z tego, co widziałam, stanowią ogromną mniejszość.

Przebywałyśmy w Kalkucie od miesiąca, a ja wciąż nie widziałam prawdziwych Indii. Wiodłam angielskie życie, jadłam angielskie potrawy, słyszałam wokół siebie tylko język angielski i widziałam jedynie to, co mi pozwolono zobaczyć. Czułam, że mogłabym pokochać Indie, dlatego wpadłam w rozpacz: kiedy w końcu i w jakich okolicznościach będę mogła lepiej poznać Kalkutę, a może nawet kraj? W Kalkucie byłam więzieniem bardziej niż w Liverpoolu czy nawet Evertonie. Wrażenie, że znalazłam się w niewoli, rosło z dnia na dzień.

Krótko przed wyjazdem Meg spytałam ją, jak znosi czekanie na męża i całkowitą bierność w domu Watertonów. Czy nie tęskni za nowym życiem? Swoim prawdziwym życiem, jak dawno temu w Liverpoolu powiedziała Chinese Sally. Myślałam, że Meg też na to czeka.

- Mieszkając w Indiach, nauczyłam się cierpliwości - odparła. - Pomaga mi przysłowie zaczerpnięte z języka pasztu: „Cierpliwość jest gorzka, ale jej owoce są słodkie”.

Powtarzałam je wielokrotnie każdego dnia.

Wyglądało na to, że Faith nie potrzebuje przysłów. Sprawiała wrażenie zadowolonej z nudnych wizyt na *maidanie*, pomagania pani Waterton w układaniu posiłków, odpisywania na zaproszenia, które dostawałyśmy, siedzenia w ogrodzie i, oczywiście, uczestniczenia w ciągnących się bez końca spotkaniach towarzyskich. Faith miała rację: w Indiach na jedną kobietę przypadało ponad trzech mężczyzn.



Coraz częściej myślałam o zachowaniu mojej przyjaciółki. Początkowo sądziłam, że jest po prostu wykończona długą podróżą, a po jakimś czasie odzyska dawną werwę. Jednak z upływem tygodni stało się jasne, że postanowiła w Kalkucie zachowywać wszelkie pozory przyzwoitości, chociaż w Liverpoolu tak bardzo ich unikała. Często na mnie warczała, gdy nie mogłam uwierzyć, że aż tak dostosowuje się do próżnego, płytkiego życia w Garden Reach.

- Przyjechałam do Indii w konkretnym celu, Linny - powiedziała. - Liczy się tylko sezon towarzyski. - Odgarnęła z czoła niesforny kosmyk włosów. - Nie przeżyłabym upokorzenia, jakim byłaby konieczność powrotu do domu.

Rzeczywiście robiła, co mogła. Często słyszałam z drugiego końca pokoju jej śmiech, ale tylko ja wychwytywałam w nim rozpacz. Przez cały czas kręciło się wokół niej wielu panów. Po powrocie z kolejnego przyjęcia niezmiennie przychodziła do mojego pokoju, siadała na łóżku i opowiadała o każdym młodym człowieku oraz o tym, co jej powiedział. Ulu-bieńcem Faith był ciemnowłosy, nieśmiały dżentelmen, pan Snow - Charles, jak mi się zwierzyła - który mało mówił, ale sprawiał wrażenie oczarowanego jej paplaniną i kolorem włosów.

Jeśli o mnie chodzi, byłam zmęczona stadami szacownych młodych mężczyzn, z których żaden mnie nie interesował. Choć bardzo się starałam, w każdym z nich bez trudu znajdowałam wady. Niektórzy wydawali się zbyt małowinni i zarozumiali, ale przerażająca większość była po prostu próżna. Przechadzając się dumnie po salonach, przypominali mi pawie z rozstawionymi ogonami.

Zastanawiałam się, czy to wszystko dlatego, że w przeciwieństwie do pozostałych pań swego czasu aż za dobrze poznałam mężczyzn.

Na jednym z przyjęć, tydzień przed Bożym Narodzeniem, poznałam Somersa Ingrama.

Był wysoki i przystojny, miał gęste, falujące, ciemne włosy, starannie przystrzyżony wąsik, ciemnobrązowe oczy i regularne rysy twarzy: orli nos, pełne usta i mocny podbródek. Skóra jego twarzy była spalona słoń-

cem. Kiedy nas sobie przedstawiono, pochylił się nad moją dłoń, przytrzymał ją dłużej, niż było to konieczne, i nieśmiało się do mnie uśmiechnął. Dobrze znałam ten typ mężczyzn, ale doszłam do wniosku, że być może pod promiennym uśmiechem i prostodusznym wyrazem twarzy starannie ukrywa coś więcej. Odpowiedziałam uśmiechem i zapewniłam, że miło mi go poznać.

- Przyłąnęła pani listopadowym statkiem, prawda? - spytał.

- Tak. Długo mieszka pan w Indiach?

- Od pięciu lat.

- Na pewno przeżył pan mnóstwo niezapomnianych przygód.

To była gra: te same pytania, identyczne odpowiedzi. Czy pan Ingram jest tak samo znudzony jak ja?

- Owszem. A jakie są pani wrażenia z pobytu w Indiach? Każdy młody mężczyzna, z którym rozmawiałam, zadawał

mi to pytanie. Miałam wykuty na pamięć krótki tekst, który słyszałam z ust Faith i innych pań, jak tu cudownie i egzotycznie, jak ogromnie różnią się Indie od Anglii. Zwyczajne kłamstwa, bo przecież nie pozwolono nam dotychczas na wyrobienie sobie własnego zdania na temat Indii. Na razie wszystko było tu angielskie: nieustanna dbałość o odpowiednie maniere, snobizm, o którym świadczyła wyraźna hierarchia mężczyzn w służbach cywilnych, ograniczanie się do spożywania tylko angielskich potraw, dziwna pogarda okazywana hinduskim służącym.

Tego wieczoru byłam znużona i prawdę mówiąc, miałam zły humor. Westchnęłam.

- Chciałabym umieć odpowiednio porozumiewać się ze służbą - wyznałam. - Skoro mieszka pan tu od pięciu lat, z pewnością dobrze posługuje się pan hindi, panie Ingram.

- Znam go tylko o tyle, o ile to konieczne. Głównie rozkazy i upomnienia.

Zapadło milczenie. Pan Ingram czekał na moją odpowiedź. Czy powinnam postąpić zgodnie z wymogami etykiety i zgodzić się z nim? Nie. Spojrzałam mu prosto w oczy. Wydawało mi się, że zobaczyłam w nich coś dziwnego. Uznałam, że mój rozmówca należy do ludzi, z których nie

należy stroić sobie żartów. Być może okaże zainteresowanie, jeśli powiem, co naprawdę myślę.

- Chciałabym umieć więcej. Uczę się ich języka, ale jest bardzo trudny. Próbuję ćwiczyć ze służącymi w domu państwa Watertonów, ale nie chcą mi odpowiadać. Nie wiem, czy niepoprawnie wymawiam słowa, czy boją się reagować.

- Może ani jedno, ani drugie. - Pan Ingram lekko przymrużył oczy. - Może źle się czują, gdy zniża się pani do ich poziomu. Są zażenowani. Nie rozumiem, po co zadaje sobie pani tyle trudu. Wystarczy znajomość kilku słów, tyle, żeby wiedzieli, co mają robić. Prawdę mówiąc, są jak dzieci. Najlepiej trzymać ich twardą ręką. I konsekwentnie. Ich własny świat jest taki chaotyczny, niezdyscyplinowany, że są szczęśliwsi, gdy ktoś nimi kieruje i wiedzą, czego się spodziewać, jeśli nie posłuchają.

Nie odpowiedziałam. Był tak samo arogancki jak reszta, dlatego próbowałam wymyślić odpowiedź, której nie powstydziliby się Meg, ale mi się nie udało. Sprawił mi zawód: przez krótką chwilę wydawało mi się, że pan Ingram jest inny.

Moje rozdrażnienie rosło. Staliśmy wśród szelestu jedwabiu i delikatnej wełny, śmiechów i pomruku rozmów. Nie chciałam dłużej z nim rozmawiać; pan Ingram doszedł chyba do tego samego wniosku, bo omiód wzrokiem całe pomieszczenie. Nie było jednak sposobu, żeby którekolwiek z nas mogło uprzejmię zakończyć rozmowę i odejść.

- Ma pan rodzinę w Anglii, panie Ingram?

- Nie. Matka umarła, gdy byłem dzieckiem. Mieszkałem w Londynie, ale pięć lat temu, po śmierci ojca, postanowiłem przyjechać tutaj. Pocho-  
dzi pani z Londynu, panno Small-pieczę?

Przyglądał mi się bardzo natarczywie.

- Z Liverpoolu.

- Nigdy nie byłem w tym mieście. Tam mieszka pani rodzina?

- Moi rodzice od dawna nie żyją. Ostatnio przebywałam w domu ciotki i kuzyna. - O wiele łatwiej udzielać prostych odpowiedzi.

- Pewnie mieszkają na Mount Pleasant?

- Nie, na północ od miasta, w Evertonie. Podobno nie był pan w Liverpoolu, panie Ingram.

Wyraz jego twarzy się nie zmienił, ale mój rozmówca zamrugał, a potem musnął palcami wąsik. Nim otworzył usta, wiedziałam, że skłamię. Swój poznaje swego.

- Każdy słyszał o pewnych miejscach, nawet jeśli nigdy tam nie był.
- Chyba tak - odparłam.

Odchrząknął, wyciągnął szyję i spojrzał na kogoś za moimi plecami. Chwilę później obok mnie pojawił się starszy dżentelmen. Pan Ingram przedstawił mnie i uprzejmie się oddalił.

Nieco później tego samego wieczoru, gdy przygotowywałam się do wyjścia, widziałam, jak pan Ingram rozmawia z innym młodym mężczyzną. Trzymał kieliszek w ręku i uważnie słuchał. Gdy na niego patrzyłam, obejrzał się, a nasze spojrzenia się spotkały. Nieco zbyt długo patrzyliśmy sobie w oczy. Żadne z nas się nie uśmiechnęło.

Przystojny pan Ingram był intrygujący, ale zbijał mnie z tropu: będąc przy nim, miałam ochotę uciec, gdzie pieprz rośnie. Nie mogłam zrozumieć tej mieszanki zauroczenia i obrzydzenia, a to wrażenie wracało do mnie przy każdym następnym spotkaniu.

Uprzedzam jednak fakty.

## Rozdział 19

Nazajutrz po poznaniu Somersa Ingrama spytałam Faith, czy go zna; jak się okazało, poznała go i wydał jej się czarujący.

- Z tego, co słyszałam, zajmuje bardzo wysokie stanowisko w Kompanii Wschodnioindyjskiej - powiedziała. - Dużo się o nim mówi, ponieważ pomimo młodego wieku bardzo wysoko zaszedł. Poza tym wyrażenie pochodzi z bogatej rodziny. Niektórzy twierdzą, że tak szybki awans był możliwy tylko dzięki rodzinnym powiązaniom. Chociaż z drugiej strony nie można wierzyć we wszystko, co się słyszy.

Przytaknęłam.

- Czemu pytasz, Linny?

- Poznałam go wczoraj wieczorem - wyjaśniłam. - Moim zdaniem jest arogancki.

- Ależ skąd, Linny! A skoro już mowa o arogancji, z pewnością należałoby przypisać tę cechę panu Whittingtonowi. Czy miałaś z nim do czynienia choćby przez chwilę?

Zaczęła opowiadać o innych kawalerach, a ja przestałam jej słuchać. Zastanawiałam się, co ukrywa pan Ingram i kiedy nasze ścieżki znów się skrzyżują.

Nastąpiło to podczas wielkiego balu wydanego w Klubie Kalkuckim na powitanie tysiąc osiemset trzydziestego pierwszego roku. Przybyła znaczna część kalkuckiej elity, razem ponad trzysta osób. Mój karnet był wypełniony od dwóch tygodni. Włożyłam na tę okazję suknię balową, którą kazałam sobie uszyć - ponieważ Faith bardzo nalegała - jeszcze przed wyjazdem z Liverpoolu. Wykonana była ze złotego brokatu i przejrzystego jak pergamin jedwabiu, dekolot osłaniała koronka. Gdy przeglądałam się w pełnowymiarowym lustrze, blask świec połyskiwał w fałdach sukni, a ja czułam, że kreacja dodaje mi pewnego splendoru.

Bardzo się zmieniłam od dnia, kiedy z przerażeniem spojrzałam w lustro w domu Shakera po okropnej nocy, gdy mnie uratował. Teraz miałam gęste, błyszczące włosy, rozpromienione oczy i czystą cerę. Gdy *ayah* mnie czesała, wiedziałam, że na balu będzie Somers Ingram. Zaraz po przyjeździe na miejsce zaczęłam szukać go wzrokiem. Nie widziałam go w foyer, nie było go również, gdy zasiedliśmy do kolacji, pojawił się jednak, gdy zaczęły się tańce.

- Witam, panno Smallpiece - powiedział.

Ponownie byłam zaskoczona jego postawą, gładkością skóry i pełnymi wargami.

- Czy mogę prosić pannę Smallpiece do tańca, pani Wa-terton?

Wyciągnął do mnie rękę w rękawiczce. Pani Waterton roześmiała się perliście i przytrzymała mój karnet na odległość ramienia, żeby do niego zajrzeć.

- Przykro mi, panie Ingram, nie widzę w jej karnecie pańskiego nazwiska.

- Och, darujmy sobie formalności, proszę pani - namawiał. - Oczywiście, wszystko zależy od tego, czy panna Small-piece zechce sprawić mi przyjemność.

- Mogę, pani Waterton? - spytałam, zerkając na nią. Bardzo chciałam z nim zatańczyć.

- Ależ oczywiście, moja droga. Przepraszę w pana imieniu zawiedzionego partnera, jeśli się pojawi.

Sunęliśmy po parkiecie w rytm walca. Początkowo rozmowa z panem Ingramem szła jak po maśle. Mówił o dobrej organizacji balu, o problemach ze swoim *khansaną*, o zawodach sportowych, w których ostatnio brał udział.

- Jest pan wspaniałym tancerzem, sir - powiedziałam, wspierając rękę w rękawiczce najego ramieniu.

Drugą pewnie ścisnął w swojej dłoni.

- Dziękuję, panno Smallpiece - powiedział i przyciągnął mnie nieco bliżej.

Podczas obrotów czułam jego uda na swoich. Żaden inny kawaler nie poczynał sobie ze mną tak odważnie, większość trzymała się w odpowiedniej, a nawet większej, niż to konieczne, odległości.

- Wyczuwam w pani krokach pewne wahanie. Czy jest pani znudzona tańcem, czy tylko brak pani umiejętności?

Byłam zaszokowana jego niezbyt pochlebnyim stwierdzeniem. Zatrzymałam się w połowie obrotu.

- Jest pan nieuprzejmy, sir - powiedziałam, wkładając w swoje słowa tyle oburzenia, na ile było mnie stać.

Nie podobała mi się niewypowiedziana sugestia, że być może nie tańczę zbyt często w najelegantszych salonach i salach balowych. Przypo-



mniałam sobie Meg Liston, która otwarcie przyznawała, że nie lubi tańczyć.

- Nie wszystkie jesteśmy tak utalentowane jak pan, panie Ingram - dodałam, tym razem pozwalając sobie na bezczelny ton. - Poza tym niektóre z nas wolą spędzać czas na zajęciach stanowiących większe wyzwanie intelektualne niż taniec. — Patrzyłam, jak jego oczy robią się okrągłe. - Prawdę mówiąc, sądząc po pańskiej sprawności na parkiecie, jestem pewna, że pańskie talenty ograniczają się raczej do wykonywania mechanicznych ruchów, a wyzwania intelektualne w ogóle pana nie interesują.

Roześmiał się głośno i szczerze.

- Dobrze powiedziane, panno Smallpiece. Czuję się skarcony. Oczywiście, tańczy pani lekko i z dużą gracją. Pozwoliłem sobie na pewną zachwałność, ponieważ czułem, że jest pani znudzona. Zastanawiałem się, jak zareaguje pani na słowa pozbawione normalnych uprzejmości, które wszyscy tu jesteśmy zmuszeni wypowiadać przy każdym tańcu.

Byłam zaskoczona, że tak dobrze mnie wyczuł. I że miał czelność - nie, odwagę - o tym powiedzieć. A zatem usłyszał to, co usiłowałam ukryć w swoich słowach i tonie.

Znów tańczyliśmy w zgodnym rytmie.

- To znaczy, że mnie pan sprawdzał? Czy tak? Uśmiechnął się promiennie.

- Może pani tak to określić. Co więcej, panno Smallpiece, z prawdziwą przyjemnością informuję, że zdała pani mój test. Ma pani odwagę, której brakuje większości obecnych tu młodych dam. I pogodę ducha, jak widzę, ponieważ błyszczą pani oczy. Podziwiam złote strzały, które wysyła pani w moją stronę.

Teraz już jawnie ze mną flirtował. W ciągu kilku sekund przeszedł od obelgi do komplementu. Nie wiedziałam, jak sobie radzić z Somersem Ingramem.

- Co pan robi dla Kompanii, panie Ingram? - spytałam, biorąc głęboki wdech.

- Jestem głównym rewidentem - odparł. Nie miałam pojęcia, co to za praca.

- Cudownie.

- Naprawdę tak pani myśli? Dlaczego? Jestem ciekaw, co pani zdaniem jest w mojej pracy takie „cudowne”.

Czyżby znów czytał w moich myślach? Jak śmie stawiać mnie w tak niezręcznej sytuacji? Większość mężczyzn przyjęłaby komplement dotyczący ich stanowiska i zaczęła o nim opowiadać, dzięki czemu dowiedziałabym się, na czym polega ich praca. Nie sprawdzałyby moich reakcji.

- Nie ma pani pojęcia, kim jest główny rewident, prawda? Zacmokałam i uśmiechnęłam się łobuzersko. Zdałam sobie sprawę, że potrafię flirtować równie dobrze jak on.

- Naprawdę jest pan nieznośny, panie Ingram.

- Och, niech pani da spokój, panno Smallpiece. To do pani nie pasuje.

- Co do mnie nie pasuje?

- Udawanie, że czuje się pani urażona. Dlaczego powiedziała pani, że moja praca jest cudowna, skoro pani nie wie, na czym ona polega, i co więcej, moje zajęcie w ogóle pani nie interesuje?

Nim zostałam zmuszona do odpowiedzi, taniec dobiegł końca. Pan Ingram odprowadził mnie do pani Waterton.

- Czy będzie pani tak uprzejma i pozwoli mi dziś wieczorem zatańczyć z panną Smallpiece jeszcze raz? - spytał ją.

- Wielu młodych mężczyzn zabiega o jej towarzystwo - odparła pani Waterton, wachlując się moim karnetem. - Panna Smallpiece nie może być niegrzeczna.

- Oczywiście - przyznał pan Ingram i ponownie się uklonił.

Poczułam zawód, a jednocześnie ulgę, że nie będzie więcej wprawiał mnie swoim zachowaniem w zakłopotanie.

- Chociaż - dodała pani Waterton - może się okazać, że pod koniec wieczoru znajdzie się jakiś wolny taniec.

Pan Ingram pochylił się nad moją dłoń, którą wciąż trzymał, i przycisnął usta do mojej rękawiczki.

- Nie będę mógł się doczekać - zapewnił i odszedł. Mimo to nie wrócił, a ja nie widziałam go więcej w dumie.

Kiedy pan Ingram nie pojawił się na ostatni taniec, czułam się tak, jakbym poniosła pewną stratę... nie, nie stratę, bo to by oznaczało, że za czymś tęsknię. Może raczej była to frustracja. Zupełnie jak w przypadku mojego uwięzania u boku Faith i Watertonów w Garden Reach, podczas gdy Indie znajdowały się w zasięgu ręki.

Zastanawiałam się, kiedy znów zobaczę Somersa Ingrama, chociaż wcale nie tęskniłam, żeby się znaleźć blisko niego. Coś mnie w nim niepokoiło.

Następnym razem spotkaliśmy się w styczniu na *soirée* w Klubie Kalkuckim. Skóra pana Ingrama była jeszcze bardziej opalona, jakby ostatnio dużo przebywał na świeżym powietrzu. W towarzystwie innych ludzi wymienialiśmy opinie na tradycyjne tematy, takie jak pogoda (chłodno i miło), architektura (renowacja niektórych sal Writers Building), polityka w Indiach (pogłoski o problemach z administracją radży My-sore) i wieści z kraju (nadzieje związane ze statkami parowymi).

Gdy jakiś czas później zostaliśmy sami przy wysokich drzwiach, skomentowałam jego wygląd.

- Bardzo dobrze pan wygląda, panie Ingram - powiedziałam. - Dużo przebywał pan na świeżym powietrzu?

- Przez cały ostatni tydzień polowałem. Pogoda była wspaniała, ale, niestety, już wkrótce się skończy. Trzeba z niej korzystać. Lubi pani jazdę konną, panno Smallpiece?

Musnęłam palcem swój mankiet.

- Nie bardzo.

Nigdy nie siedziałam na koniu.

- Powinno panią ciągnąć do przejażdżek, do słońca i wiatru. Mogłaby pani galopować wśród pięknych krajobrazów i poznawać nowe miejsca. Nie miała pani jeszcze takiej możliwości?

Gdyby wiedział, jak bardzo tego pragnęłam.

- Może przyłączyłaby się pani do naszej małej grupki? W przyszłym tygodniu wraz z kilkoma przyjaciółmi i młodymi damami wybieram się na niewielką wyprawę. Mają nam towarzyszyć państwo Weymouthowie.

- Raczej nie skorzystam, panie Ingram. Dziękuję bardzo za zaproszenie, ale...

- Proszę zapomnieć o wstydlivości, panno Smallpiece. Nie pasuje do pani, co już mówiłem poprzednim razem.

- Nie jestem wstydliva - zapewniłam ze złością.

- Naprawdę? W takim razie o co chodzi? Czy wie pani, jak bardzo zdradza panią wyraz twarzy? Niemal widzę, jak prowadzi pani wewnętrzną wojnę. Co panią powstrzymuje przed wyrażeniem zgody? Niech pani da spokój, panno Smallpiece. Lubię prawdę. Dostrzegam, że niepokoi panią moje towarzystwo.

Teraz byłam już nie tylko poirytowana. Jego arogancja sprawiła, że ze złości na mojej twarzy pojawiły się rumieńce.

- Dama nie musi się tłumaczyć - powiedziałam gniewnie.

- Dama również się nie zapomina - dodał. - Czyżbym wyczuwał w pani głosie nieuprzejmość?

- Nie jestem zachwycona pańskimi manierami, sir - szepnęłam. - Mogę pana zapewnić, że się nie zapominam. Nigdy.

Uniósł jedną brew i zrobił wkurzająco zarozumiałą minę.

- Naprawdę? - Jego oczy wwiercały się w moje. Potem szepnął, dotykając wargami mojego policzka: — Nie wierzę pani.

Jego oddech był ciepły. Zachowywał się zbyt poufale, zwłaszcza że położył rękę na moim ramieniu i zaczął muskać mój rękaw.

Krew zaczęła tętnić mi w uszach. Twarz Ingrama była zaledwie kilka centymetrów od mojej, na jego ustach błąkał się niewyraźny uśmiezek. Protekcjonalny uśmiezek, ponieważ wyraźnie zakładał, że jestem podobna do innych głupich dziewcząt i zemdleję u jego boku, a tym samym padnę mu w ramiona. Uważałam, że jest atrakcyjny, ale go nienawidziłam za bezczelność i świadomość własnego uroku.

Przysunęłam twarz jeszcze o centymetr do jego policzka.

- Panie Ingram - szepnęłam, zaciskając szczękę. Odwrócił lekko głowę, dzięki czemu mogłam mówić mu do ucha. Drżałam, czując przyływ siły.

- Niech pan zabierze z mojego ramienia swoje cholerne łapsko.

Słowa te wypłynęły... nie, wybuchnęły z całą jadowitością, na jaką było mnie stać.

Odsunął głowę, jakbym go uderzyła. W tym momencie zdałam sobie sprawę, co zrobiłam... do czego sprowokował mnie Somers Ingram. Niezależnie od wewnętrznej walki przez ostatnie dwa miesiące zachowywałam się jak dama. Tymczasem jeden człowiek sprawił, że zapomniałam, kim podobno jestem: rzucił mi wyzwanie, a ja, głupia, dałam się sprowokować.

Somers Ingram spojrzał mi prosto w oczy, a to, co zobaczyłam, sprawiło, że błyskawicznie zacisnęłam powieki. Jak mogłam być tak głupia? Tak ciężko pracowałam.

- Czy dobrze panią usłyszałem, panno Smallpiece? - spytał. Zdjął dłoń i cofnął się o krok z triumfem na twarzy. Sądząc po jego minie, osiągnął to, na czym mu zależało.

- Ja... ja... - Uniosłam rękawiczkę do rozpalonej twarzy. Pot zbierał się pod mocno ściągniętym gorsetem.

Pan Ingram rozejrzał się dookoła, by się upewnić, czy nadal nikt nas nie obserwuje. Ujął moje palce w dłoń, trzymał je lekko, ale nadal zachowywał się zbyt poufale. Musnął kciukiem wewnątrz mojej dłoni, a ja pod wpływem jego pieszczoty zadrżałam. Potem powiedział cicho i z wyraźnym zadowoleniem:

- Moja droga panno Smallpiece, po raz ostatni taki język słyszałem w tureckiej łaźni we wschodnim Londynie.

Nie miałam nic do powiedzenia.

Pan Ingram puścił moją rękę i odsunął się na odpowiednią odległość.

- Panno Smallpiece, bardzo podoba mi się pani... otwartość, jeśli chodzi o sposób wyrażania uczuć. Sam też nie unikam prostackich słów, oczywiście w odpowiednich okolicznościach. Mam przyjąć, że była to zdecydowana odmowa na propozycję konnej przejażdżki?

Odwrociłam się na pięcie i opuściłam go, szeleszcząc suknią. Miałam nadzieję, że udaje mi się zachować resztki godności.

Trzydziestego pierwszego stycznia u Clutterbucków odbywał się wieczorek karciany, na który zaproszono Watertonów, Faith i mnie. Byłam w dobrym nastroju: tego popołudnia udało mi się namówić Faith, żeby wraz ze mną wykradła się na pół godziny podczas wyprawy na *maidan*. Zwykle czujne oko pani Waterton było nieco uśpione, bo spotkała swoją starą przyjaciółkę z placówki na północy. Całkowicie zatopiły się w rozmowie, tymczasem Faith i ja siedziałyśmy na sąsiedniej ławce. Kiedy uprzejmie spytałam, czy ja i Faith możemy trochę pospacerować, nasza opiekunka bezwiednie przytaknęła.

Gdy tylko znalazłyśmy się poza zasięgiem wzroku pani Waterton, skierowałam Faith poza plac. Następnie, trzymając ją za rękę, przeciągnęłam przez rząd czekających riks i palan-kinów. Faith wahała się, ale nie puszczałam jej ani na chwilę.

- Linny! Linny, zatrzymaj się! Dokąd idziemy? - pytała z zarumienioną i pełną obaw twarzą.

- Nie wiem. Na tym polega cały urok. Wybuchnęłam śmiechem.

- Nie możemy, Linny. Co będzie, jeśli ktoś nas zobaczy? Jeśli coś się nam stanie? Jeśli ktoś...

Zignorowałam jej wymuszone krzyki. Po minucie znalazłyśmy się na bazarze. Na jednym stosie leżały różne kwiaty -rozpoznałam wśród nich róże i nagietki, dalej owoce i warzywa, których nigdy nie widziałam. Zatrzymałam się przed jednym z wozów i zdjęłam rękawiczkę, by dotknąć podłużnych warzyw ułożonych w stosik. Niektóre były jasne jak kość słoniowa, inne ciemnofioletowe. Człowiek, który kuczał obok na piętach, podskoczył, wziął fioletowe warzywo i wcisnął mi je do rąk. Pokręciłam przecząco głową. Z trudem wydumaczyłam mu w hindi, że nie mam pieniędzy, ale on delikatnie położył warzywo na mojej dłoni, a potem nisko się skłonił. Zrozumiałam, że dostałam je w prezencie. Pochyliłam głowę, a on przytaknął z godnością.



- Co to jest? Co z tym zrobisz? - spytała Faith, trzymając się mnie kurczowo.

- Sama nie wiem - powiedziałam - ale nie mogłam go urazić, nie przyjmując daru.

Poszłyśmy wąską ścieżką przez bazar, wdychając zapachy gorącej oliwy, czosnku i tytoniu. Rozpoznałam imbir i goździki, ale było też mnóstwo innych przypraw, których nazw nie znałam. W pewnym miejscu rozchodził się wspaniały zapach drewna sandałowego, chwilę później poczułam palone krowie łajno, a Faith zasłoniła nos rękawiczką. Gdy miałyśmy piecyki, na których kobiety przyrządzały płaskie placki, zdałam sobie sprawę, że jestem głodna i chciałabym spróbować czegoś, co rozgniatały w palcach, a potem wrzucały do płaskiego rondla i piekły. Słyszałam urywki obco brzmiącej muzyki i nieznanymi instrumentów, brzęczenie dzwoneczków i skrzypienie osi wozów zaprzężonych w woły.

Gdy się zatrzymałam, Faith na mnie wpadła. Stałam nieruchomo z zamkniętymi oczami i słuchałam.

- Dlaczego stajesz, Linny? Czy wiesz, jak wrócić na *mai-dan*? O rany, spójrz na to dziecko! Czy ten chłopczyk jest całkiem sam?

Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że po twardo ubitej ziemi idzie chwiejnym krokiem nagi, może dwuletni brzdąc. Do nadgarstka miał przywiązany czerwony sznureczek. Gdy pobiegłam za nim wzrokiem, zauważyłam, że drugi koniec sznurka przywiązany jest do ręki młodej kobiety, która trzymała niemowlę przy sari i targowała się ze sprzedawcą o kawałek żółtej bawełny.

- Nie, spójrz, tam jest jego matka.

Brzdąc podszedł prosto do nas, zatrzymał się i spojrzał na mnie. Zaciśnął małe paluszki na fałdach mojej popelinowej sukni. Uśmiechnęłam się i położyłam dłoń na jego ciemnej główce. Miał jedwabiste włosy.

- Nie dotykaj go, Linny - szepnęła Faith. - Możesz zarazić się jakąś chorobą.

- To tylko dziecko, Faith - zapewniłam ją. - Popatrz, jaki jest ładniutki.

- Ale bezwstydnym. Nic na sobie nie ma.

Malec spojrzał na błyszczące, fioletowe warzywo, które trzymałam w drugiej ręce. Puścił moją sukienkę i wyciągnął w górę obie rączki. Miał ogromne, lśniące czarne oczy. Wydał cichy okrzyk, taki sam jak małe dzieci na całym świecie, kiedy czegoś chcą. Włożyłam mu warzywo do wyciągniętych rączek.

Zauważyłam szarpnięcie za sznurek przy jego nadgarstku, a wtedy przeniosłam wzrok na matkę brzdąca. Przyglądała mi się wyraźnie zaniepokojona. Uśmiechnęłam się do niej, wtedy się rozluźniła i odpowiedziała uśmiechem. Faith pociągnęła mnie za rękaw.

- Musimy znaleźć drogę powrotną, Linny. Minęło zbyt dużo czasu. Pani Waterton pewnie nas już szuka. Wkrótce może się zorientować, że opuściliśmy *maidan*.

- Dobrze, już dobrze - powiedziałam, jeszcze raz spoglądając na malca, który na lekko zaokrąglonych nóżkach poszedł chwiejnym krokiem w stronę matki, śmiejąc się i niosąc warzywo.

Instynktownie znalazłam drogę biegnącą przez bazar; niewiele się różnił od placów targowych, przez które przebiegałam codziennie w Liverpoolu.

Faith westchnęła z ulgą, gdy przed naszymi oczami pojawił się *maidan*.

- Byłyśmy bardzo niegrzeczne, nie sądzisz, Linny? - powiedziała, uspokojona.

Wyraźnie uznała, że zrobiłyśmy coś, co przypominało śmiały najazd na obcy teren. Odgłosy bazaru ucichły, pozostało jedynie nikłe wspomnienie dźwięków i zapachów.

- Pani Waterton dostałaby ataku niestrawności, gdyby wiedziała o naszej przygodzie.

- Zróbmy więc wszystko, żeby się o niej nie dowiedziała - zaproponowałam z uśmiechem na ustach.

Dawna Faith mieszała się z nową. Z powrotem włożyłam rękawiczki i jedną z nich uniosłam do twarzy. Wyczułam na niej ślad ostrego, przesyconego dymem zapachu Indii, jakie chciałam poznać. Wzięłam Faith pod ramię i energicznie ruszyliśmy przed siebie.

Gdy wieczorem przybyliśmy do Clutterbucków, wciąż odczuwałam radość po niespodziewanej popołudniowej chwili wolności. Chociaż byli i inni goście, pan Ingram i ja niemal od razu natknęliśmy się na siebie w otwartych drzwiach werandy. Na jego widok poczułam w głębi duszy pewną radość, jednocześnie ogarnął mnie niepokój: nie chciałam z nim rozmawiać, nie chciałam, by patrzył na mnie w sposób, który prowokował mnie do nieuprzejmych reakcji. Bałam się, że zepsuje mi nastrój. Potrzebowałam świeżego powietrza. Pokoje były zadoczone, unosiły się w nich zapachy kobiecych perfum, a także woń jaśminu, oleandra i królowej jednej nocy, czyli kwiatów, które stały w ogromnych flakonach w całym domu.

Pan Ingram nie przepuścił mnie bez słowa, chociaż odwróciłam głowę w inną stronę.

- Witam panią, panno Smallpiece. Cieszę się, że znów panią widzę - powiedział, jakby był wzorem wszelkich cnót.

- Ja również, sir - odparłam, starając się, by mój głos brzmiał miło.

Nie patrzyłam mu w oczy. Wyczułam pewne napięcie. Blisko nas pojawił się smukły, młodziutki służący w białych, wyprasowanych spodniach, bluzie i turbanie. Trzymał srebrną tacę z wysokimi kieliszkami z karmazynowym napojem. Zauważyłam, że spod jego turbanu spływa strużka potu. W końcu ruszył z tacą w moją stronę, ale przez cały czas patrzył na pana Ingrama.

- Bordo? A może woli pani maderę? - spytał pan Ingram.

- Nie, dziękuję - odparłam, mimo to służący stał w miejscu. Pan Ingram w końcu wziął kieliszek. Chłopiec dalej stał.

Pan Ingram odesłał go, szybko mówiąc coś w hindi.

Nasza gospodyni zaklaskała w tłuste dłonie i zaproponowała, żebyśmy podzielili się na pary i zaczęli grać w wista.

- Wychodzę wypalić cygaro, panno Smallpiece. Nie interesują mnie karty, chyba że gra idzie o wysoką stawkę.

Obdarzył mnie wyćwiczonym uśmiechem i postawił pełny kieliszek na pobliskim stoliku.

Patrzyłam, jak znika w otwartych drzwiach. Zachowywał się, jakby między nami nie było żadnego spięcia, i to zaledwie kilka dni wcześniej. Wzięłam głęboki wdech, wmawiając sobie, że z powodu swoich manier nigdy nikomu nie wspomni o moim wulgarnym zachowaniu.

Przez jakiś czas grałam w wista, byłam jednak niespokojna i zdenerwowana. Czułam, że lada chwila odgryzę sobie język, jeśli pani Clutterbuck jeszcze raz spyta, co jest atutem, albo jęknie, że dostaje tylko blotki, nigdy żadnych figur. Wymówiłam się od następnej rundy, wymknęłam przez otwarte drzwi werandy i zesłam po szerokich kamiennych schodach do ogrodu. Był wyjątkowo piękny. Rosły w nim wysokie aż do piersi lilie, a za nimi kępka uroczynu czerwonego z delikatnymi, niemal rzeźbionymi kwiatami. Wydzielały ciężką woń, która zawsze mnie zaskakiwała. Przystanęłam w jasnym świetle księżyca, żeby włożyć sobie za ucho kwiat uroczynu. Nagle poczułam się tak, jakbym mogła wzbić się w gwiazdziste niebo. Było to uczucie niepokojące, lecz miłe. Uśmiechnęłam się, myśląc o kupcu, który dał mi warzywo, o jedwabistych włoskach chłopca, a potem wyciągnęłam ręce i zawirowałam w blasku księżyca. Czułam, że uwalniam się od czegoś zimnego, twardego i ciemnego. Nagle, zaskoczona, zdałam sobie sprawę, że to, co czuję, mogę nazwać tylko szczęściem. Jestem szczęśliwa - pomyślałam. Znajduję się w ogrodzie w Kalkucie. Nadal jestem Linny Gow i teraz już wcale nie muszę marzyć o innym życiu. To jest moje życie.

- Jestem szczęśliwa - powiedziałam w głębi pięknego ogrodu.

Słowa te zabrzmiały niezwykle przekonująco. Czułam się tak, jakbym przez całe życie wstrzymywała oddech, a moje piersi omal nie rozerwały się z wysiłku. Teraz, gdy wraz z wydechem wypowiedziałam słowa: „Jestem szczęśliwa”, w końcu mogłam rozluźnić mięśnie.

Zatrzymałam się i stałam nieruchomo na zalanej blaskiem księżyca trawie. Nie mogłam wrócić do głośnego, dusznego salonu. Ruszyłam ścieżką, która prowadziła w stronę pomieszczeń dla służby, czyli byle jak skleconych baraków przy tylnym murze. Dochodził stamtąd stały, stłumiony pomruk głosów i wolne uderzenia bębna. Przed jedną z chat siedziała młoda kobieta. Opierała się plecami o chropowatą ścianę i karmiła

piersią niemowlę. Ujrzawszy mnie, podskoczyła, próbując zakryć sari nagą pierś, a jednocześnie mówiąc mi *salaam*. Brodawka wypadła z buźki niemowlęcia, które cichutko zakwiliło.

- Proszę - próbowałam powiedzieć jej kiepskim hindi -proszę sobie nie przerywać.

Idąc dalej ścieżką, mijałam mężczyzn i kobiety, którzy kucali przed swoimi chatami wokół ustawionych na ziemi świeczek z knotem z sitowia i cicho rozmawiali. Gdy przechodziłam obok, wszyscy milkli i pośpiesznie wstawali. Uśmiechałam się do każdego z nich, wiedząc, że stawiam ich w dziwnej sytuacji, spacerując w pobliżu ich chat, ale się tym zbyt nie przejmowałam. Dotarłam do ostatniej chatki. Wtedy w blasku księżyca, jasnym, jakby to był środek dnia, zobaczyłam wąską ścieżynkę, która prowadziła z powrotem do domu. Ucieszyłam się, że nie będę musiała wracać tą samą drogą i po raz drugi przeszkadzać służącym.

Na osobności, z dala od innych, stała jeszcze jedna chata. Gdy mijałam otwarte drzwi, zatrzymałam się, słysząc dobrze znane mi odgłosy, które zazwyczaj towarzyszą aktowi płciowemu. Zajrzałam do wnętrza. Dostrzegłam dwie postacie, które poruszały się na dywaniku w zgodnym rytmie. Powinnam iść dalej, mimo to przez chwilę wsłuchiwałam się w chrapliwy oddech jednej z osób i wtórujący jej drugi. Nagle zauważyłam, że wcale nie patrzę na mężczyznę i kobietę, jak początkowo zakładałam, lecz na dwóch mężczyzn. Moje oczy wystarczająco przyzwyczyły się do ciemności, by zauważyć, że jeden z nich jest na czworakach. Jego smukłe, drobne ciało lśniło w ciemności. Drugi, wyższy i mocniej zbudowany, klęczał za nim. Miał na sobie białą koszulę z błyszczącymi perłowymi guzikami. Mocno trzymał przed sobą drobne pośladki i energicznie wpychał między nie swój członek.

Nim zdołałam się cofnąć lub choćby odwrócić wzrok, wyższy z mężczyzn odwrócił głowę. Patrzyłam prosto w twarz So-mersa Ingrama. Zamarł w bezruchu; dudnienie bębna gdzieś zza moich pleców zdawało się coraz bardziej wzmacniać. Drugi mężczyzna - teraz rozpoznałam w nim młodego służącego z salonu - również spojrzął w stronę drzwi i krzyknął,

przerażony. Pan Ingram odsunął się od Hindusa, a służący położył się na boku, chwycił koszulę i zakrył nią twarz.

Było za późno na udawanie, że niczego nie zauważyłam.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedziałam. Słowa te zabrzmiały w moich uszach niemal komicznie. - Najmocniej przepraszam. Zgu... zgubiłam drogę.

Pan Ingram patrzył na mnie, nawet nie próbując się osłonić. Siedział na piętach i wciąż wyraźnie widać było oznaki podniecenia.

Ruszyłam szybko przed siebie, z trudem łapiąc oddech. Nie byłam pewna, dlaczego tak mnie zaszokowało to, co zobaczyłam. W końcu nie tylko widziałam różne perwersje, ale też często w nich uczestniczyłam. Przeklinałam własną śmiałość w zapuszczaniu się na obcy teren; po wcześniejszym uczuciu szczęścia nie zostało ani śladu, byłam zażenowana i zła. Wyjęłam zza ucha kwiat uroczynu i rzuciłam go na ziemię. Czyżbym poczuła zawód, że Somers Ingram tak się zachował, czy może byłam zła, że podczas rozmowy dla własnej przyjemności wprowadził mnie w zakłopotanie, chociaż woli chłopców niż kobiety? Nigdy nie był mną zainteresowany, więc chyba po prostu poczułam się urażona.

Nie zdołałam ujść daleko, gdy dogonił mnie Somers Ingram. Jego zbliżanie się zapowiedział chrzęst muszelek na ścieżce.

- Panno Smallpiece! - zawołał.

Odwróciłam się. Był opanowany i starannie ubrany, jakby wyszedł prosto z salonu Clutterbucków.

- Nie sądzę, byśmy mieli sobie coś do powiedzenia, sir -burknęłam, prostując plecy.

- Proszę pozwolić, że odprowadzę panią do domu - zaproponował i zdecydowanie ujął mnie za ramię.

Gdy próbowałam się wyswobodzić, jeszcze mocniej ścisnął moją rękę, więc nic nie wskórałam. Usiłowałam iść szybciej, ale zmusił mnie do zwolnienia kroku.

- Panno Smallpiece - powiedział. - Muszę być wobec pani szczery.

Jęknęłam z obrzydzeniem.

- Nie mam ochoty rozmawiać z panem na jakikolwiek temat.



Puścił moją rękę, ale chwycił mnie za ramię i odwrócił twarzą do siebie. Staliśmy w blasku księżyca.

- Widzi pani - powiedział, wyraźnie nie przyjmując do wiadomości, że nie mam ochoty z nim rozmawiać - właśnie dała mi pani kolejny powód do myślenia, panno Smallpiece. Chodzi o to, co pani przed chwilą zobaczyła... Widząc mnie i Ganymede, nie zareagowała pani jak normalna młoda dama. Nie krzyknęła pani z przerażenia, nie zemdląła. Nie zaczęła pani drżeć, nie zaniemówiła pani, co należałoby uznać za normalną reakcję angielskiej dziewicy na widok tego, co - nawiasem mówiąc - przekracza nawet najbardziej grzeszne sny większości ich. W taki właśnie sposób starannie konserwują swoją cnotę. Widziałem pani minę - a może jej brak - gdy zobaczyła nas pani... można by powiedzieć *in fla-grante delicto*, prawda? To żenujące. W związku z tym zaczynam dochodzić do przekonania, że nie była pani ani zaszokowana, ani nawet skonsternowana. Jakby widywała pani rzeczy, których dobrze wychowana młoda dama z dobrego domu nigdy nie powinna być świadkiem. Mam rację?

Jego dłoń paliła mnie przez cienki jedwabny rękaw. Wiedziałam, że jestem na skraju przepaści i jeśli zrobię jeden nieostrożny krok, spadnę z urwiska.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

W moim głosie brzmiała desperacja, co mnie zaniepokoiło.

- Pani dzisiejsza reakcja w połączeniu z zaskakującym językiem z naszej ostatniej rozmowy zmuszają mnie do zastanowienia.

On wie, on o wszystkim wie! - dzwoniło mi w głowie, jakby dźwięczał w niej ogromny dzwon.

- Dobrze się pani czuje, panno Smallpiece? A może jednak jest pani pod wpływem szoku? Wygląda pani na przerażoną.

Miał czelność się uśmiechnąć.

Wyszarpnęłam mu ramię, zebrałam fałdy sukni w dłonie i przebiegłam przez wilgotną trawę, niszcząc pantofelki. Wróciłam do salonu, znalazłam cichy kąt i usiadłam w nim, głęboko oddychając i wachlując się. Bez przerwy zerkałam w stronę drzwi werandy, spodziewając się, że lada chwila pojawi się w nich Somers Ingram. Zastanawiałam się, czy uda mi

się nad sobą zapanować. Popeliłam w jego obecności zbyt dużo błędów i byłam przerażona.

Nie wrócił, a pół godziny później z wdzięcznością przyjąłem sugestię pani Waterton, byśmy wracały do domu.

## Rozdział 20

Piątego lutego Faith i ja zostałyśmy zaproszone na wieczorek z przekąskami, napojami orzeźwiającymi i muzyką kameralną. Spotkanie miało się odbyć w Alipurze, w domu, w którym mieszkało kilku kawalerów, łącznie z Somersem Ingramem. Przyjęcie zorganizowała Grupa Seniorek z Klubu Kalkuckie-go. Pani Waterton zapewniła Faith i mnie, że owe damy często pomagają młodym mężczyznom w organizowaniu przyjęć, póki nie znajdą sobie żon, które przejęłyby ich obowiązki.

- To miła odmiana dla dżentelmenów, zwłaszcza że mogą zabawiać gości w swoich domach - powiedziała.

Gdy usłyszałam, że jednym z gospodarzy jest Somers Ingram, zaczęłam szukać pretekstu, by się wymówić, ale Faith bardzo zależało na tym wieczorku: coraz łaskawszym okiem spoglądała na pana Snowa, a wiedziała, że tam będzie.

- Jeśli się ze mną nie wybierzesz, Linny, pani Waterton może mnie nie puścić. Musisz iść, jeśli nie ze względu na siebie, to przynajmniej na mnie.

W końcu wyraziłam zgodę, wiedziałam jednak, że będę się źle czuła. Z drugiej strony zdawałam sobie sprawę, że nie uda mi się unikać pana Ingrama w nieskończoność; nasze ścieżki wciąż będą się przecinały, a ja nie mogę ukrywać się w domu Watertonów.

Budynek, w którym odbywał się wieczorek, był przestronny i skromniej umeblowany niż domy małżeństw, które dotychczas odwiedziłam. Oprócz seniorek, które krzątały się święcie przekonane, iż spełniają nie-

zmiernie ważną rolę, pojawiło się bardzo dużo młodych ludzi. Dom rozbrzmiewał głośnym śmiechem i ożywionymi rozmowami. Nastrój spotkania był mniej oficjalny niż zwykle.

Zaraz na początku Charles Snow podszedł przywitać się z Faith, która ujęła jego ramię, po czym oddalili się zatopieni w rozmowie, trzymając się pod rękę. Prowadziłam w salonie pogawędkę z kilkoma innymi młodymi damami, sącąc cytrynowkę. Nigdzie nie widziałam pana Ingrama, dlatego czułam ogromną ulgę.

Gdy poproszono nas o przejście do pokoju, w którym miał się odbyć koncert, nagle obok mnie nie wiadomo skąd pojawił się pan Ingram.

- Witam, panno Smallpiece - powiedział.
- Dobry wieczór panu - odparłam chłodno.

Od niego zależało, jaki ton przybierze rozmowa. Jego twarz była nieprzenikniona.

- Dobrze, że pani przyszła. Witam w moim domu.
- Dziękuję.
- Miałem nadzieję, że się wkrótce spotkamy, panno Smallpiece. Prawdę mówiąc, przyspieszyłem nieco tę imprezę, żeby móc z panią porozmawiać. Nie chciałem czekać, aż minie zbyt dużo czasu. Zastanawiałem się nawet nad wysłaniem wizytówki do Watertonów, uznałem jednak, że może pani odrzucić moje osobiste zaproszenie - albo że wraz z panią pojawi się pani Waterton.

- Czyjej obecność mogłaby w czymś przeszkadzać?

Bez słowa poprowadził mnie korytarzem. Obejrzałam się przez ramię. Zastanawiałam się, czy nie powinnam uwolnić się z jego uchwytu i przyłączyć do pozostałych, nie wiedziałam też, czy ktoś nie uzna mojego zachowania za niestosowne. Jak się okazało, wszyscy patrzyli w inną stronę i byli odwróceny do nas plecami, więc pozwoliłam się prowadzić.

Weszliśmy do pokoju, a pan Ingram zamknął za sobą drzwi. Była to sypialnia, w której stało ogromne łóżko z baldachimem. Otwarte drzwi wychodziły na taras na tyłach domu.

- To pański pokój, proszę pana? Nie powinien mnie pan tu przyprowadzać.

Zauważyłam w kącie *punkah-wallaha*. Chłopiec leniwie pociągał za sznurek.

- Jak pan śmiał przyprowadzić kobietę do sypialni dżentelmena i...

Nie pozwolił mi dokończyć.

- Zakończmy tę grę. Musimy porozmawiać w cztery oczy - powiedział.

W tym momencie zdałam sobie sprawę, że moja pierwsza ocena była słuszna. Kiedy w przyciemnionym pokoju odwrócił się twarzą do mnie, zauważyłam, że zdjął maskę - taką samą, jaką i ja nosiłam w towarzystwie. Od razu dostrzegłam jego prawdziwą naturę: wiedział, że bez względu na konsekwencje dostanie to, na czym mu zależy.

- Nie widzę powodu, by unikać pewnego tematu, panno Smallpiece. Oczywiście, chodzi mi o pani nieszczęsne odkrycie podczas wieczorku karcianego u Clutterbucków.

- Nie wiem, o czym mielibyśmy rozmawiać - powiedziałam. - To, co pan robi, czyli pańskie zajęcia i upodobania, trudno uznać za ciekawy temat do rozmowy. Przynajmniej ja tak uważam.

Somers Ingram usiadł na wyściełanym taborecie i patrzył na mnie tak samo jak przed zalaną blaskiem księżycą chatą. Fakt, że on siedział, a ja stałam, jednoznacznie zdradzał, co mój rozmówca o mnie sądzi: było to zachowanie lekceważące. Poczulałam się niezręcznie, dlatego również usiadłam, a raczej pruderyjnie przycupnęłam na małym foteliku.

Chociaż za otwartymi oknami był chłodny wieczór, w pokoju brakowało powietrza, jakby kwadratowy *punkah* w ogóle nie poruszał się nad naszymi głowami. Usłyszałam w oddali jakiś dzwonek, zapadła cisza. Po chwili dobiegły do nas przytłumione oklaski, a następnie dobrze znane pierwsze takty Mozarta.

Bardzo chciałam wstać z godnością, którą widywałam każdego dnia, i opuścić pokój, nie czekając, jaką taktykę obierze pan Ingram. Mimo to czekałam. Nie trzymał mnie. Mogłam wyjść, a jednak nie wyszłam.'

- Wiem doskonale, co czują dziewczęta z flotylli połowowej - powiedział. - Są zrozpaczone, a jednocześnie pełne nadziei. Jesteście w stanie zrobić wszystko, co możliwe, byle znaleźć męża, prawda? Przeraza was

sama myśl o powrocie do kraju, gdyby nie udało się wam osiągnąć zamierzonego celu. Podobno to największa groźba, jaka wisi nad waszymi ślicznymi główkami od chwili, kiedy postawicie nogę na indyjskiej ziemi. Dlatego mam do pani pytanie: co mogę zrobić, żeby zapomniała pani o tym, na co się pani natknęła? Może mógłbym przedstawić panią komuś z młodych mężczyzn, którzy nie zdążyli jeszcze zapoznać się z pełną ofertą?

- Nie potrzebuję pańskiej pomocy, panie Ingram - odparłam. - Poza tym, jak już panu powiedziałam, pański styl życia nie jest moją sprawą. Nie musi mnie pan przekupywać. Umiem trzymać język za zębami. Co więcej, wcale nie jestem tak zdesperowana, jak się panu wydaje. Wbrew temu, co pan sądzi, nie szukam męża.

Uraził mnie jego protekcyjny i szyderczy ton, gdy mówił o flotyli połowowej i powrocie do kraju w przypadku niepowodzenia, dlatego chciałam mu pokazać, jak bardzo się myli, i uzmysłowić, że znacznie różni się od reszty.

Wyraźnie się nie zrażał, wręcz zaczął się beczelnie uśmiechać. Dostrzegłam jednak, że ma spocone czoło i muska palcami wąsiki; robił to, gdy był zdenerwowany. To dodało mi pewności siebie. Założył nogę na nogę.

- Niezameżne kobiety nie przyjeżdżają do Indii w innym celu. Och, wiem, niektóre dumaczą się troską o brata albo mówią, że właśnie postanowiły dotrzymać towarzystwa samotnej matce, ale wszyscy znamy prawdę. Każda samotna kobieta przyjeżdża tutaj, żeby wyjść za mąż, wyjątek stanowią jedynie nieliczne misjonarki. Być może pani zapewnienia, że wcale nie jest pani zdesperowana, wynikają z faktu, iż raczej dość kiepsko radzi sobie pani z szukaniem kandydata na męża. Nie trzeba być zbyt spostrzegawczym, by zauważyć, że często siedzi pani sama.

Wytrzymałam jego wzrok.

- Przyjechałam jako dama do towarzystwa mojej przyjaciółki, Faith Vespry.

- A gdy pani przyjaciółka znajdzie męża, ma pani zamiar wrócić do Anglii?

Zawahałam się. Nikt dotychczas nie pytał mnie o moje plany.

- Nie. Nie mam zamiaru wracać do Anglii. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Nie mam do czego wracać, chociaż do tego bym się panu nie przyznała - pomyślałam.

- I co? - Zaczął huśtać nogą. - Co będzie pani robić w Indiach, gdy zapobiegliwa panna Vespy zostanie *memsahib*? Z pewnością gdy wyjdzie za mąż, nie będzie potrzebowała pani towarzystwa.

- Na razie nie jestem pewna. Miałam zamiar po... poszukać sobie jakiegoś zajęcia. Swego czasu pracowałam w bibliotece. Oczywiście, sama tego chciałam.

Uniósł głowę.

- Pracowała pani w bibliotece? I myśli pani, że coś takiego jest możliwe w Kalkucie? No nie, panno Smallpiece. Nie mogę do tego dopuścić. Żadna biała kobieta nigdy w Indiach nie pracowała, a zostają tu tylko te, którym uda się wyjść za mąż, chyba że nie przeszkadza im status córki-starej panny albo siostry-starej panny. Na pewno pani to rozumie, panno Smallpiece. Jak pani sobie to wszystko wyobrażała?

Wstałam.

- Jest pan bardzo niegrzeczny, panie Ingram. Nie wiem, dlaczego w ogóle z panem rozmawiam. Nie będziemy więcej wracać do tego tematu, to znaczy do pańskiego postępku. Nie mam zamiaru wykorzystywać przeciwko panu tego, co widziałam, chociaż pozostaje faktem, że homoseksualizm jest zboczeniem, za które z pewnością nikt by pana nie pochwalił. Spróbujmy ignorować się nawzajem, jeśli jeszcze kiedyś spotkamy się w towarzystwie.

Przekrzywił głowę na bok i zmrużył oczy. Chociaż wstałam, nadal lekceważąco siedział na taborecie.

- Znów pani to robi, panno Smallpiece. Codziennie mnie pani zaskakuje. Skąd pani wie, że to, co pani widziała, to homoseksualizm i że jest powszechnie potępiany? Co pani wie na ten temat, panno Smallpiece? Nawet sam fakt, że pani o tym wie, że wypowiedziała pani zakazane słowo...



Wyprostowałam plecy i ruszyłam w stronę drzwi.

- Jest w pani coś, czego nie... - Spojrzał w stronę otwartych drzwi. - ...nie... - Ponownie urwał. - ...nie umiem nazwać. - Uśmiechnął się pod wąsem. - Zawsze uważałem się za dobrego znawcę ludzkich charakterów. Teraz wydaje mi się, że wszystko do siebie pasuje. Fakt, że mężczyźni obchodzą panią szerokim łukiem. Pani uporczywe twierdzenie, że nie szuka sobie męża. Prawdopodobnie po prostu nie lubi pani mężczyzn, panno Smallpiece. Tak, sądzę, że w końcu rozwikłałem szaradę - powiedział, kiwając głową, jakby był zaskoczony własną intuicją. - Może pani próbować to ukrywać, ale teraz wszystko wydaje mi się całkiem jasne. A mężczyźni to wyczuwają. To jedyny powód pani małomówności, prawda? Nie twierdzę, że nie jest pani pociągająca, i chociaż trudno uznać panią za klasyczną piękność, z pewnością można zaakceptować pani wygląd tak samo jak wielu innych pań. Porozmawiajmy szczerze, dobrze, panno Smallpiece?

Byłam w połowie pokoju.

- Jakim prawem mówi pan do mnie w tak niegrzeczny i poufały sposób?

W głowie dźwięczał mi dzwonek alarmowy. Chciałam, żeby Faith zaczęła mnie szukać. Z oddali dobiegały dźwięki muzyki. *Punkah* leniwie kołysał się pod sufitem, a z ciemności za tarasem dobiegł krzyk pawia, potem tęskna odpowiedź samicy.

Pan Ingram wybuchnął gromkim śmiechem.

- Poufały? Czyż nie upoważnia mnie do tego intymna sytuacja, w jakiej mnie pani widziała?

W tym momencie z krokwi oderwał się gekon i upadł na rękaw mojej jasnoławendowej jedwabnej sukni. Sapnęłam zaskoczona i próbowałam strzepnąć małą jaszczurkę, ale mocno przywarła do materiału. Pan Ingram poderwał się z taboretu: działał bez zastanowienia, jak prawdziwy dżentelmen. Kilkoma krokami pokonał dzielącą nas odległość i chwycił gekona. Zwierzątko wczepiło się pazurkami w delikatny materiał i rozerwało mi rękaw aż do łokcia.

Pan Ingram na chwilę zamarł w bezruchu z zieloną jaszczurką w ręku i dziwną miną. Pomógł sobie drugą ręką i w końcu odczepił nieszkodliwego gada, chwytając go energicznie między kciuk i palec wskazujący.

- Weź to! - zawołał.

Z cienia wyłonił się *punkah-wallah* i zabrał gekona.

Poprawiając rękaw, zauważyłam, że pan Ingram, dziwnie zamyślony, przygląda się mojej ręce. Potem jego opalona twarz zbladła, jakby odpłynęła z niej cała krew. Przez chwilę myślałam, że przestraszył się gekona.

- Proszę mi to pokazać jeszcze raz - zażądał. - Pani znamię po wewnętrznej stronie nadgarstka.

Zaczęło dzwonić mi w uszach. Poczułam uderzenie gorąca do głowy. Czułam się tak, jakby w moich żyłach płynęło zbyt dużo krwi, jakby cała krew, która odpłynęła panu Ingramowi z twarzy, jakimś cudem krążyła teraz w moim ciele. On był szaryjak popiół, tymczasem ja płonęłam. Poprawiałam rękaw, wyglądałam go i poklepywałam, ignorując jego żądanie.

Baczenie przyjrzał się moim włosom, mojej twarzy, a potem bez ostrzeżenia chwycił mnie za rękę i szorstko podsunął rękaw. Patrzył na gładką skórę i znamię w kształcie ryby, potem puścił mnie i chwiejnym krokiem się cofnął, jakby dotknął cuchnącej rany i mógł się zarazić.

Zakryłam znamię dłonią i spojrzałam na niego z zażenowaniem.

- To tylko znamię, proszę pana - wyjaśniłam. - Niektórzy ludzie mają znamiona.

- Znam je. Gdzieś wcześniej widziałem to znamię - powiedział cicho, ważąc każde słowo.

- Niemożliwe - wydukałam.

Minęła następna chwila, podczas której pan Ingram nadal baczenie mi się przyglądał. Zarys jego ust i wyraz oczu mówiły mi, że stało się najgorsze. Jego następne słowa potwierdziły moje przypuszczenia.

- Teraz już wiem, że widziałem panią wcześniej. Chociaż nie rozpoznaję pani twarzy, ryba wyraźnie panią naznaczyła. Poprzednio nie chciałem się pani do tego przyznać, ale bywałem w Liverpoolu i dość często dotrzymywałem towarzysztwa różnym mężczyznom... i kobietom. Więk-

szość wspomnień z owych wizyt nieco już wyblakła, ale niektóre *rzeczy* każdy by zapamiętał, nie sądzi pani?

Boże, tylko nie to - modliłam się. Tacy jak on rzadko zagląдают na Paradise Street. Czy kiedykolwiek był moim klientem? Czy mogłabym go zapamiętać przy tylu twarzach i ciałach, z jakimi miałam do czynienia? Zawsze byłam przekonana, że pamiętam aż za dużo - zwłaszcza pewne szczegóły, które wolałabym zapomnieć.

Stojąc, czekając i obserwując uśmieszek, który błąkał się na jego ustach, wiedziałam, że właśnie odkrył moją przeszłość i z pewnością wykorzystają, by mnie zniszczyć. Uśmiech zdradzał również, że zrobi to z prawdziwą przyjemnością. Tylko dlaczego? Przecież zapewniłam go, że nie zdradzę jego sekretu. Nie kłamałam: nie interesowały mnie tajemnice innych ludzi. Miałam własne.

Gdy wyprostowałam plecy, niespodziewanie poczułam rwanie w dawnej bliźnie, jakbym miała tam świeżą ranę. Byłam gotowa grać dalej, wszystkiemu zaprzeczyć, niezależnie od tego, o co mnie oskarży.

- O czym pan mówi? Chcę wiedzieć, co pan sugeruje, sir - powiedziałam.

Staralam się zdobyć na święte oburzenie, ale ku własnemu przerażeniu usłyszałam, jak przez wyszukane słowa przebija się mój dawny akcent. Przełknęłam ślinę. Mimo że w pewnym momencie zostałam zmuszona do użycia wulgarnych słów, byłam przekonana, że ów akcent - inna modulacja, piskliwy głos - dawno temu przepadł. Teraz, kiedy mimo woli powrócił, zdałam sobie sprawę, że zarówno on, jak i Back Phoebe Anne oraz Paradise Street wywarły na mnie niezatarte piętno, niezależnie od tego, jak bardzo będę się starała o wszystkim zapomnieć.

- Proponuję, żeby pani usiadła, panno Smallpiece. Nie wygląda pani najlepiej, naprawdę.

Na jego twarz wróciły kolory, na kościach policzkowych pojawiły się dwie czerwone plamy.

- Proszę. Pomogę pani — zaproponował.

Przytrzymał mnie i podprowadził do tyłu, póki nie dotknęłam łydkami fotela. Usiadłam.

Baczenie mi się przyglądał. Potem rozejrzał się po pokoju. *Punkah-wallah* wyrzucił gekona na stopniach tarasu i wrócił do pokoju, ale wiedziałam, że dla pana Ingrama hinduski służący w ogóle się nie liczy.

- Wreszcie rozumiem, jaki sekret zobaczyłem na pani twarzy i wyczytałem z mowy pani ciała. Dokładnie wiem, kim pani jest.

Poczułam ucisk z tyłu głowy. Jak z oddali dobiegły do mnie słowa:

- Pracowała pani, prawda? Chociaż to nie z biblioteki panią pamiętam. - Podsunął w górę mój rękaw i czule musnął znamię. - Teraz już wiem, kim pani jest - szepnął.

Nie kim, lecz czym. prostytutką - pomyślałam. Zostałam zdemaskowana. Koniec ze mną.

Nie zemdlałam. Prawdopodobnie desperacja pomogła mi pokonać ból z tyłu głowy i podnieść się z fotela. Wybiegłam, potykając się, byle dalej od Somersa Ingrama. Pędziłam przez pusty korytarz. Gdy mijałam pomieszczenie, w którym grał zespół kameralny, wyczułam gorące, przesycone zapachami powietrze, usłyszałam waltornie i altówki. Gdy znalazłam się na szerokim podjeździe, zatrzymał mnie jeden ze służących. Zrozumiał, że rozpaczliwe chcę wrócić do domu. Na jego spokojnej twarzy pod wysokim turbanem nie było widać najmniejszego zaskoczenia faktem, że angielska dziewczyna biega jak szalona, sapie i dyszy. Sprowadził mały palankin ciągnięty przez jednego biegacza.

Nie pamiętam, kiedy podałam *boyee* adres, nie przypominam sobie drogi powrotnej do Watertonów. Gdy weszłam do domu, odesłałam służących, którzy zebrali się wokół mnie, i ubrana opadłam na łóżko. Kilka minut później dostałam dreszczy, zaczęłam szczełkać zębami i za nic w świecie nie mogłam się rozgrzać, chociaż wieczór wcale nie był chłodny. Przykryłam się, ale to nie pomogło. Usłyszałam na korytarzu głos Faith, do moich uszu dobiegł szelest tafty, gdy zajrzała do mojego pokoju, a potem zamknęła drzwi, uznawszy, że śpię.

Chwilę później zrobiło mi się potwornie niedobrze.

Faith usłyszała, że wymiotuję do umywalki. Przyszła do mojego pokoju i położyła gładką, chłodną dłoń na moim policzku.

- Wszyscy zastanawialiśmy się, gdzie się podziałaś. Wyszłam, nim podano przekąski, bo byłam o ciebie niespokojna. Mam nadzieję, że to nie malaria, Linny. Bierzesz chininę?

Przytaknęłam.

- To nie malaria - szepnęłam. - Może coś mi zaszkodziło.

- Myślisz, że to pilaw? Był trochę za dusty. Albo pudding migdałowy. Przynieść ci coś? - Spojrzała na pusty dywanik w nogach mojego łóżka. - Gdzie twoja *ayah*?

- Odesłałam ją. Chciałam zostać sama. Prześpię się i jutro na pewno będę zdrowa.

Znów zaczęłam szczekać zębami.

- Nie obchodzi mnie to, co mówisz. Przyślę twoją *ayah*. Pomoże ci się ubrać w nocną koszulę. Nie możesz być sama, gdy coś ci dolega. Poza tym da mi znać, gdybyś w nocy gorzej się poczuła.

Przytaknęłam, zbyt chora, by się kłócić. Pojawiła się *ayah*. Rozebrała mnie, rozpuściła mi włosy, włożyła przez głowę koszulę, obmyła ręce i twarz chłodną wodą. Mimo to gdy zapadałam w sen, nawet spokojny rytm jej oddechu w cichym pokoju nie przyniósł ulgi w mojej chorobie, spowodowanej nie jedzeniem, lecz potwornym strachem. Wiedziałam, że może już nigdy nie uda mi się spokojnie zasnąć.

## Rozdział 21

Minął dzień i drugi. Nie wychodziłam ze swojego pokoju, dumacząc Faith, że jestem niedysponowana. Pani Waterton uznała nawet, że powinniśmy wezwać lekarza, ale uparcie twierdziłam, że złe samopoczucie minie. Sugerowałam, że to tylko drobne problemy związane z okresem.

Nie potrafiłam jednak wytrzymać w bezruchu, dlatego bez przerwy krążyłam tam i z powrotem po swoim pokoju, brałam do ręki różne przedmioty, a potem je odstawiałam. Nie mogłam spać, jeść, a nawet czytać.

Trzeciego dnia byłam tak niespokojna o to, co pan Ingram zrobi z posiadaną informacją, że nie wytrzymałam dłużej w zamknięciu. Zasiadłam do kolacji z Faith i Watertonami, próbując normalnie się zachowywać. Czułam, że wykrzywiam usta w sztucznym uśmiechu, wiedziałam, że coś jem, ale wszystko było suche jak popiół, więc z trudem przęłykałam pokarm i słuchałam głosów, które wymawiały blahe słowa. Tego wieczoru w klubie odbywała się jakaś uroczystość: pan Snow poprosił Faith, żeby z nim poszła, wybierali się tam również państwo Watertonowie. Namawiałam wszystkich, żeby poszli, zastrzegając jednocześnie, że jeszcze nie nadaję się na przyjęcie. Bałam się, że mogę spotkać pana Ingrama, chociaż może powinnam stawić mu czoło i dowiedzieć się, co planuje. Z pewnością najgorsza prawda byłaby o wiele lepsza od niepewności.

Ledwo palankin Watertonów ruszył spod domu, gdy w salonie, w którym siedziałam przy biurku z piórem w ręce i czystą kartką papieru przed sobą, pojawił się *chuprassi*. Miałam właśnie zamiar napisać do Shakera. Liczyłam, że relacjonując mu blahe wydarzenia, jakoś zdołam się uspokoić. *Chuprassi* poprawił czerwoną szarfę i oznajmił przybycie pana Ingrama.

Pióro upadło na papier, na którym natychmiast pojawił się spory kleks. Czyżby przed przyjściem obserwował dom i czekał, aż będę sama? Jakież to niestosowne - pomyślałam głupio - że przybył bez wcześniejszej zapowiedzi i bez przyzwoit-ki. Chwilę później gorzko się roześmiałam na myśl o własnej hipokryzji. Zachowywałam się jak kobiety, którymi w głębi duszy pogardzałam. Poza tym było już za późno, by w jego przypadku przejmować się konwenansami.

*Chuprassi* wprowadził pana Ingrama do salonu, za gościem wszedł *khitmutgar*. Gdy *chuprassi*, kłaniając się, wyszedł z pokoju, *khitmutgar* podszedł do kredensu i nalał do ciężkiego kryształowego kieliszka miarkę ciemnego rumu. Przyniósł go panu Ingramowi na inkrustowanej tacy, potem pokłonił się przecie mną.

- Nie, dziękuję - powiedziałam, wtedy skłonił się ponownie i wrócił na swoje miejsce przy kredensie.

- Linny - powiedział pan Ingram, z uśmiechem upijając łyk alkoholu.



Można było odnieść wrażenie, że jego uśmiech jest pozbawiony sztuczności, ja jednak znałam prawdę.

- Chyba mogę sobie oszczędzić ciągłego powtarzania „panno Small-piece”, nie sądzisz? Zważywszy na to, co o tobie wiem, z pewnością nie muszę niczego udawać.

Podeszłam trochę bliżej, a na jego fałszywy uśmiech odpowiedziałam jeszcze bardziej fałszywym.

- Zależy mi tylko na tym, żeby tu zostać, na co nie będę mogła sobie pozwolić, jeśli ujawni pan wszystko, co pan o mnie wie. Nie musi mnie pan pozbawiać tej szansy, panie Ingram. - Powiedziałam jego nazwisko z taką samą pewnością, z jaką on wymówił moje imię. - Jeśli pan nie zdradzi moich tajemnic, ja nie zdradzę pańskich.

Uspokajało mnie, że w razie potrzeby ja również mogę zaszkodzić jego reputacji. Następne słowa pana Ingrama pogrzebały moje nadzieje.

- Grozisz mi? Myślisz, że ktokolwiek uwierzy w twoje oszczerstwa? Wydaje ci się, że ludzie pozwolą, by... ktoś nowy... oczerniał mnie, człowieka znanego i szanowanego w całej Kalkucie? Wszystko, co powiesz, zostanie uznane za słowa zgorzkniałej starej panny odrzuconej przez ukochanego. To żalosne, że próbujesz mnie zastraszyć.

- Zaczął już pan swoją kampanię przeciwko mnie? Czy mam oczekiwać, że Watertonowie jeszcze dziś wieczorem odeślą mnie do kraju?

Widok mojego cierpienia wyraźnie sprawiał mu radość. Kiwał głową i uśmiechał się od ucha do ucha.

- A może wykorzysta pan swoją wiedzę, żeby nasycić żądze?! - krzyknęłam. - Myśli pan, że ponownie może mnie pan wykorzystać... chociaż nie pamiętam pana z poprzedniego razu. Musiał pan dość nijako sobie poczynać. Zobaczyłam, że zacisnął zęby.

- Nigdy nie interesowały mnie panienki spod latarni i nadal mnie nie interesują. Jak sama widziałas, wolę ostry seks. Chociaż nigdy nie korzystałem z twoich usług, rozpoznaję twoje znamię i wiem, że wiąże się ono z najgorszymi czasami mojego życia w Liverpoolu.

Wciąż nie mogłam zrozumieć, dlaczego go nie pamiętam, dlaczego w głowie mam jedynie jakieś niewyraźne obrazy, co równie dobrze może być spowodowane strachem.

- Ilu adoratorów cię oblega, Linny? Czy masz jakiegokolwiek szansę? Czy któryś z mężczyzn w ogóle zwrócił na ciebie uwagę?

Okłamywanie Somersa Ingrama było bezsensowne. Zdawałam sobie sprawę, że odstraszałam młodych mężczyzn z Kalkuty. Albo jeśli ich nie odstraszałam - to przynajmniej sprawiałam, że czują się przy mnie nieswojo i dlatego mnie unikają. Wiedziałam, czego szukają: powściągliwej, nieśmiałej, życzliwej kobiety - czy w tych kręgach pojawiały się inne? Niestety, taka rola - słodkiej niewinności - była dla mnie zbyt trudna do zagrania, niezależnie od tego, jak bardzo się starałam okazać zainteresowanie ich opowieściami, których wysłuchiwałam ze wzrokiem wbitym w ziemię. Mimo wszystko wiedziałam, że na moich policzkach nigdy nie pojawią się twarzowe rumieńce, jakie widywałam u innych pań. Nie miałam do tego serca. Dlatego na pytanie pana Ingrama jedynie pokręciłam przecząco głową.

- W takim razie jak chcesz zostać w Indiach, Linny, skoro nie spodziewasz się żadnych oświadczeń?

- Już panu mówiłam... może... poszukam sobie jakiejś pracy.

- Daj spokój, Linny. Przestań śnić na jawie.

Poczułam zapach rumu. Wiedziałam, że pan Ingram ma rację. Chyba od samego przyjazdu do Indii zdawałam sobie sprawę, że jeśli mam tu zostać, będę musiała wyjść za mąż, tylko nie przyznawałam się do tego sama przed sobą. U Water-tonów bez zaręczyn mogłyśmy mieszkać najwyżej sześć, siedem miesięcy; właśnie mijał czwarty. Wiedziałam, że będę musiała oszukać jakiegoś mężczyznę, chociaż nie obchodziło mnie, kim on będzie. Na myśl, że mogłabym opuścić Indie i powrócić do Liverpoolu, odczuwałam ogromną determinację. Poślubię kogoś... kogośkolwiek. Pomyślałam o Shakerze i obietnicy, że nie wyjdę w Indiach za mąż. Gdybym jednak miała do wyboru pozostanie tutaj jako mężatka albo wyjazd... Przy tylu służących, którzy wykonywali wszystkie obowiązki domowe, jako żona nie miałabym zbyt wiele do roboty, z wyjątkiem

życia towarzyskiego. Mogłabym się tego nauczyć: prowadzenia przy stole ciągnących się bez końca, nużących rozmów, rozkazywania służbie, organizowania przyjęć i planowania posiłków. Jeśli chodzi o resztę, z pewnością nie miałabym problemów z rozłożeniem nóg pod moskitierą dla pozbawionego twarzy męża. Seks nic dla mnie nie znaczył: byłaby to niewygórowana cena za możliwość zostania w Indiach, w których moje serce po raz pierwszy w życiu odczuło prawdziwą radość. Gdybym miała być więźniem, to najlepiej w Indiach, gdzie w końcu może zasłużyłabym sobie na odrobinę wolności, chwile spędzone poza zasłoniętym palankinem, *maidanem* czy Klubem Kalkuckim.

Pomyślałam o Meg Liston i jej wyprawie z mężem w dzikie okolice. O pisaniu książki. O poznawaniu nowych rzeczy. Ja też o tym marzyłam.

- Słuchasz mnie, Linny? Powiedziałem, że mam pewien plan.

Zamrugałam powiekami.

- Jaki plan?

Pan Ingram usiadł na sofie i kiwnięciem głowy wskazał mi krzesło naprzeciwko siebie.

- Raczej postoję.

- Jak chcesz. Oto co wymyśliłem w ciągu ostatnich dni. Omiód wzrokiem pokój, a potem jego spojrzenie wróciło

do ciemnego płynu na dnie kieliszka. Wypiełgnowanymi palcami odgarnął z czoła skręcony kosmyk włosów.

- Mówiąc wprost, potrzebna mi żona. Nie mogę już dłużej czekać. I tak miałem zamiar wybrać kogoś z obecnej flotyli. Prawdę mówiąc, przez chwilę zastanawiałem się nad papużką, z którą przyjechałaś: panną Vespry. Sprawia wrażenie osóbki, którą łatwo byłoby oszukiwać, a jest wystarczająco ładna, żebym nie zwracał co rano śniadania, chociaż z drugiej strony sprawia na mnie wrażenie kokieteryjnej i chwiejnej. Prawdopodobnie potwornie boi się dotyku mężczyzny, ale to na samym początku mogłoby mi pomóc, gdyż niczego by ode mnie nie oczekiwała.

Co chwila przeczesywał palcami włosy, zerkał w głąb kieliszka, a potem spoglądał na mnie.

- Zresztą to wszystko nie ma żadnego znaczenia. Podczas tamtego pamiętnego wieczoru przyszło mi na myśl, Linny, że wszystko wydarzyło się w najbardziej odpowiedniej chwili, a my dwoje stanowimy idealnie dobraną parę.

- Parę? Pan i ja? Niemożliwe. Proszę nas nie porównywać. To dla mnie obelga.

Wybuchnął gromkim, szczerym śmiechem.

- Zabawne... że kobietę lekkich obyczajów z Liverpoolu obraża porównanie do kogoś z wyższych sfer.

Ponownie się roześmiał, po czym machnął ręką na *khitmut-gara*. Wysoki mężczyzna natychmiast podszedł z gotową srebrną tacą. Jego farbowana henną broda wyraźnie drżała, gdy czekał, aż pan Ingram odstawi kieliszek. Zabrał go do kredensu, ponownie napełnił i przyniósł z powrotem. Potem zniknął w zakamarku pokoju.

Pan Ingram upił niewielki łyk.

- Naprawdę stanowimy dobraną parę, moja droga, choćby tylko dlatego, że oboje mamy jakiś sekret do ukrycia i możemy wykorzystać siebie nawzajem, by zaspokoić swoje potrzeby. Dodatkową korzyść stanowi fakt, że żadne z nas nie ma nikogo na świecie.

Patrzyłam na *khitmutgara* w ciemnym kącie: jego oczy ani na moment nie oderwały się od podłogi.

- Dlaczego tak szybko musi się pan ożenić? Pan Ingram znów upił z kieliszka.

- W najbliższym czasie powinienem przejąć spadek. Ojciec zbil fortunę na handlu nieruchomościami, chociaż w ostatnich latach życia znaczną część majątku roztrwonił na... zabawy niegodne dżentelmena. - Urwał i niecierpliwie potrząsnął głową. Dostrzegłam w tym geście wyraźną złość. - Jestem jego jedynym spadkobiercą. Pomimo poważnych strat całkiem sporo jeszcze zostało. Nie zapewni mi spokojnego życia aż do śmierci, ale wystarczy, żebym mógł robić, co mi się podoba. Ojciec zastrzegł jednak, że będę mógł przejąć po nim majątek, gdy ukończę dwudziesty piąty rok życia i spełnię wszystkie postawione przez niego

warunki. Jednym z nich jest zawarcie ślubu. Za trzy miesiące kończę dwadzieścia pięć lat.

Opróżnił kieliszek.

- Próbuję ci uzmysłwić, Linny, że oboje znaleźliśmy się w trudnej sytuacji, zgodzisz się ze mną, prawda? Najprostszym rozwiązaniem jest ślub. Ty będziesz mogła zostać w Indiach. Ja również kocham ten kraj pomimo panującego tu chaosu, brudu i bałwochwalstwa. Nie wiem, co tobie się tu podoba, ale ja mogę żyć tak, jak chcę. Mam do dyspozycji służących, którzy są gotowi spełnić każdy mój kaprys. Nie mówię już o ogromnych rzeszach młodziutkich chłopców, którzy tylko czekają, żeby wykorzystać szansę i zostać kochankiem, kimś, kogo określają *pukka sahib*.

Zamyślił się.

- Indie są cudownym miejscem dla kogoś takiego jak ja - kontynuował po chwili. - Gdybym pojawił się tu pół wieku temu, mógłbym być kupcem albo najemnikiem, ale w obecnych czasach handel to za mało. Teraz rządzą Hindusami. Nie, nie tylko nimi rządzą... próbujemy im pomóc. Indie to kraj, który przeżywa recesję. - Urwał. - Stanowisko głównego rewidenta w John Company zapewnia mi szacunek, jakiego nigdy nie zdobyłbym w Londynie, a poślubiając ciebie, Linny, zostanę wystarczająco bogaty, by robić to, co lubię, i odpowiednio się prezentować. Krewki młody dżentelmen z żoną, która dołączy do angielskich kobiet w Indiach. Zaczynam źle się czuć jako kawaler: od mojego przyjazdu do Kalkuty przybyła już piąta flotylla połowowa. Ludzie mogą się zastanawiać, dlaczego żadna ze ślicznych młodych dam nie przypadła mi do gustu pomimo usilnych starań i swatów nadgorliwych matron, które pragną zapewnić mi szczęście rodzinne.

Znów podszedł *khitmutgar* z uniesioną tacą, ale tym razem pan Ingram odesłał go niecierpliwym machnięciem ręki.

- Musisz przyznać, że nasz układ będzie dla ciebie bardziej korzystny niż dla mnie, Linny. Zostaniesz w Indiach, tymczasem ja będę miał tylko dodatkową osobę na utrzymaniu. Tyle że dzięki niej zdobędę pieniądze i możliwość zaspokajania swoich potrzeb według własnych upodobań.

Oczywiście, nie będziemy mieli żadnych dzieci. Nie mam zamiaru cię dotykać. Wszyscy założą, że jesteś bezpłodna. Sporo kobiet będzie ci serdecznie współczuć.

- A jeśli odmówię? W końcu mogę znaleźć jakiegoś innego kandydata.

Chwytałam się brzytwy. Wiedział o tym. Ja również. Pan Ingram postawił pusty kieliszek na wypolerowanym stoliku obok sofy. Wziął z szuflady cygaro i powąchał je.

- Jeśli odmówisz, droga Linny, następnym statkiem wrócisz do kraju. Co więcej, wszystkie liczące się osoby w Kalkucie, a także poza nią, bo ludzie niczego nie kochają tu tak bardzo jak plotek, poznają historię panny Linny Smallpiece. Jakimś cudem, dzięki podstępnej plotce, której źródła nikt nie będzie pamiętał, wszyscy dowiedzą się, że nie jesteś osobą, za którą się podajesz. Że jesteś prostytutką z najgorszych dzielnic Liverpoolu. Wyobraź sobie, jak poczuje się panna Vespry! Watertonowie spalą się ze wstydu, a mężczyźni będą tylko kiwać głowami, zdając sobie sprawę, że czuli to, próbując cię unikać. Wkrótce się dowiem, że proponowałaś swoje ciało jednemu czy drugiemu z nich. - Włożył koniuszek cygara do ust. - Kobiety zaczną udawać przerażenie, chociaż między sobą nie będą ukrywały, że z Linny Smallpiece zawsze coś było nie w porządku i one od dawna o tym wiedziały. - Potrząsnął głową. - Oczywiście, wieść dotrze również do Liverpoolu. To może być ciężkie przeżycie dla twojej rodziny. Masz tam kuzyna i ciotkę, prawda? Chyba że to też czysty wymysł? Niezależnie od wszystkiego, niezależnie od tego, skąd przyszłaś, nasz świat nie będzie już stał przed tobą otworem.

Słuchałam w osłupieniu.

- Dobrze ci szło oszukiwanie ludzi, prawda Linny? - Nie oczekiwał odpowiedzi. - Daleko zaszłaś. Nie mam pojęcia, jak ci się udało tak awansować. Co musiałaś zrobić, żeby się tu znaleźć? - Westchnął. - Godne podziwu. Niemal cię za to lubię.

Podeszłam do szerokich okien i wyjrzałam w ciemność. Nagle Indie stały się groźne i ponure.



- Nawet gdybym się zgodziła na pańską propozycję, jak zdołalibyśmy utrzymać w tajemnicy nasze prawdziwe relacje? Nie byłibyśmy przecież w stanie udawać, że się nawzajem o siebie troszczymy.

- To naprawdę całkiem proste. Oboje jesteśmy mistrzami kamuflażu. Zamieszkamy pod jednym dachem jak mąż i żona, ale razem będziemy spędzać niewiele czasu. Nawet nie musimy jadać wspólnych kolacji, chyba że będziemy mieli towarzystwo. Dzięki mojej pracy... - uśmiechnął się i pstryknął palcami na *khitmutgara*, który podszedł, by przypalić mu cygaro - ...jestem bardzo zajęty. Często tygodniami nie ma mnie w domu. Lubię też wyjeżdżać na polowania do dżungli. Nie będziemy zbyt często się widywać. Gdy pojawimy się razem w miejscu publicznym albo będziemy przyjmować gości w naszym domu, wszyscy dojdą do wniosku, że prowadzisz normalne życie młodej mężatki. Niczego nie będzie ci brakowało.

Powąchał cygaro.

- Stawiam tylko dwa warunki - ciągnął po chwili. - Po pierwsze, pod żadnym pozorem nie wolno ci pisać słówkiem o tym, co mogę z kimś robić. To chyba całkiem zrozumiałe. Po drugie, gdybyś kiedykolwiek wróciła do dawnego stylu życia, wyrzucę cię z domu i zajmie mi to mniej czasu niż wypalenie cygara. Wylądujesz na ulicy z tym, co będziesz miała na grzbiecie. Nie zostanę rogiaczem.

Zaciągnął się głęboko cygarem, gdy *khitmutgar* podał mu ogień. Obserwowałam jego przystojną twarz w nikłym czerwonym blasku i zastanawiałam się, czy mogę podjąć śmiałe wyzwanie. W następnej sekundzie zdrżałam, wyobrażając sobie piekło, w jakie pan Ingram zamieni moje życie. Zdałam sobie sprawę, że zawsze musiałabym tańczyć, jak mi zagra.

- Rozumiesz, Linny?

- O tak. Tak, proszę pana, rozumiem.

- Masz zamiar się zgodzić?

Kiedy nie odpowiedziałam, podniósł się z krzesła i stanął za mną.

- Za trzy dni odpływa do kraju *Bengal Merchant*. Jeśli nie udzielisz takiej odpowiedzi, na jaką czekam, odpłyniesz na nim zhańbiona na zawsze.

Powiedziałam panu Ingramowi, że potrzebuję czasu na podjęcie decyzji. Wczesnym rankiem trzeciego dnia spakowałam kufry, a potem posłałam swoją *ayah*, by powiedziała pani Waterton, że wyjeżdżam. Poszłam do pokoju Faith i wyrwałam ją ze snu. Siedząc na krawędzi jej łóżka, wyznałam jej, jaką właśnie podjęłam decyzję.

Początkowo na jej twarzy pojawiło się niedowierzanie, potem zażenowanie, w końcu zawód i smutek.

- Opuuszczasz Kalkutę? Teraz? Ale... ale dlaczego, Linny? Nie rozumiem. Przecież zgodnie z naszą umową miałaś być moją damą do towarzysztwa, aż... aż albo wrócę do domu, albo - przy większym szczęściu - będę miała powód, żeby tu zostać. Sezon oficjalnie skończy się dopiero z początkiem kwietnia, zostało jeszcze trochę czasu. - Siedziała na łóżku ze wzrokiem wbitym w podłogę. - Myślałam, że ci się tu podoba. Mówiłaś, że Indie bardzo cię pociągają, Linny, że nigdy nie czułaś się tak szczęśliwa. A teraz nagle wyjeżdżasz. Naprawdę chcesz wrócić do Evertonu? Tak bardzo tęsknisz za kuzynem i ciotką? Tęsknisz za krajem?

Nim zdążyłam odpowiedzieć, Faith ciągnęła:

- Nikt, naprawdę nikt nie udaje się w męczącą podróż do kraju po tak krótkim pobycie. To niesłychane. Poza tym... poza tym... - Rozpaczliwie szukała sposobu, żeby namówić mnie do zostania. - ...poza tym mój ojciec będzie niezadowolony. Jest w drodze do Indii. Będzie tutaj za kilka miesięcy. Pozwolił mi pojechać wcześniej niż on tylko dlatego, że tak cię chwaliłam. Gdy teraz przyplynie, a ciebie tu nie będzie... Powiadomi o wszystkim pana Smallpiece'a, twojego opiekuna, poinformuje go, że nie dotrzymałaś umowy. Przez ciebie będzie zażenowany... to znaczy mam na myśli twojego kuzyna. Nie możesz wyjechać, Linny. Po prostu nie możesz.

Wstała z łóżka i chwyciła mnie za rękę, tak że musiałam odwrócić się twarzą do niej.

- Proszę. Powiedz, że zostaniesz.

Spojrzałam na jej ładną twarz. Zmieniła się od czasu, kiedy wypłynęłyśmy z Liverpoolu. Wciąż czekałam, kiedy zacznie podziwiać Indie, ale ona sprawiała wrażenie, jakby jakimś cudem pomyliła krok, chociaż w Kalkucie otaczała nas typowo angielska atmosfera. Była teraz cicha i pokorna, mniej wygadana, może nawet pełna obaw, podczas gdy ja w końcu znalazłam swoje miejsce na ziemi. Faith czuła się jak ryba wyrzucona na brzeg, ja wiedziałam, że żyję. Albo tak przynajmniej było jeszcze trzy dni temu.

- Nie mogę ci wyjaśnić, ale muszę wyjechać.

Miałam nadzieję, że jeśli wyjadę, nie odpowiadając panu Ingramowi, niczego nikomu nie zdradzi. Chociaż z drugiej strony mimo wszystko mógł zacząć rozpuszczać plotki na mój temat.

- Przecież sezon będzie jeszcze trwał sześć tygodni. Może nawet dwa miesiące albo dłużej. Wciąż jest czas - powiedziała Faith.

- Na co?

- Żeby ktoś się zainteresował.

- Nie spotykasz się regularnie z panem Snowem?

- Myślałam o tobie, Linny. Jest jeszcze czas, żeby ktoś poprosił cię o rękę. Nie możesz poddawać się rozpacz.

- Nie chodzi o to - zapewniłam ją. - Przyjechałam jako twoja dama do towarzystwa. Nie miałam zamiaru wychodzić za mąż. Mówiłam ci o tym jeszcze przed naszą wyprawą. Myślałam, że może... uda mi się tu zostać...

Znów błędnie rozumowałam. Zamknęłam za sobą drzwi pokoju Faith. Wyszła za mną zapłakana do czekającego pa-lankinu. Miała na sobie szlafrok. Pojawiła się też pani Water-ton. Widać było, że ubierała się w wielkim pośpiechu - wyraźnie nie miała na sobie gorsetu. Załamywała rękę, a na jej twarzy malował się ogromny niepokój. Pan Waterton zerknął przez drzwi z zaciętym wyrazem twarzy, a potem zniknął w środku.

- Ludzie źle o nas pomyślą, moja droga. Powiedzą, że nie zapewniliśmy ci szczęścia - rzekła. — Pan Vespy powierzył nam Faith i ciebie, a teraz nagle bez towarzyszkę podróży chcesz wracać do kraju. Nie słysza-

łam, by na pokładzie *Bengal Merchant* płynęła jakaś zameźna kobieta. To nie uchodzi... takie rzeczy trzeba załatwiać wcześniej.

- Wysłałam *chuprassiego*, żeby zarezerwował mi miejsce i wykorzystał bilet powrotny, który kupił pan Vespry. Naprawdę potrafię się sobą zająć - zapewniłam ją i podziękowałam za gościnność.

Tragarze palankinu załadowali mój bagaż, a ja wsiadłam do lektyki. Oddalając się, patrzyłam na dwie kobiety, które stały przed piękną białą willą w porannych promieniach słońca. Pani Waterton machała chusteczką do nosa, natomiast Faith ukryła twarz w dłoniach. Drżały jej ramiona, domyśliłam się więc, że płacze.

Gdy jechaliśmy przez Kalkutę, nie zaciągnęłam zasłon. Była to moja pierwsza i ostatnia samotna przejażdżka przez miasto, pierwsza i ostatnia możliwość wchłonięcia Indii wszystkimi zmysłami. Znow, jak pierwszego dnia w porcie, byłam zaskoczona feerią barw. Świado słoneczne miało żółtawy odcień. Przypomniała mi się błękitnawa angielska poświata, w której wszystko wydaje się wyblakłe - łagodne usypiające światło, które towarzyszy statecznemu, pełnemu akceptacji życiu. Tutaj, w pełnym blasku, czułam się tak, jakby słońce wypaliło mi powieki; nie mogłam zamknąć oczu.

Minęliśmy ostatni dom na Garden Reach, potem skręciliśmy w węższą uliczkę. Stały przy niej również europejskie domy, ale mniejsze i uboższe. Dachy były kryte strzechą, ściany pokrywała pleśń. Były to domostwa mieszańców, którzy pracowali w służbach cywilnych, mężczyźni o europejskim rodowodzie, ale z jakąś, choćby niewielką domieszką hinduskiej krwi. Uważano, że ich krew została zbrukana, dlatego nie mogli liczyć, że kiedykolwiek awansują na wyższy szczebel w Kompanii. Były to dzieci mieszanych małżeństw, a także wnuki i prawnuki tutejszych kobiet i mężczyzn z John Company z czasów, nim pozwolono Angielkom przyjechać do tego dzikiego, niebezpiecznego kraju. Niektórzy mieli zaskakująco europejskie rysy, inni byli ciemniejsi i bardziej podobni do tubylców.

W końcu dojechaliśmy do portu, który tak samo jak w dniu naszego przyjazdu tętnił życiem. Przypomniałam sobie poranek, kiedy Faith i ja

opuszczałyśmy Liverpool, otaczającą nas gęstą mgłę, która przesyciała wilgocią nasze ubrania i skórę, sprawiając, że marzłyśmy w milczeniu. Pomyślałam, że tam wracam, że zanurzam się we mgle, krążę przez jakiś czas, próbując znaleźć dorożkę, potem jadę na Whitefield Lane, mijam Paradise Street, Bold Street i Lyceum. Wyobraziłam sobie wyraz twarzy Shakera i blask w jego oczach na mój widok. Potem oczami duszy zobaczyłam siebie po wielu latach, wciąż w Evertonie, jako uschniętą staruszkę w czarnej pelerynie i pozieleniałym kapelusiku. Miałam przed oczami własną twarz, wiedziałam, że słabnie mi wzrok, mam coraz brzydszy charakter pisma, gdy - ukryta za parawanem - pochylałam się nad kartami katalogowymi.

Stałam obok bagażu z biletem w ręku. Nagle znikąd pojawił się niemal nagi *sadhu*, święty mąż. Wirując i krzycząc, torował sobie drogę przez dum niezainteresowanych kobiet, które miały na sobie czerwone, turkusowe i pomarańczowe sari. Pod warstewką popiołu widziałam niemal granatowe ciało starca, jego gęste, kędzierzawe włosy zwisały jak poskręcane sznury, a przedziałek na głowie miał cynobrowy kolor. Rozpoznałam trzy poziome linie namalowane na jego czole jakąś gęstą, białą substancją - świadczyły one, że jest wyznawcą Siwy, boga śmierci. Kiedy coraz bardziej zbliżał się do mnie w podskokach, sznur paciorków na jego klatce piersiowej tańczył i stukał. Podszedł prosto do mnie i przyjrzał mi się przekrwionymi oczami. Krzyknął mi coś w twarz, przy okazji opryskując mnie śliną. W jego oddechu wyczułam zapach betelu i nieprzetrawionego pokarmu. Nie rozumiałam słów, ale wiedziałam, co chciał mi przekazać. Ostrzeżenie, przeczcucie. Mężczyzna w wojskowym mundurze i *topi* niegrzecznie odsunął go na bok, potem spytał, czy dobrze się czuję. Przytaknęłam, ale nie mogłam wydusić z siebie ani słowa. Zrozumiałam przepowiednię *sadhu*.

Wróciłam w palankinie. Gdy *chuprassi* otworzył mi drzwi, spojrzał najpierw na mnie, a potem za moje plecy. Był przerażony faktem, że nie zachowałam nawet pozorów i bez przyzwóitki pojawiłam się w domu dżentelmena.

- Chcę rozmawiać z panem Ingramem - powiedziałam. - Jest jeszcze w domu?

Przytaknął, mimo to stał jak posąg, blokując mi drzwi.

- To dobrze.

Zlekceważyłam go, przepchnęłam się obok i weszłam do foyer.

- Muszę się z nim zobaczyć. Proszę, przyprowadź go. Gdy mężczyzna nadal nie ruszał się z miejsca, weszłam do

środką i skierowałam kroki do pokoju, w którym ostatnio rozmawiałam z panem Ingramem. Podążało za mną stadko służących, wyraźnie zaniepokojonych moją śmiałością.

Stałam przed drzwiami i podniosłam rękę. Nim zdążyłam zapukać, wewnątrz coś się poruszyło. Być może cień zdradził moją obecność.

- Hazi? Czy to ty? Masz mój czysty kołnierzyk? Otworzyłam drzwi.

- To ja, panie Ingram - powiedziałam, wchodząc do pokoju i zamykając drzwi przed nosem skonsternowanej służby.

Somers Ingram stał za swoim biurkiem. Miał na sobie tylko spodnie i rozpiętą koszulę bez kołnierzyka. Nie zdążył również zapiąć mankietów. Włosy pozbawione grubej warstwy pomady wiły się wokół uszu i na szyi. Pomimo odczuwanej odrazy musiałam przyznać, że wygląda niezwykle atrakcyjnie.

Czułam za swoimi plecami zamknięte drzwi. Podszedł do mnie z nieprzeniknioną twarzą.

- Czemu zawdzięczam tak wczesną wizytę? - spytał.

- Podjęłam decyzję.

Zbliżył się jeszcze bardziej. Poczulałam zapach mydła i krochmalu z koszuli.

- I co?

Chociaż próbował to ukryć i udawał nonszalancję, zauważyłam, że jego naga klatka piersiowa niespokojnie unosi się i opada.

- Zgadzam się na pańskie warunki.

- To znaczy, że zostaniesz moją żoną? - stwierdził z mniejszą niż zwykle pewnością siebie.



Kiedy przytaknęłam, musnął palcami wąsik w sposób, który już tak dobrze znałam. Widząc jego mimowolną reakcję - przyspieszony oddech, zmieniony głos, dotykane wąsika - do pewnego stopnia byłam z siebie dumna, bo wiedziałam, że niezależnie od tego, jak często by powtarzał, iż podjęta przeze mnie decyzja niewiele dla niego znaczy, przez cały czas liczył na taką właśnie, a nie inną odpowiedź.

- Podjęłaś słuszną decyzję, Linny. Jesteśmy tacy sami. Oboje coś ukrywamy i będziemy musieli dotrzymać umowy, którą zawarliśmy. Tak będzie lepiej dla nas obojga. Nie musimy niczego przed sobą udawać. Doskonale się rozumiemy. Nie dostrzegasz tego?

Nie odpowiedziałam. To prawda, że odkrył obrzydliwą prawdę o mojej przeszłości, a ja poznałam jego grzeszki, jednak trudno zaprzeczyć, że pomimo wszelkich pogróżek pana Ingrama miałam nad nim pewną władzę.

## Rozdział 22

15 lutego 1831

Najdroższy Shakerze!

Trudno mi zacząć ten list, ponieważ nigdy się nie spodziewałam, że kiedykolwiek będę musiała coś takiego do Ciebie napisać. Zdaję sobie sprawę, że będziesz go czytał wkrótce po otrzymaniu moich pierwszych relacji o nowym życiu w Indiach. Pisałam je przepelniona radością, z uczuciem lekkości, bo udało mi się tutaj całkowicie odciąć od starego życia i zacząć nowe. Ten list piszę w zupełnie innym nastroju i z ciężkim sercem. Mogę to powiedzieć tylko tak: za dwa tygodnie wychodzę za mąż. Oczywiście, gdy przeczytasz moje słowa, od miesięcy będę już żoną.

Powodem mojego małżeństwa jest niespodziewany i nieprzewidziany rozwój wypadków. To, co powiedziałam Ci w lecie, tuż przed wyjazdem

z Liverpoolu, było prawdą. Proszę, nie myśl nawet o romantycznych schadzkach, namiętności lub choćby odrobinie przyjaźni. Moje małżeństwo jest pozbawione jakichkolwiek uczuć zarówno ze strony dżentelmena, jak i mojej. Pobieramy się z rozsądku. Nie mogę nic więcej powiedzieć, chociaż zdaję sobie sprawę, że to dla Ciebie prawdziwa łamigłówka. Małżeństwo z rozsądku? Czyż sam nie użyłeś tego określenia, sugerując, że to mogłoby zadziałać w naszym przypadku? Prawda wygląda tak, Shakerze, że kryje się za tym coś więcej, znacznie więcej. Są sprawy, których nigdy nie będę mogła Ci wyjaśnić. Trudny do zrozumienia łańcuch wydarzeń, który ma początek w mojej przeszłości, zmusza mnie teraz do zawarcia małżeństwa, a chociaż każde ogniwo jest zardzewiałe, nadal mocno trzyma. Z powodów, które korzeniami sięgają starych, ciemnych i ponurych czasów, muszę zostać panią Somersową In gramową. Mój przyszły mąż jest dżentelmenem z Londynu i pracuje tutaj dla Kompanii Wschodnioindyjskiej.

Nic więcej nie mogę napisać. Jak widzisz po moim piśmie, przez cały czas trzęsie mi się ręka. Proszę, wybac. Mam jeszcze do Ciebie ogromną prośbę: podyktuj komuś list z odpowiedzią. Z ogromną niecierpliwością wypatruję każdej poczty, która przybywa z Anglii. Jeżeli uznasz, że kontaktowanie się ze mną jest niemożliwe, zrozumieć, ale jeszcze raz Cię błagam, Shakerze, nie wyrzucaj mnie ze swojego życia. Pod wieloma względami potrzebuję Cię teraz bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Z wyrazami miłości  
Linny

Napisanie listu do Shakera było najtrudniejszą sprawą, która wiązała się z małżeństwem z Somersem, jak go teraz nazywałam, trudniejszą niż próba wyjaśnienia mojej decyzji Faith. Gdy wyraziłam zgodę i postanowiliśmy, kiedy ma się odbyć nasz ślub -jak najszybciej, gdyż Somers nie chciał czekać ani o dzień dłużej, niż to konieczne - wróciłam do Watertonów. Faith blada i apatyczna siedziała na werandzie. Za nią stał służący, który machał wachlarzem z pawich piór. Trzymała sztywno wyprostowane plecy, a gdy pojawiłam się w drzwiach, otworzyła szeroko usta.

- Nie po... zmieniłaś zdanie? - spytała, zrywając się na równe nogi.  
Przytaknęłam.

- Wiedziałam, że mnie nie zostawisz, Linny. Po prostu wiedziałam.  
Uścisnęła mnie.

- Muszę ci zdradzić moje plany, Faith - powiedziałam. -Proszę, usiądź.

Opadła na rattanową sofę. Chłopiec wrócił do wachlowania.

- Jakie plany?

Usiadłam obok niej i wzięłam ją za ręce.

- Wychodzę za mąż, Faith.

Zacisnęła palce. Poczułam, że wbiła paznokcie w wierzch moich dłoni.

- Za mąż? Za... kogo? Przecież nikt...

- Wiem. Sprawa wynikła dość niespodziewanie. Za Somersa Ingrama.

Faith zmarszczyła czoło.

- Somersa Ingrama? Pana Ingrama?

- Tak.

- Nie złożył ci ani jednej wizyty. O ile pamiętam, rozmawiałaś z nim albo tańczyłaś najwyżej kilka razy. Nie... nie wiem, co o tym sądzić, Linny. Co powiedzieć.

Zapadło milczenie, słychać było jedynie szelest wachlarza.

- Ślub odbędzie się za dwa tygodnie, dwudziestego ósmego lutego. Somers... pan Ingram mówi, że musimy się pobrać przed nastaniem upałów.

Słyszając to, Faith wyrwała dłonie z mojego uścisku i wstała.

- Jesteś bardzo przebiegła. Widzę, że mimo wszystko całkiem nieźle sobie radzisz. A ja tak ci współczułam. - Była bardzo zła. - Wygląda na to, że za moimi plecami uprawiałaś jakąś hinduską czarną magię... nie tylko za moimi. Powszechnie uważa się pana Ingrama za nieosiągalnego, poza tym jest przystojny, czarujący, co sama zauważyłaś. Jeśli dodać do tego jego wysoką pozycję w Kompanii... No cóż, Linny, będziesz wysoko

postawioną damą, prawda? Znajdziesz się w hierarchii wyżej niż pani Waterton.

Przełknęłam ślinę. Nie zastanawiałam się, jaką pozycję w kalkuckich kręgach towarzyskich będę zajmować jako żona Somersa.

- Kilka dziewcząt próbowało go kokietować, ale nie był zainteresowany - ciągnęła Faith. - Oczywiście, w związku z tym krążą pogłoski... że ma ciemnoskórą kochankę... i... nie tylko.

- To znaczy?

Czyżby starannie ukrywany sekret Somersa był tajemnicą poliszynela? Jednak następne zdanie Faith upewniło mnie, że nie.

- Podobno lubi kobiety rozwiązłe, zawsze szuka czegoś mocniejszego. Może dostrzegł w tobie więcej, niż widać na pierwszy rzut oka, Linny. Co takiego spodobało mu się w tobie? Czego brakowało reszcie z nas? Poza tym czemu wszystko przede mną ukrywałaś? Dlaczego jesteś taką egoistką?

- Nie jestem, Faith.

- Nie? Nawet nie zdradziłaś, że interesuje cię pan Ingram. Tymczasem ja zaledwie kilka tygodni temu, myśląc, że pan Snow jest zbyt nieśmiały i nigdy się nie zdecyduje, robiłam z siebie idiotkę, a pan Ingram okazywał mi pewne zainteresowanie. Musiałaś niezłe się ze mnie śmiać.

Zebrała fałdy sukni, obeszła mnie i zatrzymała się w drzwiach werandy.

- No cóż, nie licz, że wezmę udział w twoim ślubie, Linny. Przyjmij do wiadomości, że właśnie przestałam uważać cię za przyjaciółkę. Powinnam słuchać podszeptów intuicji i ostrzeżeń wszystkich osób, które jeszcze w Liverpoolu twierdziły, że możesz być nieodpowiednią damą do towarzystwa. Wiedziałaś o tym, Linny? Wiedziałaś, że wielokrotnie mnie ostrzegano, żebym za bardzo się do ciebie nie zbliżała? Dziś rano, gdy chciałaś opuścić Indie i mnie, przyznałam tym osobom rację. Ale coś takiego?! Żeby wyjść za mąż, nie czekając, aż ktoś mnie się oświadczy?! I pomyśleć, że wyrwałam cię z okropnej biblioteki oraz jeszcze gorszej egzystencji w Evertonie i z dobrego serca przywiozłam tutaj za pieniądze mojego ojca. Wciąż powtarzałaś, że nie interesuje cię małżeństwo, a teraz

masz czelność jako pierwsza z całej flotyli zaręczyć się i wziąć ślub! Widocznie wszystko, co mi mówiłaś, było kłamstwem.

Uciekła z werandy, zostawiając mnie z chłopcem, który powoli, równomiernie poruszał wachlarzem z pawich piór.

Biedna pani Waterton jeszcze nie zdążyła się otrząsnąć z szoku po moim wyjeździe, gdy weszłam do jej sypialni, w której odpoczywała, pólżąc na sofie z mokrą szmatą na czole, i powiedziałam jej to samo, co Faith.

Zgodnie z przewidywaniami była zaszokowana. Usiadła prosto i rzucała okład na podłogę.

- Pan Ingram? Pan Ingram? - powtarzała jak katarynka. - Niemożliwe! Pan Ingram?!

Nie mogła uwierzyć, że dżentelmen taki jak on zauważył kogoś takiego jak ja.

- Dlaczego tak szybko? Dlaczego ślub musi się odbyć natychmiast? - spytała, gdy podałam jej datę. - Całą ceremonię trzeba wcześniej starannie przygotować i zaplanować. Żeby zorganizować wszystko jak należy, trzeba czekać miesiącami. Nie da się tego zrobić pod koniec lutego.

- Przykro mi, pani Waterton, ale panu Ingramowi bardzo na tym zależy.

- Nie możesz go przekonać, Linny, do przedłużenia okresu narzeczeńskiego, żebyście mogli wziąć ślub z początkiem następnego okresu chłódów, czyli wczesną jesienią?

Pokręciłam przecząco głową.

- Przykro mi, proszę pani.

Przez chwilę milczała, a ja dostrzegłam, że przez jej twarz przemknął cień podejrzenia. Potem głęboko odetchnęła, wstała i rozłożyła ręce.

- No cóż, niezależnie od wszystkiego należą ci się gratulacje, moja droga. Jestem pewna, że będziesz bardzo szczęśliwa.

Objęła mnie sztywno.

Byłam jej wdzięczna. Wiedziałam, jakie to dla niej trudne, niemniej bardzo starała się okazać radość.

Gdy się odsunęła, miała już spokojną twarz. Ponieważ zawsze była prawdziwym wzorem dobrych manier, wiedziałam, że nie powie ani słowa więcej o tej dziwnej sytuacji. Równocześnie zdawałam sobie sprawę, że za kilka godzin w całym kalkuckim towarzystwie języki pójdą w ruch.

- Nie wystarczy nawet czasu, żeby przygotować odpowiednie zaproszenia. - Westchnęła. - No cóż, pierwszą rzeczą, jaką musimy zrobić, jest zajęcie się ślubną suknią.

Otworzyła drzwi salonu i krzyknęła:

- *Koi-hai?* Czy jest tu ktoś?

Kazała służącemu przyprowadzić *durnego*.

Stanąwszy w obliczu gigantycznego zadania, jakim było uszycie ślubnej sukni, *durzi* najpierw z rozpaczy kołysał się do przodu i do tyłu, a potem wezwał na pomoc sporą grupkę kolegów po fachu. Wszyscy pracowali przez tydzień po dwadzieścia cztery godziny na dobę, dzięki czemu udało im się przygotować dla mnie odpowiednią kreację. Pani Waterton nadzorowała ich pracę, wyjaśniewszy mi wcześniej, że tak będzie lepiej. Poinformowała mnie w ten sposób, że nie można mi zaufać, a ponieważ jestem jej gościem — do tego nieznośnym - muszę wypełniać jej rozkazy. Oczywiście, pozwalając pani Waterton zająć się ślubną suknią i samym ślubem, poczułam większą ulgę, niż moja gospodyni przypuszczała. Myślała, że w ten sposób wymierza mi karę, tymczasem w rzeczywistości ułatwiała mi dalsze udawanie, bo przecież nie miałam pojęcia, jak wygląda ślub. Nigdy nie byłam na żadnym ślubie. Jeden jedyny raz minęłam młodą parę, która wychodziła schodami z kościoła w Liverpoolu.

Suknia uszyta została z najdelikatniejszego jedwabiu w kolorze kości słoniowej i miała bufiaste rękawy. Ponieważ zgodnie z najnowszą modą obowiązywały spore dekolty, pani Waterton niemal zemdląła, zobaczywszy moją bliznę na piersi. Zawsze ukrywałam ją pod kołnierzykami, koronkami, szarfami i apaszkami. Nawet Faith o niczym nie wiedziała. Jedynymi ludźmi, którzy w Indiach widzieli moją szramę, byli *ayah* i *durni*.

- Och, moja droga, nie wiedziałam... Nie wiem, jak nam się uda...



Stałam na środku przestronnej sypialni pani Waterton, trzech *durzich* klęczało wokół mnie, a gospodyni przez chwilę gwałtownie wachlowała się ręką, a potem opadła na fotel. Dostrzegłam na jej twarzy współczucie. Miałam nadzieję, że dzięki temu przestanie się tak na mnie złościć.

W końcu porozmawiała z *durzimi*, którzy wymyślili kokardę do dekoltu. Wyraźnie pełna współczucia pani Waterton zachwycała się kształtem i kremową skórą moich ramion, zapewniając mnie, że wciąż jeszcze widoczny maleńki skrawek mojego „problemu” można ukryć pod grubą warstwą pudru.

Potem podziwiała pasek i krój spódnicy, która podkreślała wcięcie w talii. Dzięki wiklinowej klatce umocowanej paskami wokół moich bioder, suknia stanowiła wspaniały przykład kreacji w londyńskim stylu.

Co można powiedzieć o ceremonii pozbawionej uczuć? Udało nam się uniknąć zapowiedzi, okazało się również, że nie potrzeba żadnych oficjalnych aktów urodzenia. Wystarczyło to, co na mój temat mieli do powiedzenia państwo Watertonowie, a pani Waterton zadbała o wszystkie szczegóły. Skromna msza odbyła się w kościele Świętego Jana. Gdy kapłan wymówił podczas ceremonii moje imię i nazwisko — panna Linnet Smallpiece - zauważyłam, że Somers spojrzał w moją stronę. Nie znał nawet mojego pełnego imienia. Tego dnia kilkakrotnie - myśląc o mojej matce - wstydziłam się, że ceremonia jest taka fałszywa.

Potem w sali balowej Domu Gubernatora odbyło się przyjęcie. Pojawili się najbliżsi znajomi Watertonów, przyjaciele Somersa i dziewczęta z flotyli połowowej. Panią Waterton otaczało stadko matron, które z ponurymi minami próbowały jej pomóc w zorganizowaniu szokująco nagłego wydarzenia. Niejedna z owych dam, być może żywiąc nadzieję, że uda jej się wydać za pana Ingrama własną córkę albo goszczoną w domu pannę, traktowała mnie chłodno, inne niemal niegrzecznie.

Pomimo panującego cały dzień ponurego nastroju była to miła uroczystość. Salę zdobiło mnóstwo luster i szklanych żyrandoli, a między białymi filarami stały ładne sofy z błękitnego satynowego adamaszku. Na specjalnym stojaku ustawiono wyszukany biały tort, a wokół niego po-

układano prezenty: flakony, srebra, zegary i wszelkiego rodzaju ozdoby dla młodej pary. Nie wiem, czy ktoś uznał za dziwne, że po ceremonii ślubnej pan młody rzadko rozmawia z panną młodą. Gdy służący w nieskazitelnie czystych strojach roznosili tace z filigranowymi kanapkami, dum przyjaciół zabrał mojego świeżo poślubionego męża do palarni. Ja pozostałam z dziewczętami, które bez przerwy zachwycaly się moją piękną suknią, podziwialy błyszczące prezenty i powtarzały, że muszę być bardzo szczęśliwa. Pomimo głośnych i radosnych zachwyków nie udało im się ukryć prawdziwych uczuć, które obejmowały wszystko: od niedowierzania, że dziwna panna Smallpiece właśnie wyszła za mąż za najbardziej pożądanego kawalera Kalkuty, po gorzką zazdrość, że im nie dopisało szczęście i na razie nie zaczęły jeszcze planować własnych ślubów.

Na przekór wcześniejszym zapowiedziom Faith przyszła na mój ślub, ale czułam, że zrobiła to tylko dlatego, by uniknąć plotek, które mogłaby wywołać jej nieobecność. Przez ostatnie dwa tygodnie u Watertonów traktowała mnie z wystudiowanym dystansem i często zostawała w swoim pokoju. Gdy pukałam do jej drzwi, mówiła, że odpoczywa albo że boli ją głowa. Podczas długiej ceremonii ślubnej na jej twarzy przez cały czas gościł sztuczny uśmiech.

Czułam się tak, jakbym obserwowała wszystko z wysoka: uśmiechałam się i przyjmowałam komplementy, przytakiwałam. W końcu koledzy Somersa przyprowadzili go do mnie. Jego zachowanie dobitnie świadczyło, że w ciągu ostatnich godzin wiano w niego sporą ilość porto i brandy. Objął mnie ramieniem, chociaż wiedziałam, że taki gest nie uchodzi w obecności innych nawet podczas ślubu, i pocałował mnie w policzek.

- Panie Ingram - pisnęłam, udając oburzoną. - Chyba pora ruszać w drogę.

Potem kokieteryjnie przesłoniłam dłonią usta i szepnęłam mu na ucho, jakbym mówiła coś intymnego i miłego:

- Nie przesadzaj z tym przedstawieniem, Somersie. Muszę dbać o swoją reputację.

Roześmiał się, a koledzy przyłączyli się do niego, nie bardzo wiedząc, o co chodzi. Uznali najwidoczniej, iż była to wzruszająca chwila pewnej intymności dwojga zakochanych.

Kiedy wraz z Somersem żegnaliśmy się z gośćmi, rozejrzałam się za Faith, ale zniknęła. Miałam nadzieję, że przynajmniej złoży mi życzenia, nim opuścę salę, by zacząć nowe życie jako kobieta zameżna, ale nigdzie nie było jej widać.

Tuż przed wyjściem pani Waterton mocno mnie uścisnęła.

- Bądź dzielna, Linny. Módl się dziś wieczorem do Boga. Ja też będę się modlić, żeby udało ci się znieść czekającą cię ciężką próbę.

Odsunęłam się i spojrzałam w jej załzawione oczy. Czyżby płakała, szczerze mi współczując, czy raczej ze zmęczenia... i ulgi, że już nie musi za mnie odpowiadać?

- Dziękuję pani - powiedziałam - za wszystko, za pani modlitwy również. Z pewnością będą mi potrzebne. - Potem, ponieważ dużo jej zawdzięczałam, powiedziałam to, co z pewnością chciała usłyszeć: - Była pani dla mnie jak matka. Nigdy nie zapomnę pani życzliwości.

Wtedy otwarcie się rozpląkała. Przytuliła mnie do siebie, pogłaskała po włosach i szepnęła tuż przy moim uchu, żeby nikt nie usłyszał:

- Pozwól w takim razie, że powiem ci coś, co powiedziałyby ci matka. Ukrywaj swoją... no wiesz, swoją... - dyskretnie dotknęła mojej karkardy przy dekolcie - ...pod nocną koszulą. Gdyby twój mąż od razu ją zobaczył, mógłby być zaszokowany. Pozwól, by minęło trochę czasu, a potem przygotuj go, żeby nie przeżył wielkiego szoku.

- Obiecuję.

Jakby coś takiego mogło zaszokować Somersa Ingrama! Chociaż z drugiej strony i tak nigdy nie zobaczy mojej blizny.

- To mądra rada - dodałam.

Potem oboje z Somersem wsiedliśmy do bogato zdobionego palankinu, specjalnie wykonanego na uroczyste okazje: z jedwabnymi zasłonami i rzeźbionymi drągami inkrustowanymi srebrem. Pojechaliśmy do Alipuru, obecnie kawalerskiego domu Somersa, bo pozostali młodzi mężczyźni

wyprowadzili się gdzie indziej. Mieliśmy tu mieszkać, póki nie znajdziemy czegoś lepszego.

Byłam wyczerpana po całym dniu udawania podekscytowanej, skromnej panny młodej. Somers wyraźnie ledwo trzymał się na nogach, chociaż starał się, jak mógł. Kiedy *chu-prassi* wpuścił nas do domu, pojawili się *khansana* i drobna kobieta. Oboje wyraźnie na nas czekali. Kobieta uklękła u moich stóp i przywitała się ze mną. Miała na sobie proste białe sari przetykane błękitną nitką.

- To twoja *ayah*, Linny - powiedział Somers. Jego słowa zlewały się w niewyraźny bełkot.

Kobieta wstała i stanęła przede mną z opuszczoną głową.

- Idę do łóżka - oznajmił. - Ona zaprowadzi cię do twojego pokoju. Mam nadzieję, że twoje kufry już tu dotarły.

Nie był w stanie skupić na mnie wzroku. Mrugał powiekami.

Przytaknęłam. Chociaż wiedziałam, że nie interesuje go moje ciało, poczułam dziwną pustkę. W tym momencie wolałabym niedający satysfakcji stosunek od zenującej samotności.

- W takim razie dobranoc - zakończył i poszedł chwiejnym krokiem w głąb korytarza.

Jego *khansana* poszedł za nim z wyciągniętymi rękami, jakby chciał go złapać w razie upadku.

*Ayah* i ja stałyśmy w milczeniu, póki nie przypomniałam sobie, że Hinduska czeka na moje instrukcje.

- Mogłabyś mnie zaprowadzić do mojego pokoju?

Odwróciła się i na bosaka drobnymi kroczkami poszła korytarzem w przeciwną stronę niż Somers. Otworzyła drzwi do sypialni rozjaśnionej delikatnie przez kilka świec, po czym bez słowa pomogła mi zdjąć suknię ślubną, ubrać się w koszulę nocną i rozczesać włosy. Przyniosła pachnącą wodę do przemycia twarzy, rąk i stóp. Poprawiła prześcieradło, a gdy położyłam się do łóżka, przykryła mnie i opuściła moskitierę. Nawet jeśli pomyślała, że to dziwne, by panna młoda spędzała noc poślubną samotnie, nie pokazała tego po sobie.

- Mówisz po angielsku? - spytałam.

Po raz pierwszy spojrzała mi prosto w oczy. Oddzielała nas tylko gęsta siatka moskitiery. Dostrzegłam wahanie.

- Tak, trochę - odparła.

Miała niski, melodyjny głos. W oddali z ciemności dobiegło wycie szakala, a potem szczekanie bezpańskiego psa.

- Czy *memsahib* chce, żebym została? Zamrugałam powiekami, słysząc mój nowy tytuł.

- Tak - powiedziałam, odwracając głowę, ponieważ szczypały mnie oczy. Ponownie zaczęłam się zastanawiać, czy dokonałam właściwego wyboru. Myślałam o tym od dwóch tygodni. - Tak, proszę, zostań - powtórzyłam z wciąż odwróconą twarzą, ale pewnym głosem.

Kiedy zdmuchnęła świece, pomyślałam, że po raz pierwszy od opuszczenia przeze mnie Back Phoebe Anne Street nie będę spała blisko innej kobiety, którą mogłabym nazwać przyjaciółką, niezależnie od tego, czy była to Dorie, Helen, Anna-belle, Chinese Sally czy inne dziewczęta z Jack Street, a potem Faith na Garden Reach. Poczułam się bardzo samotna.

*Ayah* niemal bezgłośnie usadowiła się na macie w rogu pokoju.

- Jak masz na imię? - spytałam.

- Malti.

- Co to znaczy po angielsku?

Zapadło milczenie, potem powiedziała cicho:

- Mały kwiatek. Bardzo mały i bardzo piękny.

- Och!

Zapadło milczenie.

- Chociaż mówią na mnie Linny - powiedziałam po chwili - naprawdę mam na imię Linnet. To ptak. Również mały.

- To dobrze, *memsahib*.

Leżałyśmy w ciemności, mały hinduski kwiatek i niewielki angielski ptaszek.

## Rozdział 23

Następnego dnia Somers powiedział mi, że dwa razy w tygodniu będziemy wydawać uroczyste kolacje i przyjmować wszystkie zaproszenia, jakie dostaniemy. Małżeństwa, które do nas przychodziły, zachowywały się tak, jakby bardzo im zależało, żeby stać się naszymi stałymi gośćmi - w końcu pan Somers Ingram zajmował wysokie stanowisko, a do tego był teraz żonaty i mógł prowadzić normalne życie towarzyskie, więc wiele osób chciało z tego skorzystać.

Jego pozycja nie miała dla mnie żadnego znaczenia: nie interesowało mnie, w jaki sposób spędza czas, tak jak jego nie obchodziło, co ja robię. Czasami jednak wieczorami bywał bardzo znużony, co mogło świadczyć, że spoczywa na nim ogromna odpowiedzialność.

Planowanie posiłków nie sprawiało mi żadnego problemu, narady z kucharzem również. Podczas uroczystych kolacji Somers i ja musieliśmy się zachowywać jak szczęśliwe małżeństwo, oboje jednak byliśmy wspaniałymi aktorami. Czasami, gdy uśmiechałam się do Somersa przez stół wyłożony akrami oślepiająco białego adamaszku, niemal wierzyłam, że jesteśmy taką parą, jaką udajemy. Że siedzimy szczęśliwi w blasku świec, wśród lśniących sreber, a wokół słychać śmiech naszych gości. Somers bywał w towarzystwie wyjątkowo czarujący, a ja czułam, że również i na mnie padają jasne promienie, które tak łatwo emitował. Jednak gdy tylko drzwi zamykały się za ostatnimi gośćmi, mój mąż tracił urok i maszerował z butelką do swojego pokoju. Ja szłam do swojego, nagle czując, że mam sztywny kark, a twarz aż mnie boli od noszenia maski.

Od czasu do czasu, szczególnie w upalne dni albo gdy byłam zmęczona, czułam, że maska ześlizguje mi się z twarzy. Somers dostrzegł to pierwszy i natychmiast przywoływał mnie do porządku. W końcu nabrałam przekonania, że inni też to widzą i dlatego gdy siedzę na końcu stołu, wszystkie głowy odwracają się w stronę Somersa, jakbym była powietrzem.

Po pewnym szczególnie męczącym wieczorze Somers odwrócił się w moją stronę. Napięłam wszystkie mięśnie, czekając na naganę.



- Byłaś dzisiaj bardziej niż zwykle zmęczona, Linny? — spytał, zaskakując mnie cichym tonem.

Przytaknęłam.

- Tak. Czy to było widać? - Ponieważ odezwał się do mnie niemal z szacunkiem, postanowiłam wyjść mu naprzeciw. - Naprawdę się starałam, Somersie, ale major Cowton tak dużo mówił, że po pewnym czasie trudno go było dalej słuchać.

- Dla mnie dzisiejszy wieczór też był trudny - wyznał z westchnieniem.

Nagle coś do niego poczułam. Ogarnęła mnie radość, że zgadzamy się w tak prostej sprawie. Położyłam dłoń na jego rękawie.

- Czy musimy tak często przyjmować tylu ludzi?

- Obawiam się, że nie ma innego wyjścia. Gdybyśmy nie spełniali oczekiwań, zostalibyśmy uznani za dziwaków. - Przeniósł wzrok na moje włosy. - Ładną masz dzisiaj fryzurę.

- Mald wypróbowała coś nowego - wyjaśniłam.

Gdzie podziała się jego arogancja? Dotychczas nasze rozmowy przeważnie przypominały słowne potyczki.

- W takim razie życzę dobrej nocy - powiedział Somers. W jego głosie usłyszałam wahanie, coś, co mogło sugerować samotność. Ja też czułam się samotna w wirze ciągłych wydarzeń, wśród ludzi, których ani trochę nie obchodziłam. W przyływie niespodziewanych emocji objęłam go i położyłam mu głowę na piersi. Natychmiast mnie odsunął.

- Czemu to zrobiłaś? - spytał głosem zazwyczaj zarezerwowanym tylko dla mnie.

- Nie wiem - odparłam szczerze. - Poczułam... no cóż, popełniłam jakiś błąd?

Czyżbym była dla niego tak odpychająca, że nie mógł znieść mojego dotyku?

Zostawił mnie w drzwiach bez odpowiedzi. Za plecami słyszałam, jak służący cicho sprzątają ze stołu.

Sześć tygodni po moim ślubie Faith wyszła za Charlesa Snowa. Choć jej ślub został zorganizowany w takim samym pośpiechu jak mój, nie był zbyt uroczysty; skończyło się na prostej wymianie przysięgi małżeńskiej w kościele i niewielkim przyjęciu. Biedna pani Waterton, chyba gorzko żałowała dnia, w którym przyjęła nas obie pod swój dach. W ciągu niespełna roku najpierw musiała gasić płomienie, które wznieciła wygadana i niepokorna pani Liston, potem zorganizować mój ślub, a w końcu stawić czoło ogromnemu towarzyskiemu skandalowi, który wywołali Faith i Charles.

Gdy ojciec Faith przyплыł do Kalkuty trzy tygodnie po moim ślubie, wiadomo już było, że pan Snow się oświadczył, a moja przyjaciółka zgodziła się zostać jego żoną. Słyszałam o tym z drugiej ręki, ponieważ Faith nie odpowiadała na moje zaproszenia. Codziennie o niej myślałam. Tęskniłam za nią i nie chciałam uwierzyć, że całkowicie zrezygnowała z naszej przyjaźni. Czasami przypominałam sobie, jak się śmiała z plotek towarzyskich albo słuchała moich opowieści o książce, którą właśnie czytałam. Często rozmawiałam z nią w myślach.

Ojciec Faith po przyjeździe zabronił jej wychodzić za mąż za pana Snowa. Początkowo nikt nie wiedział dlaczego, potem pojawiły się plotki, które szeroką falą zalały angielską enklawę. Według nich Charles Snow był mieszańcem, który ukrywał ten fakt, póki on i Faith nie ogłosili zaręczyn. Gdy w końcu znów zaczęła ze mną rozmawiać, wyznała mi, że Charles powiedział jej wcześniej o swoim pochodzeniu, ale nie przypuszczała, że pociągnie to za sobą tyle plotek i jawną dyskryminację. Trudno było powiedzieć, kto wspomniał o tym pierwszy, natomiast podczas bezpośredniej konfrontacji Charles, jako człowiek honoru, nie zaprzeczył. Jeśli nie liczyć lśniących czarnych włosów, nic w jego wyglądzie nie świadczyło, że jego zmarła podczas porodu matka była Hinduską. Pan Vespry był wściekły, uważał, że córka splami dobre imię rodziny, jeśli wyjdzie za mąż za mieszańca. Podobno krzyczał na nią na stopniach Klubu Kalkuckiego, że jeśli poślubi Charlesa, zostanie wydziedziczona.

Wtedy właśnie Faith do mnie wróciła. Nie przysyłając nawet wizytówki, pewnego dnia stanęła w moim foyer i z oczami pełnymi łez spyta-

ła, co powinna zrobić. Bez słowa rozłożyłam ręce i wzięłam ją w objęcia. Uścisnęłam ją, Faith odpowiedziała tym samym. Czułam, że ciężar spada mi z ramion. Chociaż szczerze jej współczułam z powodu kłopotów, w głębi duszy byłam rozradowana.

Gdy usiadłyśmy w salonie, a ja odesłałam służbę, poczułam, że mogę być wobec niej szczerą.

- Kochasz go, Faith?

- Tak, Linny. Nigdy nie myślałam, że poczuję coś takiego. Oczywiście, nikt, absolutnie nikt mnie nie popiera. Bardzo bym chciała, żebyś stanęła po mojej stronie, zrozumieć jednak, jeśli tego nie zrobisz.

Dolna warga Faith łuszczyła się, bo moja przyjaciółka bez przerwy przygryzała drobnymi ząbkami suchą skórę.

- Jednak coś mi mówi, że mnie zrozumiesz, dlatego wpadłam do ciebie. Miałam nadzieję, że mnie wpuścisz, gdy stanę w drzwiach. Bałam się, że jeśli wcześniej wyślę wizytówkę, nie będziesz chciała się ze mną zobaczyć.

- Jestem po twojej stronie, Faith - zapewniłam ją cicho. Lepiej niż inni ludzie wiedziałam, że człowiek powinien zdawać się na intuicję.

- Jeśli naprawdę chcesz wyjść za Charlesa, powinnaś to zrobić - zapewniłam ją.

Na jej twarzy pojawiła się ulga.

- Ani chwili dłużej nie mogłam znieść myśli, że już nie jesteś moją przyjaciółką, Linny, chociaż przyjąłabym ze zrozumieniem, gdybyś nie chciała widzieć mnie na oczy po takim potraktowaniu przeze mnie.

Rozpłakała się. Wyjęłam z rękawa chusteczkę do nosa i podałam ją Faith. Najwyraźniej nie zabrała ze sobą nawet torebki.

- Gdy powiedziałaś mi o swoich małżeńskich planach, musiałam sprawiać wrażenie śmiesznej. Tak się bałam... - Urwała, jakby nie miała pewności, czy kontynuować, potem głęboko odetchnęła i skoczyła na głęboką wodę. - Powodował mną strach, moja droga Linny, strach, że zostanę odesłana do kraju. Czekałam, wciąż czekałam, aż Charles mi się oświadczy, tymczasem ty zupełnie niespodziewanie oznajmiłaś, że wychodzisz za męża i... przepraszam, Linny. Proszę, wybac mi. Odkąd

Charles poprosił mnie o rękę, a ja wiem, jak głębokim darzy mnie uczuciem, czuję się tak, jakbym była zupełnie innym człowiekiem. Jestem szczęśliwa, Linny, szczęśliwsza niż kiedykolwiek wcześniej. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek w życiu była taka szczęśliwa. Nie obchodzą mnie groźby ojca. Nie obchodzi mnie, że Charles został zdeklasowany i że nie będziemy mogli wieść wystawnego życia. Gdy patrzę na jego kochaną twarz, wiem, że wszystko to guzik mnie obchodzi. Kocham go, a on kocha mnie.

Ciężko, niespokojnie westchnęła. Ujęłam jej dłonie.

- W takim razie musisz wyjść za niego za mąż, Faith. Jak często się zdarza, że ktoś kocha, a w dodatku kocha z wzajemnością?

Próbowała przywołać na usta niepewny uśmiech.

- Wiedziałam, że powinnam porozmawiać z tobą na ten temat. Wiem, że od opuszczenia Liverpoolu nieźle dałam ci się we znaki, Linny. Ty byłaś taka odważna, taka silna. Niezależnie od tego, co powiedziałam ci w przyływie złości, chcę, żebyś wiedziała, iż podczas naszej wspólnej podróży nie chciałabym mieć u boku nikogo innego. Możesz mi wybaczyć?

Uśmiechnęłam się promiennie.

- Oczywiście. Jestem szczęśliwa w twoim imieniu, Faith - powiedziałam. - Zawsze będziemy przyjaciółkami.

- Tak, tylko że ty jesteś teraz wysoko postawioną damą, a Charles... no cóż, będę w hierarchii znacznie niżej od ciebie - powiedziała Faith.

- Nie pozwolę, żeby rozdzielono nas z tego powodu. - Pstryknęłam palcami. - Tyle mnie obchodzi, co ktoś może powiedzieć o naszej przyjaźni.

Uścisnęła mnie spontanicznie.

- Czyż to nie cudowne, Linny, być kochaną tak głęboko i prawdziwie? Tylko pomyśl! Wkrótce obie będziemy *mema-hib*. Czy marzyłaś kiedykolwiek o takim życiu?

- Nie - odparłam szczerze. - Nigdy.

Tak więc Faith wołała Charlesa niż swój majątek, spadek i powrót do dawnego życia w Liverpoolu. Polubiłam go. Był skromny i miał niespo-

tykany urok. Dotychczas sprawował urząd komisarza w jednym z mniejszych biur Kompanii, ale po ujawnieniu jego pochodzenia natychmiast został zdegradowany do szeregu niższych urzędników, a jego pensja stanowiła zaledwie ułamek tego, co poprzednio zarabiał. Gdy tylko wzięli ślub, większość Anglików odsunęła się od Faith i przestała wysyłać jej zaproszenia na spotkania towarzyskie. Pozycja towarzyska i związana z tym możliwość bywania wśród ludzi były ważne dla Faith, ale miałam nadzieję, że nie będzie się tym przejmować, podtrzymywana na duchu przez miłość Charlesa. Wyraźnie przy nim rozkwitła.

Popełniłam jednak błąd, próbując włączyć ich do naszego kręgu towarzyskiego. Gdy Somers i ja byliśmy cztery miesiące po ślubie, często pozwalał mi układać listę gości. Mogłam ich wybrać spośród nazwisk, które wcześniej mi podał. Tego wieczoru zaprosiłam dwie dziewczyny z flotylli połowowej, wspólne znajome moje i Faith. Obecnie były zaręczone z młodymi mężczyznami, których Somers aprobował i którzy pracowali z Charlesem, nim popadł w niełaskę. Było również starsi małżeństwo, które Somers znał niemal od przyjazdu do Indji a teraz miało pełnić funkcję przyzwoitek w stosunku do zaręczonych par. Zaprosiłam również Charlesa i Faith, nie informując o tym męża.

Gdy zapowiedziano pana Charlesa Snowa z małżonką przez salon, w którym przebywała reszta towarzystwa, przebiegł pomruk. Pospieszyłam ich powitać. Faith wyglądała zachwycająco w kwiecistej popelinowej sukni z ciemnymi brązowo-czerwonymi wykończeniami, które doskonale podkreślały kolor jej włosów. Niestety, jej ogromne oczy zdradzały niepewność. U jej boku stał sztywny jak pogrzebacz Charles.

-Proszę, wejdźcie - powiedziałam i odwróciłam się, by spojrzeć na pokój.

Nie zobaczyłam powitalnych uśmiechów, nie usłyszałam żadnych pozdrowień. Somers odwrócił się plecami i rozmawiał głośno z innym dżentelmenem o jakichś błahostkach narzucając ton całemu wieczorowi.

To było żalotne! Usiłowałam wciągnąć Faith i Charles w rozmowę przy stole, ale oni również byli sztywni i niekomunikatywni. Widziałam

po drugiej stronie stołu ciemne, inteligentne oczy Charlesa i było mi wstyd, że postawiłam go i Faith w takiej sytuacji.

Kiedy wyszedł ostatni gość, Somers odwrócił się do mnie.

- Jak śmiałaś mi to zrobić? - warknął. - To głupie, niestosowne...

- Nie wmawiaj mi, że jesteś taki sam jak cała reszta, Somersie - powiedziała ze znużeniem. - Sam mi wyznałeś, że przez jakiś czas zastanawiałeś się, czy nie zacząć się zalecać do Faith. Poza tym jestem w Indiach właśnie dzięki niej, więc...

Nie pozwolił mi dokończyć.

- Ci cholerni mieszkańcy! Wszyscy są tacy sami: mówią z dziwnym akcentem, nisko się kłaniają, całują, ale gdyby tylko mogli, najchętniej wbiliby człowiekowi nóż w plecy. Mieszana krew! - prychnął. - Jeśli w czyichś żyłach płynie chociaż odrobina gorszej krwi, nie da się tego ukryć. W taki czy inny sposób prawda zawsze wyjdzie na jaw.

- Dopóki o niczym nie wiedziałeś, bez problemów akceptowałeś Charlesa - przypomniałam. - Poza tym jego akcent jest taki sam jak twój.

- Zawsze podejrzewałem, że coś z nim jest nie tak - burknął Somers. - Tak samo jak od pierwszego naszego spotkania wiedziałem, że coś ukrywasz. Mam nosa do oszustw. Do tej pory powinnaś już na tyle mnie znać.

Odwrócił się i ruszył w stronę swojego pokoju. Znow stanął.

- Nigdy więcej nie upokarzaj mnie w taki sposób. Rozumiesz?

- Tak - odparłam.

Stał jeszcze przez chwilę wściekły i nie odrywał ode mnie wzroku, a potem długim krokiem poszedł do swojego pokoju i trzasnął drzwiami.

Nazajutrz wysłałam do Faith bilecik, prosząc, żeby wpadła wczesnym popołudniem, po lunchu, gdy Somers będzie w pracy. Odesłała mi go, wcześniej wypisawszy w poprzek duże TAK

Gdy przyjechała, wzięłam ją za rękę.

- Przepraszam za wczorajszy wieczór, Faith. Proszę, wybac. Nie przypuszczałam, że zostaniecie tak podle potraktowani.

Faith ścisnęła moje dłonie.

- Nie ma sprawy. Charles nie chciał iść, ale tak długo się dąsałam, aż poczuł się winny. Powtarzałam mu, że jesteś moją jedyną prawdziwą



przyjaciółką w Kalkucie i że nigdy mu nie wybaczę, jeśli nie przyjmimy twojego zaproszenia. Teraz żałuję, że to zrobiłam. Podobnie jak ty nie miałam pojęcia, że nasza obecność spowoduje aż taką wrogość.

Usiadłyśmy razem na sofie, wciąż trzymając się za ręce. W tym momencie nie miałyśmy sobie nic więcej do powiedzenia.

15 czerwca 1831

Drogi Shakerze!

Dziękuję, dziękuję, jeszcze raz dziękuję! Nie potrafię Ci powiedzieć, ile razy zadrzało mi serce, gdy dostałam Twój list. Od razu rozpoznałam charakterystyczne pismo pana Wortha. Czy nadal wypisuje wszystkie ogłoszenia?

Z prawdziwą przykrością dowiedziałam się o śmierci Twojej matki. Zdaję sobie sprawę, że ostatni rok był dla Ciebie bardzo trudny, zwłaszcza że bez przerwy musiałeś się nią zajmować. Cieszę się, że Celina Brunswick i jej matka złożyły Ci wizytę kondolencyjną. Faith często wspomina Celinę, bardzo dobrze się o niej wyraża, wymienia wiele jej cnót i wspomina o uzdolnieniach muzycznych.

Od czterech miesięcy jestem mężatką, czyli - jak tu mówią - *memsahib*. Mój mąż, Somers, przejął spadek, dzięki czemu dwa miesiące po naszym ślubie mógł kupić dla nas dom w Chowringhee. To jedna z ładniejszych dzielnic Kalkuty, miejsce, gdzie jest dużo bujnej roślinności, przestrzeni i łatwiej można wyczuć chłodny wiatr od rzeki. Nasz dom to gipsowa willa w zielonym ogrodzie. Jest naprawdę ładna, ale za duża i zbyt pusta. Somers się cieszy, że może ją ozdabiać, zapelniać pokoje angielskimi meblami, dywanami i wyrobami rzemieślniczymi, które wcale mi się nie podobają.

Uwielbiam jednak szerokie werandy z przodu i na tyłach domu. Podczas upałów są naprawdę zbawienne. Wieją teraz gorące wiatry. Jak mnie uprzedzono, zapowiadają monsuny, które mają się pojawić w ciągu najbliższego miesiąca. Słońce, które z taką radością powitałam po przyjeździe do Indii, teraz stało się groźne, brutalne. Panują upały, w gorących

promieniach wszystko traci kolory: drzewa, drogi, ogrody, kamienie, a nawet nasze twarze. Nie można dotknąć żadnej powierzchni, wszystko jest takie rozpalone. Wyraźnie odczuwa to również skóra. W dodatku panuje bardzo wysoka wilgotność. Cała jestem pokryta potówkami. Wszędzie wciskają się insekty. Gdy starcza mi energii, żeby coś powiedzieć, odnoszę wrażenie, że nawet moje słowa topnieją w chwili, gdy tylko wypłyną z moich ust, rozpuszczają się jak masło i tracą znaczenie.

Jakby na przekór okrutnemu bogowi, im większy panuje żar, tym słodsze są owoce, tym cięższe i piękniej pachnące kwiaty.

Nie opuszczam mojego matecznika, otoczona przedmiotami, które mają mi zapewnić chłód. We wszystkich pomieszczeniach pod sufitami wiszą wachlarze - *punkah* — chociaż teraz jedynie mieszają ciężkie, gorące powietrze. Czerwone, wilgotne maty zawieszono w oknach i drzwiach bez przerwy skrapiane są wodą w nadziei, że dmuchnie przez nie orzeźwiająca bryza. Dysponuję również specjalnym urządzeniem do chłodzenia pomieszczenia. Ma ono rozprowadzać schłodzone powietrze po całym pokoju.

Gdy Somers jest w Kalkucie, czas wypełniają nam spotkania towarzyskie. Swoistą, choć wymuszoną radość sprawia tu ludziom wysyłanie wizytówek i składanie wizyt między jedenastą a drugą, gdy słońce świeci najmocniej. Moim zdaniem jest to nudne. Na szczęście, gdy Somers wyjeżdża, a robi to często, ponieważ lubi polować w dżungli na dzikie świnie albo odwiedzać oddziały Kompanii w Madrasie czy Bombaju, och, Shakerze, wtedy z niesamowitą radością zanurzam się w indyjskiej rzeczywistości, chociaż muszę to trzymać w tajemnicy. Wydaje mi się, że wtedy czuję się najlepiej i najbezpieczniej. Z całą wyrazistością zdaję sobie teraz sprawę, że większa część mojego życia jest tajemnicą i może zostanie takjuż na zawsze.

Gdy nie ma Somersa, z udawanym żalem odrzucam wszystkie zaproszenia, które do mnie przychodzą, i zamiast składać wizyty, zostaję w domu, chodzę na bosaka, odsuwam na bok dywany *dhuri* i rozkoszuję się chłodem kamiennej podłogi. Pochłaniam książkę za książką - w Klubie Kalkuc-kim mają małą, ale dobrze wyposażoną bibliotekę, a ja jestem jej

częstym gościem. Nie wydaję żadnych poleceń, jeśli chodzi o posiłki, co sprawia, że kucharz trochę się boczy i czuje się urażony. Staram się jednak unikać wszechobecnego mięsa: dziczyzny, wołowiny, baraniny, wieprzowiny, cieleciny i drobiu, a także naszego ciężkostrawnego angielskiego jedzenia, które tak bardzo stara się przyrządzić nasz *biwarchi*, często zresztą z dość ciekawym rezultatem.

Na pewno cała służba uznaje mnie za wariatkę, jedyny wyjątek stanowi moja ukochana Mald (jej imię oznacza mały pachnący kwiatek i idealnie do niej pasuje). Pozostali udają, że nie widzą, gdy z rozpuszczonymi włosami tańczę w domu na bosaka w jednym z sari Mald, wcinam ryż i migdały, zajadam się melonami o pachnącym miąższu, owocami mango, a od czasu do czasu curry; Udało mi się ich trochę ośmielić, dlatego teraz na moje nalegania prowadzą ze mną krótkie rozmowy w hindi, gdy tylko *burra sa*-Mijest poza domem. Poczyłałam znaczne postępy w znajomości tego języka.

Nauczyłam się również jeździć konno. To także muszę robić w tajemnicy, bo jak mogłabym wyjaśnić eleganckim angielskim damom z Kalkuty, że nigdy nie siedziałam na końskim grzbiecie? Każde angielskie dziecko bardzo wcześnie opanowuje tutaj tę sztukę. Poszukałam ujeżdżalni, która znajduje się daleko od Klubu Kalkuckiego. Jej właścicielem jest cierpliwy mieszaniec, którego nie dziwi mój brak doświadczenia. Po paru miesiącach nauki całkiem nieźle radzę sobie w siodle. Na razie nie próbowałam skakać i poprzestaję na mało ambitnym kłusie, cwale i galopie, ale umiem już jeździć wystarczająco dobrze, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

Często też chodzę po Kalkucie pod pozorem robienia zakupów. Co mnie obchodzą zakupy, Shakerze? Znasz mnie wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że ten sposób spędzania czasu, tak ceniony przez inne angielskie *memsahib*, mnie w ogóle nie interesuje. Daję więc koszyk i pieniądze mojej powiernicy Mald, która wyraźnie uwielbia mnie już za samo to, że ma się mną zajmować. Jedzie na bazar i kupuje wszystko, co potrzebne na kilka posiłków, albo idzie do Taylor's Emporium, gdzie jest mnóstwo lśniących sreber, błyszczącej porcelany, kryształów, klejnotów i

wszystkich angielskich rzeczy. Robiąc zakupy, czuje się szczęśliwa i ważna, mówi mi, że jest obiektem zazdrości innych *ayah*, którym *memsahib* nigdy nie powierzają takich obowiązków.

Kiedy Mald robi zakupy, ja poznaję Kalkutę. Odwiedzam bazy. Największy nazywa się Bow Bazaar i stanowi radosną, choć może dość plugawą zbieraninę kramów. Widziałam na nim rzeczy, o których istnieniu nawet nie wiedziałam. Pełno tu egzotycznych bożków, dziwnych materiałów, ostrych, aromatycznych przypraw, wspaniałych roślin, ogromnych szklanych budi z oliwą i wodą różaną w wiklinowych koszach. Jest też kość słoniowa z Cejlonu i skóra nosorożca z Zanzibaru. Czuję się całkiem bezpieczna; Hindusi darzą wszystkie *memsahib* ogromnym i - jak podejrzewam - fałszywym szacunkiem. Fałszywym, bo nie mają wyboru. Ich szacunek nie ma nic wspólnego z podziwem, ale z kolorem skóry. To dla mnie żenujące, chociaż wiem, że w Indiach o wartości człowieka decyduje jego pochodzenie.

Podobnie jest jednak w Anglii. Tylko pod tym jednym względem Anglicy i Hindusi są do siebie podobni.

Pewnie wiesz, że wkrótce po mnie za mąż wyszła również Faith. Mówiła mi, że napisała o tym do Celiny, mam więc nadzieję, że Celina przekazała Ci tę wiadomość. Widuję ją tak często, jak mogę. Faith ma dość słabe zdrowie. Jej mąż, pan Snow, jest miłym, poważnym, ale życzliwym mężczyzną i naprawdę ją ubóstwia. Pomimo szczęśliwego małżeństwa Faith nie potrafi sobie poradzić z tutejszą chaotyczną rzeczywistością. Wspomina, że w przyszłym roku chciałyby odwiedzić kraj, co moim zdaniem jest dobrym pomysłem, chociaż jeśli chce sprostać takiemu wyzwaniu, wcześniej będzie musiała odzyskać tężyznę fizyczną.

Jeszcze raz dziękuję Ci, Shakerze, że do mnie napisałeś. Od opuszczenia Liverpoolu w ubiegłym roku po cichutku liczyłam, że się odezwiesz. Twój list sprawił, że poczułam się tak, jakby otworzyły się przede mnajakieś drzwi.

Jeszcze raz, Shakerze, składam Ci szczerą kondolencję z powodu śmierci mamy.

Twoja jak zawsze

PS. W przyszłości możesz wysłać swoją korespondencję do pani Somersowej Ingramowej, wtedy trafi bezpośrednio do moich rąk. Teraz wszyscy tak się do mnie zwracają.

Istniały w moim życiu sprawy, o których nie mogłam napisać Shakerowi. Nie przyznałam mu się do wizyt na cmentarzu przy kościele Świętego Jana, ponieważ obawiałam się, że uzna mnie za chorą. Czasami odnosiłam wrażenie, że niektóre angielskie damy uważają częste odwiedzanie grobów za wspaniały sposób spędzania czasu. Nad cmentarną bramą widniały słowa: „Chwała wszystkim, którzy tu spoczywają”. Wśród nagrobków znajdowałam spokój, dzięki któremu łatwiej mi było wspominać matkę i małą córeczkę. Pochowano tu dużo, och, o wiele za dużo małych dzieci, które zmarły na cholere, zapalenie jelit, ospę, gorączkę, a także z nieprzystosowania do okrutnej rzeczywistości Indii. Jednak pomimo smutku odnajdowałam tu również spokój. Gdy zaczęła się pora deszczowa, a ulewy obmyły nagrobki z kurzu, dzięki czemu wyraźnie było widać litery, a w szczelinach płyt pojawiła się zieleń, odczuwałam dziwną wewnętrzną harmonię.

Nie pisałam też Shakerowi o innych rzeczach, z którymi się zetknęłam. Na przykład o *sati*. Chociaż na rok przed moim przyjazdem rząd zakazał kultywowania tego obyczaju, pewnego razu przez przypadek zobaczyłam dające się resztki stosu pogrzebowego, na którym spłonęła wdowa. Musiała być młoda, bo obok stertki ciemnego popiołu i ludzkich szczątków rozpaczali dwaj mali chłopcy. Spoglądając na dzieci, zastanawiałam się, czy są wystarczająco duże, by zrozumieć, że matka poświęciła się nie tylko dla ich ojca - jej śmierć miała zapewnić mu szczęśliwą reinkarnację - ale i dla nich. Dzięki temu, że odeszła, by zająć w niebiosach miejsce u stóp męża, malcy mogli mieć pewność, że cała rodzina odpowiednio się nimi zajmie. Zastanawiałam się, czy mają jakieś siostry, a jeśli tak, to jak będzie wyglądał ich los.



Gdy pewnego popołudnia stałam w cieniu między dwiema świątyniami, zobaczyłam dum mężczyzn, którzy ciągnęli następnego. Miał skrupowane paskami ręce i nogi. Zaciągnęli go na plac między świątyniami. Zmusili, by klęknął, i położyli mu głowę na ogromnym drewnianym kłocu. *Choor, choor* -mamrotał szybko rosnący dum. Wiedziałam, że ten człowiek jest złodziejem.

Po chwili przewodnik słoni, karnak, przyprowadził potulnego, pomalowanego słonia ceremonialnego z dzwonkami na grubych kostkach. W tłumie zapadła złowieszcza cisza. Na rozkaz karnaka ogromna pomarszczona noga uniosła się nad głową złodzieja, a potem powoli, niemal delikatnie, z brzęczeniem dzwoneczków opadła i zmiażdżyła czaszkę na drewnianym kłocu. Nie mogłam odwrócić głowy. Uroczysta cisza trwała nawet wtedy, gdy słoń został odprowadzony, a dum zaczął topnieć. Dwóch nietykalnych, zwanych tu *sudrami*, odciągnęło zwłoki i zakrwawione pozostałości głowy. Ludzie rozstapili się przed nimi. Nietykalni przeszli blisko mnie, ciągnąc szczątki, a ja dyskretnie zwróciłam zawartość żołądka, potem otarłam usta o skraj sukni i poszłam przecznicą, która zaprowadziła mnie z powrotem na bazar.

Kupiłam torebkę *panu* i chcąc uspokoić żołądek, zaczęłam przeżuwać mieszaninę zmielonych przypraw, liści i betelu. Jednocześnie patrzyłam, jak zasuszony, niewidomy staruszek gra na sitarze: pozbawiona melodii muzyka miała jakiś dziwny urok. Kiedy skończył, przekrzywił głowę i spojrzał w niebo, a wtedy zobaczyłam, że łzy płyną mu po zakurzonej twarzy, na której gości promienny uśmiech. Przykucnęłam obok niego i wcisnęłam mu w rękę resztki *panu*. Ujął moją dłoń, musnął palcami jej wnętrze i nadgarstek, po czym bezzębnymi ustami wyszeptał błogosławieństwo. Poczulałam obrzydzenie wymieszane z zazdrością. Tak. Ten człowiek nie pragnął niczego oprócz instrumentu i ciepła promieni słonecznych. Znał swoje miejsce w świecie i akceptował je.

Chociaż ścieżka mojego życia zawiodła mnie w bezpieczne miejsce, do pięknego domu, w którym nie brakowało mi niczego, wciąż często czułam, że do niego nie pasuję. Pomimo otaczających mnie luksusów prześladował mnie jakiś pusty ból.



Gdy oddalałam się od starca, wyrzucałam sobie egoistyczne myśli.

## Rozdział 24

Martwiłam się o Faith. Ona i Charles musieli zamieszkać w podłej dzielnicy dla mieszkańców z cywilnych służb Kompanii. Często tamtędy przejeżdżałam. Ich dom stał na końcu Chitpore Road, w rzędzie niskich, byle jak zbudowanych drewnianych budyneczków z popękkanymi frontowymi ścianami, z których wyrastały chwasty.

Po raz pierwszy odwiedziłam Faith w czasie największych upałów. Domek był mały, ale schludny. W przeciwieństwie do innych, znanych mi domów w Garden Reach, Alipurze czy Chowringhee, świadczył o tym, że jesteśmy w Indiach. Był prosty i skromnie umeblowany. Stały w nim rattanowe meble i małe mosiężne stoliki, na gołych białych ścianach nie wisiało nic oprócz kilku draperii, a pod stopami leżały pachnące maty. W początkowej fazie małżeństwa z Charlesem, na przekór wyraźnemu obniżeniu pozycji społecznej, Faith sprawiała wrażenie szczęśliwej i z prawdziwą radością prowadziła dom. Nie było tu werandy, a tylne drzwi wychodziły prosto na podwórko. Ponieważ dom stał z dala od rzeki, było w nim bardzo duszno.

Faith miała niewiele służby: nieśmiałą, chudą, mniej więcej dwunastoletnią dziewczynkę, która pełniła funkcję *ayah*, młodszego brata dziewczynki jako sprzątacza i staruszka, który snuł się po domu i właściwie nic nie robił. Kucharza, *dhobiego* i *durnego* dzieliła z trzema innymi domostwami.

Nieco później, gdy w Kalkucie zapanowały upały, Faith zaczęła odrzucać moje zaproszenia, wymyślając różne wymówki, od skwaru po kiepskie samopoczucie i problemy ze służbą. Kiedy nie widziałam jej przez trzy tygodnie, pomimo skwaru postanowiłam sama ją odwiedzić.

W drzwiach powitała mnie *ayah*. Wprowadziła mnie do maleńkiego salonu, po czym poszła po Faith. Czekałam w pokoju. Chociaż z braku

świeżego powietrza kręciło mi się w głowie, nie mogłam nie zauważyć białych mrówek, które wędrowały po matach na podłodze, nie mogłam też nie wyczuć przykrej woni niewypranej pościeli. Na falbance *punkah* widniała warstewka kurzu. Na małym okrągłym stoliku z teku, widocznym przez otwarte drzwi, stały brudne talerze i kubki. W końcu pojawiła się Faith. Była blada, miała na sobie pogniecione ubranie, a w jej włosach brakowało spinek.

- Cześć, Linny - powiedziała. - Próbowałam się ochłodzić, leżąc w całkowitym bezruchu. Proszę, wybacz bałagan. Nie przyjmujemy gości. Jest za gorąco.

- To oczywiste. Kto w takim skwarze jest w stanie cokolwiek zrobić? - powiedziałam.

Usiadłyśmy, a wtedy poprosiła *ayah*, żeby przyniosła chłodną herbatę. Dziewczynka podała do herbaty talerz biszkoptów. Służąca Faith pachniała *ghee*, którym natłuszczała włosy. Faith nawet nie zerknęła na talerz; zauważyłam, że biszkopty nie są najświeższe.

Próbowałyśmy rozmawiać o wszystkim i o niczym, ale Faith sprawiała wrażenie niespokojnej, wydała *ayah* polecenia dla kucharza, a potem dwukrotnie je zmieniała. Kazała sprzątaczkowi wykonywać drobne, mało istotne czynności, a tymczasem muchy latały wokół brudnych naczyń. Gdy oznajmiłam, że za pół godziny wychodzę, zaczęła niespokojnie krążyć po pokoju i wyglądać przez okno.

- Czy na pewno dobrze się czujesz, Faith? - spytałam.

Zauważyłam, że nie ma na sobie gorsetu ani halek, a kremowa suknia wyraźnie na niej wisi; pod pachami i na plecach dostrzegłam plamy potu. Podczas takich upałów przebierałam się przynajmniej cztery razy dziennie: Malti przygotowywała mi chłodną kąpiel i świeże ubrania.

Faith spojrzała na mnie.

- Tak. Po prostu myślałam, że Charles wróci do domu wcześniej niż zwykle. Miałam taką nadzieję. Nie lubię być sama.

- Nie jesteś sama. Masz służących i inne kobiety z podwórka. Odwiedzasz je?

Oderwała wzrok od okna.

- Liczyłam... miałam nadzieję, że Charles przyjedzie, nim pójdiesz. - Podeszła bliżej. - Chodzi mi o służbę. Zawsze mnie obserwują. Czuję, że mnie nie lubią.

- Mogłabyś częściej wychodzić - zaproponowałam. -Wiem, że przy takim upale to trudne, ale wcale nie jest łatwiej, gdy człowiek siedzi zamknięty w domu przez cały dzień.

- Nie dostaję zaproszeń tak jak ty, Linny.

- Ale ja często wychodzę z Mald w całkiem innych celach. W Klubie Kalkuckim mają niewielką bibliotekę.

- Charlesowi odebrano członkostwo.

- Mogę cię tam zabrać jako swojego gościa.

- To wszystko jest zbyt nużące - powiedziała Faith.

Gdy wychodziłam dwadzieścia minut później, była rozkoja-rzona, krążyła wokół zastawionego brudnymi naczyniami stołu i martwiła się, że obiad nie będzie Charlesowi smakował.

Chociaż nie wszystkie aspekty życia w Kalkucie mi odpowiadały, większość ich dosłownie uwielbiałam. Wiele cudownych godzin spędzałam w bibliotece. Pan Penderel, starszy mężczyzna, który nią kierował, dobrze mnie znał. Myślę, że był zadowolony, widząc, iż ktoś w ogóle do niego przychodzi, bo chociaż odwiedzałam go co cztery, pięć dni, by wziąć nowe książki, nigdy nikogo u niego nie spotkałam. Po kilku miesiącach zaczął odkładać dla mnie egzemplarze przywiezione prosto z Anglii. Gdy po raz pierwszy zauważył, że oglądam, jak została zeszyta szczególnie ładna książka, zmarszczył czoło.

- Zapewniam panią, pani Ingram, że w oprawie nie ma żadnego robactwa. Każdy egzemplarz dokładnie sprawdzam, zanim położę go na półce, potem również, gdy ktoś go wypożycza i oddaje. Bardzo dbam o książki. W indyjskim klimacie to niezmiernie ważne.

- Och, wcale nie szukałam robactwa, proszę pana. Przyglądałam się szyciu. Zauważyłam ciekawy ścieg, którego nigdy wcześniej nie widziałam.

Pokazałam mu.

- Rozumiem - powiedział pan Penderel, a jego oczy błysnęły żywym blaskiem. - Interesuje panią sposób, w jaki powstają książki?

- O tak - odparłam. - Gdy byłam bardzo, bardzo młoda, poświęcałam temu dużo uwagi. Zawsze mi się to podobało.

Pan Penderel szybko przyniósł mi różne tomiska i przynajmniej przez pół godziny rozmawialiśmy na temat szycia i wy-daczania liter. Od bardzo, bardzo dawna nic mnie tak nie ożywiło jak ta rozmowa.

W pierwszych miesiącach małżeństwa, dzięki wizytom w bibliotece, spotkaniom z Faith i częstym wyjazdom Somersa z domu w poszukiwaniu własnych przyjemności, zaczęłam wierzyć, że niewiele brakuje mi do szczęścia.

18 lipca 1831

Drogi Shakerze!

Pod koniec czerwca zaczął wiać gorący wiatr z zachodu. Niesie on ze sobą pył, przed którym nie ma ucieczki. Jest tak zdradziecki jak zapach; przez szczeliny i pęknięcia potrafi się dostać do każdego wnętrza. Mam go pełno w oczach, uszach, nozdrzach i między zębami. Czasami odnoszę wrażenie, że w jakiś sposób zamula również moje zmysły. Nawet służący są niespokojni.

Zdarzają się tak mocne porywy wichury, że liche domy są wyrywane z ziemi, a drzewa zginają się niemal w pół. Jest takie powiedzenie, że gorący wiatr powoduje u Anglików szaleństwo, i rzeczywiście można przy nim oszaleć, bo jego nieustanne zawodzenie wżera się w mózg jak zapalenie opon mózgowych. Kiedy podmuchy ucichną, wszyscy zamierają w bezruchu i nasłuchują, gdyż nagła cisza wydaje się dziwnie groźna.

Gdy wiatry przestają wiać, zaczynają się monsuny, które pojawiają się bez ostrzeżenia. Leje tak, jakby nagle otwarły się niebiosa i bezceremonialnie wylewano na miasto wiadra ciepłej wody. Ulicami płyną błotniste rzeki, niemal całkowicie uniemożliwiając chodzenie, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę ciężkie spódnice z trenami, warstwy halek i krynolin, które obowiązkowo muszą mieć na sobie, wychodząc z domu. Co-

dzienne ulewy trwają przez kilka godzin, potem ustają równie gwałtownie, jak się zaczęły. Gorące, nasycone wilgocią powietrze utrudnia oddychanie, dlatego czasami czuję się tak, jakbym próbowała wziąć wdech przez kawałek mokrej gazy. Przez jakiś czas po zdumiewająco błękitnym niebie sunie lśniące słońce, a potem zaczynają się zbierać nowe chmury, błękit zamienia się w złowieszczą ołowianą szarość i w ułamku sekundy mon-sun wraca ze zdwojoną siłą.

Z dnia na dzień rośnie zielona pleśń, jasna i błyszcząca jak szmaragdy; pokrywa wszystko, co zostało wykonane z papieru, materiału lub skóry, nawet w domu. W końcu dowiedziałam się, do czego służą dziwne zapasy pudeł, które znalazłam w kącie pustej sypialni; teraz przetrzymuję w nich ubrania. Gdy nie spodziewamy się żadnych gości, służący pokrywają wszystkie meble prześcieradłami. Większość czasu spędzam na werandzie swojej sypialni.

Muchy chmarami wpadają przez otwarte okna, a w wilgotnym powietrzu rozmnażają się ogromne ilości wszelkiego rodzaju fruujących, pełzających i biegających stworzeń. Poprzedniego wieczoru podczas kolacji zauważyłam na stole rybika, białe mrówki, żuczki, gąsienice i wije. Oczywiście, trudno w takim towarzystwie jeść. Wystarczy tylko odsłonić jedzenie, by od razu coś zaczęło nad nim fruwać, i nie są w stanie wtedy pomóc nawet hordy chłopców z packami na muchy. Za mną stoi służący i łyżką zbiera większe żuki i robaki, które lądują na moich ramionach i włosach. Somers większość posiłków jada w niezwykle czystym i niemal sterylnym lokalu dla pracowników służb cywilnych Kompanii.

Nikomu bym się do tego nie przyznała, Shakerze, ale Tobie mogę powiedzieć, że wiele insektów mnie fascynuje. Czasami widuję piękne i delikatne ómy o złocistych skrzydełkach. Kiedyś złapałam cudownego, prawie dwudziesto-pięciocentymetrowego wija w zielono-żółte paski i przez ponad tydzień trzymałam go w szklanym słoiku. Każdego ranka rzucałam mu liście, po czym z prawdziwym podziwem i szacunkiem patrzyłam, jak zjada swój posiłek. Nawet muchy, Shakerze, nawet muchy bywają tu piękne! W niczym nie przypominają much mięsnych z Anglii. Wiele z nich ma tułowia i odwłoki zielone albo w kolorze burgunda.

Nauczyłam się spowijać łóżko w obszerne fałdy przejrzystego muślinu, a nim wejdę do niego każdego wieczoru, odrzucam pościel i starannie sprawdzam, czy nie kładę się obok śpiącego skorpiona. Potem przeglądam ciężki płócienny baldachim nad łóżkiem. Gdy jeden jedyny raz niezbyt dokładnie wykonałam te wszystkie czynności, w nocy zostałam obudzona przez dużego jak orzech włoski żuka gnojaka, który spadł mi z krokwi prosto na twarz. Z ogromną konsternacją odkryłam również, że w gąbce do kąpieli bardzo dobrze czują się skorpiony.

Codziennie zażywam chininę - wielką łyżkę — chociaż ma wstrętny, gorzki smak. Ostrzeżono mnie, że malaria najczęściej atakuje w okresie monsunów. Somers w pierwszym roku pobytu w Indiach (czyli ponad pięć lat temu) padł ofiarą tej choroby i teraz często miewa jej nawroty.

Gdy jest chory, trzyma się ode mnie z daleka i tylko służącym pozwala, by się nim zajmowali. Czasami słyszę jednak jego jęki i skargi, że kości wykręca mu jakaś ogromna, silna ręka, a w głowie nieustannie dudnią kody, aż czasami myśli, że lada chwila zwariuje. Chociaż niewiele opowiada mi o rodzicach, w majakach wzywa nieżyjącą matkę, jakby był dzieckiem. Chwilę później przeklina okrutnego ojca, którego wspomnienie wyraźnie go prześladowuje.

Podczas ostatniego ataku tak bardzo się trząsł, że wyłamał sobie kawałek zęba. Biedny człowiek.

Na tym kończę, drogi Shakerze. Obiecuję, że wkrótce znów napiszę.

Twoja  
Linny

Poprzestałam na napisaniu kilku linijek o Somersie, bo co tu było do opowiadania? Na początku nie wierzyłam, że mój mąż jest z gruntu złym człowiekiem, uważałam go raczej za zwykłego egoistę. Nadal traktowaliśmy się jak niezainteresowani sobą, lecz uprzejmi sąsiedzi, którzy mieszkają pod jednym dachem. Od czasu do czasu źle się do mnie odnosił, obrzucał obelgami, ale tylko wtedy, gdy wypił więcej niż zazwyczaj albo był zawiedziony przebiegiem randki. Następnego dnia przeproszał i wręczał mi jakiś drobny prezent: błyskotkę albo niewielki klejnot, coś



bezosobowego, po co mógł posłać do Tylor's Emporium jednego ze swoich kulisów. W takich chwilach byłam przekonana, że Somers odczuwa wyrzuty sumienia z powodu niewłaściwego zachowania i chociaż szczerzy uśmiech albo miłe słowo znaczyłyby dla mnie więcej niż bezużyteczny prezent, wyraźnie tylko w ten sposób potrafił mi powiedzieć, że jest mu przykro.

Czasami łapałam go na tym, że bacznie mi się przygląda, ale zawsze szybko się odwracał, a gdy pytałam, czy coś chciał mi powiedzieć, zdecydowanie zaprzeczał. Wyczuwałam, że w głębi duszy jest bardzo niešťeśliwy i ukrywa to pod urokiem osobistym i brawurą. Pewnego razu próbowałam zapytać go o dzieciństwo w Londynie, o matkę i ojca, ale nie chciał rozmawiać o swojej przeszłości.

Prawdę mówiąc, w ogóle nie chciał rozmawiać o swoim życiu, nie tylko o przeszłości, ale również teraźniejszości. Nie chciał również wiedzieć, jak spędzam czas. Gdy spytałam go o pracę, powiedział, że to nie będzie mnie interesowało. Kiedy próbowałam mówić p książkach, które właśnie czytałam, i o moich rozmowach z panem Penderelem w klubowej bibliotece, sprawiał wrażenie znudzonego. Podczas rzadkich wieczorów, kiedy byliśmy sami, rozmawialiśmy o domu, służbie oraz planach przyjęć i spotkań towarzyskich, na które zostaliśmy zaproszeni. Nigdy nie poruszaliśmy tematów, które naprawdę by nas interesowały.

Gdy skończyły się monsuny i nastały chłody, w naszym małżeństwie wszystko zaczęło się psuć. Byłam w Indiach już prawie od roku.

Somers wykorzystał dobrą pogodę i wraz z kilkoma innymi mężczyznami pojechał na polowanie. Nie było go prawie trzy tygodnie. Wrócił opalony, niezmiernie znużony i zły z powodu braku trofeów. Narzekał, że jego kulisi nie umieją nawet tłuc kijami w krzaki. Twierdził, że chociaż było pełno zwierzyny - tygrysów, panter, jeleni i dzikich świń - kulisi wszystkiego się bali, bo trochę wcześniej jeden z nich zginął podczas niespodziewanego ataku rannego tygrysa.

- Cholerni tchórze - dodał. - Gdy w odpowiedzi na swoje bicie usłyszeli najłżejszy szelest, natychmiast wdrapywali się na drzewa, a gruby zwierz po prostu uciekał.

- Z pewnością mieli powód, żeby...

- Nie ma wytłumaczenia, Linny. W końcu za to im płacę. Byliśmy w salonie, w którym panowała wyciszona, oficjalna

atmosfera. Somers krążył niespokojnie tam i z powrotem przed adamaszkową sofą. Siedziałam na niej z książką, którą czytałam przed jego przyjazdem. Był w najgorszym humorze, jaki kiedykolwiek widziałam, dlatego milczałam, tymczasem z jego ust płynęła tyrada na temat nieudanej wyprawy. Gdy w końcu krzyknął na służących, przybiegło kilku. Zażądał, żeby przygotowano mu w pokoju kąpiel, kazał też przyrządzić porządny angielski posiłek, złożony z wielu dań, w tym z łopatki jagnięcej, pieczeni wołowej i puddingu. Wziął z szafki butelkę porto i zniknął na resztę popołudnia.

Wczesnym wieczorem zaprosił mnie na kolację. Posiłek został podany ze zwykłą pompą na porcelanie z Sèvres i polerowanych srebrach. Somers trzymał obok swojego talerza kieliszek z maderą. Każdy kęs przepijał alkoholem i co chwila kiwał na *khitmutgara*, żeby uzupełnił kieliszek.

Niezgrabnie kroił swoje mięso i przeżuwał je z wyraźną rozkoszą, tymczasem ja sączyłam wodę z delikatnej kryształowej czarki i przesuwiałam kawałek wołowiny po talerzu. W końcu Somers uniósł głowę.

- Czyżby kucharz nie dogotował twojego mięsa?

Jego słowa zlewały się w jedną całość; nigdy wcześniej nie widziałam go tak pijanego. Zastanawiałam się, czy nie zaczyna się następny atak malarii.

- Jadłam późny lunch, poza tym nie przepadam za ciężkostrawnymi potrawami.

- W takim razie każ sobie przynieść coś innego. Rahulu -powiedział do chłopca, który przechodził przez pokój z czystymi serwetkami - zabierz talerz pani Ingram.

Chłopiec zerknął na stół. Jego oczy zaokrągliły się, opuścił głowę.

- Zabierz talerz pani, Rahulu - powiedział Somers ponownie.

Rahul cofnął się, nie unosząc głowy.

- Somersie, przecież wiesz, że on nie może tego zrobić -wtrąciłam. - Zawołaj kogoś in...

W tym momencie Somers z głośnym skrzygnięciem odepchnął swoje krzesło i skoczył w stronę chłopca. Chwycił go za wątle ramiona. Serwetki pofrunęły na podłogę jak wypuszczone gołębie.

- Kiedy ci mówię...

Podbiegłam do Rahula i próbowałam uwolnić jego ramię z uchwytu Somersa.

- Zostaw go.

- Ma słuchać, gdy wydaję mu rozkazy. - Szyja i twarz Somersa były czerwone, wzmocnił uchwyt. - Rahul nie lubi słuchać rozkazów. Przekonałam się o tym kilka godzin temu, prawda, Rahulu?

A więc nie chochlilo tylko o talerz! Z całego serca współczułam chłopcu, który nie miał więcej niż czternaście lat. Trząśł się ze strachu. Nawet nie chciałam myśleć, co musiał przeżyć zaledwie kilka godzin temu, gdy wydawało mi się, że Somers odpoczywa.

- Zostaw go, Somersie - szepnęłam.

- Jak śmiesz przeciwstawiać mi się przy służbie?

- Rahul jest hinduistą. Nie może dotknąć talerza, na którym leży wołowina. Wiesz o tym - powiedziałam, wciąż nie podnosząc głosu i jednocześnie próbując palcami rozluźnić uchwyt Somersa. - Możesz zbić go do nieprzytomności, a on i tak nie wykona twojego rozkazu. Zawołaj Gohara, Rahulu. Gohar może zabrać talerz. Puść go, Somersie.

Ostatnie słowo powiedziałam z większym naciskiem niż kiedykolwiek wcześniej.

Somers uśmiechnął się do mnie, ale był to sztuczny grymas. Potem puścił ramię Rahula. Chłopiec uciekł, tylko powiewały poły jego koszuli. Chwilę później pojawił się inny służący, który zabrał mój talerz. Reszta Hindusów w pokoju: *punkah-wallah*, *khitmutgar* i chłopcy z packami na muchy, zachowywali się, jakby nic się nie stało.

Usiedliśmy. Somers metodycznie, widelec za widelcem, jadł swoją porcję. Wzięłam figę z talerza, który stał na środku stołu w migodiwym świecie świec. Ugryzłam ją, ale była przejrzała i nie smakowała mi. Spojrzałam na krwisty sos z mięsa na eleganckiej kremowej, jedwabnej kamizelce Somersa i pot, który spływał z jego baczków.

Do końca posiłku siedzieliśmy w całkowitej ciszy, jeśli nie liczyć trzepotania skrzydeł ćmy nad żyrandolem. Potem Somers bez słowa wstał od stołu.

Myślałam, że cała sprawa poszła w zapomnienie. Przygotowywałam się do snu. Gdy Mald pomogła mi włożyć nocną koszulę, w drzwiach pojawił się Somers. Trzymając się kurczowo klamki, jednym warknięciem odesłał moją *ayah*. Prześlizgnęła się obok niego bokiem, nie chcąc go dotknąć. Somers od ślubu nigdy nie przychodził do mojej sypialni ani ja do jego.

- Dlaczego, Somersie... - zaczęłam. Urwałam, gdy zza pleców wyjął szpicrutę.

- Jeśli jeszcze kiedykolwiek upokorzysz mnie w czyjejś obecności, przypomnisz sobie dzisiejszą noc i będziesz się o nią modliła... ponieważ to będzie tylko ostrzeżenie.

- O co ci chodzi? Przecież mnie nie wychłószczesz, Somersie - powiedziałam z pełnym przekonaniem.

W zasięgu głosu było przynajmniej dwudziestu służących.

- Naprawdę? - spytał.

Odczekał chwilę, a potem podszedł bliżej i uśmiechnął się, jakby czytał w moich myślach.

- Myślisz, że służący ci pomogą? Jeszcze nie nauczyłaś się niczego o Indiach? Chyba nie wierzysz, że kogokolwiek obchodzi, co się z tobą stanie? Że któryś ze służalczych kundli powstrzyma mnie przed ukaraniem żony?

Otworzyłam usta, ale nim zdołałam cokolwiek powiedzieć, chwycił przód mojej nocnej koszuli i przyciągnął mnie do siebie. Uderzyłam pięściami w jego klatkę piersiową, ale nie dorównywałam mu siłą: kierowała nim wściekłość podsyczona alkoholem. Rzucił mnie na łóżko. Niezapalona lampka rozbiła się o podłogę. W sypialni rozszedł się zapach rozlanego oleju kokosowego z pojemniczka lampki. Przewróciła się też moja toaletka. Somers bez trudu odwrócił mnie na brzuch i przycisnął do materaca, wbijając kolano w moje plecy. Potem, trzymając jedną ręką mój nadgarstek, drugą okładał mnie rzemieniami szpicruty. Czułam, jak cienki

materiał koszuli pęka, a skóra pali mnie po każdym smgnięciu. Bił mnie, aż zaczęłam na niego krzyczeć, obrzucającego najgorszymi wyzwiskami, jakich używały moje dawne przyjaciółki: Helen, Annabelle, Dorie, Lambie i Shinny Do. Nagle przestał. Obejrzałam się przez ramię. Po jego ciężko unoszącej się i opadającej klatce piersiowej oraz wykrzywionej twarzy spływał pot. Co gorsza, patrząc na moje poranione, zakrwawione plecy miał taki sam dziwny, szklisty wzrok jak podczas intymnego zbliżenia. Po chwili odrzucił szpicrutę, rozpiął spodnie i uniósł moje pośladki, chcąc mnie zmusić do wsparcia się na kolanach. Walczyłam i wyrwałam mu się, on tymczasem szamotał się ze swoim ubraniem. W końcu przykucnęłam twarzą do niego i zasłoniłam się narzutą. Spojrzał na siebie, wymamrotał jakieś przekleństwo i odwrócił się. Materac ugiął się, gdy niemal spadł z łóżka.

- Szkoda dla ciebie spermy - powiedział, wstając.

Potem wsunął koszulę do spodni, zapiął się i poprawił włosy.

- Nigdy nie skalam się stosunkiem z tobą. Mały, ciasny hinduistyczny tyłek Rahula jest sto razy czystszy niż twój. Powinienem użyć końca szpicruty, chociaż nawet jej lepiej nie brudzić.

Kiedy wyszedł, zdałam sobie sprawę, że umowa, którą zawarliśmy, obejmowała znacznie więcej, niż przewidywałam. Byłam jego więźniem, tak samo jak niegdyś Rama Munta.

Nazajutrz Somers przeprosił mnie w charakterystyczny dla siebie sposób. Kiedy pojawił się późnym popołudniem, siedziałam na werandzie.

Rano byłam tak obolała, że udało mi się wstać dopiero koło dwunastej. Wiedziałam, że po głębszych ranach zostaną blizny. Malti wpadła do mojego pokoju zaraz po wyjściu Somersa. Z płaczem poprzemywała i opatrzyła moje rany. Jej ręce działały na mnie kojąco, kiedy smarowała mnie jakąś maścią o migdałowym zapachu. Gdy zrobiła wszystko, co mogła, usiadła na podłodze obok łóżka i cicho śpiewała, póki nie zapadłam w niespokojny sen. Kiedy obudziłam się późnym rankiem, wciąż tam była z głową opartą o krawędź mojego łóżka.

Teraz Somers postawił przede mną ogromny wiklinowy kosz,

- Co to jest? - spytałam, nie chcąc nawet na niego patrzeć.

Koszyk poruszał się, dochodziło z niego ciche posapywanie. Chwilę później wieko samo się uniosło, a z kosza wyrzwał szczeniaczek z wywiezionym jęzorem. Ujęłam mały, kościsty, czarny łebek i popatrzyłam w bursztynowe oczy.

- To jakaś tutejsza rasa. Nie umiem wymówić hinduskiego słowa, które oznacza skomplikowaną krzyżówkę starannie wyselekcjonowanego rozplodnika i suki. Wygląda na to, że te psy dzięki dużej sile i krótkiej sierści dobrze spisują się w Indiach. Nie mają parchów, są ostre, ale lojalne.

Głos Somersa był cichy, zabarwiony czymś, czego nie potrafiłam określić. Czyżby zażenowaniem? A może wyrzutami sumienia?

- Trudno się rozmnażają - ciągnął - i niełatwo uzyskać chociaż jeden okaz bez długiego czekania. Miałem ogromne szczęście, że go znalazłem. Sądząc po krępej budowie ciała, można by powiedzieć, że ma w sobie coś z teriera. Jest w Kalkucie mieszaniec, który hoduje takie psy dla Anglików.

Wyjęłam szczenię z koszyka i położyłam sobie na kolanach, krzywiąc się przy każdym ruchu. Psiak był mały, miał długie łapy i niezgrabne ruchy. Poruszał tylną łapą, próbując znaleźć oparcie na mojej spódnicy, podczas gdy przednie wsparł na moich piersiach i oblizywał mi twarz.

- Ma hinduskie imię, ale możesz go nazwać, jak zechcesz. Został odstawiony od suki zaledwie kilka tygodni temu i jak zapewniał mnie hodowca, szybko nauczy się posłuszeństwa. - Pochylił się i podrapał szczeniaka za uchem. - Są wspaniałymi psami gończymi.

Szczeniak energicznie machał kikutem ogona. Spojrzałam na Somersa. Miał zaczerwienione i podpuchnięte oczy. Zauważyłam, że od ślubu przybrał na wadze, a jego twarz zrobiła się nalana. Wyglądał naprawdę żałośnie. Powodem tego był nie tylko alkohol. Wiedziałam, że wstydzi się tego, co zrobił.

Nie podziękowałam mu jednak za szczeniaka. Nigdy więcej mu nie podziękuję. Nie byłam wdzięczna za nic, co miał do zaoferowania, i po niewielkiej sprzeczce tydzień wcześniej, kiedy odmówiłam przyjęcia fla-



konu wody toaletowej, postanowiłam, że będę odrzucać wszystkie jego prezenty.

Niemniej chciałam mieć psa. Nigdy wcześniej nie miałam niczego na własność.

Nazwałam go Neel, czyli po hindusku błękit; jego czarna błyszcząca sierść miała błękitny połysk.

## Rozdział 25

12 marca 1832

Najdroższy Shakerze!

Dziękuję za ostatni list. Z prawdziwą przyjemnością przeczytałam o Twoim zainteresowaniu homeopatią. Cieszę się, że ta metoda rozpowszechnia się w Anglii. Hindusi też wykorzystują rośliny w walce z różnymi dolegliwościami. Jeśli chcesz, mogę poprosić Mald, żeby podała mi kon-kretniejsze informacje na temat leczniczych właściwości tutejszych ziół.

Za kilka dni wybieram się do miejscowości wypoczynkowej w górach i zależy mi, żeby nadać ten list jeszcze przed wyjazdem. Mam zamiar spędzić cały okres upałów w Simli, w Himalajach. Jestem wdzięczna Somersowi, że zaproponował mi wyjazd na kilka miesięcy z gorącej Kalkuty, bo aż za dobrze pamiętam ubiegłoroczne lato. Jak się dowiedziałam, spędzenie tego okresu w górach jest „obowiązkiem” każdej *memsahib*, której męża stać na wysłanie żony, oczywiście pod warunkiem, że dama jest wystarczająco zdrowa, by znieść trudy podróży, podczas której trzeba przepłynąć łodzią na północ prawie dwa tysiące kilometrów, najpierw Hugli, a potem Gangesem i Jamuną. Ostatni odcinek to mozolna wędrówka w góry w *dooli*. Chłodne lato w zielonych górach to, oczywiście, marzenie każdego człowieka. Zauważyłam, że mężatki nie mają nic przeciwko zostawieniu mężów w gorących, dusznych miastach i

na równinach, podczas gdy same rozkoszują się chłodnym, przesyconym cudownymi zapachami powietrzem.

Jestem niezmiernie zadowolona, że Faith zgodziła się pojechać ze mną. Somers uparł się, że muszę mieć damę do towarzystwa. Jest w tym pewna ironia, nie sądzisz?

Mimo to bardzo niepokoję się o Faith, Shakerze. Sprawia wrażenie chorej, nie tylko pod względem fizycznym. Czasami zastanawiam się, czy nie odziedziczyła po matce skłonności do melancholii, chociaż gdy łagodnie pytam ją o zdrowie, najzwyczajniej pod słońcem mnie zbywa.

Charles jest dla niej bardzo dobry, niemniej wszystko, co wiąże się z ich małżeństwem, jedynie pogłębia jej złe samopoczucie. Kiedy przypominam sobie pełną życia i energii, roześmianą dziewczynę, którą poznałam w Liverpoolu, robi mi się ciężko na sercu. Naprawdę boję się o nią i chciałabym móc jej jakoś pomóc.

Mam nadzieję, że w Simli nieco się ożywi.

Twoja przyjaciółka na zawsze

Linny

PS. *Guggal* (indyjskie *Bedellium*) to pachnąca żywica, z której robi się ekstrakt, a następnie używa w przypadku zatrzymania płynów w organizmie i bolesnych obrzęków stawów.

Gdy po raz pierwszy zaproponowałam, żeby Faith wybrała się ze mną do Simli, powiedziałam jej i Charlesowi, że Somers już wynajął dom (prawda), załatwił i opłacił podróż (prawda) i zgodził się, żeby Faith towarzyszyła mi podczas tej wyprawy (kłamstwo). Charles zachęcał ją do wykorzystania szansy. Nie musiał wcale wspominać, że nie stać go na wysłanie żony w góry. Odparła, że nie zniosłaby rozłąki, czułam jednak, że Charles nie chce, by Faith spędziła w Kalkucie następne gorące lato. W ubiegłym roku padła ofiarą malarii, czyraków, półpaśca, a późniejszy wilgotny okres tylko pogorszył jej dolegliwości. Faith miała pełno strupów i dręczyła ją gorączka.

Po jakimś czasie moja przyjaciółka wróciła do zdrowia, ale bezpowrotnie zniknął gdzieś jej uśmiech i przestała beztrąsko paplać. Zamiast tego godzinami przesiadywała blada i bez ruchu na krześle przy oknie.

Kiedy w końcu przyjęli moją propozycję, Charles powiedział mi, że poważnie się obawiał, iż Faith może nie przeżyć nadchodzącego upalnego lata w Kalkucie. Należało przecież pamiętać, że dopiero niedawno wróciła do zdrowia po ubiegłorocznych chorobach. Dlatego cieszył się na myśl, że jego żona spędzi kilka miesięcy w Simli, w chłodnym cieniu gór. Chciał, żeby znów była szczęśliwa, żeby śmiała się, klaskała w dłonie, kłóciła się i szkicowała ptaki, które tak uwielbiała podglądać. Przypuszczalnie Charles liczył również na to, że angielskie damy będą w Simli nieco przychylniej traktować Faith, zwłaszcza że jego tam nie będzie. Uważał, że to idealne, chociaż tylko przejściowe rozwiązanie.

Gdy Somers się dowiedział, że zaprosiłam Faith, wpadł w szal. Przez cały czas wiedziałam, że tak będzie, ale byłam gotowa ponieść konsekwencje swojego wybryku. Celowo nie mówiłam mu wcześniej, że Faith do nas dołączy, o wszystkim poinformowałam go dopiero wieczorem przed samym wyjazdem. Wybierał się do klubu, więc zatrzymałam go w drzwiach.

Zmarszczył czoło.

- Nic z tego. Dobrze wiesz, że podczas wyprawy będzie ci towarzyszyć pani Partridge. - Odwrócił *topi* w rękach. Jego kciuki zostawiły wyraźne odciski na delikatnym materiale. - Nie miałaś prawa podejmować takiej decyzji. Już ponad miesiąc temu omówiłem wszystko z pułkownikiem Partridge'em, a ponieważ pani Partridge i tak wybiera się w góry, nie miała nic przeciwko temu, żeby dzielić domek z tobą i...

- I śledzić każdy mój krok, Somersie?

- ...być twoją damą do towarzystwa. Zgodziliśmy się, że powinnaś pojechać do Simli z jakąś damą do towarzystwa. Tymczasem ty bez przerwy przynosisz ujme nazwisku Ingram, utrzymując związek z panią Snow. Będiesz musiała w jakiś sposób zakończyć tę znajomość.

Położył dłoń na klamce, jakby sprawa była rozstrzygnięta. Pociągnęłam go za rękaw.

- To niemożliwe. Zaprosiłam Faith, a ona zgodziła się ze mną pojechać, więc nie ma odwołania. Będziemy musiały mieszkać we trójkę i w tym momencie twoje słowo nie ma już żadnego znaczenia.

Wstrzymałam oddech. Teraz już wiedziałam, że Somers reaguje przemocą na każdą moją prowokację, jednak z jakiegoś powodu czasami łapałam się na tym, że drażnię się z nim z pełną premedytacją. Doskonale zdawałam sobie sprawę, co mnie czeka, gdy poprawiałam go w towarzystwie albo ignorowałam jego życzenia w jakichś domowych sprawach. Zupełnie jakbym chciała sprawdzić, jak daleko muszę się posunąć, żeby zareagował. Dobrze widziałam na jego twarzy, kiedy zaczyna brakować mu cierpliwości, a jednak w prowokowaniu go znajdowałam jakąś perwersyjną radość. Teraz, spoglądając z perspektywy czasu na swoje zachowanie, dochodzę do wniosku, że w ten sposób starałam się zwrócić na siebie uwagę -nawet jeśli końcowym efektem był strach przed bólem. Próbowałam do niego dotrzeć, a być może tylko tak mogłam wywołać jakąś reakcję.

Po moich hardych słowach chwycił mnie za ramię i odwrócił. Uderzył mnie pięścią w szczękę, a kiedy upadłam, wyszedł, tak mocno trzaskając drzwiami, że ze ściany za moimi plecami spadł obraz króla Wilhelma rV w pozłacanych ramach, a szkło rozbiło się na kamiennej podłodze.

Następnego ranka, piętnastego marca - w idy marcowe -było mgliście i ciepło. Faith, Charles, Muriel Partridge i ja staliśmy na błotnistym brzegu rzeki, patrząc na załadunek kufrów i pudeł na długą, płaskodenną barcę, która przez najbliższe trzy tygodnie miała wieźć naszych służących i zapasy. Prowizoryczny namiot w tylnej części stanowił sypialnię ich i flisaków. Faith, pani Partridge i ja miałyśmy do dyspozycji *budgerow*, mniejszą, również płaskodenną łódź, która stanowiła skrzyżowanie barki i łodzi mieszkalnej.

Pani Partridge była zgorzkniałą, afektowaną kobietą, którą natychmiast uznałam za nadgorliwą i niesympatyczną. Ponieważ jednak ostatnie dwa letnie sezony spędziła w Simli, chętnie korzystałyśmy z jej rad, gdy mówiła, co będzie nam potrzebne w podróży i potem podczas pobytu w

górach. Jej mąż był niemiły i tak samo sztywny jak ona. Dzięki wysokiemu stanowisku w armii - rok wcześniej przeszedł na emeryturę - stał się pompatyczny i zadufany w sobie. Somers i ja od czasu do czasu gościliśmy ich w swoim domu, ale od samego początku odczuwałam do nich niechęć.

Miałyśmy po trzy kufry podróżne, a wszystkie nasze stroje były elegancko poukładane między warstwami flaneli i ceraty.

Dzieliłyśmy skrzynie z pościelą i ręcznikami, dwa ogromne pudła z niemal pełnym wyposażeniem kuchni, olbrzymią skrzynię z moimi książkami, przyborami do pisania i szkicownikami Faith. Wzięłyśmy też kufer z cieplejszą odzieżą dla służących, żeby nie marzli w chłodnym górskim powietrzu. Każda z nas zabrała swoją *ayah* i *dhobiego*, miałyśmy też dwóch sprzątaczy, a na czas podróży zatrudniłyśmy kucharza i dwóch kulisów.

- Sporo tego wszystkiego - powiedział Charles. - Nie wyobrażam sobie, jak uda się przetransportować kufry i skrzynie wąskimi górskimi ścieżynami.

Pani Partridge prychnęła.

- To zaledwie połowa tego, co zabierają inne kobiety.

- Jak tylko będziecie mogły, przyślijcie wiadomość, że bezpiecznie dotarliście na miejsce, dobrze? - poprosił Charles żonę.

Nagle w jego zdumiewająco młodzieńczych oczach dostrzegłam niepokój.

- Już ci obiecałam, że to zrobię - zapewniła Faith. - Proszę, spróbuj się nie martwić. Wszyscy teraz wyjeżdżają w góry. Naprawdę nic nam nie grozi.

Zauważyłam, że Faith ma nieodpowiednio zapięte rękawiczki, a jej włosy straciły blask.

Wszyscy spojrzeliśmy na panią Partridge. Stała na brzegu rzeki i krzyczała na niskiego mężczyznę, który siedział na jednym z kufrów.

- Wynoś się! Wynoś się stamtąd! Nie wolno ci siadać na naszym bagażu!

Mężczyzna kompletnie ją ignorował. Skrzyżował ręce na piersi i odwrócił się w inną stronę, chociaż pani Partridge nie przestawała na niego krzyczeć.

- Poza tym przy pani Partridge - powiedziałam - nikt nie będzie śmiał się do nas zbliżyć.

Charles wybuchnął chłopięcym śmiechem, potem przeniósł wzrok na moją posiniaczoną szczękę. Nic nie powiedział, jedynie ujął brodę Faith. Pochyliłam się i zaczęłam sprawdzać smycz Neela, ale spod rzes patrzyłam ukradkiem, jak Charles po raz ostatni całuje Faith. Musnął delikatnie wargami usta żony, a potem pochylił głowę nad zagłębieniem jej ramienia, jakby po raz ostatni przed rozstaniem wdychał jej zapach. Zauważyłam, że Faith mocniej do niego przywarła. Stali tak przez dobrą chwilę, nic sobie nie robiąc z tego, że obejmują się w miejscu publicznym i że wyraźnie widać łączącą ich miłość. Ze smutkiem przypominałam sobie swoje rozstanie z Somersem.

Wychodząc tego ranka do biura, wstąpił do mojego pokoju. Leżałam jeszcze w łóżku. Somers stał przez chwilę w drzwiach i teatralnie zapinał surdut.

- No cóż - powiedział - bezpiecznej podróży!
- Na pewno wszystko będzie dobrze.
- To świetnie.
- Tak, świetnie - zawtórowałam, gdy wyszedł.

Stojąc na śliskim, mulistym brzegu Hugli, słuchając krzyków mężczyzn, którzy załadowywali przycumowane barki, wzięłam głęboki wdech, potem powoli wypuściłam powietrze z płuc i odsunęłam na bok ostatni obraz męża. Wyjeżdżałam na pięć miesięcy - podróż w każdą stronę miała zająć po miesiącu, a w Simli czekały nas trzy miesiące. Byłam niemal tak podniecona jak wówczas, gdy przyплыliśmy do portu w Kalkucie. Teraz w końcu będę mogła poznać prawdziwe Indie, do których tak bardzo tęskniłam.

Na początku podróży, gdy brzegi nie były jeszcze zbyt zarośnięte *monge-* szorstką, wysoką, prawie czterometrową trawą, prosiłam zwinnego



flisaka, żeby podpłynął jak najbliżej do brzegu, a następnie wyskakiwałam z barki i szłam raźnie pieszo. Neel uwielbiał biec obok mnie, chociaż musiałam trzymać go na smyczy, bo pewnego razu uciekł mi w krzaki za jakimś gryzoniem. Prosiłam Faith, żeby pospacerowała razem ze mną, ale wolała siedzieć na rattanowym fotelu przywiązany do barki i patrzeć na rzekę. Czulałam, że żona Charlesa coraz bardziej ucieka w głąb siebie. Chciałam, żeby do mnie wróciła. Była moją jedyną prawdziwą przyjaciółką i chociaż nie wyjawiałam jej swojej największej tajemnicy, w jakiś dziwny sposób to właśnie jeszcze bardziej mnie do niej zbliżało. Zawsze we mnie wierzyła, akceptowała to, kim jestem - albo kim się stałam - a jej wiara napędzała mnie dumą, której nigdy wcześniej nie odczuwałam. Nie wyobrażałam sobie życia bez niej. Niegdyś to ona była moją kotwicą, teraz ja stawałam się jej bezpieczną przystanią, ilekroć istniała obawa, że wpadnie w ciemność. Miałam zamiar podczas pobytu wśród chłodnych, zielonych wzgórz Simli zrobić wszystko, by pomóc jej w pokonaniu smutku. Simla z pewnością przypomni jej ojczyznę, a wtedy, być może, Faith znów stanie się pełną energii dziewczyną, którą poznałam na wykładzie o motylach całe wieki temu.

Wyłynęliśmy z Hugli i dalej pokonywaliśmy deltę Gangesu, przecinając rozległy las, który nazywano Sunderbans, co -jak się dowiedziałam od jednego z naszych flisaków - oznaczało piękny las. W miarę posuwania się na północ zmieniał się zapach rzeki: był mocniejszy, dało się w nim wyczuć woń wilgotnej ziemi. Od czasu do czasu lekki wietrzyk przynosił delikatny podmuch dymu z niewidocznych wiosek. Tak długo, jak mogłam, szłam wzdłuż brzegu, ale pewnego dnia pani Partridge zauważyła sterczący z ziemi bambusowy palik z przymocowaną gałązką.

- Hej, ty! - pisnęła do mężczyzny, który stał z drągiem na dziobie barki.

Był szefem flisaków i trochę mówił po angielsku. Odwrócił się, a wówczas pani Partridge pokazała mu bambus.

- Co to jest? - spytała. Mężczyzna zerknął w tamtą stronę.

- Och, pani *sahib*, to być znak.

- Jaki znak?

- On mówić, że w ta miejsce tygrys zjeść na obiad człowiek - odparł nonszalancko.

- Zatrzymaj barkę! - wrzasnęła pani Partridge.

- My nie móc stanąć, pani *sahib*, bo tamten barka w nas wjechać. My musiec płynąć.

- Pani Ingram! - krzyknęła pani Partridge z przerażeniem w oczach. - Proszę natychmiast wracać na barkę!

Na jej krzyk poderwało się ogromne stado nietoperzy, które odpoczywały w dużym kolczastym krzewie.

Wzięłam Neela, przebiegłam kawałek wzdłuż barki i wskoczyłam na nią.

- Proszę pani, ten bambus wygląda tak, jakby stał tu od miesiący. Jestem pewna, że nic nam nie grozi - zapewniłam ją.

- Już więcej nie wyjdzie pani na brzeg - zapowiedziała pani Partridge.

- Postradała pani rozum? Sunderbans to ojczyzna tygrysa bengalskiego. Jest pani pod moim nadzorem. Nie dopuszczę, żeby padła pani ofiarą dzikiego zwierza.

- Jestem pod pani nadzorem? - spytałam.

- Pani Ingram - wybuchnęła pani Partridge, ciężko dysząc. - Jestem tutaj najstarszą damą, odpowiadam za bezpieczeństwo reszty. Młode kobiety, które stosunkowo krótko mieszkają w Indiach, tak jak pani i pani przyjaciółka, często nie potrafią zrozumieć, że zachowanie, którego nauczyły się w Anglii, tutaj jest nieodpowiednie. A teraz koniec rozmowy na ten temat. Zostanie pani na barce, pani Ingram. I proszę nasunąć *topi* głębiej na twarz. Ma pani różowy nos.

Płynęliśmy dalej meandrami Gangesu. Patrzyłam, jak krepni mężczyźni bez zmęczenia, godzina po godzinie z gracją odpychają barkę za pomocą dragów. Gdy mijaliśmy wioski albo niewielkie miasteczka, rzeka na krótko zamieniała się w ruchliwą arterię, pełną barek i łodzi, w których doczyli się mężczyźni i chłopcy. Z dala od zaludnionych terenów przepływaliśmy wśród niewielkich pól ryżowych. Niskie wały z błota utrzymywały wodę niezbędną dla roślin, a ja obserwowałam, jak kobiety w

podwiniętych do bioder sari sadzą każdą roślinę za pomocą niezgrabnej drewnianej łyżki. Były też i większe pola, obsadzone gorczycą i jutą. W takich miejscach rzeka była pusta, a od brązowych fal odbijały się promienie słońca. Czasami widywałam głowę żółwia rzecznoalbo tęponosego krokodyla, który obserwował naszą grupę wypukłymi ślepiami. Przeważnie spokojną powierzchnię rzeki zakłócały jedynie bąbelki, wypuszczane przez wodne zwierzęta, albo drobniotkie falki rozchodzące się od grupki wściekle wiosłujących po wodzie żuków.

Faith od czasu do czasu czytała, ale nie wyjmowała szkicownika. Pewnego popołudnia, gdy pani Partridge spała w cieniu na przeciwległym końcu barki, Faith i ja siedziałyśmy w naszych fotelach.

- Kiedy spodziewasz się dziecka, Linny? - spytała nagle Faith. - Ty i Somers jesteście małżeństwem od roku.

Pochyliłam się, żeby podrapać Neela za uchem.

- Nie wiem.

- Czy to cię nie niepokoi?

Pomyślałam o angielskich dzieciach, które przeżyły na przekór upałom, chorobom i problemom związanym z porodem. Bardzo często były blade i apatyczne. Gdy wybierały się na lekcje konnej jazdy albo gry w polo, nosiły małe *topi* i były szczelnie opatulone w kilka warstw ubrań. Nauczono je też pomiatać swoimi *ayah*. Zaraz po przyjeździe do Kalkuty Meg Liston poinformowała mnie, że w Indiach nie było dzieci powyżej sześciu lat. Przypomniałam sobie niewielkie groby na cmentarzu przy kościele Świętego Jana. Pomyślałam o małej Frances pod ostrokrzewem. Wiedziałam, że dokonałam takiego, a nie innego wyboru i dlatego nigdy więcej nie poczuję ruchów dziecka w swoim łonie.

- Linny? Chciałabyś mieć dziecko? - ciągnęła Faith, gdy nie odpowiedziałam.

- Myślę, że wszystko jest w rękach Opatrzności — powiedziałam, ucieszona, że właśnie wyłoniliśmy się z za zakola rzeki i na horyzoncie pojawiła się wioska.

Pod koniec każdego dnia, kiedy zatrzymywaliśmy się na noc, a barki rzucały kotwice, mężczyźni stawali sznurem przed panią Partridge, która kładła umówioną ilość rupii na pokrytej zgrubieniami dłoni każdego z flisaków. Po otrzymaniu zapłaty wyskakiwali z naszej łodzi i wchodzili na pokład większej barki dla służby, gdzie dostawali drewnianą miseczkę z curry, trochę *chapatti*, czyli płaskiej indyjskiej bułki z grubo mielonej pszenicy, i miskę owoców. Jeśli zatrzymywaliśmy się w okolicach rolniczych, mężczyźni kładli się na pokładzie barki dla służby i spali, odpędzając komary za pomocą dymu z koksowników; dla bezpieczeństwa kilku *chowkidarów* trzymało w nocy straż. Jeśli zatrzymywaliśmy się w pobliżu miasta, po posiłku niektórzy Hindusi dyskretnie znikali. Następnego ranka często zauważałam, że chociaż przy burtach *budgerowu* wytrwale pracuje dokładnie ta sama liczba mężczyzn w *dhoti*, nie zawsze są to ci sami ludzie, którzy tak dobrze posługiwali się drogami jeszcze poprzedniego dnia. Nie zmieniał się tylko główny flisak.

Przy ujściu Jamuny do Gangesu nasze barki wpłynęły w Ja-munę. Po jakimś czasie ujrzeliśmy promienie słońca, które odbijały się od połączonych kopuł, wysokich wież, świątyń i minaretów Delhi. Słyszałam przydumione z powodu odległości dźwięki, które tak dobrze znałam z Kalkuty: dzwony, śpiewy, krzyki i śmiech. *Ghaty*, które opadały w stronę rzeki, były zadoczone. Niektórzy ludzie siedzieli, inni stali, a jeszcze inni kąpali się w rzece albo prali ubrania. Jakieś dziecko na ramionach ojca pomachało na widok barki; odpowiedziałam. W promieniach zachodzącego słońca kremowe ściany budynków zrobiły się żółte i pomarańczowe. Potem miasto zniknęło nam z oczu.

Rzeka stała się jeszcze spokojniejsza, w końcu zawiodła nas do niewielkiej osady, w której barki się zatrzymały, bo nie mogły już dalej płynąć. Były tu wozy i zwierzęta do wynajęcia, a także mężczyźni, którzy mieli nas nieść. Przez trzy tygodnie podróżowałyśmy rzeką, teraz nadszedł czas na przeprawę lądową.

Godzinę później staliśmy na wąskiej drodze, która prowadziła prosto w góry. Służący załadowali ciężkie kufry i skrzynie na wozy zaprzężone w ospałe woły.

- Wsiadajcie do *dooli*- poinstruowała pani Partridge.

Wdrapała się na słomiany materac jednoosobowego palan-kinu i zaciągnęła zasłony. Faith zrobiła to samo. Ja wsiadłam do swojej lektyki, ale rozsunęłam zasłony. Gdy *boyee* chwycili za drągi, zostałam odrzucona do tyłu. Droga prowadziła pod górę, więc nie można było siedzieć. Leżałam z Neelem u boku i patrzyłam na postrzępione skały, które tworzyły niską ścianę wzdłuż ścieżki. W szczelinach zauważyłam porosty i drobne czerwone kwiatuszki, widomy znak niskich temperatur.

W pobliżu *nulli*, czyli suchego koryta rzeki, tragarze zaczęli śpiewać, chociaż glosy im się łamały i ciężko dyszeli, próbując nabrać powietrza w płuca. Słuchając ich pieśni, ku swojemu zaskoczeniu zorientowałam się, że są to głównie komentarze dotyczące sporego siedzenia pani Partridge i jej niemiłego głosu, który przypominał Hindusom wycie hieny w upalne dni. Byłam ciekawa, do jakiego stopnia nasza opiekunka opanowała hindi.

Przez sześć dni byłyśmy niesione niebezpieczną górską drożyną coraz wyżej i wyżej. Noce spędzałyśmy w prymitywnych namiotach albo prostych szałasach zbudowanych przy drodze z gałęzi, liści i mchu przez wcześniejszych angielskich gości.

Uwielbiałam wieczory, siedzenie przy ognisku przed namiotami i szałasami. Zmierzch zapadał tu gwałtownie, ptaki cichły, a las wokół nas milczał. Zapach płonącego drewna był słodki i odpędzał komary. Proste jedzenie smakowało mi o wiele bardziej niż wyszukane potrawy w najlepszych salonach Kalkuty. Sypiałam dobrze i budziłam się rano pełna energii, wręcz nie mogąc uwierzyć, że mam jej aż tyle.

Gdy zbliżyliśmy się do Simli, zatrzymaliśmy się u podnóża niewysokich gór. Owiął nas lekki wietrzyk. Kiedy *boyee* odpoczęli, zaczęliśmy się wspinać pod górę. Nie mogłam wyleżeć w *dooli*: wysiadłam i szłam. Wokół na wzgórzach kwitły jasne jak płomień czerwone rododendrony. Gdy zbliżaliśmy się do miasta drogą ocienioną przez sosny, z zafascynowaniem patrzyłam na majestatyczne góry.

Miejscowość wypoczynkową wybudowano ponad dwa tysiące metrów nad poziomem morza na wysokim, wznoszącym się grzbiecie, który biegi u podnóża góry Jakko.

Bungalowy przypominały angielskie domki, niektóre z nich w połowie wzniesione zostały z drewna, mimo to miały w sobie coś indyjskiego. Na wyłożonych kafelkami dachach małpy ucinały sobie małpie pogaduszki, a z gęstych zagajników dobiegały nawoływania srok i innych ptaków. Widziałam wieże kościoła i gęsto porozstawiane stragany indyjskiego bazaru. Pani Partridge wiedziała, gdzie jest nasz domek. Jak wiele innych nosił angielską nazwę: Constancia Cottage. W przeciwieństwie do naszego eleganckiego domu w Chowringhee był mały, kryty strzechą, a wzniesiony został z desek i gipsu. Miał trzy sypialnie, jadalnię i duży salon z kominkiem, pierwszym, jaki widziałam od opuszczenia Anglii. Kuchnia, jak zwykle, znajdowała się w osobnym niewielkim budyneczku na tyłach, blisko chat dla służby. Podbiegłam do każdego okna i pootwieralam drewniane okiennice. Z salonu i małej frontowej sypialni widać było gigantyczne Himalaje z ośnieżonymi szczytami na tle jasnoniebieskiego nieba. Okna jadalni i dwóch większych sypialni na tyłach domu wychodziły na zarośnięte drzewami wzgórze, brązowe równiny i lśniąca, ochrowe wstążki Sutlej i Gangesu.

- Jak tu ślicznie!

- Rzeczywiście ślicznie - zgodziła się Faith. Spontanicznie chwyciłam ją za rękę i próbowałam porwać w tany, ale stała sztywno ze wzrokiem wbitym w góry.

Pani Partridge zerknęła na mnie z pewną irytacją, po czym utykając, poszła do największej sypialni na tyłach i zdecydowanie zamknęła za sobą drzwi. Najpierw rozległ się głośny jęk, a potem zaskrzypiało drewniane łóżko. Faith poruszyła się, jakbym sprawiała jej ból, więc ją puściłam. Weszła do drugiej sypialni na tyłach i bezgłośnie zamknęła drzwi.



## Rozdział 26

20 maja 1832

Drogi Shakerze!

Jak mam Ci odmalować Simlę? Dużo napisałam o niej w pamiętniku, a teraz modlę się, żebyś był w stanie wszystko zobaczyć, usłyszeć i poczuć, gdy będę próbowała opisać Ci to najdziwniejsze miejsce, przepisując fragmenty ze swoich zapisków. Robiłam je, żeby o niczym nie zapomnieć i móc zaprezentować Ci, jak wygląda teraz moje życie.

Może najprostsze byłoby stwierdzenie, że Simla jest dziwnie zniekształconą wizją Anglii, niewyraźnym odbiciem w indyjskim lustrze. Często mówi się, że to *Chota Vilayat*, czyli Mała Anglia w Indiach.

Co prawda otaczają mnie dobrze znane przedmioty w egzotycznym terenie, mimo to kocham piękno i swobodę, jaką tu mam. Jeśli obudzę się wystarczająco wcześnie, biegnę do okna swojej sypialni i obserwuję, jak po kolei zaczynają płonąć odległe szczyty Himalajów, gdy dotykają ich promienie wschodzącego słońca. W ciągu dnia włączę się po promenadzie, szerokiej, centralnej ulicy miasta, zwanej Mail, wytyczonej na kawałku płaskiego terenu. Znajduje się przy niej ogromna liczba angielskich sklepów i ruchliwy bazar indyjski. Wzniesiono nawet małą estradę, na której raz w tygodniu pełna entuzjazmu, choć kiepska orkiestra wykonuje swój repertuar dla każdego, kto przyjdzie jej posłuchać.

W ciągu dnia na Mail pełno jest kucyków i rikszy, które można wynająć. Jeśli któraś z *memsahib* chce się wybrać na konną przejażdżkę, są nawet damskie siodła. Z powodu stromych uliczek serdecznie współczuję każdemu *jhampa-niemu*, który musi ciągnąć riksze. Gdy jakaś cięższa dama postanowi przejechać się pod górę, często jej pojazd musi ciągnąć jeden lub nawet dwóch dodatkowych rikszarzy. Niektóre kobiety wolą *dandy*, mocne płótno zawieszane między bambusowymi prętami. Po kilku pierwszych dniach w Simli zdałam sobie sprawę, że Angielki po opuszczeniu wielkich miast wcale nie zmieniają obyczajów; wyraźnie nie

lubią się wysilać. Jestem przekonana, że to brak ruchu jest przyczyną wielu ich chorób - zarówno prawdziwych, jak i wyimaginowanych.

Codziennie wczesnym rankiem wynajmuję kucyka. Jest tu duży, otoczony sosnami teren zwany Annandale, miejsce wszelkich gier, pikników i targów. Rozciągają się za nim niskie pagórki, i tam właśnie jeżdżę. Po powrocie często siadam na jednej z ławek poustawianych wzdłuż Mail i słucham kosów oraz kukulek, a jednocześnie obserwuję mieszkańców Simli.

Ładnie ubrane dzieci w angielskich strojach marynarskich albo sukieneczkach biegają tu i tam, pilnowane przez *ayah* w śnieżnobiałych sari. Codziennie po lekkim lunchu przyprawiany jest spokojny, stary słoń ze wspaniale udekorowanym *howdahem*, czyli siodłem. Rozkrzyczane dzieci sadzane są po dwoje lub troje na jego grzbiecie na krześle pod baldachimem i zwierzę oprowadzane jest wokół placu. Maluchy z dumą machają swoim opiekunkom.

Gdy dzieci bawią się w najlepsze, ich matki robią zakupy albo popijają herbatę lub wiśniową brandy w kafejkach na świeżym powietrzu. Rezygnują wówczas ze znienawidzonego *topi* i próbują prześcignąć się nawzajem wspaniałością nakryć głowy. Kapelusze z kwiatami i piórami wydają się gigantyczne w porównaniu z nieozdobionymi niczym głowami Hindusek, które błyszczą od oliwy *Eclipta alba*.

Z powodu niższych temperatur eleganci rezygnują z muślinu i noszą suknie z bawełny i perkalu z dużymi, mocno nakrochmalonymi krezami. Każda *memsahib* dzięki ogromnej turniurze, kapeluszu z szerokim rondem i koronkowej parasolce zajmuje trzy razy więcej miejsca na chodniku niż Hinduski, które przemykają z gracją, podzwaniając bransoletkami na nadgarstkach i kostkach. Przy nich ściśnięte gorsetami Angielki wydają się sztywne, jakby zamaryły od szyi po biodra. Czasami odnoszę wrażenie, że ich twarze są tak samo skrepowane jak ciała. A może i dusze.

Chociaż zdecydowaną przewagę mają kobiety, jest tu też paru dżentelmenów. Niektórzy pracują w Simli, inni są mężami pań, które wyjechały do Anglii. Zauważyłam, że panowie, którzy sami przyjechali na

wakacje, poszukują towarzystwa samotnych, znudzonych żon. Wygląda na to, że w beztrudnej, radosnej atmosferze uzdrowiska panie chętniej zwracają na siebie uwagę dżentelmenów niż w swoich miejscach zamieszkania.

Z całego kraju przyjeżdżają tu na przepustkę żołnierze z Królewskiego Regimentu Armii Indyjskiej. Wspaniale prezentują się w swoich czerwonych mundurach. Wygląda na to, że w cudownym klimacie Simli notorycznie walczą... o względy dam. Tak jak w Kalkucie odbywają się tu nużące oficjalne spotkania i bale w sukniach wieczorowych, a także beztrudne potańcówki i pikniki.

Zawarłam w Simli przyjaźń, Shakerze, chociaż nie taką, do jakiej zachęcają inne *memsahib*. Zaprzyjaźniłam się z naszym kucharzem. Jest to ciemnoskóry facet z zachodniego wybrzeża. Bardzo lubi mruczeć pod nosem. Początkowo nie był zbyt uszczęśliwiony moimi wizytami w kuchni; zerkał na mnie ze złością, szorując piaskiem swoje garnki w ogromnej wannie.

Zamiast przesiadywać godzinami przy herbacie i ciastkach w „Pelti's”, lokalu, który uwielbia nasza współtowarzyszka, pani Partridge, albo spędzać czas w sklepach, chodzę teraz na indyjski targ i kupuję tyle kuszącego jedzenia, ile mogę. Zdarzają się dni, kiedy z trudem donoszę do domu koszyk wypełniony piżmianami jadalnymi, bakłażanami, słodkimi ziemniakami, owocami mango i liczi, po czym stawiam je triumfalnie na klepisku w kuchni, w której rządzi Dilip.

Po kilku tygodniach moich usilnych starań Dilip w końcu zgodził się pokazać mi niektóre ze swoich sztuczek. Teraz już dość płynnie posługuję się hindi i - jak sądzę - tylko dzięki temu udało mi się go przekonać do siebie. Staram się nigdy nie okazywać zaskoczenia ani niepokoju -ani gdy czuję ostry zapach oleju, na którym Dilip wszystko przyrządza, ani przy słodkawej woni *daali* - paleniska. Jego piec to kwadratowa konstrukcja z cegieł z dziurą na górze na garnek i otworem z boku na odprowadzenie dymu. Jeżeli potrzebny mu jest piekarnik, zamiast garnka stawia na piecu niewielkie żelazne pudło.

Jego zdaniem wszyscy wiedzą, że żadna *memsahib* nie umie gotować, dlatego początkowo założył, że przychodzę do kuchni tylko po to, żeby go sprawdzać. Czyżbym podejrzewała go o coś okropnego? - spytał w końcu, mrużąc oczy. Czy sądzę, że mógłby palcami mieszać jajka na pudding albo odcedzać zupę przez swój turban? A może coś jeszcze gorszego? Czyżbym uwierzyła w opowieść o obrażonym *bobajee*, który doprawił curry zmielonym szkłem albo dołożył belladone do *kedgerree*, czyli potrawy z ryby, ryżu, jaj, cebuli i przypraw?

Roześmiałam się, słysząc jego słowa, po czym podniosłam cegłę i zaczęłam rozbijać na desce kawałek jagnięciny. Długo bacznie mi się przyglądał, ale w końcu, po wielu wizytach zgodził mi się pokazać, jak przygotowuje indyjskie potrawy - oczywiście, tylko pod warunkiem, że nikomu tego nie zdradzę. Znów tajemnice, Shakerze. Moje życie to jedna wielka tajemnica.

Tak więc teraz umiem ugotować pikantną zupę przyprawianą korzeniami, przyrządzić curry i *kedgerree* - oczywiście, pod okiem Dilipa, który mnie instruuje, gdy mieszam składniki w lśniących mosiężnych *dechii* gotuję je na ceglany piecu.

Przyznałam się Faith, jak spędzam czas, i teraz obie jemy to, co sama przygotowuję (gdy tylko uda mi się ją namówić do jedzenia), o niczym nie wspominamy jednak pani Partridge. Nasza opiekunka zaopatruje się w sklepach, w których sprzedają gotowe angielskie jedzenie, przynosi do domu placki z zimną dziczyzną, pieczonego kurczaka i ozorki. Wszędzie ukrywa paczuszki z indyjskimi słodyczami. Nie mogłaby się nam przyznać, że ma słabość do *sum-boosaków*, ciast z serem i migdałami, albo delikatnych *bab* pełnych zmielonych daktyli, dlatego zdecydowanie zaprzecza, jakoby znalezione przez sprzątacza pod jej sofą olbrzymie pudło *dol-doli* należało do niej.

W końcu zaczynam odczuwać pewien spokój, Shakerze. Zachłystuję się swobodą. Popołudniami przesiaduję sama w ogrodzie. Noszę wtedy prostą bawełnianą suknię; jeśli mam być szczerą, porzuciłam gorset i krynoliny. Pani Partridge jest wyraźnie zdegustowana moim postępowaniem, ale nic sobie z niej nie robię. Kołysząc się z Neelem w hamaku,

czytam albo spoglądam na kłębiaste białe chmury, które zbierają się nad górami, a potem odpływają długimi białymi pasmami. Nad moją głową cudowny podmuch wiatru porusza zielonymi liśćmi i czerwonymi kwiatami rododendronów, a mieszkający w nich kos krzyczy na mnie ostrzegawczo. Popołudniami w zielonym cieniu naszego ogrodu dumnie przechadza się paw, przed każdym krokiem unosząc delikatnie łapkę. Muszę wtedy trzymać rękę na drżącym karku Neela.

Dopiero po kilku tygodniach zrozumiałam, dlaczego odczuwam tu taki spokój. Po prostu nie ma żadnego hałasu. Zawsze żyłam wśród mnóstwa dźwięków - najpierw w Liverpoolu, potem w Kalkucie. Kalkuta! Nie ma głośniejszego miejsca na świecie. Śpiewy, nieustanne bicie dzwonów i pobrzękiwanie dzwoneczków, piskliwe, nieme-lodyjne nawoływania rogów, dudnienie bębnów i wszechobecne ludzkie głosy. Pierwszej nocy w Simli leżałam w łóżku, wsłuchując się w ciszę. Potem zdałam sobie sprawę, że od przyjazdu do Indii co noc towarzyszyło mi skrzypienie zbędnego w Simli *punkah*.

Zawsze żyłam wśród dźwięków i chociaż bardzo odpowiada mi bicie serca Kalkuty, tutaj żyje się w pewnym zawieszeniu. Jestem spokojna, ale czekam, chociaż nie wiem, na co.

Dziękuję Ci za cierpliwość, jaką musiałeś wykazać podczas czytania tego zbyt długiego listu. Napisałam go pod moim ulubionym rododendronem. Próbuję sobie wyobrazić, jak dostajesz moją przesyłkę na Whitefield Lane w Ever-tonie, a czytając, unosisz głowę, spoglądasz na angielskie niebo i widzisz w jego miejsce niebo nad Indiami.

Zawsze Twoja  
Linny

PS. *Eclipta alba* czasem jest nazywana fałszywą stokrotką. Dzięki niej włosy pozostają ciemne i błyszczące. Oprócz tego używana jest także przy zapaleniu skóry spowodowanym przez grzyb i w chorobach oczu. Odkryłam rówież *manjith* - indyjską marzannę. Korzenie tej rośliny po sproszkowaniu używane są jako środek przeciwzapalny i na oczyszczenie krwi.



Jeszcze tego samego dnia zobaczyłam więźnia. Za miastem stoi nędzna chata; sprawia wrażenie opuszczonej i nieużywanej. Prawdę mówiąc; nigdy wcześniej nie zwracałam na nią uwagi. Gdy wracałam na kucyku do Simli, dostrzegłam grupę żołnierzy, którzy ciągnęli w stronę owej nory jakiegoś mężczyznę, przy okazji szarpiąc go i poszturchując. Był to Patan -rozpoznałam go po oczach i wysokim wzroście. W uszach miał złote kolczyki. Opadające na ramiona włosy były pokryte grubą warstwą kurzu, dlatego sprawiały wrażenie jaśniejszych niż w rzeczywistości.

Natychmiast przypomniałam sobie chwilę, kiedy po raz pierwszy, tuż po przybynięciu do Kalkuty, ujrzałam Patana w porcie. Pani Cavendish ostrzegła mnie wówczas, iż ci ludzie potrafią być dzicy. Prowadzony przez żołnierzy Patan był bardzo podobny do tamtego i uderzająco przystojny. Dostrzegłam również, że pomimo szorstkiego traktowania zachowywał się z dużą godnością. Jego twarz w niczym nie przypominała oblicza *dacoita* o lepkich rękach ani tchórzliwego opryszka. O co go oskarżono? Z pewnością o jakieś poważne przestępstwo, bo żołnierze po drodze co chwila mocno kopali go w kostki i szturchali kolbami w plecy. Jakimś cudem udawało mu się sprawiać wrażenie obojętnego na wszystko, zupełnie jakby był odporny na wszelkie upokorzenia.

Inny żołnierz prowadził jego konia. Ogromny czarny arab prychał i parskął, bez przerwy potrząsając łbem. Dostrzegłam jednego ze sklepikarzy z Mail, pana Willowsa, zatrzymałam kucyka i spytałam, co się stało.

- O tym, co zrobił, nie można opowiadać damom - stwierdził pan Willows - ale mam nadzieję, że zostanie powieszony. Chociaż nawet śmierć jest dla niego za dobra - dodał. - Proszę wracać do domu, pani Ingram. Żadna z Angielek nie powinna patrzeć na takiego człowieka.

Gdy ruszyłam przed siebie, pan Willows jeszcze zawołał:

- Proszę pani! Proszę zapomnieć, że w ogóle go pani widziała. Tacy jak on pojawiają się w koszmarach sennych.

„Patan z Afganistanu” - powtarzałam w myślach tak samo jak pierwszego dnia w Indiach. „Patan z Afganistanu”. „Sami nazywają się Pasztunami” - wyjaśniła mi wtedy pani Cavendish.



Jeszcze tego wieczoru usłyszałam opowieść o Patanie, prawdę mówiąc, nawet dwie jej wersje. Pierwszą wersję przekazała mi pani Partridge, chyba największa plotkarka w Simli.

- To zbyt okropne - wyjaśniła Faith i mnie, chociaż oczy wyraźnie jej błyszczały i bez przerwy oblizywała wargi.

- Czy on... czy on kogoś zamordował? - spytała Faith, zerkając na mnie.

- Och, gorzej, moja droga, znacznie gorzej.

- Czy może być coś gorszego od morderstwa? - spytałam. Czy może być coś gorszego od morderstwa? - zastanawiałam się.

Pani Partridge zmarszczyła czoło.

- Zgwałcił panią Hathaway. Faith zakryła ręką usta.

- To znaczy, że...? - spytała przydumionym głosem.

- Tak. - Pani Partridge przytaknęła. - Została zhańbiona. Przydybał ją za placem, na którym urządza się pikniki, chociaż nie wiem, dlaczego była tam sama. Powiedziano mi, że wyzdrowieje, chociaż nigdy nie zapomni, co ta bestia jej zrobiła. Miejmy nadzieję, że skutkiem tego gwałtu nie będzie dziecko. To z pewnością zabiłoby biedną Olivie. Wyobrażacie sobie, co by czuła, nosząc pod sercem mieszańca, czarne *baba*? Jak czułby się jej mąż? Och, niedobrze mi się robi na samą myśl, jak on pogodzi się z faktem, że jego żona została zbezczeszczona przez tubylca. Czy może być coś gorszego?

Nie mogłam patrzeć na Faith. Czyżby pani Partridge zapomniała o Charlesie, podniecona niespodziewaną, mrozącą krew w żyłach historią?

- Koniec twoich samotnych przejażdżek konnych, Linny. Mogłaś paść jego ofiarą. Musiał leżeć gdzieś w ukryciu i czekać, kiedy uda mu się przydybać jakąś samotną Angielkę. Nie miałam zamiaru rezygnować z kucyka.

- Czy coś takiego zdarzyło się wcześniej? Czy Patan sprawiał jakieś kłopoty? Wydawało mi się, że przedstawiciele jego plemienia cieszą się powszechnym szacunkiem.

- Czasami pojawiają się w Indiach, ale zazwyczaj zajmują się swoimi sprawami. Często opowiadają jakieś bzdury o honorze, jednak, jak widać, są również zdolni do okropnych czynów.

Jej nozdrza poruszały się niespokojnie, zacisnęła szczęki.

- Myślę, że zbyt dużą pokusę stanowił widok samotnej młodej białej kobiety, której nikt nie ochraniał. Wszyscy tutejsi mężczyźni marzą o Angielkach. Jak wiecie, ciemnoskórym i ciemnowłosym zawsze podoba się białe kobiety. Nigdy na odwrót.

- Coś podobnego - powiedziałam.

Biedna Faith musiała tego słuchać. Przypomniała mi się Olivia Hathaway, kobieta kapryśna, stosunkowo miła, ale zawsze nadmiernie podniekształcona i zbyt elegancko ubrana.

- Co z nim będzie? - spytałam. - Pan Willows twierdził, że go powieszają.

- Oczywiście. Nikt nie będzie sobie nawet zawracał głowy, żeby go sądzić. Wiadomo, co zrobił, a jedyną karą jest śmierć. Powieszają go, a potem rzucają ciało do lasu, by pożarły go hieny i szakale.

Faith wstała. Gdy szła do swojej sypialni, zauważyłam, że jest blada jak ściana.

Wieczorem, podczas szczotkowania moich włosów, Mald szepnęła mi na ucho:

- Wcale nie jest tak, jak mówi *memsahib* Partridge. Spojrzałam na nią w lustrze.

Powoli poruszała srebrną szczotką. Na jej pociągłej twarzy widać było duże zmartwienie.

- Opowiedz mi o wszystkim - poprosiłam.

- *Ayah memsahib* Hathaway zna prawdę, bo przy tym była.

- Była świadkiem gwałtu? Malti pokręciła przecząco głową.

- Nikt nie zgwałcił pani Hathaway. Ani Pasztun, ani żaden inny mężczyzna.

Spotkałam się z teorią, że w rozrzedzonym górskim powietrzu niektórzy miewają przywidzenia. Zatrzymałam rękę Malti i odwróciłam się na taborecie.

- Nie rozumiem cię, Malti. Czyżby pani Hathaway tylko się wydawało?

Malti z wdziękiem usiadła na podłodze u mych stóp.

- Wiem, że pani jest sprawiedliwa, *mem* Linny. Powiem pani wszystko, bo Trupti, *ayah* pani Hathaway, jest moją siostrą.

- Trupti jest twoją siostrą?

Malti nigdy nie chciała mówić o swojej rodzinie, nawet gdy ją pytałam. Zawsze wzruszała ramionami, twierdząc, że nie powinno mnie to interesować.

- Czy Trupti mieszka w Delhi? Pani Hathaway jest właśnie stamtąd.

- Tak.

- Kiedy po raz ostatni widziałaś siostrę?

- Pięć lat temu. Myślałyśmy, że już się nigdy nie zobaczymy albo że nie zobaczymy się przez wiele lat. Teraz bardzo się cieszymy, że znów jesteśmy razem i...

Urwała, przełknęła ślinę, po czym wróciła do swojej opowieści:

- Teraz Trupti ma poważne problemy. Bardzo poważne problemy. Jestem jej starszą siostrą, *mem* Linny. Muszę pomóc Trupti.

- Oczywiście. Powiedz mi, co się stało. Malti ani na chwilę nie spuszczała wzroku.

- *Memsahib* Hathaway robiła to i owo z pewnym żołnierzem. To, co robi pani z panem. Spotykali się w lesie za placem piknikowym. Trupd zawsze siedziała daleko od *memsahib* i ostrzegała ją, gdy ktoś się zbliżał.

Mald musnęła palcami srebrną szczotkę, potem wyjęła z niej kilka jasnych włosów.

- Dzisiaj Trupti źle się spisała. Dama i żołnierz byli razem bardzo, bardzo długo. Trupti zasnęła, a gdy się obudziła, obok przechodziło kilku *sahibów* ze strzelbami i szukali czegoś, co mogliby zastrzelić - może chodzącego ptaka, który głośno krzyczy.

Przytaknęłam.

- Nie zauważyli Trupti, a ona się wycofała i pobiegła do swojej pani. Spóźniła się. **Sahibowie** zobaczyli, że coś się rusza między drzewami i podnieśli strzelby. Myśleli, że to niedźwiedź. Zaczęli strzelać, a wtedy **memsahib** Hathaway podniosła krzyk. Żołnierz owinał się kocem, żeby ukryć czerwoną kurtkę, i uciekł na koniu w las, a **memsahib** Hathaway została z porozpinanymi guzikami. Trupti ze strachu nawet się jej nie pokazała. Widziała, jak jej pani krzyczy; trochę ze strachu, ale zdaniem Trupti pani Hathaway bała się też, że prawda wyjdzie na jaw. **Sahibowie** pomogli jej się ubrać, chociaż przez cały czas płakała. Pytali, co jej się stało, kto ją skrzywdził. Po dłuższej chwili powiedziała, że jej **ayah** zostawiła ją w lesie, a wtedy przyjechał mężczyzna na czarnym koniu. Wyjaśniła, że ten człowiek ją porwał, a potem wykorzystał dla własnej przyjemności. Pani Hathaway pokazała Trupti w krzakach i powiedziała, że ona wszystko widziała, ale jej nie pomogła. **Burra sahib** pobił moją siostrę pięściami i kolbą swojej strzelby.

Przerwała na chwilę.

- Pasztun miał wielkiego pecha - ciągnęła - bo przyjechał dzisiaj na targ kupić ubranie. Potem chciał wrócić za północno-zachodnią granicę.

Urwała i zajęła się układaniem fałdów swojego sari.

- Czy Olivia powiedziała, że to był Patan?

Przypomniałam sobie jego twarz: zaciśniętą szczękę, przymrużone powieki, fakt, że bez zmrużenia oka przyjmował ciosy.

- Nie, **mem** Linny. Powiedziała, że w najgorszej chwili zemdląca i nie umie go opisać.

- To znaczy, że oskarżyli go tylko z powodu czarnego konia?

Maki przytaknęła.

Przez kilka minut siedziałyśmy w milczeniu.

- Dlaczego mi to powiedziałaś, Mald? - spytałam. - Nie chcę nawet myśleć, że niesprawiedliwie zabijają Patana.

- **Memsahib** Hathaway oskarża Trupd o wszystko, co jej się przydarzyło. Zwolniła ją, twierdząc, że nie pomogła jej w trudnej chwili. Jutro moja siostra ma wrócić do Delhi. **Memsahib** chce, żeby Trupd szybko wyjechała z Simli, bo ona wszystko wie, chociaż nigdy nikomu by o tym

nie powiedziała, oprócz mnie. Teraz, gdy zamieszka w Delhi z naszą mamą, nie będzie miała jak wykarmić swoich dzieci.

- Co mogę zrobić, Mald? - spytałam. - Nie wierzę, by ktokolwiek z Anglików wątpił w opowieść pani Hathaway, a żołnierz bardziej bał się o swoją reputację i przyszłość niż o jej. Co można zrobić, Mald?

Na jej twarzy znów pojawiło się zmartwienie.

- Nie powinnam pani mówić o wszystkim, *mem* Linny. Obiecałam Trupd, że jej pomogę, ale nie wiem, jak.

Skubnęłam zgrubiałą od trzymania pióra, pociemniałą skórę na środkowym palcu.

- Spróbuję coś w nocy wymyślić, Mald. Może jutro spojrzymy na wszystko inaczej?

## Rozdział 27

Nie mogłam zasnąć. Myślałam o OlMi, słabej kobiecie, która szukała miłości, i jej żołnierzu, człowieku tak nikczemnym, że uciekł od kobiety, z którą jeszcze chwilę wcześniej był tak blisko, nie chcąc ryzykować, że zostanie przyłapany. Myślałam o Trupti, która ma wrócić do Delhi w niełasce. Przestała być *ayah* i teraz nie miała już szansy na znalezienie jakiegokolwiek pracy u Anglików. Przypomniałam sobie, co zobaczyłam w oczach Mald, kiedy opowiadała o swojej siostrze, unosząc brwi w nadziei, że zdołam jakoś pomóc. Przede wszystkim jednak przez cały czas miałam przed oczami Patana i jego dumną postawę w konfrontacji z szarpiący mi i popychającymi go żołnierzami. Wyobraziłam sobie, że wkrótce umrze w Simli, mieście stworzonym dla naszej przyjemności, a jego rodzina, być może, nigdy się nie dowie, co go spotkało.

Pograżyłam się w myślach, gdy nagle usłyszałam pukanie do drzwi.

- Proszę - szepnęłam na wypadek, gdyby Malti spała, chociaż moja *ayah* rzucała się na pryczy, wątpiałam więc, by udało jej się zasnąć.

W otwartych drzwiach stanęła skąpiana w blasku księżyca Faith. Miała na sobie nocną koszulę i kurczowo obejmowała się rękami.

- Mogę wejść, Linny? Obudziłam cię?

- Nie. Nie mogę zasnąć. Jesteś chora?

- Nie, ale... ale chciałabym z tobą porozmawiać.

Gdy podeszła do mojego łóżka, zobaczyłam na jej twarzy łzy.

- Zimno ci. Połóż się obok mnie.

Zepchnęłam Neela na podłogę. Upadł obok pryczy Malti i zwinął się w kłębek.

- Och, nie mogę - zaprotestowała Faith.

Zdałam sobie sprawę, że nigdy nie dzieliła łóżka z nikim, oprócz Charlesa.

- Ależ możesz, wystarczy miejsca dla nas obu. Sprawiała wrażenie wychudzonej i kruchej. Jej rude włosy opadały kosmykami na białą koszulę nocną. Usiadła plecami do mnie.

- Posiedzę. Łatwiej przyjdzie mi to wyznanie, gdy nie będę patrzeć ci w oczy.

Czekałam.

- Chodzi o to, co pani Partridge powiedziała dziś wieczorem - wyjaśniła.

- Postąpiła bardzo niegrzecznie, Faith. Tak mi przykro. To bezduszna kobieta.

- Boję się, Linny.

- Czego?

Zauważyłam, że drżajej ramiona.

- Noszę pod sercem dziecko, Linny - wyznała. Przysunęłam się bliżej, czując ogromną ulgę. A więc to był powód jej apatii, braku zainteresowania i wymijających odpowiedzi!

- To cudownie. Charles cię kocha i na pewno...

- Umówiliśmy się, że nie będziemy mieli potomstwa. Zgodziliśmy się, że tylko unieszczęśliwilibyśmy nasze dzieci. Podobno następne pokolenie zawsze jest ciemnoskóre, Linny. Poza tym wciąż miałam nadzieję, że uda mi się pogodzić z rodziną. Byłam pewna, że jeśli choćby raz zabiorę Charlesa do kraju, a moi rodzice go poznają... widzisz, mój ojciec w Kalkucie nawet nie chciał się z nim spotkać... docenią jego zalety i usta-



pią. Niestety, jeśli urodzę dziecko, ciemnoskóre dziecko, Linny... - Faith powoli pokręciła głową. - Nie. Charles zaprowadził mnie nawet do pewnej Hinduski. Nazywa się Nani Meera... i chyba jest jego ciocią albo jakąś daleką krewną. Wyjaśnił, że Nani da mi... coś. Jeśli tego użyję... przed i po... nie zajdę w ciążę. Ta kobieta jest akuszerką.

Przytaknęłam, chociaż nie wiedziałam, dlaczego.

- Jednak jej środek nie zadziałał - szepnęła, chociaż nie musiała tego mówić.

- Na pewno Charles mimo wszystko będzie zadowolony. A może dziecko...

Nie byłam pewna, co chciałam powiedzieć.

- Nie ma żadnych „może”, Linny. Charles o niczym nie wie. Miałam nadzieję, że stracę je w podróży, a on nigdy się nie dowie. - Ukryła twarz w dłoniach. - Staralam się o tym nie myśleć, próbowałam udawać, że nic się nie stało, ale gdy dziś wieczorem pani Partridge powiedziała, jakim przekleństwem jest ciemnoskóre *baba...* - Załkała. - Już nic mnie nie cieszy, Linny. Nic. Moje życie w domu nie miało sensu, tutaj też nie jest lepiej.

Przyciągnęłam ją i chociaż nie odwróciła się twarzą do mnie, pozwoliła się objąć. Miała drobniutkie kości, jak ptak, a jej włosy pachniały jaśminem. Od śmierci matki nie spałam, trzymając kogoś w objęciach, chociaż na Jack Street tłoczyłam się z innymi dziewczętami na cuchnącym materacu. Jakże inaczej się czułam, leżąc w jednym łóżku z Faith, niż z dziewczynami, które pachniały tanim pudrem, potem i spermą, w pokoju, w którym załatywało pleśnią, zimnym popiołem i przeduszczonymi ubraniami.

- Twoje życie nie ma sensu? Jak możesz tak mówić? Masz Charlesa, a teraz...

- Nie mów o tym, Linny. Nie mogę o tym myśleć. Nie chcę już o tym myśleć.

Milczałam. Tak długo wdychałam zapach włosów Faith, aż uspokojona jej ciepłem i bliskością w końcu zasnęłam.

Obudziłam się wcześniej niż Faith i pani Partridge. Leżąc w łóżku w świede poranka, opracowałam pewien plan. Najpierw przywołałam Mald i powiedziałam jej, że gdy wrócimy do Kalkuty, jej siostra będzie pracować w naszym domu; postawię na swoim, niezależnie od tego, co powie *sahib* Ingram. Ku mojemu zażenowaniu Mald zaczęła całować moje dłonie, a potem stopy.

- Idź i powiedz jej, że wstąpimy po nią, wracając przez Delhi - polecałam.

Nie chciałam, żeby Mald wiedziała, gdzie się wybieram. Gdy tylko wyszła, ubrałam się i szybko poszłam przez ciche miasto do pozbawionej okien chaty na skraju Simli.

Zbliżając się, ujrzałam żołnierza, który opierał się o ścianę. Gdy mnie zobaczył, stanął na baczność przy otwartych drzwiach, które wyglądały na zaskakująco ciężkie. Przez otwór widziałam wilgotne klepisko i stertę starej słomy. Zobaczyłam również stopę w wysokim czarnym bucie.

- W cz...czym mogę pani p...pomóc, psze pani? - dukał żołnierz. - To tymczasowe więzienie, widok nie dla dam.

Na podłodze obok więźnia leżał niewielki talerz do połowy wypełniony jedzeniem. Zastanawiałam się, czym nakarmiono Patana.

- Musiałam tu przyjść - wyjaśniłam.

Podalam mu swoje nazwisko i powiedziałam, że przez całą noc dręczyło mnie sumienie. Co prawda to nie moja sprawa, ale ponieważ jestem chrześcijanką, mam obowiązek mówić prawdę. Kłamstwo przychodziło mi bardzo łatwo; całe moje życie było jednym wielkim kłamstwem. Potykałam się tylko wtedy, kiedy musiałam mówić prawdę. Poinformowałam więc żołnierza, że w czasie, kiedy panią Hathaway spotkała przykra przygoda, byłam na targu, gdzie zwróciłam uwagę na Patana. Widziałam, że potem odjechał wcale nie w stronę placu piknikowego, lecz w przeciwnym kierunku.

- Gdzie go znaleziono? - spytałam.

Żołnierz nie odpowiedział, co jedynie dodało mi odwagi.

- Po przeciwnej stronie Simli, prawda? Zgadza się, jak już panu powiedziałam, widziałam go w pobliżu Annandale. Kierował się w stronę zachodnich wzgórz.

Teraz przez twarz żołnierza przemknął cień.

- Dlaczego... pani... Ingot, tak? Dlaczego interesuje panią, co się stanie z tym fran... przepraszam, psze pani, z tym wstrętnym Arabem?

- Ingram - powiedziałam, prostując się, żeby sprawiać wrażenie nieco wyższej. - Jestem żoną pana Somersa Ingrama z Kalkuty, pracownika służb cywilnych. Chociaż z całego serca współczuję pani Hathaway, sam pan musi przyznać, że na tych terenach nie brakuje czarnych koni. Czy powiedziała, że to był Patan?

Żołnierz sprawiał wrażenie jeszcze bardziej skonsternowanego.

- Psze pani - powiedział w końcu. - Jestem w Simli tylko na urlopie. Kazano mi stanąć na straży, chociaż nie jest to normalna warta, taka jak w wojsku.

Był bardzo młody. Nad jego górną wargą dopiero zaczynał się pojawiać jasny meszek. Prawdopodobnie był zaledwie o rok lub dwa lata młodszy ode mnie, ale celowo włożyłam suknię z granatowego jedwabiu, ciemnoniebieski kapelusik z granatowymi wstążeczkami, zakończonymi piórami białej czapli, i granatowe rękawiczki. Trzymałam uniesioną głowę i zwracałam się do niego z opuszczonymi powiekami.

- W takim razie proszę mi powiedzieć, kto jest pańskim przełożonym. Z kim mogę rozmawiać w tej sprawie?

- Z majorem Bonnycasde'em, psze pani, ale jego tu nie ma. Jak już mówiłem, nie jesteśmy tu na służbie. Nigdy wcześniej żołnierze nie byli w Simli potrzebni.

Ponownie zerknęłam w stronę otwartych drzwi. Usłyszałam brzęk łańcucha i but zniknął z pola widzenia.

- To znaczy, że Patan zostanie tutaj, dopóki nie przyjedzie pański przełożony?

Żołnierz, coraz bardziej zdenerwowany, szybko zamrugał powiekami.

- Nie sądzę, psze pani.

- W takim razie co się z nim stanie?

Jabłko Adama na szyi młodzieńca gwałtownie zadrgało.

- To nie jest sprawa, którą powinna sobie pani zawracać głowę. Zajmiemy się nim jak należy i żadna z dam nie będzie już musiała obawiać się niczego z jego strony. Proszę stąd iść. To nie jest miejsce dla dam.

Jakby na potwierdzenie jego słów na dachu chaty przysiadła czarna wrona i zamachała skrzydłami. Otworzyła dziób, przekrzywiła głowę i spojrzała z góry na talerz. Potem zakra-kała, sfrunęła i chwyciła pokrytą mięsem kość, po czym wzbiła się nad głową czarnego konia, który splószył się i zarżał.

Próbowałam sobie wmówić, że na razie zrobiłam wszystko, co mogłam. Nie chciałam pogodzić się z myślą, że żołnierze po prostu powieszą Patana, ale niezachwiana pewność siebie młodego człowieka nie dawała mi powodów do otuchy. Z pewnością Olivia Hathaway nie zmieni swojej opowieści, nie powie, że koń wcale nie był czarny, lecz kasztankowaty albo jabłkowity, i że człowiek, który na nią napadł, wcale nie był Patanem. Wątpiłam, by powiedziała cokolwiek więcej, a z pewnością nikt nie będzie już zadawał jej żadnych dodatkowych pytań.

Gdy wróciłam do domu, Faith siedziała w ogrodzie. Trzymała w ręku mokrą chusteczkę do nosa, ale dostrzegłam, że promieniowała dziwną radością; coś w wyrazie jej twarzy dodało mi otuchy, chociaż nadal była bardzo blada. Zaledwie kilka dni temu pani Partridge skomentowała bladłość Faith, pytając, czy jada glinę, żeby mieć taką jasną cerę.

Neel leżał w trawie u jej stóp, tuż obok książek. Ich widok jeszcze bardziej mnie zachęcił.

- Lepiej dziś wyglądasz, Faith - powiedziałam szczerze zadowolona. - Nie martw się o dziecko. Niezależnie od wszystkiego masz Charlesa i jego miłość.

- Tak - powiedziała, patrząc na Neela. - Naprawdę wierzę, że teraz sprawy obrócą się na lepsze.

Uśmiechnęłam się do niej.

- Och Faith, cieszę się, że to mówisz. Tak się o ciebie martwiłam!

Spojrzała mi w twarz.

- Chcę ofiarować ci książki, Linny - powiedziała, dotykając ich czubkiem pantofelka.

- Dlaczego?

- Nie mam do nich serca, a ty tak lubisz czytać. Weź je.

- Nie mogę, Faith. Na pewno jeszcze do nich wrócisz. Wybierzmy się na przejażdżkę.

Wyciągnęłam do niej rękę.

- Nie mam ochoty, Linny. Zostało mi sporo do zrobienia. Ciekawe, co.

- Proszę, Faith. Zabierzemy ze sobą lunch. Wiem nawet, gdzie mogłybyśmy pojechać. Mam mapę.

- Nie dzisiaj.

- W takim razie jutro, zgoda?

Przez chwilę milczała, ale w końcu na jej twarzy pojawił się uśmiech. Od dawna się nie uśmiechała, a i tym razem było to raczej nienaturalne rozchylenie warg.

- Czy mogłybyśmy wybrać się gdzieś dalej, Linny? Na przykład w góry?

- Może.

- W takim razie pojedziemy. Jutro.

- Obiecuję, Faith, że będziemy miały świetną zabawę.

Wieczorem postanowiłam, że gdy wrócę z Faith z przejażdżki, jeszcze raz pójde do więzienia. Może na służbie będzie inny żołnierz i uda mi się go uprosić. Zaczynałam żywić nadzieję co do Faith. Pomógł mi w tym pewien entuzjazm, który okazała, gdy rozmawiałyśmy o wyprawie w góry. Może mimo wszystko znów będzie szczęśliwa?

Obudziłyśmy się po świcie. Zostawiłam Neela z Mald i poszłam do kuchni. Dilip już na mnie czekał, ściskając w ręku pleciony koszyk ze skórzanymi paskami. Całą chatę wypełniał zapach ciepłej pszenicy. Musiał wstać w środku nocy, żeby upiec świeże *chapatti*.

- Mówiłam ci, Dilipie, że nie musisz przygotowywać niczego specjalnego. Wystarczy trochę sera i owoców.

Cofnął brodę, jakby poczuł się urażony, i wyciągnął przed siebie koszyk. Zajrzałam do niego - zobaczyłam **chapatti**, ryż szafranowy, słoik dżemu melonowo-imbirowego i pojemni-czek koziego sera z grzybami.

Podziękowałam mu ogólnie, wiedząc, że będzie zły, jeśli zacznę przesadzać. Potem zabrałam Faith i wyszliśmy na drogę prowadzącą do Mail. Był piękny poranek, ciszę zakłócał tylko piskliwy krzyk samotnego dudka.

Ze względu na wczesną porę w stajni był **syce**. Miał na sobie przetartą kurtkę, którą zarzucił na długie białe **alhoti**. Kucał pod zieloną tamaryndą, ale na nasz widok poderwał się na równe nogi i zaprowadził nas do dwóch koników z kwiatami wplecionymi w grzywy. Ściągnął im popregi, a ja przywiązałam koszyk do boku Uty, ładnej kasztanki z białymi plamkami. Faith usiadła na grzbiecie siwego żrebaka o imieniu Rami.

Wyprowadziłyśmy konie za miasto, a gdy pokonałyśmy spory kawałek drogi, wyjęłam z rękawa pomięty kawałek papieru.

- Co to? - spytała Faith.

Sprawiała wrażenie opanowanej, spokojnej. Rozluźniła nawet zaciśnięte mięśnie twarzy. Dziwiła mnie zmiana, jaka w niej nastąpiła.

- Mapa. Narysował mi ją Merkeet, chłopiec, który sprzedaje na bazarze przyprawy. Zazwyczaj rozmawiam z nim, gdy kupuję jedzenie. Pewnego razu, gdy podziwiałam kobietą **burkhe**, powiedział, że w Ludhianie szyją na sprzedaż piękne **burkhi**, nawet ozdabiają je paciorkami. Twierdził, że Ludhiana nie jest daleko stąd. Przyszło mi na myśl, że mogłybyśmy tam pojechać, a potem zjeść lunch i wrócić.

Przyjrzałam się uważnie skrawkowi papieru.

- Chyba powinniśmy jechać tym grzbietem, póki nie dotrzemy do strumienia.

Faith poprawiła fałdy żółtej sukni na skórzanym damskim siodle.

- Jesteś pewna?

- Tak, spójrz. Tu są Himalaje, a to droga, która prowadzi z powrotem do rzeki. Nie możemy zabłądzić.

Czułam się tak, jak wówczas, gdy wymknęłyśmy się pani Waterton podczas wyprawy na **maidan** i trafiłyśmy na bazar. Tym razem byłyśmy



z dala od surowej pani Partridge i miałyśmy wolną rękę. Mogłyśmy galopować, nie przejmując się, że wiatr podwiewa nasze spódnice i płące włosy. Mogłyśmy się śmiać i śpiewać z wiatrem w zawody.

Po mniej więcej dwóch godzinach zaczęłam wątpić w kartograficzne zdolności Merkeeta. Dojechaliśmy grzbietem do płytkiego strumienia, potem prowadziłyśmy konie kamienistym korytem, póki po obu stronach potoku nie pojawiły się gęste zagajniki. Słońce świeciło coraz wyżej na niebie. Od opuszczenia Simli Faith prawie się nie odezwała.

- Zaraz za następnym zakrętem zobaczymy Ludhianę! -zawołałam.

Nie chciałam się przyznać, że być może popełniłam błąd i za bardzo oddaliłam się od miasta.

Niestety, za następnym zakrętem strumień wpłynął w wilgotny wąwóz i nie miałyśmy gdzie dalej pojechać. Skierowałam Utę do góry, w wąską szczelinę, mając nadzieję, że jest tam ścieżka. Gdy konie wspinały się po stoku, musiałyśmy odsuwać na bok ostre gałęzie. Nagle wyjechałyśmy na ogromną polanę pełną stokrotek.

- Jak tu pięknie! - krzyknęłam.

Otwartą przestrzeń ze wszystkich stron otaczały drzewa, chociaż jeden kraniec polany opadał zbyt nisko, żeby można było zobaczyć, dokąd prowadzi. Po przeciwnej stronie wyrastały ogromne skały.

- Zatrzymajmy się tutaj na lunch - zaproponowałam, gdy Faith podjechała do mnie na Ramim - a potem chyba powinnyśmy wrócić do strumienia. Sądzę, że nie znajdziemy Ludhiany.

- W porządku - powiedziała Faith, patrząc na skały. - Rozłóż jedzenie, a ja zbadam teren.

- Ucie bardzo się podobają stokrotki! - zawołałam, gdy Faith się oddalała.

Nie odpowiedziała, jedynie popędziła Ramiego w stronę skalistego skraju polany. Rozpakowałam jedzenie, tymczasem mój konik z radością wachał kwiatki i skubał trawę. Faith wróciła i usiadła obok mnie. W twarze dmuchał nam miły wietrzyk.

- Proszę, Faith, spróbuj coś zjeść. Musisz - błagałam.

Wzięła do ręki *chapatti*, ale zauważyłam, że tylko bezmyślnie łamie bułkę, a na ziemi obok niej powstaje kupka okruchów. Wiatr uniósł spódnicę Faith, tworząc wokół niej złoty krąg; rozwiązany kapelusik zsunął się z głowy, a lekkie podmuchy rozwiewały jej włosy na wszystkie strony. Od czasu do czasu zerknęła w stronę skał.

- Co jest za nimi? - spytałam.

- Nic, spadek, a dalej urwisko. Nic szczególnego. Leżałam na plecach wśród słodko pachnących kwiatów,

podziwiając błękitne niebo i słuchając odgłosów wydawanych przez pasące się konie. Nagle ciszę przerwało głośne rżenie. To Uta. Ruszyła kłusem w stronę skał na dalekim krańcu polany. Rami zataczał niespokojne kręgi.

- Uta! - zawołałam i poderwałam się na równe nogi. Faith chwyciła lejce Ramiego i wskoczyła na siodło.

- Co je spłoszyło? - spytałam.

Faith oddalała się, najpierw kłusem, potem galopem. Po drodze zgubiła kapelusik, który zawirował i zniknął.

Nie wiem, co sprawiło, ale odwróciłam się na chwilę od Faith, która galopowała w stronę skał. Na przeciwległym końcu polany, od strony doliny, jechał mężczyzna na koniu. Ziemia dudniła pod ciężkimi kopytami. Jeździec co kilka sekund stawał w strzemionach i oglądał się za siebie. Nagle rozpoznałam w nim Patana. Odwróciłam głowę i spojrzałam na Faith. Jej spódnica wydeła się jak żagiel.

Byłam w środku. Patan jechał w moją stronę, Faith się oddalała. Nagle Uta skrzyła - czyżby wystraszył ją wystrzał za moimi plecami? Faith, nie zatrzymując się, stanęła w siodle, jakby parodiowała Patana. Nie obejrzała się jednak za siebie. Wyglądała tak, jakby ani na chwilę nie odrywała wzroku od skał, które miała przed sobą. Potem popędziła Ramiego szpicrutą. Zbliżając się do odsłoniętych skał, próbował skrócić, ale mu nie pozwoliła. Nie wiedziałam, co się dzieje. Potem Faith puściła lejce i uniosła ręce w powietrze. Rami próbował się zatrzymać na skraju urwiska i skrócić w bok, a wtedy Faith pięknym łukiem przeleciała mu nad głową, jak-

by popychała ją niewidzialna ręka. W rzeczywistości jednak nic jej nie pchało - sama wyskoczyła z siodła. Nie mogłam pojąć tego, co widziałam: faktu, że Faith rzuciła się ze skał.

Jej spódnica się uniosła, a ja zobaczyłam białe halki, a potem machające w powietrzu nogi. Faith przez chwilę leciała w powietrzu jak w pantomimie, niczym żółto-biały, wirujący dysk, po czym zniknęła. Przerazona, zamknęłam oczy. W tym momencie poczułam w barku potworny ból.

Patan skoczył na mnie. Ugięły się pode mną nogi. Poczulałam się jak zepsuta lalka, w uszach dźwięczał mi dziwny krzyk. Chwilę później zdałam sobie sprawę, że wydobywa się on z moich ust, jest długi i okropny. Wiedziałam, że właśnie stało się coś przerażającego i teraz może być już tylko gorzej.

## Rozdział 28

Byłam na statku, który wiozł mnie do Indii. Leżałam w hamaku, rzucona przez sztorm. Bolały mnie wszystkie kości. Z sali, która znajdowała się za drzwiami naszej kajuty, dochodziły dziwne odgłosy. Pode mną coś głośno stukało, jakby ogromne kamienie uderzały o kadłub; bałam się, że w końcu zrobią dziurę i utoniemy. Próbowałam trzymać się hamaka, ale nie mogłam ruszyć lewym ramieniem. Fale kołysały statkiem w niespokojnym rytmie, a moje żebra stukały, powodując ból, który promieniował od lewego ramienia aż do barku. Trudno mi było oddychać, miałam twarz wtuloną w twardą powierzchnię łóżka. Kiedy lekko uniosłam głowę, poczułam na policzkach świeże powietrze. Otworzyłam oczy i zauważyłam, że moja lewa ręka dziwnie zwisa nad głową.

Nagle wszystko zrozumiałam. Dudniący rytm to podkowy, a ja jechałam przerzucona przez siodło i miałam pod sobą przesuwaną się ziemię. Na ten widok zrobiło mi się niedobrze, coraz bardziej bolał mnie bark; odwróciłam głowę na bok i przycisnęłam nos do czegoś ciepłego i twardego, co poruszało się w rytm końskich kroków. To była noga.

Spojrzałam w górę, na szeroką klatkę piersiową i rzeźbioną twarz Patana. Nagle przypomniałam sobie przerażający obraz unoszącej się w powietrzu Faith. Może to było tylko złudzenie optyczne? Może wylądowała na trawie. Może wcale nie miała zamiaru zrobić tego, co widziałam, może...

Brakowało mi słów. Musiałam wrócić, żeby ją znaleźć. Próbowałam machnąć nogą, wtedy poczułam, że coś wrzyna mi się w łydki. Poczułam jeszcze większe zażenowanie i złość - muszę uciec, muszę znaleźć Faith. Odepchnęłam się prawą ręką i odsunęłam od konia piersi, a wtedy Patan uniósł obie ręce, które - jak zauważyłam - były skrepowane grubym, postrzępionym sznurem, i bez trudu przycisnął moją głowę, jakby rozmazywał komara. Gdy uderzyłam nosem w bok konia, poczułam potworny ból. Coś ciepłego i kleistego napłynęło mi do ust. Zaczęłam się dusić: nie mogłam oddychać, mój nos i usta napelnione były krwią. Ponownie zapadłam w rozkołysaną ciemność.

Oprzytomniałam, gdy Patan ściągnął mnie z konia. Otworzyłam oczy, ale wokół panowała ciemność. Patan przyciskał mnie do siebie, trzymając związane ręce tuż przy mojej twarzy i jednym ramieniem zatykając mi usta. Jego ciało było tak nieruchome i twarde, że gdyby nie ciepło i ciężki oddech, który słyszałam tuż przy uchu, mogłabym pomyśleć, że opieram się o kamień. Usłyszałam, że obok nas stoi koń; zdradził go świszczący oddech. Po długiej chwili zauważyłam daleko przed nami niewielką, nieco jaśniejszą plamę; sądząc po zapachu i ciemności, znajdowaliśmy się w jakiejś jaskini. Odrobina światła pochodziła z wejścia, które musiało być ukryte w gęstych krzakach. Koń cicho zarżał, wtedy Patan zdjął ramię z moich ust - prawdopodobnie, by uspokoić wierzchowca — a ja wykorzystałam tę możliwość, żeby się uwolnić. Zaczęłam krzyczeć. Patan przyciągnął mnie gwałtownie do siebie, przy okazji miażdżąc mi ramieniem żebra, a potem uderzył mnie związanymi rękami w usta i nos. Poczułam świeżą krew. Koń cicho posapywał. Patan syknął, wtedy zwierzę umilkło. Oddychałam przez krwawiący nos.

Obok słyhać było stukot końskich kopyt. Nagle coś przesłoniło światło w wejściu. Potem na chwilę się rozjaśniło i znów zapadła ciemność. Światło zniknęło siedem razy; było to siedmiu mężczyzn, którzy ścigali Patana. Jęknęłam cicho, jakbym próbowała wołać o pomoc, wiedząc, że taki sam skutek odniosłoby brzęczenie muchy. W końcu odgłosy końskich kopyt umilkły w oddali, a w otworze nie przesuwwały się żadne cienie.

Nadal staliśmy w bezruchu. Trwało to tak długo, aż straciłam rachubę czasu. W końcu Patan zdjął ręce z moich ust, a ja osunęłam się na ziemię, nie czując nóg.

Gdy na moją twarz padło nikłe światło, usiadłam oszołomiona. Poruszyłam lewym barkiem i krzyknęłam z bólu. Patan stał w wejściu, odsuwał ciałem krzaki na bok i próbował przegryźć sznur kępujący mu nadgarstki. Spojrzał na mnie i wypowiedział kilka krótkich słów.

- Nie rozumiem - odrzekłam.

Powtórzyłam to samo w hindi, wtedy odpowiedział w tym samym języku.

- Chodź tu.

- Nie.

Szybko podszedł i pociągnął mnie za włosy.

- Zostaw. Zawieź mnie z powrotem na polanę. Muszę poszukać przyjaciółki.

Wywijałam się z jego uchwytu, chociaż piekła mnie skóra na głowie.

- Rozwiąż ten sznur - poprosił, puszczając moje włosy i wyciągając przed siebie skrepowane ręce.

Miał otarte i zakrwawione nadgarstki.

- Rozwiąż to - powtórzył.

Stałam przed nim w całkowitym bezruchu. Powtórzył swoją prośbę po raz trzeci.

Jego głos wcale, nie był głosem szaleńca, mordercy ani gwałciciela. Nie było w nim także tonu wyższości, tak charakterystycznego dla Somersa, ani groźby, która zawsze pobrzmiwała w słowach Rama. Patan miał zwyczajny męski głos, zachrypnięty z wyczerpania. Poza tym czy

miałam jakiś inny wybór? Rozwiązałam mu węzły, chociaż lewa ręka nie chciała być mi posłuszna. W końcu udało mi się go uwolnić.

Przez chwilę ciężko oddychał i rozmasowywał nadgarstki, potem podprowadził czarnego konia do wyjścia. Wyrwał garść wysokiej trawy, która tam rosła, i wytarł nią skórę zwierzęcia.

- Moja przyjaciółka - powiedziałam. - Moja przyjaciółka... muszę sprawdzić, co się z nią stało.

- Nie możemy tam jechać. *Ferenghi* wciąż mnie szukają.

- Przecież nie jestem ci potrzebna. Puść mnie - błagałam.

- Doprowadziłabyś ich do tego miejsca.

- Nie.

Krzywiąc twarz, spojrzałam na swój bark. W nikłym świetle zobaczyłam krew; błękitny perkal mojej sukni pokrywało dużo, zbyt dużo suchej i świeżej krwi.

- Trafiła cię ich kula - wyjaśnił, zerkając na mnie. W rękę trzymał nasiąkniętą potem trawę. - Strzelali do mnie, ale trafili ciebie.

Spojrzałam na niego.

- Dlaczego po prostu nie zostawiłeś mnie na polanie? Znow potarł sierść konia.

- Uznałem, że możesz mi się przydać.

- Przydać?

- Na wymianę. Gdyby mnie złapali. A twoja przyjaciółka nie żyje.

Mruknął coś do konia, który tupnął przednią nogą.

- Nie żyje?

Dlaczego w moim głosie słychać było przerażenie i zaskoczenie? Chyba od początku, od chwili, kiedy ujrzałam, jak Faith, stojąc w strzemionach, galopuje w stronę skał, wiedziałam, co ma zamiar zrobić. Może już wcześniej zdawałam sobie sprawę, że nie ma lekarstwa na chorobę, na którą cierpiała moja przyjaciółka.

- Jesteś pewien?

- Tak. Tam są tylko nagie skały, strome urwisko i suche, kamieniste koryto rzeki.

- W takim razie pozwól mi tam wrócić.



Mój głos był słabszy, niżbym chciała. Faith, dlaczego nie powiedziałam ci, że zaczynam traktować cię jak siostrę? Dlaczego nie postarałam się bardziej ci pomóc?

- Jeszcze nie teraz. Puszczę cię, gdy żołnierze wrócą do Simli. Droga powrotna zajmie ci prawie cały dzień, a wtedy będzie już za późno, żebyś mogła im pomóc.

Wokół ucha i na szyi miał zaschniętą krew. Tam, gdzie niegdyś nosił kolczyk, teraz była rozerwana małżowina. Zastanawiałam się, jak uciekł.

- Nie pomogę im. Wiem, że nie zrobiłeś tego, o co cię oskarżyli.

Po raz pierwszy spojrzeliśmy na siebie. Bito go: jedno oko miał sine i tak opuchnięte, że nie mógł go otworzyć, dolna warga była rozcięta. Ktoś rozdarł mu z przodu koszulę, a na klatce piersiowej widniały ciemne, sine pręgi. Przez włosy widziałam błysk złotego kółka w drugim uchu.

- Wiem, że tego nie zrobiłeś - powtórzyłam. - Naprawdę. Dlaczego tak bardzo zależało mi, żeby o tym wiedział?

- Skąd wiesz, co zrobiłem, a czego nie zrobiłem?

- Wiem, że ta kobieta kłamała, chcąc osłonić siebie i swojego kochanka. Byłam przed więzieniem. Powiedziałam żołnierzowi, że jesteś niewinny.

Patan odwrócił się do swojego konia, a ja usiadłam i oparłam plecy o ścianę. W końcu odrzucił trawę i puścił krzaki, które znów zasłoniły wejście.

- Jest późno. Zostaniemy tu na noc. Rano będziesz mogła wrócić do Simli.

Odwróciłam się. Czulałam coraz silniejszy ból w barku. Faith, och Faith!

Krzyknęłam. Gdy otworzyłam oczy, ujrzałam klęczącego nade mną Patana. Trzymał przy mojej twarzy rozżarzoną gałązkę. Gdzieś w głębi duszy zastanawiałam się, w jaki sposób rozpałił ogień - dno jaskini było zimne i wilgotne.

Wcześniej próbowałam się skulić i znaleźć jakieś równe miejsce, ale ból w barku coraz bardziej dawał mi się we znaki. Było mi niedobrze, ob-

lewały mnie fale gorąca, czułam ogromne pragnienie i nie mogłam powstrzymać cichych jęków, które wydobywały się z moich ust. W którymś momencie usiadłam, ale zdałam sobie sprawę, że jestem wjaskini sama. Było za ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć, ale nie słyszałam oddechów ani Patana, ani konia. Czyżby wyszli? Słyszałam, jak szczękają mi zęby, chociaż było mi gorąco; drżałam. Teraz Patan pojawił się nagle z rozżarzoną gałązką.

- Wody - szepnęłam po angielsku.

Nie dostałam wody. Czułam rwanie w lewym barku, słyszałam odgłos rozrywanego materiału i dziwne skwierczenie. Potem miałam wrażenie, że zaatakowała mnie jakaś dzika bestia; krzyczałam, gdy szarpała i rozrywała moje ciało. Żarzący się punkcik pojaśniał, aż w końcu całkowicie zatraciłam się w blasku.

- Obudź się, musisz się obudzić - usłyszałam i otworzyłam oczy.

Wjaskini tlił się maleńki stosik gałązek, który rzucał mizerne światło.

- Nadchodzi ranek. Muszę iść, nim znów zaczną cię szukać - powiedział Patan.

Patrzyłam na niego, nie mogąc się skupić - częściowo z powodu niemal całkowitej ciemności, ale także dlatego, że miałam jakieś problemy z oczami. Zamrugałam, czując, że ciężą mi powieki. W końcu same opadły.

- Usunąłem ci kulę z lewego barku. Rana wkrótce się zagoi.

Znów otworzyłam oczy i odwróciłam głowę, żeby spojrzeć na bark. Niewielki ruch wywołał falę świeżego bólu, ale tym razem nie był już tak silny jak poprzedniego wieczoru. Na nagim barku z przodu i z tyłu miałam rozsmarowany okład z gliny. Rękaw sukni zwisał podarty na paski.

- Chodź - powiedział i wyprowadził konia z pieczary. Poszłam za nim, potykając się co krok. Dotknęłam dłonią twarzy i poczułam zaschniętą krew. Słońce jeszcze nie wzeszło, ale niebo już szarzało.

- Idź tą drogą - powiedział. - Wtedy na pewno twoi ludzie cię znajdą. Z gracją wskoczył na grzbiet konia.

- Niedaleko stąd jest strumień. Dotrzesz do niego, jeśli będziesz szła w stronę słońca.

Skinęłam głową. Była tak ciężka, że nawet kiwnięcie sprawiło mi ogromną trudność, a potem zaczęłam oddalać się od Patana. Miałam problemy z utrzymaniem równowagi.

- Nie tam! - zawołał. - Spójrz, skąd dochodzi jasność na niebie. Idziesz w złym kierunku.

Obejrzałam się na niego, próbując zrozumieć, w którą stronę mam iść, ale w szarym brzasku Patan i jego koń lśnili, jakby znajdowali się pod wodą albo otaczały ich płomienie. Nagle zobaczyłam, że ziemia wychodzi mi na spotkanie. Brzęczało mi w uszach. Wszystko ucichło. Patan uniósł mnie i posadził na koniu z taką łatwością, jakbym była dzieckiem. Spódnica owinęła się wokół moich ud, gdy rozstawiłam szeroko nogi, pragnąc objąć nimi nagi grzbiet czarnego araba. Chwyciłam się kurczowo gęstej grzywy konia, czując pod palcami szorstkie włosie. Patan wskoczył na grzbiet za mną; otoczył mnie ramionami i mimo protestów konia przywiązał sznurem, żebym nie spadła.

Kilka godzin jechaliśmy równomiernym galopem. Ucieszyłam się, że Patan odwozi mnie z powrotem do Simli. Uspokoiliam się i mrużyłam oczy w promieniach wschodzącego słońca, które zabarwiało wszystko na pomarańczowo. Miałam lekką, a jednocześnie ciężką głowę, próbowałam powstrzymać brodę, która opadała mi na piersi. Najgorsze było pragnienie; miałam zbyt suchy język, żeby oblizać wargi. Próbowałam nie myśleć o Faith, nie zastanawiać się, ile będzie na ten temat gadania w Simli, nie chciałam również wracać myślami do Charlesa, który oddał mi żonę pod opiekę. Kiedy zdałam sobie sprawę, że mam wilgotny policzek, zdenerwowałam się z powodu swojej słabości. Zacisnęłam mocno powieki. Byłaś w gorszych tarapatach, Linny. W o wiele gorszych - pomyślałam.

Kiedy się zatrzymaliśmy, otworzyłam oczy, sądząc, że zobaczę znajome okolice Simli. Patan spuścił mnie z konia, trzymając mnie za prawą rękę. Nogi uginały się pode mną, czułam między nimi bolesne odrętwienie.

Byliśmy w długiej dolinie z bujną roślinnością. Wszędzie kwitły kwiaty: dzikie tulipany, czerwone i białe irysy, żółta gryka. Nad otaczającym polaną sosnowym lasem wznosiły się gigantyczne, potężne góry. Przed nami lśnił w słońcu wąski pasek rzeki. Podeszłam niepewnie kilka kroków, opadłam na kolana na błotnistym brzegu, nabrałam prawą ręką trochę wody i uniosłam ją do ust. Gdy się napiłam, ochlapałam obolały nos i zmyłam zaschniętą krew. Potem nachyliłam się jeszcze bardziej, chcąc zmyć z barku popękane błoto.

- Zostaw to - powiedział Patan, podprowadzając konia do wody. - Dzięki temu rana szybciej się zagoi.

Gdy koń pił, Patan kucnął i nachlapał sobie wodę do ust, potem na szyję, twarz i włosy. Po chwili odwrócił się na wschód i pomodlił się tak samo jak nasi muzułmańscy służący.

- Jak blisko stąd do Simli? - spytałam, gdy wstał.

W głębi duszy wiedziałam, że gdybyśmy jechali w stronę miasta, już dawno powinniśmy w nim być. Z drugiej strony z powodu gorączki i przejmującego bólu w barku wszystko mogło mi się pomieszać; może jechaliśmy od niedawna.

- Nie wiozę cię do Simli.

Nie byłam w stanie dłużej stać. Przykucnęłam na twardym, wilgotnym brzegu.

- Faith - szepnęłam, kołysząc się do przodu i do tyłu z zamkniętymi oczami. - Och Faith, co ja zrobiłam?

Usiadłam i podciągnęłam kolana pod brodę. Objęłam je rękami i oparłam na nich czoło.

- W takim razie gdzie jesteśmy? - spytałam, nie odrywając wzroku od ziemi.

- W pobliżu Kulu.

- Kulu.

Próbowałam sobie przypomnieć, czy słyszałam tę nazwę, ale moja wiedza na temat północnych Indii ograniczała się do Himalajów, granicy północno-zachodniej i granicy afgańskiej.

- Jesteśmy jeszcze w Indiach? - szepnęłam.

- Tak - odparł. - Kulu leży na granicy z Kaszmirem.

- Dlaczego mnie tu przywiozłeś?

Spojrzałam na niego. Słońce świeciło zza jego głowy, dlatego nie widziałam twarzy.

Gdy nie odpowiedział, ponownie opuściłam głowę na kolana.

- Wiem, że mówiłaś prawdę - zapewnił mnie. - Słyszałem twój głos, gdy byłem więźniem *ferenghi* w czerwonych mundurach, ale zrozumiałem tylko część twoich słów. - Urwał, jakby nie był pewien, czy kontynuować. - Próbowalaś uratować mi życie, więc nie mogłem pozwolić, żebyś umarła.

Przez chwilę milczał.

- Nie mogłem ryzykować i próbować podwieźć cię bliżej Simli, ale też nie chciałem cię zostawić, bo byłaś za słaba i nie poradziłabyś sobie. Potrzebujesz wody i masz świeżą ranę po kuli. Gdyby *ferenghi* cię nie znaleźli... - Musnął palcami grzywę konia. - Zabieram cię do Kaszmiru, do mojego obozowiska. Będziemy jechać dwa dni. W obozowisku nabierzesz sił, a potem ktoś bezpiecznie odprowadzi cię do Simli.

Byłam zdezorientowana. Co wiedziałam o Kaszmirze? Czytałam o wysokich, pokrytych śniegiem górach, o gęstych sosnowych lasach.

- Nie masz się czego bać - powiedział.

- Nie boję się - zapewniłam głośniejszym głosem niż było potrzebne.

Pochylił głowę, potem podprowadził konia do zarośli i przywiązał go do krzaka. Słyszałam, że nazywał swojego rumaka Rasool. Patan zniknął w krzakach, a po jakimś czasie wrócił z grzybami i jagodami w podartej koszuli. Zauważyłam, że koszula została uszyta maleńkimi, starannymi ściegami. Narzucił na nią kolorową haftowaną kamizelkę. Wokół talii miał owiniętą grubą szarą tkaną z czerwonej i pomarańczowej włóczki. Nogawki czarnych spodni wtykał w wysokie skórzane buty.

Początkowo nie chciałam przyjąć garści grzybów i jagód, które wyciągnął w moją stronę. Miał brudne i połamane paznokcie, ręce pokryte bliznami. Potem zaczęłam się zastanawiać, dlaczego miałabym mu odmawiać? Co mi da arogancja i upór? Nic. Lepiej zrobię, jeśli napiję się wody i zjem, co mi proponuje - jestem przecież daleko od wszystkiego,

co bezpieczne i znajome, mam gorączkę i jestem obolała. Wszelkie nadzieje na powrót do Simli wiązały się z Patanem.

Kiedy odpoczęliśmy, a Rasool najadł się trawy, Patan objął mnie w pasie i z powrotem posadził na końskim grzbiecie. Tym razem jechał przede mną. Gdy Rasool ruszył galopem, chwyciłam rękami szarfę Patana, żeby nie spaść. Pędziliśmy przez pola i łagodne wzgórza. Próbowałam rozglądać się dookoła, ale musiałam skupić uwagę na ściskaniu kolanami boków konia i kurczowym trzymaniu się szarfy. Moją skórę od grzbietu Rasoola dzielił tylko cienki materiał sukni, jeszcze cieńsza halka i pantalony. Co kilka godzin zatrzymywaliśmy się przy jakimś strumieniu, żeby się napić, a ja próbowałam się wtedy trochę przejść, chcąc rozprostować zesztywniałe nogi. Zdecydowanie odmawiały mi posłuszeństwa, co gorsza, miałam obtarte wewnętrzne strony ud. Raz poszłam nawet w krzaki i ulżyłam sobie, nie zwracając uwagi na bliskość Patana.

W końcu zatrzymaliśmy się na skraju ciemnego lasu. Patan wskazał brodą wysokie drzewo iglaste. Usiadłam pod nim. Mech był miękki i chłodny. Wsparałam na nim głowę i zasnęłam. Kiedy się obudziłam, na niewielkiej polanie płonęło ognisko. Patan podszedł do mnie z małym parującym ptakiem na patyku. Był dobrze upieczony, miał brązową, chrupiącą skórę.

- Co to jest? - spytałam.

Powiedział jakieś słowo w hindi, ale go nie zrozumiałam. Obok ogniska zobaczyłam drugiego ptaka; był jeszcze nie-oskubany, a jego szyję oplatała jakaś winorośl.

- Przypomina trochę kuropatkę - powiedziałam po angielsku.

Wbiłam zęby w smakowite mięso, duszcz zaplamił mi wargi i spłynął po brodzie. Przeżuwałam pokarm i obserwowałam, jak Patan z ogromną wprawą oporządza drugiego ptaka. Nim upiekł go na ogniu, poczułam, że znów zapadam w sen, chociaż wciąż jeszcze trzymałam w palcach resztki kolacji.

Obudziłam się w nocy. Miałam zesztywniałe nogi, męczyły mnie skurcze, ale ból w barku wyraźnie zelżał. Patan siedział przy płonącym ognisku. Tańczące płomienie uwydatniały jego kości policzkowe i pełne



wargi. Sprawiał wrażenie, jakby mi się przyglądał, ale może tylko mi się wydawało. Może jedynie wpatrywał się w ogień, a w jego oczach odbijał się blask płomieni.

Znów zapadłam w głęboki sen, a gdy się obudziłam następnego ranka, nie byłam pewna, czy w nocy mój współtowarzysz rzeczywiście na mnie patrzył, czy tylko to mi się śniło.

Kiedy poruszyłam się w promieniach, które przesączały się między gałęziami, czułam, że boli mnie każda kość, każdy mięsień. Po ognisku nie było śladu, w pobliżu nie widziałam również ani Patana, ani Rasoola. Przerazona, próbowałam wstać.

Nogi się pode mną ugięły, więc żeby nie upaść, chwyciłam się kurczowo najbliższej gałązki. Kiedy w końcu zdołałam się wyprostować, poruszyłam lewą ręką. Mogłam ją unieść. Sprawdziłam skorupę gliny na tylnej części barku. Poczułam, że mam tam ranę, ale gdy spojrzałam na palce, nie było na nich świeżej krwi.

Moje ubranie było tak samo sztywne jak moje ciało; powbijały się w nie igły sosnowe i brud, a przód sukni był zabrudzony tłuszczem z kuropatwy. Próbowałam zrobić kilka kroków. Miałam obolałe i posiniaczone wewnętrzne strony ud, reformy żenująco przylegały do ciała, jakbym dostała okresu, ale było na niego za wcześnie. Przykucnęłam za iglakiem, żeby opróżnić pęcherz. Wtedy zdałam sobie sprawę, że bielizna wraz z wyschniętą ropą i krwią przykleiła się do mojego ciała, a skóra na udach jest pokaleczona od jazdy na końskim grzbiecie.

Wyszłam na polanę w chwili, gdy spomiędzy drzew wyłonił się Patan z Rasoolem.

- Za dwie godziny dotrzemy do wody - powiedział - a do obozowiska powinniśmy dojechać tuż przed nastaniem nocy.

Przytaknęłam i zrobiłam parę kroków w jego stronę. Przyglądał mi się uważnie, gdy szłam z szeroko rozstawionymi nogami. Nie patrzyłam na niego, gdy sadzał mnie na Rasoola.

Kiedy dojechaliliśmy do strumienia, nie wiedziałam, czy będę w stanie pokonać jeszcze choćby najmniejszy odcinek drogi. Ześlizgnęłam się z

konia i podeszłam do wody. Gdy kucalam na brzegu, żeby się napić, mimo woli jęknęłam.

Patan nie odezwał się słowem, ale kiedy mnie podniósł, a ja szeroko rozstawiłam nogi i ciężko opadłam na twarde, szeroki grzbiet Rasoola, poczułam, że pękają mi pęcherze na udach. Po twarzy popłynęły mi łzy. Bezwiednie wciągnęłam powietrze w płuca i próbowałam się poprawić.

- Dlaczego płaczesz? — spytał. - Czyżby bark bardziej cię bolał?

- To nie bark - odparłam.

- Możesz jechać?

Przytaknęłam, on jednak nadal bacznie przyglądał się mojej twarzy.

- Przed nami jeszcze wiele godzin drogi. Jeśli nie możesz jechać, musisz mi o tym powiedzieć.

Przytaknęłam.

- Czy mogłabym się...siedzieć... - Nie znałam w hindi słowa, które oznaczałoby damskie siodło, dlatego przełożyłam jedną nogę i skrzywiłam się. - Byłoby mi o wiele lepiej, gdybym mogła jechać w takiej pozycji.

Spojrzał na niebo.

- Nie posuwamy się do przodu tak szybko, jak bym chciał, bo Rasool ma dodatkowe obciążenie. Przed nami trudna droga. Nie wytrzymasz w takiej pozycji bez siodła. Po co ci ono?

Zsunęłam się z konia. Nie chciałam się przyznawać ciemnoskóremu, obcemu mężczyźnie, że mam między nogami otwarte rany. Przyłożyłam ręce do pleców.

- Nigdy nie jeździłam jak mężczyzna. W ten sposób ocieram sobie skórę.

Burknął coś niewyraźnie.

- W takim razie usiądź na tym. - Odwiązał swoją szarfę. - Nie ma czasu na skromność typową dla *ferenghi* - powiedział, gdy jeszcze się wahałam.

Wcisnął mi szarfę do ręki.

Złożyłam ją w gruby tobolek, podciągnęłam z tyłu spódnicę i wsadziłam wełnianą poduszeczkę do reform. Potem kiwnęłam głową, a on z powrotem posadził mnie na grzbiecie Rasoola.

Szarfa wystarczająco skutecznie ochraniała moje obtarte uda, by zmniejszyć dyskomfort, ale teraz musiałam obejmować Patana w pasie. Rasool przez jakiś czas pędził do przodu galopem. Potem na de błękitnego nieba ujrzałam szczyt góry. Jej podnóże ukryte było we mgle. Coraz wyraźniej widziałam gigantyczne jodły i skały. Rasool musiał zwolnić kroku, gdy coraz wyżej i wyżej piał się po zboczu góry. Powietrze wyraźnie się ochłodziło. Potem nastąpił ostry spadek. Gdy koń powoli schodził w dół, stawiał sztywno nogi, a spod jego kopyt obsuwały się grudki ziemi i staczały się przed nami. Z powodu grawitacji byłam zmuszona przytulić się do pleców Patana. Dotknęłam policzkiem jego kamizelki. Poczułam bicie jego serca, a także zapach potu, sosny, konia i świeżego powietrza.

Na równinie przed nami roztaczała się szachownica pól, za nimi wznosiły się następne wzgórza o postrzępionych i nieregularnych szczytach. W końcu Patan zatrzymał Rasoola. Znajdowaliśmy się nad jeziorem otoczonym przez wierzby.

Słysząc było szum wody; gdy się odwróciłam, na odległym krańcu jeziora ujrzałam niewielki wodospad. Pod nogami Rasoola były całe łąny poziomek i orlików. Na zachodnim niebie, za zielonymi pasmami gór, widać było pomarańczowe i różowe smugi. Przypomniały mi się szkice i obrazy Szwajcarii z książki, którą widziałam w Lyceum. Było jeszcze piękniej niż w Simli. Mój podziw dla cudownej scenerii dumiały nieco myśli o Faith. Przez cały czas towarzyszył mi ból spowodowany jej stratą.

- Dziś nie pojedziemy już dalej - powiedział Patan, wyrywając mnie z zamyślenia. - Zostało nam jeszcze kilka godzin zbyt niebezpiecznej drogi, żeby pokonywać ją w ciemności.

Opadłam na ziemię.

- Zaczekaj tu - powiedział i oddalił się.

Wypiłam trochę wody, wymyłam ręce i twarz, a potem stałam, patrząc na odbicie falistych wzgórz w nieruchomej tafli. Patan wrócił po jakimś czasie z damskim siodłem ozdobionym kolcami jeżozwierza, pomiędzy których wyczesał palcami liście i gałązki. Doszłam do wniosku, że często musi obozować w tym miejscu i widocznie ma gdzieś jakiś schowek.

Gdy Rasool pał się w wysokiej trawie, Patan kucnął obok mnie i wyjął z torby czyste białe płótno. Rozwinął je i pokazał mi kawałek białego sera. Potem wyjął nóż, przekroił ser na połówki i jedną część dał mnie. Swoją zjadł w kilku kęsach.

- Wodajest tu płytka i pełno w niej ryb. Pozbieraj owoce - powiedział.

Wyjął z torby mały kawałek skóry, złożony i przewiązany rzemykiem. Dał mi go, wymawiając słowo, którego nie zrozumiałam. Spojrzałam na niego pytającym wzrokiem, wtedy wyjął mi pakunek z ręki, rozwinął go i pokazał czarną, błyszczącą substancję.

- To maść dla koni. Na rany. Użyj jej. Pokazał na mój bark, a potem na spódnicę.

Wzięłam maść i poszłam w zarośla. Tworzyły je niskie drzewa. Niektóre kwitły, z innych zwisały już drobne owoce. Wjednym miejscu, na zakolu jeziora, gałęzie wierzb o delikatnych młodych listkach zwisały tuż nad niemal przejrzystą, szafirową wodą. Stanowiły naturalny parawan.

Obejrzałam się na Patana, ale przez koronę liści widać było jedynie błysk jego białej koszuli, kiedy krzątał się przy brzegu. Zimna woda obliżywała cichutko trawiasty brzeg. Rozpięłam i zdjęłam sukienkę. Tak była pokryta kurzem, krwią i duszczem, że nikt nie rozpoznałby w niej świeżutkiej, błękitnej jak barwinek kreacji, którą włożyłam na siebie dwa dni temu. Czułam się tak, jakby od tamtej chwili minęły całe wieki. Stojąc w koszulce i halce, rozpięłam wysokie skórzane buty i zdjęłam je z westchnieniem ulgi. Zrolowałam pończochy i je zsunęłam. Poruszyłam palcami u nóg w ciepłym mule, rozkoszując się jego delikatnością.

W rozczochranych włosach wciąż jeszcze miałam kilka szpilek. Wyjęłam je i rzuciłam na piasek. Potem zdjęłam pantalo-ny i usunęłam pas Patana. Stojąc na skraju wody, czułam na skórze ciepły podmuch wiatru. Nad moją głową śmignął zimorodek. Zabrałam suknię, pantalo-ny oraz pończochy i weszłam do wody. Dno jeziora było pokryte drobnymi, śliskimi kamyczkami i delikatnym mułem. Szłam powoli. Nigdy w życiu nie kąpałam się w jeziorze ani w rzece. Dotychczas miałam do dyspozycji tylko tyle wody, ile mieściło się w miedzianej albo cynkowej wannie. Weszłam głębiej. Halka pływała wokół mnie, tworząc biały okrąg. Zimna woda cudownie ochładzała moje pęcherze. Gdy znalazłam się w wodzie głębokiej do pasa, zostawiłam sukienkę, pantalo-ny i pończochy na powierzchni wody, po czym zanurzyłam głowę i zaczęłam rozplątywać włosy. Następnie najlepiej, jak mogłam, wyczyściłam suknię. To samo zrobiłam z pończochami. Najwięcej problemów miałam z pantalo-nami, które były sztywne od krwi i ropy.

W końcu wróciłam na brzeg i wytarłam się szarfą Patana. Rozsmarowałam maść na popękanej skorupie na barku i otwartych, świeżych ranach. Potem wykręciłam suknię i z trudem włożyłam ją na mokrą koszulę i halkę. Zabrałam pantalo-ny, pończochy, buty, szarfę i maść, po czym wróciłam tam, skąd przyszłam.

Patan stał na niewielkim głazie, który sterczał z wody kilka metrów od brzegu, i szybko poruszał swoim wąskim nożem. U jego stóp leżało kilka ryb. Ze zdziwieniem obserwowałam, jak podniósł nad głowę zaostrzony kij i z wielką siłą dźgnął nim w wodę. Po chwili na jego końcu miotała

się duża ryba. Patan zabrał ją ze sobą i zaczął przeskakiwać po kamieniach w stronę brzegu.

Odłożyłam to, co niosłam, i podeszłam do niskich gałęzi drzew, które pokryte były drobnymi, twardymi śliwkami. Zebrałam je w fałdy sukni.

Patan kucnął na kamieniu i pofiletował zabite ryby, zakopując głowy i ogony w piasku. Gdy się zbliżyłam, zerknął na mnie, a potem patrzył, jak wytrząsam zawartość spódnicy. Śliwki potoczyły się po piasku jak kamienie. Sięgnął do swojego buta i wyjął z niego krzemień. Ułożył na kamieniu kilka suchych gałązek i trochę włosów, po czym rozpałił ogień.

Po jakimś czasie ze smakiem jedliśmy smażone ryby, śliwki i małe, słodkie poziomki, które rosły wokół nas. Gdy zapadła ciemność, rozpałił ognisko. Wyciągnęłam stopy w stronę ciepła, a potem włożyłam suche pończochy i buty.

Nagle zdałam sobie sprawę, że nie jestem już głodna ani brudna. Bark wciąż jeszcze trochę pulsował, zwłaszcza gdy gwałtowniej poruszyłam ręką, ale za to niemal bez problemów mogłam siedzieć, opierając się na jednym biodrze. Prawdziwy ból sprawiała myśli o Faith. To moja wina. Gdyby nie ja, Faith nadal by żyła. Siedziałyby w ogrodzie Constancia Cottage i czytała. To ja umożliwiłam urzeczywistnienie jej planu. Miałam w życiu jedną prawdziwą przyjaciółkę i teraz ją zawiodłam.

Wokół nas rozbrzmiewały dziwne dźwięki: drobna zwierzyna przemykała wśród krzaków, coś większego krążyło dookoła. Z oddali dobiegło ostrzegawcze szczekanie szakala, a nad naszymi głowami rozległ się krzyk jakiegoś nocnego ptaka. Rasool niespokojnie zarżał, a wtedy Patan powiedział do niego coś w języku, którego nie rozumiałam. Koń natychmiast się uspokoił.

- Co to zajęzyk? - spytałam.

- Język moich ludzi. Pasztu.

- Ale znasz też hindi.

- **Znam** hindi, farsi, uzbecki, urdu, kaszmirski, bengalski i pendżabski. Dużo podróżuję. Potrafię się dogadać z każdym, kogo spotkam - oprócz **ferenghi**, cudzoziemców. Postanowiłem nie uczyć się ich języka, chociaż niektóre słowa same utkwily mi w pamięci. - Uniósł oczy znad



ognia. Opuchlizna wokół oka i wargi powoli znikąca. - Mam na myśli twój język.

Znów spuścił wzrok, ale nim to zrobił, dostrzegłam w jego oczach coś dziwnego. Coś, co mnie uspokoiło. Czyżbym przez cały czas żyła w strachu, chociaż wmawiałam sobie, że się nie boję? Nie wiem. W ciągu dwóch dni tak dużo przeżyłam: dręczące myśli o Faith, gorączkę, ból i niepewność, co się ze mną stanie. Co czułam teraz? Gdybym mogła przestać się zadrećcać, że wcześniej nie dostrzegłam, jak bardzo zrozpaczona jest Faith, że nie zauważyłam jej coraz gorszego nastroju, że nie potraktowałam poważniej faktu, iż nie potrafiła się przystosować! Och, gdyby tak było, mogłabym powiedzieć, że naprawdę niczego się nie boję.

Patan znów się odezwał, nie odrywając oczu od ognia.

- Od dawna jesteś w Indiach? Sądząc po twojej znajomości języka, chyba dość długo.

Próbował prowadzić ze mną normalną rozmowę. Jakie to dziwne - pomyślałam. Siedzę przy ognisku niedaleko Kaszmiru i rozmawiam z dzikim człowiekiem z północno-zachodniej granicy.

- Wcale nie tak długo. Półtora roku. Skinął głową.

Chciałam przestać myśleć o Faith, szukałam sposobu, żeby skierować myśli gdzie indziej.

- Opowiedz mi coś o swoich ludziach... Pasztunach. Wrzucił kij do ognia, gałąź zasyczała.

- Właściwie nie ma o czym opowiadać. Jestem Ghilzaiem. Moje plemię składa się z mniej więcej stu pięćdziesięciu osób. Mieszkamy na ziemi niczyjej; lata spędzamy w chłodzie gór, a zimy w bezpiecznych dolinach.

Urwał i spojrzał na mnie.

- Moi ludzie kochają muzykę, poezję i zabawę. Prowadzimy prostackie życie.

Słowa te zadawały kłam temu, co zobaczyłam w jego oczach. W tym człowieku nie było nic prostackiego. Podciągnęłam kolana, objęłam je rękami i oparłam na nich brodę.

- Co robiłeś w Simli?

- Łapię na równinach dzikie konie. Gdy przyzwyczają się do uzdy, sprzedaję je albo wymieniam, czasami w Kabulu, czasami w Peszawarze albo dalej na południe, w Indiach. Sprzedałem niewielkie stado w Rajpurze i przejeżdżałem przez Simłę w drodze powrotnej po następne konie, które czekają w Kaszmirze.

- Przykro mi — powiedziała, co było zaskoczeniem dla mnie samej.

- Przykro ci? Dlaczego?

- Że tak źle cię potraktowano. To było niesprawiedliwe. Przytaknął i zrobił ponurą minę.

- Jak uciekłeś?

- Wyprowadzili mnie na zewnątrz, żeby mnie powiesić. Nabrałam gwałtownie powietrza w płuca.

- Rasool stał w pobliżu. Wydałem dźwięk, który mój koń dobrze zna. Wykonał mój rozkaz. Uwolnił się z pęt i zaatakował kopytami ludzi, którzy mnie trzymali. Rozpierzchli się na boki, wtedy wskoczyłem na grzbiet swojego rumaka. Nim się pozbierali i wsiedli na swoje konie, miałem nad nimi sporą przewagę.

Cisza.

- Masz jakąś rodzinę? - spytałam.

- Tak, dwie żony.

Pochylił się, by wrzucić świeże patyki do ognia, ukrywając przy tym twarz za włosami. Potem się wyprostował i odsłonił oblicze.

- Obie dały mi po synu. Allah mi pobłogosławił.

Niespodziewanie na jego ustach pojawił się uśmiech, prawdopodobnie na myśl o dzieciach. W tym momencie jego twarz się zmieniła, wydawał się młodszy, niż początkowo myślałam. Miał białe, równe zęby. Uśmiech zniknął z jego twarzy tak samo szybko, jak się pojawił.

Wydawało się, że nie mamy sobie już nic więcej do powiedzenia. Patrzyliśmy w ogień. W końcu to ja się odezwałam.

- Mam męża.

Nie wiem, dlaczego postanowiłam mu to powiedzieć.

- To oczywiste - stwierdził.

Położył się na boku i oparł głowę na dłoni. Przez gorące powietrze widziałam tylko zarys jego sylwetki, wzniesienie bioder i proste ramię.

- Jak masz na imię?! - zawołałam przez ognisko.
- Daoud - powiedział. - Jestem wodzem plemienia Ghil-zaiów.

## Rozdział 29

W pierwszych promieniach poranka wsparłam się na łokciu i spojrzałam przez dące się resztki ogniska. Daoud spał. Jego długie rzęsy odcinały się na de policzków. Twarz była ocieniona zarostem.

Położyłam się na plecach i patrzyłam w zabarwione na różowo niebo. W pewnej chwili dotarł do mnie zapach kwiatów, więc wciągnęłam go głęboko w płuca. Usłyszawszy szelest liści w zwisających gałęziach *chenaru*, zaczęłam obserwować parę złocistych ptaków, które czyściły piórka, skubiąc je cienkimi, ostrymi dziobkami, a potem nastroszyły się i podziwiałały nawzajem. Zaraz jednak odleciały, łopocząc skrzydłami. Dopiero po chwili zorientowałam się, co je spłoszyło: na gałęzi usiadł ogromny dzięcioł zielony z czerwoną głową. Spoglądał na mnie z góry, jakby cały świat należał do niego. Potem długim, ostrym dziobem zaatakował twardą gałąź. Gdy rozległo się stukanie, Daoud poderwał się na równe nogi z nożem w ręku. Rozejrzał się niespokojnie po obozowisku.

Usiadłam i bez słowa wskazałam mu gałąź. Na widok błyszczącej, ruchliwej głowy ptaka Patan wzruszył ramionami, jakby był poirytowany, po czym wetknął nóż za pas spodni. Odwrócił się i spojrzał na spokojną wodę, jednym szybkim ruchem zdjął przez głowę kamizelkę i koszulę, a następnie podszedł do brzegu jeziora. Zaskoczona, zauważyłam, że jego skóra w osłoniętych miejscach jest jaśniejsza, niż przypuszczałam. Zwilżył twarz, włosy, klatkę piersiową i ramiona, potem otrząsnął się, rozpryskując na wszystkie strony drobne perełki wody. Wyjął nóż i ogolił się nim. Potem poszedł wzdłuż brzegu i zniknął za skałami. Schowałam się za tym samym koronkowym parawanem, za którym kąpałam się poprzedniego dnia, i ostrożnie dotknęłam swoich pęcherzy. Zdażyły w nocy

powysychać. Włożyłam reformy, umyłam twarz i rozczesałam palcami włosy.

Stojąc obok czarnego kręgu po ognisku, zjedliśmy resztę ryb i kilka garści poziomek. Potem Daoud przysypał piaskiem popiół i gwizdnął na Rasoola. Wskazał na swoją szarfę, którą zostawiłam obok jego sakwy. Wzięłam ją, złożyłam w grubą podkładkę i tym razem bez zastanowienia wsunęłam w reformy.

Wsadził mnie na Rasoola. Przez kilka godzin jechaliśmy szybko u podnóża gór, mijając liczne doliny. W pewnej chwili zdałam sobie sprawę, że moje piersi są przyciśnięte do pleców Daouda, a pod rękami czuję jego biodra. Nic nadzwyczajnego, niemniej było to dziwne uczucie.

Po jakimś czasie Daoud zarządził postój i pozwolił Rasoolowi napić się z niewielkiego stawu. Wtedy przyjrzałam się roztaczającej się przed nami dolinie. Był to prawdziwy raj. Wszędzie widziałam bujną roślinność i kwitnące kwiaty: małe błękitne goryczki i fioletowe fiołki walczyły o przestrzeń z większymi różnokolorowymi anemonami.

- Jesteśmy w Kaszmirze? - spytałam. Daoud przytaknął.

- Można go poznać po wyjątkowym pięknie - powiedział z pewną dumą. - Nieco dalej na północ zimy bywają długie i ciężkie. Kaszmir czeka na wiosnę jak jastrząb na zająca. Ciepła pora szybko mija, ale ten widok napawa otuchą nawet największych pesymistów. Co roku staram się być w Kaszmirze w czasie jego przebudzenia.

Wskazał niskie wzgórze.

- Za tymi drzewami jest mała kaszmirska osada. Są tam moi ludzie i konie. Tam cię zostawię.

Spojrzałam przed siebie. Gdy wyruszyliśmy w dalszą drogę, obejrzał się przez ramię i spytał:

- Jak cię zwa?

- Linny - odparłam, po czym dodałam: - Linny Gow.

Powiedziałam to bez zastanowienia; dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że użyłam starego nazwiska. Tutaj byłam zdecydowanie Linny

Gow, nie Linny Smallpiece ani Linny Ingram. Nie musiałam nikogo udawać. Po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna mogłam być sobą.

Powtórzył to:

- Linny Gow.

W jego ustach moje imię i nazwisko brzmiały jak muzyka.

W zagajniku przy małym strumieniu znajdowała się osada, na którą składały się czarne namioty i zagrody dla zwierząt zbudowane z kamienia z drewnianymi poręczami. Na jednym z największych ogrodzonych pastwisk było sporo majestatycznych koni, na mniejszych zobaczyłam pojedyncze klacze ze źrebakami. Po maleńkim placyku otoczonym nierównym kamiennym murkiem spacerowała wyleniąta, opuchnięta, kulejąca koza, która głośno i żałośnie zabeczała, gdy Rasool pokonywał rwący strumień.

Byliśmy na miejscu. Potrzebowaliśmy czterech dni, żeby dojechać do osady - zaledwie czterech dni, mimo to trafiliśmy do całkiem innego świata niż ten, który zostawiłam za sobą w Simli. Zaczęłam szybciej oddychać. Co mnie tutaj czeka? Czy tutejsi ludzie nie potraktują mnie z wrogością? Czy w razie konieczności Daoud mnie obroni?

Gdy koń przeszedł na drugi brzeg, dookoła zebrali się mężczyźni, kobiety i dzieci. Wszyscy rozmawiali i pokazywali nas palcami. Mężczyźni byli ubrani podobnie jak Daoud - mieli na sobie ciemne spodnie, białe koszule i haftowane kamizelki; niektórzy nosili też białe turbany. Wszyscy byli dobrze zbudowani. Kilku miało zadbane, niewielkie wąsiki. Kobiety mogły się poszczycić nieco jaśniejszą karnacją, w kolorze toffi, i jasnobrązowymi oczami. Czarne jak smoła włosy spletały w pojedynczy warkocz. Miały na sobie długie, luźne bawełniane tuniki uszyte z jasnobłękitnego, zielonego, śliwkowego lub karmazynowego materiału, pod spodem sięgające do łydek suknie i czarne spodnie zebrane w kostkach. Ich buty odsłaniały palce, a wykonane zostały z miękkiego, haftowanego materiału. Większość nosiła małe ciemnoniebieskie czapeczki z luźnym welonem. U jednych welon opadał na plecy, u innych osłaniał twarz. Wszystkie miały mnóstwo srebrnych ozdób - kolczyków i bransoletek na

nadgarstkach oraz kostkach, a także tak typowych dla muzułmańskich mężatek kółek w nosie.

Gdy Daoud zsiadł z konia, wyciągnął w górę ręce i pomógł mi stanąć na ziemi. Wtedy wśród ludzi rozległ się pomruk. Jakiś chłopczyk na rękach matki powtarzał coś piskliwym głosem, póki ostro go nie uciszyła. Nie wiedziałam, gdzie patrzeć. Nikt się do mnie nie uśmiechnął ani nie zrobił kroku w moją stronę. Wszyscy spoglądali w milczeniu. Spuściłam wzrok, zdając sobie sprawę, jak dziwnie muszę dla nich wyglądać. Bałam się na nich patrzeć, by nie zauważyli, że czuję się nieswojo.

Daoud coś powiedział, wtedy uniosłam głowę. Podbiegł do nas dwunasto-, może trzynastoletni chłopiec w muślinowych bryczesach, koszuli, haftowanej kamizelce i czapce. Daoud oddał mu uzdę Rasoola. Młody *syce* z dumą odprowadził ogromnego konia. Gdy chłopiec się oddalił, do Daouda podszedł starszy mężczyzna. Powitali się i objęli. Mężczyzna o coś spytał, wtedy, oczy całego tłumu przesunęły się na mnie, by po chwili wrócić na Daouda. Długo coś mówił; oczy gapiów wróciły na mnie. Bardzo chciałam wiedzieć, co im powiedział; modliłam się, żeby mnie nie odtrącili. Gdy coś dodał, zauważyłam, że niektóre kobiety przytakują z pewną dozą życzliwości. Wtedy moje obawy się rozwiały.

W końcu Daoud spojrzał na mnie.

- Kobiety się tobą zajmą - powiedział w hindi. - To żony *gujarów* — kaszmirskich pasterzy. Ich mężczyźni wyprowadzili kozy na pastwiska, a one obecnie karmią moich ludzi. Ma-hayno! - zawołał.

Do przodu wystąpiła młoda kobieta z niemowlęciem w nosidełku na biodrze.

- Mahayna zna kilka dialektów indyjskich - powiedział, po czym zwrócił się do niej w hindi. - Ta *ferenghi* ma na imię Linny. Zna hindi. Nakarm ją, daj jej coś do włożenia na grzbiet i pozwól jej zamieszkać w swoim namiocie.

Oddalił się długimi krokami, a jego ludzie poszli za nim.

Dziewczyna o ciemnośliwkowych oczach kiwnęła głową, potem odwróciła się do reszty kobiet i przez chwilę z nimi rozmawiała. Dwudziestoosobowa grupka wysunęła się do przodu. Zacisnęłam pięści i zarumie-



niłam się, gdy dotykały mojej sukni, włosów i skóry. Rozmawiały między sobą półgłosem, jakbym była zwierzęciem, które próbowały ocenić. Doszłam do wniosku, że prawdopodobnie nigdy wcześniej nie widziały białej kobiety.

W końcu dziewczyna o imieniu Mahayna uciszyła je. Niemowlę w jej nosidełku chyba nie skończyło roczku. Miało ogromne oczy i czarne, wijące się włoski. Mahayna stała przede mną tak długo, że aż zaczęło mi walić serce. Czyżby na coś czekała? W końcu wyciągnęłam rękę i ujęłam pulchne paluszki malca.

- Masz śliczne dziecko - powiedziałam. - Chłopiec czy dziewczynka?

Wyraźnie zrobiłam to, co powinnam: Mahayna uśmiechnęła się promiennie, ukazując przy tym braki w uzębieniu.

- Chłopczyk. Moje pierwsze żyjące dziecko. Odpowiedziałam uśmiechem.

- Synek. Masz szczęście. Allah ci pobłogosławił. Niemowlę bawiło się moimi palcami. Instynktownie pocałowałam jego maleńką piąstkę.

Mahayna z uśmiechem powiedziała coś kobietom. Wszystkie zaczęły kiwać głowami i posapywać, jakby mówiły: „Aha, aha”, zgadzając się z moim komentarzem. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki dookoła mnie pojawiły się niemowlęta: wyłoniły się spod tunik, z nosidełek na biodrach albo na plecach. Miały na sobie maleńkie muślinowe kaftaniki haftowane w kwiaty i miniaturowe czapeczki również ozdobione haftem. Po kolei wysuwano w moją stronę maleństwa i kilkuletnie dzieci.

- Dotknij ich, proszę - powiedziała Mahayna. - Podobno dotyk kobiety *ferenghi* przynosi szczęście.

Posłusznie głaskałam pokryte meszkiem policzki i rączki z dołeczkami, uśmiechając się do każdej matki. Poklepywałam główki i ramionka małych dzieci, które tańczyły wokół moich nóg. Potem Mahayna wzięła mnie za rękę i poprowadziła do małego namiotu. Tłum kobiet i dzieci poszedł za nami. Mahayna kazała mi usiąść, aja ostrożnie przycupnęłam w trawie obok połatanego namiotu. Wszystkie kobiety również usiadły.

Mahayna wpadła do namiotu i wypadła z niego, potem przez chwilę mieszała w zniszczonym kociołku, który wisiał nad ogniskiem. Za pomo-

cą wyszczerbionego kubka naląła do glinianej miseczki potrawę, w której rozpoznałam *dal*, po czym podała mi z eleganckim ukłonem. Zaczesałam palcami włosy do tyłu, a potem nabrałam do ust zmiażdżonej soczewicy i ryżu. Mahayna bacznie mi się przyglądała. Uniosłam głowę i powiedziałam:

- Bardzo dobre, Mahayno. Lubię *dal*.

Zaklaskała w dłonie. Kobiety uśmiechały się i rozmawiały cicho, póki nie skończyłam.

Gdy oddałam Mahaynie pustą miskę, gwizdnęła z zaskoczenia. Kobiety wstały, zabrały dzieci i w milczeniu rozeszły się do namiotów. Mahayna usadowiła synka w trawie obok mnie.

- Jeśli będą tu siedzieć i patrzeć na ciebie, nie zrobią, co do nich należy - oznajmiła, po czym wskazała na dziecko, które przyglądało mi się z wielkim namaszczeniem. - Ma na imię Habib - powiedziała i zerknęła na mój brzuch. - Ile masz dzieci?

- Żadnego - odparłam.

Na twarzy Mahayny pojawił się smutek.

- Jak Allah pomoże, wkrótce będziesz miała - powiedziała z pełnym przekonaniem.

Na jej twarzy pojawił się promienny uśmiech, gdy mieszała cienkim kijkiem parujący *dalvt* czarnym kociołku.

- Kobiety wodza łatwo rodzą synów.

Początkowo myślałam, że źle zrozumiałam jej nieporadny hindi. Gdy jednak dalej mieszała potrawę, potrząsnęłam głową.

- Nie jestem kobietą Daouda.

Niemowlę załkało i zaczęło raczkować w stronę matki. Ma-hayna rozchyliła przód tuniki, wyjęła nabrzmiąłą pierś i posadziła malca na kolanach. Ssał z zadowoleniem, bawiąc się wiszącym kolczykiem matki.

- Mieszkam tu od trzech lat, odkąd wyszłam za mąż. Co roku w naszej osadzie pojawia się Daoud i jego ludzie. Słyszałam o nim wiele opowieści.

Uśmiechnęła się, ale nie był to tak szczery uśmiech jak poprzednio. Teraz było w nim więcej kpiny.

- Wkrótce wrócę do swoich - zapewniłam ją.

Z niechęcią myślałam o próbie wyjaśnienia jej, co się stało.

- Nie zostanę tutaj na długo - dodałam.

Przytaknęła, spoglądając z góry na synka. Powieki malca stały się ciężkie, ssał coraz wolniej.

- Twój mąż jest... przy kozach? Wskazała na góry.

- Niektórzy co tydzień schodzą po świeże jedzenie. O tej porze roku kozy wydają na świat młode, dlatego mężczyźni muszą przy nich być, bo inaczej dużo by padło.

Patrzyłam, jak delikatnie układa dziecko w otwartym namiocie.

- Co w waszej osadzie robią ludzie Daouda?

- Trzymają tu konie, które udało im się złapać, i przygotowują je na sprzedaż, chyba że postanowią część ich zabrać z powrotem do Afganistanu. Karmimy ich i pierzemy im ubrania. Nie tykają nas, gdyż inaczej nie mogłybyśmy się nimi zajmować. Nasi mężowie by na to nie pozwolili, a tak otrzymują od Pasztunów hojne wynagrodzenie za naszą pracę.

Trudno mi było uwierzyć, że jest od trzech lat mężatką.

- Ile masz lat, Mahayno? - spytałam.

- Szesnaście, ale wysoko mnie tu cenią - powiedziała z prostotą i szczerością. - Nie urodziłam się wśród **gujarów**. Mój mąż kupił mnie w Salenbadzie w pobliżu Srinagaru, największego miasta Kaszmiru. Mój ojciec był wykształconym i bardzo mądrym człowiekiem. Uczył moich braci języków Indii, a przy okazji i ja skorzystałam. Zbił mnie, gdy odkrył, że podsłuchuję, bo nie miałam prawa uczyć się, tak jak moi bracia, ale to mi się podobało, więc nadal wbrew jego woli ukrywałam się i uczyłam. Jest takie powiedzenie: „Inteligencja córki w niczym nie pomaga ojcu”. W moim przypadku było jednak inaczej. Dzięki temu ojciec mógł zażądać za mnie wyższej ceny. Teraz przydają się **gujarom**. Korzystają z mojej wiedzy, kiedy trzeba się porozumieć z ludźmi, którzy przybywają z południa kupić nasze kozy.

Wyciągnęła z namiotu wypleciony do połowy koszyk i zaczęła przetykać twardą trzcinę, tworząc zawiły wzór.

- Wkrótce - powiedziała - będziesz miała świeże ubranie. Kobiety się tym zajmą.

Patrzyłam, jak w jej sprawnych rękach koszyk nabiera kształtu.

Po godzinie do namiotu Mahayny przyszły cztery kobiety z naręczami ubrań. Zaczęły ciągnąć mnie za ręce, głośno mówiąc. Mahayna zdjęła z ognia kociołek z *dałem* i zawiesiła na jego miejscu ogromną blaszankę z wodą. Z fałdów tuniki wyjęła dwa woreczki, z jednego z nich wysypała na dłoń kilka maleńkich listków i wrzuciła do wody. Jakby na umówiony znak wszystkie kobiety usiadły z wdziękiem na trawie i wyjęły z tunik kubki. Widocznie ich tuniki pełniły jednocześnie funkcję damskich torebek.

Każda z kobiet zanurzyła swój kubek we wrzącej wodzie, wtedy Mahayna rozwiązała drugi woreczek i podała go zebranym. Przyniosła mi kubek parującego bursztynowego płynu, a ja, naśladując pozostałe panie, wsypałam do niego szczyptę białej substancji, która - jak ślę okazało - była zwyczajnym cukrem. Tak samo jak pozostałe kobiety dmuchałam na gorący płyn, a potem ostrożnie zamieszałam go palcem wskazującym prawej ręki. W końcu upiłam łyk. Była to nieznaną mi, ale wspaniałą mieszanką słodkiej herbaty. Tak więc piłyśmy, a kobiety rozmawiały cicho między sobą. Przypomniałam sobie spotkania Angielek przy herbacie w Kalkucie i Simli, potem byłam zła, że pozwoliłam moim myślom wrócić do tych miejsc. Ostatnią herbatkę piłam w Simli z Faith. Zostałyśmy obie zaproszone przez młodą kobietę z Lucknow. Faith wyglądała ślicznie w brzoskwińowej sukni z krepy. Przypomniałam sobie, jak delikatna filiżanka stuknęła o spodeczek.

Musiałam postawić kubek na trawie i przez chwilę głęboko poodychać, żeby uciszyć ból po śmierci Faith. Od kilku godzin o nim zapomniałam.

Gdy kobiety skończyły pić herbatę, wytarły kubki w skraj swoich tunik i włożyły je z powrotem między fałdy materiału, poruszył się Habib. Mahayna wzięła go na ręce i zaprosiła kobiety do namiotu. Poszłam z nimi. Gdy tylko wszystkie tam się znalazłyśmy, najstarsza z kobiet zaczęła szarpać guziki mojej sukni.

- Musisz im dać swoje ubranie - powiedziała Mahayna. -Pozszywają je i wypiorą.

Zdjęłam suknię, buty i pończochy. Zostałam tylko w koszuli i halce. Mahayna wzięła w palce delikatną koronkę, która wyraźnie bardzo jej się podobała. Inne kobiety czekały z wyciągniętymi rękami, aż zdejmę halkę, a w końcu i koszulkę. Bez słowa patrzyły na to, co zostało z mojej lewej piersi, na okropną bliznę, niksące ślady szpicruty Somersa na plecach i nową ranę w barku. Chciałam im wszystko wyjaśnić, więc wskazałam na pierś.

- Nóż w rękę złego człowieka - powiedziałam. Pokiwały głowami, a gdy Mahayna przedumaczyła moje słowa, zaczęły powtarzać „aj-aj”. Powoli odwróciłam się do nich plecami:

- Zły humor mojego męża.

Znów pokiwały głowami. Wtedy dotknęłam barku:

- Pomyłka moich ludzi. To było takie proste.

Potem zdjęłam pantalon i wyjęłam z nich szarfę Daouda. Jęknęłam, gdy pękły świeże bąble.

- Pamiątka po wielkim koniu - wyjaśniłam.

Kobiety cmokały ze współczuciem. Przez chwilę jedna z nich grzebała w tunice, z której wyjęła małą muślinową torebkę.

- Daoud dał mi lekarstwo dla konia - dodałam, próbując zdobyć się na nonszalancję, gdy stałam naga wśród tylu kobiet.

Zobaczyłam, że kilka z nich spogląda na moje włosy łonowe, pokazuje je, a potem porównuje ich kolor z kolorem włosów na głowie.

- Layla ma podobne lekarstwo, ale dla ludzi - powiedziała Mahayna.

Skinęła na kobietę o haczykowatym nosie, która posypała moje rany jakimiś sproszkowanymi ziołami, przez cały czas mówiąc coś do Mahayny.

- Layla robi lekarstwa z kwiatów i liści z lasu - dumaczyła Mahayna.

- Jeśli trzy razy w ciągu dnia posypie się rany tym pudrem, szybko się zagoją. Ale nie możesz ich zawijać, wtedy powietrze szybciej je wysuszy i zamknie.

Layla podała mi torebkę, a ja położyłam dłoń na jej ramieniu i podziękowałam.

Przyniosły mi ubranie. Jedna z kobiet podała mi obszerne czarne spodnie. Włożyłam je i mocno zacisnęłam sznurek w pasie. Druga narzuciła mi przez głowę burgundową tunikę, którą nazywały *kami*. Jeszcze inna pięknie rzeźbionym grzebieniem z pachnącego drewna rozczesywała mi włosy. W końcu najstarsza z nich z twarzą brzydtko naznaczoną ospą klękała przede mną, trzymając w ręku dwie pary niskich botków. Wsunęłam nagie stopy w miękką, ciepłą irchę, a wtedy ona zasznurowała mi buty. Obok postawiła mocne sandały z wywiniętymi do góry czubkami.

- Drugie buty wkładaj na pierwsze, gdy będziesz wychodziła z namiotu. Uchronią cię przed ostrymi kamieniami - powiedziała Mahayna.

Gdy byłam już ubrana od stóp do głów, Mahayna z Habi-bem w nosidełku pogrzebała w ogromnym worku na ubrania w rogu namiotu, a potem podeszła do mnie z parą delikatnie zdobionych, długich srebrnych kolczyków. Przypomniałam sobie krzykliwą biżuterię, którą nosiłam na Paradise Street, i prawdziwe klejnoty, które Somers dawał mi w Kalkucie - zazwyczaj po wcześniejszych awanturach. Mimo to szczerzy gest Mahayny sprawił, że łzy napłynęły mi do oczu. Wzięłam kolczyki i srebrnymi klipsami przypięłam je do uszu.

- Dziękuję - powiedziałam.

Mahayna uśmiechnęła się promiennie, ponownie ukazując braki w uzębieniu.

- Teraz wyglądasz jak jedna z nas - oznajmiła. - Przynajmniej od tyłu.

Powtórzyła swój żart przyjaciółkom. Wszystkie roześmiały się, a mały Habib zaklaskał w rączki.

Kiedy później tego samego dnia szłam z Mahayną do strumienia po wodę, zobaczyłam Daouda. Siedział z dwoma mężczyznami, a gdy przechodziłyśmy, wszyscy trzej zamilkli. Kiwnął do mnie głową, a ja zauważyłam, że bacznie przygląda się mojej zmienionej powierzchowności. Niespodziewanie poczułam wypieki na twarzy. Stało się coś, czego nie rozumiałam i co koniecznie musiałam przemyśleć. Na jego widok ogar-



nęło mnie dziwne uczucie, którego doznałam po raz pierwszy, gdy dotykałam piersiami jego pleców, a dłonie trzymałam na jego biodrach. Oczywiście, wiecie, co to takiego, i prawdopodobnie śmiejecie się ze mnie. Jak dziewczyna, która znała setki mężczyzn, może być aż tak naiwna? Ale było to dla mnie coś zupełnie nowego, interesująco podniecającego, a jednocześnie żenującego.

Noc przespałam na miękkich kocach w namiocie Mahayny. Było ciepło, więc rozchyliłyśmy poły wejścia. Od czasu do czasu z daleka dobiegało szczekanie; może to psy obozowe polowały na pobliskich wzgórzach. W pewnym momencie dotarły do mnie senne pomruki Habiba, a po krótkim szeleście zostały zastąpione ssaniem i połykaniem. Potem w namiocie znów zapadła cisza. Pomyślałam o Faith i o tym, co przeżyje Charles, gdy dostanie wiadomość o żonie. Zdałam sobie sprawę, że od opuszczenia Simli prawie nie myślałam o So-mersie. Czy uzna mnie za zmarłą, gdy wieść dotrze do Kalkuty, nim wrócę do Simli? Pewnie będzie udawał żal i rozpacz, ale w głębi duszy może się nawet ucieszy. Czy nie byłoby mu lepiej, gdybym naprawdę nie żyła? Dostał już spadek i teraz przez wiele lat mógł odgrywać rolę pogrążonego w żalu wdowca, wzbudzając szacunek i współczucie pozostałych Anglików. „Biedny człowiek - będą szeptać matrony, zasłaniając usta rękawiczkami. Widać tak bardzo kochał swoją dziwną żoneczkę, że wciąż nie może się otrząsnąć po jej śmierci. Postanowił zostać sam; nigdy nie uda nam się zainteresować go inną kobietą. Żadna nie dorówna jego zmarłej żonie". Jakże będzie zawiedziony, gdy usłyszy, że wróciłam do Simli! Jak bardzo będzie żałował, że to nie ja zginęłam na zimnych skałach!

Odwróciłam się twarzą do otwartego wejścia do namiotu. Zaczęłam myśleć o Daoudzie. Przed oczami pojawił mi się obraz jego nagich pleców, gdy stał na skraju wody, wygląd ud, kiedy przyciskał je do konia. Przypomniałam sobie jego zapach. Znów pojawiło się to dziwne uczucie.

Następnego dnia pomogłam Mahaynie przygotować jedzenie i trochę pobawiłam się z Habibem. Nie widziałam Daouda. Z pewnością wkrótce przyjdzie mi powiedzieć, kiedy i jak wrócę do Simli.

Późnym popołudniem, łaskocząc długim źdźbłem trawy podwójny podbródek malca, nagle zauważyłam, że jakiś cień przesłania mi słońce. Uniosłam głowę i ujrzałam niskiego, krępego mężczyznę w brudnej niebieskiej koszuli oraz jeszcze brudniejszych spodniach. Miał stosunkowo długą brodę, a jego poorana zmarszczkami twarz i zaczerwienione oczy świadczyły o ogromnym zmęczeniu. Spojrzał z góry na mnie i Habiba, a potem wsunął głowę do pustego namiotu.

- Mahayno! - krzyknął, chociaż wyraźnie było widać, że namiot jest pusty.

Przestraszony Habib rozplakał się, więc wzięłam go na ręce i przytuliłam.

- Nosi wodę ze strumienia! - zawołałam, próbując przekrzyczeć płacz dziecka.

Mężczyzna patrzył na mnie bez wyrazu. Nie znał hindi.

Zrzucił z ramienia torbę. Kobieta, która siedziała przy wejściu do najbliższego namiotu, coś do niego zawołała. Odwrócił się do mnie plecami, skrzyżował ręce na potężnej klatce piersiowej i stanął z rozstawionymi nogami, ze wzrokiem utkwionym w odległym strumieniu.

Po chwili pojawiła się Mahayna. Szła niepewnym krokiem, z gracją równoważąc gliniany dzban na głowie, żeby nie kapiała z niego woda. Zobaczywszy mężczyznę, odstawiła dzbanek i wyciągnęła rączki po Habiba.

- To mój mąż, Bhosla - wyjaśniła zadyszana. - Nie schodził z gór od dwóch tygodni.

Usadowiła dziecko w nosidełku, a potem pochyliła się nad czarnym kociołkiem i napełniła sporą miskę gulaszem z grzybów i ryb. Ze spuszczonej oczami podała miskę mężowi, który coś warknął, kiwając głową w moją stronę. Odpowiedziała cicho, dziwnie bezbarwnym tonem, jakiego nigdy nie używała wobec mnie ani innych kobiet.

Jej odpowiedź zadowoliła Bhosłę. Kucnął, wciąż obrócony plecami do mnie, i pospiesznie dokończył gulasz.

Poczułam się trochę niezręcznie.

- Idę na spacer - powiedziałam, widząc wyraz twarzy Ma-hayny.

Niemal bezwiednie przytaknęła, wyjmując stos brudnych ubrań z za-  
błoconej torby Bhosli i rzucając je na ziemię. Czułam od nich zapach po-  
tu.

Szłam między namiotami, póki nie dotarłam do niskiego kamiennego  
murku, za którym była chora koza. Oparłam się o ogrodzenie i patrzyłam  
na pogryzione przez pchły zwierzę. Niedaleko mnie na murek wdrapał się  
chłopczyk, który gwizdał na kozę. Był to wysoki, wibrujący odgłos;  
przypominał dźwięk fletu i krzyk jastrzębia. Za każdym razem, kiedy  
chłopiec gwizdał, koza kierowała na niego tępe, siarkowe oczy i z dziw-  
nym posłuszeństwem obracała się najpierw w jedną, potem w drugą stro-  
nę.

Spojrzałam na otaczające dolinę zielone wzgórza. Za nimi były góry.  
Chmury ukrywały ośnieżone szczyty. Czy to te same góry, które widzia-  
łam z Simli, tylko od innej strony? Pomyślałam o znakach na mapie, któ-  
rą studiowałam w Kalkucie, i zastanawiałam się, gdzie jestem i czy kie-  
dykolwiek się tego dowiem.

Zostawiłam chłopca z kozą i poszłam ścieżką wśród traw w miejsce,  
gdzie bawiła się grupka dzieci. Gonili one chłopca lub dziewczynkę, a  
gdy ofiara została schwytana, reszta nie żałowała jej mocnych klapsów i  
szarpania za włosy. Okrutni mali oprawcy głośno się śmiali. Z tego, co  
widziałam, chodziło o to, żeby ofiara oddała oprawcom, znosząc tyle bó-  
lu, ile to możliwe. Mały chłopiec w końcu rozplakał się ze złości, gdy  
znacznie większa od niego dziewczynka dźgnęła go palcem w oko. Wte-  
dy cała grupka zostawiła go samego. Zbojkotowany malec przycisnął  
piąstkę do oka, wskoczył na skałę i usiadł, by ze smutkiem obserwować  
dalszą zabawę z pewnej odległości.

Gdy dzieci w końcu rozpierzchły się we wszystkich kierunkach, po-  
szłam w stronę wybiegów dla koni. Na jednym pasło się całe stado, na  
środku drugiego stał samotny mężczyzna z batem w jednym ręku i sznu-  
rem w drugim. Trzymał na uwięzi wierzgającego złocistego ogiera o  
oszałałych oczach. Odwrócił się. Wtedy zobaczyłam, że to Daoud.

Miał na sobie tylko spodnie i wysokie skórzane buty. Jego piersi i ple-  
cy były mokre od ciężkiej pracy w ciepłych promieniach słońca. Związał

rzemykiem włosy, ukazując zdecydowany zarys szczęki i długą, gładką szyję. Do uszu włożył większe kółka. Wydawał głośne polecenia prychnącemu zwierzęciu, z którym pracował. Twarz Daouda się zmieniła; opuchlizna niemal całkiem zniknęła, chociaż nadal widać było przebarwienie. Niemniej na jego obliczu nie było widać zmęczenia ani pogardy, którą dostrzegłam, gdy ciągnięto go do więzienia w Simli. Nie zostało też ani śladu czujności, jaką widziałam niemal przez całą drogę do Kaszmiru. Teraz jego twarz była pełna radości i poczucia swobody.

Nie widział mnie. Oparłam rękę na szorstkiej belce i patrzyłam. W końcu koń się zmęczył i stanął z opuszczoną głową, dmuchając głośno przez nozdrza. Daoud podszedł do niego, cicho coś mrużąc, i położył dłoń na szerokim czole

zwierzęcia. Wierzchowiec gwałtownie poderwał łeb, w powietrze pofrunęła piana, ale nie uciekł. Daoud popatrzył mu w oczy i wydał długi, niski gwizd, taki sam jak wtedy, gdy Ra-sool drżał w pieczarze ze strachu. Ogier ponownie opuścił łeb. Daoud zrobił to samo i oparł czoło na czole konia. Przynajmniej przez minutę stali w bezruchu. Potem Daoud uniósł głowę, delikatnie szarpnął za sznur i poszedł w stronę bramy. Koń ruszył za nim. Przy bramie Daoud zdjął uzdę, a zwierzę wpadło na wybieg, wierzgając z radości kopytami jak młode źrebię. Daoud obserwował je z uśmiechem, potem otworzył skórzaną zasuwę i wyszedł przez bramę. Kiedy z powrotem zamknął wybieg, zawołałam:

- Wspaniały koń! Spojrzał w moją stronę.
- Tak - odparł.

Coś zamarło w jego twarzy. Żałowałam, że stało się to przeze mnie. Obwiązał wokół ręki rzemyki swojego bata.

- Dobrze cię traktują?

Przytaknęłam. Chciałam coś powiedzieć, ale byłam zażenowana i niespokojna.

- Masz na sobie strój *bakriwar*, kobiety od kóz, ale twoja twarz i twoje włosy... nie pasują do reszty - powiedział.

Ruszył w moją stronę. Zaczęłam szybciej oddychać, ale przeszedł obok mnie, i jedynie poczułam zapach przepoczonej skóry.

- Zaczekaj! - zawołałam. Odwrócił się.

- Kiedy... kiedy będę mogła wrócić?

Daoud przez chwilę obserwował obłoki nad moją głową, nim w końcu się odezwał.

- Jeśli chcesz, możesz wyjechać jutro.

Czekał na odpowiedź. Dlaczego nie powiedziałam: „Tak, tak, muszę jechać tak szybko, jak to możliwe, choćby jutro”?

- Chociaż to mogłoby okazać się trudne - dodał niespodziewanie.

- Dlaczego?

Bawił się miękką skórą bata. Obserwowałam jego dłonie.

- Mamy tylko jednego chłopca, który mógłby przeprowadzić cię przez góry, a jest naszym jedynym *syce*. Podróż do Simli i z powrotem zajmie siedem, osiem dni. Tyle potrzebujemy, żeby dokończyć tresurę koni, nim zabierzemy je do Pe-szawaru. W tym czasie *syce* dużo może nam pomóc. Obiecałem ci, że wrócisz do Simli. Jeśli bardzo chcesz, załatwię...

- Nie.

Dlaczego powiedziałam: „Nie”?

Na twarzy Daouda pojawiła się ciekawość. Uderzał batem o udo.

- Czy twoi ludzie nie zaczną się o ciebie martwić? Nie odpowiedziałam.

- To znaczy, że chcesz zostać w naszym obozowisku trochę dłużej, tak? O to ci chodzi?

Odpowiedziałam dopiero po jakichś dziesięciu sekundach.

- Tak. O to mi chodzi.

- W takim razie niech tak będzie - powiedział Daoud. Odwrócił się na pięcie i odszedł, zostawiając mnie samą w nieruchomym, wonnym, późnopołudniowym kaszmir-skim powietrzu.

Patrząc w ślad za nim, doszłam do wniosku, że wiem, jak nazywa się uczucie, którego dotychczas nie zaznałam.

Pożądanie.

## Rozdział 30

Jak dotychczas wyobrażałam sobie pożądanie? Chyba myślałam, że jest to coś maleńkiego, co błyskawicznie rośnie i usadawia się w tej części ciała, której należy użyć, a po zaspokojeniu potrzeb wraca bezmyślnie do swojej kryjówki. Nie wiedziałam, że potrafi żyć własnym życiem, że wypełnia każdą komórkę ciała, że oddziałuje nawet na mózg. Że nie sposób odsunąć go na bok. Potrzebowałam niemal dwudziestu lat, żeby to odkryć, chociaż przez siedem z nich - od jedenastego do siedemnastego roku życia — byłam wykorzystywana do zaspokajania tego pożądania. Nie, byłam wykorzystywana do zaspokajania żądzy, a dopiero gdy obudziło się we mnie pożądanie, zrozumiałam, na czym polega różnica między jednym a drugim.

Jak to się stało, że tak późno pojęłam, co przyciąga do siebie mężczyzn i kobiety, mężczyzn i mężczyzn, kobiety i kobiety? Dlaczego rozumiałam to za sprawą mężczyzny, który się mną nie interesował; co więcej, w żaden sposób nie był związany ani ze mną, ani z moim dotychczasowym życiem? Może to właśnie nieprzewidywalność pożądania sprawia, że jego ofiary są tak bezradne?

Daoud zostawił mnie samą na wybiegu. Nigdy mnie nie dotknął, jedynie kilkakrotnie chwycił mój nadgarstek, gdy sadzał mnie na Rasoola. Co prawda wyjął mi kulę z barku, a potem delikatnie rozsmarował wokół rany jakąś glinę, ale byłam wtedy nieprzytomna. Prawdopodobnie przeklinał chwilę, gdy pod wpływem impulsu zabrał mnie z łąki, zwłaszcza że potem znacznie opóźniłam jego podróż do Kaszmiru. Zauważyłam, że Daoud był lekko zaskoczony, gdy pojawiłam się w stroju *bakriwar*. Zdawałam sobie sprawę, że byłam dla niego mała i słaba w porównaniu z silnymi, zaradnymi kobietami, które mnie teraz otaczały. Widząc jednak, jak końcówka bata zwija się wokół długich palców Daouda, i patrząc na



jego żebra... czułam, że gdzieś w moim wnętrzu pojawia się coś, co sprawia, że staję się miękka i uległa.

Długo stałam przy wybiegu, zastanawiając się nad swoimi uczuciami, aż w końcu zrobiło się chłodniej, a ja poczułam zapach gotowanego mięsa. Ślina napłynęła mi do ust. Nie pamiętałam, kiedy po raz ostatni byłam tak głodna. Dobrze znałam uczucie ssania w pustym żołądku, ale to było coś innego. Nie mogłam się doczekać, kiedy coś zjem, a oczekiwanie było czymś nowym i miłym, tęsknotą, która doskonale pasowała do moich burzliwych uczuć.

Wróciłam do namiotu Mahayny. Siedziała przy ogniu, trzymając przy ustach Habiba małą miseczkę.

- Bhosla śpi - powiedziała. - Od wielu dni nie jadł porządnego posiłku ani nie spał. Sporo kóz rozchorowało się po zjedzeniu liści trującego krzaka, a Bhosla i pozostali mężczyźni dzień i noc próbowali je ratować.

- Czy jest zły, że zamieszkałam w twoim namiocie? Czułam, że tłumaczy zachowanie męża.

- Nie - odparła Mahayna, tak gwałtownie potrząsając głową, że długie kolczyki uderzały o jej policzki. - Jesteś mile widzianym gościem - zapewniła, ale nie spojrzała na mnie, tylko przez cały czas wygrzebywała coś z włosków malca. - Zjedz coś - zaproponowała po chwili.

Wyjęłam palcami z kociołka kawałek mięsa i rozerwałam go na kawałki, czując, że sos i tłuszcz spływają mi po brodzie. Jadłam i jadłam, jakbym była nienasycona.

- Przyglądałam się, jak Daoud tresuje konie - powiedziałam, gdy skończyłam.

Wytarłam ręce w trawę, a potem musnęłam opuszkiem palca powierzchnię rytej srebrnej bransoletki, którą Mahayna dała mi do założenia tego ranka. Przypomniałam sobie pot na gładkiej klatce piersiowej Daouda. Bardzo chciałam położyć na niej dłoń i poczuć ją pod palcami.

Mahayna coś niewyraźnie mruknęła... Wydawało mi się, że jest rozbawiona. Spojrzałam na nią.

- Myślę, że do niego pójdziesz - powiedziała. Potrząsnęłam głową i poczułam, że moje kolczyki dotykają

policzków. Przed chwilą dokładnie to samo robiła Mahayna. Zarumieniłam się.

- Dlaczego tak mówisz? On jest wodzem plemienia, a ja tylko *ferenghi*. Daoud ma dwie żony, a ja męża.

Mahayna wzruszyła ramionami.

- Twój mąż nie dał ci dzieci. Poza tym cię bije. To wystarczający powód, żeby szukać pociechy gdzie indziej.

Powiedziała to w swoim stylu - prosto i zwyczajnie. Jej zdaniem miałam prawo „szukać pociechy”. Nigdy wcześniej nie słyszałam, że zbliżenie fizyczne można traktować jako pocieszenie. Wiedziałam jedynie, że mężczyznom przynosi ulgę. Dla kobiet oznaczało dzieci. Ale pociechę? Spojrzałam na złocistą tarczę słońca, które chyliło się ku zachodowi. Mahayna i ja siedziałyśmy w milczeniu, aż niebo pociemniało. Gdy nakarmiła Habiba i ułożyła go do snu, weszłam za nią do namiotu i owinełam się kocem w zadoczonym, niewielkim pomieszczeniu. Mahayna usadowiła Habiba w jednym rogu w stosie skór, po czym położyła się między mną a Bhosłą.

W nocy obudziły mnie jakieś dziwne dźwięki, które przypominały zachrypnięte, rytmiczne szczekanie. Pomyślałam, że to psy obozowe. Gdy po chwili do moich uszu dotarł przydumiony szept, odwróciłam się i naciągnęłam koc na uszy. Następny szept był pełen złości i wyraźnie dochodził zza moich pleców. Wiedziałam, że to Mahayna. Potem znów rozległo się poburkiwanie. Wtedy zdałam sobie sprawę, że to nie psy, lecz Bhosła z Mahayna. Słuchałam, jak jego głośnie sapanie przybiera na sile, staje się coraz niecierpliwsze, w końcu zamienia się w coś dziwnego - ni to jęknięcie, ni to syk. Kilka chwil później usłyszałam przydumione pacnięcie.

Leżałam sztywno, uświadomiwszy sobie nagle, że położyłam się na zranionym barku, dlatego czuję ból. Przeszła mi ochota na sen. Odczekałam, aż wewnątrz namiotu wypełnił cichy, spokojny oddech Mahayny i chrapanie Bhosli, po czym odrzuciłam koc i bezszelestnie wyczołgałam się na zewnątrz.

Na bezchmurnym niebie świeciły miliony gwiazd. Swiatło księżyca tuż przed pełnią rozjaśniało zarysy obozowiska; podmuch wiatru, który przynosił zapach gór, poruszał liście wysokich brzoź i pełnych gracji topól. Zdjęłam skórzaną pokrywę z ogromnego glinianego dzbana na wodę obok namiotu, przemyłam rozpalone policzki i napiłam się.

Idąc przez obozowisko, zauważyłam, że nie tylko ja nie śpię. W jednym z namiotów płakało dziecko, z innego dochodziły męskie głosy. W trzecim usłyszałam przydumione łkanie. Z cienia bezszelestnie wyłonił się mały biały pies i zjeżył sierść, ale gdy obwąchał moje stopy, oddalił się z uniesionym ogonem, jakby chciał pokazać, jaki jest ważny. Dzięki akceptacji psa poczułam się tak, jakby właśnie tu był mój świat, a nie w Liverpoolu, Kalkucie czy nawet Simli.

W końcu dotarłam do wybiegu dla koni. Było to jedyne miejsce, które mnie pociągało. Przycisnęłam czoło do szorstkiego drewnianego ogrodzenia, przypominając sobie Daou-da i złocistego ogiera. Ogier i trzy mniejsze konie uniosły głowy.

- Daoud - szepnęłam.

Za moimi plecami usłyszałam szelest. Odwróciłam się.

Siedział na grubym kocu, oparty plecami o cedr himalajski o czerwonej korze. Obok leżał *chapan*. Czyżby słyszał, jak wymawiałam jego imię?

- Modlisz się za przyjaciółkę? - spytał.

Początkowo poczułam ulgę, potem wstyd. Moje myśli były niegodziwe i aż nazbyt ludzkie.

Stałam przy ogrodzeniu. Nie widziałam jego twarzy, jedynie buty i wyprostowane nogi.

- I tęsknisz za mężem - stwierdził.

Byłam zmęczona kłamstwami i tajemnicami.

- Owszem, brakuje mi przyjaciółki i serdecznie ją oplakuję. Jej śmierć... ciąży mi jak kamień. - Położyłam rękę na piersi.

Nie obchodzi mnie natomiast, czy jeszcze kiedykolwiek w życiu zobaczę męża - chciałam powiedzieć. Czułam coraz większą radość, że mogę wyrazić na głos moje myśli.

- Ale wcale nie tęsknię za mężem.

Nigdy za nikim nie tęskniłam, z wyjątkiem matki, dlatego w moim przekonaniu to uczucie wiązało się tylko z nią. Nigdy natomiast nie tęskniłam, żeby być blisko mężczyzny, żeby czuć jego zapach. Przysunęłam się bliżej do koca, chcąc zobaczyć twarz Daouda.

Nagle wstał. Cofnęłam się.

- Powinnaś wrócić do namiotu Mahayny - powiedział. Chciałam z nim zostać. Na to liczyłam, przychodząc na wybieg dla koni.

Skrzyżowałam ręce na piersiach. Drżałam, chociaż wcale nie było mi zimno.

- Dlaczego jesteś tutaj, a nie w namiocie? - spytałam.

- Wolę spać pod gołym niebem. Poza tym lubię być blisko koni - powiedział.

Cofnął się i podniósł *chapan*. Podał mi go.

Wzięłam go i zarzuciłam na ramiona. Był ciepły, tkany z wełny w miliardach kolorów, ciężki od zapachu dymu i ogniska.

- Lepiej już idź - powiedział, robiąc krok w moją stronę. Spojrzałam na niego.

- Idź, Linny Gow - powtórzył.

Słyszając swoje imię w jego ustach, poczułam się potwornie zakłopotana. Odwróciłam się i pobiegłam między porozrzucanymi namiotami, goniiona szczekaniem psów.

Nazajutrz pracowałam u boku Mahayny. Cieszyłam się z obecności Bhosli, bo przy nim Mahayna w ogóle ze mną nie rozmawiała. Nie miałam ochoty na żadne dyskusje, obawiając się, że powiem coś, czego do końca nie rozumiem, że w jakiś sposób zdradzę swoją tęsknotę.

W końcu Bhosla w czystym ubraniu, ze świeżą odzieżą w torbie i ogromną paczką jedzenia poszedł z powrotem w góry. Już po paru minutach Mahayna zaczęła nucić i beztrósco paplać. Odpowiadałam jej, ale ani na chwilę nie mogłam przestać myśleć o władzy, jaką miał nade mną Daoud.

Wszyscy mężczyźni, których dotychczas znałam, czegoś ode mnie chcieli: klienci - ulgi, Ram - pieniędzy, na które nie musiał zapracować, Shaker - miłości i rozładowania dumio-nego pożądanego, Somers - możliwości przejęcia spadku, ukrycia dewiacji i być może znęcania się. Wszyscy mnie wykorzystywali, dlatego byłam dla nich jedynie przedmiotem.

Daoud niczego nie chciał; sprawiał wrażenie, jakby niczego nie pragnął. Niczego ode mnie nie oczekiwał, o nic nie prosił. Nie musiałam odcinać się od swojej przeszłości, jak to było, odkąd Shaker wziął mnie do swojego domu przy White-field Lane. Najpierw w Liverpoolu, a potem w zafałszowanej miniaturze Anglii w Indiach męczyło mnie, że muszę się pilnować w obecności każdego napotkanego człowieka.

Tutaj, w Kaszmirze, w końcu mogłam być sobą. Nikogo, zwłaszcza Daouda, nie obchodziło, ani co ktoś mi zrobił, ani co ja komuś zrobiłam. Czułam, że się otwieram, a zardzewiałe zawiasy ustępują z dźwiękiem podobnym do trzepotania skrzydeł, gdy ptaki wzbijają się w przestworza.

Otworzyłam umysł, serce i ciało. Wiedziałam już, co zrobić. Wszystkie wcześniejsze decyzje wiązały się z poczuciem bezpieczeństwa, chęcią przetrwania, ukrycia się i zdobycia akceptacji. Wszystkie były trudne z powodu możliwych konsekwencji. Dzisiejsza decyzja przyszła mi z ogromną łatwością, nie dręczyły mnie żadne wątpliwości.

Następnego popołudnia poszłam na wybieg dla koni, żeby oddać Daoudowi jego *chapan* i zanieść mu jedzenie. Dając mu gulasz z królika z kociołka Mahayny i butelkę wody ze strumienia, czułam się silna - coś mu dawałam. Wziął miseczkę i usiadł na najwyższej belce ogrodzenia, żeby zjeść. Stałam obok i patrzyłam na konie. Kiedy skończył, opróżnił butelkę, odchylając głowę do tyłu. Patrzyłam, jak przełyka. Czułam się dziwnie, jakby w moim mózgu coś wesoło śpiewało.

Kiedy oddał mi miseczkę i butelkę, zeskoczył z płotu i spojrzał mi prosto w oczy.

- Dobrze się tu czujesz? - spytał. Przytaknęłam. Chciałam, żeby wymówił moje imię.

- Nie zachowujesz się jak typowa *ferenghi*. Głęboko wciągnęłam powietrze.

- Nie jestem taka jak inne *memsahib*. Tylko udaję. Nie należę do ich świata.

Oparł się łokciem o poręcz.

- Czemu to robisz?

- Dorastałam w innych warunkach niż one. Mam za sobą niechlubną przeszłość, którą muszę ukrywać.

Nie przestawał na mnie patrzeć. Koń zarżał, gdzieś w oddali krzyknęło jakieś dziecko.

- Dostrzegłem w twoich oczach smutek - wyznał. - Zastanawiałem się, co jest jego przyczyną. Tymczasem okazuje się, że to ciężar twojej przeszłości, prawda?

Jego oczy były prawie czarne.

- Tak. Nienawidzę tego. Wstydzę się swojej przeszłości. Tak łatwo było mu o wszystkim powiedzieć.



- Może nadeszła pora, żebyś wyłączyła stare światła. Pilnowanie, żeby płonęły, kosztuje cię zbyt dużo wysiłku. Zapal nowe. Dzisiaj nie liczy się, co kiedyś zrobiłaś, ale co teraz zrobisz. To jest nowe świadom.

Oboje patrzyliśmy na konie. Nagle zawstydyłam się i wyczułam w nim podobne uczucie. Dzięki temu zdobyłam się na odwagę i powiedziałam to, co chciałam powiedzieć.

- Czy dziś też będziesz spał pod gołym niebem? Odwrócił się do mnie. Zauważyłam, że przełknął ślinę.

Przytaknął.

- Przyjdę do ciebie - oświadczyłam.

Ponownie kiwnął głową. Serce waliło mi w piersi tak mocno, że aż poczułam dziwny, cudowny ból.

Tej nocy nauczyłam się więcej niż kiedykolwiek w życiu. Dostrzegłam coś, o czego istnieniu nie wiedziałam. Po raz pierwszy wspólnie osiągnęliśmy rozkosz zaledwie chwilę po położeniu się obok niego na kocu. Nastąpiło to gwałtownie, niemal z rozpaczą, ledwo zdążyliśmy odrzucić na bok ubrania. Potem, kiedy odpoczęliśmy, a nasze przyspieszone oddechy wróciły do normy, wyciągnął rękę i pogłaskał mnie po twarzy z delikatnością, którą aż trudno było sobie wyobrazić przy tak poranionych, stwardniałych dłoniach. Pod wpływem jego dotyku zadrżałam, czując jednocześnie tak ogromną radość i smutek, że aż się rozpłakałam. Nigdy nie płakałam, tymczasem teraz dotyk dłoni na twarzy doprowadził mnie do łez. Daoud bacznie mi się przyjrzał, a potem przycisnął moją moką twarz do piersi i położył dłoń na tyle mojej głowy. Wtedy przypomniały mi się słowa Mahayny o szukaniu pociechy.

Gdy łzy przestały mi płynąć, usiadłam w blasku księżyca i zdjęłam przez głowę *kami*. Bez słowa przyjrzał się mojej bliznie. Potem podniósł wzrok, spojrzął mi w oczy, po czym dotknął dłonią całej blizny i resztek mojej piersi; czułam żar jego ciała. Znow położył mnie na kocu. Tym razem kochaliśmy się cicho i powoli, spokojny rytm narastał we mnie, póki nie odciał całkowicie wszystkich dźwięków. Nie słyszałam już szelestu gałęzi drzew, pluskania strumienia za wybiegiem, szczekania i warczenia

psów, nocnego płaczu głodnych dzieci. Otaczała mnie całkowita cisza, jeśli nie liczyć oddechu Daouda. Ten dźwięk zapamiętam na zawsze.

Gdy już było po wszystkim, Daoud okrył nas oboje swoim *chapanem*, a ja zapadłam w półsen, czując obok siebie jego ciepłe ciało.

Przed świtem Daoud odgarnął włosy z mojej twarzy. Usiadłam. Podał mi *kami*.

- Może lepiej będzie, jeśli wrócisz do namiotu Mahayny -szepnął, a ja wiedziałam, że to nie było pytanie.

Uklękłam i zawiązałam sznurkiem spodnie.

- Jutro w ciągu dnia będę zajęty przy koniach. A w nocy... - owijał swoją szarfę wokół pasa - ...znów tu będę spał.

Skinęłam głową i wróciłam do namiotu Mahayny. Po drodze zatrzymałam się, żeby przyjrzeć się gwiazdom.

Przez dziesięć dni każdy nerw w moim ciele wydawał się napięty do granic możliwości. W ciągu dnia przynosiłam Da-oudowi jedzenie. Wtedy zostawiał swoje konie, szedł do strumienia się umyć i wracał zjeść. Czasami nie odzywaliśmy się do siebie ani słowem, kiedy indziej opowiadaliśmy sobie o swoim życiu. Powiedziałam mu wszystko o moim dzieciństwie, a on o swoim. Nigdy nie mówił o swoich żonach ani dzieciach; ja nie wspominałam o Somersie. Wieczorami przychodziłam do niego na kilka godzin, a przed świtem wracałam do namiotu Mahayny.

Jedenastego wieczoru on i jego ludzie zebrali się wokół ogniska. Dwóch z nich grało na bębnach obitych kozią skórą. Niektóre dzieci gwizdały melodie, a kilku mężczyzn tańczyło wokół płomieni. Kobiety siedziały z tyłu, w cieniu, i patrzyły. Habib miał gorączkę, więc Mahayna została w namiocie. Usiadłam z innymi kobietami.

Mężczyźni odłożyli bębny i zaczęli po kolei przemawiać. Nie rozumiałam ich, ale sądząc po intonacji wypowiedzianych słów, recytowali wiersze. Gdy przyszła kolej na Daouda, najpierw mówił w pasztu, a potem nagle przeszedł na hindi.

- Kiedy twoja twarz jest ukryta przede mną jak księżyc schowany w ciemną noc, wylewam gwiazdy łez, mimo to moja noc nadal jest ciemna na przekór lśniąącym gwiazdom - powiedział, patrząc w ogieri.

Potem wrócił do pasztu, a chwilę później pałeczkę przejął mężczyzna, który siedział obok niego.

Po słowach Daouda wypowiedzianych w języku, który rozumieliśmy tylko my dwoje, ogarnęły mnie takie emocje, że wszystko inne zniknęło, a w uszach dźwięczały mi usłyszane wersy. Z całego wieczoru zapamiętałam tylko je i kształt warg Daouda, kiedy recytował wiersz.

Kiedy godzinę po zapadnięciu ciszy w obozowisku dotarłam do wybiegu, wiał delikatny wiatr. Daoud czekał przy Ra-soolu.

- Jest piękna noc na konną przejażdżkę - powiedział. Tak jak podczas naszej podróży do Kaszmiru chwycił mnie

w pasie i posadził na miękkim kocu na grzbiecie Rasoola. Potem wskoczył za mnie, a rumak oddalił się od obozowiska.

- Pamiętasz naszą pierwszą wspólną jazdę? - spytałam.

- Tak.

Popędził ogiera. Rasool galopował beztróska między wzgórzami, które wyraźnie znał; jego kopyta stukały o ziemię. Potem Daoud zatrzymał konia i objął mnie. Czułam we włosach jego oddech. Po godzinnej, a może nawet nieco dłuższej przejażdżce wróciliśmy do obozowiska. Wciąż milczący Daoud zsiadł z konia, a ja się z niego ześlizgnęłam.

Po wpuszczeniu Rasoola na wybieg Daoud wziął mnie za rękę i poprowadził na rozłożony pod drzewem koc. Siedzieliśmy razem oparci plecami o pień, czułam jego rękę na swoim ramieniu.

- Skąd wzięłeś słowa, które powiedziałaś dzisiaj przy ognisku? - spytałam w końcu.

- Zostały napisane przez perskiego poetę Dżamiego - odparł. -Jego grób znajduje się w Heracie.

Potem położyliśmy się pod *chapanem*. Chociaż Daoud mnie nie dotykał, czułam ciepło jego ciała i zapach, który tak pokochałam: konia, skóry i dymu z ogniska. Po chwili zdałam sobie sprawę, że tym razem nie bę-

dziemy się kochać, więc oparłam głowę na jego klatce piersiowej i zasnęłam.

Kiedy się obudziłam, usłyszałam spokojny oddech Daouda. Usiadłam i podniosłam brzeg *chapanu*, ale Daoud chwycił mnie za rękę.

- Myślałam, że śpisz - szepnęłam.

Chociaż jego twarz była zaledwie kilka centymetrów od mojej, nie widziałam jej zbyt dobrze, zwłaszcza że oczy miał ukryte w cieniu.

- Wrócę do Mahayny.

- Zostań dziś ze mną na noc - poprosił w końcu. Potem się kochaliśmy. Kiedy poruszaliśmy się w zgodnym rytmie, po raz pierwszy, odkąd byliśmy razem, wymówił moje imię. Jego głos przypominał sdumiony krzyk tuż przy mojej szyi.

Otworzyłam oczy wystarczająco wcześnie, żeby ujrzeć piękno himalajskiego wschodu słońca, które oświeciło szczyty drzew i zamieniło niebo w szafirowy ocean. Daouda nie było na kocu, chociaż leżałam owinięta jego *chapanem*. Odrzuciłam go na bok, usiadłam, przeczesalam palcami włosy i zerknęłam na wybieg.

Wszystkie konie zniknęły.

Spojrzałam w stronę obozowiska. Jakaś kobieta kuciała przy ognisku i grzebała w kociołku. Wychudzony pies obozowy z podwiniętym pod siebie ogonem bez pośpiechu obwąchiwał końskie odchody i grzebał w resztkach wczorajszej kolacji.

Obozowisko wyglądało jakoś inaczej. Brakowało części namiotów. Zerwałam się na równe nogi i ściskając *chapan*, pobiegłam do namiotu Mahayny. Ubierała Habiba w czysty kaftanik.

- Gdzie oni są? - wysapałam. - Gdzie się podzieli Pasz-tunowie?

- Ich czas dobiegł końca - powiedziała Mahayna. - Dziś wczesnym rankiem wyruszyli w drogę powrotną na północ.

- Nie! - krzyknęłam tak głośno, że Habib spojrzał na mnie przerażony. - Daoud nie zostawiłby mnie bez słowa.

Mahayna położyła dłoń na głowce Habiba.

- Może powiedział ci to w jakiś inny sposób? Tak, że nie rozumiałaś? Bez słów? Mężczyźni często tak robią.

Spojrzałam w jej przenikliwe oczy, potem opadłam na ziemię, objęłam rękami kolana i ukryłam w nich twarz.

- Tak - przyznałam w końcu.

Przypomniałam sobie jego prośbę, żebym z nim została, jego milczenie, czułość i w końcu wzruszający sposób, w jaki wymówił moje imię. Oczywiście, był jeszcze wiersz.

- Tak, rzeczywiście mi powiedział.

- Przecież wiedziałaś, że kiedyś będzie musiał wyjechać, wiedziałaś również, że twoje miejsce jest wśród twoich ludzi -ciągnęła. - Widziałam, jak od przybycia tutaj powoli przeobrażałaś się w inną kobietę. Teraz już wiesz, czym jest prawdziwe szczęście. Musisz zakopać je głęboko w swojej duszy. Będiesz mogła do niego zaglądać, cieszyć się nim, mimo to już na zawsze musi pozostać małym ziarenkiem. Nie pozwól mu urosnąć, bo zagłuszy twoje uczucie do męża, a wtedy byłaby to jedynie droga do rozgoryczenia.

Tkwiłam w miejscu, nie podnosząc wzroku. W pewnej chwili poczułam, że Mahayna przeszła obok mnie. Po jakimś czasie uniosłam głowę i przycisnęłam *chapan* do twarzy, wdychając jego zapach. Potem wyszłam z namiotu, żeby jej pomóc.

Na zewnątrz siedział *syce*, mały, ale nad wiek poważny chłopiec o spokojnych, zielonych oczach. Na mój widok poderwał się na równe nogi, wtedy Mahayna powiedziała mi, że ma na imię Nahim. To on miał mnie odprowadzić do Simli.

- Nahim od dziecka podróżuje z *gujarami* po całym Kaszmirze i północnych Indiach. Nikt nie wie, kim byli jego rodzice ani skąd pochodzi, ale pojawia się w różnych obozowiskach i pomaga przy koniach. Znany jest z tego, że zawsze umie znaleźć drogę. Daoud dał mu jedną z ujeżdżonych klaczy w zamian za twoje bezpieczeństwo w podróży i w dodatku sownie mu zapłacił; Nahim dostał więcej, niż mógłby zamarzyć. Jest szczęśliwy.

Ciemnoskóry, bosonogi chłopiec pochylił się nisko, a potem stał, czekając, aż mu powiem, co ma robić. Nie znał hindi, więc wszystko musieliśmy zaplanować przy pomocy Mahayny. Potem pobiegł, a gdy po kilku minutach wrócił, pokazał mi, że będę jechać na jego nowym koniu, a on ma zamiar dosiadać długonogiego konika, na którego załadował jedzenie i koce do spania, przymocowując wszystko starannie do boków wierzchowca.

Zarzuciłam *chapan* na ramiona, wskoczyłam w miękkie skórzane siodło i usadowiłam się wygodnie w wymodelowanym siedzisku. Moje rany się zagoiły, chociaż wciąż jeszcze miałam po nich różowe blizny. Mahayna podała mi haftowaną sakwę Daouda.

- W niej jest twoja odzież i buty - powiedziała. Wiedziałam, że pora jechać i że mój pobyt w obozowisku

bardziej przypominał sen, mimo to przez krótką chwilę czułam, że to było moje „prawdziwe życie”, jak kiedyś powiedziała Chinese Sally. Nie, może nie tak - pomyślałam - ale z pewnością byłam tu sobą. Teraz muszę wrócić do fałszywej Linny, do Anglików, Somersa i piekła, które na mnie czeka. Wyjęłam z uszu długie kolczyki.

- Proszę, zatrzymaj je.

- Twoje bransoletki... - zaczęłam, ale Mahayna potrząsnęła głową.

Założyłam kolczyki, otworzyłam sakwę i wyjęłam swoją koronkową, białą halkę. Dałam jej.

- Może uda ci się zrobić z niej coś dla następnego dziecka. Mahayna się uśmiechnęła.

- Będę się modlić do Allaha o drugiego syna, ale w głębi serca marzę o córce, nawet gdyby Bhosla nie był zbyt zadowolony.

Wzięła halkę i przytuliła ją do piersi.

- Zrobię z niej odświętną suknię.

Koń niecierpliwie stukał kopytami w ziemię.

- Musisz już jechać - powiedziała Mahayna. - Nahim poprowadzi cię najkrótszą drogą. Za trzy, może cztery dni będziesz w domu. To dobry chłopak, możesz mu zaufać - zapewniła mnie.



Potem odwróciła się do Nahima, zrobiła groźną minę i ostrym tonem wydała mu ostatnie instrukcje.

- Niech Allah będzie z tobą - powiedziała mi w końcu.

- I z tobą - pożegnałam się z nią.

Gdy wyjechałam z Nahimem z obozowiska, obejrzałam się, by pomać dziewczynie, która stała w środku niewielkiej grupki kobiet. Delikatnie poklepałam konia po szyi i dogoniłam jadącego przede mną Nahima.

Przez następne trzy dni jechałam za *syce*. Kiedy zsiadał z konia, żeby zjeść, napoić zwierzęta albo ulżyć pęcherzowi, robiłam to samo. Kiedy uniósł głowę i przez chwilę spoglądał na złocistego orła, który zataczał koła na błękitnym niebie, ja również śledziłam lot ptaka. Pewnego razu, gdy zauważyłam na twarzy chłopca niespodziewany uśmiech, pobiegłam spojrzeniem za jego wzrokiem i zauważyłam parę małych, czerwobrazowych świstaków, które siedziały na tylnych łapkach na zalanej słońcem ziemi przy wejściu do nory. Nahim wydał dziwny dźwięk, a one mu odgwizdnęły.

Kiedyś zatrzymał swojego konia, który wystawił uszy do przodu, a ja pociągnęłam za uzdę swojej posłusznej klaczy. Wskazał na chmurę pyłu na przeciwległym krańcu łąki, przez którą przejeżdżaliśmy. Gdy chmura się zbliżyła, zauważyłam dzikie konie z długimi grzywami. Były to głównie klacze ze źrebackami.

Wieczorem Nahim ugotował na ognisku twarde kawały koziego mięsa. Zjadłam je, chociaż nie czułam głodu i nie bardzo wiedziałam, co przetykam. Gdy leżeliśmy pod gwiazdami owinięci w koce, przycisnęłam *chapan* i zapadłam w głęboki, spokojny sen. Prawie nic nie czułam, wszystko zostało zredukowane do maleńkich rozmiarów i nie miało nic wspólnego ze wzgórzami, lasami i łąkami, na które spoglądałam niewidzącymi oczami. Wciąż żyłam w świecie, w którym rządziło ciało i serce, liczyło się oczekiwanie i ulga. Nie wypływały jeszcze na powierzchnię panika i samotność. W pierwszych dniach po odejściu Daouda jeszcze nie w pełni zdawałam sobie sprawę, jak bardzo się zmieniłam, nie

wiedziałam, że już nigdy nie będę taką kobietą, jaką byłam, nim go spotkałam. Że jestem bogatsza, ale teraz będę odczuwać ból w nowy, okropny sposób. To, co za sobą zostawiłam, wciąż jeszcze było zbyt żywe; trzymałam się tego kurczowo jak dziecko matki. Świat, który na mnie czekał, był nierealny i rozmazany jak fale gorącego powietrza, które unosiło się nad równinami zalanyymi indyjskim słońcem.

Drugiego i trzeciego dnia przemierzaliśmy powoli cieniste cedrowe lasy, ukryci wśród wilgotnych, gęstych drzew, wdychając miodowy zapach małych żółtych kwiatuszków, które kwitły w miękkim mchu. Godzinami pieliśmy się pod górę, stąpając po ścieżkach, które Nahim instynktownie znajdował. Niektóre były suche i pokryte powykręcanyimi, sterczącymi korzeniami, inne śliskie z nadmiaru wody w płytkich, krętych strumieniach. Wyłanialiśmy się niespodziewanie z ciemnych lasów i wjeżdżaliśmy w zalane słońcem doliny.

Późnym rankiem czwartego dnia zatrzymaliśmy się u podstawy skalistego wzgórza z jedyną, wąską, kamienistą ścieżką, która prowadziła wśród gęstych ciernistych krzewów. Nahim zsiadł z konia i ujął go za uzdę. Skinieniem ręki nakazał mi też zsiść, a potem, poklepując zad wierzchowca, zmusił go, by ruszył ścieżką. Wdrapywałam się za nim, chwytając się szorstkiego ogona klaczy, ilekroć moje stopy poślizgnęły się na stromym zboczu.

Po zmudnej wspinaczce wyszliśmy na trawiasty kopczyk. Nahim odwiązał od konia haftowaną sakwę. Otworzył ją i wyjął czystą niebieską suknię. Spojrzałam zdziwiona najpierw na nią, potem na swego przewodnika. Wepchnął mi ją w ręce, po czym wydobył z sakwy buty i rzucił je razem z torbą na ziemię u mych stóp. Po chwili wskazał na podnóże góry.

Spojrzałam na miejsce, które pokazywał brudnym palcem, a wtedy dostrzegłam dobrze mi znaną wieżę kościelną i kryte strzechą dachy Simli. Nahim już prowadził konia i klacz w stronę krzaków, z których właśnie wyszliśmy.

- Zaczekaj! - zawołałam.

Zatrzymał się na dźwięk mojego głosu. Podbiegłam do koni i wyciągnęłam przymocowany paskami do siodła kolorowy *chapan*. Parę sekund później Nahim znów ruszył przed siebie. Po chwili zniknął w krzakach, a ja zostałam sama na wzgórzu.

Włożyłam sukienkę i buty z powrotem do sakwy, a potem kurczowo przyciskając do piersi ją i *chapan*, ruszyłam krętą drogą w dół, do Simli.

## Rozdział 31

Pół godziny później chwiejnym krokiem szłam przez przedmieścia. Ulice i ogrody tonęły w ciszy. Spoglądając na słońce, które stało wysoko na niebie, zdałam sobie sprawę, że większość rodzin właśnie je lunch. Gdy przechodziłam przez niemal pustą ulicę Mail, kilka kobiet, które stały przed sklepem, przerwało rozmowę i zaczęło bacznie mi się przyglądać. Chociaż je rozpoznawałam i wiedziałam, że mnie znają, mój widok po tak długiej nieobecności wyraźnie tak je zaszokował, że aż zamilkły z wrażenia.

- Pani Ingram? - spytała jedna z nich.

Złapała się za głowę i zrobiła w moją stronę kilka kroków, ale nie zareagowałam, więc zatrzymała się w miejscu. Po trzech tygodniach nieobecności byłam zaskoczona, jak blade są Angielki, jak sztywno się trzymają, jak bardzo ich suknie przypominają zbroje. Ich reakcja na mój widok - wyraz niedowierzania i wymieniane szeptem uwagi - utworzyła pierwszą maleńką dziurkę, początek otworu, który potem aż nazbyt szybko zamieni się w ogromną dziurę i całkiem zniweczy rzeczywistość, w której byłam bardziej pełna życia niż kiedykolwiek wcześniej. Na ich twarzach dostrzegłam własne odbicie, które gwałtownie sprowadziło mnie z powrotem nie tylko do Simli, ale również do roli pani Ingram i wszystkiego, co się z tym wiązało.

Zastanawiałam się, co powiem, gdy dotrę do chatki, ale nie było mnie stać na logiczne myślenie. Czy pani Partridge jeszcze tam będzie? Gdy

skręcałam w przecznicę, która prowadziła do Constancia Cottage, nagle poczułam na swoim ramieniu czyjaś dłoń.

- Psze pani?

Był to żołnierz w nieskazitelnie czystym czerwonym mundurze.

- Czy mogę pani jakoś pomóc? Widziałem, jak szła pani przez Mail. Wyglądała pani... jakby miała pani jakieś problemy.

Spojrzałam na zakurzone kaszmirskie ubranie i sandaalki z wywiniętymi czubkami; na swoje poplątane włosy, które sięgały aż do pasa.

- Nie... nie, dziękuję. Ja tylko... - Wskazałam ręką bungalow.

- Czy jest pani młodą damą, która...? - spytał niepewnie. Urwał, a ja przytaknęłam.

- Może w takim razie odprowadzę panią do domu. Jak sądzę, sporo ludzi się ucieszy na wieść, że jest pani bezpieczna.

Próbował wziąć ode mnie sakwę i *chapan*, ale nadal mocno przyciskałam je do piersi.

Weszliśmy do cichego domu. Przez chwilę myślałam, że jest pusty, ale po chwili z sypialni pani Partridge wyłoniła się Malti, niosąc porcelanowy nocnik w kwiatki. Na mój widok na sekundę stanęła w bezruchu, a potem krzyknęła i upuściła naczynie. Kiedy się rozbiło, zakryła przepaską twarz i wbiegła z krzykiem do pokoju, a potem przez tylne drzwi do ogrodu.

- Chyba uznała, że jest pani duchem, psze pani - powiedział żołnierz.  
- Hindusi są tacy przesadni.

Odwrócił się, słysząc skomlenie. Na progu mojej sypialni siedział Neel.

- Cześć, Neelu - powiedziałam, kucając i wyciągając rękę, a w drugiej wciąż trzymając sakwę i *chapan*.

Ucieszony, zaczął biec po śliskiej podłodze. Niemal dotknął mojej wyciągniętej ręki, gdy nagle zatrzymał się, warknął i zaczął się cofać.

- Co się stało, Neelu? - spytałam.

Znów się do mnie zbliżył, szurając brzuchem po podłodze i niespokojnie opuszczając kikut po ogonie. Gdy przyczołgał się wystarczająco blisko, żebym mogła go dotknąć, obnażył kły i szczeknął.

- Nie poznajesz mnie? - spytałam. Żołnierz odchrząknął.

- Najmocniej przepraszam, psze pani, ale reaguje w taki sposób na zapach rzeczy, które ma pani na sobie i trzyma w rękach. Te psy są tak szkolone, by wyczuć choćby najbardziej nikłą woń koczownika i w razie potrzeby rozerwać go na strzępy.

Spojrzałam na sakwę i *chapan*.

- Zacznie się normalnie zachowywać, gdy spali pani swój strój i porządnie się wykąpie.

Gdy od strony tylnych drzwi dobiegły głośnie rozmowy, żołnierz ode-rwał wzrok od Neela.

Pani Partridge wpadła do domku jak burza, a za nią Malti i inni służą-cy. Wszyscy trzymali się za jej plecami i nerwowo na mnie zerkali. Pani Partridge zmierzyła mnie od stóp do głów.

- Gdzie byłaś? - spytała.

Ani cienia radości czy ulgi, tylko rzeczowe pytanie.

- Gdzieś w górach... sama nie wiem. Naprawdę, pani Partridge, nie wiem.

Nagle poczułam takie zmęczenie, że z trudem otwierałam usta.

- Wygląda na to, że nic ci się nie stało - powiedziała niezbyt pewnym głosem, jakby nie wiedziała, czy okazać ulgę, czy oburzenie.

Czułam się tak, jakby ktoś zacisnął mi pętlę wokół szyi. Pani Partridge milczała, aja zauważyłam, że jej oczy napełniają się łzami, a broda drży. Wiedziałam jednak, że to nie mnie współczuje. Wyobraziłam sobie, jak żołnierze przynieśli do chatki ciało Faith. Wtedy z moich ust wyrwał się potok słów.

- Wybrałyśmy się na piknik. Zwyczajny piknik. Nie wiedziałam, że Faith...

- Przestań - przerwała mi pani Partridge.

Jej twarz zdradzała rozpacz. Niski głos był twardszy niż podczas wszelkich tyrad w przeszłości.

- Nie chcę słuchać twoich wyjaśnień. Wszyscy dobrze wiemy, że gdyby nie ty, Faith nie zginęłaby w taki sposób. Biedaczka - powiedziała.  
- Teraz nie żyje, leży w grobie.

Jednak żal pani Partridge był fałszywy. Nie przejmowała się Faith; tak samo jak Somers była przerażona, gdy moja przyjaciółka się do nas przyłączyła. W tym momencie zdałam sobie sprawę, że wszystko, co mówiła przy Faith na temat koloru skóry, powiedziała złośliwie, chcąc ją zranić.

Teraz przycisnęła chusteczkę do nosa.

- Nie mogła przeżyć. - Odsunęła chusteczkę i spojrzała na mnie. - Gdy przyniesiono jej ciało, wszyscy mężczyźni i żołnierze z Simli przez tydzień cię szukali, Linny, ale w końcu się poddali. Nikt z nas się nie spodziewał, że jeszcze ujrzymy cię żywą. - Baczenie mi się przyjrzała. - No cóż, jesteś, i całkiem nieźle wyglądasz. Jeśli nie liczyć tych pogańskich szmat.

- Co z Charlesem? - spytałam. - Czy został powiadomiony?

- Natychmiast wysłałam wiadomość do biura John Company w Delhi, do pana Snowa i pana Ingrama. Kompania wszystko im przekaże. Napisałam do pana Snowa o tragicznej śmierci pani Snow i doniosłam panu Ingramowi, że zniknęłaś. Nie było sensu, żeby tu przyjeżdżali. I tak nic nie mogli zrobić. - Baczenie przyjrzała się mojemu ubraniu. - Nie chcę wiedzieć, gdzie byłaś przez ten cały czas. Nawet mi o tym nie mów.

Skierowała się do swojego pokoju. Nienawidziłam jej.

- Nie było pani przy Faith - powiedziałam cicho. - Nie wie pani, co się stało. Nikt tego nie wie. Nikt oprócz mnie.

Pani Partridge się odwróciła.

- Myślisz, że nie widziałam, w jakim była stanie? Jaka była nieszczęśliwa? Potrzebowała opieki, prawdziwych przyjaciół, którzy nie wyciągaliby jej w dziki teren, którzy myśleliby bardziej o jej potrzebach niż o swoich. Potrzebowała od ciebie, Linny, cichego wsparcia, spacerów po Mail, herbatek w Peli-ti's, zachęt do szkicowania i haftu. Nie konnej wyprawy w góry. Teraz nie żyje. Została zrzucona przez tego dzikusa z urwiska. Och, to wszystko jest takie okropne.



- Czy tak pani powiedziano? Zignorowała moje pytanie.

- Jak przekonałaś go, żeby cię nie zabijał?

Prychnęła, potem potrząsnęła głową, jakby nie była w stanie sobie tego wyobrazić.

- Im wcześniej wyjedziemy, tym lepiej. Stała w progu swojej sypialni.

- Wyjedziemy?

- I tak jutro zamierzałam wracać do domu. Najpierw do Delhi - rzuciła przez ramię - gdzie teraz pracuje pułkownik Partridge. Mam zamiar zostać z nim i wrócić do Kalkuty dopiero wtedy, gdy wykona swoje zadanie. Dalszy pobyt w Simli byłby bezsensowny. Dla mnie jest już po sezonie. Najpierw pani Hathaway, potem ty i droga pani Snow... Uważam, że równie dobrze możeszjechać ze mną, a potem udać się w dalszą drogę, prosto do Kalkuty. Nie sądzę, żebyś chciała zostać tu sama. Twój mąż też by sobie tego nie życzył.

Czy mi się wydawało, czy podkreśliła słowo „mąż”? Może brzmiało dziwnie, ponieważ w ogóle nie mogłam myśleć o So-mersie; dawno temu o nim zapomniałam.

- Nie mówię już o przyjęciu, jakie cię tu czeka. Nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek teraz chciał cię zaprosić. Sądzę, że będą cię traktować jak... No cóż, nie mogę wymyślić łagodnego określenia na to, co pomyślą o tobie inni. Wszyscy uważają, że jesteś odpowiedzialna za śmierć Faith; teraz zaczną się zastanawiać, gdzie spędziłaś tyle czasu i co robiłaś. Czy można ludzi winić za to, że przeraża ich twoja obecność?

Zdecydowanie zamknęła za sobą drzwi sypialni. Spojrzałam na zbitą grupkę służących. Żołnierz zniknął.

- Malti - powiedziałam, widząc jej wybałuszone oczy. -Nie bój się. To tylko ja. Jestem taka sama, jak byłam.

Chociaż, prawdę mówiąc, wcale nie byłam taka sama. Malti jeszcze przez dobrą chwilę patrzyła na mnie, zakrywając usta miękkimi fałdami musztardowego sari. W końcu je opuściła.

- Gdzie pani była, wiemLinny? Pani strój...

- Proszę, przygotuj mi kąpiel, Malti - przerwałam jej. - Jestem bardzo zmęczona i po kąpieli chciałabym się położyć.

Weszłam do swojej sypialni. Na małym biurku w rogu pokoju leżała książka, cienki tomik wierszy Shelleya. Rozpoznałam ulubione poezje Faith. Musiała je położyć tuż przed naszym wyjściem. Wzięłam książkę do ręki, dotknęłam miękkiej oprawki, musnęłam palcem złocone brzegi. W tomiku była zakładka; otworzyłam na zaznaczonej stronie. Zobaczyłam wiersz ***Gdy ktoś lampę roztrzaska...*** W górnym rogu Faith napisała swoim drobnym pismem: „Dla Linny, kochanej przyjaciółki, którą podziwiam za wewnętrzną siłę. Staraj się, aby Twoja lampa zawsze płonęła. Twoja na zawsze Faith”.

Zacisnęłam mocno powieki, potem otworzyłam oczy i przeczytałam wiersz.

***Gdy ktoś lampę roztrzaska, W ciemnym kurzu światło jej kona;  
Gdy wiatr chmurę rozwieje, Gaśnie tęcza w niebie rozjarzona<sup>3</sup>.***

Nie mogłam czytać dalej. Opadłam na kolana, przycisnęłam książkę do piersi i zaczęłam się kołysać do przodu i do tyłu. Przestałam dopiero wtedy, gdy Mald zapukała do drzwi i powiedziała, że kąpiel gotowa. Gdy się podniosłam z kolan, zdałam sobie sprawę, że płaczę.

Najwyraźniej teraz łzy przychodziły mi z ogromną łatwością.

Tego wieczoru poszłam z Neelem na cmentarz przy kościele Jezusa Chrystusa. Gdy się przebrałam w normalne ubranie i schowałam ***chapan*** wraz z sakwą na dno kufra, Neel od razu wskoczył mi w ramiona i zaczął lizać mnie po twarzy. Zostawiłam sobie również srebrne kolczyki, które dostałam od Mahayny, natomiast Mald zabrała resztę mojego egzotycznego stroju.

Grób Faith był pokryty suchymi, zwiędłymi kwiatami. Wsadziłam na nim w ziemię mały, piękny szczodrzeniec, który wcześniej wykopałam z ogrodu przy naszym domku. Będzie co roku kwid wraz z ulubionymi

---

<sup>3</sup>Przel. Tadeusz Kubiak

przez Faith długimi, opadającymi kaskadami żółtych kwiatów, które spowijały drzewa niczym złociste chmury.

Przypomniałam sobie inne groby, które zostawiłam za sobą - grób matki na wilgotnym, zatioczonym cmentarzu przy kościele Najświętszej Marii Panny i Świętego Mikołaja, maleńką, zaznaczoną różowym kamieniem mogiłkę mojej córeczki pod ostrokrzewem. Do późnego wieczoru siedziałam obok kopczyka i małego drzewka. Wiał pachnący wiatr, niebo nabrało srebrnawego odcienia, ptaki powoli zbierały się do snu. W tej pięknej scenerii uświadomiłam sobie, że ci, których kochałam, pojawiają się w moim życiu po to, żeby szybko zniknąć. Znow się rozplakałam.

Podczas podróży do Delhi pani Partridge i ja nie zamieniłyśmy ze sobą ani słowa. Prawdopodobnie myślała, że karze mnie swoim milczeniem, tymczasem ja byłam zadowolona, że mam święty spokój i mogę pozostać sama na sam ze swoimi myślami, w których było wszystko - od smutku po najjaśniejszy blask. Cały czas wspominałam Daouda, myślałam też o Charlesie i o tym, że będę musiała spotkać się z nim natychmiast po powrocie do Kalkuty.

Gdy w Delhi nasze kufry zostały wyładowane na *ghaty*, podziękowałam pani Partridge za towarzystwo i jeszcze raz przeprosiłam za wszystkie kłopoty, których jej przysporzyłam. Ponownie kiwnęła głową jak królowa. Myślałam, że nadal będzie milczeć, ale widocznie nie mogła darować sobie ostatniej uwagi.

- Mam nadzieję, że nim wrócę do Kalkuty razem z pułkownikiem Partridge'em, wrzawa związana z twoim postępowaniem ucichnie. Nie znośszę skandali.

Zbyłam jej słowa milczeniem, chociaż nie przyszło mi to łatwo. Spojrzałam w inną stronę, żeby nie widziała moich oczu i tego, jak zareago-wałam na jej hipokryzję.

Zniknęła, krzycząc na tragarzy, z trudem wychodząc po śliskich schodach i mieszając się z tłumem. Posłałam Mald po siostrę, prosząc, żeby wróciła tak szybko, jak to możliwe. Gdy zniknęła, weszłam do chaty na *budgerowie* i w samotności czekałam w przyćmionym świetle, poddając

się kołysaniu barki oraz słuchając śmiechu i rozmów osób, które schodziły z *gha-tów*, żeby się wykapać.

Mald wróciła z Trupti i jej najstarszą córką Lalitą, która wyglądała na dwanaście, może trzynaście lat. Razem wyruszyłyśmy *budgerowem* w dalszą drogę. Podróż z biegiem Gangesu była długa i nużąca. Wody rzeki miały kolor kawy z mlekiem, powietrze było parne, a niebo przypominało odwróconą do góry nogami miedzianą miszkę, która zamykała mnie w wilgotnym, dusznym upale. Owoce na łodzi okazały się przejrzałe, wokół nich fruwały roje much, a ostre curry, które przyrządzali flisacy, było ciężkostrawne. Mald, Trupd i Lalita rozmawiały cicho, żebym nie mogła ich usłyszeć. Traktowały mnie z ogromną troską, jakbym wracała do zdrowia po długiej, ciężkiej chorobie.

Nie miałam ochoty na spacerów wzdłuż brzegów, chociaż tak chętnie to robiłam podczas drogi w tamtą stronę, całe wieki temu. Nawet nie czytałam, tylko tak jak Faith siedziałam w fotelu i obserwowałam przesuwały się krajobraz.

Miałam wrażenie, że nigdy nie dopłyniemy do Kalkuty.

W końcu, prawie cztery tygodnie po wyjeździe z Simli, wróciłam do domu w Chowringhee i mojego dawnego życia.

Przyjechałam do domu, gdy Somers był w pracy. Cieszyłam się, że mam czas na zebranie myśli, nim będę musiała stawić mu czoło. Gdy wrócił do domu, siedziałam na werandzie z Neelem na kolanach. Mój mąż stanął przede mną w nieskazitelnym, perłowszarym surducie. Z kieszonki na piersi wystawała oślepiająco biała chusteczka. Somers zapuścił bokobrody. Zapomniałam już, że jest taki przystojny i smukły.

- Widzę, że nic ci się nie stało - zauważył bez uśmiechu, po czym, nie czekając na odpowiedź, ciągnął: - Powiedziałbym, że trochę zeszczuplałaś, a twoja skóra jest brzydko opalona, ale pomimo przeżytej przygody całkiem nieźle wyglądasz.

Ostatnie słowa niemal wypluł.

- Przygody?

Oparł się o kamienną balustradę, skrzyżował nogi w kostkach i ścisnął ręce przed sobą. Przez cały czas bacznie mi się przyglądał.

- Chcę dokładnie wiedzieć, co się stało - powiedział.

Nie mogłam normalnie oddychać. Przed oczami mignęła mi twarz Daouda, zobaczyłam jego zaskakująco delikatne ręce na swoim ciele.

- Czy pani Partridge nie napisała...?

- Poinformowała mnie, że widziano cię w pobliżu prowizorycznego więzienia. Był w nim przetrzymywany Patan, którego miano powiesić za gwałt na młodej kobiecie. Następnego dnia namówiłaś panią Snow na daleką wyprawę w okolice zapomniane przez Boga i ludzi.

- Moja wizyta w więzieniu nie miała żadnego znaczenia, natomiast jeśli chodzi o Faith, po prostu zabrałam ją na piknik. Jakimś cudem znaleźliśmy się dokładnie w tym samym miejscu co żołnierze, którzy ścigali zbiegłego więźnia. - Nie śmiałam powiedzieć „Patana” w obawie, że może mi zadrzeć głos. - W którymś momencie Faith... jej koń... - Urwałam.

Podczas ciągnącej się bez końca podróży z Simli do Kalkuty obiecałam sobie, że nikomu nie powiem, co naprawdę widziałam, nie wspomnę, że Faith z własnej woli wywinęła w powietrzu fikołka. Lepiej, aby Charles i wszyscy ludzie uwierzyli, że zdarzył jej się okropny wypadek.

- Faith spadła ze skał. A ja... Człowiek, którego ścigano, zabrał mnie ze sobą.

- Dlaczego?

Pogłaskałam Neela po głowie.

- Prawdopodobnie chciał mnie wykorzystać jako zakładniczkę. Nie wiem. Nie rozumiałam tego, co mówił.

Dalej były już same kłamstwa.

- Gdzie byłaś przez prawie cały miesiąc? Zepchnęłam Neela na podłogę i wstałam.

- Dlaczego wypytujesz mnie w taki sposób? Tak oschle, jakbym... była odpowiedzialna za wszystko, co się stało. Myślisz, że chciałam, aby Anglicy mnie postrzelili? Czy w ogóle ktoś cię poinformował, że byłam postrzelona w bark? Albo że zostałam uprowadzona do obozowiska nomadów wysoko w górach?

Milczenie Somersa utrudniało mi dalszą opowieść. Czułam się tak, jakby jego oczy wwierały się w mój mózg i widziały mnie z Daoudem na kocu pod cedrem himalajskim.

- Co robiłaś przez cały ten czas w obozowisku?

- Mieszkałam w namiocie z młodą kobietą, pomagałam jej gotować, prac i zajmować się jej dzieckiem. Po jakimś czasie chłopiec z osady sprowadził mnie z powrotem do Simli.

Mówiłam nienaturalnie głośno.

- A co z Patanem, który cię porwał? I ze wszystkimi pozostałymi mężczyznami?

- O co ci chodzi?

- Musieli się ucieszyć, że mają między sobą kobietę o jasnych włosach i delikatnej, białej skórze.

Zbliżył się do mnie.

- Odpowiadało ci to, Linny? Czy noc w noc przekazywali sobie ciebie z rąk do rąk? - Chwycił mnie za włosy z tyłu głowy. - Powiedz mi, jacy są. Czy natura obdarzyła ich równie hojnie jak ich konie? Czy lubią używać siły?

Pociągnął mnie za włosy tak mocno, że się skrzywiłam z bólu. Zmusił mnie, żebym spojrzała mu prosto w oczy. Mówił zachrypniętym głosem, a ja czułam na twarzy jego oddech przesycony zapachem tytoniu i whisky. Kiedy mnie do siebie przycisnął, poczułam, że jest podniecony.

Wywinełam mu się.

- Przestań, Somersie! Nikt mnie nie skrzywdził! Nikt mnie nie dotknął!

- Jesteś pewna, Linny? Dziwka zawsze zostanie dziwką. Z pewnością w jakiś sposób musiałaś ich przekonać, żeby zostawili cię przy życiu.

- Nie! - krzyknęłam.

Uniósł dłoń. Wyraźnie miał zamiar wymierzyć mi policzek.

- Nie - powtórzyłam, obniżając głos i opuszczając głowę. - Nic mi się nie stało, Somersie. Nic - szepnęłam.

Wiedziałałam, czego chciał. Podsycał swój gniew, chcąc mnie zbić - zresztą już był podniecony. A może chciał potwierdzić swoje podejrze-



nia, żeby móc się mnie pozbyć. Bez trudu zdołałby przekonać pewnych ludzi, że robiłam w obozowisku niestosowne rzeczy, podając taką liczbę mężczyzn, jaka przy-szłaby mu do głowy, a następnie spełnić swoją groźbę i wyrzucić mnie w hańbie na bruk. Nikt by mi nie współczuł, gdyby Somers zdołał wmówić Anglikom, że jestem upadłą kobietą. Z pewnością ludzie już zaczęli plotkować na mój temat -po przyjeździe widziałam w porcie kilka białych kobiet. Przypuszczałam, że po Kalkucie już od dawna krąży opowieść o śmierci Faith i moim zniknięciu. Z pewnością od miesiąca był to stały temat rozmów w salonach. Gdyby jeszcze Somers dolał oliwy do ognia... O tak, mój mąż umiał stawiać na swoim; co więcej, miał przyjaciół. Tymczasem ja... ja nie miałam nikogo, zwłaszcza teraz, po śmierci Faith. Przygotowałam się na potężny policzek.

Tym razem Somers mnie nie uderzył. Musiał wyczuć moją uległość i wiedział, że przyjmę cios bez walki, a to już nie byłaby dla niego żadna przyjemność. Opuścił rękę.

- Nadal uważam - powiedział, sygnalizując, iż sprawa wcale nie jest jeszcze zakończona - że nie można ci ufać. Teraz będę musiał bacznie cię obserwować. Wystarczyło, że wyjechałaś do Simli, by przez ciebie zginęła szlachetna dama. Będąc tutaj, bratałaś się z Hindusami. Myślałaś, że nie wiem o twoich oszustwach, najakie sobie pozwalasz od naszego ślubu? Mam ludzi, którzy wszystko mi mówią, Linny, ludzi, którzy widzieli cię w najbardziej podejrzanych miejscach.

Spojrzałam na Neela.

- Od dziś pozostaniesz pod stałym nadzorem i będziesz robić tylko to, na co się zgodzę. Jestem zmuszony wprowadzić ci dyscyplinę i pewne ograniczenia. Na zbyt dużo ci pozwalałem, ale teraz koniec z tym. Prawdę mówiąc, po tym, co się stało, wiele kobiet będzie cię unikać. Wyszedł.

Wróciłam do swojej sypialni, otworzyłam kufer i rozwinęłam swoją kwiecistą bawełnianą suknię. W jej fałdach był ukryty *chapan*. Wyjęłam go i na chwilę przycisnęłam do twarzy. Jego zapach mnie uspokoił, ale przyniósł również tak przytłaczający smutek, że w pośpiechu, potykając się, wróciłam na werandę, jakbym miała atak malarii, która dręczyła So-

mersa. Pochyliłam się nad kamienną balustradą. Potem opadłam na kolana i w końcu dopuściłam do siebie uczucia, które odsuwałam na bok od ostatniego poranka w namiocie Mahayny.

Przez jakiś czas leżałam skulona na kamiennej podłodze, szlochając i przyciskając do brzucha *chapan*. Poczułam żal za tym, co odkryłam i tak szybko musiałam utracić. Chociaż przez tyle lat nie płakałam, od czasu spotkania z Daoudem nie mogłam powstrzymać łez.

Tydzień po przyjeździe do domu obudziłam się z popołudniowej drzemki z ciężką głową. Zasnęłam na wiklinowej sofie na werandzie, na której wiał gorący wiatr. Cała Kalkuta czekała na deszcz i z nadzieją spoglądała w niebo. Ruchy miałam zwolnione, skórę lepką od potu. Przypomniało mi się chłodne powietrze Simli i Kaszmiru.

Nie mogąc znieść własnych myśli, wstałam i zaczęłam spacerować po ogrodzie, chociaż koronkowy cień drzew nie był w stanie powstrzymać palących promieni słońca. Pod drzewami znajdowały się zadbane grządki portulaki, która nie miała sił zakwitnąć przy takiej pogodzie. Zerknęłam w stronę kwater dla służby. Był to prosty budynek, niemal całkiem ukryty w krzakach jaśminu, którego - zgodnie z moimi poleceniami - *ma-li* nigdy nie przycinał.

Zastanawiałam się, jak sobie radzi siostra Malti. Przydzieliłam jej prasowanie odzieży. Jej córka Lalita odpowiadała za prześcieradła, poszwy, obrusy i serwetki.

Z pewnym niepokojem podeszłam do budynek. Był zbudowany z drewna i podzielony na kilka pokoi. W otwartych oknach wisiały świeżo namoczone *tattie*. Na cedrowej półce nad wejściem stała wykonana z kości słoniowej statuetka boga Ganeśy. Wyciągnęłam rękę, żeby tak jak Hindusi pogłaskać bożka na szczęście. Wtedy usłyszałam w środku stłumione jęki.

Zajrzałam przez otwarte drzwi i zobaczyłam Lalitę. Leżała skulona na łóżku. Całe czoło miała pokryte potem.

- Jesteś chora, Lalito? - spytałam w hindi. Dziewczyna z trudem usiadła.

- Nie, *memsahib* — odparła, przyciskając ręce do brzucha.

- Przyprowadzić twoją mamę?

- Nie, nie. Mama mnie tu przysłała.

Miała wymizerowaną twarz. Była wyraźnie zdenerwowana albo zażenowana.

- Zaraz wrócę do pracy, *memsahib*. Wkrótce mi przejdzie - powiedziała.

Jak się okazało, miała okres.

- Nie, nie, Lalito, zostań i odpocznij.

- Dziękuję za wyrozumiałość, *memsahib*. Moja mama zrobi wszystko, co do mnie należy. - Nagle jej brązowe oczy zrobiły się okrągłe. - Nie powie pani o niczym *sahibowi* Ingramowi?

- Obiecuję. Poleż, aż nabierzesz sił i będziesz mogła wrócić do pracy.

Ruszyłam w stronę domu, ale w połowie drogi pod górę zatrzymałam się i zaczęłam myśleć o Lalicie. Spojrzałam na budynek dla służby, potem w stronę domu, a następnie zebrałam w garść fałdy spódnicy i ruszyłam biegiem. Gdy znalazłam się w swojej sypialni, podeszłam do sekretarzysty i przez chwilę grzebałam w najwyższej szufladzie. Wyjęłam kalendarz oprawiony w miękką ciejącą skórę, otworzyłam go na obecnym miesiącu, a potem cofnęłam się do poprzedniego i jeszcze wcześniej.

Kalendarz wyslizgnął mi się z rąk, a ja ciężko opadłam na wyściełane perkalem krzesło za biurkiem. Tak samo jak chwilę wcześniej Lalita przycisnęłam roztrzęsione ręce do płaskiego brzucha.

Nosiłam pod sercem dziecko Daouda.

Wieczorem zaczęło padać. Siedziałam na swojej werandzie, spoglądając na zapłakany świat. Deszcz początkowo tylko siąpił, tak że prawie nie było go widać ani słyszeć. Gdy zapadła ciemność, przybrał na sile i zamienił się w ulewę. Ogromne krople uderzały o ziemię, a strugi wody rzeźbiły kanały w spieczonej ziemi. Wciąż zaszokowana, wyszłam na zewnątrz. Co ja teraz pocznę? Co mam zrobić, żeby spokojnie urodzić dziecko? Opadłam na kolana w powiększającej się kałuży, której powierzchnię smagała gwałtowna ulewa. Spojrzałam w niebo; deszcz zaci-

nał w moje oczy, wargi, szyję. Pomyślałam o Faith, która zabijając siebie, zabiła również swoje małeństwo. Przypomniałam sobie, kim jestem - nie panną Linny Smallpiece ani panią Somersową Ingramową, ale Linny Gow z Paradise Street - i jak bardzo zawsze chciałam sama wykuć swój los.

Długo klęczałam, póki zacinający deszcz nie osłabł i nie uspokoił się. W końcu już tylko kapało z liści. Powietrze było czyste, a między postrzępionymi monsunowymi chmurami żeglował srebrny księżyc. Odbijał się w małych kałużach, które powstały we wszystkich zagłębieniach. Miałam wrażenie, że wszędzie wokół mnie błyszczą drogocenne kamienie.

W końcu znalazła mnie Mald; stanęła przede mną ze świecą w ręku. Delikatny podmuch wiatru kołysał płomieniem.

- *Mem* Linny? - powiedziała niemal szeptem i wyciągnęła rękę, żeby mi pomóc wstać.

Włożyłam dłoń między jej palce i uniosłam głowę. Znajdę sposób, żeby urodzić dziecko. To jedyne ogniwo, które łączy mnie z okresem przebudzenia. Chociaż o małeństwie dowiedziałam się zaledwie kilka godzin temu, wiedziałam już, że będę je kochać i że jakimś cudem to ono mnie uratuje.

## Rozdział 32

W połowie lipca zamknęłam w środku dnia szerokie, podwójne drzwi domu i wyszłam na ruchliwą, skwarną ulicę Kalkuty. Miałam na głowie *topi* owinięte grubą warstwą tiulu i naciągnięte nisko na czoło, dzięki czemu osłaniało górną część twarzy. Niosłam parasol. Za mną szła Malti.

Wsiadłyśmy do palankinu, który obecnie przez cały dzień czekał przed domem. Somers wynajmował go wraz z czterema *boyee*, niezależnie od tego, czy Malti i ja wychodziłyśmy z domu, czy nie. Dzień po dniu, godzina po godzinie palan-kin czekał w ogrodzie przed domem.

Tragarze mogli mnie zawieźć tylko w miejsca, które podał im Somers: na *maidan*, do Taylor's Emporium albo do któregoś z angielskich domów. Pozwalał mi również brać udział w kobiecych spotkaniach i pożyczać książki z biblioteki. Tego dnia kazałam *boyee*, *żeby* zawieźli mnie do Klubu Kalkuckiego na wcześniej zaplanowane spotkanie Kobiecego Towarzystwa Przyrodniczego. Powiedziałam Somersowi, że zastanawiam się, czy nie zapisać się do tego kółka, chociaż wcale nie miałam takiego zamiaru.

Od powrotu z Simli byłam na jednym spotkaniu, ale denerwowały mnie pełne ciekawości spojrzenia innych kobiet. Kilka dziewcząt z flotylli połowowej uśmiechnęło się do mnie niepewnie i spytało uprzejmie, czy już wyzdrowiałam. Nikt nie mówił otwarcie o tym, co się wydarzyło w Simli. Gdy odpowiadałam, że już całkiem dobrze się czuję, ku własnemu przerażeniu w oczach jednej z pań dostrzegłam coś, co wyglądało na szczerą troskę. Zaczęłam się zastanawiać, czy niektóre z uśmiechów, prób rozmowy, a nawet zaproszeń, jakie dostawałam po powrocie do Kalkuty, nie były rzeczywiście wyrazem akceptacji i przyjaźni. Może któraś z tych kobiet -a nawet kilka - była moją przyjaciółką, tymczasem ja je odepchnęłam?

Odnosiłam wrażenie, że wszystko, na co obecnie patrzę, wygląda inaczej. Działo się tak dlatego, że pozbyłam się strachu, który dotychczas nie pozwalał mi patrzeć na Anglików inaczej niż z ogromną podejrzliwością. Zdałam sobie sprawę, że sama wzniosłam odczuwaną przez siebie barierę, aby móc się za nią schronić, gdyż byłam przekonana, że Anglicy w Kalkucie śledzą i oceniają każdy mój ruch.

Teraz jednak nie miałam czasu na rozmyślanie o angielskich damach. Były ważniejsze sprawy do załatwienia.

Gdy podjechałyśmy pod Klub Kalkucki, Mald usadowiła się w palaninie, żeby na mnie zaczekać.

- Spotkanie potrwa przynajmniej godzinę, poczęstunek drugą - zapowiedziałam.

Kiwnęła głową. Weszłam do środka, niemal przebiegłam przez foyer, potem korytarz i wyłoniłam się po drugiej stronie budynku. Długo szuka-

łam tylnych drzwi. Znalazłam je tydzień wcześniej, gdy byłam w bibliotece. Rozłożyłam parasolkę i z pochyloną głową wyszłam na ulicę. Machnęłam na przejeżdżającą riksę. *Jhampani* był chudym, niskim, spoconym mężczyzną o pomarszczonej twarzy, brązowej jak skorupka orzecha włoskiego. Gdy podbiegł, powiedziałam w hin-di jedno zdanie, potem wsiadłam do rikszy i usadowiłam się na twardej desce przybitej gwoździami do boków. Rikszarz ujął drągi i biegiem pokonywał coraz węższe uliczki, unikając wozów zaprzężonych w woły i świętych krów, *kumkum*, o szerokich czołach, z girlandami jaśminu na szyi. Stare ulice wiły się i zakręcały, tworząc istny labirynt, który miał przeszkodzić złym duchom w dotarciu do centrum Kalkuty.

Mężczyzna pokonywał śmierdzące boczne uliczki, zwinnie unikał innych rikszy, kóz, psów i kur. Niemowlęta płakały, dzieci śmiały się i krzyczały, kobiety piszczały, a mężczyźni wołali, co tworzyło prawdziwą kofonię dźwięków. W wąskich przejściach kłębiły się dumy żebraków i kalek; niektórzy próbowali złapać moją spódnicę, gdy riksza przejeżdżała obok. W rynsztokach płynęły pomyje i odchody. Widziałam nagie, niespełna trzyletnie dziecko, które tuliło do piersi martwego, sztywnego kotka. W futerku zwierzęcia aż się roiło od larw much. Moje ciało podskakiwało w rytm krótkich kroków mężczyzny.

Nie będziesz wymiotować, nie będziesz wymiotować - powtarzałam w myślach. Riksza była odkryta, a ilekroć wyłanialiśmy się z przecznicy, by przejechać skrzyżowanie, gorący wiatr unosił z ulicy duszące obłoki czerwonobrazowego pyłu, dlatego miałam problemy z utrzymaniem rozłożonej parasolki. Promienie słońca padały na *topi*, burczało mi w brzuchu. Żałowałam, że nie zjadłam czegoś, gdy tuż przed wyjściem Mald przyniosła mi herbatkę rumiankową. Niestety, wtedy nie byłam w stanie przełknąć niczego, nawet łyku chłodnego napoju.

W końcu żyłasty mężczyzna nieco zwolnił, a ja zauważyłam, że minęliśmy dzielnicę nędzy i wjechaliśmy do spokojniejszej części miasta. Małe drewniane domki z niewielkimi ogródkami od ulicy wyglądały zdumiewająco czysto w porównaniu z tym, co widziałam jeszcze przed chwilą.



Uważnie przyglądałam się każdemu domkowi. Gdy zobaczyłam budyneczek obrośnięty plataniną japońskiego kapry-folium, krzyknęłam na rikszarza. Zwolnił i zatrzymał się, ciężko dysząc. Wysiadając, musiałam mocno przytrzymać się rikszy, żeby nie upaść.

Gdy dzwonięcie w uszach minęło, spojrzałam na mężczyznę, który stał między dwoma drągami rikszy i podawał mi cenę. Zauważyłam, że skóra jego twarzy jest bardzo napięta, widziałam poślizgnięcie białka oczu. Zapłaciłam bez targowania się. Z wyraźnym zmieszaniem spojrzał na dodatkowe monety, które położyłam mu na dłoni, a potem znów na mnie.

Podeszłam do domku i cicho zawołałam przez matę wiszącą w wejściu:

- Czy mieszka tu Nani Meera?

Usłyszawszy cichą odpowiedź, odsunęłam matę i weszłam do środka. W pokoju były zasłonięte wszystkie okiennice, dzięki czemu panował w nim mrok i chłód. Przez chwilę niczego nie widziałam, ale w końcu dostrzegłam, że w rogu pomieszczenia coś się poruszyło. Gdy mój wzrok przyzwyczaił się do ciemności, ujrzałam piękną młodą kobietę. Miała na sobie sari z kolorowymi orchideami na turkusowym de i siedziała po turecku na czystej, pokrytej matami podłodze. Na jej kolanach leżała małeńka, pulchna dziewczyneczka. Była całkiem naga, jeśli nie liczyć talizmanu na sznurku w talii. Jej duże, brązowe oczy były pomalowane proszkiem antymonowym, dzięki czemu sprawiały wrażenie ogromnych w drobnej, okrągłej twarzyczce. Dziewczyneczka leżała spokojnie, podczas gdy matka nacierała jej ciało oliwką. Kobieta spojrzała na mnie pytająco.

- Szukam Nani Meery - powiedziałam, posługując się hin-di. - Słyszałam, że mieszka na tej ulicy w domku obrośniętym kapryfolium.

- Dobrze pani trafiła - odparła kobieta po angielsku. - Nani wróci lada chwila. Proszę usiąść i poczekać.

Znów zajęła się dzieckiem.

- Dziękuję - powiedziałam.

Usiadłam w jednym z dużych wiklinowych foteli wypełnionych miękkimi poduszkami, zastanawiając się, jak to możliwe, że młoda Hinduska bezbłędnie mówi po angielsku.

Czułam delikatny zapach drewna sandałowego. Nad jednym z wielu wąskich okien wisiały dzwonki wykonane z podłużnych kawałków mosiądzu i błękitnych, owalnych koralików. Gdy przez półotwarte okno wpadł lekki podmuch wiatru, cichutko zabrzęczały. Obok dwóch krzeseł stał rzeźbiony w ptaki i kwiaty niski kufer z teku; ktoś położył na nim prostą glinianą miskę z gładkimi, szarymi kamieniami. Spomiędzy nich wyrastały piękne, pomarańczowe narcyzy. W drzwiach wisiały sznury bursztynowych koralików, za nimi znajdował się następny pokój. Przy drzwiach stał wysoki, duży kredens, również z teku, ale całkowicie pozbawiony ozdób, jeśli nie liczyć dwóch uchwytów z kości słoniowej w kształcie małych małpek z długimi ogonami.

Zadowolonemu dziecku zaczęły się kleić powieki. Kiedy kobieta przeniosła na mnie wzrok, zauważyłam, że jej oczy mają dziwny, fioletowy kolor. Uśmiechnęłam się blado, wciąż próbując pokonać nudności. Właśnie miałam zamiar poprosić o szklankę wody, gdy koraliki w wejściu zakołysały się i zabrzęczały. Do domku weszła wysoka, smukła kobieta w oślepiająco białym sari przetykanym złotą nitką. Nie była młoda, ale miała królewską postawę: uniesioną wysoko głowę i proste plecy. W jej czarnych włosach widać było pojedyncze, grube pasmo czystej bieli, z dużych brązowych oczu wyzierała łagodność.

Wstałam, przycisnęłam ręce do piersi i ukloniłam się. Kobieta odpowiedziała na rytuał *namaste*. Zauważyłam, że wnętrza jej dłoni są zafarbowane henną.

- Nazywam się Linny Ingram - powiedziałam w hindi. -Czy mam do czynienia z Nani Meerą?

Kobieta przytaknęła.

- Tak - odparła podobnie jak młoda kobieta po angielsku.

- Charles mi o pani powiedział - wyjaśniłam, przechodząc na angielski.

Jej twarz pojaśniła.

- Ach. - Uśmiechnęła się smutno. - Zabrakło mu szczęścia. Faith również, jego biednemu, małemu, czerwonemu pisklątku. Widziałam, że ma chorą duszę. Próbowałam powiedzieć o tym Charlesowi, ale mnie nie słuchał.

Wjej głosie słychać było szelest wysokich traw na wietrze. Zamknęłam na chwilę oczy. Ucieszyło mnie, że ona również wiedziała o chorobie Faith.

Przez kilka sekund stałyśmy w milczeniu, jakbyśmy składały hołd Faith. Potem znów się odezwałam.

- Wczoraj widziałam się z Charlesem.

- Bardzo cierpi. Często do mnie przychodzi, ale niewiele mogę zrobić, żeby go pocieszyć.

Trudno mi było spotkać się z Charlesem bez wiedzy Somersa, ale dzięki zawilemu planowi i wielu liścikom, które krążyły tam i z powrotem, jakoś mi się udało. Natknęliśmy się na siebie w drzwiach niemal pustej herbaciarni dla niższych urzędników służb cywilnych. Spojrzeliśmy na siebie, a z naszych oczu popłynęły łzy.

Charles bardzo schudł, wymięte ubranie wyraźnie na nim wisiało. Był rozczochrany i nieogolony. Kiedy udało się nam opanować, podprowadził mnie do stolika obok okna. Najpierw wymieniliśmy kilka zdawkowych uprzejmości, potem nie było sensu dłużej udawać. Ujął moje dłonie i poprosił, że bym opisała mu po kolei każdą chwilę spędzoną z Faith w Simli, każdy szczegół; co powiedziała, jak wyglądała. Próbowałam podnieść go na duchu szczęśliwymi wspomnieniami, nie miałam jednak wątpliwości, że mój widok sprawia mu ból. Powiedziałam mu, że codziennie wyrażała się o nim z wielką miłością, planowała ich dalsze życie, które - jej zdaniem - miało trwać w nieskończoność. Na litość boską, nie mogłam wyznać prawdy. Wiedziałam, że nigdy nie zdradzę mu sekretu, który Faith przed nim ukrywała - nie powiem, że była w ciąży - bo to spowodowałoby jedynie dodatkowy ból. Wypytywał mnie o szczegóły jej śmierci, zapewniając, że nie zazna spokoju, póki nie będzie wszystkiego dokładnie wiedział, więc dalej kłamałam. Zapewniłam go, że Faith nie cierpiała, że tuż przed wypadkiem śpiewała, zadowolona z przejażdżki.

Gdy w końcu wyczerpał wszystkie pytania, a ja nie miałam mu już nic więcej do powiedzenia, spytałam, jak mogę znaleźć Nani Meerę. Nie interesowało go, skąd o niej wiem ani dlaczego chcę się do niej wybrać.

Potem się rozstaliśmy. Charles na odchodnym przyjrzał mi się błyszczącymi oczami. Wiedziałam - tak samo jak on - że lepiej będzie dla nas obojga, jeśli się więcej nie spotkamy.

Teraz Nani Meera odwróciła się do drugiej kobiety.

- Yali, mogłabyś przynieść dla pani Ingram kawałek arbuza?

Kobieta wstała bez słowa, podniosła dziecko i zniknęła za zasłonką z bursztynowych koralików. Po chwili rozległo się nucenie i podzwanianie sztućców.

- Co panią do mnie sprowadza? - spytała Nani Meera, zajmując miejsce w drugim wiklinowym fotelu i zachęcając mnie, żebym z powrotem usiadła.

- Proszę mówić do mnie Linny - zaproponowałam. Przycupnęłam na skraju fotela i zaczęłam się bawić czarnym jedwabnym frędzlem przy poduszce.

- Trudno mi to powiedzieć - wyznałam w końcu. - Nikomu nie wspominałam...

Urwałam, gdy w pokoju pojawiła się Yali. Na białym talerzu przyniosła grube, czerwone kawałki arbuza, a na drugim posypane cukrem biszkopty.

- Możesz nie przerywać. Yali jest moją córką i asystentką - wyjaśniła Nani Meera z uśmiechem.

Druga z kobiet odpowiedziała tym samym, po czym zostawiła tacę na kufrze z teku i wyszła. Zza koralikowej zasłonki znów dobiegło nucenie.

- Zapewniam cię, Linny, że słyszałam już w życiu wszystko i nikogo nie osądzam. - Baczenie mi się przyjrzała. - Czy chcesz się pozbyć dziecka, które rośnie pod twoim sercem?

Otworzyłam oczy i bezwiednie położyłam dłonie na brzuchu.

- Nie. - Spojrzałam w dół, a potem na kobietę. - Ale przecież tego nie widać. Jest na to za wcześnie.

- Możesz być spokojna. Zajmuję się tym całe życie. Widzę to, czego inni nie dostrzegają. No więc jak? Czy to dziecko jest chciane?

- Tak. - Natychmiast jej zaufałam. - Tyle że jego ojcem nie jest mój mąż.

- Jesteś tego pewna?

- Tak.

- Twój mąż wie o dziecku?

- Nie. I absolutnie nie może się dowiedzieć. Jeszcze nie teraz.

- W takim razie jak mogę ci pomóc?

- Chcę, żeby mój mąż uznał maleństwo za swoje. Nie widzę innej możliwości.

- A co z ojcem dziecka? Wciągnęłam głęboko powietrze w płuca.

- To człowiek... z innego świata. Nigdy już nie będziemy razem. Mój mąż nawet nie wie o jego istnieniu.

- Jeśli twój mąż nic nie wie o istnieniu tamtego człowieka, na czym polega problem? Dlaczego nie miałyby założyć, że to jego dziecko?

Wbiłam wzrok w małpki z kości słoniowej przy drzwiach kredensu.

- Mój mąż mnie nie dotyka. Woli mężczyzn. Nasze małżeństwo nigdy nie zostało skonsumowane.

Nie wiem, jakim cudem Nani Meera sprawiła, że powiedzenie prawdy przyszło mi łatwiej, niż przypuszczałam.

Nani Meera przyjrzała się moim włosom, twarzy i rękom, które wykręcałam na kolanach. Znieruchomiałam.

- Jego *lingam* jest przy tobie słaby?

- Tak. Chyba że... Czekala.

- Kiedy wyrządza mi krzywdę, kiedy mnie bije, wtedy ma ochotę wziąć mnie siłą, ale nigdy nie może się... na to zdobyć.

Pokiwała głową i postukała się palcem wskazującym po policzku.

- Myślę, że mogę ci pomóc, ale tylko do pewnego stopnia. Reszta będzie zależała od ciebie.

Podeszła do wysokiego kredensu i otworzyła drzwi, a potem przesunęła palcem po rzędzie małych szufladek z nieczytelnymi dla mnie etykietkami.

- W Indiach jest wiele popularnych i świętych ziół. Niektóre z nich mogą pomóc albo zaszkodzić.

Zatrzymała się przy jednej z szuflad, wysunęła ją i wyjęła z niej długą, płaską puszkę. Potem sięgnęła do górnej części kredensu po mały kawałek białego płótna. Otworzyła wieczko puszki i wsypała na płótno dużą szczyptę brązowego proszku.

- Co to jest?

- *Bhang*, lekki afrodyzjak z konopi. Zwiększa również wytrzymałość.

Otworzyła następną szufladkę i powtórzyła cały proces.

- Pokruszone nasiona indyjskiego drzewa figowego, również afrodyzjak. I jeszcze jeden.

Dodała do mieszanki trzeci proszek.

- Szczypta sproszkowanych liści bielunia. To bardzo silny środek odurzający. Można nim uspić człowieka, dlatego trzeba go stosować bardzo ostrożnie.

Zawinęła wszystko w płótno, zawiązała węzełek i podała mi. Patrzyłam na tobolek.

- Musisz dopilnować, żeby twój mąż spożył to w całości za jednym razem. Zakładam, że jest Anglikiem i pije alkohol.

Przytaknęłam.

- Wsyp mu ten proszek do kieliszka i dobrze wymieszaj. Nie wyczuje go, a alkohol dodatkowo wzmocni efekt. Wkrótce po spożyciu będziesz musiała zrobić to, co konieczne, żeby doprowadzić go do stanu, o jakim mówiłaś. Może być nieco zdezorientowany, ale się nie zmęczy i być może powtórzy to nawet kilka razy.

Przytaknęłam.

- To początek ciąży, prawda? Szósty, siódmy tydzień?

- Tak.

- Musisz uważać. Nie wysilaj się, żeby nie urodzić za wcześnie, co często się zdarza Angielkom. Bez trudu oszukasz męża o miesiąc albo



niewiele więcej, ale jeśli o wiele za wcześnie urodzisz zdrowe dziecko, nawet najbardziej ufny mężczyzna zacznie się zastanawiać. - Spojrzała mi w oczy. - Powiedziałaś, że ojciec dziecka jest człowiekiem z innego świata. Jeśli to Hindus, weź pod uwagę, że dziecko może...

- To nie Hindus - przerwałam.

Daoud miał czarne włosy i czarne oczy, ale jasną skórę. Mogłam mieć tylko nadzieję, że nie zdradzą mnie rysy dziecka. Byłam zadowolona, że Somers również ma czarne oczy i czarne włosy.

- To dobrze. Jak do mnie przyjechałaś? - spytała.

- Riksą. Tylko to udało mi się znaleźć. Moja wizyta tutaj musi zostać tajemnicą.

- Otwarta riksza to kiepski pomysł w środku upalnego dnia. Na drogę powrotną Yali złapie ci palankin z zasłonami.

Gdy zniknęła za koralikową zasłoną, usłyszałam cichą wymianę zdań; po chwili wyłoniła się z ogromną szklanką białego płynu.

- Mleczko kokosowe. Sączyłam słodki napój.

- Pani córka jest wyjątkowo piękna. Nigdy nie widziałam takich oczu.

- Jej ojciec był angielskim właścicielem plantacji herbaty niedaleko Darjeelingu - wyjaśniła.

- Pani mąż?

Nani Meera uśmiechnęła się.

- Nie. Podobnie jak ty, Linny, kochałam mężczyznę z innego świata. - Znowu usiadła, ja też. - Byłam *ayah* jego dzieci, chociaż już wtedy stopniowo zdobywałam wiedzę medyczną. Jego żona padła ofiarą choroby, na którą cierpi w Indiach wiele Angielek, podobnie jak Faith. Z czasem zostałam jego... towarzyszką życia.

Słyszając dziecko Yali w sąsiednim pokoju, Nani Meera zamrugła powiekami i spojrzała na moją szklankę.

- Wypij. To cię uspokoi. - Wciąż trzymała ręce na kolanach. - Yali jest jego córką. Na plantacji mieszkał też angielski nadzorca i jego hinduska żona. Wkrótce potem, gdy urodziłam Yali, żona nadzorcy wydała na świat syna, ale sama zmarła przy porodzie. Przygarnęłam dziecko jako

brata mlecznego Yali i pokochałam jak własnego syna. - Uśmiechnęła się do mnie. - Oczywiście, to Charles.

Słyszając dzwoneczki, spojrzała w stronę drzwi.

- Chodź - powiedziała, wyciągając rękę. - Jest twój palankin.

Odstawiłam pustą szklanekę, ujęłam dłoń Nani Meery i mocno ją uściśnęłam.

- Dziękuję, Nani Meero - powiedziałam i otworzyłam torebkę. - Ile jestem ci winna?

Wyciągnęłam płócienną sakiewkę i wyjęłam pieniądze. Hinduska potrząsnęła głową.

- Uznaj to za prezent dla przyjaciółki Charlesa. Życzę ci powodzenia z mężem - powiedziała i odsunęła matę we frontowych drzwiach. - Mam nadzieję, że ci się uda.

- Od tego zależy przyszłość moja i mojego dziecka - wyznałam.

### Rozdział 33

Gdy wracałam od Nani Meery do klubu, a potem już z Mald do domu, wydawało mi się, że każde szarpnięcie pa-lankinem to stracona chwila. Czas działał na moją niekorzyść. Z tego, co wiedziałam, lada chwila Somers mógł mi oznajmić, że następnego dnia wyjeżdża na kilka tygodni. Wtedy mój plan spaliłby na panewce. Musiałam wprowadzić go w życie jeszcze tego wieczoru, po kolacji.

Weszłam do jadalni, gdy Somers kończył pudding. Przyniosłam mu tacę z kieliszkiem, w którym była spora ilość alkoholu. Gdy podchodziłam, Somers odsunął się od stołu.

- *Khitmutgar* przygotował dla ciebie brandy *pawnee* - powiedziałam, podając mu kieliszek.

W jego kroczu dostrzegłam zarys genitaliów; wiedziałam, co muszę zrobić, żeby pobudzić je do życia. Czułam, jakbym miała kluchę w gardle, bałam się bólu, który mnie czekał, jeśli Somers zareaguje w sposób, w jaki chciałam... bałam się, co będzie, jeśli nie zareaguje.

Wziął kieliszek i spojrzał na mnie.

- Odkąd to zachowujesz się jak służąca? Syknęłam poirytowana.

- Minęłam go na korytarzu. Po prostu się staram, So-mersie.

Wypił spory łyk.

- Starasz się odgrywać posłuszną żonę? Wcześniej jakoś nie zadawałaś sobie trudu.

Wiedziałam, że z łatwością wyprowadzę go z równowagi. Od mojego powrotu z Simli aż swędziały go ręce, żeby mnie zbić.

- Ale z ciebie idiota - powiedziałam, biorąc się pod boki i wcielając się z powrotem w rolę prostytutki z Liverpoolu. -Nigdy nie dasz mi szansy, prawda? Jesteś tylko aroganckim głupcem, który potrafi mi jedynie wymyślać, niezależnie od tego, jak bym się starała.

Opróżnił kieliszek i walnął nim o stół. Zauważyłam, że jego oczy płoną w taki sam sposób jak oczy Neela, gdy biorę do ręki jego ulubioną piłęczkę.

- Jak śmiesz!!!

Odgarnął z czoła kosmyk włosów i musnął palcami wąsiki. Zauważyłam, że ręka mu się trzęsie. Czyżby lekarstwo tak szybko działało?

- Jestem zmęczona tym, że wciąż mnie tyranizujesz, So-mersie, że mówisz mi, gdzie mogę, a gdzie nie mogę iść.

Mówiłam jak za czasów Paradise Street, przyszło mi to z ogromną łatwością.

Somers zmrużył oczy, ale nim to zrobił, zauważyłam, że ma rozszerzone źrenice. Tak, zdecydowanie lekarstwo działało. Zacisnął dłonie w pięści.

- Nie dotykaj mnie - powiedziałam z uśmiechem wyższości na ustach. - Nawet nie waż się mnie tknąć.

Nie mógł nie zareagować na takie wyzwanie. Wyszłam z jadalni i pobiegłam korytarzem do swojej sypialni, zatrzasnąwszy mu drzwi przed nosem.

- Wynoś się! - warknęłam na *punkah-wallaha*. Chłopiec wybiegł na werandę. Po chwili Somers pojawił

się w drzwiach. Powalił mnie na łóżko i stanął nade mną.

- Niewdzięczna suka - mruknął.

Zdjął surdut i położył go na oparciu krzesła. Zsunął z palca złoty pierścionek, wrzucił go do kieszonki kamizelki i podwinął rękawy. Ruszył w moją stronę, po drodze biorąc z toaletki długą smycz Neela.

Zmusiłam się, żeby krzyknąć:

- Nie, Somersie! Nie wyrządzaj mi krzywdy!

Owinał koniec smyczy wokół dłoni. Rzuciłam się twarzą na łóżko. Rzemień świsnął w powietrzu. Somers przez cały czas coś mamrotał, ale nie rozumiałam słów. Uderzył mnie smyczą po udach, na szczęście ubranie osłabiło cios. Im bardziej krzyczałam i błagałam, mocniej byłam bita. W końcu obrócił mnie na plecy. Zobaczyłam, że ma rozpięte spodnie. Chwilę później siłą rozchylił mi kolana, podsunął do góry sukienkę oraz halki i zaczął szarpać moje reformy. Potem z wyrazem zaskoczenia, triumfu i pożądania na twarzy chwycił swój członek i wepchnął go we mnie. Czułam, że rozrywa mi ciało.

- To właśnie lubisz? - spytał, przyszpilając mnie do materaca i podrygując nade mną. - O to ci chodziło od pierwszego dnia, kiedy mnie zobaczyłaś, kurwo?

Zamknął oczy i uniósł brodę. Wykonywał tak gwałtowne ruchy, że zaczęłam się obawiać o dziecko, wiedziałam jednak, że za nic w świecie nie mogę go powstrzymać. Podrygiwał i podrygiwał bez znużenia, tak jak przewidywała Nani Meera, tylko drżały mu ręce, na których przez cały czas wspierał ciężar swojego ciała. Zamknęłam oczy, marząc, by to się skończyło, i próbując ukryć się gdzieś w swoim wnętrzu, tak jak to robiłam przez tyle lat w Liverpoolu. Nie udawało mi się. Nie byłam w stanie się wyłączyć. Nie chroniła mnie już wewnętrzna zbroja, która w dzieciństwie i wczesnej młodości pozwalała mi zostać przy zdrowych zmysłach.

Teraz wiedziałam, jak może wyglądać pełne miłości zbliżenie fizyczne. Pamiętałam czułość Daouda i własną radość. To, co robił ze mną Somers, było najpotworniejszym, bestialskim gwałtem. Od czasów pana Jacoba nigdy nie zostałam tak brutalnie potraktowana. Czułam się tak, jakby kochanie się z Daoudem całkowicie mnie oczyściło, zatarło nawet

najgorsze wspomnienia. Zagryzłam wargi i poczułam krew. Chyba przez całe wieki Somers gorączkowo podrygiwał nade mną. W końcu na długą chwilę zamarł w bezruchu, a potem, jęcząc, ciężko na mnie opadł. Wstrząsały nim drgawki, w uszach dźwięczał mi jego chrapliwy oddech. W końcu Somers się uspokoił, a jego oddech się wyrównał i wyciszył. Wtedy niczego już nie słyszałam.

Próbowałam wysunąć się spod męża, ale jego ciało stawało się coraz cięższe i coraz bardziej bezwładne, chociaż w moim wnętrzu nadal czułam sztywny członek. Czyżby umarł? Czy to możliwe, żeby Nani Meera dała mi zbyt dużą porcję ziół i go zabiłam?

- Somersie - powiedziałam, wsuwając dłonie pod jego klatkę piersiową i odpychając go. - Wstawaj, Somersie!

Pchnęłam go wystarczająco mocno, by się ze mnie stoczył. Przez dobrą chwilę leżał na boku. Uderzyłam go mocno w twarz. Wydał jakiś dźwięk. Drgnęły mu powieki.

- Wstawaj - powiedziałam niskim, lodowatym głosem. - Wstawaj i wynoś się stąd!

- O co chodzi? - szepnął, otwierając oczy.

Miał powiększone, czarne źrenice i nienaturalnie czerwoną twarz. Smycz wciąż oplatała jego nadgarstek.

- Ulżyłeś sobie. Teraz wyjdź.

Usiadł i spojrzał na moje halki, które grubą warstwą spowijały biodra, na rozdarte reformy. Na moje włosy przyklejone do policzków.

Poderwał się z łóżka, gwałtownie odwinął smycz i rzucił ją na podłogę. Z trudem wbił się w kalesony, włożył spodnie i zapiał je drżącymi palcami. Próbował coś powiedzieć, w końcu oblizał wargi i odchrząknął.

- To znaczy, że wcale nie jesteś ze stali - powiedział. - Doprowadziłem cię do łez.

Dotknęłam dłonią twarzy. Poczułam na wargach sól.

- Nie powinnaś się ze mną drażnić, Linny - powiedział. — Może kiedyś to zrozumiesz.

Jednym szarpnięciem zsunęłam w dół suknię i odwróciłam się na bok.

- Chcę Malti - szepnęłam. - Przyślij do mnie Malti. Chcę się wykapać i zmyć z siebie twoje nasienie.

Wyszedł i wrócił dopiero pod koniec następnego dnia. Miał zaczerwienione oczy i pomięte ubranie. Nie rozmawialiśmy przez następny tydzień.

W pierwszym tygodniu września usiadłam w zniszczonym skórzanym fotelu przed biurkiem doktora Haverlocka. Był staruszką o kaprawych oczach, miał na sobie zaduszczone surduty. Mocne rumieńce sugerowały podagrę. Małym skalpelem wydłubywał brud spod paznokci. Był jednym z angielskich lekarzy w Indiach. Pracował w Kalkucie od dwudziestu lat, jak mi powiedziała pani Waterton, gdy wyznałam jej, że muszę iść na wizytę.

Chwyciła mnie za nadgarstek, a na jej twarzy pojawił się promienny uśmiech.

- Czy to...?

- Chyba tak - odparłam.

Sprawiała wrażenie bardzo zadowolonej. Prawdę mówiąc, była jedną z niewielu kobiet, które wciąż zapraszały mnie do siebie na popołudniowe wizyty. Pomimo problemów, jakich jej przysporzyłam, wyraźnie miała do mnie słabość.

- Zaczynałam się o ciebie martwić, ale niektóre kobiety naprawdę nie są w stanie znieść tutejszego klimatu. Musisz uważać i nie przemęczać się. Na twoim miejscu położyłabym się do łóżka i nie opuszczałabym go do końca.

Doktor Haverlock rozparł się wygodnie w zniszczonym fotelu.

- W czym mogę pani pomóc?

- Od jakiegoś czasu każdego ranka bardzo kiepsko się czuję - powiedziałam najbardziej niewinnym głosem, na jaki było mnie stać, nie odrywając przy tym wzroku od fałdów sukni. - Czasami bez żadnego powodu potwornie kręci mi się w głowie. Dziś rano, gdy poczułam zapach bekonu męża...



- Już wszystko wiem - przerwał mi. - Przypuszczam, że spodziewa się pani dziecka. - Z pudełka na biurku wyjął sporą szczyptę tabaki i głośno wciągnął ją w nozdrza. - Pierwsze?

Przytaknęłam.

- Ma pani jakieś pytania?

Tym razem przecząco pokręciłam głową.

- Ale... nie będzie pan musiał... mnie badać, prawda? - spytałam, udając potworne zażenowanie.

- Nie widzę powodu. Symptomy są całkiem wyraźne. Wystarczy, jeśli ustalimy datę przyjścia maleństwa na świat. Kiedy miała pani ostatni okres?

Spuściłam wzrok.

- Na początku lipca - skłamałam.

Staruszek długo przeglądał strony zabrudzonego kalendarza.

- W takim razie dziecka należy się spodziewać pod koniec marca.

Wstał, wyprostował plecy i z kieszeni kamizelki wyjął srebrny zegarek. Otworzył pokrywkę i spojrzał na cyferki.

- To chyba wszystko, pani... Jak się pani nazywa?

- Ingram. Jestem żoną Somersa Ingrama.

Twarz doktora Haverlocka się rozjaśniła; po raz pierwszy od mojego wejścia do gabinetu przyjrzał mi się z prawdziwym zainteresowaniem. Strzepnął tabakę z rękawa.

- Ach, Somers Ingram. Proszę, proszę. Sądzę, że będzie szczęśliwy, gdy usłyszy tę wiadomość.

- Tak.

Zabrałam rękawiczki i torebkę, po czym podeszłam do drzwi. Doktor Haverlock ruszył za mną.

- Gdyby źle się pani czuła, proszę do mnie przyjść - powiedział wyraźnie uprzejmie, jakby nazwisko Somersa go rozgrzało. - Proszę dużo odpoczywać. Proszę nie jeść mocno przyprawionych potraw, nie denerwować się, nie wpadać w histerię, a za jakieś siedem i pół miesiąca będzie po wszystkim. - Uśmiechnął się po ojcowsku i poklepał mnie po ra-

mieniu. - Poród to dość przykre przeżycie, ale, niestety, należy go uznać za zło konieczne.

Zmusiłam się do uśmiechu.

- Dziękuję, doktorze Haverlock. Otworzył mi drzwi.

- Gdy się zaczniesz, proszę wezwać do pomocy którąś z angielskich matron. Niech pani nie ufa hinduskim akuszerkom.

- Ależ oczywiście, panie doktorze — odparłam słodko. Uśmiech zniknął z mojej twarzy, gdy tylko usłyszałam tępy odgłos zamykanych drzwi.

Kiedy jeszcze tego wieczoru przekazałam Somersowi najświeższe wiadomości, dostrzegłam na jego twarzy sprzeczne emocje. Zaskoczenie, konsternację, podejrzliwość.

- O jakim dziecku mówisz?

- Czyżbyś zapomniał, Somersie? Przypomnij sobie ten wieczór, kiedy użyłeś smyczy Neela i...

Uniósł do góry rękę.

- Dobrze, już dobrze. Cholera. Nie chcę dziecka, Linny. Mówiłem ci, że nie będziemy mieli żadnych dzieci.

- Powiedziałaś również, że nigdy mnie nie dotkniesz.

Usiadł i wyciągnął przed siebie nogi.

- Nie chcę być ojcem. Czekałam.

- No cóż - powiedział w końcu. - Teraz już nic się nie da z tym zrobić. Może to cię uspokoi.

Przytaknęłam.

- Może.

18 września 1832

Drogi Shakerze!

Gratuluję Tobie i Celinie. Z prawdziwą przyjemnością dowiedziałam się o Waszych zaręczynach. Nie wspomniałeś, kiedy planujecie wziąć ślub. Czy wkrótce?

Wróciłam z Simli wcześniej, niż to było konieczne; jestem pewna, że do Liverpoolu dotarła już wiadomość o tragicznej śmierci Faith. To okropne, Shakerze, i nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam w pełni otrząsnąć się po tym wydarzeniu. Każdego dnia o niej myślę, rozmawiałam też z jej mężem. Wciąż się za niego modlę, ponieważ to dobry i życzliwy człowiek, który bardzo kochał Faith, nic więc dziwnego, że po jej śmierci pogrążył się w żalu.

Bardzo dobrze, że udało Ci się wybrać do Londynu i spędzić trochę czasu ze sławnym doktorem Frederickiem Quinem. Z niecierpliwością będę czekać na wieści o jego gabinecie homeopatycznym przy King Street (czy dobrze słyszałam, że ma być otwarty jeszcze w tym miesiącu?) i o wszystkim, czego się nauczyłeś.

Na przekór smutkowi odczuwanemu z powodu śmierci Faith, który, jak sądzę, jest również udziałem Celiny, wiem, że moja przyjaciółka każdej z nas życzyłaby dużo szczęścia. Widzę, że cieszy Cię możliwość wypróbowania nowej metody leczenia, a Celina z pewnością będzie wspaiałą towarzyszką życia. Ja również mam dla Ciebie dobrą wiadomość. Spodziewam się dziecka i jestem z tego powodu niezmiernie szczęśliwa.

Moje najserdeczniejsze życzenia

Linny

PS. Napar przyrządzony z liści skromnej roślinki *asa-gandh* - znanej w Anglii jako miechunka rozdęta - podaje się osobom, które cierpią na trudną do wyjaśnienia gorączkę i wewnętrzny niepokój.

Nigdy nie rozmawiałam z Somersem o mojej ciąży, chociaż czasem widziałam, że z pewnym przerażeniem spogląda na mój rosnący brzuch. Wysłałam Malti do Nani Meery z karteczką, prosząc, żeby mi pomogła przy porodzie, i załatwiłam wszystko, by mogła regularnie przyjeżdżać do Chowringhee, chociaż - oczywiście - spotykałyśmy się w domku dla służby. Czekałam na nią w jednym z małych, czystych pokoików, a ona po przyjściu dotykała mnie ciepłymi, suchymi rękami i mówiła, że ciąża

przebiega prawidłowo. Przyznałam się jej, że mam już za sobą jeden poród, na co stwierdziła, że to tylko ułatwi mi sprawę.

W następnych miesiącach byłam spokojna. Wymawiając się ciążą, zżalem odsyłałam odpowiedzi odmowne osobom, które zapraszały mnie i Somersa, i spędzałam mnóstwo czasu na werandzie. Gdy w Kalkucie zapadał zmierzch, czekałam, aż wieczorny wiatr poruszy liśćmi, słuchałam cykania świerszczy i kumkania żab. Zastanawiałam się, czy dziecko słyszy to samo, co ja. Gdy upały nieco zelżały i zaczął się okres chłódów, umiałam już w odpowiedni sposób brać igłę do ręki i przy pomocy Malti powoli uczyłam się szyć. Przygotowywałam maleńkie kaftaniki, kamizelki i koszulki dla dziecka.

Neel zawsze był u mojego boku. W towarzystwie Malti i Neela cieszyłam się z pierwszych ruchów dziecka. Nie posiadałam się z radości, że Daoud i ja daliśmy życie maleńkiej istotce. Nie chciałam nawet myśleć, co by było, gdyby moja pociecha miała zbyt ciemną skórę. Pamiętałam jednak, że Daoud miał karnację zbliżoną do Somersa, a oprócz tego mocne, białe zęby, silne ręce i twarde, muskularne ciało. Wiedziałam, że jeśli zdradzi mnie wygląd dziecka, będę musiała zabrać niemowlę i zniknąć. Nie wiedziałam, gdzie i jak, ale też na razie nie chciałam o tym myśleć.

Z nastaniem chłódów stałam się ociężała, wezwałam więc **durziego**, żeby uszył mi wygodniejsze stroje, luźniejsze i łatwiejsze do dopasowania.

Somers nienawidził tych sukni. Mówił, że obrzydliwie w nich wyglądam, że bez gorsetu wszystko mi zwisa. Nie pozwalał mi ich nosić, mimo to nadal z nich korzystałam, zwłaszcza gdy nie było go w domu.

Pewnego ranka, tuż przed Nowym Rokiem, przyglądał się, jak z trudem wstaję z głębokiego fotela i próbuję się pochylić, by podnieść Neela.

- Dostaliśmy zaproszenie od McDougallów. Powiedziałem im, że przyjdę sam, bo ty nie opuszczasz domu. Jesteś taka gruba - beształ mnie.  
- Przecież zostało ci jeszcze... ile? Trzy miesiące? Doktor Haverlock powiedział, że dziecko powinno przyjść na świat pod koniec marca, prawda?

Baczenie przyglądałam się uchu Neela.

- Tak, ale możliwe, że urodzi się wcześniej. Zapewnił mnie, że w trudnym indyjskim klimacie rzadko się zdarza, by kobieta donosiła dziecko. Poza tym jestem niska, więc prawdopodobnie wyglądam na grubszą, niż gdybym była nieco wyższa.

Urwałam. Somers był inteligentny. Nie chciałam, by uznał, że się dumaczę.

Rankiem dwudziestego szóstego lutego tysiąc osiemset trzydziestego trzeciego roku odczekałam, aż Somers pójdzie do pracy, a potem kazałam Mald przyprowadzić Nani Meerę.

- Dzisiaj jest dobry dzień na poród - powiedziała Malti z uśmiechem.  
- Gdy rano wstałam, dostrzegłam na niebie stadko siedmiu ptaków. To znak, że urodzi się chłopiec. - Zacisnęła dłonie. - Poinformuję wszystkich służących i każę im odmówić za panią *puja*.

Kochana Malti. Była moim jedynym sprzymierzeńcem, zawsze wierne przy mnie trwała i pilnie wykonywała wszystkie moje polecenia. Gdy wyszła, przypomniałam sobie silne bóle podczas wydawania na świat Frances i byłam przerażona.

Gdy godzinę później do pokoju wpadły Nani Meera i Yali, rozpłakałam się pod wpływem ulgi. Chwilę później Yali masowała mi skronie czymś chłodnym o ostrym zapachu, tymczasem Nani Meera rozkładała płótna, ostry nóż oraz zestaw ziół i olejków. Wczesnym popołudniem wypchnęłam syna w jej ręce.

- Zdrowy chłopak - powiedziała, z ogromną wprawą odcinając pępowinę i unosząc lśniącego noworodka. - Sądząc po krzyku, będzie odważny i nieugięty jak matka.

Uniosłam głowę i bacznie mu się przyjrzałam, obawiając się, co mogę zobaczyć. Na szczęście wyglądał jak każdy noworodek: miał czerwoną skórę, gniewną minkę na pomarszczonej buźce i cichutko popłakiwał, jakby się skarżył po ciężkiej podróży. Miał ciemnozłociste, wilgotne jeszcze włoski.

Malti zaklaskała w dłonie, zadowolona z pierwszych okrzyków dziecka. Popiskiwanie zamieniło się w pełen oburzenia głośny płacz, gdy Yali zaczęła zdecydowanie wycierać go ciepłymi, wilgotnymi szmatkami.

- Tylko posłuchajcie, jak krzyczy - powiedziała Malti. - Nikt nie będzie się z nim kłócił.

Luźno owinęła dziecko miękką flanelą, a kiedy Nani Meera ubrała mnie w świeżą nocną koszulę i poprawiła poduszki, dała mi malca w ramiona.

Gdy Malti ściągnęła z łóżka zabrudzoną pościel, a Yali pakowała torbę, Nani Meera przysunęła krzesło do mojego łóżka i pogłaskała noworodka po wilgotnej główce.

- Ma po tobie jasne włosy - powiedziała. - Spójrz, już błyszczą niczym pierwsze promienie Suryi.

Ujęłam jej dłoń.

- Dziękuję, Nani Meero - powiedziałam. - I mnie, i jemu... - Dotknęłam wargami aksamitnego czółka synka. - ...dałaś szansę na szczęście.

Nani Meera uścisnęła moją dłoń.

- Niczego ci nie dałam, Linny. Każdy sam tworzy własne przeznaczenie.

Yali na stoliku obok łóżka postawiła małą paczuszkę.

- Rozpuść to w wodzie i wypij dziś wieczorem - powiedziała Nani Meera. - Przy porodzie nie doznałaś żadnych poważniejszych obrażeń. Nie słuchaj angielskich *memsahib*, które zasypią cię dobrymi radami. Powiedzą, żebyś jeszcze długo leżała w łóżku, ale jeśli to zrobisz, jedynie stracisz siły. Poinformują cię, że dziecka nie należy zbyt często pieścić, i w tym też nie mają racji. Maleństwo na razie zna tylko ciepło twojego ciała i bicie twojego serca. Trudno mu się z tym rozstać. Wiem, że wasi ludzie tak właśnie postępują, ale może dlatego Anglicy są tak niechętnie nastawieni do ludzi, cofają się przed dotykiem, jakby ich parzył. Przytulaj swojego synka, Linny, mocno przytulaj go do siebie. Kołysz go i śpiewaj mu, okazuj swoją miłość. Tak postępowałam z Yali i Charlesem. Teraz żadne z nich nie boi się okazywać miłości i uczuć.

Niemowlę poruszyło się i odwróciło główkę w stronę mojej piersi.



- Zatrudniłaś mamkę?

- Nie.

Na twarzy Nani Meery pojawił się uśmiech.

- Przypuszczałam, że tak postąpisz. Angielskie damy będą miały jeszcze jeden powód do plotkowania na twój temat.

- Nic mnie to nie obchodzi.

- To dobrze. Musisz być silna przy tych srokach. Yali nauczy Malti przygotowywać napój z kminku i szparaga. Pij go codziennie, będziesz miała po nim więcej mleka - powiedziała. - Czeka cię jeszcze jedna trudna rzecz.

Spojrzałam na nią.

- Musisz pomóc mężowi uwierzyć, że to jego dziecko. Nie będzie ci łatwo, zwłaszcza gdy spojrzysz na malca i pomyślisz o jego ojcu.

Jeszcze raz dotknęła główki noworodka, a potem położyła dłoń na moim czole.

- Czy mogę wypowiedzieć błogosławieństwo? Przytaknęłam.

- Stała się światem swojego domu: czerwonym płomieniem w lampce oliwnej. Urodziła syna, w którego krainie jest pełno pięknych kwiatów i padają ulewne deszcze.

Poczułam, że do oczu napływają mi łzy. Przytuliłam twarz do jej ciepłych dłoni.

- To stare jak świat słowa, *Ainkurunuru* — wyjaśniła, trzymając głowę na moim czole.

Poczułam, jak z jej dłoni spływa do mojego ciała ciepło i dziwna moc.

- Wymyśliłaś już dla synka jakieś imię?

Ujęłam lekko zgięte paluszki malca i pocałowałam je.

- David. Będzie miał na imię David.

## Rozdział 34

Somers stanął w drzwiach z rękami w kieszeniach.

- Chodź i zobacz go - powiedziałam.

W tym momencie byłam tak bardzo szczęśliwa, że swą radością chciałam się podzielić nawet z Somerssem. Poklepałam łóżko obok siebie.

Podszedł, ale nie usiadł.

- Chcesz go potrzymać? Potrząsnął głową.

- Wygląda na zdrowego.

- Jest zdrowy. Mały, bo urodził się trochę wcześniej, ale zdrowy.

- No cóż - powiedział - pewnie będzie miał na imię Somers.

- Słucham?

- Damy mu na imię Somers.

Głos mojego męża brzmiał dziwnie bezbarwnie.

- Myślałam, że nazwiemy go David.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Zawsze bardzo podobało mi się to imię. Znaczący „ukochany”.

Mówiąc to, spojrzałam na dziecko. Miałam nadzieję, że w moim głosie nie słyhać determinacji. Gdyby Somers wiedział, jak bardzo mi zależy, żeby maleństwo, które stanowiło jedyne ogniwo łączące mnie z Daoudem, miało na imię David, zacząłby ze mną walczyć. I wygrałby.

- W takim razie niech będzie David Somers Ingram -ustąpił.

Noworodek skrzywił się, otworzył oczka i zrobił zeza.

- Ma moje włoski, Somersie, ale jego oczy... W tej chwili są ciemnoniebieskie jak u wielu noworodków, ale na pewno ściemnieją. - Uniosłam głowę i spojrzałam na Somersa. - Mam przeczucie, że będą ciemne jak oczy ojca.

Somers wstał.

- Możliwe. No cóż...

Przez cały czas patrzył na dziecko obojętnie. Czekałam z walącym sercem.

- Myślę, że zjem kolację w klubie.

Przytaknęłam z uśmiechem na ustach. A więc nie uważał, że David czymkolwiek różni się od innych angielskich dzieci.

Późnym wieczorem tego samego dnia, gdy nakarmiłam Davida, Mald wpuściła Neela, który dotychczas hasał po ogrodzie. Pies podbiegł do łóżka, wskoczył na nie, po czym zamarł w bezruchu i zaczął węszyć.

- Cześć, Neelu - powiedziałam. - Chodź, poznaj Davida.

Odsunęłam lekko fałdy flaneli od twarzyczki śpiącego malca. Neel podpełznął z dziwnie sztywnym ogonem. Spojrzał na mnie łagodnymi, ochrowymi oczami, a potem powąchał kocyk. Natychmiast zaczął warczeć i odsłonił kły.

Chwyciłam Davida i przycisnęłam go mocno do piersi. Zapłakał, obudzony nagłym ruchem, a wtedy Neel zaczął szczekać.

W tym momencie w drzwiach pojawił się Somers.

- A cóż to za kocia muzyka?! - krzyknął. - Neel!

Pies nie przestawał szczekać. Rozstawił nogi i zaczął się ode mnie odsuwać.

Przypomniały mi się słowa żołnierza z Simli: „Te psy są tak szkolone, by wyczuć choćby najbardziej nikłą woń koczownika i w razie potrzeby rozerwać go na strzępy”.

- Zabierz go, Somersie. Zabierz go stąd! - pisnęłam przerażona.

- Na litość boską! - huknął Somers, chwytając Neela za fałdy skóry na karku.

Wyniósł go, a po chwili wrócił.

- Jesteś zielona - powiedział. - Nic się nie stało. Myślę, że Neel nie lubi grać drugich skrzypiec.

- Gdzie on jest?

- Przywiązałem go na zewnątrz i dałem mu kość. Za kilka dni się uspokoi.

- Nie. Chcę, żebyś jutro oddał go Lelandom. Ivy marzy o psie dla Alexandra. Za tydzień wyjeżdżają z Kalkuty.

Somers zamrugał powiekami.

- Wydawało mi się, że go lubisz.

- Tak, ale nie chcę, żeby się kręcił w pobliżu niemowlęcia. Nie ufam mu.

- Możesz z nim robić, co zechcesz - powiedział Somers, wzruszając ramionami. - Idę do łóżka.

Godzinę później zostawiłam Davida z Mald i wyszłam pożegnać się z Neelem. Pogłaskałam go i pocałowałam jego kościsty łeb.

- Teraz nie będziesz tu już szczęśliwy - szepnęłam, płacząc w jego sierść.

Pomachał ogonem i polizał mi twarz.

Gdy przestałam płakać, usiadłam na zimnych kamieniach z Neelem na kolanach. Kochałam go, a on mnie. Niestety, musiałam się z nim rozstać.

1 lutego 1834

Drodzy Shakerze i Celino!

Wierzę, że pierwsze miesiące Waszego małżeńskiego życia przynoszą Wam dużo radości. Myślałam o Was w Boże Narodzenie i wyobrażałam sobie Wasz ślub.

Intrygują mnie Twoje studia związane z homeopadą, Shakerze. Życzę Ci dalszych sukcesów.

Zbliżają się pierwsze urodziny Davida. Trudno uwierzyć, że od jego przyjścia na świat minęło prawie dwanaście miesięcy. Ostatni rok upłynął bardzo szybko, chociaż każdy dzień ciągnął się bez końca.

Mam nadzieję, że wkrótce zrozumiecie, ile radości potrafi dać dziecko.

Wyrazy miłości dla Was obojga

Linny

PS. *Gadahpurna* to angielski barszcz zwyczajny. Kwitnie na początku pory deszczowej, dlatego mówi się tu o nim „narodzony z deszczu”. Używa się go w przypadku żółtaczk, a także ukąszenia przez węża lub szczura.

Pierwszy rok minął stosunkowo spokojnie. Wpadłam po uszy w świat fizycznych i emocjonalnych potrzeb Davida, pozwalając, by Malti pomagała mi tylko w drobnych sprawach. Nie mogłam znieść rozłąki ze moim

cudownym maleństwem, które sypiało ze mną w łóżku. Przez pierwszy rok ani na chwilę nie spuszczałam go z oczu. David pomagał mi zapomnieć o moim życiu z Somersem, o trudnej do zniesienia obecności innych Anglików, umożliwiał mi także wracanie myślami do chwil spędzonych z Daoudem.

Gdy minęły pierwsze i drugie urodziny, a David powoli stawał się coraz ruchliwszy i coraz bardziej niezależny, zaczęłam odczuwać potworną samotność. Zdarzały mi się coraz dłuższe okresy niepokoju i rozpacz. Widząc uśmiech Davida, tęskniłam za Daoudem, za wspólnie spędzonymi chwilami i za tym, co czułam w jego ramionach. Zaczęłam też odczuwać w piersiach ból, który nigdy mnie nie opuszczał.

Byłam obca we własnym domu, obca wśród członków brytyjskiej enklawy w Indiach. Jak większość kobiet spędzałam dużo czasu na zakupach w angielskich sklepach i w milczeniu spacerowałam z Davidem i Mald po *maidanie*. Jeździłam pa-lankinem w odwiedziny do żon innych pracowników Kompanii. Wyglądało na to, że zapomniały o moich „przejsiach”, co więcej, każdego roku wraz z flotyllą połowową pojawiały się nowe kobiety, które niewiele o mnie wiedziały, oprócz tego, że zajmuję wysoką pozycję i nie jestem zbyt towarzyska. Nadal jednak denerwowały mnie ich ograniczone poglądy. W Indiach o wiele surowiej przestrzegały angielskich tradycji niż w ojczyźnie. Gdy myślałam o swoim ciemnookim synku, przerażały mnie ich krótkowzroczność i nietolerancja. Nawet nie chciałam myśleć, co by się stało, gdyby ktoś poznał prawdę. Byłam wobec nich coraz ostrożniejsza, tak samo wobec Somersa; za wszelką cenę starałam się nie zwracać na siebie uwagi ani nie przekraczać norm, które obowiązywały w ich maleńkim świecie.

Somers nie miał już powodów, żeby mnie bić, chociaż wciąż od czasu do czasu wymierzał mi jakiś policzek; tak bardzo się zmieniłam, że nie interesowało go też znęcanie się nade mną. Brakowało mu wyraźnej podniety - uznał mnie za pokonaną. Pamiętałam, jak Daoud dzięki łagodności przełamał opór dzikiego konia. Somers postępował odwrotnie, natomiast ja stałam się bardziej uległa ze względu na syna.

Dni upływały mi zatem spokojnie. Byłam niemal całkiem odizolowana od świata zewnętrznego, czerpiąc radość z chwil spędzanych z Davidem, powoli jednak zaczęłam zdawać sobie sprawę, że nie mogę żyć bez końca z nerwami napiętymi do granic możliwości.

Gdy David miał prawie trzy latka, przypadkowo usłyszałam o grupce kobiet, które regularnie spotykały się na przeciwległym krańcu Garden Reach i opracowywały broszurki dla nowo przybyłych Angielek. Tematyka broszur była różna: od podstaw hindi potrzebnego do porozumienia się ze służbą, poprzez przepisy na indyjskie i angielskie potrawy, po radzenie sobie z drobnymi dolegliwościami spowodowanymi miejscowym klimatem. Uznałam, że chętnie włączę się do pracy nad takimi książeczkami. Grupka powitała mnie z radością. Zaczęłam pracować nad broszurą, która omawiała lecznicze właściwości indyjskich roślin. Poszczególne strony były drukowane na starej jak świat prasie przysyłanej z Madrasu. Obsługiwał ją pan Elliot, mąż kobiety, w której domu odbywały się spotkania. Pewnego razu, będąc w domu państwa Elliotów, pokazałam kilku paniom to, co przypomniałam sobie z introligatorni w Liverpoolu. Dzięki temu nasze broszurki zostały wzbogacone prostymi okładkami z kwiecistej bawełny i rysunkami na białym papierze welinowym. Eksperymentowałam też z kawałkiem czerwonego jedwabiu, haftując go złotymi i kolorowymi nitkami.

Bardzo sobie ceniłam te wieczory. Tyle czasu minęło od chwili, kiedy z niecierpliwością na coś czekałam i czułam się potrzebna.

Pewnego wieczoru, nucąc, szcztokowałam włosy i rozmyślałam o spotkaniu, które miało się odbyć następnego dnia. Właśnie zaczynały się chłody i jak zwykle o tej porze roku moje samopoczucie znacznie się poprawiało. Wdychałam świeże powietrze, które wpadało przez otwarte okno, szczypałam policzki, żeby nabrały rumieńców, i myślałam o pięknej czerwonej, jedwabnej okładce.

Wtem do mojego pokoju wpadł Somers. Staął w drzwiach. Zobaczyłam w lustrze odbicie męża i odwróciłam się twarzą do niego.



- Słyszałem, że zadajesz się z nieodpowiednimi ludźmi, Linny. Z ludźmi od książek.

Odłożyłam szczotkę.

- Uważam, że broszury dużo dają, zwłaszcza świeżo upieczonym mężatkom. Żałuję, że sama nie miałam do dyspozycji czegoś ta...

- Nie pójdziesz tam więcej.

Wstałam i zrobiłam krok w jego stronę. Uśmiech zniknął z mojej twarzy.

- Dla...dlaczego? Przecież to bardzo odpowiednie zajęcie dla dam. Powiedziałeś, że mogę...

Ponownie mi przerwał.

- Przy książkach pracują Hinduski, Linny.

- Niektóre z nich rzeczywiście mają domieszkę tutejszej krwi, ale...

- To mieszańcy. Tak samo jak Elliot, który pracuje jako urzędnik państwowy.

- Pan Elliot to doskonale wykształcony i bardzo spokojny dżentelmen. Ma czarującą żonę. Czy to ważne, że...

- Niczego się nie nauczyłaś od wypadku pani Snow?

- Miała na imię Faith.

- Wyraźnie zapomniałaś, że pozwoliłem ci się zadawać tylko z osobami, które mają czystą normańską albo saksońską krew.

- Myślisz, że kolor skóry tych ludzi ma wpływ na zawartość książek, Somersie?

Zacisnął szczęki.

- Próbujemy opanować chaos, który panuje w Indiach, i wszyscy musimy wspólnie pracować nad tym, żeby wprowadzić w tym kraju porządek. To również twoje zadanie, czy ci się to podoba, czy nie. Jesteśmy od nich lepsi, dlatego musimy robić wszystko, co nakazuje moralny obowiązek.

- Uważam, że najlepiej pomagam w taki właśnie sposób: przygotowując broszury dla Angielek, które niedawno przybyły do Indii. Dzięki temu łatwiej im przyjdzie zrozumieć tutejszą kulturę i dostosować się do indyjskiej rzeczywistości.

- Nie chodzi o broszury, tylko o towarzystwo. Jak powiedziałem, jest nie do zaakceptowania.

Podszedł do mnie.

Ze złości miałam przyspieszony puls.

- To znaczy, że mam wypełniać obowiązek, ale, broń Boże, nie wolno mi brać za to żadnej odpowiedzialności.

- Tłumacz to sobie, jak chcesz, Linny. Mówiąc krótko, możesz w wolnym czasie robić tylko to, co uznam za słuszne. Jesteś żoną *hurra s-hiba*, a nie jakiegoś niskiego rangą urzęd-niczyny. Nie możesz przynosić mi wstydu.

- Dlaczego miałbyś się wstydzić, że coś takiego robię? Pan Elliot powiedział...

- Doskonale wiem, co powiedział.

- Rozmawiałeś z nim? — Spojrzałam na ponurą twarz Somersa. - Jesteś zazdrosny, Somersie, bo robię coś wartościowego? Może po prostu nie podoba ci się, że mam jakąś pracę? Szanują mnie tam, wiesz? O to chodzi, prawda?

Wybuchnął śmiechem.

- Praca? Nazywasz to pracą? - Jego głos przybrał na sile. - Nie mam zamiaru dłużej tego słuchać.

Nim zdołałam się ruszyć, wymierzył mi siarczysty policzek.

Na dźwięk plaśnięcia rozległ się cichy, stłumiony płacz. Oboje odwróciliśmy się w stronę drzwi. W progu stał David i zasłaniał rączkami oczy.

- Davidzie, kochanie, mamusi nic się nie stało. Spójrz - powiedziałam, próbując się uśmiechnąć, gdy odsunął rączki od twarzy.

Podbiegł do Somersa i objął rączkami jego kolana.

- Nie bij mamusi. Nie wolno tego robić... Bicie jest złe. Odciągnęłam go i przytuliłam do siebie.

Somers poprawił mankiety.

- Mamusia była niegrzeczna, Davidzie - wyjaśnił. - Dlatego musiałem ją ukarać.

David próbował się wyrwać.

- Mamusia wcale nie jest niegrzeczna! - krzyknął. - Nie, już!

Napiął wszystkie mięśnie i zacisnął wargi. Na jego twarzyczce nie było ani cienia strachu; zamiast tego dostrzegłam złość.

- Wygląda na to, Davidzie, że ty również nie wiesz, co to dyscyplina - warknął Somers, a na jego policzkach pojawiły się czerwone plamy. - Nie masz prawa w taki sposób odzywać się do ojca.

Przycisnęłam Davida mocniej, próbując uchronić go przed ciosem. Bałam się, że Somers będzie chciał uderzyć również malca. Dotychczas tego nie robił; w ogóle nie dotykał Davida. Prawdę mówiąc, schodził mu z drogi i nie chciał go widzieć na oczy. Czułam jednak, że wkrótce może zdarzyć się coś złego.

Somers przeszedł obok nas. Po raz pierwszy, odkąd go poznałam, sprawiał wrażenie speszonego. Zawstydziło go niespełna trzyletnie dziecko.

Jeszcze tego samego roku znalazłam sobie inne zajęcie, w które nie byli zaangażowani niewłaściwi ludzie ani nie wymagało spotkań w nieodpowiednich dzielnicach Kalkuty. Odkryłam spokój, który przynosił ze sobą *Papaver somniferum* -mak.

W tysiąc osiemset trzydziestym szóstym roku, krótko po trzecich urodzinach Davida, ucieszyłam się na wieść, że Meg i Arthur Listonowie wrócili z Lucknow do Kalkuty. Po raz pierwszy spotkałam się z nimi, gdy przysłali dla Davida zaproszenie na drugie urodziny Gwendolyn Liston, córeczki Meg i Arthura.

Liczyłam na to, że odnowimy przyjaźń; doskonale pamiętałam, że w tysiąc osiemset trzydziestym roku Meg prezentowała u Watertonów poglądy bardzo podobne do moich.

Zaszokowała mnie zmiana, która w niej nastąpiła. Meg była wymizowana i dziwnie senna. Ślady po ospie sprawiały wrażenie głębszych, niż pamiętałam; może to cera tak je podkreślała. Nie byłam nawet pewna, czy sobie mnie przypomina. Podczas uprzejmego powitania powiedziała, że poprosiła Elizabeth Wilton o nazwiska dzieci, które mieszkają w pobliżu, a ta podała jej Davida. Wydawało mi się, że Meg usiłuje sobie

przypomnieć, kim jestem; chwilami odnosiłam wręcz wrażenie, że nie pamiętała okresu spędzonego u Watertonów. Byłam pewna, że jeśli uda mi się porozmawiać z nią sam na sam, znów odkryję w niej beztroską, pewną siebie i otwartą kobietę, jaką zapamiętałam sprzed sześciu lat.

Na przyjęciu dzieci i ich *ayah* bawiły się w ogrodzie w ogromnym namiocie w paski. Udawały małpki i gadające ptaki. Potem, po zjedzeniu tortu urodzinowego, zaproponowano malcom przejażdżkę na kucykach, a najmłodszy chłopcy i dziewczynki - łącznie z Davidem - zostali odpowiednio przymocowani do dziecięcych siodełek.

Matki w salonie za zamkniętymi okiennicami jadły małe ciasteczka i popijały lemoniadę. Gdy rozglądałam się po przesadnie udekorowanym pomieszczeniu, na stoliku z marmurowym blatem wśród niewielkich palm zauważyłam ogromne nargile. Był to mosiężny dzbanek i kubek z długą, podobną do węży rurką, która wiła się wokół niego i była zakończona ustnikiem z kości słoniowej. Musnęłam palcami gładką powierzchnię dzbanka. Była ciepła.

- Ładne *hubble-bubbk*, Meg - powiedziałam, gdy do mnie podeszła.

Teraz często łapałam się na tym, że podczas rozmów z kobietami posługuję się tutejszym slangiem, chociaż zawsze sobie obiecywałam, że nie będę używać bezsensownych słów wymyślonych przez Anglików w Indiach.

- Pan Liston je pali? - spytałam, podnosząc ustnik. Roześmiała się.

- Nie, ja. Dzięki wodzie jest znacznie łatwiej - wyjaśniła. - Woda schładza dym, nim dotrze do ust. O, proszę, oto nasza mała Gwendolyn. Podarła sukienkę!

Pobiegła do szlochającej córeczki. Kiedy zostałam sama przy nargilach, włożyłam między wargi odpowiednio wymodelowany ustnik z kości słoniowej. Był gładki. Wyczułam delikatny, słodkawy smak.

Meg pocieszyła córeczkę i oddalają pod opiekę *ayah*, a potem wróciła do mnie. Pozostałe kobiety podzieliły się na niewielkie grupki i pograżyły się w rozmowie.

- Może miałybyś ochotę od czasu do czasu ze mną zapalić? - spytała, uśmiechając się z roztargnieniem.

- Och, nie palę - odparłam. - Nawet nie lubię zapachu cygar Somersa.

- Ale z ciebie głuptasek! - zadrwiła Meg. - Wcale nie musisz palić w nich tytoniu.

Wysunęła małą szufladkę pod białą marmurową powierzchnią stolika i wyjęła z niej drewnianą szkatułkę z drewna mag-noliowego, z wieczkiem na maleńkich zawiasach. Otworzyła przykrywkę. W szkatułce leżało sześć czarnych kulek wielkości sporego groszku.

- Co to takiego? - spytałam, dotykając palcem kleistych kulek.

- Biały smok. Opium. Całkowicie nieszkodliwe. Składnik laudanum. Sama powiedz, co byśmy poczęły bez laudanum? Uratowało mnie podczas trzech porodów.

- Trzech? - spytałam, potem zacisnęłam wargi. Gwendolyn była jedynym dzieckiem Meg.

- Naprawdę go nie stosujesz? Potrząsnęłam przecząco głową.

- Na pewno przy synku... - Bacznie mi się przyjrzała. - Przecież nikt nie rodzi bez laudanum. Po co się męczyć?

Wydałam bliżej nieokreślony dźwięk.

- No cóż, przy następnym porodzie powinnaś spróbować. Zresztą na pewno dajesz jakieś lekarstwa synkowi - na przykład, gdy go coś boli. Godfrey's cordial albo mother bailey's.

- Tylko herbatkę ziołową, którą przyrządza dla niego moja *ayah*, gdy David ma problemy z brzuszkiem - powiedziałam.

Meg zmarszczyła czoło.

- Nigdy nie miewa czyraków, potówek, nie boli go ucho? Podczas upałów nie zdarza mu się gorączka? - Mówiła spokojnie, ale natarczywie.

Nie mogłam zrozumieć, dlaczego nagle zaczęły mnie dręczyć wyrzuty sumienia, że mam takie zdrowe dziecko.

- Ilekroć Gwendolyn jest nadmiernie podniecona albo nie chce wieczorami iść do łóżka, podaję jej to. To znacznie zdrowsze niż dżin, jakiego używają niektóre matki. Odkryłam, że godfrey's działa cuda. „Spokój za pensa” - jak piszą na butelce. Wtedy od razu zasypia. Dam ci buteleczkę. Przywiozłam ze sobą całą skrzynkę.

Przypomniałam sobie dziecko Elsie z Paradise Street - maleństwo, które zmarło po nadmiernej dawce syropu uspokajającego mother bailey's.

- David nie sprawia mi żadnych problemów - zapewniłam ją. - Mam szczęście.

Meg dotknęła nargili.

- Nieważne. Ja traktuję to nie jak lekarstwo, lecz zabawę. Popołudniami, gdy wszyscy ucinają sobie drzemkę, puszczam parę dymków. Większość moich przyjaciółek w Lucknow paliła opium. Nazywałyśmy je radością marzyciela. Może wpadniesz w przyszłym tygodniu i spróbujesz?

- Nie wiem...

- Daj spokój, Linny. Słyszałam, że jesteś odludkiem i tkwisz jak kołek w wielkim, zamkniętym domu. Nie marzysz o odrobinie rozrywki?

Spojrzałam na jej zielone oczy i ciężkie powieki. Poczułam, że pociąga mnie jej nieruchome spojrzenie.

- W porządku. W przyszłym tygodniu. Ale, Meg - zastrzegłam się - spróbuję tylko raz.

Kiedy przytaknęła, zauważyłam, że nie jest już śmiałą istotą, którą pamiętałam. Najwyraźniej przestała ulegać szalonym impulsom i chętnie rozmawiać o swoich ideałach. Sprawiała teraz wrażenie tak samo znużonej i apatycznej jak pozostałe kobiety, które zbyt dużo czasu spędziły w Indiach.

## Rozdział 35

W następnym tygodniu, we wtorek, siedziałam w salonie Meg i wsłuchiwałam się w szelest *punkah* nad naszymi głowami. Przyszło mi na myśl, że nie powinnam przychodzić, ale tego dnia nasz dom był cichszy i bardziej duszny niż zazwyczaj. Somers wyjechał na dwa tygodnie na polowanie, a David większość czasu spędzał na werandzie z Malti. Niemal



przez cały czas grał na mniejszych i większych bębenkach, a każde uderzenie w mocno naciągniętą kozią skórę wywoływało w mojej czaszce potworny ból. Nawet tykanie zegara na gzymsie brzmiało nienaturalnie głośno, dlatego czułam nieprzepartą chęć ucieczki z domu, który uważałam za ponure więzienie.

Posłałam *chuprassiego* z liścikiem do Meg. Od razu odpisała, że z przyjemnością się ze mną spotka. Kiedy wolnym krokiem weszła do salonu, promienny uśmiech na jej twarzy jeszcze bardziej uwydatniał kości policzkowe. Uśmiechała się tak samo jak podczas pobytu u Watertonów, co bardzo mnie ucieszyło. Może poprzednio się pomyliłam? Tego dnia wydawała się inna - przytomniejsza i bardziej komunikatywna.

- Linny! Tak się cieszę, że przyszedłaś! - zawołała z błyskiem w oczach.

- Na pewno nie jesteś zajęta? - spytałam. - Wiem, że powinnam przysłać wizytówkę jeszcze wczoraj, ale...

Meg machnęła ręką.

- Zajęta? Czym tu można się zająć? Chodź, usiądź obok mnie.

- O tyle rzeczy chciałabym cię spytać, Meg. O twoje podróże z panem Listonem. Musiałaś tak dużo widzieć!

Ponownie machnęła ręką, jakby to, co powiedziałam, nie miało żadnego znaczenia.

- Nie można przez całe życie włóczyć się po świecie. Z pewnością zdążyłaś się już przekonać, że będąc w Indiach, cały wysiłek trzeba włożyć w przetrwanie.

- Nie napisałaś książki o świątyniach? Nie opublikowałaś szkiców na temat tutejszych obyczajów? Opowiadałaś o tym z taką pasją...

Meg popadła w zadumę, ale tylko na chwilę.

- Prawie zapomniałam. Jakim cudem wciąż pamiętasz moje głupie pomysły? - Wzruszyła ramionami. - To się działo dawno, dawno temu, kiedy byłam młoda i głupia.

- Wcale nie tak dawno, zaledwie sześć lat temu.

- Dla kobiety sześć lat w Indiach jest równoznaczne z dwunastoma latami w kraju. Ty też na pewno się zmieniłaś, Linny. Wciąż jesteś taka sama jak po przyjeździe?

Potrząsnęłam głową.

- W takim razie... - powiedziała niemal z triumfem, jakby była z tego zadowolona.

Przysunęła do sofy mały bambusowy stolik, potem ustawiła na nim nargile. Obok położyła szkatułkę z drewna mangow-ca, z rogu stołu wzięła małą lampkę naftową i ją zapaliła.

- Teraz jesteśmy gotowe - oznajmiła. Klasnęła na chłopca, który stał przy drzwiach.

- Każ kucharzowi zaparzyć trochę herbaty i przynieś mi ją - rozkazała.

Chłopiec uklonił się i wybiegł.

- Po wszystkim zawsze bardzo chce mi się pić - wyjaśniła. - Najpierw przyglądaj się uważnie, co robię, a za chwilę przyjdzie kolej na ciebie - ciągnęła. - Niektórzy ludzie mają wrażenie, jakby znajdowali się na rozkołysanym morzu, ale to szybko mija. Nie przejmuj się - dodała z uśmiechem - i spróbuj się zrelaksować.

Wyjęła szpilkę z byle jak ułożonych jasnych włosów i nabiła na jej czubek niewielką czarną kulkę opium. Przez chwilę trzymała szpilkę nad ogniem, a gdy masa zmiękła, umieściła ją w niewielkim otworze. Następnie włożyła ustnik między wargi i głęboko, z sykiem nabrała powietrza w płuca. Gdy wstrzymała oddech, w pomieszczeniu zapadła cisza. Potem Meg wypuściła przez nozdrza kłęby dymu. Biały obłok zawirował wokół mojej głowy, a ja poczułam słodkawy zapach, który przypominał nieco woń zgnilizny.

Nie wypuszczając z rąk ustnika fajki, Meg oparła głowę na miękkiej poduszce. Spoglądała na coś będącego daleko poza zasięgiem mojego wzroku.

Czekałam tak długo, jak mogłam.

- Meg? - szepnęłam w końcu.

Zamrugała powiekami. Wokół czarnych źrenic widać było tylko cieniutkie obręcze zieleni.

- Mogę spróbować, Meg?

W milczeniu, bez wysiłku, przygotowała dla mnie nargile. Włożyłam ustnik między wargi i wciągnęłam ciepłe powietrze przez bryłkę opium. Dym bez trudu wpłynął do moich płuc. Natychmiast poczułam sympatyczne zawroty głowy.

Po długim, bardzo długim czasie usłyszałam własny głos, który dochodził z oddali.

- Teraz wszystko rozumiem.

Czas zamienił się w cienisty półmrok, który układał się w delikatny wzór, bez końca zwijał się i rozwijał. Byłam kawałkiem kolorowego szkieleka w kalejdoskopie, który jako dziecko przykładałam do oka w Liverpoolu, stojąc między zakurzonymi półkami w Armbruster's Used Goods.

Byłam elementem większego, wciąż zmieniającego się wzoru. Wydawało mi się, że czuję w żyłach każdą chwilę mojego życia.

Od tego czasu niemal codziennie wstępowałam na godzinę lub dwie do Meg, żeby wypalić nargile. Po kilku głębszych wdechach przestawałyśmy rozmawiać, a ja zapadałam w spokojny, marzycielski letarg. Nauczyłam się kierować swoimi wizjami, w których czasami zwiślałam w próżni, a kiedy indziej frunęłam do pięknej kaszmirskiej doliny. Od tego wszystko się zaczęło. Nadawałam kształt swoim snom.

Czasami jechałam okrakiem na koniu przed Daoudem, czując na plecach ciepło jego szerokiej klatki piersiowej; to znów otaczał mnie ramieniem i przytulał do swojego twardego ciała. Niemniej to uczucie nie budziło we mnie namiętności. Stanowiło ponadczasowe marzenie, które zmieniało się i pogłębiało. Chociaż Daoud nigdy się nie odzywał, odnosiłam wrażenie, że mówi mi różne rzeczy albo recytuje wiersze. Byłam szczęśliwa, a mój umysł pływał w morzu ciepła. Gdy sen się kończył, wracałam na sofę w salonie Meg i odczuwałam dziwną euforię.

Byłam wdzięczna Meg. Podczas pierwszych randek z makiem myślałam, że moja dawna przyjaciółka uratowała mi życie.

Wracając do domu palankinem z zaciągniętymi zasłonami, czułam, że w moich żyłach zamiast krwi płynie płyn lżejszy od powietrza. Wydawa-

ło mi się, że jeśli rozsunę zasłonki, pofrunę nad Kalkutą, jakbym nic nie ważyła.

Najwięcej radości sprawiał mi fakt, że przez wiele godzin po wizytach u Meg wciąż jeszcze miałam przed oczami twarz Daouda: wydawał mi się rzeczywisty i żywy, niczym portret w sekretnym schowku w broszce.

Po kilku tygodniach uznałam, że postępuję bardzo nieuprzejmie, odwiedzając Meg tylko po to, żeby wypalić nargile, chociaż dotychczas nie zgłaszała żadnych zastrzeżeń. Wiedziałam, że i tak każdego popołudnia pali opium - czy jestem u niej, czy nie.

- Meg - spytałam pewnego dnia, zanim wyjęłyśmy fajkę wodną. - Czy mogę sama kupić sobie opium?

- Oczywiście. Ogromne kompanie angielskie uprawiają mak na polach w północnych Indiach. Najlepsze odmiany rosną w okolicach Patny. Pan Liston był kiedyś w Patnie w interesach. Opowiadał mi, że jest tam ogromna fabryka z przestronnymi halami, w których suszy się sok z maku, a potem robi kule o rozmiarach niewielkiego pomieszczenia. Wyobrażasz sobie? Widział też magazyn z półkami aż pod dach, pomieszczenie tak wysokie jak pięciu ludzi, gdzie leżą tony opium. Większość przerabia się na placki i sprzedaje w ogromnych ilościach do Chin. W ten sposób Kompania wyrównuje deficyt.

Nalała sobie herbaty, która zawsze czekała na stoliku.

- Czy twój mąż nigdy nie opowiadał ci o problemach z Chińczykami?

Potrząsnęłam głową. Somers i ja nie rozmawialiśmy na żadne konkretne tematy. Prawdę mówiąc, w ogóle nie rozmawialiśmy, chyba że byliśmy w tym samym pomieszczeniu co David.

- Chcąc zaspokoić zapotrzebowanie w kraju na chiński jedwab i herbatę, Anglia musiała płacić srebrem w sztabkach. Teraz próbujemy odzyskać srebro. Chińczycy nie potrzebują naszych wyrobów włókienniczych, natomiast bardzo chętnie kupują opium. Arthur twierdzi, że rokrocznie do Kantonu wędruje kilka tysięcy ton. Oczywiście, wszystko zgodnie z prawem. W końcu rezultaty palenia opium są prawie tak samo nieszkodliwe

jak wypicia kieliszka wina albo - w przypadku mężczyzn - wypalenia cygara po kolacji.

- Można je dostać tutaj, w Kalkucie, czy sprowadzasz je z Lucknow?

Meg wzruszyła ramionami.

- Kupuje się je tak samo łatwo jak herbatę, Linny. Wyślę do ciebie mojego *box-wailaha*. Będiesz mogła się z nim umówić, jaką ilość i kiedy chcesz dostać. Jest stosunkowo drogie i trzeba za nie płacić gotówką, czyli w rupiach. Masz jakieś pieniądze?

Uśmiechnęłam się nieszczercze.

- Znajdą się.

- W takim razie w porządku. W piątek rano czekaj na mojego człowieka. Ma na imię Ponoo. Odwiedza mnie właśnie w piątki. Potem każe mu iść prosto do ciebie.

\*

Ponoo był niskim, zezowatym człowieczkiem, pozbawionym szyi i wszystkich palców lewej ręki. Oprócz opium sprzedawał pastę anchois, francuskie wstążki do włosów i sprzęt kuchenny. Od czasu do czasu korzystałam z usług domokrażców, zazwyczaj podczas potwornych upałów i monsunów.

Ponoo przyszedł w piątek tuż po dziesiątej. Wręczył mi niewielką puszczykę i podał cenę. Szybko położyłam na bezpalce dłoni rupie, które zabrałam z sejfu w pokoju Somersa. Somers nie miał pojęcia, że odkryłam jego tajny schowek i wiem nawet, gdzie trzyma do niego kluczyki. Czyżby myślał, że gdy nie ma go w domu, nigdy nie wchodzę do jego sypialni? Sejf znajdował się za fałszywą deską w jego biurku; znalazłam go z nudów w pewne długie deszczowe popołudnie w pierwszym roku naszego małżeństwa. Somers nigdy nie dawał mi żadnych pieniędzy; tak samo jak inne Angielki musiałam korzystać z podpisanych bonów i nimi płacić za wszystko. Następnie bony były odsyłane bezpośrednio do mojego męża, dzięki czemu dokładnie wiedział, co kupuję.

W sejfie trzymał dokumenty, różne papiery i kasę ogniotrwałą. Od początku naszego małżeństwa regularnie go okradałam i odkładałam pieniądze tam, gdzie nie mógł ich znaleźć. Oczywiście, w celu ochrony przed insektami i wilgocią musiałam je trzymać w małym pudełeczku. Za każdym razem, kiedy podbierałam drobne sumki, czułam tę samą siłę, która sprawiała mi ogromną radość w dzieciństwie, gdy ukrywałam drobne przedmioty w kapelusiku albo butach, kiedy sapiący mężczyzna odwracał się do mnie plecami, żeby się umyć i pozapinać guziki. Widocznie Somers nie prowadził dokładnych rachunków przychodów i rozchodów. Po pierwszym razie zorientowałam się, że nie liczy pieniędzy - gdyby to robił, sprawa od razu wyszłaby na jaw. Oskarżyłby wtedy albo służących, albo mnie, a ja nie pozwoliłabym, żeby ukarał za mój czyn któregoś z Hindusów. Zostałabym zbita, a Somers dopilnowałby, żebym nigdy więcej nie zobaczyła kasy ogniotrwałej na oczy.

Gdy *box-wallah* poszedł, dałam Mald następne rupie i wysłałam ją na bazar, żeby kupiła mi nargile. Nie zwracałam uwagi na jej zdziwione spojrzenie. Wróciła z małą, ale wspaniałą fajką: dzbanek i kubek lśniły srebrzyście, migotały na nich ziejące ogniem smoki, a ustnik został wykonany z rzeźbionego, zielonego nefrytu.

Obiecałam sobie, że tylko od czasu do czasu będę palić opium, żeby odegnąć od siebie podły nastrój. Przez tydzień trzymałam się swojego postanowienia, a potem coraz częściej korzystałam z pomocy białego smoka. Ponoś stał się moim regularnym piątkowym gościem.

Używałam nargili tylko wtedy, gdy David spał albo bawił się na zewnątrz z Malti. Nie robiłam tego nigdy, gdy Somers był w domu. Choć Meg mnie zapewniała, że magiczne czarne kulki cieszą się ogromną popularnością i powszechną aprobatą, krępowałam się, iż korzystam z przyjemności dostarczanych przez białego smoka.

Po jakimś czasie zaczęłam używać fajki. Łatwiej było ją palić niż nargile.

24 czerwca 1837

Drodzy Shakerze i Celino!



Cieszę się, że już wkrótce Manchester i Liverpool połączy linia kolejowa. Z przyjemnością usłyszałam również o Waszym nowym domu na wsi, w Cheshire. Przypuszczam, że miło ukryć się w nim przed hałasem i ciągłą krzątaniem tak typową dla Liverpoolu, cieszyć się świeżym powietrzem i spokojem.

Przepraszam, że ostatnio tak rzadko piszę. Czasami odnoszę wrażenie, że czas stoi tu w miejscu. Podczas upałów pióro samo wypada z ręki. Nasączone wodą *tattie* i przyrządy do chłodzenia powietrza niewiele pomagają w walce z bezlitosnym słońcem. Żar lejący się z nieba sprawia, że ciężko nawet myśleć. To smutne stwierdzenie, zwłaszcza że jedyną prawdziwą bronią przeciwko takiemu klimatowi jest umysł.

Żar zalewa wszystko niczym woda kamienie. Czasami wydaje mi się, że jestem liściem na jednym z naszych drzew, pokrytym warstwą kurzu, wyblakłym, zwisającym na wiotkim ogonku. Gdybym się poddała i upadła na ścieżkę, od razu zostałabym odmieciona przez któregoś z naszych służących.

David rośnie. Jest ślicznym dzieckiem.

Z wyrazami miłości  
Linny

PS. Następnym razem opowiem Wam, do czego Hindusi wykorzystują cynamon.

## Rozdział 36

*Okres upałów, 1838*

Spojrzałam z góry na śpiącego Davida i wymamrotałam: *Nini, baba, nini*. Spij, dziecinko, spij.

Poruszył się niespokojnie. Jego złociste włoski były przyklejone do czoła. Odgarnęłam niesforne kosmyki, potem wytarłam wilgotną twarz szmatką i znów zaczęłam: *Nini, baba, ni...*

- Skończ z tymi idiotyzmami, Linny!

Somers ciężko oparł się o klamkę. Jego włosy były zlepione potem, koszula mokra na torsie. Wstałam, opuściłam moskiderę wokół łóżka Davida i kiwnęłam na chłopca, który obsługiwał *punkah*, żeby zaczął energiczniej poruszać wachlarzem.

- Nie budź go - szepnęłam, gdy znalazłam się na korytarzu. - Trudno go uśpić przy takim upale.

Somers potrząsnął głową.

- Śpiewasz mu cholerne hinduskie kołysanki, jakby wciąż był niemowlęciem. Wystarczy, że Malti go rozpieszczą.

- Wszystkie *ayah* rozpieszczą swoich podopiecznych, So-mersie. Takie już są.

- Dlatego dobrze, że do jasnej cholery angielskie dzieci zostają w Indiach najwyżej do ukończenia szóstego roku życia.

Odwróciłam głowę; słowa, które wypływały z ust Somersa, brzmiały obscenicznie.

- To duży, silny chłopiec. Skończył już pięć lat, dlatego należałoby go traktować odpowiednio do wieku. Nie dalej niż za rok trzeba go będzie wysłać do kraju.

Wstrzymałam oddech. Nie chciałam nawet o tym myśleć. Zbyt mnie to przytyaczało. Nie zniosłabym rozłąki z Davidem, a jakoś nie mogłam uwierzyć, by Somers pozwolił mi jechać z synem do Anglii. Przecież wyraźnie zapowiedział, że muszę być zawsze pod jego nadzorem i nie ma zamiaru dawać mi swobody.

- Tak - kontynuował - powinien zacząć się uczyć, poza tym należałoby mu wpoić odpowiednie maniere. Tymczasem ty pozwalasz mu biegać boso z dziećmi służby. Szczerze nad tym ubolewam. Dopuszczasz, żeby rozmawiał w hindi... W miejscowych narzeczeniach pełno jest niestosownych słów i niemoralnych pomysłów. Nie wiem, jak długo jeszcze zdołam tolerować jego nieodpowiednie zachowanie.

Jak on śmie mówić, że ktoś jest niemoralny, podczas gdy sam jest bydlęciem, które z upodobaniem krzywdzi chłopców i przy każdej okazji podnosi na mnie rękę?!

- Przynajmniej jest zdrowy i silny - wybuchnęłam. - Czy to nie najważniejsze? Na cmentarzach w Indiach leży mnóstwo angielskich dzieci.

Przypomniały mi się słowa Mald, wypowiedziane zaledwie poprzedniego dnia podczas ścinania kwiatów w ogrodzie. W którymś momencie oderwałyśmy się na chwilę od pracy, żeby spojrzeć na Davida, który z ożywieniem rozmawiał z siedmioletnią córką *maliego*.

- Mój David-òòèà w niczym nie przypomina Anglika - powiedziała Malti, śledząc każdy jego ruch.

David był opalony; często zapominał o wkładaniu znienawidzonego *topi*, mimo to nigdy nie miał poparzeń skóry. Jego głowę otaczała burza błyszczących, jasnych loków, a czarne oczy błyszczały, gdy rozmawiał w hindi o ogromnej ropusze, którą razem z dziewczynką złapali w ogrodzie. Ona trzymała w rękach wywijającego się płaza, a David go głaskał.

- Tak, *David-baba* bardziej przypomina rdzennych mieszkańców Indii, jest silny i niczego się nie boi, prawda, *mem* Linny? Nie choruje tak jak inne angielskie *baba*, nie jest apatyczny ani nerwowy jak one. Chodź, mój *choti baba!* — zawołała. - Chodź. Pocałuj swoją *ayah*.

David spojrzał na nas i zmarszczył czoło.

- Nie jestem małym dzieckiem, Malti. Prawda, mamusiu? Jestem wojownikiem, wsiądę na konia i wezmę udział w bitwie. Ropuchajest naszym więźniem, cesarzem Chin!

Odbiegł razem z dziewczynką, aja, tak samo jak każdego dnia, pomyślałam, jak bardzo David przypomina ojca - tak samo jak on jest prostolinijny, dumny i serdeczny.

Zamrugałam, spoglądając na Somersa w ciemnym salonie. W ciągu siedmiu lat naszej znajomości bardzo się zmienił. Teraz już wcale nie był przystojny: z powodu jedzenia dużych ilości dustych potraw bardzo przybrał na wadze, jego twarz była nalana od ciągłego picia, zapuścił też brodę, która dodawała mu lat. Co będzie z Davidem... i ze mną?

- *Mem* Linny! - zawołała cicho Mald, stając za drzwiami mojej sypialni. - Przyszły zaproszone damy.

Otworzyłam drzwi.

- Usadziłaś je w salonie?

- Oczywiście. Bardzo ładnie dziś pani wygląda, *mem* - dodała Mald, zerkając na moją ozdobioną falbankami suknię. - Musi pani częściej ubierać się w takie stroje.

Głęboko odetchnęłam, po czym przywołałam uśmiech na usta i weszłam do salonu.

- Witajcie, Hildo i Jessico. Cieszę się, że was widzę.

Obie panie wstały i każda z nich pocałowała mnie w policzek. Były żonami współpracowników Somersa; pomimo wzajemnej niechęci często się odwiedzałyśmy ze względu na to, że nasi mężowie razem pracowali.

- Lepiej się czujesz, moja droga? - spytała Hilda z wyraźnym niepokojem. - Somers mówił, że w ubiegłym tygodniu brakowało ci sił. Wypatrywałyśmy cię na wieczorku muzycznym u Sawyerów- Było miło, chociaż, oczywiście, wyższe rejestry altówki Fredericka Jewitta wciąż brzmią nieco piskliwie.

- Czuję się bardzo dobrze, dziękuję - odparłam. Próbowałam sobie przypomnieć, kiedy było przyjęcie u Sa-

wyerów i czy w ogóle o nim słyszałam. Somers już od dawna nie mówił mi o spotkaniach towarzyskich, bo wołał chodzić na nie sam. Wiedziałam, że pojawia się na chwilę, a potem szybko ucieka, tłumacząc, że jestem chora, chociaż rzadko wracał od razu do domu.

- Muszę ci powiedzieć, Linny, że właściwie nie miałabym nic przeciwko chorobie, gdybym dzięki niej mogła utrzymać wagę albo jeszcze bardziej schudnąć. Jak ty to robisz, że wciąż jesteś taka szczupła w talii? Żaden gorset nie da takiego efektu.

- Urodziła tylko jedno dziecko. To wszystko wyjaśnia, Hildo - wybuchnęła Jessica. - Uwierz mi, po sześciu porodach można zapomnieć o szczupłej sylwetce.

Z żalonym wyrazem twarzy spojrzała w dół na swoje potężne brzuszisko, a potem uraczyła się bułeczką ze śmietanką.

- No cóż, Linny, musisz dać Davidowi braciszka albo siostrzyczkę - powiedziała Hilda, uderzając się w kolana złożonym wachlarzem.

Potem wyjęła z torebki małeńkie, zamykane lusterko i bacznie przyjrzała się swojej marchewkowej fryzurze ułożonej nad wysokim czołem.

- Ile ma lat? Pięć? Zanim się zorientujesz, zostanie odesłany do kraju. Kto cię wtedy uchroni przed samotnością, jeśli nie następne dzieci?

Zamknęła lusterko i wsunęła je do torebki.

- Kiedy Sarah i Florence wyjechały do Anglii, zwariowałabym bez małej Lucy. Nim ona wyjedzie, mam nadzieję, że Sarah zdąży wrócić.

- Tak - zgodziłam się, potrząsając głową, gdy *khitmutgar* zaproponował mi szklankę lemoniady.

- Słyszałaś, co wczoraj wydarzyło się na *maidanie*? - spytała Jessica.

Zadowolona, że w końcu zmieniły temat, wychyliłam się do przodu.

- To najdziwniejsza rzecz pod słońcem - ciągnęła, oblizując śmietaną z kciuka. - Jakiś... ciemnoskóry mężczyzna... no wiesz, nie Hindus, chociaż i tak miał ciemną skórę, jeździł wokół *maidanu* na ogromnym koniu. Niektórzy twierdzą, że przyglądał się Angielkom. Sama tego nie zauważyłam, ale wyobrażasz sobie taką sytuację? To bardzo niepokojące.

Po chwili jej opowieść przejęła Jessica.

- Byłam tam - wyznała triumfalnie, jakby chwaliła się jakimś heroicznym wyczynem. - Żadna z nas nie miała pojęcia, czego szuka ten ogromny zbój, który miał czelność się nami interesować. Prawdopodobnie znudziły mu się takie jak on i podniecają go białe kobiety. Byłam roztrzęsiona, gdy skierował wzrok w moją stronę. - Kokieteryjnie dotknęła wyblakłych włosów. - Oczywiście, szybko go zabrano, ale... och, co ci jest, Linny?

Wstałam i przycisnęłam do brzucha drżące dłonie.

- Chyba jeszcze nie do końca wyzdrowiałam po ostatniej chorobie.

- Usiądź, Linny. Oddychaj głęboko. Hildo, dokończ swoją opowieść.

- No cóż, był odważny i butny, ale nie miał w sobie nic z dżentelmena... Oczywiście, nie mógł mieć. W końcu to tylko jeden z tubylców, ale siedział na koniu, jakby cały skwer należał do niego.

Obie spojrzały na mnie.

- Jestem pewna, że mi wybaczyście.

Wybiegłam z pokoju. Tuż za drzwiami zrobiło mi się słabo, musiałam oprzeć się o ścianę.

- Nie wytrzyma tu już zbyt długo - usłyszałam słowa Hildy. - Kruche i nerwowe kobiety nigdy nie potrafią dostosować się do tutejszej rzeczywistości. Prawdę mówiąc, nic z niej nie zostało. Poza tym ma coś dziwnego w oczach, nie sądzisz? Są bardzo ciemne. Za ciemne.

- Żal mi jej męża. Jeśli Linny zawsze tak fatalnie się czuje, musi być kiepską towarzyszką. Nic dziwnego, że nie mają więcej dzieci. Jej mąż prawdopodobnie zdaje sobie sprawę, że następna pocięcha by ją zabiła. Biedny człowiek.

Odzyskałam równowagę i powlokłam się do swojej sypialni. Nie wiedziałam, kiedy stałam się jedną z kruchych i nerwowych ofiar Indii. Przecież one opisywały Faith. Albo kobietę, jaką obecnie była Meg.

Tego wieczoru po położeniu Davida do łóżka poszłam do ogrodu. Powoli podeszłam do akacji przy bramie i musnęłam palcami szorstką korę. Wydawało mi się, że coś w powietrzu zapowiada deszcz. Czyżby w tym roku monsuny miały nadejść wcześniej?

Z ciemności za domem dobiegło szczekanie szakala, a potem trzepot skrzydeł. Przekrzywiłam głowę i obserwowałam ogromne nietoperze, które podrywały się z akacji i przecinały skrzydłami pociemniałe niebo. Oparłam się o pień i spoglądałam na ciemną, pustą ulicę, wyteżając słuch, czy nie słyszę stukotu kopyt. Często w Kalkucie pojawiał się jakiś Pa-tan. To jeszcze nic nie znaczyło.

Długo stałam wpatrzona w ulicę, która prowadziła na *mai-dan*. Robaczki świętojańskie zaczęły tańczyć wokół mnie jak maleńkie światełka, niebo pociemniało i zasnuło się chmurami, a księżyc z trudem torował sobie wśród nich drogę. W końcu Somers ostro kazał mi wracać do środka.

Następnego ranka siedziałam na werandzie i wciąż od nowa czytałam tę samą stronę książki. Spałam w nocy najwyżej godzinę lub dwie, bardzo bolała mnie głowa. Malti wróciła do domu z codziennych zakupów.



Na jej ciemnej twarzy dostrzegłam niepokój. Stawiając na biurku nowy kałamarz z atramentem, mruczała coś pod nosem.

- O co chodzi, Malti? - spytałam, wchodząc do sypialni. Malti przyjrzała mi się z ukosa.

- O nic, *mem* Linny - odparła, poprawiając papier, gęsie pióra i książki.

Potem cofnęła się i wbiła we mnie wzrok.

- Widzę jednak, że coś się dzieje, Malti. Musisz mi powiedzieć. - Oblizalam wargi. - Czy... coś się dzisiaj wydarzyło? Coś... niezwykłego?

- Nic się nie wydarzyło - odparła szorstko.

- Może w takim razie słyszałaś jakieś nowe plotki? Malti przesuwała kałamarz po wypolerowanym drewnie.

- Zwykle nie pyta pani, o czym ludzie pytują na bazarze.

- No cóż, dzisiaj mnie to interesuje.

- Nie warto powtarzać, *mem*. Wiele *ayah* z czasem zaczyna się o wszystkim wyrażać tak samo ostro jak ich panie. Mają niewiele do roboty, więc dla zabicia czasu wymyślają różne historie.

Usiadłam na krześle za biurkiem.

- Co to za historie, Malti?

Na łagodnej twarzy Mald pojawił się ból.

- Następne głupie opowieści o mężczyźnie z północno-zachodniej granicy, *mem* Linny. *Ayah* twierdzą, że wciąż przyjeżdża na *maidan* i przygląda się Angielkom. Podobno powtarzał nawet jakieś imię. - Potrząsnęła głową i zmarszczyła czoło. - Wyobraża sobie pani takie bzdury? Aresztowano go, ale na krótko. Nie można akceptować takiego zachowania i... *mem* Linny, co się dzieje?

Spojrzałam w dół i pobiegłam za jej wzrokiem. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że niespokojnie ściskam jej ciemne rękę.

- Czy ktoś mu powiedział, gdzie mieszkam? Czy on wie, gdzie jestem?

- Och, mm Linny, proszę się uspokoić. Ciii... ciii... Nie ma się pani czym martwić. Wciąż prześladują panią złe wspomnienia z Simli. Co

gorsza, te zgorzkniałe kwoki chętnie przysparzają kłopotów innym swoją gadaniną na temat... *mem* Linny? Co pani robi?

Podbiegłam do toaletki, drżącymi rękami spięłam luźne kosmyki włosów, rozsypując po podłodze szpilki. Zapięłam kołnierzyk sukni i odwróciłam się do Mald.

- Dobrze wyglądam? Twarz Mald spochmurniała.

- Oczywiście, *mem* Linny. Jak zawsze. - Ostrożnie dobierała słowa. - Proszę usiąść. Przygotuję pani fajeczkę. To panią uspokoi. Potem przyniosę filiżankę ulubionej herbaty.

- Nie chcę fajki. Nie ma na to czasu. Chodź, chodź ze mną. David... gdzie jest David?

- Bawi się z dziećmi Wiltonów. Ma u nich zostać aż do późnego popołudnia, *mem* Linny. Nie pamięta pani?

- Weź moją torebkę, Malti, i chodź ze mną. Pobiegnęłam korytarzem, popędzając Malti. Szła powoli,

przyciskając do piersi moją torebkę. Gdy zbliżyłam się do drzwi wejściowych, pojawił się przy nich *chuprassi*. Położył rękę na mosiężnej klamce.

- Chodź, Malti! Mam bardzo mało czasu. Nie możesz się pospieszyć? Machnęłam do *chuprassiego*, ale zanim nacisnął klamkę, drzwi same się otworzyły.

Sapnęłam. Całe wejście zasłoniło opasłe cielsko Somersa.

- Cześć, Linny.

Stał dziwnie nieruchomo.

Cofnęłam się i wpadłam na Malti, która upuściła moją torebkę.

Somers wbił w nią wzrok.

- Wychodzisz gdzieś, Linny? Jeszcze nie przekroczył progu.

- Nie... to znaczy tak. Wybieram się z Malti na *maidan...* Często chodzimy tam o tej porze, prawda, Malti?

Odwróciłam się do niej. Stała z otwartymi ustami. Somers wszedł do domu, zostawiając za sobą otwarte drzwi.

- Wybierasz się na spacer podczas największego upału bez *topi* i parasolki... w takim stroju?

Miał na policzkach dwie czerwone plamy. Spojrzałam na swoją pomiętą suknię. Zauważyłam tiustą plamę przy mankiecie, oderwany guzik w talii.

- Co... co robisz w domu?

- Mam gorączkę - powiedział krótko. Widać odezwał się jego odwieczny wróg, malaria. - Idę do łóżka. Malti, nie pozwól pani wychodzić z domu. Zrozumiałaś?

Chwyciłam go za rękaw.

- Ależ, Somersie, chciałam tylko...

Strząsnął moją dłoń i uderzył mnie w nos. Zobaczyłam wszystkie gwiazdy.

- Nie pozwalam. Nie będziesz robiła ze mnie idioty, paradując wśród ludzi jak dziwka, którąjesteś.

Usłyszałam, że Mald sapnęła, potem dotarł do mnie szelest stroju *chuprassiego*.

- Prawdę mówiąc, rzygać mi się chce na twój widok, dziwko.

Chciałam plunąć mu w twarz, potem unieść wysoko głowę i powiedzieć mu, że tak, nadal jestem prostytutką. Chciałam krzyknąć mu prosto w twarz, że David nie jest jego, że rzeczywiście zawsze byłam taka, za jaką mnie uważa, i że z prawdziwą rozkoszą przespałam się z innym mężczyzną, dlatego David jest dzieckiem miłości, a nie jego brutalnego gwałtu. Niestety, nie mogłam mu tego wyznać. To, co od pięciu lat trzymałam w tajemnicy, stanowiło mój atut. Drżałam, starając się opanować chęć otworzenia ust. Próbowałam się przepchnąć obok Somersa.

Chwycił mnie za suknię, a gdy zrobiłam krok do przodu, z ogromną siłą pociągnął. Rozległ się trzask rozdieranego materiału. Stałam zaszkokowana. Somers przez chwilę wpatrywał się w kawałek popeliny i basty - urwał nawet moją koszulkę - a potem przeniósł wzrok na mnie i bacznie przyglądał się moim odsłoniętym piersiom. Krew odpłynęła mu z twarzy, potwornie zbladł. Zrobił chwiejny krok do tyłu, prosto w otwarte ramiona *chuprassiego*.

Mald wyskoczyła przede mnie i chusteczką do nosa próbowała okryć moją nagość.

Somers odsunął na bok materiał i drżącymi palcami wskazał na mnie.

- O co chodzi, Somersie? - syknęłam, odpychając Mald i stając przed nim, żeby mógł się dobrze przyjrzeć mojej bliźnie. - Nie podoba ci się to, co widzisz? Myślałam, że wiesz o mnie wszystko, co powinieneś wiedzieć.

- *Mem* Linny! *Mem* Linny! - wołała Mald. - Proszę! Proszę nie de-nerwować pana! Proszę.

Ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła płaczem.

Somers odepchnął *chuprassiego* i wyprostował się. Jego twarz wciąż była blada, na czole pojawiły się kropelki potu.

- Co to jest? - szepnął, wskazując drżącym palcem.

- A na co wygląda? Na ślad pozostawiony przez dawnego kochanka?

Nie zwracałam uwagi na to, jak brzmią moje słowa ani co mówię. Zawładnęła mną czysta nienawiść, którą do niego czułam.

Nim Somers zdołał odpowiedzieć, jęknął i zwinął się w pół; *chuprassi* pomógł mu dojść do sypialni. Wyskoczyłam przez otwarte drzwi i rzuciłam się biegiem przez podjazd. Moje buty miażdżyły pokruszone muszelmuszelki. Słyszałam własny ciężki oddech, czułam ucisk w piersiach - reakcję na szybszy niż zazwyczaj krok. Nie dotarłam nawet do bramy, gdy od tyłu chwyciły mnie ogromne dłonie w rękawiczkach.

Był to *chuprassi*, z pewnością przysłany przez Somersa, żeby sprowadzić mnie z powrotem do domu. Próbowałam wyrwać mu się z uchwytu.

- Puść mnie - mamrotałam. - Musisz zrobić, co ci każe.

Uchwyt jednak nie zelżał. Gdy się obejrzałam, twarz Hindusa niczego nie zdradzała, chociaż wiłam się jak bezradny kotek. Po chwili obok nas pojawiła się wciąż płacząca Mald. Próbowała zetrzeć mi ślinę z brody, naciągała moją suknię, żeby mnie osłonić, starała się mnie uspokoić, gdy *chuprassi* niósł mnie na rękach z powrotem do domu.

Niewielki wysiłek bardzo mnie osłabił: nie byłam w stanie dłużej walczyć, więc z poczuciem klęski wtuliłam się w jego ramiona i pozwoliłam zanieść się do łóżka.

Gdy byłam już w swojej sypialni, odesłałam *punkah-wallaha* i Mald.

- Nie chcę wychodzić, *mem* Linny - powiedziała. - Nie powinna pani zostawać sama. Jest pani wzburzona.

W końcu ją przekonałam, że mam zamiar tylko się przespać. Wyszła, zostawiając uchylone drzwi. Wiedziałam, że będzie tkwić na korytarzu i nasłuchiwać każdego mojego ruchu. Siedziałam przy toalecie z lustrem i patrzyłam na swoje skrzyżowane na kolanach ręce. Były białe i nieruchome jak martwe gołębie.

Czy Daoud naprawdę jest w Kalkucie i mnie szuka? Musiałam to wiedzieć. Pojdę na *maidan* - nawet wbrew wyraźnemu zakazowi Somersa. Jakoś się wymknę i jeśli będzie trzeba, całą drogę pokonam na piechotę. Głęboko odetchnęłam i spojrzałam w lustro.

Zauważyłam, że pozbawione blasku kosmyki włosów opadają mi na ramiona. Miałam wychudzoną twarz i fioletowy, opuchnięty nos po ciosie Somersa. Skóra na kościach była przezroczysta i napięta, jakby było jej za mało, by okryć nozdrza. Z przerażeniem niemal widziałam pod skórą czaszkę. Moje wargi stały się wąskie i pokryte krostkami, pod oczami dostrzegłam pozbawione barwy worki. Przypomniałam sobie odbicie w lustrze Shakera dziewięć lat temu. Byłam wtedy naprawdę zaszokowana, ale to nic w porównaniu z obecnym potwornym zaskoczeniem. O czym myślałam? Oczywiście, nie o Daoudzie. O czym marzyłam? Że Daoud wsadzi mnie na Rasoola i razem odjedziemy w siną dal? Byłam głupia, potwornie głupia. A co z Davidem, moim dzieckiem, moim życiem? Marzenia o Daoudzie były tylko marzeniami, niczym więcej. Znałam go przez niecały miesiąc prawie sześć lat temu. Był, jak powiedziałam Nani Meerze, człowiekiem z innego świata, który nigdy nie będzie moim światem.

Ponownie przyjrzałam się swojemu odbiciu w lustrze. Gdzieś po drodze porzuciłam nadzieję, która niegdyś kazała mi przyjechać do Indii. Zapomniałam o kobiecie, która mówiła o sobie Linny Gow.

Przygotowałam fajkę i tak długo paliłam opium, aż nie mogłam już dłużej wciągać dymu.

## **Rozdział 37**

Somers miał atak malarii, która dokuczała mu od czasu do czasu, ale tym razem czuł się o wiele gorzej niż dotychczas. Dręczyły go potworne bóle głowy połączone z nudnościami

RS



i wymiotami, pojawiały się silniejsze niż zazwyczaj dreszcze. Z powodu bardzo wysokiej gorączki miał rozpaloną i suchą skórę, czasami majaczył. Potem się pocił; był całkiem mokry, a temperatura spadała. Osłabiony, zapadał w głęboki sen, który trwał godzinami. Każdego dnia odwiedzał chorego doktor Haverlock i sprawdzał jego stan. Mnie nie wolno było wychodzić z domu; chociaż do świadomości Somersa nie docierało, gdzie jestem, przez cały czas pilnowali mnie służący, którym suto płacił. Gdy tylko zbliżałam się do drzwi wejściowych, stawał przede mną *chuprassi* z rękami skrzyżowanymi na piersiach, a ilekroć wychodziłam do ogrodu, krok w krok podążał za mną *khansana*, zatrzymując się, gdy stawałam, i idąc, gdy szłam.

Po czterech dniach choroby Somers wezwał mnie do siebie. Leżał wsparty na poduszkach i był sam w pokoju. Sądząc po kolorze twarzy, nie miał już gorączki, a jego skóra w blasku zapalonych lamp nie wyglądała na lepką. W pokoju wciąż jeszcze unosił się zatechły zapach choroby, wiedziałam jednak, że Somers najgorsze ma już za sobą. Spojrzał na mnie z obrzydzeniem. Czasami odnosiłam wrażenie, że po każdym ataku choroby wstaje z łoża boleści z nowymi siłami i większymi niż poprzednio pokładami złości.

- Gdy tylko ten atak minie, załatwię wszystko, co potrzeba, żebyś opuściła mój dom - powiedział.

- Opuściła?

Z trudem uniósł rękę.

- Stałaś się zbyt wielkim ciężarem... Przypomnij sobie tylko ostatni epizod. Zachowywałaś się jak wariatka i chciałaś uciec na ulice Kalkuty. Podjąłem więc decyzję. Myślisz, że jeśli znikniesz, kogokolwiek będzie to dziwiło... albo obchodziło? Kto oprócz służących zauważy, Linny, że cię nie ma?

Próbowałam przełknąć ślinę. Wiedziałam, że moja przyszłość zależy od kilku następnych minut.

- To znaczy, że odeślesz nas do Anglii?

Spojrzał na mnie błędnym wzrokiem. Myślałam, że milczy z powodu choroby, potem jednak odezwał się czystym, wyraźnym głosem.

- Zdajesz sobie sprawę, że właśnie posłużyłaś się hindi, Linny? Jesteś świadoma, że już nie mówisz po angielsku?

- Przepraszam - powiedziałam i powtórzyłam pytanie.

- Nas? Nas, to znaczy kogo?

- Oczywiście, Davida i mnie - wyjaśniłam nieśmiało. - Niedawno wspomniałeś, że pora, by rozpoczął naukę. Chętnie zamieszkał z nim w miejscu, które wybierzesz, na przykład w Londynie. Wtedy mógłby chodzić do twojej dawnej szkoły.

Sucho zakaszłał, a potem próbował się uśmiechnąć.

- Myślisz, że mam do ciebie takie zaufanie, by pozwolić ci na wychowywanie mojego syna? Nałogowo palisz opium, Linny. Od razu to po tobie widać. Pod każdym względem zmieniłaś się na niekorzyść.

Podłoga zakołysała mi się pod nogami. Chwyciłam się słupka łóżka, żeby nie upaść, a potem, przerażona, usiadłam na krześle.

- Przestanę, Somersie. Obiecuję, że przestanę.

- Wszyscy wiedzą, że jesteś chodzącym wrakiem. Większość prawdopodobnie uważa, że oszalałaś. Nawet nie pytają, dlaczego nie bierzesz już ze mną udziału w spotkaniach towarzyskich. Mam zamiar znaleźć dla ciebie miłe miejsce... gdzie będziesz mogła odpocząć. Jakieś miejsce... może na indyjskich równinach z dala od całego świata... gdzie odpowiednio się tobą zajmą, a ty nie będziesz mogła wyrządzić żadnej krzywdy ani sobie, ani nikomu innemu. Choć może powinienem zmienić plany i wysłać cię do kraju?

Przytaknęłam energicznie, chociaż wciąż kręciło mi się w głowie.

- Tak, Somersie. Chciałabym wrócić do kraju.

Gdyby tylko udało mi się wrócić do Anglii, znalazłabym sposób, żeby być blisko Davida. Shaker na pewno by mi pomógł.

- Tak, zgadzam się, że to lepszy plan. Jest w Londynie wiele miejsc, w których mogłabyś przebywać pod nadzorem... tak długo, jak będzie trzeba.

- Pod nadzorem? - Potrzebowałam trzydziestu sekund, żeby zrozumieć, o czym mówił Somers. - W... szpitalu dla obłąkanych?

- Szpital dla obłąkanych, moja droga? Nie musimy używać takich mocnych określeń. - Zdobył się na uśmiech. - Po prostu gdzieś, gdzie zadbają o ciebie i pozwolą ci porządnie odpocząć. Dla nikogo nie jest tajemnicą, że w Indiach czasami zdarzają się takie rzeczy. Nie byłabyś pierwszą *memsahib*, która nie zdołała przystosować się do trudnych warunków. Wszyscy rozumieją i nikt nie będzie kwestionował mojej decyzji. Prawdę mówiąc - ciągnął, wyraźnie zadowolony z siebie - kto, oprócz Davida i może Malti, będzie się zastanawiał, co się z tobą stało? A David jest dzieckiem... szybko zapomni. Malti zostanie zwolniona. I tak nie jest nikomu potrzebna.

Byłam oszołomiona. Potrzebowałam fajki. Zadrzałam, pot popłynął mi po karku, czułam się tak, jakby pod czaszką biegały mi maleńkie insekty. Bezwiednie wyjęłam cienutką szarfę, którą nosiłam wetkniętą w przodzik sukni, żeby przetrzeć policzki i szyję.

Zapadło milczenie. Po chwili od strony łóżka dobiegł zduszony krzyk. Somers siedział i tak samo jak kilka dni wcześniej drżącym palcem wskazywał na moją pierś.

Spojrzałam na bliznę.

- Już drugi raz zaskakuje mnie twoja reakcja - szepnęłam. - Myślałam, że nie interesują cię stare rany ani moje ciało.

Opadł z powrotem na poduszki, a jego usta otwierały się i zamykały. Z trudem łapał oddech.

- Wiem — zachrypiał. - Teraz już wiem wszystko. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem twoją bliznę - szeptał chrapliwie - nie mogłem oderwać od niej wzroku. Nie wiedziałem tylko, dlaczego, ale teraz... tak, myślę...

Prawie nie słuchałam jego bredzenia. Myślałam o tym, że mogę nigdy więcej nie zobaczyć mojego synka. Gdy dorośnie, powiedzą mu, że jego matka dokonała żywota skulona na garstce słomy w ciemnej kamiennej celi w jakimś przytułku. Wcześniej Somers zniekształci wszystkie dziecięce wspomnienia Davida na mój temat, a co gorsza, być może spróbuje mu przekazać swoje wypaczone wartości.

Musiałam uchronić Davida przed taką przyszłością, a to pragnienie dodało mi sił. Rzuciłam szarfę na podłogę, zsunęłam niżej gors sukienki i pochyliłam się nad łóżkiem, żeby Somers dobrze mógł zobaczyć bliznę.

- To pamiątka po jednym ze starych klientów w Liver-poolu - wyjaśniłam. - Ładne, prawda? Mimo to przeżyłam. Przeżyłam kiedyś ostrze szaleńca, przeżyję też i twoją niego-dziwość, Somersie. Nie wygrasz.

Zrobiło mu się niedobrze. Przycisnął pięść do ust.

- Uważam, że widok potwornych blizn powinien cię ucieszyć, a nie wprawiać w zażenowanie - ciągnęłam. - W końcu jedyną przyjemność w naszym żalonym małżeństwie sprawia ci mój ból.

- Teraz już wiem - powiedział przez pięść. - Wiem, dlaczego rozpoznałem rybę.

Usiadłam, unosząc przodzik sukni i próbując zrozumieć, o czym on mówi. Ryba? Jaka ryba? Potem przypomniałam sobie dzień, kiedy dzięki mojemu znamieniu zorientował się, że byłam niegdyś prostytutką.

Położył rękę na łóżku, chociaż jego palce wciąż były zaciśnięte w pięść.

- Niemal udało mi się zapomnieć ostatnią wyprawę do ponurego domu nad Mersey - powiedział.

Mówił powoli, jakby myślał na głos. Ponownie próbował usiąść.

- Masz rację. Rzeczywiście przeżyłaś. Chociaż chyba nigdy się nie dowiem, jakim cudem. Prędzej bym podejrzewał, że twoje kości od dawna gniją, a w twoich oczodołach gnieźdzą się kraby.

Przytknęłam pięść do ust tak jak Somers kilka sekund wcześniej. Zapadła cisza. Nagle wszystko zrozumiałam. Ogarnęło mnie potworne przerażenie. Chociaż w pokoju panowała wysoka temperatura, zaczęłam drzeć jak osika i tak mocno zaciskałam zęby, że aż poczułam ból w szczękach.

- Przecież kazałem mojemu człowiekowi wrzucić cię do Mersey.

Somers zebrał siły i spojrzał na mnie; jego głos był cichy, ale zdecydowany.

- Co więcej, Pompey zaklinał się, że wykonał moje polecenie. Zapewniał, że nie ma już nikogo, kto mógłby opowiedzieć, co wydarzyło się na Rodney Street.

Nagle usłyszałam ten sam chłodny, rozsądny głos, który skazał mnie na śmierć, gdy mając trzynaście lat, oślepiąca i bezradna, leżałam na grubym dywanie obok kufra ze szklanymi słojami, w których pływały włosy. Włosy zamordowanych dziewcząt. Obok mnie leżał mężczyzna z nożyczkami w oku. Cuchnął zgnilizną i spalonymi włosami. Zakrztusiłam się, a do moich ust napłynęła gryząca ślina.

Nie tego się spodziewałam. Rodney Street. Nagle ożył stary koszmar; w oświetlonym sporą liczbą lamp pokoju wydawał się jeszcze bardziej potworny i przerażający. Czułam, że kręci mi się w głowie, że cały mój świat rozpada się na kawałki. Przypomniałam sobie starą wizję: moje ciało w zbiorowej mogile dla morderców. Zrobiło mi się niedobrze, więc wychyliłam się do przodu i oparłam głowę na kolanach.

Pompey nazywał go paniczem.

- Jakiś czas po incydencie w Liverpoolu musiałem zwolnić Pompeya. Popęłnił za dużo błędów. Sądzę jednak, że nie mogę zwałać całej winy na niego. Ja też cię wtedy widziałem i byłem przekonany, że nie żyjesz. Miałaś otwartą ranę na lewej piersi. Widziałem mięśnie. Mógłbym nawet przysiąc, że dostrzegłem twoje martwe serce, chociaż - oczywiście - było to niemożliwe.

Otarłam usta wierzchem dłoni, uniosłam głowę i spojrzałam na niego.

Oblizwał wargi, potem uśmiechnął się, jakby odżyły miłe wspomnienia. Jego uśmiech zmroził mnie jeszcze bardziej niż słowa.

- O ile dobrze pamiętam, byłaś wtedy jeszcze dzieckiem i miałaś krótkie włosy. W niczym nie przypominałaś opanowanej kobiety, którą po raz pierwszy spotkałem w Kalkucie. Gdyby nie ryba, w ogóle bym cię nie rozpoznał. Nic dziwnego, że nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie cię widziałem. Starłem się jak najszybciej zapomnieć o tamtej nocy.

Wciągałam parne powietrze przez otwarte usta, starając się, by dotarło do płuc. Przed oczami stanęły mi ilustracje z książek medycznych Shakera, rysunki Albinusa: dwa worki za mostkiem. Wiedziałam, że moje

płuca nie są okrągłe i pełne, ale płaskie, puste i skurczone. Za nic w świecie nie chciały się napęlić wilgotnym powietrzem. Poruszałam ustami jak ryba wyjęta z wody. Czułam, że tonę. Przed oczami stanęła mi oszpecona chorobą twarz, przerażający, ruchliwy język, obłąkane oczy; wszystko to jakbym widziała w jasnym świetle świec.

Somers był synem człowieka, którego zabiłam.

- Za późno - szepnęłam, w końcu znajdując siły, by się odezwać. - Nigdy nie uda ci się tego udowodnić. Za późno, żeby skazać mnie za morderstwo.

Doszłam do wniosku, że muszę chronić Davida przed przyszłością u boku Somersa. Co więcej, mój syn nigdy nie może poznać mojej przeszłości.

Z ust Somersa wyrwał się dziwny dźwięk, który trochę przypominał śmiech, ale raczej było to makabryczne chrypienie.

- Skazać? Za morderstwo? Nawet o tym nie pomyślałem. Poza tym nikt nigdzie nie odnotował, że popełniono morderstwo. Po prostu zmarł obłąkany człowiek zżarty przez syfilis. Odnosiłem wrażenie, że ojciec nigdy nie umrze, że będzie żył jeszcze długie lata. Prawdę mówiąc, zrobiłaś to, na co zabrakło mi odwagi i czym powinienem się zająć o wiele, wiele wcześniej. Jeszcze nim pod wpływem choroby zmienił się w okrutnego, pozbawionego serca szaleńca. Zaraz po jego śmierci wyjechałem z Anglii. Chciałem o wszystkim zapomnieć.

W pokoju zapadła cisza. Oddychałam szybko i płytko, jakbym uczyła się korzystać z płuc.

- Nie było osoby szczęśliwszej ode mnie, kiedy w końcu udało 'mi się go pochować - ciągnął Somers, gdy oboje dokładnie odtworzyliśmy w myślach przebieg pamiętnej nocy. -W końcu robaki mogły się zająć resztkami jego cuchnącego ciała. Jeśli chodzi o duszę, podejrzewam, że w ogóle jej nie miał. Odkąd skończyłem dwanaście lat...

- Nie chcę tego słuchać - szepnęłam, ale mnie zignorował.

- ...zabierał mnie ze sobą, gdy szedł na dziwki. Początkowo zmuszał mnie, żebym patrzył, jak pieprzy się z każdą suką. Miał słabość do kobiet



z najniższych warstw społecznych. Takich jak ty, Linny. Po jakimś czasie z przyjemnością zacząłem patrzeć, jak upokarza prostytutki.

Wciąż potrząsałam głową, chcąc, żeby przestał. Chyba jednak moje nieszczęście sprawiało mu przyjemność, dlatego dalej wspominał ohydne szczegóły. Zakryłam rękami uszy, zamknęłam oczy i opuściłam głowę.

- Po jakimś czasie ojciec próbował mnie zmusić, żebym się do niego przyłączył.

Somers mówił głośno i wyraźnie; nie mogłam się odciąć od jego słów.

- Trzymał mnie na łańcuszku jak małą; od czasu do czasu pogłaskał mnie po głowie albo rzucił smakowity kęs, ale nigdy nie wypuszczał z klatki. Nawet po śmierci nie pozwolił mi żyć tak, jak bym chciała. Wiedział, że od dziecka nie interesowały mnie kobiety. Prawdę mówiąc, to on początkowo podsuwał mi chłopców, do których coraz bardziej mnie ciągnęło. Mimo to w testamencie postawił warunek, że jeśli chcę przejąć swoje dziedzictwo, muszę się ożenić. Zupełnie jakby zza grobu po raz ostatni roześmiał mi się w nos.

Zamyślił się.

- Tak, wygląda na to, Linny, że naprawdę miałaś ogromny wpływ na moje życie. Najpierw zabiłaś mojego ojca, a potem umożliwiłaś mi przejęcie spadku. W rzeczywistości dwukrotnie dałaś mi wolność.

Zamilkł.

Odsunęłam ręce od uszu i otworzyłam oczy. Moskity brzęczały mi tuż przy uszach i zroszonej potem nasadzie włosów.

Somers z zadowoleniem przyglądał mi się z przekrzywioną głową i płonącymi oczami, jakby był zaskoczony, że dopisało mu aż tyle szczęścia.

Opadłam na kolana obok jego łóżka.

- W takim razie odplać mi tym samym, Somersie. Zwróć mi wolność. Pozwól mi zabrać Davida i zniknąć.

Chwyciłam go za ręce. Były lodowate.

- Nigdy o nas nie usłyszysz. Nie poproszę o nic więcej. Delikatnie pokręcił głową, jakbym była niegrzecznym dzieckiem, które przyłapał na kradzieży słodczy.

- Niczego nie rozumiesz, prawda, Linny? Mimo że zawsze byłaś mądrą dziewczyną. - Wyciągnął ręce z moich dłoni. - Nie mogę ci zaufać i zwrócić wolności, nie mogę powierzyć ci wychowania naszego syna. Jedynie, co mogę zrobić, to odsunąć cię na boczny tor, jak należy, zgodnie z prawem, żeby nikt nigdy więcej o ciebie nie pytał. - Wpatrywał się we mnie jak wąż; nawet nie mrugnął powieką. - Tak szybko, jak to możliwe, każę doktorowi Haverlockowi podpisać odpowiednie papiery. Oczywiście, nawet nie będę musiał go przekonywać. Wystarczy na ciebie spojrzeć, by zauważyć, że wymagasz opieki. Jeśli chodzi o Davida... Wychowam go tak, jak uznam za stosowne. Nie będę potrzebował dużo czasu, żeby nauczyć go tego, co powinien umieć.

Próbował ponownie się roześmiać, ale dostał ataku kaszlu, a potem dreszczy.

Gdy patrzyłam na jego rozdygotane ciało i mokre od śliny wąsy, dostrzegłam podobieństwo między nim a jego ojcem. Przetarłam oczy, próbując odsunąć od siebie ten obraz, ale nadal mnie prześladował. Czułam się tak, jakby najokrutniejszy zbieg okoliczności, złośliwa dłoń, która niegdyś kazała mi się znaleźć na Rodney Street, teraz sprowadziła mnie do tego pokoju. Wstałam i chwiejnym krokiem odsunęłam się od łóżka. Spoglądałam przerażona na mężczyznę, który był moim mężem. Wiedziałam, jaką ma władzę. Zdawałam sobie sprawę, że jego nienawiść, lufiężność i nikczemna natura z roku na rok będą przybierać na sile.

A teraz miał zamiar mnie zniszczyć, a potem odpowiednio wychować mojego syna.

Musiałam mu jakoś przeszkodzić. Musiałam chronić dziecko.

Wiedziałam, że muszę wybrać odpowiedni moment. Tej nocy nie spałam, mimo to rano nie czułam zmęczenia. Wykąpałam się i wypaliłam fajeczkę, ale tylko dlatego, żeby nie odczuwać bolesnych spazmów. Poprosiłam Malti, żeby ładnie mnie uczesała, i bardzo starannie wybrałam sukienkę. Potem usiadłam przy toalecie i bacznie się sobie przyjrzałam. Teraz wiedziałam, co czuła Faith w ostatnich dniach w Simli. Kiedy człowiek wie, co musi zrobić, i zdaje sobie sprawę, że nie ma innego

wyjścia, bardzo poprawia mu się nastrój, jakby ktoś zdjął z jego ramion ciężkie brzemie.

Malti dziwnie mi się przyjrzała.

- *Mem* Linny? Czegoś tu nie rozumiem.

- Czego nie rozumiesz? - Odwróciłam się twarzą do niej.

- Gdy wczoraj wieczorem wyszła pani z pokoju *sahiba* Ingrama, wyglądała pani na potwornie zrozpaczoną. Dzisiaj jest pani spokojniejsza, chyba nie była pani tak spokojna od bardzo, bardzo dawna. Czy to, co widzę, *mem*, na pani twarzy, to szczęście? Tyle że trudno o szczęście w tak smutnym domu.

Uśmiechnęłam się do niej.

- Na razie jest jeszcze za wcześnie na szczęście, Malti, ale możemy na nie liczyć w przyszłości. Musimy po prostu zapalić nowe lampy.

Zdezorientowana Malti potrząsnęła głową. Przez resztę dnia siedziałam na werandzie i bawiłam się z Davidem, jednocześnie przez cały czas układając skomplikowane plany. W pewnym momencie spojrzałam w stronę okien pokoju So-mersa. Zobaczyłam, że doktor Haverlock bacznie przygląda mi się przez szybę. Kiedy napotkał mój wzrok, gwałtownie odwrócił głowę.

Poszłam do pokoju Somersa. Doktor Haverlock siedział przy biurku i coś pisał. Czyżby pracował nad raportem na temat stanu mojego zdrowia? Gdy mnie zobaczył, przerwał i spojrzał na Somersa, który leżał w łóżku.

- Chcesz coś, Linny? - spytał Somers z udaną troską w głosie. - Może coś zapomniałaś.

- Pomyślałam sobie, że może chętnie napijesz się świeżej wody.

Somers pokazał pełną karafkę obok łóżka.

- Ależ, Linny, przyniosłaś mi ją tuż przed przyjazdem doktora Haverlocka.

- Nie. Musiał ci ją podać któryś ze służących. Tego dnia nie byłam w pokoju Somersa.

Somers potrząsnął głową i łagodnie się uśmiechnął. Potem, unosząc brwi, spojrzał na doktora Haverlocka, jakby chciał powiedzieć: Widzi pan?

Doktor Haverlock przyglądał się moim dłoniom. Zdałam sobie sprawę, że splatam i rozplatam palce. Przestałam, ale lekarz już wrócił do swoich papierów i pisania. Wyszłam z pokoju, ale na chwilę zatrzymałam się tuż za drzwiami. Słyszałam, jak doktor Haverlock powiedział Somersowi, że wszystko gotowe; potem Somers zapewniał lekarza, że dostanie to, co ma obiecane, gdy tylko sprawa zostanie załatwiona.

On również urzeczywistniał swoje plany. Musiałam jak najszybciej sfinalizować moje.

Jeszcze tego samego dnia bez trudu kupiłam u *box-wallaha* odpowiednie ilości bielunia. Roślina ta, znana w Anglii jako „kłujące jabłko”, występuje również na indyjskich nieużytkach. Dobrze pamiętałam, jak Nani Meera mnie ostrzegła, że używając bielunia, trzeba bardzo uważać. W odpowiednich dawkach łagodzi ataki kaszlu i dolegliwości pęcherza. Duże białe kwiaty mają właściwości narkotyczne i uspokajające, ale sproszkowane liście są o wiele mocniejsze. Przedawkowanie powoduje śmiertelne zatrucie.

Chociaż Somers powoli odzyskiwał siły, wciąż był słaby i chwilami potwornie znużony. Zawsze, kiedy wracał do zdrowia, chętnie, nawet kilka razy dziennie, pijał bardzo słodką, chłodną herbatę. Za każdym razem, kiedy o nią prosił, odbierałam ją od kucharza i zanosłam mężowi, jak przystało na troskliwą żonę. Na początku, gdy pojawiałam się przy jego łóżku z tacą w ręku, dziwnie mi się przyglądał. Prawdopodobnie uznał, iż próbuję mu dowieść, że nie jestem szalona. Nie wyprowadzałam go z błędu.

Zaczęłam od minimalnych ilości. Musiałam być ostrożna: chciałam, by wyglądało na to, że przegrał z odwiecznym wrogiem.

W ciągu dwóch dni stan Somersa bardzo się pogorszył. Jego twarz była sucha i zaczerwieniona. Miał trudności z przełykaniem i zaczął wyko-

nywać nieskoordynowane ruchy. Trzeciego dnia zapadł w tak głęboki sen, że przez wiele godzin nie można go było obudzić. Wiedziałam, że może zapaść w śpiączkę. Kiedy w końcu się poruszył i otworzył oczy, miał rozszerzone i nieruchome źrenice. Za każdym razem, kiedy odzyskiwał przytomność, namawiałam go, żeby wypił chociaż kilka łyków herbaty, powtarzając słuźbie, że koniecznie trzeba mu zapewnić odpowiednią ilość płynów.

Załamując ręce przy doktorze Haverlocku, w myślach dziękowałam Bogu, że ten człowiek ma tak nikłą wiedzę medyczną.

- Wydawało się, że powoli dochodzi do siebie - powiedziałam. - Co spowodowało nawrót?

Doktor Haverlock potrząsnął głową.

- Trudno przewidzieć, jaki przebieg będzie miała tropikalna choroba u konkretnego pacjenta.

Zrobiłam okrągłe oczy i spojrzałam mu prosto w twarz.

- Obawiam się, że to coś poważniejszego. Moja diagnoza brzmi: malaria mózgu, pani Ingram.

Położyłam palec na wargach, udając zamyślenie.

- Malaria mózgu?

- Jej typowe objawy to utrata i odzyskiwanie przytomności, a także problemy mentalne. Gdyby pojawiły się oznaki żółtaczki albo drgawki...

- Ale... ale on wyzdrowieje, prawda?

- Och, moja droga, ze względu na swoje słabe zdrowie nie powinna się pani niepotrzebnie zadreczać.

- Panie doktorze - wyprostowałam się - mojemu zdrowiu niczego nie można zarzucić, a już na pewno nie da się powiedzieć, że jest słabe. Mówi mi pan, że mój mąż może nie przeżyć tego ataku? Proszę mi powiedzieć prawdę, doktorze Haverlock.

Starszy pan ujął moje dłonie, a na jego twarzy pojawiło się nieszczerze współczucie.

Następnego dnia doktor Haverlock pobieżnie sprawdził stan Somersa, a potem zabrał mnie do gabinetu.

- Proszę się przygotować, moja droga - powiedział. Czekałam.

- Pani mąż jest śmiertelnie chory. Wątpię, czy przeżyje noc.

Celowo opadłam na fotel i ukryłam twarz w dłoniach.

- Proszę odesłać służących - szepnęłam przez palce - i zostać ze mną na chwilę.

Gdy byliśmy sami, uniosłam głowę.

- Chciałam porozmawiać z panem na osobności, panie doktorze - powiedziałam, przestając udawać rozpacz.

- Wszystko będzie dobrze, proszę pani. Absolutnie nie musi się pani martwić. Wkrótce znajdzie się pani wśród ludzi, którzy będą wiedzieli, jak się panią zająć, jak pomóc pani przebrnąć przez trudny okres. Nie ma również powodu do obaw o dziecko. Pan Ingram zostawił ściśle instrukcje...

Wstałam, podeszłam prosto do lekarza i zatrzymałam się tak blisko, że musiał się cofnąć.

- Naprawdę wierzy pan, doktorze Haverlock, że jestem szalona?

Odwrócił wzrok.

- Pani mąż dobrze wiedział, co jest dla pani najlepsze. Na szczęście są możliwości, żeby takich nieszczęśników jak pani otoczyć należyłą opieką i...

Przerwałam mu.

- Istnieją również możliwości, żeby mężczyzna taki jak pan... jak to powiedzieć... zechciał dostrzec prawdę.

Doktor Haverlock gwałtownie uniósł głowę, jedynie mnie zachęcając. Tak łatwo go było rozszyfrować.

- Wiem, że musi być pan zmęczony pracą. Przez całe życie niósł pan pomoc innym ludziom, doktorze Haverlock - powiedziałam ciepło i ze szczerego serca. - Zasługuje pan na to, żeby resztę życia spędzić w luksusach albo tutaj, albo w kraju. Niezależnie od tego, ile obiecał panu mój mąż za... papiery dotyczące przyszłości mojej i mojego syna, podwoję stawkę, jeśli mi je pan odda. Potem nie będziemy więcej rozmawiać na ten temat.



Znów gwałtownie uniósł głowę. Widząc jego wahanie i skrzywienie ust, wiedziałam, że dobrze trafiłam. Ujął mnie za ramię i posadził obok siebie na sofie. Rozejrzał się dookoła, chociaż w pokoju nikogo nie było.

- Być może zbyt pospiesznie oceniłem pani stan, moja droga - przyznał. - Pani biedny mąż bardzo niepokoił się o panią i swojego syna.

- Oczywiście, wieloletnia, nieustanna walka z malarią pozostawiła wyraźne piętno na psychice Somersa - odpowiedziałam. - Wie pan dobrze, że pod koniec brakowało mu już nieco jasności umysłu. Rozumiem, panie doktorze - obniżyłam głos do konspiracyjnego szeptu - doskonale rozumiem, w jak niezręcznej sytuacji pana postawił. Nalegam, żeby podał mi pan sumę, jaka miała panu wynagrodzić tę przykrość. Proszę mi powiedzieć, ile to miało być.

Odchrząknął. Przebiegły stary cap! Bał się podać cenę, na wypadek, gdyby była niższa od tej, którą gotowa byłam podwoić.

Podeszłam do szuflady biurka, wyjęłam pakiecik, który umieściłam tam tego ranka, i przyniosłam go na sofę. Położyłam między nami i rozwiązałam sznurek. Papier się rozchylił, ukazując spory plik rupii, które od lat podkradałam So-mersowi i trzymałam w ukryciu. Teraz sprawiały wrażenie królewskiego okupu.

Lekarz oblizwał wąskie, suche wargi, jego oddech stał się szybki, urywany. Niemal słyszałam, jak w jego myślach górę bierze chciwość.

- Och, proszę mi wybaczyć. Nie chcę sprawiać wrażenia zachłannego, ale ta sprawa pochłonęła mnóstwo czasu i – jak pani mówi - rzeczywiście spowodowała ogromne napięcie. Ostatnio naprawdę fatalnie się czułem. Nie chciałbym mówić o sumie, na jaką umówiliśmy się z panem Ingramem, ale...

Jego oczy pieściły pieniądze.

Poklepałam go po rękawie.

- Rozumiem - powiedziała ze współczuciem w głosie. - Czy da mi pan dokument, żebyśmy mogli dokonać wymiany?

- No cóż - grał na zwłokę - nie jestem pewien, o czym pani mówi.

- O raporcie na temat mojego stanu zdrowia, doktorze Haverlock.

Mówiłam do niego słodkim głosem, jednocześnie delikatnie przesu-  
wając pieniądze w jego stronę.

Nie odrywając wzroku od rupii, doktor Haverlock sięgnął do we-  
wnętrznej kieszeni. Usłyszałam szelest papieru.

Dał mi dokument. Gdy go przeczytałam, z powrotem zawiązałam pa-  
czuszkę i wręczyłam ją doktorowi, a potem wyciągnęłam prawą rękę.

Ujął ją, jakby miał zamiar się nad nią pochylić, ale wyrwałam się.  
Wtedy zrozumiał i jedynie mocno ją uściskał. Staliśmy, każde ze swoją  
zdobyczą, i wymienialiśmy uśmiechy.

Oboje byliśmy zwycięzcami. Oboje zdobyliśmy to, na czym nam naj-  
bardziej zależało.

Kilka godzin później było już po wszystkim. W ostatnich bolesnych  
chwilach Somersa klęczałam przy jego łóżku i gładziłam go po wymize-  
rowanej twarzy, odgrywając w obecności służby i doktora Haverlocka  
rolę dobrej żony przy łożu śmierci męża. Moja twarz nie zdradzała żad-  
nych emocji, ale w myślach przemawiałam do Somersa: Oszukałam cię i  
wyprowadziłam w pole, ale nigdy się nie dowiesz, w jaki sposób. Teraz  
jest już po wszystkim. Koszmar się skończył. Uratowałam własne życie i  
duszę mojego dziecka.

Czułam, że pomimo ciężkiej choroby Somers wie, iż to ja z nas dwoj-  
ga jestem silniejsza. Że już nie ma żadnego wpływu na moją przyszłość.  
Dlatego przewracał oczami i próbował poruszać wargami, jakby koniecz-  
nie chciał coś powiedzieć.

Położyłam palec na jego ustach, odgarnęłam mu z czoła włosy i poca-  
łowałam go w zimny, suchy policzek.

- Już po wszystkim, Somersie. Już nie będziesz mi więcej sprawiał bó-  
lu - powiedziałam tak cicho, że zebrani w pokoju mogli słyszeć tylko ci-  
chy pomruk i uznać go za ostatnie słowa miłości wyszeptane przez żonę  
do umierającego męża. - Ja to sprawiłam. - Jeszcze bardziej ściszyłam  
głos.

Było to ledwo westchnienie, zobaczyłam jednak, że powieki Somersa  
drgnęły. Wiedziałam, że mnie usłyszał. Wiedziałam, że zrozumiał.

W jego piersiach coś dziwnie zagrzechotało, potem jeszcze raz wywrócił oczami i znieruchomiał.

## Epilog

1840

Jest jeden z owych pięknych wiosennych dni, kiedy w powietrzu unosi się zapach rozgrzanej ziemi. Światło wpada przez otwarte okna na podłogę i tworzy jasne prostokąty w kolorze masła; słychać cichy szum brzoź, które otaczają nasz dom. Wstaję i podchodzę do okna. Spoglądam na świeżą roślinność w naszym pięknym ogrodzie: dzwonki i irysy, kwiaty zbyt delikatne, by przetrwać indyjskie upały. Zaczęłam dostrzegać piękno w angielskiej mgle i w delikatnych kolorach, jakże odmiennych od krzykliwych barw indyjskich. Zachwycają mnie jak nigdy wcześniej. Podziwiam je.

Mieszkam z Davidem w domu, który jest połączony wspólnym ogrodem z domem Shakera i Celiny.

W niewielkim miasteczku Mángate w Cheshire Shaker otworzył małą aptekę. Znany jest teraz w całym kraju dzięki swojemu opanowaniu, wiarygodności i wspaniałej umiejętności diagnozowania chorób. Często prowadzi długie dyskusje na temat symptomów chorób oraz ziół leczniczych na wiele dolegliwości fizycznych i psychicznych. W aptece jest zawsze pełno klientów, a ludzie, którzy przychodzą do Shakera, zwracają się do niego jak do lekarza, chociaż za każdym razem poprawia ich, mówiąc, że jest homeopata. Często pomagam mu w pracy, rozdrabniając, ważąc i mierząc oraz omawiając z nim konkretne przypadki.

Gdy w ubiegłym roku, po uporządkowaniu ostatnich spraw Somersa, wróciłam do Anglii, nie mogłam uwierzyć, że w Sha-kerze nastąpiła tak ogromna zmiana. Nadal się trzęsie, ale czasami - na przykład, gdy siedzi i patrzy na bawiącego się Davida albo słucha, jak Celina coś czyta na głos - zamiera w całkowitym bezruchu. Widzę to, ale nie komentuję z obawy, że jeśli powiem coś o rzadkich chwilach spokoju, mogą zniknąć.

Celina również okazuje wrażliwość, o którą bym jej nie podejrzewała. Pamiętałam jej ostre rysy twarzy i cięty język, ale postępowała tak wtedy dlatego, że widziała we mnie rywalkę. Teraz jej obawy dawno prysnęły: jestem przekonana, że przeobraziła ją zwyczajna, trwała miłość i świadomość, że jej uczucie jest odwzajemnione. Teraz promienieje cichym pięknem; jej oczy są pełne blasku, którego nie widziałam, gdy po raz pierwszy spotkałyśmy się w Liverpoolu prawie dziesięć lat temu. Serdecznie powitała Davida i mnie, gdy pojawiliśmy się w ich drzwiach, i pomogła mi dostosować się do życia, o którym dawno zapomniałam. Potrzebowałam sporo czasu, żeby odzyskać energię i zdrowie, ale żona Shakera z prawdziwą przyjemnością pomogła mi przebrnąć okres rekonwalescencji. Czy nauczyła się tego od Shakera, czy może miała naturalny talent, który ujawnił się dzięki mężowi - tak czy inaczej jest swego rodzaju uzdrowicielką.

Ani Shaker, ani Celina nie mają pojęcia, kto jest naprawdę ojcem Davida, ich wiedza na temat mojego pobytu w Indiach ogranicza się do tego, co zawarłam w listach. Nie muszą wiedzieć nic więcej.

W niedzielę, po kościele, David i ja idziemy obok siebie cienistą aleją, która prowadzi do miasteczka. Shaker i Celina idą kilka kroków przed nami i pochylają głowy w swoją stronę, bo rozmawiają na temat kazania albo czegoś innego, co usłyszeliśmy w kościele. W tym czasie ja i David rozmawiamy o Indiach i o różnicach między życiem tu i tam. Dobrze pamięta Kalkutę. Zna tylko ją i angielskie miasteczko, w którym teraz mieszkamy. Opisuję mu Liverpool - budynki, ruchliwe ulice, omnibusy. Obiecałam synowi, że wkrótce wybierzemy się tam razem, a potem wielką, buchającą kłębamii parą bestią pojedziemy do Manchesteru.

Miesiąc po powrocie do Anglii pojechałam do Liverpoolu i kazałam kamieniarzowi wyrzeźbić piękny nagrobek z jasnoszarego granitu. Następnie poprosiłam, żeby położył płytę na cmentarzu Najświętszej Marii Panny i Świętego Mikołaja. Zamówiłam bicie dzwonów, pomodliłam się za matkę i musnęłam palcami jej imię i nazwisko - Frances Gow - wyryte w gładkiej powierzchni. Poniżej znajdował się napis: „Niezapomnianej, ukochanej matce, Linny Gow”.

Teraz mogę z dumą nosić wisiołek. Oprócz niego nie używam żadnej biżuterii.

Gdy nadejdzie odpowiednia chwila, zabiorę Davida na grób jego babci. Nigdy się nie dowie, że czasami odwiedzam jeszcze jedną mogiłę. Różowego kamienia prawie już nie widać wśród wysokich traw, mimo to ostrokrzew nadal rośnie, a jego kolczaste liście błyszczą jak niegdyś.

David z zainteresowaniem słucha moich opowieści o Liver-poolu. Nauczył się pisać i teraz wysyła proste listy do Mald. Czasami rysuje jej, jak wygląda życie w Anglii. Mówi, że pewnego dnia pojedzie ją odwiedzić. Mald razem z Trupd, swoją siostrzenicą i resztą rodziny mieszka teraz w Delhi. Już nie musi pracować dla Anglików i niczego im nie brakuje.

David dobrze się rozwija; jest zdrowym, ciemnookim siedmiolatkiem o mocnych nogach i rękach, lubi się bawić z przyjaciółmi i często skarży się na codzienne lekcje. Pod tym względem nie odbiega od innych chłopców, ale wyraźnie jest zapalonym koniarzem. Shaker i ja odkryliśmy to, gdy postanowiliśmy kupić mu konika. Pojechaliśmy z chłopcem do stadniny, gdzie wybrał dużego, błyszczącego deresza.

Myślałam, że deresz jest dla Davida za duży, ale mój syn był nieugięty. Gdy w końcu usiadł w siodle, wyraźnie zobaczyłam w nim jego ojca. Wystarczyło popatrzeć, jak trzyma krótką szpicrutę, ale za nic w świecie nie chce jej użyć, jak drobnymi, ruchliwymi dłońmi głaszcze końską grzywę, jak pochyla się do przodu i instynktownie szepcze coś koniowi do ucha. Bez zastanowienia wcisnął kolana w boki deresza i pojechał na przeciwległy koniec wybiegu. Stałam z otwartymi ustami, przerażona, a jednocześnie przepelniona niesłychaną radością, pod której wpływem aż zaniemówiłam.

Shaker popędził za Davidem na szybkiej, jabłkowi tej kłaczy i po chwili obaj do mnie wrócili. Na twarzy Davida malowała się ogromna radość, natomiast Shaker uśmiechał się jak dumny, pobłażliwy ojciec.

On i Celina nie mają dzieci, dlatego traktują Davida z miłością i wyrozumiałością, jakby był ich własnym synem. Stanowią naszą rodzinę; ja

jestem ich ukochaną siostrą, a David -naszym wspólnym rozpieszczanym dzieckiem.

Chociaż sama wcześniej straciłam matkę, mój syn rozkwita, otoczony miłością dwóch kobiet. David pamięta mężczyznę, którego uważa za ojca, chociaż jego wspomnienia szybko się zacierają; wkrótce ograniczą się do niewielkiej podobizny namalowanej na kamei. Shaker, który zastępuje Davidowi ojca, jest życzliwy i kochający. Prawdziwy ojciec pozostanie nieznany, przynajmniej dopóki David nie przestanie być bezkrytycznym dzieckiem.

Kiedy dorosnie, może dam mu to, co napisałam pod koniec okropnego okresu w Kalkucie, tuż po śmierci Somersa. Kto wie? Czasami biorę do ręki zapisane koślawymi literami, zaplamione atramentem kartki. Dzięki nim widzę siebie taką, jaka wówczas byłam, jakby cudzymi oczami. Trzymam je w bezpiecznym miejscu, bo uważam, że pewnego dnia mogą być ważne dla Davida. Zdałam sobie sprawę, że w życiu nie ma nic pewnego - czasami nawet nie można dotrzymać obietnic danych sobie i innym.

Zdarzają się dni, kiedy tak bardzo potrzebuję opium, że aż odczuwam fizyczny ból. Prawdopodobnie już się tego nie pozbędę, ale wiem, że nigdy więcej nie będę jego niewolnicą. W dziwnych chwilach, niespodziewanych momentach, czasami tuż po przebudzeniu, czuję, że odpływam jak wtedy, gdy podróżowałam po świecie przy pomocy białego smoka. W takich chwilach jestem zażenowana i smutna. Kiedy spoglądam na swoje życie, widzę, że było jednym ciągiem błędów, kłamstw i oszustw. Gdy jednak potem słyszę, jak mój syn w sąsiednim pokoju mruczy coś do swojego szczeniaczka, zdaję sobie sprawę, że to właśnie ta długa podróż dała mi Davida i doprowadziła do obecnego etapu życia. Teraz mogę spokojnie patrzeć na swoje odbicie, chociaż moje oczy nieco się zapadły, a wokół nich pojawiły się wyraźne zmarszczki. Wyglądam jak mama, jak zwyczajna kobieta.

Celina zasugerowała, że może wkrótce kogoś znajdę - jakiegoś zwyczajnego mężczyznę - z kim będę mogła dzielić życie. Może. Wiem, że



stać mnie na namiętność, na dawanie i przyjmowanie miłości. Mam dwadzieścia osiem lat i nigdzie mi się nie spieszy.

Na razie często nawiedza mnie sen, który nie ma nic wspólnego z białym smokiem. To prawdziwy sen, do którego mogę wracać, kiedy tylko zechcę. Jest w nim miedziane słońce, kaszmirska dolina, pokryte kwiatami łąki. Namiętność i poczucie, że mogę być sobą. Sen ten zajął miejsce wcześniejszego koszmaru. Uwolniłam się od wszystkiego, co tak długo mnie prześladowało. Czy można chcieć więcej?

Skończyłam właśnie pisać książkę o roślinach leczniczych Indii. Zaczęłam nad nią pracować zaraz po powrocie do Anglii, korzystając z notatek, które gromadziłam w trakcie całego pobytu za oceanami. Za kilka miesięcy powinna ukazać się drukiem w wydawnictwie Carruthers of London. Chociaż w moim miasteczku jestem znana jako Linny Ingram, na książce umieściłam Linnet Gow. Wydawca zasugerował z naciskiem, żebym dodała „A Lady” albo podpisała się jako pani So-mersowa Ingramowa. Oczywiście, nie chcę się na to zgodzić.

Poprosiłam, żeby książka ukazała się pod nazwiskiem, jakie pierwotnie na niej umieściłam - Linnet Gow. Uprzejmie mi odmówiono, sugerując L. Gow.

Odpisałam najgrzeczniej, jak mogłam, że z całym szacunkiem obstaję przy swoim.

Oczywiście, w końcu ulegną mojej prośbie, zwłaszcza że nigdy nie należałam do osób, które się poddają. Zresztą niezależnie od tego, jak zechcą mnie nazywać, zawsze będę myśleć o sobie jako o Linny Gow. Jest to nazwisko, które dała mi matka i z którego jestem dumna.

## Podziękowania

Najmocniej dziękuję mojej agentce Sarah Heller za pomoc przy powstawaniu tej książki. Wyrazy wdzięczności należą się również mojemu wydawcy Harriet Evans za jej intuicję, zrozumienie, dociekliwość i namawianie mnie, żebym poszła jeszcze dalej, pokopała jeszcze głębiej. Dzięki niej ostateczna wersja niemal całkowicie jest zgodna z moimi początkowymi zamierzeniami. Serdecznie dziękuję Catherine Cobain za pomoc i Hazel Orme za mądre sugestie. Wiele również zawdzięczam Donnie Freeman, Shannon Kernaghan, Irene Williams, Anicie Jewell i Kathy Lowinger, które czytały pierwszą wersję i zachęciły mnie do dalszej pracy. Moje dzieci: Zalie, Brenna i Kitt, zasługują na gorące słowa podziękowania za wyrozumiałość i ciągłe wsparcie. Niezależnie od tego, w jak trudną wybieram się podróż, zawsze są gotowe mi w niej towarzyszyć.